# PRZEGLĄD

# POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
*Ps. 143.*

ROK DWUNASTY. — TOM XLVIII.

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1895.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1895.

## Errata.

### Zeszyt październikowy:

| | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|
| Str. 55, w. 14 z góry, | zamiast: | „wskazać ma“, | czytaj: | „wskazać mu“. |
| Str. 56, w. 12 „ | „ | „rzecz miała wciąż“, | „ | „rzecz miała wziąć“. |
| Str. 138, w. 19 „ | „ | „Siècle“, | „ | „Sicile“, i tak samo w ciągu tej recenzyi. |

### Zeszyt listopadowy:

| | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|
| Str. 179, w. 27 z góry, | zamiast: | „choć bolały“, | czytaj: | „choć zbolały“. |
| Str. 185, w. 20 „ | „ | „Breve z 1823 r.“, | „ | „Breve z 1832 r.“. |
| Str. 187, w. 18 „ | „ | „racye Ojca św.“. | „ | „racye Ojca“. |
| Str. 192, w. 20 „ | „ | „Mickiewiczowskiego“. | „ | „ucikinierskiego“. |
| Str. 192, w. 30 „ | „ | „nicbym tego“, | „ | „nie bym tego“. |

# DZISIEJSZY SPÓR O HIERARCHIĘ ANGLIKAŃSKĄ.

Wracają na widownię dawno już zapomniane polemiki religijne i dyskusye teologiczne i zaczynają zajmować coraz szersze koła myślącej ludzkości. Równocześnie z alarmami Schrempfa w królestwie Wirtembergskiem, Längina w Badenie, Harnacka w Berlinie, toczy się w Anglii może spokojniejsza, ale bardziej podstawnicza i prędzej do rezultatów pozytywnych doprowadzić mogąca walka religijna. Mamy tu na myśli zacięte dysputy, prowadzone przez anglikańskich pastorów, tak zwanej partyi rytualistycznej.

Faktem jest znanym, że rytualistyczne stronnictwo, będące dosyć wielkim odłamem anglikańskiego kościoła, odsadziło się silnie od pierwotnego swego wyznania. W zakresie dogmatu zbliżyli się rytualiści już znacznie do Kościoła rzymskiego, a na polu obrzędów i liturgii pretendują z nim nawet o pewną równorzędność. Wobec tego faktu łatwo zrozumiałą jest rzeczą, że kwestyą piekącą dla postępowej tej partyi jest rozwiązanie szczęśliwe wszelkich zarzutów, któreby chrześcijańską legalność i prawomocność anglikańskiej hierarchii w wątpliwość podać mogły.

Apologetyczny ten kierunek datuje się od początków naszego wieku. Koło 1830 r. — a więc po półtorawiekowym zaniku wszelkiego życia w anglikanizmie — poczęli występować w Oksfordzie teologowie, tak zwani puzeiści, którzy postawili sobie za zadanie życia obronę dogmatów wysokiego kościoła tak przeciw

racyonalizmowi sekt odpadłych od anglikanizmu, jakoteż przeciw supranaturalizmowi rzymskiemu. Ponieważ zaś jedną z podstaw wysokiego kościoła jest to przekonanie, że episkopat anglikański zachował charakter boskiego ustanowienia, poczęli puzeiści dowodzić nieprzerwalności w następstwie apostolskiem swoich biskupów. Odtąd kwestya ta nie schodzi z pierwszego planu anglikańskiej teologii, a każda nadarzona sposobność wywołuje gorącą polemikę. Około 1870 r., z okoliczności watykańskiego soboru, powstała na ten temat cała literatura; wystarczy wspomnieć z anglikańskiej strony dzieła Lee'go i Bailey'a, a z katolickiej Raynal'a i Estcourt'a.

Zdawaćby się mogło po tylu dyskusyach nad tą sprawą, a zwłaszcza po ukazaniu się znakomitego dzieła Estcourta, że nowa polemika nie będzie przedstawiać dla nikogo bliższego interesu. Tymczasem w ostatnich czasach walka o hierarchię wybuchła na nowo i olbrzymie przyjęła rozmiary. Silnym bodźcem tego nowego ruchu była znana odezwa Leona XIII. do chrześcijan niekatolików. Głos papieża trafił w samą porę; wielu z najwybitniejszych przedstawicieli anglikanizmu objawia dziś szczerą chęć jedności z Rzymem, a inni czują przynajmniej potrzebę uniewinnienia i bronienia swego stanowiska. Nic więc dziwnego, że posypały się artykuły i broszury na całej linii angielskiej, tak katolickiej, jak anglikańskiej prasy, polemika wtargnęła nawet w prywatne rozmowy i poufne listy. Przetrząśnięto archiwa i biblioteki, zaczęto publikować najmniejsze zapiski kronikarskie i dokumenty tak do historyi jak i liturgii anglikanizmu się odnoszące.

Tak rozogniona walka przeszła wkrótce poza granice kraju, a co oryginalne, wywołała nawet rozdwojenie w starokatolickim obozie. Celem zbadania tej kwestyi, utworzyli czterej duchowni tegoż wyznania w Holandyi komisyę teologiczną, a rezultat dla anglikanów niepomyślny, ogłosili broszurą, wydaną w Amsterdamie. Broszura wywołała protest ze strony biskupa Reinkensa, który przypomniał sobie tę chwilę, kiedy to w 1874 r. na zjeździe w Bonn uznał razem z Doellingerem w imieniu starokatolicyzmu ważność anglikańskich święceń. W imię tego sojuszu czuł się teraz zobowiązanym naprawić nietaktowność swoich współwy-

znawców, i łącznie ze swym partyzantem Friedrichem zredagował odprawę [1], w której punkt po punkcie zbija wywody holenderskiej komisyi. Rozprawa cała zanadto jest stronniczą, by mogła się przyczynić do rozjaśnienia naukowego tej sprawy.

Jakżeż zachowuje się wobec tego ruchu w Anglii zagraniczna katolicka prasa? Najwięcej oddźwięku znalazła kwestya anglikańska we Francyi. Wśród wielu publikacyj, zaznaczają się trzy główne kierunki. Jedni, jak Tournebize [2] i Boudinhon [3], zaprzeczają ważności święceń tak ze względów historycznych jak i dogmatycznych. Dalbus [4] przyznaje niektóre fakta na korzyść anglikanów, lecz ostatecznie dla braku intencyi w konsekratorach i dla pewnych zmian wprowadzonych w liturgię, także nieważność konkluduje. Najdalej posunął się sławny na polu liturgiki katolickiej Duchesne, który w ocenie [5] książki Dalbusa wprost się oświadczył za anglikanami. Na zarzut Dalbusa, co do braku intencyi, odpowiada Duchesne, że intencyę w granicach katolickiej reguły *(intentio faciendi, quod facit ecclesia)*, należy suponować dopóty, dopóki jej braku wprost się nie udowodni. Odwołuje się na chrzest, który może być udzielonym przez każdego, kto wie tylko, że jest to czynność święta, przez którą człowiek staje się chrześcijaninem; podobnie były święcenia anglikańskie udzielane przez takie osoby, które chciały mieć biskupów i kapłanów. Na drugą racyę Dalbusa odpowiada Duchesne, że zmiany te nie tyczą się istoty rzeczy. Żąda wprawdzie Stolica Apostolska reordynowania konwertytów anglikańskich, czyni to jednak nie tyle z dogmatycznych względów, ile raczej przez wzgląd na spokój sumienia wiernych, którzyby mieli trudność w przyjmowaniu sakramentów z rąk duchownego, konsekrowanego w anglikanizmie.

Tak się w najogólniejszych zarysach przedstawia ten ruch

---

[1] *Revue internationale de Théologie,* janv—mars, 1895. — Bischof Dr. Reinkens und Prof. Dr. Friedrich, *Von der Gültigkeit der anglicanischen Weihen*

[2] *Etudes religieuses, philosophiques, historiques et littéraires,* mars—avril, 1895. — *L'Eglise d'Anglettere. A-t-elle réellement le sacerdoce?*

[3] *Étude théologique sur les ordinations anglicanes.* Paris 1894.

[4] *Les ordinations anglicanes.* Arras 1894.

[5] *Bulletin critique,* nr. 14, 15, juillet 1894.

dzisiejszy. Walka zacięta wre naturalnie dalej, z dniem każdym przynoszą zagraniczne wydawnictwa jakiś odgłos tej wrzawy. Jakżeż w najnowszem tem oświetleniu wygląda ta sprawa?

Kwestya cała o prawomocności anglikańskiej hierarchii, czyli, co na jedno wychodzi, o ważności anglikańskich święceń, przedstawia się dosyć zawile tak ze względu na wątpliwy charakter biskupi pierwszych konsekratorów, jak też wskutek zmian, dokonanych w rytuale konsekracyjnym.

Początki tej kwestyi datują się od panowania Edwarda VI. Henryk VIII., który odszczepieństwo Anglii od Rzymu spowodował, opierał się stanowczo innowacyom w nauce wiary i w kulcie; najlepszym wyrazem tego jest prawo publiczne z 1539 roku, nazwane przez protestantów „batem o sześciu rzemieniach". Dopiero za rządów jego syna otworzono na wściąż wrota herezyom Kalwina i Lutra. Rada królewska usunęła na bok, prócz wielu innych artykułów, dogmat katolicki o siedmiu Sakramentach, zniosła sześć artykułów Henryka, z których jeden utrzymywał rzeczywistą obecność Chrystusa w Eucharystyi, a drugi nakazywał zatrzymanie eucharystycznej ofiary; polecono nadto ułożenie nabożeństwa w języku angielskim, napisanie katechizmu i wyznania wiary, oraz sporządzenie nowej ustawy kościelnej. Wedle tej ustawy *Common-Prayer-book,* wprowadzającej rytuał święceń odmienny od rzymskiego, poczęły się odbywać konsekracye anglikańskiego duchowieństwa.

Restauracya katolicyzmu w Anglii za Maryi katolickiej i reordynacya hierarchii nie trwały długo.

Po czterech latach takiego stanu, wstąpiła na tron dziewicza Elżbieta, i wprowadziła ponownie reformę Edwarda. Nastały dla katolików, a zwłaszcza dla duchowieństwa, czasy ciężkiego prześladowania. Już w roku następnym nie było w Anglii, z wyjątkiem Llandaffa, żadnego katolickiego biskupa; część ich wymarła, a drugą część dla nieuznania supremat królowej usunięto. Trzeba było pomyśleć o nowym kamieniu węgielnym protestanckiej hierarchii.

Oko Elżbiety spoczęło na byłym kapelanie Anny Boleyn,

Mateuszu Parkerze. I tu zaczyna się strona sporna całej tej sprawy, z nazwiskiem Parkera łączy się kwestya ważności święceń anglikańskich.

Na rozkaz królowej zebrała się część kapituły kantuaryjskiej i w dniu 19 lipca 1559 roku wybrała Parkera swym arcybiskupem. Powstała teraz poważna trudność w znalezieniu konsekratora. Po zasięgnięciu rady u wielu kanonistów i prawników, rozesłano głównie do wypędzonych za panowania Maryi biskupów królewskie komisoryum, opatrzone klauzulą [1], w której królowa na mocy swego kościelnego supremátu uzupełnia wszystkie braki konsekratorów, nawet do samego ich stanu biskupiego się odnoszące. Już 17 grudnia tego samego roku, przystąpili czterej z zawezwanych biskupów do aktu konsekracyi. Głównym konsekratorem był Barlow, asystentami byli dymisyonowani ze swych stolic w Chichester i w Exeter, Scory i Coverdale, wreszcie Hogdkin, sufragan z Bedford. Konsekracya odbyła się w kaplicy pałacu Lambeth, między godziną piątą a szóstą z rana.

Akt ten cały notujemy dlatego tak dokładnie, bo niejedna z jego okoliczności była nieraz silnie kwestyonowaną. Długi czas chodziły wieści, że konsekracya ta odbyła się w sali jadalnej hotelu „pod końską głową“ [2], w tej formie, że konsekrujący Barlow chwycił za rękę klęczącego Parkera i zawołał: „Nuże panie biskupie kantuaryjski wstawaj“. Wedle innej wersyi miano mu położyć na głowie egzemplarz Pisma św. i wyrzec słowa: „Przyjmij władzę godnego głoszenia słowa bożego“.

---

[1] Oryginalna ta klauzula brzmi tak: „Supplentes nihilominus suprema auctoritate nostra regia ex mero motu et scientia nostris, si quid aut in his quae iuxta mandatum nostrum praedictum per vos fient, aut in vobis, aut vestrum aliquo, conditione, statu, facultate vestris ad praemissa facienda desit eorum, quae per statuta huius nostri regni aut per leges ecclesiasticas in hac parte requiruntur aut necessaria sunt, temporis ratione et rerum necessitate id postulante“.

[2] Ta „końska głowa“ irytuje anglikanów w okropny sposób. Świeżo dr. Lias w rozprawie: *The vadidity of anglican Orders*, nie może znaleść dosyć słów oburzenia na ten jezuicki wymysł.

Nie zastanawiamy się bliżej nad temi opowiadaniami, bo nie mają one żadnej racyonalnej podstawy [1]; znajdują się ówczesne dokumenty, stwierdzające tak sam akt konsekracyi, jak i wszystkie powyżej przytoczone okoliczności.

Nieco inaczej przedstawia się inna kwestya, ta mianowicie, czy konsekracya Parkera była ważną, i tu piętrzy się całe morze poważnych wątpliwości. Główną trudność nasuwa naprzód sama osoba Barlowa. Wobec faktu, że Barlow był głównym konsekratorem, a jako taki, sam jeden, wedle przepisów ordynału anglikańskiego, wymawiał formę konsekracyjną i konsekwentnie sam jeden udzielił sakramentu, jasną jest rzeczą, że od charakteru biskupiego Barlowa, zależy ważność święceń Parkera. Byłżeż sam konsekrator ważnie konsekrowanym biskupem?

Barlow, z zakonnika Augustyanina, wybrany został na biskupa w St. Asaph 16 stycznia 1535 r., a w kilka miesięcy później, 10 kwietnia, przeniesiono go na biskupstwo w St. Dawid's. Pewnem jest, że na pierwszej swojej stolicy, Barlow nie był konsekrowany; registry kantuaryjskie nazywają go tylko biskupem-elektem ze St. Asaph. Pewnem jest także, że i na drugiej stolicy nie odbyła się konsekracya aż po dzień 12 czerwca. Świadczy o tem w tym dniu datowany certyfikat Kromwella, w którym tenże mówi o Barlowie, jako o „byłym elekcie w St. Asaph, a obecnym elekcie w St. Dawid's". Ponieważ zaś w dniu 10 lipca zasiadł Barlow w Izbie lordów, między konsekrowanymi biskupami, i zajął miejsce przed biskupem z St. Asaph, konsekrowanym 2 lipca, przeto pomiędzy tym dniem a 12 czerwca, konsekracya Barlowa odbyć się była powinna. Tymczasem o fakcie tym nigdzie nie można się doszukać wzmianki, we współczesnych kronikach i zapiskach o konsekracyi Barlowa głuche zalega milczenie. Co więcej, w registrach kantuaryjskich, notujących dokładnie datę elekcyi i konsekracyi współczesnych biskupów, po zaznaczonej elekcyi Barlowa, rubryka na konsekracyę stoi po dziś dzień wolna. Współczesny Foxe o święceniach tych nic nie

[1] Opowiadanie o „końskiej głowie" podaje jeszcze jako fakt historyczny „Encyklopedya kościelna" ks. Nowodworskiego, t. XVIII. Parker.

umie powiedzieć, chociaż o wszystkich innych biskupach szczegółowe podaje daty.

Trudności te powiększa radykalno-protestanckie stanowisko Barlowa; idee, zwłaszcza jakie miał konsekrator Parkera o ważności święceń i ich sakramentalnym charakterze, były bardzo pogmatwane. W tym samym roku, w którym po raz pierwszy wystąpił jako biskup, wygłosił na publicznem kazaniu w Menewii, między innemi i takie zdanie, iż sama nominacya królewska wystarcza, by pierwszy lepszy wykształcony laik został takim samym biskupem, jak każdy inny biskup w Anglii. Wobec tak liberalnego usposobienia i takich przekonań religijnych, nie wyda się nikomu nieuzasadnionem to przypuszczenie, że mnich ten apostata po otrzymaniu zatwierdzenia królewskiego i edyktu, przyznającego mu posiadanie temporaliów, nie odczuwał już żadnej potrzeby konsekracyi. Święcenia odbywały się zazwyczaj prywatnie, bez współudziału ludu, nikt więc nie mógł ich opuszczenia kategorycznie sprawdzić.

Co dziwna, że dzisiejsi anglikanie bardzo oględnie wyrażają się o całym tym fakcie, mimo to, że niektórzy katoliccy pisarze, jak Dalbus, uznają wprost charakter biskupi Barlowa. Dwaj wikarzy anglikańscy, Denny i Lacey [1], na zarzuty strony przeciwnej przytaczają tylko ten fakt, że Barlow zasiadał w Izbie lordów w szeregu biskupów konsekrowanych, bez żadnego protestu ze strony swych kolegów, chociaż ci dla radykalnych jego poglądów, wrogo względem niego byli usposobieni. Do faktu tego, nie dowodzącego wiele — bo niezałożenie protestu z różnych innych mogło pochodzić powodów [2] — zdają się sami nie przywiązywać wiele wagi, i dla udowodnienia ważności święceń parkerowskich, usuwają Barlowa na drugi plan.

[1] Dzieło ich: *De hierarchia anglicana, dissertatio apologetica,* Londini 1895, jest jedną z najgruntowniejszych anglikańskich publikacyj. Ma ono poniekąd charakter urzędowego manifestu, bo opatrzone jest przedmową jednego z najwybitniejszych prałatów, salisburskiego biskupa Wordswortha.

[2] Fakt ten przekonywuje do tyla Lehmkuhla, że przyznaje odbyciu się konsekracyi najwyższe prawdopodobieństwo. *Stimmen aus Maria Laach.* Juli 1895. *Die anglikanische Hierarchie in anglikanischem und in katholischem Lichte.*

W tym celu przytaczają z ówczesnych zapisków notatkę, wedle której konsekracyi Parkera nietylko Barlow, ale i inni trzej biskupi równorzędnie dokonali; wszyscy czterej mieli wziąć udział przy wkładaniu rąk i wymawianiu formy konsekracyjnej.

Przypuściwszy prawdziwość tej relacyi, nie można już święceń Parkera czynić zależnemi od osoby Barlowa; wystarczy, że między czterema konsekratorami, był choć jeden prawdziwy biskup, a takim był Hogdkin. Lecz czy tę prawdziwość przyznać należy? Wierzytelność dokumentu nie ulega żadnej wątpliwości — najlepsi znawcy nie mogli wykazać falsyfikatu ani w materyale piśmiennym, ani w samem piśmie. Inna jest kwestya co do wartości wewnętrznej samejże relacyi; do podania jej w wątpliwość wystarcza ta okoliczność, że stoi ona w sprzeczności z przepisami rytuału Edwarda VI., wedle których przy święceniach biskupich nie miało być czterech konkonsekratorów, lecz tylko jeden konsekrator główny, a trzech asystentów. Racyę, jakoby wskutek braku arcybiskupa wszyscy czterej występowali w równej roli, uważamy za wybieg; odnośny przepis nie jest przecież ściśle przywiązanym do godności arcybiskupiej. Bądź co bądź utrwalona tradycya, uważa Barlowa za głównego konsekratora, a jako taki miał on sam jeden prawo do wygłoszenia formy.

Zresztą choćby nawet dokument kwestyonowany żadnej nie nasuwał trudności, to partykularne takie świadectwo w rzeczy tak ważnej a tak wątpliwej przed żadnym trybunałem sprawy nie przeforsuje. Kościół katolicki żąda w podobnych wypadkach relacyi pochodzącej co najmniej od dwóch naocznych, niepodejrzanych i w kwestyi dotyczącej dobrze poinformowanych świadków.

Nie kończy się jeszcze na tem polemika historyczna. Chociażby nawet — mówią Denny i Lacey ani Barlow — ani Parker nie posiadali władzy święceń, mimo to nie można jeszcze konkludować nieważności następnych konsekracyj anglikańskich. Ani sam Barlow nie święcił Parkera, ani sam Parker nie święcił zstępujących od siebie biskupów; w obydwu wypadkach uczestniczyli jeszcze inni biskupi ważnie wyświęceni. Od jednego z nich, Curvena, święconego za panowania Maryi wedle kato-

lickiego rytuału, pochodzi w trzeciej linii Hampton, ten znowu w trzeciej linii bierze udział przy konsekracyi Lauda, jednego z następnych kantuaryjskich arcybiskupów, a od tego dzisiejsi biskupi, zasiadający najstarsze stolice, swoje konsekracye wywodzą.

Cała ta kombinacya bocznej genealogii jest bardzo niefortunnym pomysłem. Wobec faktu, że decydującym przy święceniach jest konsekrator, wymawiający formułkę, uciekanie się do konsekratorów asystentów, jest zupełnie bezcelowem. Genealogia hierarchiczna Lauda, łączy się (jeżeli Monteigne'a pominiemy) z szeregiem arcybiskupów kantuaryjskich, bo ci byli głównymi konsekratorami; stąd dla poprzedników Lauda, konsekwentnie i dla niego samego pozostanie na zawsze Parker decydującym.

Tak przedstawia się jedna strona tej kwestyi. Wobec faktu, że Parker jest praojcem anglikańskich biskupów, a jego biskupia godność podstawą „wysokiego kościoła", wraz z zachwianiem się tej podstawy, chwieje się cała budowa dzisiejszej anglikańskiej hierarchii.

Nasuwa się już do omówienia druga kwestya, która nawet niezależnie od pierwszej traktowana, wielkie ze sobą przynosi trudności — jest to kwestya ordynału Edwarda VI. Tak konsekracya Parkera jak i wszystkie inne następne, odbywały się wedle zmienionego obrzędu. Poważne staje pytanie, co o tej zmianie *liturgicznej, dokonanej w duchu anglikanizmu*, sądzić powinna teologia?

Cóż jest istotnego, w czem różni się ordynał angielski od rzymskiego pontyfikału — jakież są główne momenta, które wyrokują o święceniach wedle anglikańskiego rytuału dokonanych?

Katolicka teologia do ważności święceń domaga się prócz biskupiego charakteru w konsekratorze, zachowania przepisanej materyi i formy sakramentalnej, żąda nadto, by czynność konsekracyjna odbywała się w intencyi robienia tego, co robi Kościół. Niema wprawdzie żadnego kanonu dogmatycznego, któryby definiował, jaką jest istotna materya i forma kapłaństwa, jednak

według ogólniejszego zdania, istotę konsekracyi tak kapłańskiej jak biskupiej stanowi włożenie rąk wraz z towarzyszącemi słowami. W kościele zachodnim przy święceniach kapłańskich przybyła jeszcze od X. wieku ceremonia podawania świętych naczyń, która o tyle jest za istotną uważana, że w wypadku opuszczenia jej, święcenia muszą być warunkowo powtórzone.

W ordynale Edwarda w pierwszych trzech latach jego istnienia (1549—1552), zachowanem było to, co nazywamy materyą; prócz włożenia rąk, przestrzegano podawania kielicha i pateny [1]. Inny los spotkał formuły obrzędowe. Przy redakcyi *Common-Prayer-booku* pracowali ludzie, którzy byli zarażeni błędami Kalwina, Bucera i Lutra. Główny twórca tego dzieła, Kranmer, zaprzeczał w swych pismach rzeczywistej i istotnej obecności Chrystusa w Eucharystyi, a o potrzebie święceń żywił to samo przekonanie co Barlow [2]. Nic zatem dziwnego, że w *Common-Prayer-booku* zanika zupełnie prawdziwe pojęcie kapłaństwa katolickiego, a msza nie jest niczem innem, jak tylko prostą pamiątką ofiary krzyżowej. Zaciekłość posunięto do tego stopnia, że razem

[1] Po trzech latach, przy pierwszej rewizyi *Common-Prayer-booku*, usunęli reformatorzy ceremonię podawania narzędzi ofiarnych, a stan ten istnieje po dziś dzień. Co pociąga za sobą wobec praktyki Kościoła zachodniego podobne opuszczenie, zaznaczyliśmy powyżej. Anglia podpada pod prawa obrzędu zachodniego, niewiele więc dowodzi, jak nam się zdaje, apelowanie do liturgij oryentalnych.

[2] Charakterystyczną jest odpowiedź Kranmera na kwestyonaryusz Henryka VIII., rozesłany do biskupów i teologów. Pytanie 9-te kwestyonaryusza brzmiało: „Czy Apostołowie przy braku wyższej władzy, nie mieli bowiem między sobą chrześcijańskiego króla, kreowali biskupów ze wzmiankowanej konieczności, czy też na mocy udzielonej im boskiej władzy?“ Odpowiada Kranmer: „Wszystkim książętom chrześcijańskim poruczoną jest bezpośrednio od Boga całkowita troska o wszystkich ich poddanych, tak co do zawiadywania słowem bożem przy pracy nad duszami, jak też co do starania się o rzeczy polityczne i urządzenia obywatelskie. W każdym z tych dwu rodzajów administracyi, muszą mieć wielu podwładnych pod sobą, aby ci mieli pieczę nad tem, co jest rozdzielonem pomiędzy ich rozmaite urzędy. Państwowymi poddanymi królewskiego Majestatu w tem królestwie są np.: kanclerz, skarbnik, pieczętarz... Zawiadowcami słowa bożego, poddanymi Jego Majestatowi są biskupi, proboszcze, wikarzy i inni tego rodzaju kapłani, którzy na ten urząd zostali przez Jego Wysokość wyznaczeni, jak np. biskup kantuaryjski, proboszcz z Wynwicku i t. d.

z wyrzucaniem ołtarzy, wyrzucono z kanonu mszy wszystkie wyrazy, któreby mogły przypominać ideę prawdziwej i rzeczywistej ofiary [1].

Tę samą taktykę zastosowano przy układaniu obrzędu święceń. Ordynał anglikański w pierwotnej swej formie nie jest niczem innem, jak tylko dawnym katolickim pontyfikałem salisburskim, oczyszczonym z wszelkiej wzmianki o mszy i o ofiarowaniu. Przypatrzmy się, jak postąpiono sobie z obrzędem święceń kapłańskich.

| Pontyfikał z Exeter i Sarum (Salisbury). | Ordynał z 1549 r. |
|---|---|
| Episcopus dicit eis: Sacerdotem oportet offerre, benedicere, praeesse, praedicare, conficere et baptizare. | Biskup mówi do nich: Upominamy was, abyście pamiętali, do jak trudnego urzędu jesteście powołani, to jest, abyście byli posłami, stróżami, pasterzami, urzędnikami Pana, abyście pouczali, paśli, mieli pieczę nad rodziną Pana, abyście wyszukiwali rozproszone owce Chrystusa. |
| Episcopus ponat manum dextram super caput cuiuslibet sacerdotis dicens: Accipe Spiritum Sanctum: quorum *remiseris peccata, remittuntur* eis et quorum retinueris, retenta sunt. | Biskup i obecni kapłani położą swoje ręce na głowie każdego, który otrzymuje święcenia, mówiąc: Przyjm Ducha Św.: komu odpuścisz grzechy, temu będą odpuszczone, a komu zatrzymasz grzechy, temu będą zatrzymane. Bądź wiernym rozdawcą słowa bożego i świętych Sakramentów. W imię Ojca... i t. d. |

Wszyscy ci wymienieni urzędnicy tak jednego jak i drugiego rodzaju są wszędzie ustanawiani, naznaczani i wybierani przez prawa królów i książąt. Przy obejmowaniu stanowiska przez tych urzędników, są w użyciu rozmaite ceremonie i uroczystości, które nie z konieczności praktykują się, ale dla dobrego porządku i przystojności, bo choćby nawet podobne urzędy i posługi były bez podobnych uroczystości rozdzielane, mimo to byłyby jednak w rzeczywistości rozdzielone. A Bóg nie przyobiecał udzielić swej łaski raczej przy kościelnej instalacyi, jak przy obywatelskiej".

[1] I tak np. w miejsce słów: „uti accepta habeas et benedicas haec done, haec munera, haec sancta sacrificia", ułożono słowa: „abyś przyjął nasze modlitwy, które twojemu Majestatowi składamy". Słowa: „pro quibus tibi offerimus vel qui tibi offerunt hoc sacrificium laudis", zastąpiono czysto anglikańską formułką: „ta gmina, która się tu zgromadziła, by uczcić pamięć chwalebnej śmierci Syna twojego".

Episcopus tradet cuilibet calicem cum vino et aqua et patenam superpositam cum hostia, dicens cuilibet;

Accipe potestatem offerre sacrificium Deo, missasque celebrare, tam pro vivis, quam pro defunctis in nomine Domini. Amen.

Biskup poda każdemu z nich biblię w jednę rękę a kielich albo naczynie z chlebem w drugą i powie:

Przyjm pełnomocnictwo do głoszenia słowa bożego i udzielania Sakramentów w tej gminie.

Przypomnieć nie zawadzi, że ordynał jest kodeksem urzędowym i obowiązującym, znaczenie przeto i sens, jakie są w nim poddane poszczególnym ceremoniom, czy formułom, są miarodajne dla całego anglikańskiego kościoła. Wszyscy, którzy uznają i przyjmują *Common-Prayer-book*, a więc wszyscy anglikanie, odrzucają tem samem katolicką naukę o sakramencie i ofierze Eucharystyi, konsekwentnie i kapłaństwo przestaje mieć dla nich swoje katolickie znaczenie. Cokolwiek powiedzieć wypadnie o formie anglikańskich święceń, materyalnie wziętej, formuły ordynału pojęte w sensie oficyalnym zupełnie są niewystarczającemi do ważności sakramentalnej. Sakrament z natury swojej, jeżeli ma być skutecznym, ma oznaczać łaskę i to łaskę szczególną, odpowiadającą specyficznie celowi sakramentu, zatem i słowa formy sakramentalnej ten specyficzny charakter łaski wyrażać powinny. Wyrazy: odpuszczanie grzechów, udzielanie Sakramentów, rozdawanie słowa bożego, które znajdujemy w ordynale, nie oznaczają najwybitniejszej strony kapłańskiego urzędu; istotę kapłaństwa stanowi władza ofiarowania, a o tej z rozmysłu najmniejszą nawet wzmiankę w pontyfikałach wyrzucono [1].

Wobec takiego postulatu katolickiej teologii, niewystarczającemi są rozumowania anglikańskich predykantów, którzy ze słów: kapłan, kapłańskie święcenia, przychodzących w ordynale, chcą wyprowadzić katolickie znaczenie swych formuł liturgicznych. Jakiś pozór słuszności mogłoby mieć zasłonięcie się formułą, wtrąconą do ordynału, przeszło w sto lat po opublikowaniu

[1] Nie wiemy co podziwiać, czy nieuctwo, czy złą wolę Friedricha, który na zarzut Komisyi holenderskiej, że w liturgii anglikańskiej wyrzuconą jest wszelka wzmianka o ofierze Ciała i Krwi Chrystusa, odpowiada l. c.: że i w liturgii katolickiej niema o niej wzmianki. Znanemi mu są tylko słowa Kanonu: „ut nobis corpus et sanguis fiat D. N. J. Ch.“.

*Common-Prayer-booku.* W r. 1662, a więc w czasie, w którym w angielskiem duchowieństwie istniał pewien zwrot ku katolicyzmowi, włożono w obrzęd konsekracyjny następujące słowa: „Przyjm Ducha Św. do sprawowania urzędu i dzieła kapłana w kościele bożym, który masz teraz sobie nadanym przez włożenie rąk".

Przypuściwszy na razie poprawność i wartość katolicką tej formy, trudno przypuścić, by mogła ona naprawić wszystkie następstwa, przez cały wiek używanego kranmerowskiego ceremoniału. Forma przez Kranmera zredagowana wykluczała władzę kapłańską, a więc jej i nie udzielała; przez cały wiek przeto, poprzedzający tę poprawkę liturgiczną, nie było kapłaństwa w kościele Anglii. Ale i dodatek z 1662 r. nie zmienia stanu rzeczy. Przekonania o ofierze eucharystycznej ówczesnych urzędowych naczelników sekty nie różniły się niczem od dogmatycznego stanowiska, jakie zajęli pierwsi twórcy ordynału. Tak wtedy, jak przed stu laty, uznawano urzędownie tylko dwa sakramenta: chrzest i wieczerzę Pańską, a inne praktykowano w duchu luterskim, tylko jako obrzędy religijne, celem rozbudzenia wiary. Wobec tego, jakież znaczenie mogą mieć wyrazy: „dzieło i urząd kapłana w kościele bożym"? dosłownie wzięte są zanadto ogólnikowe, by oznaczały istotę kapłaństwa, a w oficyalnym duchu anglikańskim oznaczają tylko urząd państwowy.

Tak trzeba osądzić, jak się nam zdaje, formę ordynału. Trudność zasadnicza w uznaniu jej ważności nie polega na tem, że odstępuje ona od formy katolickiej, ale na tem, że wprowadzone w nią zostały zmiany tak znaczne, iż przestaje już ona oznaczać to, co ma udzielić, a zmiany te wprowadzone zostały w duchu heretyckim, wykluczającym rozmyślnie z formy to, w czem cel istotny sakramentu spoczywa. Wchodzi tu więc w grę nietylko sama forma, ale i intencya. Nie jest koniecznem, aby konsekratorzy anglikańscy mieli wyraźnie zamiar czynienia tego, co czyni kościół rzymski; wystarczyłoby, gdyby mieli intencyę ogólną zastosowania się do czynności kościoła prawdziwego; ale jeśli z opozycyi względem kościoła rzymskiego wyrzucają oni z obrzędu sakramentalnego to, co jest w czynności tegoż kościoła istotnem,

to wykluczają tem samem ową ogólną intencyę, a wskutek tego usuwają czynnik konieczny do ważności sakramentu.

Po tej dyskusyi nad formą święceń kapłańskich, nie trzeba się już chyba rozwodzić nad słowami konsekracyi biskupiej [1]. Biskupstwo jest przecież pełnią kapłaństwa; jeżeli więc w anglikanizmie heretycką jest idea kapłana, nie będzie odmiennie się przedstawiać i pojęcie arcykapłana, konsekwentnie i forma z tem pojęciem i w takiej intencyi zredagowana, nie stworzy sakramentu.

W tym stanie rzeczy, nie różnią się niczem anglikańscy duchowni od innych urzędników państwowych. Przecież przed święceniami kapłańskiemi wymaga się od kandydata, urzędowego przyrzeczenia, że w nauce, w udzielaniu sakramentów i w dyscyplinie kościelnej tak będzie się zachowywał, „jak Chrystus to rozkazał i j a k t o k r ó l e s t w o p r z y j ę ł o“. Każdy biskup-elekt musi zaręczyć przed konsekracyą, że czuje w sobie powołanie do służby duchownej w tym duchu, któryby odpowiadał tak woli Chrystusa jak i postanowieniom królestwa angielskiego. Pomijając już tę okoliczność, którą poprzednio wyraźnie zaznaczyliśmy, że dekrety Edwarda i paragrafy Elżbiety są w otwar-

[1] Konsekracya biskupia przedstawia się w sposób następujący: Arcybiskup razem z asystentami kładzie ręce na głowę elektowi i mówi: „Przyjm Ducha Św. na urząd i dzieło biskupa, który ci jest odtąd powierzony przez włożenie rąk naszych w imię Ojca i Syna i Ducha Św. Amen. Pamiętaj o tem, że ty rozbudzasz dar łaski, który ci jest udzielony przez włożenie rąk naszych, gdyż Bóg dał nam nie ducha bojaźni, lecz ducha mocy, miłości i karności“. Poczem podaje konsekrowanemu biblię, mówiąc: „Bądź gorliwym w czytaniu, w upominaniu, w uczeniu. Dojrzale rozmyślaj o tem, co się zawiera w tej księdze. Okazuj wierność i pilność, abyś wzrastał, a wzrost twój stał się widocznym wszystkim ludziom. Strzeż siebie samego i nauki i podług niej urządzaj życie swoje. Jeżeli czynić to będziesz, zbawisz siebie samego wraz z tymi, którzy do ciebie należą. Bądź pasterzem stada Chrystusowego a nie wilkiem, paś je a nie pożeraj. Wspieraj słabych, pielęgnuj chorych, opatruj rannych, zwracaj zbłąkanych, odszukuj straconych. Bądź miłosiernym lecz bez karygodnej pobłażliwości, strzeż karności, nie zapominając wszakże o łagodności, abyś kiedy przyjdzie najwyższy Pasterz, dostąpił nieprzemijającej korony zaszczytów, przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego. Amen“.

Słów: „urząd i dzieło biskupa“, niema w oryginale Edwarda, są one późniejszej redakcyi. W ogólności cały tenor formy jest tak samo ogólnikowy, jak przy święceniach kapłańskich.

tej sprzeczności z wolą Chrystusa, trudno z podobnych zobowiązań się, inny wyciągnąć wniosek jak ten, że duchowieństwo, w najistotniejszym punkcie swego charakteru duchownego zależne od postanowień władzy cywilnej, przestaje mieć swoje kościelne znaczenie a staje się tylko dykasteryą państwową, wyznaczoną przez rząd do sprawowania pewnych obrzędów religijnych i do rozszerzania etycznej kultury w społeczeństwie.

Dzisiejsza walka o hierarchię jest wielkim krokiem naprzód do wydobycia się z tej przykrej pozycyi. Jak długo toczyła się dyskusya między samymi teologami, tak długo rozprawy te miały tylko charakter prywatny szkolnej dysputy. Tak je jeszcze pojmował kardynał Manning. Dziś w ruchu tym biorą udział najwybitniejsi przedstawiciele anglikańskiego kościoła, i to już nietylko z teoretycznego punktu. Taki biskup Wordsworth nie tai się wcale z chęcią jakiejś zmiany na lepsze i zbliżenia się do katolicyzmu; drażni go tylko nieuznawanie hierarchii przez Rzym.

Dotychczasowe stanowisko Rzymu wobec anglikańskich święceń było bardzo stanowcze. Już w XVI. wieku, w zaczątkach schyzmy, kiedy za królowej Maryi nastąpiła restauracya katolicyzmu w Anglii, miała Apostolska Stolica sposobność wyrazić o nich swe zdanie. Wysłany przez papieża legat, kardynał Reginald Pole, musiał naturalnym biegiem rzeczy rozstrzygnąć w pierwszym rzędzie kwestyę święceń kapłańskich i biskupich. Sprawa skończyła się tak, że biskupom konsekrowanym za Henryka VIII., o ile konsekracya ich w jednym lub drugim szczególe mniej była dokładną, udzielono dyspenzy, biskupów zaś pochodzących z czasu Edwarda, zdegradowano do rzędu prezbiterów. Podobną taktykę zachowano względem niższego duchowieństwa.

W następnym roku 1555, kiedy jeszcze wielu z angielskiej hierarchii wątpiło o ważności swego kapłańskiego charakteru, wysyła Paweł IV. do Anglii brewe, w którem orzeka to samo, co już kardynał Pole przed rokiem praktycznie przeprowadził [1].

[1] Brewe Pawła IV. dopiero przed kilku miesiącami odnaleziono w archiwach watykańskich. Pierwsza ogłosiła je *Civiltà cattolica*, 1. Giugno 1895.

Zapatrywanie to nie zmieniło się w niczem w następnych czasach. Estcourt wylicza cały szereg anglikańskich duchownych, których przy nawróceniu się ponownie ordynowano. Lista ta obejmuje przeciąg wieku całego i zaczyna się od późniejszego męczennika, Edmunda Campiana, a kończy się na Jamesie Elistonie, który zmarł w Rzymie w 1704 roku. W tym samym roku, z okazyi nawrócenia się niejakiego Gordona, który był wyświęcony w Glasgowie na anglikańskiego biskupa, orzekła kongregacya inkwizycyi, że Gordon ma wszystkie święcenia na nowo otrzymać. Od tego czasu aż po dni dzisiejsze praktyka pozostaje ta sama.

Nie chcemy przesądzać faktów i wróżyć, jaki kwestya ta obrót weźmie w przyszłości. W anglikańskiej polemice widać już dzisiaj tyle dobrej woli i tyle zapatrywań katolickich, że kto wie, czy przed nową decyzyą Rzymu nie zapadnie już jakaś decyzya w Albionie.

*Ks. J. Pawelski.*

---

Ustęp dotyczący brzmi jak następuje: „Cum autem, sicut nobis nuper innotuit a pluribus haesitetur qui episcopi et archiepiscopi, schismate in ipso regno vigente rite et recte ordinati dici possint, nos haesitationem huiusmodi tollére et serenitati conscientiae eorum, qui schismate praedicto durante ad ordines promoti fuerunt, mentem et intentionem quam in eisdem litteris nostris habuimus clarius exprimendo opportune consulere volentes, eos tantum episcopos et archiepiscopos, qui non in forma Ecclesiae ordinati et consecrati fuerunt rite et recte ordinatos dici non posse, et propterea personas ab eis ad ordines ipsos promotas ordines non recepisse, sed eosdem ordines a suo ordinario juxta litterarum nostrarum praedictarum continentiam et tenorem de novo suscipere debere et ad id teneri“...

# SZKICE GILBERTA PARKERA.

(PIERRE AND HIS PEOPLE, by Gilbert Parker).

Moda jest potężną mistrzynią. Zakres jej władzy obejmuje nietylko zewnętrzną stronę życia ludzkiego, tj. mieszkania, ogrody, zaprzęgi, sprzęty i odzienie, ale wkracza i w dziedzinę duchową, skłania usposobienie całych pokoleń ku romantyzmowi, filozofii, krytyce lub zajęciom praktycznym, nadaje (pod nazwą stylu) kierunek architekturze, malarstwu i literaturze. Obecnie panuje moda t. zw. „literatury kresowej". U nas moda ta przybrała takie rozmiary, iż Amerykanin, sądząc po nowożytnych naszych szkicach historycznych i opisowych, po dziełach poważniejszych i powieściach, mógłby niemal myśleć, że Rzeczpospolita składała się z Ukrainy, Wołynia i Podola, poza któremi istniała gdzieś w obłokach jakaś legendarna stolica — Warszawa. Ale nie potrzeba na to Amerykanina; wszak pewien obywatel wschodniej Galicyi (naówczas poseł na sejm krajowy), mówił otwarcie, że nie lubi Krakowa i jego okolic, „bo tu niema wspomnień historycznych!" U nas jeszcze możnaby odnaleść głębszy powód, który prawie bezwiednie myśl wielu w te strony z przesadną wyłącznością obraca: postępują jak ci, którzy bojąc się utracić ukochaną istotę, zbierają naprzód jej wizerunki, notują każde słowo, starają się każdy rys charakteru utkwić sobie w pamięci. Za granicą jednak, gdzie podobny ruch istnieje, choć w daleko słabszym stopniu, niepodobna go wytłumaczyć inaczej, jak szukaniem wrażeń innych jak te, które się spotyka na bulwarach

albo na giełdzie, potrzebą zaczerpnięcia świeżego powietrza w płuca znużone dymem kominów fabrycznych.

Ale aby do tego świeżego tchnienia się dostać, trzeba już iść bardzo daleko. Cywilizacya z dobremi i złemi wyziewami swemi coraz bardziej ogarnia naszą biedną ziemię; chyba jeden Tartarin Alfonsa Daudeta mógł za wiatrem pustyni uganiać się na Wschodzie. Francuzi szukają jego powiewów w literaturze rosyjskiej, a gdy trafią na ugór, cieszą się myślą, że odkryli ogrom nieprzejrzany stepu. Szukają go i Anglicy na ruinach cywilizacyi indyjskiej lub w resztkach puszcz leśnych Ameryki Północnej. Tu, nad wielkiemi jeziorami, gdzieśmy dziećmi płakali z Cooperem nad upadkiem szczepu Mohikanów, wznoszą się teraz miasta, syczą kotły warsztatów, wre cały ruch gorączkowego życia europejskich przybyszów. To też Gilbert Parker prowadzi nas wyżej, bardziej na wschód i północ ponad brzegi Lodowatego Oceanu. Tu na przestrzeni większej od Stanów Zjednoczonych, istnieją jeszcze ogromy lasów dziewiczych i stepy bez końca. Tu słynny związek handlowy *Hudson Bay Company*, istniejący od kilku wieków, a od początku XVII. stulecia aż niemal do naszych czasów wyłącznie w tej krainie władnący, dotąd ma więcej znaczenia, więcej poszanowania u Metysów i Indyan, niż rząd ustanowiony w Ottawie. Głównym przedmiotem wywozu są dotąd futra; roczny zaś dochód Kompanii, której dyrekcya jest stale w Londynie, wynosi przeciętnie (licząc na niemiecką monetę) $3^1/_2$ miliona marek. Instytucya jest stara i ludzie używani przez nią żyją jeszcze jak przed stu pięćdziesięciu laty, wnosząc jednak w to życie przymieszki bystrości, energii i siły, cechujące tegoczesnych kolonizatorów Zachodu.

Książka, w której Gilbert Parker usiłował zebrać główne znamiona tych iście kresowych stron, jest niewielka i nie ma postaci dzieła naukowego. Tytuł jej: *Pierre and his people*, mogący być przetłumaczony na *Pierre et Cie*, pokrywa seryę ciekawych obrazków, w których ów Pierre, Metys, wpół Francuz i wpół Indyanin, wpół łotr i wpół bohater, zarazem trapper, ajent i gracz, ukazuje się wszędzie, to na pierwszym, to na ostatnim planie, ale zawsze na tle typowych stosunków i dzikiej, groźnej,

cudownej natury. Stosunki te i natura są tak dziwnie różne od naszych, a tak barwnem nakreślone piórem, iż gdy się jeden obraz za drugim przed oczami przesunie i przychodzi pożegnać się z książką, ma się wrażenie, że się było chwilę w jakimś innym świecie, pełnym mroźnych blasków, tajemnic i czarów. Jedno serce ludzkie zawsze i wszędzie pozostaje jednakiem: te same cnoty i te same namiętności odzywają się w niem pod różną formą na każdym punkcie ziemskiego wygnania.

Na olbrzymich przestworach, rozciągających się nad Zatoką Hudsońską, związek handlowy rozsiał swoje warowne kantory, istne horodyszcza, których mieszkańcy musieli nieraz odpierać napady Indyan; prócz tego tu i ówdzie wznoszą się koszary a raczej posterunki żandarmeryi konnej, jedynej w tych pustkowiach obrony słabych i nielicznych osad rolników. Żandarmi ci — jak ich opisuje Parker — to uosobienie poświęcenia i męstwa; mieszkańcy zwą ich j e ź d ź c a m i s t e p ó w *(the Riders of the Plains)*, szanują ich i drżą przed nimi, jakoby przed obrazem sprawiedliwości bożej. Jeden *Joli Pierre* (tak przezwany dla swej gładkości i zawsze młodego oblicza), żandarmów się nie lęka dlatego nasamprzód, że się niczego nie lęka na ziemi, a powtóre, bo wie, że zawsze zdoła uniknąć ich szponów. W pierwszym obrazku zastajemy go w walce z jednym z nich, wiecznie milczącym i surowym sierżantem Fones. Dramat rozgrywa się na tle srogiej zimy północnej. Obaj skrycie kochają się w jednej dziewczynie, zaręczonej z chłopcem młodym, dobrym, lecz słabym. Piotr usiłuje go uwieść, zgrać i upoić, by nieszczęśliwy wracając nocą do domu, zginął wśród śnieżycy i mrozu. Sierżant jednak domyśla się zbrodni, wchodzi niespodzianie wieczorem do sali szynkowej, wśród przestrachu i przekleństw graczy, aresztuje młodzieńca, wsadza na koń i odprowadza do rodzicielskiego domu, poczem sam, zawsze milczący i groźny, odjeżdża w zimową noc. Nazajutrz rano, po strasznej zawierusze, słońce wstaje promienne. Dzień to Bożego Narodzenia. Sierżanta napróżno szukają w koszarach, a szukają go pilno, bo go kapitan wzywa, aby mu wręczyć to, o czem marzył przez lata — nominacyę na oficera. Znajdują go wreszcie gdzieś daleko pod drze-

wem: koń, jego wierny towarzysz i jedyny przyjaciel, nawpół zasypany śniegiem, martwy już i skostniały, a i on sam nieżywy, ale wyprostowany jak zawsze, tylko z dziwnym uśmiechem na ustach i wyrazem słodyczy, jaki nigdy dotąd na twarzy jego nie gościł...

W następnym obrazie *Joli Pierre* w innem okazuje się świetle. Widzimy go w faktoryi zwanej Fortem Bożym *(Fort of God)*. Sam faktor z resztą załogi opuszcza fort przed zimą, gdyż żywności zostaje za mało, jeszcze mniej amunicyi, a Indyanie grożą napadem i przyszłoby zapewne oblężenie wytrzymać. Piotr wybiera się wraz z innymi, ale w ostatniej chwili spostrzega, iż jeden z mieszkańców fortu, biedny chłopak, nawpół obłąkany, jest zbyt słabym, aby znieść trudy pochodu. Zostaje więc z nim sam jeden, poświęca jedyną swoją pociechę — fajkę i tytoń, aby od szaleńca wyłudzić tajemnicę kryjówki, do której tenże bezmyślnie kradzione kule zanosił. Zawiera się z nim w warowni, a gdy Indyanie przypuszczają szturm — Indyanie, których szczep był wrogim szczepowi jego zmarłej matki — przyjmuje ich gradem wystrzałów, z których jeden powala ich wodza. „Ale nadeszli inni nieprzyjaciele, od zaciekłych pogan groźniejsi, a były niemi samotność i głód. Pierwsza zabija umysł, a drugi ciało. Ale *Grah* (idyota) nie był ani samotnym ani głodnym. Puszczał kłęby dymu i mruczał mgliste, niepochwytne zdania. On nie mizerniał i nie opadał z ciała, ale Piotr chudł z dnia na dzień i oczy jego od cierpienia pociemniały. Gdyż człowiek jest tylko człowiekiem, a głód jest rzeczą straszliwą. Na to, aby oddawać własne pożywienie dla nakarmienia szaleńca, a potem gonić przez milczące błonia za jakiemkolwiek żywem stworzeniem, ażeby je ubić — trzeba mieć moc i wytrzymanie anioła a nie śmiertelnego człowieka. Wszelako człowiek ten miał siłę wykonać to, co mu wskazywał własny jego kodeks dobrego i złego, kodeks jemu tylko właściwy. A gdy wiosna odrzuciła zimową obsłonę i ludzie od *Hudson Bay Company* przybyli zająć napowrót Fort Boży i stanęli u progu, zastali w bramie męża, który wsparty na strzelbie, powitał ich z dzielnem obliczem, pomimo, iż ciało jego

podobnem było ciału tych, których dobywają z grobu. Odpowiedział im, że się zowie *Pierre*, a mówił bez przechwałki, ale jak mężczyzna, a nie jak chora niewiasta. Na ziemi obok niego siedział skulony idyota, pieszczący fajkę, z śladem pożywienia na ustach“...

Ludzi, podobnie zdolnych do złego i do najszczytniejszych poświęceń, spotyka się w naszej historyi i literaturze kresowej, a jednak ów *Joli Pierre*, syn Francuza i matki Indyanki, drobny, zwinny i kształtny, o czarnych, przenikliwych oczach, cerze delikatnej jak u panienki a zębach białych jak u młodego wilka, jest typem zupełnie różnym od naszych bohaterów stepowych. Od kobiet wogóle stroni, żywi się jak asceta, nigdy kropla wina ust jego nie dotyka: jedne karty i zemsta cierpliwa, zimna, zaciekła, stanowią jego namiętności. Spokojna chytrość Indyanina zabiła w nim wybujałość francuską, zostawiła tylko zaciętość właściwą rasom łacińskim. Ale nie Piotr jeden stanowi przedmiot obrazków Parkera. Główną w nich rolę grają nie ludzie, lecz siły północnej, nieokiełznanej jeszcze natury. Niektóre powiastki wydają się wprost niepodobne i przyjąć je trzeba nie jako wybryki fantazyi autorskiej, ale jako wytwór wyobraźni mieszkańców, ludzi prostych, zabobonnych, a tak przejętych wrażeniem niezrozumiałych dla nich zjawisk przyrody, że już wszystkiemu wierzą na ślepo — prawdzie i złudzeniu. Odbiciem tego jest obrazek pod tytułem: *The Stone* (Kamień).

Rudy kamień wisiał na pochyłej skale Czerwonego wzgórza. Po jednej stronie, głęboko pod nim, leżała osada, szczelnie stulona, jak gdyby garstka mieszkających tu ludzi czuła potrzebę zwarcia się pospołu, aby się nie wydać drobnym pyłkiem wobec ogromu natury. A jednak jeśli kto stał obok kamienia i patrzał w dół, ów rząd drewnianych chatek zdał mu się być opłotkiem, umieszczonym u końca długiego koryta. Od kamienia bowiem aż do wioski ciągnęło się w stoku góry głębokie wyżłobienie, rzekłbyś, iż wydrążyli je niegdyś wielkoludy, igrając olbrzymiemi kręglami. Po drugiej stronie skały była też dolina, ale niezamieszkała; u jednego boku kamienia gęsto wyrosły drzewa.

Ten rudy kamień był potężny i dziwny. Widziany wprost od wsi, rysował się na tle nieba; chwilami zdawało się, że się unosi w powietrzu i wielu twierdziło, iż widzieli próżnię pomiędzy nim a podwaliną skały, na której spoczywał. Wydarzało się to zwykle wieczorem, gdy słońce poza nim zachodziło; wtedy smugi światłości wsuwały się u podnóża między podwalinę a kamień, nadając mu fantastyczny pozór, jakoby bujał w powietrzu lub jak meteor w tej chwili właśnie na szczyt góry opadał. O innej porze, gdy powietrze było czyste, blask niezbyt silny, a stroma góra, na której stała wioska, mocniej oświecona od tamtej, można było sobie dokładniej zdać sprawę o istotnem położeniu kamienia. Wtedy mogłeś dojrzeć, iż się opierał na szczupłej podporze, jakoby na cienkim słupie z granitu. Ale jeżeliś patrzał długo, mianowicie w dzień letni, gdy powietrze drgało, wtedy zdawał się zwolna na tym słupie kołysać, a im patrzałeś uważniej i dłużej, tem złudzenie było silniejsze, aż strach przejmował. Raz pewna kobieta, która wkrótce miała zostać matką, wpadła w obłąkanie na myśl, że w wielkiej chwili porodu kamień stoczy się ze szczytu wzgórza i zmiażdży ją i jej dziecię. Indyanie nie chcieli mieszkać ani po stronie wioski ani na drugiej w dolinie. Mieli podanie, iż przyjdzie dzień, w którym nieznany mąż, zwany przez nich śpiącym człowiekiem, powstanie ze swego legowiska ukrytego wśród gór, i gniewny, że mu domami zawalono miejsce igrzyska, zrzuci rudy kamień na tych, co śmieli zamieszkać na wzgórzu. Ale biali ludzie mało zważają na indyjskie podania.

Każdy z tych, co przybywali do wioski, prędzej lub później szedł zwiedzać on kamień. Pomimo, iż był olbrzymim, podstawa, na której się opierał, była istotnie bardzo maleńka i widok, jaki się od spodu wzgórza przedstawiał, nie był całkowicie mylnym. Być może, iż się kiedyś rzeczywiście kołysał, i że to kołysanie wyżłobiło z lekka miejsce, na którem spoczywał. Człowiek, który pierwszy tu osiadł szukając złota, nieraz przerywał swą pracę, aby się obejrzeć na kamień, w strachu, czy się na niego nie stoczy; potem śmiał się sam z siebie, boć przecie, mówił, skały te już lat tysiące tu stały. A jednak świeżo przy-

byli kładli się spać nieco niespokojni i nieraz w nocy zrywali się ze snu i szli patrzyć na rudy kamień, groźnie w świetle księżyca nad ich głowami wiszący, lub gdy noc była ciemna, słuch trwożliwie wytężali w tę stronę. Gdy księżyc wstawał późno, wprost z tyłu poza kamieniem, wtedy tenże wydawał się jakąś martwą, czarną planetą, toczącą się ku złotemu światłu, aby je swem brzemieniem przydusić.

Ale nikt z mieszkańców wioski nie spoglądał na kamień temi samemi oczyma, co ów pierwszy człowiek u stóp jego osiadły. Patrzał on nań latem, zimą i znowu latem, samotny, od ludzi daleki, i nikt krom zabłąkanej niekiedy sarenki lub stada dzikich kaczek nie dzielił się z nim tym widokiem. Pewnego dnia zbudził się bardzo rano i dziwnem uczuciem przejęty, wyszedł patrzeć na kamień. Tu na samym szczycie ujrzał siedzącego orła, a choć powtarzał sobie, iż ciężar ptaka nie zaważy na tak olbrzymiej masie więcej niż piórko na powierzchni świata, przecież przez cały dzień nie spuścił zeń oczu, orzeł zaś cały dzień na kamieniu pozostał. On sam był człowiekiem olbrzymiego wzrostu i niezmiernej siły; muszkuły w członkach jego zdały się być z giętkiej a niezłomnej stali. A przecież, jakby na wyśmianie tej mocy, nieba czy losy nad nim się znęcały; chleb w ustach jego obracał się w popiół, wszystko mu w rękach się rwało, pomyślność już osiągnięta zamieniała się w nędzę. On odkrył złoto a drudzy je zbierali, jego to córka wpadła w szał i urodziła umarłe dziecię ze strachu przed groźnym kamieniem. Raz gdy się udał za góry do innej kopalni, gdzie niespodziane zamiecie śnieżne czas jakiś go zatrzymały, żona jego zasłabła i zmarła z głodu, gdyż nikt ze wsi nie pamiętał o niej. To znów pewnej strasznej nocy, jedynego syna porwano mu z łóżka i prawem *lynch*'u powieszono za zbrodnię, której nie był winnym, o czem się sami zabójcy przekonali nazajutrz. Wtedy zamordowawszy w sposób okropny prawdziwego winowajcę, ofiarowali biednemu ojcu zadosyćuczynienie, na jakie ich stało. Rzucili mu broń pod nogi i oświadczyli, że każdy z nich gotów śmierć ponieść z jego ręki. On stał patrząc na nich przez chwilę z szeroką piersią, dyszącą ciężko, i płonącemi oczyma, nareszcie wyciągnął ręce, dwóch za gardło po-

chwycił i głowę o głowę roztrzaskał. Potem wydał krzyk podobny jękom ranionego zwierza i uciekł; odtąd nikt we wsi twarzy jego nie widział. Dowiedziano się jednak, że zbudował sobie chatę gdzieś u szczytu Czerwonego wzgórza i parękroć widziano go stojącego podle kamienia, lub siedzącego wśród głazów podnóża z twarzą ku wiosce zwróconą. Ci, którzy go ujrzeli z blizka, mówili, że się zmienił wielce, że mu broda i włosy wyrosły twarde i długie, a rysy skamieniały, jakoby sam był zabytkiem jakiegoś zastarzałego świata.

I przyszedł czas, gdzie w myśli ludzi stał się nieodłącznym od rudego kamienia, nawet nazwiska jego zapomniano i zwano go po prostu: Człowiekiem. I nie dziw, gdyż między nim a głazem było coś istotnie wspólnego — to też unikano obu tych władców wyżyny. Dzieje Człowieka z czasu gdy w wiosce przebywał stały się wkrótce niemal taką legendą, jak baśń indyjska o starym kamieniu, a w wyobraźni ludzi Człowiek był równie starym jak kamień. Kobiety, które słyszały o przebytych przezeń nieszczęściach, marzyły o nim z trwogą, jak niegdyś a może i teraz jeszcze o rudym kamieniu marzyły; brzemienne drżały przed grozą obojga. Czas płynął i ludzie czuli, że boleść tego męża musi być czemś straszliwem, skoro tak żyje sam na sam z kamieniem i z Bogiem.

Nie przeszkadzało im to wszakże kopać złota, pić gorzałkę i popełniać jeden występek po drugim. Pewnego dnia dokonali znów czynu okrutnego a niesprawiedliwego. Schwytali Metysa, gracza zwanego Joli Pierre, do którego mieli złość, że im się ograć nie dał, i uniesieni nagle zapałem obrażonej cnoty, powlekli go na brzeg skały i strącili w dół, myśląc że znajdzie śmierć szybką i że sępy sprawią mu pogrzeb. Ale Piotr się nie zabił, tylko do końca życia zachowa pamiątkę owej strasznej chwili. Odtąd bowiem nie może jednej ręki podnieść powyżej ramienia. Gdy się ocknął z długiej ciemności omdlenia, ujrzał przed sobą istotę potężną i groźną: coś nakształt wygnanego Tytana. Włos jego i broda były jak śnieg białe, oczy bystre a bólu pełne i jakoby w ten ból niezmierny wieczyście wpatrzone. Mąż ten siedział oparłszy głowę na olbrzymiej dłoni. Wzrok miał zwrócony ku

wiosce, a choć się zdawał sięgać w dal nieskończoną, przecież nic krom tej garstki chatek nie widział. Piotr, patrząc przez otwarte drzwi lepianki, obok których leżał, czuł, że mu dech w piersi zamiera, gdyż zrazu zdało mu się, iż to co widział było nie żywą istotą, ale nadziemskiem zjawiskiem. Poza owym mężem stał rudy kamień niemniej nieruchomy, niemniej stary jak on; w kamieniu nawet więcej było życia niż w tym skamieniałym człowieku. Był to raczej posąg niż człowiek: pierścienie siwych włosów wiły się jakby wyrzeźbione na jego wyniosłem czole, twarz zdała się jednym wielkim skamieniałym wyrazem cierpienia, na ustach osiadła pogarda i nieskończony gniew.

Słońce zaszło, cienie zakryły ziemię. Piotr wyciągnął rękę i jął pić wodę i jeść czarny chleb, które obok niego leżały. Domyślał się, iż upadając musiał zaczepić o gałęzie drzew lub wystające głazy, co go uratowało od śmierci, i że następnie został tu przyniesiony. Gdy tak leżąc rozmyślał, człowiek ów, którego pod kamieniem był widział, wszedł do chaty, schylając u wrót swą olbrzymią postać; krzesiwem zapalił knot zanurzony w czarce drewnianej, pełnej niedźwiedziego tłuszczu, poczem ukląkłszy, podniósł światło do góry i jął się w rannego wpatrywać. A Piotr, który się nigdy nikogo nie uląkł, dziś zadrżał pod jego wzrokiem. Gdy jednak spostrzegł, że Piotr odzyskał przytomność, wyraz nowy, jakoby odcień dobroci oblekł jego oblicze, skinął poważnie głową, ale nie przemówił. Potem coś, jakoby wielki dreszcz bólu wstrząsnęło jego ciałem; postawił lampkę na ziemi i począł silnemi swemi rękami lekko poprawiać bandaże, owijające skaleczone członki młodzieńca. Wtedy dopiero ten ostatni przemówił:

— Tyżeś jest, którego zowią C z ł o w i e k i e m?

Nieznajomy pochylił skroń potwierdzająco.

— Wyratowałeś mnie z rąk tych szatanów?

Wyraz niewymownej nienawiści zabłysł w oczach starca; za całą odpowiedź uścisnął dłoń towarzysza, a choć uścisk ten miał być łagodnym, przecież Piotr skurczył usta od bólu. Lampka poczęła pryskać i mdła woń czadu rozeszła się po izbie. Starzec przyniósł skórę niedźwiedzią i otulił nią chorego, była to bowiem jesień i już noce chłodne nastały. Piotr, który po długich dniach choroby

raz pierwszy spędził był godzinę przytomnie i zdrowo, wkrótce zasnął spokojnie. Jak długo spał, nie wiedział; zbudził go jakiś dźwięk metaliczny, dolatujący go wśród nocnej ciszy. Miły był to dźwięk stali uderzającej o granit, odgłos pracy samotnego kamieniarza wśród głazów. Dźwięk dochodził coraz to silniej, wyraźniej; czyżby Tytan, co go od śmierci ocalił, jaki posąg w skale wykuwał? Uderzenia padały rytmicznie, jak pulsacye igły w zegarze. Chory dziwił się i nasłuchiwał czas długi, a potem usnął na nowo, ale i przez sen czuł drganie stalowego dźwięku.

Z rana starzec przyszedł, opatrzył mu rany, przystawił jadło w milczeniu i poszedł. Nie było go przez dzień cały, dopiero kiedy wieczór nadchodził, wrócił na miejsce kędy dnia poprzedniego był siedział, i znów patrzał przed siebie nieruchomy jak wczora. I znowu Piotr zbudził się słysząc w ciemności ów dźwięk metaliczny, i to samo powtarzało się w każdą noc. Nareszcie siły poczęły mu wracać i mógł, choć z trudnością, utrzymać się na nogach. Jednej nocy wysunął się z chaty i cicho, powoli powlókł się w stronę, z której go dźwięk dochodził. Ujrzał Człowieka, klęczącego przy samym kamieniu, ujrzał młot wznoszący się i opadający na dłuto, a dłuto było utkwione w cienkiej podstawie kamienia. Młot wznosił się i opadał regularnie, z akuratnością straszliwą. Piotr zwrócił się i spojrzał w dół na wioskę, której światła płonęły jak rój świętojańskich robaczków. Potem spojrzał znowu na kamień i na Człowieka.

Wtedy nagle zrozumiał. Człowiek przekuwał podwalinę kamienia, a raczej odciosywał po jednej stronie brzeg zagłębienia, na którem głaz się wspierał. Jeszcze, jeszcze trochę, a wystarczy popchnięcie dłonią, przelot orła lub powiew północnego wiatru, i olbrzymia masa wytrącona ze swej równowagi wiekowej, runie na zbrodniczą, w bezpieczeństwie swojem zasypiającą osadę.

Na tę myśl zdrętwiał. A więc ten człowiek tyle lat pieścił swą zemstę, aż winowajcy zapomnieli o nim i o niej. W pierwszych czasach siedział samotny i patrzał w wioskę, nienawidził i dumał groźnie nad czynem, który był postanowił. Następnie począł pracować, zrazu potrosze, potem coraz pilniej, a w końcu, widząc nową ich zbrodni ofiarę, kuł już namiętnie, z zapałem

i siłą mszczącego się olbrzyma. Piotr sam w życiu swojem dopuścił się niejednego szpetnego czynu i niejeden raz słodkiej pokosztował zemsty, ale coś podobnego nie byłoby się nigdy w mózgu jego zrodziło. W tej wiosce żyli ludzie, którzy cisnęli go na śmierć jak wściekłego psa; teraz przedstawiała się dlań najcudniejsza sposobność odwetu. Nie potrzebował ręki przyłożyć do dzieła — tylko używać i patrzeć.

A jednak owi ludzie, kręcący się około świateł u dołu, czyliż go wszyscy skrzywdzili? Pomyślał, że było ich kilkoro — przeważnie kobiet — którzy nie byliby się nad trupem jego znęcali z obelgą i wrzaskiem. Większa część byłaby się znęcała tak jak się już znęcała nad żywym, nie dlatego że był zbrodniarzem, ale że natura ludzka łaknie czasami ofiary i krwi; starożytne, dzikie instynkta w człowieku żyją i od czasu do czasu się budzą. Wspomniał, że każdy niemal z tych ludzi mniej lub więcej przyłożył rękę do nieszczęść mszczącego się dziś człowieka. Owa garstka uczciwych kobiet miała niegodziwych mężów; kilku względnie uczciwych mężów miało jędze za żony; osada Czerwonego wzgórza była brzydkiem gniazdem w całości.

Myśli różne biegały mu po głowie: to wątpliwości, to dzikiej zawiści, to znów ironii. A młot wciąż uderzał o stal.

Spojrzał znowu na światła osady. Wtedy nagle przyszły mu na myśl słowa świętego męża, który w zamierzchłej przeszłości usiłował zbawić miasto przeznaczone na zgubę. Nie był sam pewien, czy chce ratować tę wioskę, ale poczuł jakąś dziwną analogię pomiędzy faktem z Pisma św. a tem co mu teraz wypadało uczynić.

Głos jego zabrzmiał jasno wśród nocy:

— Będę mówił do Pana i Boga mojego raz jeszcze. Azali znajdzie się tam dziesięciu sprawiedliwych...

Młot zawisł w powietrzu. I było cicho, tylko świerki z lekka szumiały. Potem przez usta starca od mowy odwykłe dobyły się z trudem wyrazy:

— Nie przebaczę im dla dziesięciu.

I znów nastała cisza, wśród której Piotr uczuł, że słabnie; lecz głos odezwał się znowu: Już!

W tej chwili księżyc wychylił się z poza chmur. Człowiek stał tuż za kamieniem i rękę ku niemu podnosił. Trwało tak parę sekund, które się zdały latami. Wiatr powiał od zachodu, księżyc zanurzył się w cień, a wtedy nakształt potworu kamień zeskoczył z podstawy i z hukiem gromu, porywając za sobą pomniejsze głazy, jął z przerażającą szybkością toczyć się w dół.

W dolinie światła pogasły.

Księżyc ukazał się znowu i Piotr ujrzał starca stojącego na miejscu, gdzie przed chwilą był kamień; chciał się rzucić ku niemu, lecz zanim doszedł, już miejsce było puste: Człowiek zniknął na zawsze.

Inny obrazek, „Czerwony Łowiec“ *(The red Hunter)*, jest jeszcze bardziej fantastycznym, a zwłaszcza bardziej nowoczesnym. Dziś u wielkiej części mieszkańców cywilizowanego i niecywilizowanego świata, suggestya, spirytyzm, magnetyczne i demoniczne sztuki są na porządku dziennym. Ludzie, którzy tajemnice wiary mają za zabobon, a niektórzy nawet wierzący, mówią o tych nadnaturalnych objawach jak o powszednim chlebie. Wiadomem jest, iż pewne sekty okkultystyczne używają (głównie w Kalkucie) fakirów hinduskich z całym arsenałem zaklęć, wężów i t. p. do swoich tajnych obrzędów. Wiele w tem jest szarlataneryi a wiele szatańskiego działania — nie nam orzekać ani dociekać, z góry jednak można powiedzieć, że piekło jeżeli na tem nie zyska, to przynajmniej nie traci — *le diable n'y perd rien.* Otóż powiastka o „Czerwonym Łowcu“ przenosi nas w ten świat pośredni, w którym, gdyby rzeczywiście istniał, człowiek czułby się zawieszonym między niebem a ziemią, wystawiony (ale im nie poddany) na działanie jakichś podziemnych potęg, niewidzianych i nieznanych prostym śmiertelnikom żyjącym i umierającym w łasce bożej, na jasnym, słonecznym świecie. Powiastka jest oczywiście znowu odbiciem miejscowego podania i dlatego głównie ciekawą. Podajemy ją zatem, skracając tylko początek.

Młody Anglik, Just Trafford, szuka w dalekich podróżach ukojenia dla swego smutku. Narzeczona jego, piękna ale egzaltowana Estera Orval, w tydzień przed ślubem zniknęła z domu rodziców; wkrótce potem oznajmiła listownie, że jest już żoną

innego, i odtąd nie było o niej wieści. Dopiero w rok później, dzienniki donosząc o zatonięciu wielkiego transportowego statku w pobliżu brzegów Kanady, wymieniły pomiędzy ofiarami Esterę i jej małżonka. Wtedy Trafford wyjechał polować nad Zatokę Hudsońską. Do posługi najął znanego sobie dobrze ze stron rodzinnych Irlandczyka Szona Mac Gann i Metysa Piotra, przezwanego Joli Pierre. „Ten był wyrocznią we wszystkiem co tyczyło łowów wśród stepów i gór północy; posiadał też dziwny dar odróżniania prawdy od fałszu, co szło stąd zapewne, iż obu tych broni był kolejno używał". Pewnego dnia do myśliwskiego obozu Trafforda zgłasza się nieznany Indyanin, Szangi, ofiarując się za przewodnika; obiecuje powieźć w dolinę dziką, samotną, kędy co dnia pasą się stada bawołów. Trafford zdumiewa się i raduje: wszak zaręczano mu, że w całym kraju ani jednego stada już niema! Irlandczyk zapala się też na myśl pięknych łowów; jeden Piotr zdaje się niedowierzającym a zarazem nieco niespokojnym. Zapytany o swoje zdanie, z odpowiedzią zwleka, podśpiewując półgłosem jakąś tęskną, stepową balladę, którą jeden Indyanin rozumieć się zdaje, i dopiero na wyraźny rozkaz Trafforda odzywa się niechętnie: „Tak, znam tę miejscowość... Nie! nie byłem tam nigdy, ale mi mówiono — o! już dawno temu. Jest tam dolina między górami *Kimasz*, tj. górami Potężnych Mężów. Bór tam głęboki i ciemny, a przezeń jest jedna tylko ścieżka, od dawna nieużywana. Na najwyższym szczycie jest wielka mogiła. Pod mogiłą śpią praojcowie wymarłego narodu. Tak, prawdę mówi Szangi, wymarli wszyscy i żadnego z nich niemasz żywego w Białej Dolinie — tam kędy są bawoły. Dolina zieleni się latem, a w zimie śniegu w niej mało: bawoły mogą łatwo dokopać się trawy. Indyanin mówił prawdę... może. Ale co do liczby bawołów, to się pokaże. Oczy czerwonoskórców widzą podwójnie".

Trafford spojrzał bystro w twarz Metysa:

— Zdajesz się dobrze znać tę miejscowość. Toż ma być stąd bardzo daleko na północ... Ale prawda! powiadasz, żeś tam nigdy nie był; któż ci powiedział?

A Piotr z lekka podniósł brwi, odpowiadając:

— Ja sam pamiętam dawne czasy, a moja matka opowiadała dużo, i długie pieśni przy ogniach obozowych śpiewała.

Tu pociągnął mocno dym papierosa, tak, że twarz jego na chwilę znikła pod sinym obłokiem, poczem rzekł:

— Być może, iż tam są bawoły.

Trafforda niecierpliwi ten ton zagadkowy, niecierpliwią również uroczyste przemowy, źle zastosowane, jak mniema, do faktu tak powszedniego, jak wycieczka myśliwska. Nazajutrz pomimo biernego oporu Piotra puszczają się w drogę, a Trafford niecierpliwi się dalej, widząc że Metys nie spuszcza z oka Indyanina; w pochodzie trzyma się stale tuż za nim i nie chce pić z tego co on naczynia.

Wkrótce jednak odczuwa, że ów Szangi i na nim samym dziwne wywiera wrażenie. Raz gdy owiany wiatrem pól dzikich puścił wodze tajonym w sercu wspomnieniom i w głos wymówił imię: Estera, zdumiewa się słysząc z ust Indyanina powtórzone to imię z dodatkiem nazwiska. Zapytany skąd je zna, Szangi odpowiada poważnie:

— Tyś sam je wyrzekł, mój bracie.

— Ależ ja tylko jeden wymówiłem wyraz, a tyś dodał drugi.

— Czyliż człowiek wie zawsze co mówi? Niektóre wyrazy są brzmieniem; inne zaś są jakoby tylko uczuciem. Pierwsze przez ucho dochodzą do mózgu, drugie bez pomocy dźwięku w duszę wnikają. Indyanin ma tyle wiedzy co i biały człowiek. Serce jego stoi otworem, więc drzewa do niego szepczą, umie czytać w trawie i wiatru powiewach, czerpie naukę ze śpiewu ptaka, z krakania sępów, z szczekania lisa po błoniu. Wkońcu też dochodzi do tego, iż rozumie serce człowieka gdy cierpi i w cierpieniu swojem woła o ratunek, chociażby do słabej niewiasty, gdy tęsknota pochyla go jakby stał nad grobem, pomimo iżby pragnął skroń podnieść wysoko. Wszak słowa moje są słuszne? Wszak są jasne i zrozumiałe jak myśli sennego dziecięcia, jak wyraz twarzy ślepego, jak oko zwierzęcia lub wyciągnięta nieśmiało ręka żebraka?

Just Trafford słucha w milczeniu, a tuż za nim odzywa się znów głos Piotra:

— Zawsze taż sama pieśń dziwna i smętna, o jakimś nieznanym „Czerwonym Łowcu“ i tajemniczych przygodach...

Od tej chwili dopiero wnikamy w prawdziwe jądro opowiadania; że zaś każdy szczegół w niem ma swój urok lub racyę bytu, zostawimy nadal wolny głos autorowi, opuszczając tylko dla braku miejsca nieliczne a obojętne ustępy:

Ostatnie ślady cywilizacyi już daleko poza nimi zostały, minęli nawet najwyżej na północ posunięte osady Indyan, to też krajobraz stawał się co dnia bardziej poważny i dziki. Nareszcie stanęli na miejscu, które Indyanin nazwał Górą Mglistą, i tu oddaliwszy się, na godzinę, powrócił z potrzebną do zaprzęgu sań parą psów Eskimosów, silnych, wytrwałych i żywych. Wszyscy teraz byli się otrząsnęli z poprzednich wrażeń, życie w nich grało w całej pełni, a z życiem i instynkta myśliwskie.

Pewnego wieczora ułożyli się na noc wśród rozległej świerkowej gęstwiny, ociężałej śniegiem i milczącej jak śmierć. Tu Piotra znów opuściła wesołość, zdał się niespokojnym, czujnym i nie brał udziału w gawędach wszczynanych przez Irlandczyka przy obozowem ognisku. Wyglądał jakoś tajemniczo, a Trafford tajemniczości nie lubił. W czasie jednej z chwil milczenia, które zapadało po niezbyt udanych próbach Mac Ganna, aby rozweselić towarzyszy, dał się słyszeć głuchy tentent, zrazu bardzo daleki, ale wzmagający się szybko, aż ziemia lekko zadrżała. Trafford spojrzał pytająco to na Piotra, to na Indyanina, ten zaś po chwili rzekł spokojnie:

— Ponad nami są góry Potężnych Mężów, u naszych stóp leży Biała Dolina. To co słyszymy, to stąpanie bawołów. Nadchodzi burza, więc idą w góry szukać schronienia.

Wiadomość o blizkości bawołów była niespodziewana i Mac Gann pierwszy ochłonął z radosnego wrażenia:

— Chyba oka nie zmrużę tej nocy, mając tuż pod bokiem te brodate bestye, czekające tylko na mój strzał.

A Piotr rzucił znacząco okiem z pod przymkniętych powiek i rzekł:

— Jest przecież w stepach stare przysłowie, iż nie należy

cieszyć się na chleb, póki nóż nie jest w bochenku. Twój nóż Szonie jeszcze od bochenka daleki.

Tentent ustał, a za to zrobił się ruch w szczytach drzew śniegiem okrytych i szum, jak gdyby wszystkie ptaki północy górą przelatywały. Las począł jęczeć, same pnie wielkich świerków drżały. A potem nastąpiła wielka burza, lecąca kędyś z północy, fala bożego tchnienia, pokazująca bezmyślnemu człowiekowi, iż nie on jest panem przyrody.

Myśliwi kupili się nad ogniskiem, a wkoło nich las trzeszczał i płomienie syczały pod lecącym w nie śniegiem. Nakoniec, jakby wszystkie żywioły rozszalały naraz, drzewa poczęły naokół się walić, jedno prosto ku ognisku runęło. Trafford chcąc się ochronić, usunął się szybko, nie widząc iż *drugie drzewo tuż na niego* się wali. Piotr poskoczył i pociągnął go w bok, ale sam padł zemdlony pod ciosem wystającej gałęzi.

Odtąd burza jakoby zadowolona dokonanem zniszczeniem, poczęła ustępować. Gdy Piotr odzyskał przytomność, Trafford uścisnął mu rękę, mówiąc:

— Masz bystre oko, przyjacielu, szybką myśl i tęgie ramię.

— O! to było jak przy kartach—odrzekł lekko Joli Pierre.— Dobry gracz powinien wspomagać wspólnika.

Indyanin przez ten czas zachował był stoiczny spokój, Mac Gann zaś, duszą i ciałem Traffordowi oddany, nie taił głębokiego wzruszenia.

Było już dobrze po północy, gdy się na nowo ułożyli na nocleg wśród szczątków zniszczonego lasu. Jeden Indyanin usnął, tamci byli rozbudzeni i niespokojni. Wstali ze świtem i przed wschodem słońca ruszyli w drogę pełni myśliwskiego zapału.

Wkrótce wyjechali na płaskowzwyż. Dokoła nich piętrzyły się góry Potężnych Mężów, ponure a wyniosłe; u ich stóp szerzyła się dolina świeżo lekkim przyprószona śniegiem, z pod którego miejscami widniała trawa. Pusty a szeroki był to świat, zdający się w ciszy oczekiwać mieszkańców. Atoli niebawem mieszkańce się zjawili, gdyż oto z głębokiego parowu wyszło zwolna ogromne stado bawołów, potrząsając grzywami i podnosząc z pod kopyt obłoki rozpylonego śniegu.

Oczy Trafforda i Mac Ganna zapłonęły żywo; natomiast na twarzy Piotra wyryło się zmieszanie, nawet, o dziwo! przeżegnał się. W tej chwili Trafford ujrzał mały słup dymu, wznoszący się z przeciwległej góry.

— Ktoś tam mieszka? — zapytał.

— Mieszkanie to umarłego, lecz jest tam również i życie.

— Biały czy Indyanin?

Ale nie otrzymał odpowiedzi. Natomiast Szangi wskazał w dół na pasące się bawoły. Trafford zapomniał o dymie, zapomniał o wszystkiem, okrom tej wspaniałej zdobyczy. Szon Mac Gann również był podniecony. Zaklął wesoło swojem irlandzkiem narzeczem i pierwszy cwałem spuścił się ku dolinie. Za nim ruszyli wszyscy (tj. Trafford mniemał, że wszyscy), przerzucając na przód siodeł strzelby, aby je mieć gotowe do strzału. Joli Pierre pędził także, jednak bez tejże samej co tamci ochoty, i uśmiechał się zagadkowo, gdyż spostrzegł, że Indyanin zniknął gdy zjeżdżali w dolinę, ale jak zniknął i kędy — nie wiedział. Po głowie jego snuły się baśnie, słyszane w dzieciństwie przy ogniu indyjskich obozów. Jechali co koń wyskoczy, a jednak zdawali się być ciągle w równej odległości od uciekającego stada, spieszącego wśród mgły, stworzonej śnieżną kurzawą i gęstym oparem oddechów. Jechali, jechali wciąż, a dojechać stada nie mogli...

Piotr teraz wysunął się naprzód z rodzajem wściekłości w licach, i zdało się, że już, już stada doścignie. Lecz w chwili gdy bawoły przebiegały wzdłuż zwartej jak mur gęstwiny, nagle z pomiędzy świerków ukazał się jeździec, od stóp do głów czerwono odziany. Za jego zbliżeniem, bawoły jęły biedz prędzej i jeszcze prędzej, aż znikły na zakręcie góry, a gnający myśliwi wstrzymali zdyszane konie i popatrzeli na siebie w zdumieniu.

— Dla Boga, co to znaczy? — zapytał Trafford.

— Złudzenie oczu albo dyabelskie sztuki — dodał Mac Gann.

— Za pomocą Bożą może się dowiemy — rzekł Piotr. — Ale jeśli to sprawa czartowska... źle z nami.

— Kto był ten czerwono ubrany człowiek co wyjechał z lasu? — zapytał znów Trafford Metysa.

— O! to dziwna historya! Jest stara baśń między Indyanami. Moja matka opowiadała mi dużo o tych górach i śpiewała dużo, a i ja wam o tem śpiewałem. Podanie jest następujące: Wśród szczytów północy, których ani biały człowiek, ani żaden żywy dziś Indyanin nie widział, śpią przodkowie czerwonego plemienia, ale nastanie dzień, w którym się zbudzą i opanują napowrót cały kraj. Bawoły chowają się dla nich, aby kiedy ten czas nadejdzie, mieli obfitość zwierzyny i aby wszystko było jak ongi, gdy stada roiły się jak chmury na niebie. A było też przeznaczonem, iż jeden z tych potężnych mężów, taki, który nigdy nie uległ w boju, ani nie popełnił złego czynu i był największym ze wszystkich wodzów, będzie żył dalej i nie umrze, ale będzie stróżował jako lew i strzegł spokoju Białej Doliny, aż bracia jego się zbudzą i do swej własności powrócą. Jego to zowią Czerwonym Łowcem, po dziś dzień Indyanie do niego się modlą, skoro zabłądzą w stepie lub gdy śmierć zasłonę ich wigwamu odchyli...

— Powtórz pieśń, którą śpiewałeś, Piotrze — rzekł Trafford.

Joli Pierre począł śpiewać, ale wkrótce Anglik obejrzał się i przerwał, pytając:

— Gdzie Szangi?

Mac Gann ze zdumieniem potrząsł głową na znak, że nie wie. Piotr jął tłumaczyć:

— Już tam, gdyśmy zjeżdżali, nie było go... znikł... *Mon Dieu!*... patrzcie!

Na stoku góry stał Czerwony Łowiec, z naciągniętym łukiem. Z łuku wypadła strzała i świszcząc nad ich głowami, poleciała w stronę, gdzie się dym wznosił wśród świerków, poczem tajemnicza postać zniknęła.

Mac Gann zadrżał i skurczył się.

— Tu duchy mieszkają, — rzekł — a ja tego nie lubię. Ale za tym Czerwonym Łowcem czy dyabłem pójdę i będę gnał do upadłego, jeśli mój Pan rozkaże. Ludzi z ciała i kości się nie boję, a co do tamtych... i tak prędzej czy później spotkać się z nimi musimy.

Ale Trafford rzekł:

— Nie! na razie damy pokój pogoni. Albo nam się coś uroiło, albo byliśmy tu przywiedzeni gwoli czego innego jak polowanie na bawoły. Nasamprzód musimy pójść tam, skąd dym wychodzi i gdzie padła strzała. A potem, o ile zdołam rozumieć zagadkę, powrócimy, którędyśmy przyszli. W tem wszystkiem dostrzegam pewne styczne punkta.

Przejechali doliną niewielki gaj świerkowy i stanęli przed rodzajem chaty, skleconej z nieociosanych bierwion, z okienkami zaciągniętemi błoną. Trafford zastukał, ale nie było odpowiedzi. Otworzył wrota i wszedł. Ujrzał postać, z trudem powstającą z posłania, postać kobiety młodej i pięknej, ale wychudłej i bladej. Była jakby zesztywniała i ubezwładniona cierpieniem; odezwała się smutno:

— Już za późno. Ani wy, ani żaden człowiek mu pomódz nie może. Już umarł... umarł...

Na pierwszy dźwięk jej głosu, Trafford się zatrząsł. Zbliżył się równie blady jak ona, z twarzą pełną zdumienia i litości:

— Estero! — wyrzekł — Estero!

Nie będziemy za autorem opisywać szczegółów smutnego a niespodzianego spotkania dawnych narzeczonych. Oczywiście wiadomość o utonięciu Estery i jej męża była mylną. Ocaleni z fal wraz z jednym z ludzi okrętowych dobili się do brzegu i rozpoczęli ciężką podróż w głąb dzikiego, pustego kraju. Pierwszy ze znużenia umarł majtek, oni zaś, doszedłszy do gór Potężnych Mężów, zatrzymali się. Kraj tu nie był złowrogi; ani zbyt mroźny w zimie, ani zbytnio spalony w lecie. Ale twarzy ludzkiej nie widzieli żadnej, wszystko było ponure, puste i głuche. Spróbowali iść to na wschód, to na południe, ale nie mogli przedrzeć się przez góry; na północy zaś i zachodzie nie mieli się czego spodziewać. Bawoły blizko nich przechodziły w dolinie, ale nie mieli sposobu na nie polować, więc żyli owocami leśnemi do chwili, w której mąż Estery zachorzał. Ona pielęgnowała go wiernie, ale napróżno, a gdy już nie mogła iść szukać pożywienia, ktoś, jakiś niewidzialny mieszkaniec gór, przynosił przed ich próg mięso bawole i ptactwo dzikie i wodę ze źródła. Estera widziała mogiłę na szczycie góry i groby potężnych mężów;

wspomniała czasy blizkie stworzenia, gdzie i Bóg zdał się bliższym ludzi niż teraz: pomyślała, że nad nią czuwa jakiś duch opiekuńczy, chwilami brał ją strach, lecz dziękowała Bogu. Ale mąż jej słabnął i czuł, że skończyć musi, i jednej nocy, gdy ból gwałtownie nim szarpał, począł się modlić o śmierć lub o pomoc. Estera była przy nim, i podczas gdy razem płakali, w progu stanął mąż cały w czerwień odziany i kazał im opowiedzieć dzieje ich przeszłości dokładnie, szczerze, jak je kiedyś przed sądem bożym wyznać będą musieli; skoro zaś opowieści wysłuchał, przyrzekł, że Czerwony Łowiec przywiedzie im pomoc, pomoc z krainy południa, ażeby jęki ich przestały zakłócać spokój narodu śpiącego w mogile. Odszedł, a z jego odejściem wybuchła burza podobna tej, jaka szalała wczoraj, gdy mąż Estery umierał a myśliwi obozowali wśród lasu.

Estera przestała mówić, a Trafford patrząc w jej oczy, poznał, że przecierpiała wiele, że zgłębiła całą nędzę mężowskiego serca. Odwrócił się i wszedł do izby, gdzie leżał umarły, i tu wobec śmierci zapomniał wszelkiej urazy, zrozumiał bowiem, że w chwili strasznego przejścia, człowiek rachuje się w całej pełni z czynami spełnionemi po drodze. Zrozumiał, iż ten biedak w ostatnich godzinach życia, w czasie ciężkiej wędrówki po głuchych przestrzeniach, dzielących nasz świat od wieczności, żałował za swoje grzechy, gdyż one i one jedynie towarzyszyły mu wiernie, podczas gdy dobre uczynki uleciały naprzód, aby, zanim nadejdzie, stanąć przed sądem i miłosierdzie dla niego uprosić...

Pochowali go na stoku wzgórza, daleko od wielkiej mogiły, pod którą potężni mężowie czekają na hasło, aby wstać i posiąść ziemie północy. Pochowali go w nocy, gdy księżyc był w pełni, złożyli na posłaniu z wonnych świerkowych gałęzi, pod osłoną ciszy i cienia, a choć tym, którzy tu przed nim legli, obcym jest plemieniem i wiarą, przecież, któż wie? może pomiędzy nimi spoczywa spokojnie.

Gdy Trafford usiłował wypytać Esterę o jej życiu na Białej Dolinie, źrenice jej rozszerzyły się trwogą:

— O! tu niemasz nic, nic rzeczywistego — odrzekła —

okrom cierpienia; może to wszystko sen, ale ten sen mnie zmienił, o! jak mnie zmienił! Słyszeć stąpanie przebiegających stad, nie widzieć nikogo prócz niego... Czerwonego Łowca; słuchać głosów nawołujących po nocy!... Cicho! Ot, czyż nie słyszycie ich? Już północ... słuchajcie!

Trafford słuchał; Piotr i Szon Mac Gann patrzeli po sobie z niepokojem, a palce Szona poczęły instynktownie szukać paciorków różańca.

W istocie do uszu ich dochodziło z oddali brzmienie, jakoby z *wielu głosów złożone, nizkie, potężne* a dźwięczne:

— Czy świta?

— Jeszcze noc! — brzmiała wyraźnie odpowiedź, jednym, jasnym wypowiedziana głosem, a wtedy ciszej już jęły przelatywać wpośród gór słowa:

— Śpimy! śpimy! — i echo doliny powtórzyło raz jeszcze: śpimy!

Było to zaiste dziwne i nieco przestraszające, a jednak gdy noc minęła, w myśliwych obudziła się znów żyłka łowiecka. Usiłowali podejść pasące się bawoły, ale huk ich strzałów próżno rozległ się w dolinie; żadna sztuka nie padła. I choć pędzili szybko, zawsze taż sama przestrzeń śnieżna dzieliła ich od stada. Dzień po dniu gnali daremnie, a co noc słyszeli głuche nawoływania po górach. A żądza ich stała się tak gorącą, że zapominali o jadle, o zwykłej rozmowie i siły ich poczęły opadać. Aż dnia jednego Mac Gann, podczas szalonej gonitwy, jął z cicha szeptać „Zdrowaś Marya“, i wtedy, o dziwo! przestrzeń między nim a stadem zmniejszyła się znacznie, lecz tu znów z poza skały pojawił się Czerwony Łowiec i bawoły oddaliły się pędem. Irlandczyk zrozumiał, że w tej modlitwie leży zwycięstwo, nauczył jej Trafforda i z świętemi słowami na ustach, puścili się w cwał. Coraz bliżej, bliżej i bliżej! Choć Czerwony Łowiec gnał przed sobą bawoły, już Trafford dojechał je na strzał, wsparł strzelbę na ramieniu i wymierzył... Lecz w tejże chwili biały tuman śniegu podniósł się między nim a zwierzyną, zaprószając oczy myśliwych. A gdy tuman opadł, bawołów już nie było, tylko płonące strzały, przez niewidzialnego łucznika pusz-

czane, przelatywały nad ich głowami, ku stronie południa. Pojęli znak i posłuszni wrócili do chaty, gdzie Estera czekała ich trwożna...

Tego dnia, gdy o zmroku milczący siedzieli w chacie, drzwi jej rozwarły się i Czerwony Łowiec stanął między nimi.

— Jest tu pożywienie u progu, — rzekł — pożywienie dla tych, co jutro rano w wielką podróż ku południowi wyruszą. Biada ludziom, którzy u stóp tęczy szukają złota, za błędnym ogniem biegną po nocy lub gonią bawoły na Białej Dolinie. Mądrzy ci, co nie wyzywają gniewu bogów i przed grożącą burzą uchodzą. Jest ścieżka w borach dla obcych ludzi, ścieżka którą przybyli. Gdy słońce znów wejrzy na ziemię, droga stanie dla was otworem i doprowadzi bezpiecznie do końca podróży. Byliście szaleni — teraz jesteście roztropni. Czas wam już odejść, odejść bezpowrotnie, abyśmy mieli spokój a wy bezpieczeństwo. A gdy nad światem zaświta znowu wielka wiosna jego zarania, wtedy spotkamy się może.

Odwrócił się i wyszedł, a Trafford zawołał za nim:

— Szangi! Szangi!

Wybiegli, szukając go, ale daremnie. Indyanin zniknął bez śladu. Na dolinie, w mroźnym blasku księżyca, stado bawołów poruszało się zwolna, ciężki ich oddech wyraźnie dochodził do uszu, a para z ich nozdrzów kłębiła się jak piana na skalistem morskiem wybrzeżu.

Przed wschodem słońca zjechali na dolinę. Dokoła było cicho, z nocy nie pozostało znaku życia, ani śladu kopyta na śniegu, ani jednej zdeptanej trawy. A gdy dotarli na wierzch płaskowzwyża i spojrzeli w tył poza siebie, wydało im się, iż wszystko co przeżyli, było tylko snem. Ale Estera jechała wraz z nimi, a w twarzy jej wyryta była groza nadziemskich widziadeł.

— O Juście! — rzekła — nie wiem, czy to co czuję jest życie czy śmierć, a jednak to musi być śmierć, bo po śmierci jest przebaczenie dla tych, którzy czynią pokutę!...

Na tem, jeśli chciał czytelnika zostawić pod pewnem, niezwykłem wrażeniem, byłby autor powinien zakończyć swoją opowieść, nie wnikając dalej w przyszłość Trafforda i Estery.

Ciągnie ją wprawdzie tylko przez jedną stronę, ale i to zanadto. Wogóle ustępy, gdzie na olbrzymiem tle północnej natury wychodzą na jaw szczegóły powszedniego europejskiego życia, a zwłaszcza epizody miłosne, są regularnie słabsze od tych, gdzie spotykamy opisy mroźnego nieba, dzikich gór i stepów i ich nawpół cywilizowanych mieszkańców. Gilbert Parker, podobnie jak aktor przywykły do ról dramatycznych, nie umie się poruszać w komedyi salonowej. Nie wszystkie obrazki są równie dziwne, lecz wszystkie niemal zarówno dzikie i oryginalne, nie zawsze zdatne dla dziewczęcych uszu... Ale bo też i życie na tych kresach świata jeszcze się nie ułożyło w należyte formy, a rzadka ludność europejskiej rasy składa się w znacznej części z szumowin starego świata. Człowiek dziczeje prędko wśród ciężkich warunków życia, wszystkie instynkta wyostrzają się w walce o byt, a złe niestety więcej na jaw wychodzą od dobrych. Pan Bóg jeden widzi dobrą intencyę tam, gdzie ludzie dostrzegą tylko niezgrabny czyn; zła intencya, przeciwnie, choćby się do czasu umiała hipokryzyą zasłonić, zawsze prędzej czy później na wierzch wypłynie.

(Dok. nast.).

*T. W.*

# KOLEGIUM POLSKIE W RZYMIE.

III.

„Papież się boi kolegium polskiego — mówił kardynał Fornari. — I byłoby się czego bać — dodał — gdyby komu innemu jak wam było powierzone“. Tak więc i najżyczliwsi naszej sprawie mieli poważne obawy przed instytucyą nawet tak czysto kościelną, jaką jest kolegium, wiedząc jak do wszystkiego my zaraz politykę mieszamy. Kardynał w Zmartwychwstańcach widział rękojmię, że kolegium nie weszłoby na niewłaściwe tory. Ale czy i w Rzymie tak o Zmartwychwstańcach myślano? Mógł się sam kardynał Fornari przekonać, że oni po roku 1848 inaczej tam byli zapisani, skoro ich musiał zaraz po przybyciu do wiecznego miasta, przed kardynałem wikarym brać w obronę. Aby kolegium polskie urzędowo stanęło, trzeba było dwóch warunków: najprzód, żeby się przekonano w Rzymie o potrzebie niezbędnej takiego kolegium, bo można było przewidzieć z jego powodu i dyplomatyczne trudności; powtóre, żeby nietylko w papieżu, ale i w jego otoczeniu było to przeświadczenie, że można to kolegium polskie kapłanom powierzyć. Powstanie 1863 r., udział jaki w niem miało duchowieństwo, dowiodły konieczności wychowania księży w duchu czysto kościelnym, a List otwarty do Braci księży grzesznie spiskujących i do Braci szlachty niemądrze umiarkowanych ks. Kajsiewicza przekonał Rzym, że są między Polakami jeszcze zdrowo i po bożemu na rzeczy patrzący. Aby to lepiej wystawić, chcemy tu

najprzód podać ze współczesnych listów i zapisków, jakie mamy pod ręką, przebieg sprawy naszej narodowo-kościelnej w Rzymie przed wybuchem powstania, a następnie opowiemy historyę Listu otwartego ks. Kajsiewicza.

Smutne to zapewne dotykać wypadków z 1863 r. Kiedy Kalinka przygotowywał do druku swoje dzieło o Stanisławie Auguście, pisał ks. Kajsiewicz do ks. Koźmiana: „Co ty o tem myślisz? Ciężko się obrazi wiele rodzin. Żeby sobie leżało *ad pacatiora tempora* i wtenczas na świat wyszło, niebym przeciwko temu nie miał, ale obecnie byłoby to daniem czerwonym noża na szlachtę“ (20 marca 1868). Ks. Semenenko był innego zdania. Pisał ze Lwowa w tym samym czasie do ks. Kajsiewicza: „Kalinka ma nadzwyczaj ważne dzieło do ogłoszenia, tj. Ostatnie chwile Poniatowskiego. Podobno Z. doń pisał, żeby tego nie wydawał. Co do mnie, przeciwnie sądzę: trzeba koniecznie wydać. I dziwna! Kiedy mię się pytał o radę a ja mu dałem zatwierdzającą, wnet chciałem mu dać racyę, a to tę: że my ciągle siebie usprawiedliwiamy, a nikt z nas nie myśli, aby Boga usprawiedliwić w tem co nas spotkało z Jego strony. Lecz nim się z tą racyą otworzyłem, on mi powiada, że O. Guéranger dał mu taką samą radę jak ja, i to po namyśle; a za racyę dał: „Trzeba raz przecież usprawiedliwić Opatrzność i sprawiedliwość Bożą“ *(Il faut une fois venger la Providence et la justice de Dieu).* Wtedy rzekłem: Właśnie taką samą racyę i ja ci dać chciałem“. „Dzieło to trzeba koniecznie wydać, — kończy ks. Semenenko — jest to interes boży i akt prawdziwej pokuty, któregośmy jeszcze dotąd nie zrobili“. To samo powiedzieć należy i o historyi roku 1863. Dziś chwała Bogu już nie raz jeden zrobiliśmy taki akt pokuty; ale im więcej ich, tem pewniejsza poprawa, i co za nią idzie, wybawienie.

Wypadki zaszłe w Warszawie 1861 roku wielkie zrobiły w całej Europie wrażenie; naturalnie poruszyły tem bardziej księży Zmartwychwstańców. Ci nie bez pewnej obawy od samego początku na nie spoglądali. Nawet ks. Jełowicki pisze 31 marca 1861 r.: „Ojciec św. sam ofiarował Mszę świętą za nowych męczenników polskich, poległych w Warszawie, a Polska jeszcze

się nie zdobyła na taką nawet miłość ku Ojcu św., Namiestnikowi Chrystusowemu, jaką okazała ku Żydom, co ukrzyżowali Chrystusa. Modlił się za nich Zbawiciel na krzyżu, więc i nam godzi się być dla nich z miłosierdziem, i należy. Ale oziębłość dla Ojca św. jeśli się nie przemieni w gorącość miłości, na nic będzie wszystko, a raczej nic z tego nie będzie. Oby ci, na których skinienie cały naród rękę podnosi i spuszcza, skinęli na naród, Rzym mu pokazując, i z gronem Piotrowem od całego narodu, dla całego narodu u Piotrowego następcy o boskie błogosławieństwo prosili". I ks. Kajsiewicz nie bardzo wesoło patrzył się na ówczesne ruchy w Warszawie. Pisze z Paryża (11 kwietnia 1861): „Gdybym się począł w duchu, napisałbym też upomnienie braterskie do narodu polskiego, wytykając treściwie grzechy i wady panujące, które wymagają rychłej i szczerej pokuty i poprawy. Wypadki są, ale szczególniej będą takie, że niejeden zatyły dziś w sadle, spuści z tonu i na dobre wejdzie w siebie, a do Boga się obróci... Posyłam do druku wezwanie na nabożeństwo żałobne na sobotę, za świeżych pomordowanych w Warszawie, choć książę mię zaprosił na 2-gą dla pomówienia o tem, aleby już czasu nie było do przygotowania i rozesłania zaprosin. Zresztą gdy wszystkich niepodobna zadowolnić, lepiej się nikogo nie radzić i samemu robić. Będę jednak u księcia, by mu donieść *le fait accompli.* Mowy mieć nie myślę, jedno krótką allokucyą po Ewangelii od ołtarza".

W Rzymie nabożeństwo za poległych odbyło się u św. Klaudyusza poważnie. „Obecni byli w żałobie, — pisze ks. Semenenko w swym dzienniku — milczenie uroczyste. Wielkie wrażenie zostawiła prosta ta ceremonia, samem milczeniem wymowna i uroczystą żałobą poważna". „Wypadki ostatnie — pisze ks. Kajsiewicz do ks. Semenenki 23 kwietnia 1861 — mogłeś ocenić już z *Monde* i *Czasu.* Jestci klika Mierosławczyków i Towiańszczyków, ale lud przewyborny, z wiary modli się i ginie... Wielu dziś przyznaje, że jedyny człowiek możebny w takiem położeniu jest Wielopolski. Oj biedny on, ale w szczegółach, przechodnio będzie mógł to i owo dobrego zrobić. Ja sądzę, że jego rolą zdusić Mierosławczyków". Ale już w czerwcu pisze do ks. Jełowickiego:

„Za bezwzględnie ruch warszawski przypisujesz duchowi bożemu, ile że po przejściu dobrej pierwszej chwili złe więcej się odzywa... Jak gdyby w kraju wszystko było złoto. Och! co błota, co błota! Ani się postrzegamy, jak apoteoza Polski, która nas zrazu tak raziła w Mickiewiczu, powoli i w nas przeszła... Niemasz oględności w mówieniu o ruchu, który niezawodnie *dajmondemos* wywołał, który Bóg miłosierny skierował, ale w którym niewiadomo ostatecznie co przemoże; i jeżeli rewolucya nas weźmie w opiekę czynną, niezawodnie złe przeważy“ — a w sierpniu: „W ruchu polskim dwa punkta mię gryzą: burmistrzowanie świeckich w kościele, i ograniczenie się do nabożeństwa za matkę ojczyznę, a potem bratanie się z Żydy i heretyki. Boże daj, by się fermentacya udała, bo inaczej straszne złe i na długo“.

Tymczasem zaczyna się akcya polska w Rzymie. Pisze Kalinka z Paryża 1 czerwca 1861 r. do ks. Kajsiewicza: „Niepokój, jakiego zrazu nabawiły nas wieści o szturmach przypuszczanych do Watykanu przez Moskwę, skłoniły księcia, że raz jeszcze postanowił odezwać się do Rzymu, pisząc list do kardynała Antonellego. Powód nastręczyły dokumenta dość ważne, które przez Stolicę Apostolską może nie są jeszcze znane. Są to protokóły komitetu rosyjskiego, ustanowionego w Petersburgu w r. 1855 do spraw Kościoła katolickiego. Pierwsza ich część, w której jest mowa o wykonaniu konkordatu, ogłoszona w dziele Lescoeura; druga, którą obecnie wyprawiamy, rozbiera sposoby załatwienia reklamacyi Stolicy Apostolskiej, a zwłaszcza kardynała Antonellego... Przesyłając te papiery, książę ponawia swoje prośby do Ojca św. przed dwoma tygodniami zaniesione. Już tu nie o to tylko chodzi, aby odepchnąć żądania moskiewskie, ale żeby duchowieństwu i narodowi polskiemu dać zachętę, na jakie w istocie zasługują. To co książę mówi o podniesieniu ducha religijnego w narodzie, jest świętą prawdą... W Paryżu, oprócz pewnego wpływu na opinię publiczną, nic więcej dla kraju zdobyć w tej chwili nie możemy. W Londynie Jenerał i książę Władysław usilnie pracują, i jest nadzieja, a nawet pewność, poważniejszego upomnienia się o prawa Polski w Izbie lordów. Mocyą wniesie niebawem stary Lyndhurst... Książę ma nadzieję, że

Wielebny Ojciec w swej odpowiedzi raczysz nam dać wskazówkę, jak te dwa zgłoszenia się księcia zostały w Rzymie przyjęte i coby jeszcze z naszej strony zrobić wypadało, aby dwór rzymski nakłonić do tyle pożądanego wystąpienia". — „Papież zawsze jak najlepiej usposobiony dla nas — pisze ks. Semenenko do ks. Koźmiana (8 czerwca). — Zmieniły się czasy. Co za różnica od 1832! Szczegółów pisać nie mogę, ale w swoim czasie będą wiadome". Snać te szczegóły dochodziły do Paryża, bo Kalinka znowu pisze (12 czerwca): „Od wielu osób dochodzą nas zapewnienia z Rzymu o nader groźnej odpowiedzi, jaką Kisielew miał otrzymać od papieża, nie śmiemy jednak całkiem zaufać tak pożądanym pogłoskom. Byłoby jednak rzeczą bardzo ważną, aby mieć dokładny, ile podobna, opis audyencyi Kisielewa i dosłowną odpowiedź papieża, nie tyle aby je ogłosić, jak raczej aby je przesłać do Warszawy i niemi umysły wzmocnić a tem samem uspokoić i wybuchom niecierpliwości zapobiedz".

Tymczasem i z innej strony czyniono starania w Rzymie, aby papieża od kroków za Polską powstrzymać. W miesiącu lipcu przybył do Rzymu ks. Łubieński. O nim ks. Semenenko pisze: „Był kilka razy u kardynała Antonellego (raz ze mną), był dwa razy u papieża. Dowiedziałem się potem, że Ojcu św. wykładał, iż Polacy bardzo się zbliżają do Moskali i są na to zrodzeni, aby się z sobą zgodzili. Jak to rzeczy najniepodobniejsze można jednak widzieć, kiedy kto chce tego. Ojciec św. miał mu na to odpowiedzieć: Dziwną rzecz mi mówisz; pierwszy raz to słyszę. I dodał, biorąc książkę ks. Lescoeur, którą miał na stoliku: Patrz, tu jest cała książka, która od początku do końca co innego wykazuje. W ogólności ks. Konstanty Łubieński pokazał się istotnym zwolennikiem tego stronnictwa, którego najznakomitszą osobistością jest margrabia Wielopolski, tak nieszczęśliwie rządzący dziś w Polsce. Ks. Konstanty (Łubieński) na Via Paolina przed Siostrami dosyć szczerze się wynurzał. Tam wyraźnie mówił, że Polska powinna na zawsze wyrzec się myśli o swojem niepodległem istnieniu, że wyrok Opatrzności jest aby była z Rosyą" i t. d. (Dziennik). O ks. Łubieńskim pisze ks. Kajsiewicz (21 sierpnia): „Ks. Łubieńskiego trudno będzie przerobić. Nie sądzę, by wiele złego

narobił, boć tu wysłannik Gagaryna, baron Haxthausen, nie znalazł miru. Dla bezpieczeństwa jednak napisałem już dwie noty dla sekretarza spraw kościelnych nadzwyczajnych, przyjaciela naszej sprawy, a trzecią w tych dniach wygotuję. Módlmy się".

Co to była za misya Haxthausena, dowiadujemy się z dziennika ks. Semenenki jeszcze z 1858 r. z miesiąca maja: „Około tego czasu był tu Haxthausen, z którym poznaliśmy się. Kiedym był ostatni raz u kardynała Antonellego, był tam i on i miał długą audyencyę. Po francusku dobrze nie umie, więc mu służył za tłumacza baron de Schroeter, Meklemburczyk, nawrócony z protestanta; dawniej mieszkał Schroeter u Łubieńskich, i to dobra znajomość. Stracił co miał na kolonizacyę katolików w Ameryce. Dziś jest kawalerem maltańskim. Haxthausen jest znajomy autor dzieła o Rosyi, i drugiego o Kaukazie. Teraz przetłumaczył na niemieckie dzieło Gagaryna: *La Russie sera-t-elle catholique?* O. Gagaryn, Jezuita, jest sprawcą ruchu pewnego między katolikami, na korzyść Rosyi, który, mimo woli autora zapewne, jest więcej polityczny, niż religijny. Przeciw temu występował *Przegląd Poznański*, którego artykuły na początku przeszłego roku przetłumaczone na francuskie i ogłoszone w *Univers* zrobiły mocne wrażenie w całym świecie katolickim, a i tu w Rzymie w najwyższych sferach. Haxthausen dał się pociągnąć przez O. Gagaryna i wszedł do tego ruchu, do którego zresztą już go samo jego uczucie ciągnęło. Tłumaczenie niemieckie książeczki Gagaryna opatrzył przedmową i dodatkami dosyć przyzwoitemi, ale ostatecznie w tymże kierunku przemawiającemi. Tu w Rzymie był nierozdzielnym towarzyszem księżnej Heleny rosyjskiej-wirtemberskiej. Antonellemu wystawiał i wmawiał politykę przychylniejszą dla Rosyi, dając niesłychane nadzieje z takiego ku Rosyi zachowania się. Opowiadał mi długo baron Schroeter, jak Antonelli to doskonale po kościelnemu zrozumiał i odrzucił. Mówił, prawi, z taką dokładnością, jasnością, rozumieniem rzeczy, a przytem z duchem prawdziwie rzymskim, że mi sprawił najwyższą przyjemność, i raz nie mogłem nie zawołać: Och! jaką mi to sprawia przyjemność, że słyszę Waszą Eminencyę mówiącego tak po kapłańsku i po rzymsku! *(Oh! comme cela me fait du bien d'entendre*

*parler Votre Eminence tellement en prêtre et en romain!).* Antonellego odpowiedzi najbardziej na tem się opierały, że cały ten system Haxthausena, który zresztą jest systematem Gagaryna, jest świecki, ludzki, a nie jest boży, nie prowadzi do nawrócenia dusz. A drugi punkt, że nie można pomijać Kościoła polskiego i w ogólności Polaków; że trzeba brać rzeczy jak są, że w tem, to jest w Polsce i w Polakach, leży cała sprawa Kościoła w tamtych stronach i cała jego siła".

Jeżeli kardynał Antonelli nie ulegał tym wpływom, tem mniej Pius IX. dał się skłonić do jakiegoś wystąpienia niemiłego Polakom. „Donieście p. Kalince — pisze ks. Kajsiewicz 18 czerwca. — ...Co pewna i co powiedzieć mogę, że p. Kisielew formalnie żądał nagany ruchu polskiego i że mu najkategoryczniej odmówiono"; a w tydzień potem: „Kalince powiedzcie, że z listu warszawskiego, za radą niepodejrzaną księżnej Odeschalchi, nie zrobię użytku; bo był pisany dla Paryża, a nie dla Rzymu. Są łatki Jezuitom przypięte, a półpochwały Machiawella, którym się tu brzydzą. Kardynał list księcia grzecznie przyjął, przebąknął nawet, że odpisze. Ogólnie w Watykanie znalazłem atmosferę polską. Czy car listownie się dobijał do papieża, nie wiem; ale Kisielew kilka razy jeździł i posłuchania nie otrzymał, a kardynał go skonfundował przedstawieniem owej konsultacyi petersburskiej (na której i Kisielew podpisany), jak papieża oszukiwać; a na żądanie nagany Polakom otrzymał odmowę. Bądźcie cierpliwi, rychło musi się coś pokazać".

Tymczasem na nieszczęście ruch warszawski coraz bardziej nabierał cech antykatolickich. Ks. Zygmunt Golian pisze do ks. Jełowickiego z Krakowa (20 września): „Nie wiem, jak tam Ojcowie trzymacie o naszych demonstracyach religijnych. Co do mnie, z wielką na nie spoglądam obawą i widzę w nich coś daleko smutniejszego niż samą dawną niewiarę. Ciągle mi brzmi w uszach to straszne słowo: *Spes hypocritae peribit.* Dałby Bóg, abym się mylił, ale ten towianizm, śpiewający i odprawiający pobożne pielgrzymki, nowej tylko chłosty spodziewać się każe. Francuskie dzienniki katolickie gwałtem chcą wierzyć, iż ruch dzisiejszy jest tylko patryotyczny i głęboko religijny. Tak

jest, gwałtem, bo trzeba doprawdy zasłaniać sobie oczy, aby nie widzieć, co się w tem święci. *Le Monde* w n-rze z 20 t. m. podnosi nawet taki akt, jak ów bunt księży przeciwko biskupowi w imię Ducha Przenajświętszego. Duchowieństwo nasze jest pod presyą świeckich, którzy doskonale dali poznać swe usposobienia religijne w sprawie Ojca św. Jeżeli się mylę, lub przesadzam, niech mnie Ojciec łaskawy skarci. Byłbym bardzo szczęśliwy, gdybym się mógł zbyć obecnego nader smutnego przekonania".

Przerażony ze swej strony ks. Kaczanowski pisze z Paryża 10 września: „Przybył tu z Warszawy wielkiego znaczenia emisaryusz z pełnomocnictwem założenia szkoły wojskowej i zrobienia legionu polskiego. Proszę się nie śmiać. Istotnie tak jest i ma na to fundusze. Że się ze mną nieco znał dawniej, najpierwszą do mnie zrobił wizytę, lecz niestety, mocno mnie zmartwił. Wierzą tam oni w Garybaldego i Mierosławskiego, i widocznie po kościołach burmistrzują. Rodzaj karbonaryzmu jest zawiązany i urządzony na wielką skalę. Jak się zdaje, religii za środek używają. Zimny pot mnie oblał". W Rzymie ks. Kajsiewicz robił co mógł, aby o ile możności zasłaniać Polaków przed papieżem, ale się już przechyla do tego samego ocenienia wypadków warszawskich, co ks. Golian. Pisze do ks. Jełowickiego 14 października: „Jużem trzy długie noty podał (jutro czwartą piszę), podnosząc co pięknego i chrześcijańskiego w ruchu polskim, tłumacząc czego usprawiedliwić niepodobna... Dziwię się, jak cię nie uderza smród demokratyczno-towiański w odezwach, symbolach etc. tajnego klubu. Jak cię nie uderza tendencya do zastąpienia świąt kościelnych świętami wyłącznie narodowemi... Jak cię nie uderza, że na krzyżach pamiątkowych, które stawiają po cmentarzach, nigdzie niema wizerunku Zbawiciela, tylko korona cierniowa, symbol męczeństwa narodu polskiego (który w ich rozumieniu jest prawdziwym, żywym Chrystusem). A właśnie Towiańszczycy nie lubią wizerunku Ukrzyżowanego, a frazesa ich całe spotykam w odezwach. Że P. Bóg może swoje przeprowadzić, to co innego, i ufam, że przeprowadzi, ale że menery prowadzą do religii narodowo-humanitarnej, posługując się religijnością nieoświeconą a namiętnym patryotyzmem

Polaków, to mi bardzo jasno. Z niewszystkiem jednak od razu się pokazują. Toć i karbonary od dawna ułożyli projekt kościoła ludzkości z patryarchą zamiast papieża a bez Boga; widząc jednak, że więcej jeszcze wiary niż sądzili, gotowi poprzestać na teraz na schyzmie; i u nasby teraz poprzestano na kościele narodowym, katolickim, jeno bez papieża. Ale napróżno zapewne to wszystko piszę, bo zwykle ludzie tak widzą, jak pragną aby rzeczy były, dopieroż nasi zbolali Polacy!"

Pod koniec roku 1861 z Warszawy dochodzą lepsze wieści, i w Rzymie też sprawa polska zaraz lepiej stoi. O jej przebiegu donosi ks. Semenenko ks. Kajsiewiczowi, który był z Rzymu wyjechał. „U mgra Franchi byłem, dziękowałem w twojem imieniu, notę o Łubieńskim podałem, dosyć kompletną. Bardzo dziękował; kazał ci się kłaniać; mocno prosił o dalsze podania. Zresztą nasz młody przyjaciel[1] bardzo czuwa nad wszystkiem. Mamy dokładne o wszystkiem wiadomości. Papież doskonale usposobiony. Antoś[2] z całą swoją opozycyą dołem — bez niego się rzeczy dzieją. Boża ręka. Trzeba się modlić. O Łubieńskiego nominacyi możemy być spokojni. Jeszcze tu nie było żadnego przedstawienia. A jak będzie, to Bóg dopomoże. Trzeba uspokoić przyjaciół warszawskich; ale niech nie zaniedbują donosić o wszystkiem. Niech wiedzą, że użytek bezpośredni z tego". Tak pisał 30 listopada; 14 grudnia donosi znowu: „Owe wiadomości warszawskie pocztą nadesłane otrzymałem i zaraz z nich zrobiłem użytek, naprzód ustnie tegoż samego ranka powiedziawszy wszystko mgrowi Franchi, z którym teraz w częstych jestem stosunkach; a był przytem i mgr. Ferrari i jeszcze jeden, słowem sztab główny sekretaryatu stanu. Wszyscy są za naszą sprawą. A potem ułożyłem z tego notę i podałem ją temuż samemu mgrowi Franchi. Wiadomości są rzeczywiście bardzo ważne i bardzo pożądane tutaj. Napisałem ja wprzódy liścik do N. do Warszawy, którym przesłał do Paryża; jeżeli będziesz miał sposobność, mój Ojcze, napisz mu także, dziękując i wzywając do ciągłego, dalszego

[1] Tak się kazał nazywać Czacki. Nigdy też się na listach nie podpisywał. Czasem przybierał imię Artura.

[2] Antonelli.

przesyłania wiadomości... Użyłem owych wiadomości, szczególniej tej, która wprost tu do nas przyszła (od N. do N.), o zupełnem przemienieniu w Warszawie opinii publicznej na korzyść władzy świeckiej papieża, tak że *Gazeta Warszawska* w osobnym artykule rozumowanym zrobiła *amende honorable* za wszystkie swe brednie przeszłe w tej mierze, i poświęca nawet *Unità Italiana* dla wielkiego principium niepodległości Kościoła. Wiadomość ta bardzo podobała się w sekretaryacie stanu".

W dziesięć dni potem podaje dalsze wiadomości. „Z rozmaitych moich dzisiejszych bieganin dowiedziałem się, że tu w Rzymie jest wysłaniec księcia Gorczakowa, który miał z kardynałem Antonellim przeważną rozprawę, i prócz tego feldjeger, który przybył tu przed 4 dniami, który tak prędko leciał, że telegrafem sobie miejsca na kolejach żelaznych zamawiał. Wymagał ów poseł najkonieczniej potępienia ruchu warszawskiego; a wyczerpawszy wszystkie argumenta, powiedział stanowczo, że Rosya uzna Królestwo Włoskie. Mimo to papież nie dał się nakłonić i owszem tylko co nie było słowa za nami w jego allokucyi. Nawet wiem z pewnego źródła, że miało być ogólne słowo, iż w pewnym kraju jeszcze i t. d. Nie wiem, czy to słowo było powiedziane, czy go nie wstrzymały owe najazdy posłów i feldjegrów; ale w każdym razie w takich okolicznościach i milczenie ma swoje znaczenie... Co w allokucyi, to dopiero będziemy wiedzieli po dniach ośmiu, bo do tego czasu wszyscy milczą przysięgą związani". — Tego samego dnia pisze: „*Magnus est Dominus et mirabilis!* Rząd rosyjski proponuje na arcybiskupa warszawskiego — kogo? Felińskiego. Musiałem biegać do sekretaryatu stanu, gdzie jeszcze nic nie wiedzieli; ale zdaje się, że już przed paru dniami kuryer do ambasady przybył z tem, bo Kisielew miał onegdaj bardzo długą radę z Antonellim, z której nic jeszcze nie dostało się do wiadomości, nawet mgra Franchi... Mgr. Franchi najszczęśliwszy i tylko powtarzał: Jak to dobrze, że Stolica Apostolska choć trochę pokazała odwagi i mocy — zaraz ustępują!... Co do ultimatum owego uznania Królestwa Włoskiego — dodaje ks. Semenenko w parę dni potem (28 gru-

dnia) — zdaje się, że nieprawda. Przynajmniej mówił mi Franchi dzisiaj; chociaż przekonany, że to zrobią, dla swoich powodów".

Wiadomość ta, tak radosna, o nominacyi ks. Felińskiego doszła, choć później, i do Paryża. „Nowina najważniejsza, pewna, lubo jeszcze nie urzędowa, — pisze ks. Kaczanowski do ks. Jełowickiego 28 grudnia — iż cesarz mianował ks. Felińskiego arcybiskupem warszawskim, iż ten tę nominacyę przyjął, o ile będzie potwierdzoną przez Ojca św. Miał Feliński po swem potwierdzeniu żądać Łubieńskiego na sufragana, ale mu to miano odradzać z powodu usposobienia Warszawianów, gdyż takim wyborem i siebieby zdepopularyzował, a Łubieńskiemu w tej chwili nie przywróciłby wzięcia. Nadto, zdaje się, iż rząd moskiewski skłania się nieco na przyjęcie nuncyusza, ale w Warszawie. Montebello, poseł francuski w Petersburgu, miał powiedzieć Gorczakowowi: ‚Ruch narodowy możeby się wam udało przydusić, ale nigdy ruchu religijnego nie stłumicie, jeśli się rozpocznie. Owóż takie jest teraz poruszenie w Polsce, iż na ruch religijny i to czysto przerabia się. Owóż sprawy religijnej żadną miarą nie urządzicie bez nuncyusza'. ‚Jeszcze i nuncyusza! — krzyknął Gorczakow — niech cała sprawa polska idzie do djabła'. Taka była pierwsza odpowiedź, lecz zdaje się, iż po namyśle nieco zmiękł, a Kisielew w Rzymie raz wróciwszy od kardynała Antonellego, przy wielu innych świadkach miał powiedzieć: ‚Niech djabeł weźmie tych księży *(cette prétraille)*, nic z nimi zrobić nie można'. Zapytany dlaczego, odpowiedział: ‚Przedewszystkiem żądają mieć nuncyusza'. Montebello zaś dowiedziawszy się o nominacyi Felińskiego, miał powiedzieć: ‚Winszuję, pierwszy wybór, widzę, dobry'. Są to nowiny tego wieczora, i one jak najprędzej Ojcu wysyłam, a O. Hieronim też same wysyła do Rzymu".

Tak tedy rok 1862 rozpoczynał się pod dobrą wróżbą, jaką dawała nominacya ks. Felińskiego na arcybiskupa warszawskiego. W dzienniku swym ks. Semenenko zapisuje: „4 stycznia. Sobota. Całodzienna rozmowa z kardynałem Antonellim o tem, co ma czynić nowy arcybiskup. Wskutek tego długi list do tego ostatniego opisujący tę rozmowę, i polecenia Stolicy Apostolskiej. Szczególniej, żeby się oparł na punktach podanych przez ks. Ma-

jerczaka, administratora dyecezyi krakowskiej, a przyjętych przez radę stanu Królestwa Polskiego". Zaraz po tej rozmowie pisze do ks. Kajsiewicza: „Pan Lasserre[1] dzisiaj odjeżdża z Rzymu, ten list z sobą zabiera, aby go w Marsylii na pocztę wrzucić. Przy tym liście przyłączam długi list do ks. Felińskiego, bardzo ważny, bo mieszczący treść mojej dzisiejszej, przynajmniej całogodzinnej rozmowy z kardynałem Antonellim, co do niego. Z jego odczytania, mój drogi Ojcze, będziesz wiedział o wszystkiem, co tu się dzieje. Ów dokument Majerczaka niesłychane tu zrobił wrażenie. Ojciec św. i kardynał Antonelli prawie w entuzyazmie; wszystkie ustępstwa Rosyi w tej chwili czynione przypisują temu aktowi (zawsze w tym charakterze, iż jest oficyalnem zdeklarowaniem się rady stanu). Mówił mi kardynał, że w nim widzą klucz, który im wszystko tłumaczy. Kazał mi kardynał oświadczyć ks. Majerczakowi swoje komplimenta i zadowolenie Ojca św. wprzód jeszcze, nim oni do niego list napiszą, co uczynić zamierzają; a ja bardzo do tego popychałem kardynała. List osobny do ks. Majerczaka wskutek tego napiszę, wywiązując się z polecenia kardynała, i za kilka dni do Paryża przyślę, aby był gotów do bycia odesłanym ową okazyą comiesięczną do Warszawy. Wtedy napiszę i do N. o tem wszystkiem. Nasz młody przyjaciel miał wczora u papieża audyencyę, w której Ojciec św. był nad wszelką miarę uprzejmym. Nasz przyjaciel wszystko mówił co miał na sercu, żeby papież nie ustawał, mimo że coś otrzymał; żeby nas nie opuszczał; żeby nie wierzył etc. śmiało bardzo. Ojciec św. wszystko najlepiej przyjmował. Nazywał go *predicatore,* potem *vescovo,* potem *dottore,* zawsze najczulej. Miałem uczucie, mówi nasz przyjaciel, *que je l'ai remonté* — bo groziło może niebezpieczeństwo pewnego zaśnięcia po otrzymanych korzyściach. Dziwnie P. Bóg tę całą sprawę prowadzi. Im bardziej naprzód idziemy, tem więcej widoczna, że Bóg wziął tę sprawę w swoją rękę".

W dwa tygodnie potem pisze: „Rozmowa moja ostatnia

[1] „Ten p. Lasserre (Henri), ten sam, który napisał broszurę: *La Pologne et la Catholicité,* który tu zimę z ks. Konstantym Czartoryskim w sprawie Polski przebywał". (Dziennik ks. Semenenki).

z Franchim, która wywołała ów list, jakim w przeszły wtorek przez pocztę posłał na twoje ręce do nowego arcybiskupa, stała się od tego czasu daleko ważniejszą. Bo nazajutrz na swojej audyencyi Franchi opowiedział ją papieżowi, niby oskarżając się, że śmiał dać radę więcej niż prywatną, bo niemal *officieuse* od samej Stolicy Apostolskiej, nowemu arcybiskupowi co do otwarcia kościołów; ale powiada, nie miałem czasu spytać się Waszej Świątobliwości, a rzecz nagliła, statek odchodził, a Padre Semenenko pisał do arcybiskupa etc. (Wogóle teraz Franchi nas ciągle miesza do spraw bieżących imiennie, i jeden z argumentów za prędkiem potwierdzeniem Felińskiego było nasze zdanie; mówił mi nawet, że papież był bardzo rad temu, jak się dowiedział, że i my za nim). Jakaż rada? zapytał papież. — Franchi mu opowiedział to, com napisał w owym liście. *Bravo! Monsignor mio!* Nie można lepiej! Doskonale! Żeby tylko ten list na czas doszedł, żeby tylko doszedł! — A zatem, jak widzisz, Ojcze, rzecz stała się zupełnie urzędową. Naturalnie, że już teraz nie czas do F. pisać, ale ja, jakby to przewidując, dość silnych słów użyłem w samymże liście, tak że można się na tamto spuścić, byle tylko list doszedł. A że dojdzie, to mam teraz zupełną nadzieję, po wynurzonem życzeniu papieża, uważam je jak błogosławieństwo. Miałem przytem ostrożność kazać kopię tego listu napisać Julianowi i inną drogą posłać. Może będzie czas przynajmniej przed jego przyjazdem do Warszawy ten list gdzie mu oddać".

21 stycznia pisze ks. Semenenko znowu: „Nietylko ma być posłany (do Petersburga) mgr. Franchi, to jest najzdolniejszy i najznakomitszy z prałatów rzymskich, ale ma być dana największa uroczystość temu poselstwu. To wszystko jednak pod sekretem piszę. Ma być miany konsystosz przed wyjazdem nuncyusza umyślnie *ad hoc* i tam głośno ma być wypowiedziane, co znaczy nuncyatura i czego papież żąda przez nią i co wkłada za obowiązek na nuncyusza. Tem bardziej to ma być zrobione, że już po tem wszystkiem Moskale (Kisielew) niegodziwie podeszli Ojca św. w chwili zapomnienia się. Nie mogę żadną miarą powiedzieć listownie, co to jest, ale to naszej sprawie nic nie szkodzi, i owszem pomaga, bo jakby opatrznie Pan Bóg prze-

konał Stolicę Apostolską, że niema większych zdrajców nad Moskali. Papież powiedział, że wszyscy w porównaniu z nimi są *galantuomini*".

Ks. Kajsiewicz ze swej strony donosi ks. Semenence: „Tutejszy Kisielew ma zapewnić, że nuncyusza w Rosyi nie będzie. Bardzo być może, że nie otrzymawszy od Ojca św. czego chcieli, cofną się... Co też to za straszny *enfant terrible* ten Kulczycki. Drukuje wszędzie, żeśmy popierali Felińskiego, snać aby mu utrudnić położenie i niepodobnemi uczynić stosunki z rządem. Skąd to wie?" Na to odpowiada ks. Semenenko (8 lutego): „Dziwisz się, że Kulczyckiemu wiele rzeczy tu powiadają, a potem, że w hotelu Lambert więcej wiedzieli, niż sam wiedziałeś. Co do ostatniego, to być nie może, chyba że to co wiedzieli, było nieprawdziwe. Tu Konstanty, i Witold, i Lasserre nie wiedzieli tego wszystkiego, cośmy wiedzieli i co przez moje listy wiedziałeś, mój Ojcze (listy do Felińskiego), a jakżeby teraz mogli wiedzieć? Kulczycki przez 8 dni nic nie wieział o nominacyi Felińskiego, dopiero mu powiedziałem, kiedym myślił, że za parę dni dowie się z gazet, i rzeczywiście ledwie na parę dni uprzedziłem. A uczyniłem to właśnie dlatego, żeby go pozyskać za Felińskim, bo inaczej nie wiem, co pisałby na niego. Już i teraz warunkowo niepotrzebnie występuje. Jest to tak wrażliwa imaginacya bez sądu żadnego, że jak mówi nasz młody przyjaciel: K. i takt w postępowaniu nigdy się nie spotkały. Ale on nic ode mnie nie wie, czego wiedzieć nie potrzebuje, i jeżeli uważałeś, Ojcze, nic nie wie o Majerczaku, np. to jest o tem, jak tu przyjęty, o poleceniach do Felińskiego i t. d. i t. d. Co *Dziennik Poznański* pisze o wymaganiach Felińskiego, to być bardzo może prawdziwe; byłoby to skutkiem tego, cośmy mu pisali w imieniu papieża — bo to a nie co innego wymagał".

I ks. Koźmiana o wszystkiem uwiadomiono. „Papież i sekretaryat stanu — pisze doń ks. Semenenko (15 lutego) — są za nami zupełnie. Antonelli, Pacca, że nie wspomnę o Berardim, są z Moskalami, to jest w ten sposób, że po ludzku rzeczy traktują, z ludzkiego stanowiska, bez wiary i myśli, że to sprawa boża — i miło im, że się do nich Rosya uśmiecha, i na obiady zaprasza

(bo ci prałaci wciąż na obiady do Kisielewa chodzą, co jest zgrozą w dzisiejszych okolicznościach). Ale nie myśl, żebym się na nich sierdził; owszem powtarzam z ks. Guéranger: „*Ce que j'admire à Rome c'est l'Esprit Saint.* Podziwiam co się zrobiło w Rzymie i co się robi, a to nietylko pomimo, ale wbrew tym panom". O Antonellim pisze ks. Semenenko w swym dzienniku w dwa lata potem z okazyi pewnej sprawy: „To wszystko pokazywałoby, że w tym człowieku w gruncie niema nic poważnego; ma pewien rozum i pewną bystrość w sądzie i działaniu; ale ani zasad, ani nawet prawdziwej godności. I to taki człowiek jest na czele spraw kościelnych. Jezu najdroższy! w jakich Ty ręku!" Teraz zaś znowu pisze (18 lutego): „Tu nasza sprawa bardzo dobrze stoi u Ojca św. Wkrótce się pokaże, i wszystkie zabiegi Antonellego nic nie pomogą. Tylko nic pisać nie mogę, bo rzecz prawie pod przysięgą". „Co do listu pasterskiego Felińskiego — pisze 3 marca — wyraźną jest rzeczą, że był przysłany wprost z Petersburga do dzienników, zapewne przez samego ks. Łubieńskiego, który przynajmniej połowę jego napisał. Co dziwnego (choć bardzo naturalnego), to że tu do sekretaryatu stanu została z Petersburga przysłana nota przez ks. Łubieńskiego, zupełnie taka sama jak list pasterski, i niemal temiż wyrazami w wielu miejscach napisana. Tymczasem, jak tylko list pasterski tu przyszedł, w *Le Monde* (nie opatrzywszy się jeszcze, że jest *apocryphe*, a przynajmniej ogłoszony bez woli arcybiskupa, który zdaje się stanąwszy na miejscu i przekonawszy się o innym stanie rzeczy, niż mu Łubieński opowiadał, list przedtem przygotowany cofnął), natychmiast napisałem notę do Franchiego, osobistą, dla jego użytku, a w tej mu wykazałem pięć punktów, w których uchybiał ten list pasterski, i dodałem, że to wszystko widzenie i natchnienie ks. Łubieńskiego. Byłem pewien tego, ale tu się tak zdarzyło, o czem nie wiedziałem, że w tej chwili mieli dowód, że to prawda — ów dokument z Petersburga. Franchi miał tego samego dnia audyencyę u papieża; papież do niego zaczął mówić o liście pasterskim — co to jest? *Cosa vuole, par mezzo russo?* A ten: Właśnie mam tu objaśnienia O. Semenenki, które chociaż do mnie osobiście obrócone, ale mogą Waszą Świątobliwość objaśnić. — Pa-

pież przeczytał i był bardzo zadowolony. (Główny punkt był, że traci pozycyę, jaką Kościół zyskał takim trudem i szczęśliwym obrotem rzeczy, szczególniej przez nieuznanie niczem władzy prawowitej Białobrzeskiego, przez co cofał się przed rządem na punkcie prawa kościelnego, które właśnie powinien był na początku silnie zatwierdzić; było i o owych gwarancyach za cesarza danych, a które wobec faktów, jak wyroku na Białobrzeskiego i t. d., bez żadnego oddania potępionym sprawiedliwości, były z jednej strony nieuzasadnione niczem, a z drugiej strony dla tych potępionych nowem potępieniem i t. d.). Objawiwszy swe zadowolenie z noty, pytał: Czegóż więc chce? A tam na końcu noty były zapewnienia, że Feliński to zrobił z niewiadomości tylko, że ani chwili nie trzeba o nim wątpić, tylko trzeba go nauczyć, co ma robić, a więc wskazać ma stąd kierunek. Franchi powiedział, że my nie wiemy o liście, jaki papież chce pisać do arcybiskupa, ale właśnie że ta nota konkluduje na taki list. Stanęło na tem, że ten list mają przyspieszyć. Drogi Ojcze, o tem wszystkiem sekret największy".

Nuncyatura miała rzeczywiście przyjść do skutku, ale nie tak jak sobie Polacy życzyli. „Mój drogi Ojcze! — pisze ks. Semenenko 18 marca — nie przerażaj się tą wiadomością, którą cię tak uderzę: Berardi nuncyuszem. Opisywać cały sposób czyli sposobik, jakim to kardynał Antonelli wyrobił na papieżu, to nie warto; dosyć, że Berardi nuncyuszem. Jeszcze oficyalnie nic niema ogłoszonego; ale rzecz pewna: jegomość siedzi od dni 5 u św. Euzebiusza i dziś jest święcony na księdza, za dni kilka będzie na arcybiskupa. Trzeba nam rzecz tę przyjąć jak najlepiej, bo Pan Jezus tak opatrznie rzecz tę całą naszego Kościoła w tych czasach prowadzi, że i ta klęska będzie najpiękniejszą wygraną. Co tylko smutnego prawdziwie, to ta niesłychana słabość papieża. Prawda, że kardynał Franchiego przed papieżem wynosił pod niebiosa; ale właśnie powiadał: on tu w Rzymie jest potrzebny, bez niego sprawy duchowne całego Kościoła iść nie mogą. — Papież: Kogóż poślemy? i t. d. i t. d. Ach, co za człowiek, ale za to co za dyplomata! — Nie trzeba jednak nic mówić o tem, aż póki rzecz nie będzie oficyalna. Tu oburzenie ogólne na tę nominacyę, szcze-

gólnie między najlepszymi kardynałami. Mają być przedstawienia. Więc może. Zobaczymy! Jeszcze inna nadzieja odwrócenia klęski, że nuncyatura do skutku nie przyjdzie. Ale w razie gdyby przyszła, ułożyliśmy z naszym młodym przyjacielem taki plan: żeby pobudzić wszystkich do najświetniejszego przyjęcia nuncyusza w Krakowie już, a potem w Warszawie i wszędzie. Trzeba go święcie skompromitować. Kardynał i Moskale niczego bardziej nie pragną, jak zimnego przyjęcia nuncyusza, i pokazania, że Polacy tylko swego chcą, a nie o Kościół im chodzi. Więc trzeba pokazać, że to fałsz. Jednem słowem, P. Jezus ze wszystkiego wyprowadzi swoją większą chwałę i korzyść". — Nawet i ta rzecz miała wciąż dobry obrót, wszystko jakoś w Rzymie dla nas pomyślnie się wtedy układało. Pisze ks. Semenenko już 8 kwietnia: „Berardi się trochę nawraca, bo widzi, że tu idzie o jego skórę. Kładzie warunki, które samego Antonellego dziwią. Przedewszystkiem, żeby uprzednio żądać u dworu rosyjskiego wolności znoszenia się wszystkich z nuncyuszem, i że on nie pojedzie, póki to zapewnienie nie przyjdzie. Jeszcze to sekret, mój Ojcze, niech od nas pierwszych nie wychodzi. Ja myślę, że o to nuncyatura pęknie. Antonelli oburzony niesłychanie za ogłoszenie jego listu do Majerczaka, bo ten list jest redakcyi papieża, i on mimowoli musiał go podpisać. Kompromituje go wobec Rosyi".

Papież jak najprzychylniej był zawsze dla sprawy polskiej usposobiony; ale chodziło o to, aby i Polacy wdzięcznie tę łaskawość Ojca św. przyjmowali. „Mgr. Franchi — pisze ks. Semenenko w dzienniku pod d. 20 lutego — mówił mi o wczorajszej swej audyencyi u papieża, i że papież zmartwiony, że Polacy niekontenci tem co zrobił, a sądzi o tem z dziennika krakowskiego *Czas*. Wytłumaczyłem, co znaczy takie zachowanie się *Czasu*, że to tylko jedna strona, a drugiej, przeciwnej, to jest przychylnej i wdzięcznej za to, co uczyniono, papieżowi pewnie nie przedstawił, kto mu tam *Czas* tłumaczył, i prosiłem o wytłumaczenie tego papieżowi". Ale czy nie należałoby *Czas* inaczej nastroić? O tem myślał ks. Semenenko i korzystał z bytności Pawła Popiela w Rzymie. Pod d. 12 maja zapisuje znowu: „Dzisiaj długa rozmowa z Pawłem Popielem o Zgromadzeniu

naszem, o Warszawie i arcybiskupie; o kupieniu dziennika *Czas* i uczynieniu go poczciwym; o kwestyach społecznych dzisiejszych, szczególniej o stosunku wzajemnym wolności i równości. On dosyć rozpacznie myśli, że koniecznym wynikiem dzisiejszego stanu rzeczy jest przemożenie wolności przez równość, co byłoby zgubą organicznego porządku w społeczeństwie. Nie podzielałem jego zdania, żeby do tego szło koniecznie; owszem mojem zdaniem uratowanie dzisiaj społeczeństwa na tem zależy, aby wolność podnieść i nad tem pracować, aby równość tyle tylko do praw przypuścić, ile wolności nie narusza. Ufam, że to się stanie, i że przez to właśnie uratowaną będzie społeczność ludzka. Przyjął to milczeniem. W tym duchu przemawiałby przemieniony *Czas*. Jego dzisiejszy właściciel, bankier Kirchmajer, odstępuje go za 100.000 fr. czyli 180.000 złp. Popiel już ma 60.000 złp. gotowych; w znalezieniu reszty nie będzie wielkiej trudności. Trudność będzie w uorganizowaniu redakcyi. Panie Boże dopomóż!“ — Popiel „powziął dla ks. Piotra szczególną przyjaźń i uszanowanie“, jak sam pisze do ks. Kajsiewicza. „Mówiąc między nami, należy on do tych ludzi, o których się stoi nie dla siebie, ale dla Kościoła. Takich niewielu“. A raz nawet w liście do ks. Kajsiewicza dodaje: „Pozdrów Piotra, którego ja wielce, a nawet więcej jak ciebie kocham“. — Ale rzecz z *Czasem* wtedy nie przyszła do skutku. Owszem, zapisuje ks. Semenenko w dzienniku swoim pod dniem 13 stycznia 1863: „Przyjechał do Rzymu Maurycy Mann. Chory na piersi, opuścił *Czas*, którego redakcya przeszła w ręce czerwonych“.

Nadarzyła się sposobność okazania *papieżowi wdzięczności*. Ojciec św. zaprosił był biskupów całego świata na uroczystość kanonizacyi japońskich męczenników; spodziewano się, że i polscy biskupi przybędą. Ks. Kajsiewicz spieszył z Paryża do Rzymu na ich przyjęcie. Jeden biskup, Borowski, „miłe tu robi wrażenie — pisze 24 maja. — Ojcu św. dziękował, że jeden opuszczonych od wszystkich, nie opuszcza. Rozpłakali się obaj“. Ks. arcybiskup poznański „za późno przyjechał. Dziś ostatni konsystorz, ks. arcybiskup na żadnym nie będzie — a nieruchliwy też dla wieku, więc niewiele tu co zrobi. Ks. Marszewski i nas widzieć

nie chce i ogólnie nigdzie się nie pokazuje. Może przez odbicie posłuży naszej sprawie, pokazując, jak to wyglądają biskupi całkiem rządowi. Słowem, reprezentacya Kościoła i narodu polskiego, nieświetna. Nie znać nas obok Francuzów, Niemców, Anglików, Hiszpanów i Amerykanów. Galicyjscy biskupi mogli i nie przyjechali, a może jeszcze lepiej zrobili zostając. Oj! ta Polska nasza niby święta, dziwnie leniwa i rozespana jeszcze" (3 czerwca).

Jednak pomimo wszystkich usiłowań Rosyi a obojętności Polaków, „rzecz była doskonale przygotowana, — pisze ks. Kajsiewicz — iż Ojciec św. na konsystorzu miał się mocno za Polską oświadczyć. Ale gdy przyszły raporta o przysięgach księży, komitetowi centralnemu składanych, opadły ręce najlepszym naszym przyjacielom, i groziło nowe *breve* 1832 roku, już nie dla nastawań trzyletnich Rosyi, ale z sumienia papieskiego".

Już przedtem przychodziły złe wiadomości z Warszawy. Julian Feliński udał się na wezwanie swego brata, ks. arcybiskupa, do Warszawy. Stamtąd pisał, jak donosi ks. Kaczanowski 19 września, że „arcybiskupowi nie brak na odwadze, aby stanął wprost przeciw rządowi, lecz usposobienie szczególniej inteligencyi warszawskiej w opozycyi z rządem nie jest religijne. Lęka się Julian, aby Ojciec św. nie był zanadto pochlebnie o Polsce sprawiony, i żeby owe strzały, które na księcia Konstantego i Ludersa były zrobione, oraz zamachy na życie Wielopolskiego, nie sprawiły bardzo niekorzystnego oddziałania. Mówi wyraźnie, że większe złe jest z usposobienia religijnego tak w tej klasie ludzi, jak i duchowieństwa, jak z przeciwności, które od rządu wychodzą. Menery wszelkim sposobem chcą wciągnąć duchowieństwo do działania wspólnego i można się lękać, iż znajdą współdziałaczów w duchowieństwie". Pisali i inni. „Wiecie zapewne dobrze, Najlepsi Ojcowie — donosi jeden gorliwy, światły kapłan — jaki u nas stan rzeczy. Wspaniałe i wielkie było przebudzenie życia narodowego w roku zeszłym, ale widocznie nie dorośliśmy jeszcze do wysokości, na jakiej już być nam się zdawało. Jedność rozbita. Czerwoni, dyrygowani przez komitet centralny, nie chcą słuchać o niczem, co trąci roztropnością i rozumnem uwzględnieniem okoliczności; organizują

dalej po swojemu kraj, a raczej dezorganizują go, wciągając do swego zaczarowanego koła wszystkie żywioły społeczne, jakie im pod rękę podpadają, i we wszystkie dmuchają duchem anarchii. Cierpi na tem młodzież, bo nie uczy się a spiskuje, i wszystkiem co tchnie władzą, starszeństwem, powagą, przyucza się gardzić; cierpi i duchowieństwo, bo bardzo znaczna jego liczba po baraniemu schyliła głowę pod nowe jarzmo. Biedni my, we wszystkich jarzmach widocznie skazani chodzić za to, że w słodkiem jarzmie Chrystusowem chodzić nam nie w smak. Przyszłość kraju zagrożona wielce, bo komitet bądź co bądź do coraz większej potęgi przychodzi, co mu dodaje zuchwałości, a biada nam, gdy jej tyle mieć będzie, że da hasło powstania. Będziemy zamordowani; będzie zamordowany naród“ (z Warszawy, 27 listopada).

„Na początku 1862 r. — pisze ks. Kajsiewicz w pamiętniku — tak zwany komitet centralny w Warszawie, uorganizowany jako towarzystwo tajne i w porozumieniu z innemi towarzystwami rewolucyjnemi w Europie będący, zaczął przygotowywać powstanie w sposób sprzysiężenia się narodowego. Wielu księży przystąpiło do tej organizacyi, a odpusty stały się otwartym werbunkiem do powstania. Ks. arcybiskup Feliński zebrał rodzaj synodu dyecezalnego (dziekanów) i ogłosił na nowo bullę Leona XII., potępiającą towarzystwa tajne. Powstał krzyk ogromny przeciwko czujnemu pasterzowi; wszakże w archidyecezyi mniej duchownych przystało do konspiracyi, jakkolwiek ks. Mikoszewski, młody wikary przy kościele św. Aleksandra, należał do komitetu centralnego i wydawał tak zwany *Głos kapłana*, organ konspiracyi dla pociągnięcia duchowieństwa. W innych wszakże dyecezyach, mianowicie sandomierskiej, lubelskiej, podlaskiej, kaliskiej, złe szerzyło się pospiesznie. Arcybiskup udał się wtenczas do arcybiskupa poznańskiego, jako do najstarszego dostojnością i wiekiem, prosząc o radę i pomoc. Ks. prymas wystosował list w odpowiedzi (redakcyi ks. Koźmiana), w którym wystawiwszy łagodnie i zasadnie, ile dobrego może duchowieństwo uczynić dla dobra narodu, nie wychodząc z zakresu swego powołania, pokazywał jak niestosowna i niebez-

pieczna droga konspiracyi i jakie smutne następstwa ściągnie na Kościół polski. Pomimo to 180 księży (pomiędzy którymi byli członkowie konsystorzów, profesorowie seminaryów), zebranych na Podlasiu z różnych dyecezyj, wysłuchawszy przedstawień deputowanych komitetu centralnego, chcącego rychłego powstania, i deputatów organizacyi obywatelskiej, żądających nieco czasu dla przysposobienia umysłów ludu i zasobów wojennych, poddali się jednogłośnie pod posłuszeństwo komitetowi centralnemu, w którym najstarszy członek miał ledwo lat 24".

Jeden z kapłanów, biorących udział w organizacyi narodowej jako czynny członek, podał ks. Jełowickiemu „sumienny, jakby na świętej spowiedzi skreślony abrys teraźniejszej sprawy polskiej i wzięcia w niej udziału duchowieństwa polskiego". Kapłan to bardzo zacny, a pisał w obronie duchowieństwa przed zarzutami ks. Kajsiewicza w liście jego otwartym. Świadek więc to niepodejrzany. Z jego opisu pokazuje się, że owi 180 kapłani nie brali udziału w naradach rządu narodowego w swojem li tylko imieniu, ale w imieniu bardzo licznej części duchowieństwa. „Duchowieństwo polskie — pisze ów kapłan — w całej tej sprawie następny brało udział: 1) w miesiącu listopadzie i grudniu bywały zjazdy duchowieństwa: *a)* dyecezalne, *b)* dekanalne, na których duchowieństwo jednogłośnie uznało Centralny narodowy komitet jako tymczasowy prawy rząd narodowy, wybrało mężów zaufania dyecezalnych i dekanalnych; 2) członek duchowny Centralnego komitetu narodowego, mianujący się księdzem Sykstusem, rozporządzenia komitetu dla duchowieństwa komunikował mężowi zaufania dyecezalnemu, ten znów dekanalnemu, a ten znów wszystkim duchownym swego dekanatu; 3) należało do składek narodowych; 4) w naukach religijnych oświecało lud i o sprawie narodowej; 5) odbierało przysięgi" (pisano 21 marca 1863 r.). Jak zaś miało oświecać lud, tego uczyło „pisemko pod tytułem *Głos kapłana,* które zajmowało się oświeceniem narodu". To zaś pisemko, między innemi, odwoływało się do powagi Seneki, utrzymującego, że nic milszego Bogu nie jest nad zamordowanie tyrana, i usprawiedliwiało zamach na w. ks. Konstantego.

W Rzymie podobne wieści przygnębiające robiły wrażenie. Obawiano się, że przyjdzie potępić duchowieństwo polskie, a tem samem nastanie większe jeszcze rozgoryczenie niż te, które wywołał Grzegorz XVI. Ale też coraz bardziej widoczna była w Rzymie konieczność innego wychowania kleru. Kolegium polskie w Rzymie stawało się w myśli papieża nieodzownem. Późniejsze wypadki tę myśl musiały jeszcze bardziej utwierdzić. „Bliższe zapoznanie się z licznymi kapłanami, co mieli udział w powstaniu, a potem schronienia szukali w Rzymie — pisze Bronisław Zaleski [1] — bacznemu a miłującemu oku wskazało, że wszystko co im zarzucić było można, pochodziło najczęściej z braku gruntownego wykształcenia duchownego, że więc konieczniejszą niż kiedy dla narodu dźwignią na przyszłość mogą się stać młodzi kapłani, w środku katolickiego świata, pod okiem Namiestnika Chrystusowego wychowani. Sercem prawdziwie ojcowskiem bolejący nad nami Pius IX., sam już tę potrzebę wskazywał. Odzywali się o tem przybliżeni do niego, a sprawami Kościoła w Polsce zajęci prałaci". „Byłem u Ojca św., — pisze ks. Kajsiewicz (15 października 1864) — żółty był i zmęczony. Podziękowałem za encyklikę. Mówił o mieszaniu się księży do powstania, o potrzebie wychowania księży w Rzymie 40 lub 50. Pytał, kiedy otworzymy seminaryum?"

*Ks. Paweł Smolikowski.*

[1] Ks. H. Kajsiewicz, str. 242.

# HENRYK VIII. I KLASZTORY W ANGLII.

HENRY VIII[TH] AND THE ENGLISH MONASTERIES, by dom Francis Aidan Gasquet O. S. B.

(Dokończenie).

Akt kasaty pomniejszych klasztorów przysądzał królowi całą własność zakonników, obowiązując monarchę do zaopatrzenia w środki życia i zajęcia rozproszonych. Co więcej, nowy dzierżyciel dóbr poklasztornych miał niby przejąć tradycyę gościnności i miłosierdzia zakonników, ażeby ubodzy nie odczuli na razie braku odwiecznych swych dobroczyńców. Zawarowanie owych jałmużn najpiękniej świadczy o posłannictwie klasztorów. Atoli i to zobowiązanie, jak wszystkie inne, poszło na marne i pozostało martwą tylko literą.

A tymczasem, w chwili gdy się rozpocząć miała na wielką skalę czynność komisyi, przystępującej do przeprowadzenia dzieła zagłady, błysnęła na chwilę nadzieja pomyślniejszej doby i zwrotu z drogi gwałtu i odstępstwa. Umarła była Katarzyna Aragońska, umarła otruta, z woli czy przyzwolenia Anny Boleyn, która ze śmiercią rywalki zdawała się używać bezpiecznie własnego wyniesienia i dostojeństwa. Lecz któż mógł przewidzieć następstwa królewskiego rozkiełznania? W cztery miesiące po zgonie prawowitej małżonki, kaprys Henryka strącał z tronu, pozbawiając razem życia i korony, tę, dla której dotychczasowe popełniał był zbrodnie. Z zakończeniem spraw małżeńskich, które były wyłącznym powodem zerwania z Rzymem, zdawało się, iż

może Henryk się upamięta, zawróci z drogi nieprawości, poczyni pierwsze kroki do pojednania z Kościołem. Ogół narodu pragnął i spodziewał się tak pożądanego zwrotu, papież ułatwiał wstąpienie na drogę pokuty i poprawy. Sam Henryk chwilowo zdawał się myśleć o zgodzie, o zakończeniu religijnej waśni. Przemogła chciwość, żądza zagarnięcia łupów klasztornych, nadzieja blizkiej i łatwej grabieży. Ręka wyciągnięta do pojednania, nie mogłaby już sobie przyswajać funduszów kościelnych. Wzgląd ten zwyciężył, i mianowana w r. 1536 komisya zabrała się na dobre do dzieła rabunku i zniszczenia. Jak bezwzględnie takowe od razu zostało przeprowadzone, dowodzi najlepiej to, iż nietylko na rzecz państwa konfiskowano dobra i majątki klasztorów, wykazujących się niższym dochodem, a więc objętych uchwałą parlamentu, lecz nadto ogałacano zakrystye z wszelkich skarbów i kosztowności, zdzierano ołów z dachów, uwożono nawet dzwony, aby przetopiony kruszec do innego stosować użytku. Jeżeli przyjmiemy statystykę, wynikającą z ówczesnych urzędowych sprawozdań, opiewających, iż przeciętnie w każdym z pomniejszych klasztorów znajdowało się około ośmiu zakonników lub zakonnic, a mniej więcej dwadzieścia siedm osób przywiązanych do pojedyńczego domu i utrzymywanych onego kosztem, obliczyć nam przyjdzie, iż w onym pierwszym okresie kasaty ogołocono z własności przeszło dwa tysiące zakonników i zakonnic, pozbawiono chleba dziesięć tysięcy osób, nie licząc w to ubogich, którym zabrakło stałych jałmużn i zasiłków, płynących dotąd hojnie z rąk sług bożych. Tak zaś szybko postępowało dzieło zniesienia i zagłady, że już w lipcu poseł hiszpański donosił swemu rządowi, iż bolesny widok przedstawiają całe zastępy mnichów i mniszek, wypędzonych z ich klasztorów i błąkających się po kraju, w najokropniejszej nędzy, szukając daremnie środków utrzymania. Owszem, tenże ambasador, którego referaty są najcenniejszych informacyj kopalnią, już wtedy liczbę osób, pozbawionych chleba wskutek kasaty klasztorów, oblicza na 20.000.

Zamachy te coraz większe wśród ludu sprowadzały rozjątrzenie, zwłaszcza w północnych częściach królestwa. Przyszło

do otwartych w wielu miejscach buntów i zbrojnego powstania. Na widok zbezczeszczonych ołtarzy, rwały się tłumy do oręża, lecz nie znalazłszy tęższego przywódcy, po niejakim czasie rozpraszały się i wracały do domów swoich. Skądinąd Henryk VIII. umiał stłumić w zarodzie bunt swoich poddanych. To na razie obiecywał im wszelkie ustępstwa, byle broń złożyli, aby później żadnego z warunków konwencyi nie dotrzymać; to mimo przyrzeczonej amnestyi, karał śmiercią okrutną całą starszyznę ruchu, to nareszcie korzystał z samychże niepokojów, aby przeprowadzać dalsze dzieło zniszczenia, pomawiając przełożonych i opatów o podniecanie buntu ludowego, i targając się na byt najznaczniejszych domów zakonnych, innego tym razem zażywając środka. Jeśli pomniejsze klasztory zniesionemi zostały za pomocą uchwały parlamentu, większe opactwa przeważnie zginęły skutkiem wydanego aktu oskarżenia o zdradę stanu, t. zw. *attainder,* który wystarczał, aby zgubić opata i w następstwie całe opactwo wydać na łup chciwych żądz monarchy. W ten sposób zginąć miały przedniejsze w kraju domy Boże. Tymczasem najskrzętniejsze poszukiwania archiwalne nie zdołały wykazać udziału zakonników, ani ich wpływu w rozruchach północnych prowincyj. Wprawdzie zachował się ślad jednego zbrojnego oporu, stawianego siepaczom królewskim, gdy ci próbowali zagrabić dom kanoników z Hexham. Obwarowani w własnym klasztorze przez kilka tygodni, bronili się do upadłego, co wszelako opóźniło tylko zagładę klasztoru, lecz takowego nie zdołało ocalić. Wszakże i we Francyi, podczas gwałtów, które zaznaczyły rządy trzeciej republiki, słyszeliśmy podobnież o oblężeniu jednego ze zniesionych klasztorów przez wykonawców bezbożnych zamachów, i o dzielnym oporze, stawionym grabieży. Wszelako zakonnicy nigdzie w Anglii nie podniecali buntu, nie wpływali na orężne powstanie, nie kierowali takowem, co nie przeszkodziło, iż objęto ich w krwawem uśmierzaniu rozruchów, i że niezliczone mnóstwo zakonników pod tym pozorem zawisło na szubienicy obok świeckich ich obrońców. Hurtowne egzekucye, naznaczone okrucieństwem prawdziwie barbarzyńskiem, siały postrach wśród mas ludowych i poskramiały czynne objawy obu-

rzenia. Atoli nie obeszło się w wielu miejscach bez krwawych starć, które starczą za dowód, jak niechętnie Anglia się poddawała zakusom swego samodzierżcy.

W historyi prześladowań, wiecznie jednakie powtarzają się rysy. I tu spotykamy się ze scenami, nie różniącemi się prawie od świeżych zajść w Krożach. Na wieść o blizkiem zniesieniu kościoła, parafianie w Louth strzegą dniem i nocą zagrożonej świątyni, próbują odeprzeć komisarzy królewskich, występując nierównie gwałtowniej od naszych cichych Żmudzinów, i wzbudzając prawdziwy postrach wśród nasłanych na ich kościół siepaczy.

Najznaczniejszy z owych rozruchów, który w danej chwili zatrwożył samegoż Henryka, zachował w historyi miano pielgrzymki łaski, a doniosłością przeszedł wszelkie inne, aby ostatecznie jednakiego doczekać końca, i sprowadzić równie krwawy odwet zemsty królewskiej. Jeden z głównych przywódców, usprawiedliwiając owo powstanie, tłumaczył, iż cały kraj oburza się na zniesienie klasztorów, najprzód dlatego, iż zakonnicy dotąd chwalili Boga i hojne rozdawali jałmużny, następnie, że z ich ubytkiem zabrakło i pociech religijnych i ukrzepienia w wierze mnóstwu dusz, mianowicie w odludnych częściach kraju, gdzie owe ogniska służby bożej promieniały nauką, miłosierdziem i opowiadaniem słowa bożego; dalej, że pełno osób znajdujących zajęcie i zarobek przy klasztorach, dziś błąka się bez chleba i pracy; nareszcie, że zniknęły przystanie, kędy gościnność szeroko była przestrzegana, a podróżnik mógł liczyć na hojne przyjęcie i podjęcie; skądinąd opaci utrzymywali drogi, mosty, tamy, ułatwiające komunikacye. Wszakże i szlachetnego urodzenia osoby, nie sami tylko pospolici nędzarze, doznawały pomocy z rąk zakonnych, a dzieci ich w murach klasztornych najlepsze odbierały wychowanie. W owem wyliczaniu dobrodziejstw, płynących na społeczeństwo z owych domów bożych, uderza i zdumiewa w onych czasach osobna wzmianka o estetycznej stronie owych gmachów, na zagładę skazanych. „Wszakże nasze opactwa są jedną z ozdób tego królestwa, i budzą podziw swoich i obcych“. Wszystkie te argumenta obijały się bezowocnie o twarde

serce i głuche ucho Henryka, żądnego tylko rabunku i łupiestwa, oraz pomsty nad tymi, których cnotliwe życie było najwymowniejszą krytyką jego rozpusty.

Jak to nadmieniliśmy wyżej, niema prawie śladu czynnego udziału zakonników w szybko zresztą stłumionych rozruchach, co nie osłoniło ich od srogich kar, któremi Henryk VIII. złamać usiłował wszelkiego oporu próby. Wiedziono na tracenie całe zastępy duchownych osób, bynajmniej się nie troszcząc o sprawdzenie ich winy i zachowanie cienia legalnej procedury. Ciała pomordowanych, dla przykładu zostawiano na szubienicach lub drzewach, a usunięcie ich dla sprawienia męczennikom przyzwoitego, chrześcijańskiego pogrzebu, równało się zbrodni stanu i ściągało na miłosiernych grabarzy najcięższe kary. Sam król z tej okazyi objawił gniew nadzwyczajny, domyślając się wpływu kobiet w tej ostatniej posłudze i pogrzebowej troskliwości. Rozkazał surowe zarządzić śledztwa, zgotować kary, a zwłaszcza zapobiedz usuwaniu trupów, łańcuchami przytwierdzając ich do szubienicy. Litościwsi poganie, dozwalali pierwszym chrześcijanom unosić zwłoki pomordowanych, aby je składać we wspólnem cmentarzysku. Henryk VIII. zazdrościł swym ofiarom uczciwego pochowania...

Przez *attainder*, czyli osobiste oskarżenie opata, coraz to nowe a słynne przybytki niepowrotnie znikały z ziemi angielskiej. W podobny sposób dokonano niebawem zamachu na słynne i wspaniałe opactwo w Furness, gdzie lampy przybytku świętego na zawsze wygaszono, zakonnicy poszli w rozsypkę, a wzdłuż opustoszałych krużganków, innego nie było słychać odgłosu, jeno uderzenia siekier i młotów, rozbijających dachy, filary, sklepienia, ba, nawet grobowce. Olbrzymie a zniszczone gmachy zamieniły się w kopalnię ciosowego kamienia, skąd każdy okoliczny wieśniak miał prawo zabierać, ile mu się podobało, rzeźbionych głazów, choćby na to, aby z nich chlewy lub stajnie budować...

Autor po kolei opowiada dzieje zagłady poszczególnych opactw. Zawsze to jedna historya, niekiedy pełniejsza grozy, męką ducha nękającą niby konanie skazanych na rozproszenie

zakonników, a zwłaszcza piastujących najwyższą odpowiedzialność opatów. Ileż oni przechodzili udręczeń sumienia, w niepewności co godziwem lub niegodziwem, na co przystać było podobna, od czego się bronić i nie ustępować. Powikłanie kwestyj politycznych z religijną, sprawy dziedzictwa korony z buntem przeciw władzy papieskiej, niekiedy nadzieja, iż bunt Henrykowy jest tylko przejściowym stanem, tak w jego duszy, jak i królestwie, że byle zyskać na czasie, opóźnić zamknięcie klasztoru, może się uda i byt takowego ocalić — wszystko to razem wzięte, mąciło jasność sądu i pewność zdania w duszach wystawionych na najsroższe pokuszenia i nacisk. Taką tragedyę, rozgrywającą się w sercu opata Hobbesa z Woburn, odnajdujemy tu w najdrobniejszych szczegółach, od pierwszych modlitw, któremi usiłuje odwrócić zawisłe nad swoim klasztorem niebezpieczeństwo, aż po jego śmierć okrutną, gdy wraz z kilku towarzyszami, powieszonym został w bramie opactwa, gdzie w długie lata wskazywano dąb odwieczny, użyty na razie za szubienicę dla przysposobionych ofiar Henryka VIII., który w r. 1538 zagrabił i ten słynny zabytek pobożności przodków.

Osobny rozdział, napisany z rzewniejszem jeszcze uczuciem i współczuciem, poświęca autor zniesieniu żeńskich klasztorów. Jak słusznie uważa, los rozproszonych zakonnic stokroć sroższym był od losu zgotowanego mnichom. Ci nie tracili charakteru kapłańskiego, mogli na razie znaleść jakie zajęcie duchowne, kiedy tymczasem nieszczęśliwe oblubienice Chrystusowe, wyrzucone na świat im obcy, wystawione bywały na najcięższe próby, bodaj na powolne i powszednie męczeństwo.

W chwili zniesienia zakonów, znajdowało się w Anglii około stu czterdziestu klasztorów żeńskich, z których większa połowa rządziła się regułą św. Benedykta. Wspomnieliśmy już wyżej, jak nieskazitelnym musiał być duch, ożywiający te zgromadzenia, skoro zła wola i zawziętość wizytatorów królewskich nie znalazła niemal pozorów nawet dla uknucia swych zjadliwych oszczerstw — że w osławionych k o m p e r t a c h, zaledwie garstka kilkunastu zakonnic pomawianą została o zgwałcenie ślubów, że nareszcie komisarze królewscy, roztwierający naoścież wrota

klasztorne, by udarzyć zakonnice rzekomą swobodą, wspominają zaledwie o dwóch, które dobrowolnie chciały wyjść z klasztoru i jeszcze owo życzenie objawiły dopiero, gdy im się przebrało cierpliwości, pod wpływem tysiącznych ucisków świeckich, utrudniających im życie wspólne i klasztorne.

Ogólnie biorąc, udało się autorowi niniejszej pracy zgromadzić najprzeróżniejsze świadectwa, dowodzące jednomyślnie, jak kwitnącym był stan zgromadzeń żeńskich pod względem czystości reguły i surowości jej zachowania, w chwili, gdy przeciw nim się zerwała burza t. zw. reformacyi. W znacznej części, wielkie było ubóstwo tych służebnic bożych; to też gdy wydano uchwałę dotyczącą zniesienia pomniejszych klasztorów, za jednym niemal zamachem większa część żeńskich zgromadzeń zniknęła z ziemi angielskiej. Wielka stąd krzywda stała się całemu społeczeństwu królestwa, przedewszystkiem pod względem niewieściego wychowania. Rekrutując się przeważnie z pośród najpierwszego Anglii patrycyatu, zakonnice nie były tak odcięte od świata, aby w nim nie spełniać osobnego posłannictwa szlachetnych wpływów, gotowej pociechy, macierzyńskiej pomocy i błogosławieństwa. Wszakże już jeden z najpierwszych poetów angielskich, Chamer, opisując przeoryszę któregoś z współczesnych klasztorów, określał ją pięknie, iż była ona niejako „uosobieniem sumienia i dobrego serca, cała tchnęła litością i miłosierdziem“. Całe niemal wychowanie dziewcząt angielskich powierzone było zakonnicom. Czego uczono w tych przystaniach pokoju i cnoty? chyba programat edukacyjny, przywiedziony tu przez uczonego Benedyktyna, przewyższa dzisiejszą modłę wychowania niewieściego, lepszem zastosowaniem do posłannictwa i powołania kobiety wśród świata. Nie przeładowywano młodych umysłów nadmiarem niezdrowej wiedzy, lecz uczono panienki szycia, sztuki kuchennej, medycyny potrochu i chirurgii, celem niesienia pomocy rannym i chorym, dalej pisania, czytania, rysunku i t. d. Igłą i wrzecionem przeważnie uzbrajano rączki dziś do próżnowania zaprawiane systematycznie, mistrzynie zaś własnym przykładem kształciły swe uczennice w pokorze, skromności, cichości i pobożności życia.

To też zamach Henrykowy na długo położył kres wszelkiemu podnioślejszemu wychowaniu niewiast.

Spróbowano wymódz na zakonnicach dobrowolne oddanie klasztorów swoich w ręce królewskie, bądź obietnicą pensyi i innych korzyści, bądź groźbą uwięzienia i pozbawienia ich wszelkich środków utrzymania. Tymczasem oba środki zawiodły, i zakonnice przeważnie dawały siepaczom odpowiedź jednej z nich: „Jeżeli taka wola króla, wyjdę z klasztoru, choćby o żebranym chlebie, a co do pensyi, nie dbam o takową". Mimo względnej szczupłości łupu, zagrabionego w żeńskich klasztorach, Henryk rychło się z niemi uporał, pozbawiając dachu i chleba około 1560 zakonnic, z których przeszło 850 było Benedyktynek.

W r. 1538 dokonano zagłady ostatecznej zakonów kwestujących. Synowie śś. Dominika i Franciszka, z natury rzeczy najbardziej zespoleni byli z życiem ludu, z którego wyszli, do którego wracali, niosąc słowo Boże i przybliżając królestwo Boże na ziemi.

Opowiedzieliśmy już pierwszy zamach na Franciszkanów ścisłej obserwancyi. Tymczasem Bracia Mniejsi posiadali jeszcze w Anglii do sześćdziesięciu klasztorów, i największej ze wszystkich zgromadzeń zakonnych zażywali popularności. Dalej Zakon kaznodziejski miał pięćdziesiąt trzy domy, Augustyanie czterdzieści dwa, Karmelici trzydzieści sześć. Ci ostatni świecili osobliwem ubóstwem, a wraz dziwną rodzajnością piśmienną, tak wielu z nich pracowało piórem. Ogólna liczba braci żebrzących dochodziła w chwili zniesienia klasztorów do 1800. Zdawało się, iż samoż ich ubóstwo powinno było ich ochronić przed chciwością króla i onego siepaczy. Atoli zawsze było coś do zagarnięcia, choćby zakrystya, i ziemia, na której wznosiły się budynki klasztorne...

Zrazu zdawało się, iż ujdą zagładzie, acz mnożyły się uciski, śledztwa, nękania ducha i życia, sprawdzania stopnia gorącości przywiązania braci do Stolicy świętej. Znaczny poczet zakonników, przywiedziony do ostateczności, szukał za morzem bezpieczeństwa i swobody zachowania reguły swoich świętych patryarchów. Niebawem rozpoczęła się na dobre kampania za-

głady. Naznaczono pewnego Augustyanina, odstępcę, ogólnym wszystkich żebrzących zakonów przełożonym. Dodano mu niebawem innego, jeszcze bezczelniejszego wykonawcę zamiarów królewskich. Znikał też klasztor po klasztorze, a niejeden gwardyan czy przeor szedł na rusztowanie „za głoszenie, iż biskup rzymski jest Głową Kościoła“, lub „że pielgrzymki i cześć świętych obrazów przynosi duszom korzyść“, albo, i to najczęściej, za nieuznawanie „supremacyi“ króla w rzeczach duchownych. Zabrano się i tutaj do systematycznego osławiania zakonników, w sposób nie wytrzymujący krytyki, jak to jasno udowadnia mnóstwem dokumentów uczony Benedyktyn. Im mniejszy był plon rabunku, tem zawziętsze zniszczenie. Los zaś rozproszonych braci tem stał się smutniejszy, iż nie troskano się bynajmniej o ich dalsze przeznaczenie, co najwięcej, przy rozproszeniu dając im w rękę parę groszy, około pięciu szylingów, na opędzenie pierwszych potrzeb wyrzuconego z dotychczasowych kolei życia. Im mniej zachowywało się kościołów, im bardziej ustawało życie katolickie, tem mniej też było nadziei znalezienia jakiego stałego zajęcia. To też nędza rozproszonych nie znała granic.

Dokonawszy zniesienia pomniejszych klasztorów, Henryk zabrał się tem skwapliwiej do grabieży wielkich opactw, aby powetować zawód doznany skutkiem zbyt szczupłego plonu łupów dotychczasowo ściągniętych. Jęły się mnożyć *attainder*'y, czyli oskarżenia opatów o zdradę lub obrazę majestatu, wywierano coraz silniejszy nacisk na innych, aby ich zniewolić do ustąpienia rzekomo dobrowolnego dóbr i budynków klasztornych, a gospodarka świecka tak samowładnie występowała, iż gdy tylko opat okazywał większą oporność, co prędzej z ramienia królewskiego go składano, aby naznaczać innego, po którym się większych spodziewano ustępstw. Do roku 1540 zamknięto z kolei dwieście dwa domów zakonnych, rozproszono zaś ogółem do ośmiu tysięcy sług i służebnic bożych. Straszne są szczegóły prześladowania i ucisków owych dni, zagłady tylu zabytków przeszłości, zniszczenia tak wielu pamiątek, dzieł sztuki, kosztowności i świętości, niepowrotnie straconych. Zniesławiwszy zakonników, złamawszy ich oporność lub pozbawiwszy życia, siepacze przystępowali do

dzieła zniszczenia, przechodząc samychże Wandalów w szale rabunku i burzenia. Kowale i cieśle przybywali z młotami i siekierami wespół z wykonawcami woli królewskiej, aby zatrzeć sameż ślady wiary i przywiązania do religii przodków.

Niepodobna opowiedzieć poszczególnych dziejów zamknięcia tego lub owego opactwa, którego imię dotąd w Anglii słynie, przypomnieć, jak np. staruszek przeor z Christ Church w Cantorbery błagał, by mu pozwolono choć umrzeć w jego celi, jak inny opat skonał z rozpaczy, widząc zniszczenie swego klasztoru, lub przełożony zgromadzenia św. Piotra w Gloncester za nic nie chciał podpisać aktu poddania się woli królewskiej. Kto nam opowie smutek rozrywający serca tylu wiernych wobec rabunku, świętokradztwa i zbezczeszczenia najdroższych, najświętszych ołtarzy i przybytków? Warto tu zapisać słowa mnicha z Gloncester, który wówczas dał wymowny wyraz swej rozpaczy na widok zamykających się wierzei swego klasztoru. To co mówi o opactwie św. Piotra, jak wraz stosuje się i do smutnego końca innych domów bożych, zniesionych bezlitośnym kaprysem Henryka: „Przetrzymawszy w ciągu ośmiu wieków najróżniejsze koleje, opactwo to nareszcie upadło z woli królewskiej. Nadszedł dzień, szary i smutny dzień zimowy, w którym ostatnią odśpiewano Mszę św., po raz ostatni uniosła się woń kadzidła, ostatnie zebranie pobożnych modliło się dokoła ołtarzy Pańskich. A gdy stłumione echa wieczornej pieśni zginęły pod stropami starożytnego przybytku, wielu z tych co się zapóźniali, wśród uroczystej ciszy i pokajania mrocznej świątyni, wobec gasnących z kolei świateł, czuli dobrze próżnię, otwierającą się przed nimi, gdy odwieczne opactwo, wypraszające uroczystemi nabożeństwy łaskę i pomoc Bożą, udzielające tak hojnej gościnności przybyszom, tak troskliwej opieki ubogim, rozwieje się niby sen i zniknie niepowrotnie“.

Jakby dla wytracenia śladu życia zakonnego na ziemi angielskiej, nie wahał się Henryk targnąć i na osoby trzech najprzedniejszych opatów i infułatów benedyktyńskich, z Glastonbury, Reading i Colchester.

Wsławiony z pieśni o królu Arturze i rycerzach okrągłego

stołu monaster w Avalon czyli Glastonbury, osobną budził cześć w narodzie angielskim, uchodząc za najpierwszy kościół chrześcijański na brytańskiej ziemi, kędy złożone były zwłoki Józefa z Arymatei, a odgłos Chrystusowej ewangelii doszedł był na kilka wieków przed apostolstwem wysłanego z Rzymu przez papieża Grzegorza Wielkiego, mnicha Augustyna. Benedyktyńska w Glastonbury osada była ogniskiem życia i odrodzenia religijnego, aż po rok 1539, gdy ostatni opat, Ryszard Whiting, zginął na rusztowaniu, a majętności klasztoru zagrabił Henryk VIII. Było to jedno z najbogatszych opactw w kraju, drugi z rzędu pod względem rozmiarów kościół w Anglii. Sławiono znaczne dochody opata, który dziennie żywił do pięciuset osób, przygarniał ubóstwo okoliczne, dostarczał znacznego pocztu ludzi zbrojnych krajowej obronie, posiadał rozległe włości, bibliotekę niezrównaną, cztery zwierzyńce z łowów sławne, nareszcie szkoły, do których uczęszczała cała młódź owych stron Anglii.

Zrazu, gdy w r. 1534 narzucono poddanym króla Henryka VIII. przysięgę uznającą jego supremacyę, nawet w rzeczach duchownych, opat z Glastonbury wraz z zakonnikami swymi bez oporu takową złożył. Nie należy nam z góry potępiać ową słabość. Oceniamy ją dziś w świetle następstw i historyi, zdumiewamy się, iż zrazu w całej Anglii zaledwie błogosławieni: Jan Fisher i Tomasz Morus, oraz Franciszkanie ścisłej obserwancyi jasno przejrzeli w zasadzie i bez wahania się nową odrzucili rotę. Łatwo nam przychodzi sławić męczeństwo, gardzić nadwątleniem woli. Tymczasem ówczesni ludzie inaczej sobie tłumaczyli zrazu ową supremacyę; zdawało im się, że takowa nie naraża na szwank powagi Stolicy świętej, nie zmniejsza jedności z Kościołem. Nie przypuszczali stanowczego z Rzymem zerwania, przekonani byli, że Henryk wróci do pòbożności pierwszych lat swego panowania, kiedy to mimo nacisku spraw publicznych, słuchał codziennie do trzech lub pięciu Mszy. Zresztą nie wszystkie umysły na razie zdolne bywają pochwycić doniosłość każdej kwestyi spornej. Jedni odpowiadają wezwaniu bożemu o trzeciej, drudzy dopiero o jedenastej godzinie. Nie mniejsze to zasługi i nagrody, a opóźnienie starczyło wówczas dla niejednych za próbę konania. Opa

z Glastonbury szybko miał się przekonać o swej omyłce, i spostrzedz, że wymagania królewskie zarówno łamały prawa kościelne i zakonną regułę. Zaczem raz po raz przyszło mu upominać się za pogwałconemi przywilejami i swobodami swego opactwa. Ale król pożądliwem okiem spoglądał na dostatki starodawnej fundacyi, i postanowił zamachem na najprzedniejszego dygnitarza benedyktyńskiego okazać, iż przed żadnym gwałtem się nie cofnie, ani też od żadnej zbrodni się nie uchyli. Pod pierwszym lepszym pozorem zarządzono rewizyę papierów opata, przy tej sposobności niszcząc i obdzierając jego prywatne mieszkanie, a następnie uwożąc starca schorzałego do Londynu, aby go tam w Towerze zamknąć. Znalezione u niego bulle papieskie, argumenta przeciw rozwodowi królewskiemu, oraz biografia św. Tomasza z Cantorbery, który był przedmiotem osobnej, bluźnierczej nienawiści twórców reformacyi, starczyły za podstawę dla aktu oskarżenia. Acz i Katarzyna Aragońska i Anna Boleyn już legły w grobie, unosząc z sobą sporną kwestyę rozwodową, położono osobny nacisk na winę opata, chowającego u siebie rękopiśmienne zdania przeciw rozłączeniu króla z pierwszą małżonką. Jako członkowie Izby wyższej, przez Parów królestwa opaci powinni byli być sądzeni. Atoli Henryk VIII. bynajmniej się na to ich prawo nie oglądał, prostym i samowolnym *attainder*'em wysyłając ich na rusztowanie. Po ciężkiem w Londynie dwumiesięcznem uwięzieniu i rzekomem śledztwie, w którem oskarżono ks. Ryszarda Whiting'a o nieuczciwe włodarstwo dostatkami opactwa, kiedy owszem słynął przez całe życie z nieskazitelnego charakteru i roztropnej administracyi, odwieziono ośmdziesięcioletniego starca do skazanego na zagładę klasztoru w Glastonbury, aby go tamże wespół z dwoma towarzyszami wydać w ręce oprawców. Powtórzyły się krwawe a stałe sceny tracenia, chwilowe tylko zawiśnięcie na szubienicy, ćwiartowanie dyszących jeszcze ofiar, rzucanie odciętych członków do kipiącego kotła, przybicie głowy opata nad bramą klasztorną, rozesłanie krwawych szczątków do sąsiednich klasztorów celem rzucenia postrachu na zakonników.

W podobny sposób zginęli opaci z Reading i Colchester.

Pierwszy z nich, dom Hugon Cook, ani na chwilę nie chciał uznać supremacyi królewskiej w sprawach duchownych, codziennie Przenajświętszą Ofiarę składał za papieża, i jeszcze na rusztowaniu głosił wierność swą niezłomną dla Stolicy Apostolskiej. Dom Marshall, opat z Colchester, naraził się głównie królowi jako przyjaciel dwóch chwalebnych męczenników, Fishera i Morusa, których cnoty wielbić a zgon opłakiwać nie przestawał. Już to samo wystarczyło, aby mu dać udział w ich zwycięstwie, i do uszczknięcia palmy męczeńskiej powołać.

Do najciekawszych ustępów niniejszej księgi należy rozdział o dalszych losach uskutecznionej na klasztorach grabieży. Autor powiada, iż niezmiernie jest trudno ocenić doniosłość łupów Henrykowych. Gdybyśmy się trzymali cyfry przypuszczalnych dochodów z dóbr klasztornych i beneficyów duchownych, dochód przewyższający rocznie dwa miliony funtów szterl. naszej monety przeszedł był do szkatuły królewskiej, za krzywdą Kościołowi i ubogim zrobioną. Tymczasem pokazuje się, iż król nierównie mniej skorzystał ze swej grabieży. Przedewszystkiem zakonni właściciele lepszą gospodarką większe ciągnęli zyski z posiadanej przez się ziemi, następnie cała zgraja sępów zapragnęła uczestniczyć w rabunku. „Każdy z tych drapieżnych ptaków chciał się przybrać w pióra wyrwane ze skrzydeł Kościoła“, pisze autor współczesny. Rozpoczęło się ubieganie o udział w rabunku, walka na pięści o łupy kościelne. Niektórzy dopraszali się donacyi lub skupowali dobra poklasztorne za bezcen, na to tylko, aby je z korzyścią odprzedawać. Lord Andley wzbogacił się kosztem dziewięciu klasztorów, Lord Clinton otrzymał w darowiźnie majątki dwunastu domów zakonnych, książę Northumberland aż ośmnaście ich zagarnął, ks. Suffolk ni mniej ni więcej jak trzydzieści. Wykonawcy woli królewskiej umieli i o sobie nie zapominać, oszukując na pomiarach rolnych i leśnych, przyswajając sobie potajemnie część kosztowności, rzekomo na rzecz skarbu uwożonych. Niepodobna też ocenić, co król zrealizował rabunkiem zakrystyi, skarbców i budynków klasztornych, co w złotych i srebrnych naczyniach zagrabił. Wojna wydana relikwiom Świętych Pańskich niemało się przyczyniła do wzbogacenia chciwego

monarchy. Gdziekolwiek pobożność wieków kosztowne swym patronom sprawiła trumny i relikwiarze, spieszyli królewscy siepacze, aby pod pozorem walki ze starym zabobonem i zwietrzałemi przesądami, wyrywać drogie kamienie, obdzierać ołtarze, rozbijać ozdobne skrzynie, w których chowano szczątki uwielbione.

Przedewszystkiem św. Tomasz Becket, umęczony niegdyś za opór stawiany samowoli monarszej, był przedmiotem ślepej i bezbożnej nienawiści Henrykowych siepaczy, jak to wzmiankowaliśmy już wyżej. Nadzwyczajne bogactwa, zdobiące grobowiec jego w Cantorbery, wzbudzały osobną pożądliwość króla. Przepych trumny Świętego tak był niesłychanym, iż uczony Erasmus pisał, jako złoto było niemal najlichszym z materyałów użytych do owego relikwiarza, nasadzanego kosztownemi kamieniami, nieraz wielkości jaja. Już w jesieni 1538 r. osobnym edyktem królewskim św. Tomasz został ogłoszony zdrajcą. Zabroniono jego czci, rozkazano usunąć z kościołów jego obrazy, z mszałów jego officyum, pod grozą gniewu monarchy i karą uwięzienia. Postanowienie to w pewnej mierze przypomina pruskie rządy na polskiej Warmii, gdy nagle zniknęły tam obowiązujące modlitwy i nabożeństwa do świętych polskich patronów, wytrącone z mszałów, brewiarzy i roku kościelnego... Oczywiście wyrok obwieszczający św. Tomasza zdrajcą stanu, wiódł prostą drogą do zbezczeszczenia jego grobowca. Owszem, pewien autor współczesny twierdzi, iż bogactwa jego ołtarza i świątyni głównie spowodowały pośmiertne o zdradę oskarżenie. Rozerwano tedy trumnę Świętego, wyłupano z niej wszelkie ozdoby i kosztowności, uczczone zaś pobożnością wieków szczątki męczennika rzucono na pastwę płomieni, aby żadnego po nich nie zostało śladu. Wypełniono dwadzieścia sześć worów kosztownościami złupionemi na trumnie i ołtarzu św. Tomasza. Z najcenniejszego klejnotu, niegdyś daru króla Francyi, Ludwika VII., Henryk zrobić dla siebie polecił pierścień. Okrom mnóstwa złota, srebra, drogich kamieni, uniesionych z bogatej w Cantorbery świątyni, rabusie zabrali cztery cenne infuły, pierścienie biskupie, pastorał św. Tomasza, kapy z złotogłowia i inne kościelne zabytki i sprzęty. Siepacze królewscy obiegali najdroższe sercu Anglików przy-

bytki, targali się na najbardziej uczczone grobowce. Gdy w r. 1539 nie oszczędzili i wspaniałego grobu św. Cuthberta, nie bez grozy ujrzeli ciało jego nienaruszone, spoczywające w szatach kapłańskich. Przy obdzieraniu uwielbionych szczątków z kosztowności, użyty do tego rzemieślnik złamał nogę Świętego. Po odejściu rabusiów, zakonnicy porzuconym w zakrystyi zwłokom potajemny sprawili pogrzeb, do czasu ukrywając je w ziemi.

Szczegóły obrabowania klasztorów, kościołów i opactw pozwalają się domyśleć, iż Henryk olbrzymie bogactwa sobie tym sposobem przyswoił, pomimo licznych nadużyć i przeniewierstw swych wysłańców. Pamiętać należy, ile zagrabiono kielichów, monstrancyj, ampułek, relikwiarzy, pastorałów, haftów, agrafów, tac złotych i srebrnych, nawet fermuarów do mszałów i ksiąg liturgicznych. Bez względu na wartość artystyczną łupów, ani na ich historyczne znaczenie, król wszystko ciskał w ogień, aby wytopić złoto i srebro, które mu dało co najmniej około miliona funtów szterl. monety dzisiejszej.

Nie oszczędzono oczywiście i przyborów kapłańskich. Arcydzieła tkanin rozprzedawano za bezcen, i większa ich część wyszła wtedy z Anglii. Porty morskie przepełnione były mnóstwem ornatów, kap i dalmatyk, przez handlarzy za granicę wysyłanych. Materye wytykane perłami, oraz złotogłowia odkładano na rzecz króla. Najdroższe serc uczucia, codziennie bywały obrażane widokiem zbezczeszczenia przedmiotów, niegdyś ku czci ołtarzy poświęconych. Wysłańcy królewscy, jawnie na koniach unosili kapy i inne kapłańskie przybory. Oddawane w świeckie ręce gmachy poklasztorne, zdobiły się nieraz przedzierzgniętemi na świecki użytek przedmiotami kultu. Obrusy kościelne nakrywały stoły, kapy i ornaty krzesła, kielichy służyły do powszednich pijatyk. A nietylko zakrystya i skarbiec narażone były na zamachy rabusiów. Chcąc przyspieszyć dzieło zniszczenia, rozprzedawano na licytacyi sameż ołtarze, ławki, lichtarze, lampy, grobowce, płyty kamienne, okna, dachy, żelazo, ołów, spiż i kamienie. Później każdy zabierał co się ostało na miejscu. Gdy raz wierniejszy dawnym uczuciom katolik, wyrzucał krewnemu korzystanie z zagłady sąsiedniego opactwa i uwożenie zeń róż-

nych szczątków, tenże dał za całe tłumaczenie charakterystyczne słowo, wyjaśniające niejeden zabór i rozbiór: „Czemuż nie miałem brać, skoro drudzy brali?“

Oczywiście, najstraszniejsze marnotrawstwo towarzyszyło tak nagłemu przeprowadzeniu dzieła zniszczenia, w którem niepowrotnie zaginęły najcenniejsze zabytki, pamiątki, dzieła sztuki; książki mianowicie, rękopisma, prawdziwie nieocenione, zmarnowano z lekkomyślnością opłakaną. Zakonnicy angielscy kochali się w księgozbiorach, rosnących w ich ręku i pod ich pieczą. Przeważną ich część sprzedano mydlarzom i kupcom korzennym jako makulaturę. Za parę denarów szły całe skrzynie książek i manuskryptów. Najlepiej zmierzyć można doniosłość strat i zniszczenia, zupełnym niemal dziś brakiem ksiąg śpiewu liturgicznego w Anglii. Niedarmo papież Grzegorz Wielki głównie się był przyczynił do rozesłania apostołów chrześcijaństwa po Anglii. Od razu tam zakwitła muzyka gregoryańska i zasłynęły szkoły śpiewu kościelnego. A jednak nie zostało prawie żadnego śladu utworów dawnych mistrzów angielskich, tak całkowicie zniszczono ich rękopiśmienną spuściznę. Acz z przybliżonego obrachunku najkompetentniejszego w tej materyi znawcy, znajdować się musiało po kościołach i klasztorach angielskich co najmniej 250.000 graduałów, rytuałów, antyfonarzy i mszałów, z których zaledwie kilka egzemplarzy dochowało się do naszych czasów.

Wspomnieliśmy już wandalizm, niszczący dachy najpiękniejszych gmachów, dla zdobycia ołowiu, którym prawie wszystkie kościoły i klasztory bywały pokrywane. Zgraje robotników, naprędce zrywając owe dachy i rynny, w samejże nawie kościelnej *rozniecały ogień, zasilany* stallami, konfesyonałami, kratkami, aby doraźnie przetapiać zdobyty kruszec w t. zw. *foddersy*, czyli dziewiętnastocentnarowe bale, które następnie sprzedawano hurtownie handlarzom.

A i dzwony naprzemian przetapiano, lub wywożono za granicę, lub jeszcze oddawano do ludwisarni, aby spiżu używać do odlewania dział armatnich. Niekiedy mieszkańcy okoliczni ocalali miłe uchu dzwony, nabywając takowe na własność. Cóż zaś

powiedzieć o losie gmachów klasztornych, których zniszczenie po dziś dzień przejmuje serce Anglików wstydem, żalem i grozą? Nie zawsze ginęły one pod młotem wandalów. Niekiedy sąsiedzi próbowali zatrzymać rękę Henryka, ocalić jakie arcydzieło architektoniczne. Rzadko jednak owe prośby i zaklęcia pożądany odnosiły skutek. Najpiękniejsze katedry rozsypywały się w gruzy za rozkazem bezwzględnego monarchy. Czasami hurtowny nabywca budynków poklasztornych uszanować umiał ich całość. Zbyt często puszczano na licytacye składowe części opustoszałych gmachów. Doczytujemy się np., jak znalazł się osobny nabywca na wszystkie szyby i okna, lub znów kamienie, cegły i łupek skazanego na zagładę klasztoru. Tu za 12 szylingów sprzedawano płyty grobowe i kamienie ołtarzowe, tam znów belkowanie i wiązania, kupowano np. osobno refektarz z wszystkiemi porządkami, lub dormitarz zakonny z łóżkami i t. d. Nigdy w Henryku nie budzi się żaden skrupuł, nie przejawia najmniejszy żal wobec tak bezwzględnego spustoszenia. Pośpiech i nadużycia wszelkiego rodzaju tak okroiły plon grabieży, iż ostatecznie do korony wróciła bodaj jedna dziesiąta ogólnego rabunku, co nie przeszkadza, iż dzieło zniesienia klasztorów przyniosło królowi do piętnastu milionów funtów szterl. w dzisiejszej monecie, nie licząc w to mnóstwa drogich kamieni i złotogłowiów, z których obrano wszystkie zakrystye angielskie na rzecz szkatuły królewskiej.

Atoli skarby te szybko roztrwonionemi zostały i ulotniły się rychło, nowych wymagając grabieży, ażeby napełnić pusty skarb monarchy. Dziwnie regularnie powtarzały się zamachy Henrykowe na Kościół Boży, znacząc się co pięć lat nowemi gwałty. I tak w r. 1530 nałożył on ciężkie grzywny na duchowieństwo, w 1535 r. zniósł pomniejsze klasztory, w 1540 r. dokonał kasaty wielkich opactw, w 1545 r. dobrał się do uniwersytetów. Część zagrabionego łupu użyto na obwarowanie wybrzeży, potrzeby wojskowe i marynarkę, część wydano na upiększenie rezydencyj królewskich, lub nabycie majątków ziemskich włączonych do dóbr koronnych, najwięcej atoli nędznie zmarnowano. Król na prawo i na lewo rozdzielał owoc rabunku, darował np. cały jeden klasztor pewnej pani, która go uczę-

stowała smacznym pudyngiem. Byle kuchcik z łatwością uczestniczył w hojności monarszej, a wszyscy z jego marnotrawstwa korzystali. Nieraz też w gry hazardowne stawiał i tracił część zdobytych na klasztorach łupów. I tak pewnego dnia przegrał na jedną stawkę sławne dzwony Jezusowe, słynące w stolicy z doniosłego i rzewnego dźwięku. W każdym razie, mniejszość tylko z zagrabionych kościelnych funduszów poświęconą została potrzebom krajowym, przeważnie oddano bogate łupy na osobisty użytek i marnotrawstwo króla.

Rzekomo zawarowane rozpędzonym zakonnikom pensye, tylko pewnej ich części wypłacono, np. przełożonym i opatom, podczas gdy prostym braciom i zakonnikom żadnych środków utrzymania nie upewniono. Co się stało z licznym tłumem nieszczęśliwych ofiar Henrykowych srogości? Jakim był dalszy los biednych mnichów, biedniejszych zakonnic, wyrzuconych samowolą monarchy z cichych klasztornych przystani na rozhukane świata fale? — nie umiemy powiedzieć, odgadując tylko nieskończone uciski i udręczenia, z któremi ucierać się musieli. „Muza historyi, jakoby litością wzruszona, przysłoniła nam obraz tylu nędz i smutków, by nam oszczędzić zgryzoty“, pisze Dom Gasquet.

Niektóre zgromadzenia przeniosły się na kontynent, aby tamże zebrać rozbitków swoich i do czasu przeważnie się rekrutować w Anglii, aż wybiła godzina powrotu na ziemię ojczystą. Wzdłuż wybrzeży francuskich i flandryjskich powstały mnogie warownie, przechowujące tradycye życia zakonnego, tak bujnego niegdyś na wyspie Świętych. Stanęły tak seminarya w St. Omer i Donai, powstało angielskie w Rzymie kolegium. Przez cały wiek wychodzili z owych seminaryów i nowicyatów przysposobieni apostołowie i męczennicy Anglii. *Salvete, flores martyrum!* witał ich jeden z dostojników Kościoła, hymnem śpiewanym w dniu śś. Młodzianków. A trzeba rozczytywać się w rocznikach onych seminaryów, aby zmierzyć doniosłość hojnego strumienia krwi męczeńskiej, którą podlano wówczas żniwo przyszłości i ziarno wschodzące dziś obfitym plonem.

Powstawały tymczasem całe legendy o dziwach i zjawiskach, utrwalających na ziemi ojczystej pamięć wywołanych.

W zniszczonych gmachach klasztornych snuły się widma dawnych mieszkańców, z opustoszałych świątyń podnosiły się nocną porą śpiewy chórowe zakonników... Powoli znikali świadkowie dokonanych gwałtów, wymierały ofiary srogości króla, zanikała pamięć dawnej ich cnoty. Natomiast sprawcy tylu gwałtów i niesprawiedliwości, ustalali w pismach i paszkwilach rzucone na klasztory oszczerstwa, i historya coraz bardziej stawała się jednym wielkim spiskiem przeciw prawdzie, jak to zauważył de Maistre o dziejopisach okresu reformacyi i o tych co wyłącznie z nich później czerpać mieli. „Wyginął rodzaj mniszy pośrodku nas", pisał niebawem jeden z głośniejszych tej epoki autorów. Ostatni opat Westminsteru, sadząc drzewa dokoła ukochanego klasztoru, ufał, że podobnież benedyktyński szczep puści w przyszłości bujne odrośle. Nic nie zdołało tej nadziei w nim wygasić. Acz dwadzieścia siedm lat ostatnich przedłużonego życia spędził w więzieniu, do końca nietylko budował wszystkich cierpliwą cnotą, lecz nadto służył i w pętach jeszcze sprawie publicznej, hołdując przez to tradycyi benedyktyńskiej na ziemi angielskiej. Gdziekolwiek przerzucano dostojnego więźnia, używał wpływów swych i zostawionych sobie środków, ażeby nieść hojną pomoc ubóstwu, młodzież zachęcać w ćwiczeniach hartownych, darzyć nawet okolicę dobroczynnemi przedsiębiorstwami, jak budowaniem gościńców, łaźni i t. d. Jedynem życzeniem sędziwego opata Feckenhama było, aby imię jego braci nie wygasło na ziemi angielskiej. I oto w trzydzieści lat po jego zgonie, ostatni z jego zakonnych synów oblekał w suknię św. Benedykta grono nowicyuszów, którzy na obcej ziemi mieli tęsknie wyglądać powrotu do ojczyzny, i snuć tradycye swego świętego patryarchy, aby po upływie lat wielu, ponownie świat zbudować i zdumiewać rozkwitem życia zakonnego, życia benedyktyńskiego, w krainie ongi przez Benedyktynów nawróconej, uprawionej i ucywilizowanej...

Stwierdziwszy ów rzewny ciąg dziedzictwa pierwszych Anglii apostołów, Dom Gasquet zastanawia się nad bezpośredniemi skutkami zniesienia klasztorów przez Henryka VIII. Przedewszystkiem wskazuje, jako dotychczasowy skarb ubogich pochłoniętym został i roztrwonionym przez dynastyę Tudorów, zaczem

sprawcy owych krzywd i zaborów posunęli się do tak skrajnych nadużyć w jedzeniu i piciu, w rozpuście i zbytku, iż niejeden przypłacił zgubą własną nieprawości życia. Nie dziwić się mętnemu świadectwu współczesnych dziejopisów. Uczestnicząc w zbrodniach i korzyściach, próbowali usprawiedliwić dokonane gwałty, zniesławieniem swych ofiar. *Dom Gasquet* sumiennie wykazuje, jak kruchym jest gmach ich oszczerstw, jak błahemi i bezpodstawnemi szkalowania, jak promieniejącą cnota zakonna, zwyciężająca nagromadzone historyi fałsze. Instytucye zakonne uprzytomniają narodom dwa rodzajne i szlachetne pojęcia: życia modlitwy i wspólności pracy. *Laborare est orare,* było hasłem owych klasztorów bez liku, przypominających młodemu społeczeństwu obowiązek oddawania czci i chwały Bogu, a niesienia w ofierze krajowi i bliźniemu trud własny. Pamiętać należy, powtarza jeden z najuczeńszych pisarzy dni naszych, iż w średnich wiekach zakonnicy byli zarazem historykami, filozofami, prawnikami, nauczycielami, rolnikami, dobrodziejami włościan, fundatorami szkół i t. d. i t. d. To też zniknięcie ich wyrwało próżnię niewynagrodzoną w ustroju i porządku społecznym. Wystarczy wspomnieć zachody i kłopoty ludzi dzisiejszych, aby wynaleść jakiebądź środki zastąpienia dzieł miłosierdzia, niegdyś dobrowolnie przez klasztory podjęte i spełniane. Wszystkie świeckie zakłady i stowarzyszenia, szpitale i filantropijne przedsięwzięcia domagają się ustawicznie pieniężnej pomocy, a tymczasem większą część dostarczanego funduszu pochłaniają kosztowne administracye i pośrednictwa, kiedy ongi zakonnice i zakonnicy bez wysiłku, kosztu ni rozgłosu, owej służbie społecznej zadośćczynili prostą praktyką chrześcijańskiej miłości i miłosierdzia.

Doraźne i hurtowne wyschnięcie owych krynic dobroczynności wytworzyło w Anglii straszliwą nędzę. Najniechętniejsi katolicyzmowi pisarze to przyznają, owszem, oceniając rzecz ze stanowiska ekonomicznego, w zniesieniu klasztorów upatrują źródło i początek trapiącego po dziś dzień Anglię pauperyzmu, zarazy różniącej się z tylu względów od nieuniknionego w żadnem ludzkiem społeczeństwie ubóstwa. Zagrabione fundusze wzbogaciły króla i jego zauszników, posłużyły im za środek do

wystawniejszego i rozpustniejszego życia, a tymczasem ogłodzone ubóstwo, karmione dotąd chlebem miłosierdzia u furty zniesionych klasztorów, zamieniło się w tłum żebraczy. Osuszenie kanałów miłosierdzia wytworzyło krocie rozbitków, a wraz moralny jeszcze cios poniżeniem zadało ubogim członkom Chrystusowym. Ubóstwo w społecznościach chrześcijańskich nigdy wzgardzonem nie bywa, owszem, osobne budzi poszanowanie. Pierwszy Henryk VIII. wyróżnić umiał żebraków jakoby godłem ich opłakanego położenia, i żywiąc garstkę nędzarzy, wymagał, aby nosili zewnętrzne oznaki osobnego zobowiązania koronie, na szatach swoich zamienionych w liberyę dziadowską... Liczba żebraków tak szybko urosła, iż na jednego za dni Henrykowych, już ich było stu za panowania Elżbiety. Rosły podobnież zastępy włóczęgów, rabusiów, złodziei. Okrutne ustawy spróbowały położyć tamę złemu, karząc niewolą, nawet śmiercią, zbrodnię ubóstwa, sprowadzonego i rozwielmożnionego skutkiem zamachów Henrykowych. Wśród ogólnego bankructwa i niedoli krajowej, mnożyły się przykłady nieszczęśliwych, więzionych, biczowanych, wieszanych nawet, li tylko za zbrodnię włóczęgi i żebractwa, kiedy nowy ustrój państwa rzeczywiście pozbawiał ubogich chleba i zarobku.

Polityka Henryka VIII., hojnem rozdzielaniem dóbr poklasztornych między swych ulubieńców i zauszników, dała początek jednej jeszcze pladze, a mianowicie monopolowi ziemi, skupionej w jednych rękach i wzrastającej w olbrzymie latyfundia i majoraty. W przełomie ekonomicznym owej epoki słusznie upatrywać można rewolucyę, dokonaną przez możnych, kosztem maluczkich. Urosły dostatki jednostek, podczas gdy zwiększyła się i upowszechniła nędza ogółu.

A jeśli w porządku materyalnym i ekonomicznym, powszechny, ludowy dobrobyt tak dotkliwe poniósł szwanki, co powiedzieć o krzywdach wyższej doniosłości, wkraczających w dziedzinę duchowych korzyści i potrzeb? Oczywiście góruje tu przedewszystkiem upadek Kościoła, zerwanie z Rzymem, zastąpienie wiary przodków zimnym protestantyzmem. Ale i w dziedzinie naukowej zaznaczył się ruch wsteczny, wstrzymał się postęp,

cofnęły wiedzy podboje. Poziom wychowania powszechnie się obniżył. Zubożenie ogólne przerzedziło szeregi studentów. Mnóstwo szkół zamknąć wypadło, uniwersytety świeciły pustkami, brak burs klasztornych srodze dawał się uczuć uboższym wszechnic słuchaczom. Jednem słowem, dokonany zamach na długo społeczności angielskiej miał zostawić krwawiące się rany.

Dom Gasquet na tem kończy olbrzymią swą pracę, głównie dla protestanckich czytelników przeznaczoną, zaklinając ich, by zechcieli poznać prawdę i odnieść korzyści ze szczerego studyowania historyi, tak podstępnie przez długie lata fałszowanej. Niełatwem to zadaniem, przebić się przez te dwa olbrzymie tomy, przeczytać do tysiąca stron bitego druku, opanować ten surowy materyał, zbyt często przywiedziony w postaci dokumentów epoki i źródłowych świadectw. Żadnego przytem porządku ni układu, ciągłe nawroty, powtórzenia, mącące zadanie sprawozdawcy, wyczerpujące uwagę i pamięć czytelnika, nie dozwalające ogarnąć całości z pożądanym ładem. Ów nieporządek, wytworzony bodaj nadmiarem materyału, odbić się musiał w naszem streszczeniu, naraził na niektóre rozwlekłości, może niejasność w przedstawieniu rzeczy i uporządkowaniu wypadków. Niech nam to darowanem będzie, niech czytelnicy nasi, korzystając z zmudnej pracy naszej, raczą przeglądać ją z uczuciem, które nas samych ożywiało i wzruszało w ciągu pisania tych krwawych kartek.

Jakże-bo kreślić dzieje zniesienia klasztorów w Anglii, a nie myśleć o tych wszystkich warowniach ducha katolickiego, wiary przodków, jedności z Rzymem, które ucisk stuletni zburzył na ziemi naszej? Jakże nie wspominać tych klasztorów benedyktyńskich, dominikańskich, franciszkańskich, cysterskich, karmelickich, jezuickich, które z kolei zniknęły, sterząc ku niebu błagalną modlitwą opustoszałych murów, zamienionych na koszary lub więzienia, na cerkwie lub mieszkania czerńców prawosławnych? Kiedyż się znajdzie historyk zniesienia zakonów w Polsce, kasaty ich i konfiskaty w pruskim zaborze, prześladowania nieraz krwawego przez Rosyę na Litwie i Żmudzi, na Podolu, Wołyniu i Ukrainie, w Podlaskiem i Lubelskiem, po miastach polskich i polach Unii, podlanych żyzną krwią męczenników? Kto opisze

te ostatnie Msze, wygaszenie lamp świątynnych, zbezczeszczenie ołtarzy, rozpacz ludu, zniszczenie dzwonów i organów, rozproszenie służby kościelnej? Kto przypomni tułacze koleje wywiezionych w Sybir daleki, męczonych zwolna długiem więzieniem po cytadelach, kazamatach i monasterach prawosławnych? Kto obliczy długi poczet zniesionych klasztorów, zamkniętych kościołów, złupionych zakrystyj i skarbców, wywiezionych zakonników i zakonnic?

Dzieje ucisku katolików angielskich pełne są dla nas przyrównań i przykładów, pełne osobnego znaczenia, a przynoszą też osobną otuchę. Zdawać się mogło oczom bezbożnych, iż wyrwali z korzeniem życie katolickie, życie zakonne, boży siew poświęcenia, zaparcia i ofiary. A tymczasem kiełkowały w ziemi obumarłe napozór ziarna, polewane łzami wyznawców i krwią męczenników, aż gdy wybiła godzina swobody i pora wolności sumień, od razu zbudziło się, zakwitło, wybujało zgotowane zasługą przodków żniwo. Anglia jeszcze nie jest katolicką, lecz ruch katolicki coraz poważniej tam występuje, a duch pierwszych wieków, pierwszych chrześcijan, zda się ożywiać rosnące zastępy katolików angielskich. Przedewszystkiem rozkwit życia zakonnego, mnogość zakonnych powołań, zda się tam być dziedzictwem rozproszonych za dni Henryka VIII. wielkich rodzin zakonnych, a wraz i zadatkiem niedalekiego powrotu do jedności, wymodlonej, okupionej zasługą tylu dziewic wybranych, tylu mężów znakomitych. Jakby żądzą większego zaparcia i ofiary, głównie pośród najwyższych warstw społecznych dojrzewają powołania, a najostrzejsze reguły przyjmują się w krainie dostatków i komfortu. Mnożą się osady Trapistynek, ubogich Klarysek, Karmelitanek, dopraszających się nawrócenia ojczyzny; szkoły jezuickie idą o lepsze z najpierwszemi zakładami wychowawczemi w kraju; synowie św. Benedykta odzyskują utracone niegdyś dzierżawy i wpływy. Niekiedy całe rodziny poświęcają się służbie bożej. Wystarczy wspomnieć liczne potomstwo zacnego pułkownika Vaughan'a, spokrewnionego z najpierwszemi domami Anglii. Wszystkie córki schroniły się do klasztoru, wszyscy synowie oblekli suknie duchowne lub zakonne, jeden

z nich, Benedyktyn Dom Bede, umarł arcybiskupem w Sydney, drugi po Manningu wstąpił na stolicę Westminsteru i przywdział kardynalską purpurę... A nie są to rzadkie wyjątki. Patrycyat angielski nie przestaje składać dziesięciny z najpiękniejszych cór swoich i najdzielniejszych synów, porwanych umiłowaniem prawdy aż do szczytu ofiar i poświęcenia. Niechby i u nas podobny okup przyspieszył godzinę zmiłowania, niechby rodziny chrześcijańskie dobrem sercem oddawały służbie bożej co z siebie najlepszego, ową sól ziemi, zachowującą jej czerstwość i wartość, utrzymującą w społeczeństwie zrozumienie, ocenienie i ukochanie zakonnego życia i cnoty.

*M.*

# W CZARNOGÓRSKIEJ STOLICY.

Im wyżej, tem wokoło piękniej, tem w sercu raźniej. Z dołu wężowata, regularnym zygzakiem biegnąca droga, wygląda jak dla Cyklopów i przez Cyklopów w skale wybite, prawie prostopadle wznoszące się schody; tu dopiero widać, jakie to schody! Koniki biegną szybko, bo lekko, z gracyą w górę podnoszący się gościniec twardy, wyborny, jakby przez Lubeckiego budowany; ale jednak zanim do krańca jednego schodu dobiegną, upływa sporo czasu. Potem zawracają z miejsca i odbywają tę samą drogę w przeciwnym kierunku o sążeń, o dwa, o trzy wyżej, i tak dalej, tak ciągle, tak zdaje się bez końca... Tak dalej, tak ciągle. Ciągle to kotarskie domki, uliczki, ogródki; coraz mniejsze, coraz niewyraźniejsze pod oko się podsuwają, aż wreszcie zlewają się w jeden szary obraz, zielonemi punkcikami nakrapiany; to za nawrotem sine, we mgłach spowite, morskie lustro. Gdzieś daleko wśród mgły, stoi nieruchomy, jak zaczarowany okręt; dalej, na samym krańcu widnokręgu, parę statków stoi czy płynie, odróżnić trudno. I znów konie zawróciły. Zniknęło morze, statki, łodzie; zamigotały zdala domki Kotaru, z mgły nagle wynurzyły się na górze, na dole, okurzone austryackie mundury. Po munduraeh gromadka dzieciaków z bukiecikami i bardzo jasno wypisanemi na twarzyczkach słowami: „Weź, wąchaj, ale słono zapłać“. Po bukiecikach znów mundury, na prawo, na lewo mundury. Ktoby nagle z Ameryki lub Australii nadjechał, gotówby

przysięgać, że wojna między Czarnogórą a Austryą wypowiedziana. Wymowną jeszcze ilustracyą i podkreśleniem tych wojskowych przechadzek, otwarte armatnie paszcze, wystające z tu i ówdzie rozsianych forteczek. Nie przeszkadza to wszystko naturalnie kordyalnej a stałej przyjaźni między Jego Cesarską Mością Franciszkiem Józefem a Jego Książęcą Wysokością Mikołajem.

Na jednym z zakrętów niekończącej się serpentyny grzeczny woźnica, oczywiście Iwan, obraca się i ciceronuje:

„Tu granica. Z tej strony kamyczków, Austrya; z tamtej, gdzie ta dziewczyna pończochę robi, już Czarnogóra".

Niedaleko od granicy, zamiast komory, zamiast celników, czarnogórska karczma, w niej gospodarz, zagorzały czarnogórski patryota. W ostatniej austryackiej karczmie figurował na ścianie potężnie przez niegrzeczne muchy poplamiony portret *Franja Josipa:* tu w gościnnej izbie na pierwszem miejscu paraduje portret cara Aleksandra III., obok niego tuli się konterfekt księcia Mikołaja. Kto porozsypywał carskie wizerunki, których wszędzie tu pełno? Czy przychodzą one w bezpłatnym dodatku do nadsyłanych z Petersburga banknotów; czy cetyński rząd, w uznaniu wdzięczności za nadsyłane banknoty sam je zakupuje? To pewna, że ledwie się przejedzie kamyczkową granicę, ma się wrażenie, jakby się wjechało do lennej, co najmniej, własności, do hołdowniczego księstwa, do pewnego rodzaju ekspozytury rosyjskiego carstwa. Czekasz, dziwisz się, że Kozaka nie widzisz; że nikt o paszport nie pyta, do torebki nie zagląda. Może, z czasem i do tego przyjdzie.

Zresztą czy dziwić się tym portretom, tej czci i pewnego rodzaju miłości, która otacza tu Rosyę i wszystko co rosyjskie? Z Rosyi, z Petersburga płyną pieniądze, zboże, chleb, książki; a pieniędzy brak wielki, zboża mało, rokrocznie setki i tysiące rycerskich górali głodem przymiera; bez petersburskich książek, byłaby książka w czarnogórskich osadach niedościgłą rzadkością. Wielka Rosya uznała w księciu czarnogórskiej skały „jedynego swego przyjaciela"; jego dzieci na swój koszt w swych szkołach wychowuje; jego żądania, pretensye popiera swą powagą. A w dodatku do tych materyalnych, namacalnych węzłów, ileż łączy się

moralnych; ile wspomnień odbytych wspólnie walk, ze wspólnym mahometańskim wrogiem; ile wspólnych nadziei, ile wspólnego, najszczerszego apetytu na jak najszybsze pożarcie wspólnej aliantki i przyjaciółki: Turcyi. Wielka Rosya potężniejszy ma apetyt i oczywiście na większy kąsek czyha; mniejsza Czarnogóra skromniejsza w pretensyach i byle-jakim ochłapemby się zadowolniła. Naturalnie wie dobrze, że i o tym ochłapie niema co marzyć bez pozwolenia opiekuńczego petersburskiego przyjaciela. Jakże takiemu przyjacielowi nie służyć; jakże małemi grzecznościami za wielkie się wywdzięczając, nie wystawiać jego portretów, gdzie wystawić się dadzą?

Społeczno-polityczne dumania, carskim wizerunkiem wywołane, przerywa najprzód kudłaty pies, co siłą i podstępem stara się zdobyć me kolana i urządzić sobie z nich dla strudzonego łba wygodną poduszkę; następnie parę kotów zazdroszczących psiemu koledze tak świetnego pomysłu; wreszcie olbrzymi karczmarz, zastawiający niezgrabnie na kamiennym stole sielską przekąskę: chleb, ser wyborny, aromatyczny, czarne jak atrament i smakiem mocno atrament przypominające wino. Sama karczma do naszych karczem podobna; z lewej strony wązkiej sionki izba gościnna i komora, w której prócz przysmaków, co złożyły się na *menu* dopiero co zastawionego śniadania, widać zwieszone z pułapu, nie bardzo apetycznie wyglądające płaty wędzonego mięsiwa, z szafki wyglądają butelki nieodzownej *rakiji*, czyli mówiąc po prostu i po polsku: wódki; z drugiej strony sionki mniejsza gospodarska izdebka. Za to karczmarz nie w jupicy, nie w jarmułce; słowem, ledwie wierzyć się chce, że to istotnie karczmarz. Na nogach nosi pewnego rodzaju krypcie; do kolan biegną wełniane pończochy, z tyłu przez całą długość złotym lampasem ozdobione; spięte pod kolanami szafirowe spodnie łączą się za pośrednictwem czerwonego pasa w białe prążki z czerwonym szpencerem, na którym znowu zwiesza się od niechcenia spięta pod szyją dwoma wielkiemi guzami ciemno-wiśniowa kurta; na głowie, w domu jak poza domem, okrągła czapeczka o czarnych brzegach i czerwonem, misternie wyszywanem dnie; w ustach naturalnie papieros. Nasz karczmarz, podając chleb i ser, nie

miał przy sobie pistoletu; za dom nie ruszyłby się bez tej ozdoby i obrony, jak u nas wielu za dom się nie ruszy bez laski, lub parasola. Dwa małe, może dziesięcioletnie smarkaczyki, ubrane kubek w kubek jak ojciec. Jednemu matka miskę z wodą pod szyję podstawia i szuruje zapamiętale zamurdzaną twarzyczkę; młodzieńczy Czarnogórzec poddaje się tej operacyi z godnem podziwu bohaterstwem, dozwalającem rościć sobie najśmielsze nadzieje o przyszłych jego bohaterskich czynach. Prawda, że wśród tych skał gorąco jak w piecu.

Skały i skały... Domki nawet, wśród skał rozrzucone, tak ze skałami się zrastają, że niewiedzieć gdzie dom się zaczyna, gdzie skała się kończy. Ludzie muszą tu być ubodzy, często, bardzo często głodni. Kilka kobiet grzebie właśnie w miniaturowym kawałeczku ziemi, mozolnie naniesionej w trochę szerszą, zostawioną przez skały szczelinę; aż przykro patrzeć, jak pot strumieniem im się z czoła leje, a jak mało z tej pracy będzie pożytku. Pierwsza gwałtowniejsza nawalnica poniesie może cały „grunt“ daleko i znowu sprowadzaj z dolin ziemię, sprowadzaj na własnym grzbiecie, błagaj o trochę ziarna i czekaj na następną nawalnicę.

Spuszczamy się na dół do Niegusza, kolebki rządzącej dziś dynastyi. Pod sam koniec XVII. wieku, Nieguszanin, Piotr Daniło, ogłosił się duchownym władyką i świeckim księciem Czarnogóry, a prowadzone przezeń liczne wojenne lub, jeśli kto woli, zbójeckie, ale wogóle zwycięskie wyprawy na Turków, zapewniły Czarnogórze przynajmniej połowiczną swobodę, a rodzinie Petrowiczów tron — alegoryczny, i berło — bynajmniej nie alegoryczne, choć raczej żelazne, niż złote. Rządy to były, a poniekąd i są, napół patryarchalne, napół barbarzyńskie. Pojmany przez Turków Daniło okupił wolność olbrzymim haraczem 30.000 dukatów; mszcząc się za więzienie, za ponoszone w niem tortury, za haracz, urządził w noc Bożego Narodzenia 1702 r. ogólną rzeź Muzułmanów, zamieszkujących Czarnogórę. Synowiec i następca Daniły, Sawa, wiódł raczej pustelnicze, niż rycersko-zbójeckie życie; za życia też jeszcze odstąpił rządy synowcowi swemu, archimandrycie Wasylowi, a sam zamknął się w monasterze. Głośniejszy od nie-

dołężnego Sawy, od bawiącego się w historyka Czarnogóry, Wasyla, sprytny, energiczny Piotr Piotrowicz, którego nieguszyńscy, cetyńscy, rieccy, podgorzyńscy górale czczą po dziś dzień jako świętego i w ważnych wypadkach przysięgają na jego relikwie. Korzystając z napoleońskiej burzy, zatknął kniaź-władyka, czarnogórski sztandar w Kotarze; cieszył się, że spełnił wreszcie dawne marzenia wszystkich czarnogórskich mężów stanu i bramę do morza sobie otworzył, ale radość ta trwała niedługo; na nadeszły z Paryża rozkaz cara Aleksandra, trzeba było już po kilku miesiącach Kotar opuścić. Względnie spokojniejsze panowanie miał Piotr II., prawodawca, poeta. Dotąd najwyższa władza duchowna łączyła się w jednej osobie z najwyższą władzą świecką; następca Piotra, młody Daniło (1851—1860), wytłumaczył osobiście najprzód Paszkiewiczowi w Warszawie, następnie w Petersburgu carowi Mikołajowi, że wódz rycerskiego, w ciągłej walce pozostającego kraju, nie ma czasu na psałterze, i że najlepiej będzie, jeśli zechcą go uwolnić od przyjęcia biskupiego namaszczenia, a tem samem od celibatu. Car zgodził się na propozycyę, obdarzył Danilę orderem św. Stanisława i pozwolił pojąć mu za żonę córkę bogatego tryestańskiego obywatela, która pierwsza wprowadziła do Cetynii pewne przynajmniej europejskie zwyczaje, do książęcego pałacu europejski komfort. Pierwszego sierpnia Daniło padł w Kotarze, w czasie wieczornego spaceru nad brzegiem morskim, ofiarą skrytobójczej kuli, wymierzonej przez osobistego swego nieprzyjaciela, awanturnika, wypędzonego z Czarnogóry. Zamordowany nie zostawił syna; dlatego senat cetyński ogłosił księciem dwudziestoletniego Nikitę, syna Mirka Petrowicza, brata zamordowanego kniazia. W Nieguszu pokażą ci dom, w którym Nikita się urodził; pokażą kamieniste szczyty, na które, przybywając niedorosłym chłopięciem na wakacye z paryskich szkół, lubił się wspinać.

„Wielki nasz książę! – mówi Czarnogórzec z czcią i dumą.— Do czego napróżno zdążali dawni nasi bohaterowie, to jemu Bóg dał w rękę. Bar, Ulkin[1] dziś nasze; już nietylko mamy góry,

[1] Antivari, Dulcigno.

mamy i urodzajne doliny, a co najważniejsza, mamy morze. Prawda, niemało czarnogórskiej krwi się wylało; przynajmniej nie wylało się zupełnie napróżno. Prawda, za 12 zwycięskich bitew w czasie wielkiej turecko-rosyjskiej kampanii, za 60 zwycięskich potyczek, większa nam się nagroda należała, i mielibyśmy większą, gdyby nie nieszczęsny berliński kongres. Ale nasz książę czuwa; ale Czarnogórcy nie zapomnieli jeszcze, dzięki Bogu, jak wygląda stal, jak ołów pachnie; prędzej czy później osiągną co im się z prawa przelanej krwi należy"...

Z rodzinnej wioski (być może, że urzędowo nazywa się miasteczkiem) Piotrowiczów do stołecznej ich rezydencyi, z Niegusza do Cetynii, droga niezła, choć do białej, świecącej szosy po austryackiej stronie się nie umyła. Nad przepaściami, prostym, ptasim szlakiem biegną telegraficzne druty; jedyny to znak, że ludzie gdzieś wśród tych skał żyć muszą, z innymi ludźmi się komunikują. Woźnica zaręcza: „Za pół godziny będziemy w Cetynii", a nigdzie, jak okiem sięgnąć, śladu życia, nigdzie żyjącej jakiejś postaci nie widać. Przed godziną może minęliśmy kilka cyklopejskich wozów, naładowanych zwojami telegraficznego drutu, i odtąd cicho, głucho, pusto... Nagle coś białego, coś z obszernej doliny wystającego od szarych skał i białego gościńca się odcięło; jeszcze chwila, a do niewyraźnego obrazka białych domków, zielone tło łąki przybyło; poczciwy Iwan zwraca się całem ciałem i szczęśliwy z odniesionego zwycięstwa, z osiągniętego kresu drogi, wskazuje z tryumfem, jak Napoleon na piramidy:

— Cetynia!

Trzeba wiary, silnej wiary, że istotnie jestem w stolicy europejskiego państwa. Trochę rozrzuconych wiejskich domków, parę kamieniczek, bardzo skromna cerkiewka: oto Cetynia wszerz, wzdłuż, wokoło. Przed paru laty dziwiłem się, obserwując idyllicznie pasące się gąski czy cielątka przed jednem z belgradzkich ministeryów; tu się już nikt sielskiemu takiemu widokowi nie dziwi, tak całe otoczenie do niego dostrojone. Na wyschłym trawniku, niedaleko książęcego pałacu („pałacem" się nazywa), kilka owieczek hasa i trawkę skubie; obok jakaś babulka nakłada

systematycznie, powoli, zeschłe gałązki na pokornego, ze spuszczonym łbem dumającego osiołka; za nią dwóch rosłych górali niesie na potężnym drągu dwa świeżo zabite barany. Obdzieli się niemi dwór, ministerya, generalicya; może i dla hotelowych stołów coś się zostanie.

Jeszcze w drodze Imci pan Iwan namawiał mię usilnie, abym zajechał koniecznie do najlepszego z cetyńskich hotelów, do *Kraljević'a Marka;* wręczył mi nawet, na poparcie ustnych dowodów, zadrukowany kawałek kartonu, na którym stało czarno na białem, w kiepskim z francuska niemieckim języku:

„Hotel *Kraljević Marko*, urządzony z największym komfortem, kuchnia niemiecka, świeże napoje, wyśmienita usługa, umiarkowane ceny. Rozmowa w języku niemieckim, francuskim, włoskim, greckim, albańskim, tureckim i serbskim"...

Jak oprzeć się tylu ponętom? Jak, po co zajeżdżać do kosmopolitycznego *Grand-Hôtel*, kiedy można zamieszkać w narodowym, urokiem poezyi i bohaterskich wspomnień owianym „Królewiczu"? Stańmy przed „Królewiczem".

Słowa: „największy komfort", mają zawsze i wszędzie bardzo względne znaczenie; w Cetynii mają widać jeszcze względniejsze znaczenie, mniej więcej to samo, jakie miećby mogły np. w Drohobyczu lub Żydaczowie. Już z zewnątrz „królewiczowski" zajazd wygląda arcyniepokaźnie; wewnątrz najautentyczniejsza „dziura", na szczęście nie żydowska, bo właściciel, p. Antoni Reinwein, nie Żyd, ale *Propriétère Deutsch*, jak się litera w literę podpisuje na wizytowych biletach. Niebawem pokazuje się, że tenże sam *Propriétère* jest w jednej osobie kelnerem, naczelnym kuchmistrzem, a jednocześnie na hotelowych prospektach zapowiedzianym: Niemcem, Francuzem, Włochem, Grekiem, Albańczykiem, Turkiem i Serbem. Pomimo tego nawału zajęć i tytułów, czasu mu nie brak; przeciwnie, niezmiernie rad, że ktoś „z Europy" zawinął do cetyńskiego portu i sam, z własnej inicyatywy, ofiarowuje się oprowadzić mię po Cetynii i jej okolicach. „To nie jakaś grzeczność — tłumaczy i zaręcza — to po prostu dla mnie pożytek i przyjemność. Cierpię na reumatyzm i dużo ruchu potrzebuję, a samemu chodzić nudno".

Przed przechadzką obiad. Ceny istotnie umiarkowane, kuchnia przypomina nie tyle Niemcy, co raczej kalwaryjską oberżę, w której przed paru latami oglądałem wygotowaną cielęcą skórę i pływające w szarym płynie cielęce kości; napoje świeże; usługa, *Bedienung*, w najściślejszem słowa znaczeniu *feine*, bo sam pan domu i półmiski podaje i rozmową bawi. Zgromadzeni goście — w liczbie trzech — niepotrzebnemi ceremoniami się nie krępują; jeden bez surduta przyszedł, bo uważa, że za gorąco; drugi, naprawiający już od paru tygodni zepsute cetyńskie fortepiany i klawikordy, zapomina raz po raz, że ma przed sobą stół, nie fortepian, talerze, nie klawisze. Nie przeszkadza to doskonałemu humorowi, podsycanemu, nie wątpię że świeżem, a w każdym razie bardzo lichem czarnogórskiem winem. Mistrz fortepianów opowiada o swych przygodach w Krakowie, Lwowie, Rzeszowie; p. Reinwein ogłasza, że z jego kuchnią żadna inna w Cetynii nie wytrzymuje porównania. Zapewne, zapewne restauracya w *Grand-Hôtel* wspanialej urządzona; większa, rozgłośniejsza jej sława. Ale dlaczego? Po prostu dlatego, że tamtejszy restaurator spokrewniony z księciem i nakłada bardziej słone ceny. Komu o to chodzi, kto przyjrzeć się chce, jak trzymają noże i widelce akredytowani u księcia europejscy dyplomaci, niech zdrów idzie do *Grand-Hôtelu;* ale kto chce się posilić przyzwoicie a tanio, zabawić się, pogadać bez ceremonii przy szklaneczce wina, ten zrozumie i powie wszystkim swym znajomym: „Niema w czarnogórskiej stolicy, niema w całej Czarnogórze hotelu milszego, wygodniejszego, nad hotel ‚Królewicza Marka!'"

Tuż obok hotelu źródło, z którego płyną po całej Europie urzędowe wiadomości o czynach i zamiarach Jego Książęcej Mości: mała drukarnia, w której wychodzi znany z tytułu wszystkim pilnym czytelnikom politycznych gazet: *Glas Crnogorca;* i o wiele mniej znany literacki — zdaje mi się — dwutygodnik: *Zeta.* Książęco-uprzywilejowana „dzierżawna sztamparia" przechodziła różne koleje. Przed kilkudziesięciu laty, w czasie jednego z najgwałtowniejszych tureckich napadów, zabrakło ołowiu i wtedy długo się nie namyślając, przelano niosące oświatę czcionki na niosące śmierć kule; później, w r. 1857, gdy czasy się trochę uspokoiły,

nabył Daniło nowe czcionki i od tego czasu państwowa drukarnia funkcyonuje bez niezdrowego natężenia, ale prawidłowo.

I tych kilkunastu chłopców, zwinnych, wysmukłych, w czerwonych, szerokich spodeńkach, w malowniczych sukmankach, nie natęża się chyba zbytecznie, sądząc po minach; żaden z nich nie zapomina, że więcej przez całe życie mieć będzie do czynienia z pistoletem i tytoniem, niż z zadrukowaną bibułą. Ale teraz iść trzeba do szkoły, przekształconej z dawnego pałacu księcia Daniło; iść trzeba, więc idą; prozaicznie, jak na prawdziwych żaków przystało, trzymają pod pachą gramatyki i kajety; za to w ustach trzymają papierosy, jak dorośli, i popluwają wokoło częściej niż dorośli. Dziadowie ich nie przebywali jeszcze szkolnej męki; wnuki przebywać ją muszą. Ci, których talent, rodzina, a w ostatniej instancyi książę wybierze z góry na przyszłych dygnitarzów, udadzą się później do rosyjskich szkół i uniwersytetów kończyć edukacyę. Inni, kto wie, czy nie szczęśliwsi, wyuczą się czytać, pisać; wyuczą się zwłaszcza historyi swego kraju i narodowych pieśni i stąpać będą wiernie śladami swych przodków; marzeniem ich, pieśnią, tłem życia będą stare ideały wszystkich serbskich bohaterów — bój z niewiernym Turczynem. A kto wie, czy właśnie wśród tych nieuczonych rycerzy-górali, nie zrodzi się jaki poeta, którego natchnione rymy, jak rymy dawnych czarnogórskich gęślarzy, przechodzić będą z ust do ust, i kto wie, czy szerszych kół nie zatoczą, głębiej się w pamięć całych pokoleń nie wcisną, niż nawet bardziej cywilizowane, gładziej utoczone wiersze wychowańca Paryża i Petersburga, księcia Nikity.

Z daleka, do Cetynii nie zaglądnąwszy, wyobraża się sobie mimowoli cetyńskiego samowładcę, jako rycerza-rozbójnika, z kręconemi wąsiskami, wzrokiem dzikim, suknią plugawą, nożem za pasem; przyjechawszy do Cetynii, stojąc przed arcyskromnym, raczej szlacheckim dworkiem, niż królewskim pałacem „starszego zbójcy“, słysząc poufałe opowiadania Cetyńczyków o swym kniaziu, pogląd się zmienia: „To chyba trochę buńczuczny, ale poczciwy szlachcic, co w swych posiadłościach patryarchalnie rządzi, z każdym rad przestaje, z każdym pogada i w domu i na ulicy,

patryarchalnemi nagrodami i karami ład utrzymuje". Głębszych jeszcze zasięgnąwszy informacyj, dowiesz się, że ten „starszy zbójca", ten szlachcic buńczuczny, jest zarazem pierwszorzędnym poetą, dramaturgiem. Jak niegdyś władyka Piotr Piotrowicz Niegusz zagrzewał swych współplemieńców ognistą pieśnią do walki z Turkami; tak dziś następca jego na książęcym tronie, wydaje jakby poetyczno-polityczne manifesty do swych poddanych, otwiera przed nimi daleko sięgające horyzonty, o których prozą w *Czarnogórskim Głosie* mówićby mu nie wypadało.

„Łączmy się ze sobą Słowianie — zachęca *gospodar-pjesnik* w poemacie *Pjesnik i Vila* („Poeta i Wila"), w dramacie *Balkanska Carica* („Bałkańska królowa") — łączmy się ze sobą mieszkańcy Bałkanów! O ludy, o narody, co się dzieje z wami? Leżycie na ziemi i każdy kopnąć was może. Och! gdyby ci bohaterzy złączyli się ze sobą bratnią miłością, dosięgliby swym mieczem Wschodu lub Zachodu — wedle własnego wyboru!"

„A cóż — pyta się syn ojca, pyta Stanko (Stanisław) Iwan-Bega — a cóż sprzeciwia się jedności naszych ludów, dziś rozłączonych, płaczących, wolności pozbawionych?"

„Małostkowe idee, zaczerpnięte z przeszłości, egoizm wspomnień — oto! co się sprzeciwia... Gdyby Serb Bułgarowi, jak bratu, był powiedział: ‚Patrz! do mnie Serbia należy, do ciebie Bułgarya!' — gdyby Chorwatowi, drogiemu bratu, był powiedział: ‚Co do ciebie należy, to twoje; co do mnie należy, to moje' — boć Serbowie, boć Chorwaci jednego mają wroga; gdyby obydwaj powiedzieli Serbowi: ‚Serbie! dłoń nam podaj! razem z tobą, dla ciebie na wszystkośmy gotowi'; gdyby Serb, Chorwat, Bułgar uznali w Greku dawną mądrość, i żyli z nim, jak na dobrych przystało sąsiadów — o! inne, inaczej wtedy ptaki śpiewałyby od Olimpu aż po Drawę! — rozumne myśli zabłysłyby wśród kłócących się dziś narodów! Nie stało się tak, nie stało niestety! i oto co się dzieje: przeklęty cudzoziemiec na wszystkich trzech zarzucił łańcuchy"...

Któż pomoże w zapasach z śmiertelnym wrogiem, czy Niemcy, czy Madziarzy?

„Precz! — woła Iwan-Beg, a przez usta Iwan-Bega woła

czarnogórski książę — precz z Niemcami, precz z Madziarami, niech do naszych domów się nie zbliżają! Wilk zmienia skórę, ale natury swej nigdy, nigdy nie zmieni!...“

Wystawić sobie nietrudno, jakieby zagrzmiały potężne oklaski w cetyńskim teatrzyku, gdyby śmiałe te słowa odezwały się ze sceny choćby dziś, jutro, a cóż dopiero w chwili gwałtowniejszych przewrotów na półwyspie bałkańskim!

„Ha! niech kto podniesie śmiałą rękę na bałkański nasz lud, a spali mu rękę płomień buchający z ogniska wolności! Naszego ludu nikt nie poprowadzi jak bydło; nie poprowadzi go ani Wenecya, ani Stambuł! — łańcuchy nasz lud potarga, przeszkody obali! Wszystkie bałkańskie ludy zginąć gotowe dla swych Bałkanów!...“

Bawi się książę w wolnych chwilach w dramatycznego autora; za mądry, aby miał się bawić w zbyt hojnego teatralnego mecenasa. Cetyński teatrzyk, w którym od czasu do czasu grywa przejezdna jakaś serbska trupa, przypomina łudząco improwizowane teatrzyki po mniejszych galicyjskich miasteczkach. Sześć lamp naftowych, trochę świec, zastępuje gaz i elektrykę. Salkę wypełnia szereg ław bez oparcia dla zwykłej publiczności; trochę krzeseł z oparciem dla arystokracyi i plutokracyi; też same krzesła, tylko ustawione na lekkiem wzniesieniu i z tej racyi zowiące się „lożami“, dla ministrów i najwyższych dygnitarzów. Jest i książęca loża, tj. mała komórka z desek, zasłonięta czerwonem suknem. Jakim sposobem teatralny impressario wychodzi na swojem, to jego sekret; wszak jeśli wierzyć, a czemuż nie wierzyć miejscowym teatromanom, zwyczajnie bywa na przedstawieniu od 20—30 widzów, i to pytanie czy wszyscy płacą, bo niektórzy obdarci, że aż niemiło. Dopiero w środku przedstawienia wpuszczane, prawdopodobnie bezpłatnie, gromady dzieci, jako tako wypełniają salę. Honor cetyńskiego teatru do pewnego stopnia uratowany, ale czego się te chłopaki nauczą, i czy bardzo się zbudują na zapowiedzianej np. na dzisiejszy wieczór, z niemieckiego przerobionej komedyi: „Jedna noc w Berlinie“? Ktoby chciał napisać broszurę lub artykuł, ośmieszający teatr,

teatromanię i teatromanów, musi koniecznie, oprócz Krakowa, pojechać i do Cetynii.

Pod jednym dachem z Thalią i Melpomeną, zamieszkała Aoide, stara muza śpiewu, a obok niej roztasowała się królowa myśli: Melete. Aoide, a raczej jej czciciele tak niegrzeczni, że w czasie najtkliwszych, najpatetyczniejszych ustępów, wygłaszanych na scenie, rozpoczynają próbę w sąsiedniej sali i przygłuszają swemi *fisami* i *cisami*, dość skądinąd głośne „och!“ aktorów i „ach!“ aktorek. Melete niewielką ma salę pod swemi rządami, ale sali tej ominąć nie wolno, bo w niej koncentrują się czarnogórskie muzea, biblioteki i resursy. Jest tu trochę kamieni i mniej lub bardziej ciekawych wykopalisk; jest bilard, są dwie szafy z książkami; na wielkim stole leżą rozłożone dzienniki i miesięczniki: *Révue des deux mondes, Neue Freie Presse, Il Pensiero, Cerkewnij Wiestnik, Nowoje Wremja*... parę innych, których zanotować sobie nie zdążyłem. Przy stole siedzi dwóch młodych, rosłych jak młode dęby Czarnogórców, naturalnie z pistoletem za pasem, i żarliwie przerzuca świeżo nadeszłe pisma; jeden nawet ołówka dobył i coś sobie notuje... Więc już i tu, więc już i do tej wioski-stolicy, dziennikarska zaraza przez góry, przez skały się przedziera!...

Zwiedzanie muzeum, biblioteki, nie zabiera dużo czasu. W przypierającym do dość poważnej skały monasterze, naturalnie prawosławnym, oglądać można wspaniałe kościelne aparata, dar rosyjskich cesarzów; przed monasterem grobowce dawnych książąt-władyków i późniejszych książąt nie-władyków. Największą czcią otoczony grobowiec Piotra I., którego Czarnogórcy czczą nietylko jako narodowego bohatera, ale nadto jako świętego. Szczątki Iwan-Bega, opiewanego przez panującego dziś księcia, spoczywają w kaplicy, również przez księcia-poetę zbudowanej. Na niewielkim pagórku, otoczony domami, stary cmentarz; poza ostatniemi domami, nowy, niedawno temu założony cmentarz; dalej groby skazanych na śmierć i tych co umarli na zaraźliwe choroby. P. Reinwein, któremu dotąd nic dobrego humoru nie mąciło, teraz nagle bardzo spoważniał.

„Na starym cmentarzu dziecko mam pochowane i na no-

wym cmentarzu drugie dziecko. Gdyby choć nasz, katolicki ksiądz zwłoki pokropił, modlitwę nad trumną odmówił; ale gdzie nam o czemś takiem myśleć. Gdy katolik umrze, a jest nas w Cetynii 50—60 katolickich rodzin, to ciało jego do grobu pop prawosławny odprowadza, bo któż ma odprowadzić? Piętnaście już lat, jak z Niemiec tu przywędrowałem, i dzięki Bogu, nie najgorzej mi idzie. Cudzoziemców w lecie nie brak, więc i w hotelu jest zarobek; jest co jeść, mięsa wprawdzie nie zawsze oglądam, ale za to jest ryż, makaron, jarzyny; jest wino krajowe, cierpkie, ale zdrowe, powietrze cudne. Wszystko dobrze i pięknieby było, gdyby człowiek żyć tu nie musiał jak poganin. Na wielkie uroczystości idzie jeden, drugi z nas do prawosławnej cerkwi—bo gdzieś pójść i pomodlić się trzeba; tylko zawsze to jakoś nieswojsko. Zresztą, niedziela nie niedziela, poniedziałek nie poniedziałek, wszystko jedno. Kilka razy na rok przyjedzie do nas ksiądz z Kotaru i Mszę odprawi; czasem w lecie od Baru, od Kotaru ksiądz jakiś się zjawi, ale na to rachować nie można. A tu ludzie umierają, chcieliby przed śmiercią swych obowiązków katolickich dopełnić; dzieci się rodzą, trzeba je ochrzcić. A kto ma chrzcić, kto ma grzebać? Przychodzi w potrzebie pop i ochrzci, pogrzebie; ludzie się do tego przyzwyczajają i choćby czasem mogli, nie pomyślą o sprowadzeniu swego księdza"...

Jeden z przyjaciół p. Reinweina, także katolik, także od dawnych lat w Cetynii osiadły, zawodzi na energiczniejszą nutę, te same, zbyt słuszne żale:

„Koniecznie potrzebaby nam osobnej katolickiej kapliczki, której nie potrzebowalibyśmy się wstydzić; a przy kapliczce mieszkającego stale księdza. Gdyby to Rosya była katolicką, i tylu katolików było w Cetynii co jest dzisiaj, to mielibyśmy tu od dawna nie kaplicę, ale piękny kościół. Austrya, naturalna opiekunka katolików, nic, pożal się Boże, nie robi; czy nie rozumie, czy nie chce rozumieć, że takie zaniedbanie najbardziej szkodzi jej wpływowi i nawet politycznym interesom. Choć, jak się ma katolikami opiekować, kiedy prawosławnego konzula nam przysyła? Mówią, że to dlatego, że książę prawosławny, więc

mu niby chcą dogodzić. A czy to Rosya posyła do Wiednia katolickiego posła, dlatego że austryacki cesarz katolik?“

Wedle dalszych zapewnień mego, rozdrażnionego nieco na Austryę, informatora, dwóch już konzulów francuskich chciało postarać się o wybudowanie katolickiej kaplicy; ale austryacki pełnomocnik tak manewrował, że ostatecznie przeszkodził wykonaniu tego planu. Zajmował się gorąco tą sprawą i biskup Strossmayer. Chciał on osobno w tym celu do księcia się wybrać, i z pewnością książę, który w wielkiej żyje z nim przyjaźni, niczegoby mu nie odmówił, ale znowu w Austryi odradzono biskupowi tej wycieczki, i kaplicy jak niema tak niema. „Nibyto Czarnogóra zawarła z Rzymem konkordat; książę posłał papieżowi na jubileusz bardzo piękny list; dla nas, w Cetynii przynajmniej, niewielka pociecha z tych wszystkich grzeczności!“...

Czy smutne te, a dla Austryi wcale niepochlebne informacye we wszystkich szczegółach są prawdziwe, ręczyć nie mogę. Nawet o usposobieniu księcia względem katolików, krążą w katolickiej kolonii cetyńskiej tak podzielone zdania, że cudzoziemcowi, bawiącemu tu zaledwie kilkanaście godzin, niepodobna wśród nich się zoryentować i prawdy się domacać.

„Książę — zaręczają jedni — ożywiony jest prawdziwie liberalnym duchem i ze swej strony nie stawiałby z pewnością przeszkód ani budowie katolickiej kaplicy, ani osiedleniu się katolickiego księdza“.

„Książę — twierdzą inni wręcz przeciwnie — za dobrym jest dyplomatą, aby wprost oświadczył: ‚Nie pozwalam‘; ale kaplicy katolickiej w Cetynii nie chce, i kiedy mu o potrzebie jej mówiono, powiedział: ‚Później!‘ To wstyd dla katolików, wstyd dla Austryi“.

Co pewna, to że istotnie rumieńcem wstydu twarz się pokrywa, kiedy wchodzi się do bardzo ubogiego pomieszkania szewca Bisi'ego, jeśli pamięć mię nie myli, który w czasie bytności katolickiego księdza w Cetynii, zmienia jeden z zajmowanych przez siebie pokoików w zaimprowizowaną kaplicę. Wieczorem, kiedym przyszedł się p. Bisi'emu przedstawić, kaplica wyobrażała wszystko, co kto chciał: salon, pokój sypialny, strych

przeznaczony na zbiór różnych gratów; najmniej wyobrażała kaplicę. W rogu wielkie łóżko, dalej niewiele mniejsza kanapa, przed nią stolik; ściany surdutami, paltotami przyozdobione; między łóżkiem a kanapą zawieruszył się skromny ołtarzyk. Wschodnim zwyczajem trzeba się koniecznie czarnej kawy napić, więc na stoliku zjawiają się filiżanki, gospodarz krzesła przysuwa i opowiada, jakich to już znakomitych gości przy tym samym stoliku kawą częstował. Są zresztą uwierzytelniające bytność ich pamiątki. Poprzybijane na jednej ze ścian bilety wizytowe zwiastują, że o Cetynię zawadził, do betleemskiej tej kapliczki zaglądnął głośny paryski proboszcz ks. Le Rebours, głośniejszy jeszcze ks. Vanutelli, Dominikanin, czy były Dominikanin, nie będę kusił się rozstrzygać wobec wręcz sprzecznych najpoważniejszych zdań; że tu małżeńską wierność ślubował: Elie Mage, „naczelnik kuchni *(chef de cuisine)* Jego Wysokości Księcia Czarnogórskiego".

Tak wyglądała kaplica wieczorem; nazajutrz wczesnym rankiem zniknęło łóżko, paltoty i surduty; pozostały: ołtarzyk, bilety na ścianie, stolik na kawę, która po Mszy na nim się pokaże. Do kaplicy dostać się inaczej nie można, jak tylko przez szewski warsztat; radzi nieradzi, z niemałym uszczerbkiem dyplomatycznej swej powagi, przechodzić przezeń muszą, kiedy Mszy chcą wysłuchać, i francuski i włoski konzul i austryacka konzulowa. Wczoraj huczała tu robota; dziś, ze względu na mającą się odbyć uroczystość — bo każda Msza w Cetynii jest uroczystością niemałą — uzyskały dratwy i skóry parogodzinne wakacye. Pobożnych zbiera się stosunkowo spora garstka; niedaremnie poczciwy szewc-zakrystyan obiegł wczoraj późną wieczorną godziną wszystkie domy, w których choćby jeden katolik mieszkał, z oznajmieniem, że punkt szósta Msza się zaczyna. Za rano to było dla konzulów, akurat w sam czas dla ich służby, dla kilkunastu katolickich Albańczyków, kilku biedaków, których narodowości międzynarodowe łachmany nie zdradzają. Wszystko betleemską stajenkę przypomina; bardziej jeszcze od przenikającego całą kapliczną atmosferę ubóstwa, pokory, przypominają ją gorące, czuć, że płynące z samego dna serca modlitwy klę-

czących, co tu jak pastuszkowie do szopki się zbiegli. Niby w Europie się znajdują; katolicka Austrya odległa na rzut działowej kuli, a mniej tu mają religijnej pomocy, niż wielu, co żyje w pogańskich krajach, na zamorskich pustkowiach, oceańskich wyspach.

Po Mszy, chrzest najmłodszej katolickiej obywatelki cetyńskiej, Łucyi Piotrównej Caldervisi. Ojcem jej chrzestnym Joachim Bleniszti; matką chrzestną Teresa Jaconoz. Jakie też koleje czekają tę dziewczynkę, o buro-niebieskich oczkach, które z taką ciekawością wlepiła w nieznajomą postać, a raczej w białą jej komżę? Czy pójdzie utartym śladem swych matek, spędzi życie na noszeniu wody, wydzieraniu skałom skąpego plonu? Czy zjednawszy sobie protekcyę, dostanie się do utrzymywanego w Cetynii rosyjskiemi rublami „rosyjskiego instytutu panieńskiego“ i zapomni tam, że w katolickiej kapliczce wody chrztu ją polały? Czy potem może, za coraz silniejszą protekcyą, dotrze do kijowskiego, do petersburskiego instytutu? Kto wie — lecz za śmiałe to marzenia — może cesarską freiliną zostanie? A może, może krótkie koleje krótkiego życia kresu już dobiegły? Najmniejsze bodajby to było złe dla małej Łucysi Piotrównej!

— Jeszcze jedna ciekawa rzecz w Cetynii, — zwraca uwagę poczciwy przewodnik — nasze więzienie i nasi więźniowie!

Co ciekawa, to ciekawa! Około 150 złodziejów, morderców, przechadza się niby porządni mieszczanie po dobrym obiedzie przed więziennym budynkiem; niektórzy ćwiczą się w skakaniu, inni próbują pewności swej ręki, ciskając kamienie do celu; kilku zapaliło fajki na długich cybuchach i pobrzękując łańcuchami, sięgającemi od nogi do pasa, obserwują ze swej strony obserwującego ich cudzoziemca. Ci ostatni, łańcuchami odznaczeni, to najgorsi mordercy, już osądzeni, lub czekający lada dzień wyroku i prawdopodobnie karabinowej kuli. Tymczasem mogą na słońcu się wygrzewać, swobodnie z innymi rozmawiać i na myśl im nawet nie przyjdzie skorzystać ze swej przewagi, skrępować lub zabić jednego, jedynego strażnika i pożegnać niegościnną Cetynię. Cóżby robili, gdzieżby się obrócili? Nie mają

ani pistoletu, ani kindżału; każdy Czarnogórzec uważałby sobie za święty obowiązek polować na nich, jak na dzikie zwierzęta; a żyć gdzieś na wygnaniu poza rodzinnemi górami, to gorzej jak śmierć, to na seryo nie może być brane w rachubę!...

— Wszystko, co oglądnąć można, oglądnęliśmy; zostaje nam chyba jeszcze „dyplomatyczna“ droga!

Piękna mi „dyplomatyczna!“ — piękna droga! Wspinaj się po skałach, po okrągłych, spiczastych kamieniach, skacz z kamienia na kamień, dawaj ze siebie przedstawienie gromadce ciekawie obserwujących, zwinnych jak wiewiórki, cetyńskich malców. Oberżysta sapie i naprzód sunie, ja jak mogę go naśladuję; ale oberżysta używa tych karkołomnych skoków jako lekarstwa na reumatyzm; ja mam tylko tę, nie największą pociechę, że cetyńscy dyplomaci zwykli wieczorem nawiedzać te dziury i kamienie... I to rozrywka, gdy innych nie staje!

Za to z góry, z „dyplomatycznej“ altanki śliczny widok. Cała Cetynia jak na dłoni, każdy domek można odróżnić; uzbroiwszy oko w dobre szkła, do każdego domku przez otwarte okna zaglądnąć...

Coraz ciemniej, coraz ciszej; dziesiąta za chwilę dopiero wybije, ale wioska-stolica już śpi. Światła pogasły, tylko w jednem z okien książęcego pałacu blade światełko zgasnąć nie chce: może książę ważną depeszę redaguje, może nowy dramat pisze, może po prostu w gronie rodzinnem popija zwolna herbatę!...

*Ks. Jan Badeni.*

# PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

## Z piśmiennictwa krajowego.

**Dzieje Kościoła chrześcijańskiego.** I. Wieki dawne i średnie. Opracował *ksiądz Jerzy Badura,* pastor w Międzyborzu. Cieszyn 1894. Nakładem Towarzystwa ewang. oświaty ludowej. Drukiem Kutzera i Spółki. (W 8-ce, XVI. i 327 stron).

Gdyby ta książka była napisana po niemiecku, a nie w polskim — chociaż nie bardzo poprawnym — języku; gdyby mianowicie jej autor nie nazywał się samozwańczo k s i ę d z e m, będąc naprawdę tylko kaznodzieją protestanckim: byłoby najlepiej rzucić ją do kosza. Ale że ona widocznie obliczona jest na bałamucenie polskiego ludu na Szląsku, a może i dalej, przeto należało koniecznie zwrócić na nią uwagę tych, którym straż nad katolickim ludem jest powierzona. Niebezpieczeństwo zaś jest tem większe, że p. Badura podlał całą tę robotę patryotycznym sosem, a wiadomo przecie — choćby tylko z ciekawych artykułów, które niedawno temu *Przegląd Powszechny* o Szląsku austryackim ogłaszał — że właśnie ta okoliczność, iż tam jest ludność polska i protestancka, a panowie pastorzy Polakami, starczy już naszym liberałom do fraternizowania, kosztem katolickiej wiary. W tem jednakże polega trudność niniejszego sprawozdania, że chcąc sprostować wszystkie błędy i fałsze, trzebaby napisać drugą taką, albo jeszcze większą książkę. Będziemy się więc starali wykazać tylko główną tendencyę p. Badury i cel jego pracy.

Ze samego tytułu wynika, że mamy przed sobą dopiero pierwszy tom historyi, który obejmuje dzieje starożytne i średnie wieki Kościoła, drugi więc zapewne obejmie czasy nowsze, i to począwszy od rewo-

lucyi kościelnej XVI. wieku. Jest tutaj oryginalny podział materyału historycznego na cztery epoki, z których pierwsza obejmuje okres dziejów, t. zw. czasy apostolskie. Autor robi z tego epokę i nazywa ją „Kościołem apostolskim“. Nie jest to jednak bez myśli, bo epoka ta ma widocznie tworzyć antytezę do czwartej epoki, którą p. Badura nazwał „Kościołem papieskim“. Ta epoka obejmuje sześć wieków (800—1517), podczas gdy pierwsza liczy tylko sto lat niespełna. Drugą epokę stanowi u niego „Kościół katolicki walczący“, tj. czasy prześladowania (100—323); trzecią nazwał „Kościołem katolickim zwyciężającym“ (323—800). Mniejsza zresztą o nazwy i podziały: to jedno tylko podpada, że p. Badura nazywa tutaj Kościół „katolickim“, podczas gdy w tytule nazywa go tylko chrześcijańskim: ale zobaczymy następnie, że i to ma swój cel osobny, bo będzie dowodził, że „ewangelicki kościół“ jest właściwie prawdziwym katolickim.

1) Każdy wie, że Marcin Luter zaprzeczył Głowie Kościoła katolickiego, papieżowi, pierwszeństwa czyli prymatu w Kościele, a to z tej prostej przyczyny, że go nie chciał słuchać. W konsekwencyi musiał więc i Piotrowi św. zaprzeczyć pierwszeństwa pomiędzy Apostołami. Ponieważ zaś i biskupom odmówił posłuszeństwa, przeto uczył, że w Kościele niemasz wcale świętego rządu, czyli hierarchii. Posuwając się zaś dalej, zniósł sakramenta i mszę św., a dobre uczynki i rady ewangeliczne uznał za niepotrzebne. Ale przytem wszystkiem twierdził Luter, że jego nauka jest pierwotną i czystą nauką Kościoła, więc nie dziw, że historycy protestanccy tak nakręcają historyę kościelną, żeby z niej wynikała prawda luterskiej wiary. Tak czynią oni zawsze, począwszy od t. zw. Magdeburskich Centuriatorów, którzy w XVI. w. wydali olbrzymie dzieło w 13 tomach, aż do naszych dni. Po sto razy zbijali już katolicy ich fałsze i błędy, począwszy od Cezarego Baroniusza, który całą pracę Centuriatorów w puch rozbił swojemi „Rocznikami Kościoła“ — ale daremnie upartego przekonywać. Nic więc dziwnego, że i p. Badura powtarza za swoimi mistrzami stare fałsze, aby kłamstwo służyło za świadka nieprawdzie.

Przedewszystkiem usiłuje, zaraz na początku, dowieść, że Chrystus Pan nie powierzył św. Piotrowi żadnej władzy, ponieważ jednak Pismo św. mówi inaczej, więc nic dziwnego, że p. Badura wikła się w sprzeczności i sam się zbija. Mści się też na św. Piotrze, i gdzie może ujmę mu czyni. Przyznaje wprawdzie, że Apostoł ten uczynił pierwszy cud — ale twierdzi, że to zrobił do spółki ze św. Janem (str. 9) — chociaż Pismo św. wyraźnie mówi inaczej. Przyznaje, że na-

wet cień św. Piotra uzdrawiał chorych, ale usiłuje to wytłumaczyć tą okolicznością, że był najbardziej znany! (str. 10). Potem wyprawia Apostoła w świat, i powiada, że „poszedł na inne miejsce, lecz nie wiadomo dokąd“ (str. 12). „I nic nie słychać o nim, aż z jego pierwszego listu dowiadujemy się, że jest w Babilonie“ (str. 19). Wiadomo wprawdzie, że Piotr św. był wówczas w Rzymie, który powszechnie Babilonem przezywano, ale p. Badura właśnie tego przyznać nie chce. Sprawdza się jednak na nim zaraz przysłowie niemieckie, które mówi: że kłamstwo ma krótkie nogi—bo dwie strony dalej przyznaje, że Marek św. był pomocnikiem św. Pawła w Rzymie i był też pomocnikiem św. Piotra w Babilonie (str. 21). Albo więc p. Badura musi przyznać, że przez Babilon należy rozumieć Rzym, i że obaj Apostołowie równocześnie w Rzymie używali św. Marka za sekretarza, albo musiałby twierdzić, że św. Marek był równocześnie na dwóch miejscach, tak bardzo od siebie odległych. Niepotrzebnie też się wysilał na takie łamańce logiczne, bo kilka stron dalej, sam wreszcie poniewoli przyznaje, że św. Piotr był w Rzymie, ratuje się tylko tem, że nazywa to „pobożną bajką“, jakoby miał być tam biskupem (str. 26). Czemże był tedy? Oto sam p. Badura przyznaje, że papieże od niego, jako pierwszego biskupa, początek swój wywodzą. Ale że tego przełknąć nie może, więc mści się w następujący sposób: „Nie zawadzi przypomnieć, że żaden Apostoł nie zajmuje tak przodującego stanowiska, żeby od niego samego zawisły losy Kościoła. Występuje wprawdzie z początku Piotr, lecz tylko dlatego, że z przyrodzonego usposobienia swego jest człowiekiem popędliwym i ta jego właściwość służyć musi Kościołowi. Więc tam, gdzie trzeba natychmiastowego odezwania się, albo działania, Piotr występuje, ale musi mieć kogoś zawsze za sobą... Natomiast gdy jest sam, to jest człowiekiem bojaźliwym i nie wie co począć... Gdy tedy później biskupi rzymscy ogłosili, że Piotr jest skałą Kościoła, to oczywiście nie postawili Kościoła na tej skale, której nawet bramy piekielne nie przemogą“ (str. 20).

Przytoczyliśmy umyślnie ten ustęp, aby dać próbę wykrętów i łamańców logicznych p. Badury. Najpierw przemilczał o tem, że Pan Jezus zmienił imię Szymona, syna Jony, na: Kefas, Petrus, Opoka. Teraz twierdzi, że to wymyślili papieże, a jak niżej zobaczymy, będzie dowodził, że Pan Jezus nazwał wszystkich Apostołów Piotrem czyli Opoką. Byłoby to zabawne, gdyby nie tyczyło rzeczy fundamentalnych naszej św. wiary katolickiej i zbawienia dusz tysięcy. P. Badura przyznaje też, że Piotr św. ukrzyżowany został w Rzymie, ale

wyciąga z tego ciekawy sens moralny. O św. Pawle powiada, że: „zawzięty i uparty Paweł, nie dał się ukrzyżować“ — natomiast pokorny Piotr był ukrzyżowany. „Tak — prawi p. Badura — był pokorny, a chlubnem świadectwem jego serdecznej pokory są odważne jego dwa listy w Nowym Testamencie, co pokrzepiać miały zbory Pawłowe. Gdyby też to zdarzył Pan Jezus znowu taką chwilę w dziejach Kościoła, żeby ci, co się mienią być następcami Piotra, papieże, też mogli dojść do takiej pokuty i pokory, aby zborom Pawłowym, dzisiaj ewangelickim, potwierdzać mogli, że to jest prawdziwa wiara, w której one stoją“ (str. 27).

Dziękujemy najpierw p. Badurze za to, że i Piotrowi św. i jego następcom przyznał prawo i władzę potwierdzania wszelkiej nauki i uznawania ją za prawowierną. Nic w tem zresztą nowego, bo wszyscy heretycy, po wszystkie czasy, począwszy od drugiego wieku, domagali się od papieży potwierdzenia swojej nauki. P. Badura chciałby wprawdzie w czytelnika wmówić, że protestanci trzymają się nauki św. Pawła i że dlatego powinni papieże ich wiarę uznać za prawdziwą, ale o jednej rzeczy zapomniał, mianowicie o tem, że protestanci sami nie wiedzą w co wierzą. Skoro na ostatnim synodzie protestanckim nawet Skład Apostolski zarzucili, skoro jawnie odmawiają Bóstwa Chrystusowi Panu, to ani św. Paweł, pod którego się podszywają, nie mógłby się do ich nauki przyznać, ani żaden papież jej zatwierdzić.

Sam też p. Badura nie bardzo w to wierzy, żeby papieże kiedy mogli dojść do takiego stopnia „pokuty i pokory“, wyraża więc żal do Kościoła katolickiego, że protestantów od siebie odrzucił. Coś podobnego miał też uczynić naród żydowski z chrześcijanami, którzy nie chcieli i nie mogli się wyłączać z narodu i kościoła żydowskiego, ale sam ten naród i kościół odepchnął ich od siebie. „Ten sposób odłączenia powtórzył się — wedle p. Badury — w czasach reformacyi. Reformatorowie, zwłaszcza Luter, nie mieli zamiaru wyłączyć się ze społeczności Kościoła papieskiego, ale ten Kościół odrzucił ich od siebie i wyklął“ (str. 9). Zapewne! Jeżeli Luter nazywał papieża „antychrystem“, a Kościół katolicki „babilońską wszetecznicą“, to za to powinien był przez papieża i Kościół być uważany za najlepszego katolika! Czy tak, p. Badura?

Przyznawszy mimowoli biskupom rzymskim pierwszeństwo w Kościele, usiłuje jednak p. Badura temu przeczyć, bo wedle niego, przyznały zbory prymat św. Janowi, po śmierci św. Piotra, a Pan Jezus zatwierdził tę godność, bo upoważnił go do pisania w Objawieniu listów

do biskupów siedmiu zborów (str. 35). Wyglądałoby to rzeczywiście na coś, gdyby sam p. Badura nie opowiadał nieco niżej, że Piotr św. ustanowił „krótko przed swoją śmiercią“ swoim następcą św. Klemensa (str. 57). Wiadomo, że Klemens św. był dopiero trzecim z rzędu następcą Piotra św., ale i to wiadomo, że jeszcze za życia św. Jana był papieżem i jako taki pisał sławny list do Koryntyan, w którym uczy, zachęca do zgody i grozi karami kościelnemi. Jakżeby to mógł robić, gdyby Jan św. był wówczas „wspólnym prezbiterem czyli starszym i opiekunem“ wszystkich zborów — jak twierdzi p. Badura? Dlaczego też biskupi Efezu, gdzie żył i umarł św. Jan, nie rościli sobie nigdy prawa do pierwszeństwa w Kościele?

Ciekawiśmy też, w jaki sposób powstało to pierwszeństwo czyli prymat biskupów rzymskich, skoro p. Badura tak stanowczo im tej godności zaprzecza. Na to otrzymujemy wyjaśnienie w osobnym rozdziale (§ 37, str. 137), p. t.: „Jako biskup rzymski wyrastał na papieża“. Dowiadujemy się tutaj, że prymat biskupów rzymskich powstał z tej okoliczności, iż Rzym był stolicą państwa. Tak? — a dlaczegóż nie ustał ten prymat, kiedy Konstantyn W. przeniósł stolicę państwa do Carogrodu? — P. Badura przytacza też mimochodem, jako drugi powód, że w Rzymie bawili i umarli „dwaj najsławniejsi Apostołowie Paweł i Piotr“ (oczywiście zawsze św. Pawła przed Piotrem św. wymieniając). Aleć, jeśli sam pierwej dowodził, że wszyscy Apostołowie byli sobie równi, a Piotra św. na wszelaki sposób poniżał: to dlaczego właśnie miejsce jego śmierci, miało nadać biskupom tego miejsca, pierwszeństwo nad innymi biskupami? Wedle p. Badury nie miał też biskup rzymski tego pierwszeństwa przez pierwsze trzy wieki, a pierwszy jego ślad widzi dopiero w uchwale synodu w Sardyce (343), który przyznał biskupom prawo apelacyi do papieża — ale miała to być tylko grzeczność osobista dla papieża Juliusza. Szkoda, że p. Badura tak pobieżnie czytał historyę kościelną, bo byłby przecie musiał wiedzieć, że to prawo apelacyi istniało od dawna, i że dopiero synod antyocheński (340), złożony z Aryanów, pod wodzą obydwóch Euzebiuszów, chciał go zaprzeczyć Atanazemu św. Sami jednak apelacyę do papieża zanieśli, kiedy się spodziewali zyskać na tem. Tyle jednak zdaje się wiedzieć p. Badura, że sobór chalcedoński (451) pozostawił niezbity, piśmienny pomnik uznania prymatu biskupów rzymskich, więc gniewa się o to na papieża Leona W., że on miał pierwszy tłumaczyć fałszywie słowa Chrystusa Pana, wyrzeczone do Piotra św.: „tyś jest opoka“ (Mat. 16, 18) — jakoby się one odnosiły do „mylnie mniema-

nego“ następcy Piotra. Pociesza się jednak p. Badura tem, że takowego tłumaczenia nie przyjęły sobory, ani też teolodzy wschodniego Kościoła. Kogóż tedy miał na myśli Pan Jezus, mówiąc do Piotra św.: „tyś jest opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój?“ — Otóż dowiadujemy się, że aż do Leona W. wszyscy tłumaczyli te słowa tak, że „opoka“ oznacza wszystkich Apostołów, a nie samego Piotra! Konia z rzędem damy temu, kto nam wymyśli coś bardziej nielogicznego! — Pan Jezus mówi wprost do Szymona: „tyś jest Piotr“, a miałby myśleć „wy wszyscy“ jesteście Piotrami? To też p. Badura prędko się poprawia i poucza nas, że ewangelickie tłumaczenie tych słów jest jedynie mądre: „Opoka, na której zbudowany jest Kościół, nie oznacza osoby Piotrowej, ale wiarę Piotrową, wiarę w bóstwo Pana Jezusowe“ (str. 141). Wygląda to niby na coś, i tak już Luter uczył, ale w tem jest sęk, że p. Badura nie pamięta tutaj, co powiedział pierwej (str. 20), iż to dopiero „później ogłosili biskupi rzymscy, że Piotr jest skałą“. Tu więc już jest łaskawszy p. Badura, niż był pierwej, i mimowoli przyznaje, że prymat Piotra św. od samego Chrystusa Pana jest ustanowiony. To zaś, że biskupi rzymscy mają być „mylnie mniemani“ następcy Piotra św., jest twierdzenie, które sam p. Badura zbił na wstępie niniejszego rozdziału, boć ich za następców prawdziwych uznał. Wszelako nie daje jeszcze za wygraną i dowodzi, że nikt nie uznawał ich prymatu, sprawiły to jedynie dekrety cesarzy, pochodzące z najwyczajniejszych pobudek świeckich (str. 141), ale właściwie dopiero cesarz Fokas, w VII. wieku, nazwał stolicę Piotra, głową wszystkich kościołów (str. 140).

Trudno, doprawdy, spór toczyć z takim pisarzem jak p. Badura, bo nie wiedzieć czy niewiadomość, czy zła wiara przez niego mówi? Niechże nam odpowie: dlaczego nawet heretycy, począwszy od II. w., szli do Rzymu, aby u papieży zyskać zatwierdzenie swej nauki i na mocy czego papieże ich herezye potępiali? Dlaczego wydawali papieże dekrety dogmatyczne w czasie sporów i dlaczego sobory, te ich dekrety dosłownie powtarzały w swoich synodalnych uchwałach? Na mocy jakiego prawa mogli papieże, jak np. św. Stefan, który ośm lat przeżył w katakumbach, grozić wykluczeniem z Kościoła, czyli ekskomuniką, biskupom Wschodu? Na mocy jakiego prawa mianowali papieże i suspendowali biskupów? Na mocy czego przewodniczyli na soborach przez swoich legatów i zatwierdzali akta soborów?[1]. Oczy-

[1] Polecamy w tej kwestyi p. Badurze dwie rozprawy Funka: *Berufung der oekumenischen Synoden des Alterthums* i *Bestätigung der acht ersten allgem.*

wiście i p. Badura wie coś o dogmatycznych wyrokach papieży, ale twierdzi, że sławnego listu papieża Leona W. nie przyjęły sobory. Liczy jednak przytem na prostotę czytelników, bo właśnie sobór chalcedoński (451), potępił herezyę monofizycką Eutychesa, powołując się na wyrok papieża Leona W., którego nazwał: „zwycięskim, nigdy niezranionym bojownikiem, uzbrojonym w prawdę". Wiadomo, że sobór ten przyznał (can. 28) biskupowi carogrodzkiemu zwierzchnictwo nad trzema eparchiami: Azyi, Pontu i Tracyi, a ponieważ legaci papiescy przeciwko tej uchwale protestowali, dlatego pisali Ojcowie soboru do papieża Leona W.: „Prosimy, uczcij naszą uchwałę przez twoje przyzwolenie. Jakośmy głowie w dobrem przywtórzyli, tak niech i głowa przyzna dzieciom co się należy" [1]. Czy doprawdy p. Badura nie widzi w tem uznania Głowy Kościoła? Sam przecie przyznaje mimochodem, że sobór carogrodzki II. (680), żądał zatwierdzenia akt swoich od papieża Agatona. A czy p. Badura nie słyszał o tem, że sobór ten uznał najwyraźniej papieża za następcę Piotra św., kiedy po wysłuchaniu dogmatycznego dekretu papieża, zawołali wszyscy Ojcowie: „ukazało się pismo i przez Agatona Piotr przemówił" [2].

Nie możemy tu oczywiście przytaczać obszernie historycznych faktów, dowodzących, że p. Badura albo nie zna historyi, albo ją przekręca. On nawet gniewa się na św. Cypryana, że biskupa rzymskiego „mylnie" uważał za następcę Piotra i przedstawiciela jedności Kościoła (str. 80). Prawda, że i św. Ireneusz przyznaje biskupowi rzymskiemu większą od innych powagę (str. 78), ale to wszystko nic nie znaczy u p. Badury, bo na upartego niema rady.

2) Widzieliśmy, że zaprzeczenie pierwszeństwa biskupowi rzymskiemu, nie bardzo się powiodło p. Badurze. Tak Luter chciał, tak Badura musi śpiewać, tylko że historya mówi inaczej. Zobaczymy teraz, jak się nasz autor sprawił z drugą kwestyą, tj. hierarchią kościelną, którą Luter także uznał za niepotrzebną. Jeśli bowiem nikt nie był pierwszym w Kościele, to też nikt nie był ostatnim, tylko byli wszyscy równi, i chyba dopiero z czasem powstał rząd w Kościele. Tak też usiłuje w nas wmówić p. Badura i dowodzi, że „naprzód" nie było kapłanów, tylko byli świadkowie, którzy nazywali się apostołami, ale P. Jezus ustanowił ich „tylko na początek", według liczby pokoleń,

*Synoden. Histor. Jahrbuch.* München 1892. Bd. XIII, p. 689—723. — *Hist. Jahrb.* München 1893. Bd. XIV, p. 485—516.

[1] Harduin II, 655—659.

[2] Mansi, *Collectio Concilior. max.*, t. XI, col. 658.

lecz na przyszłość liczby ich nie zaznaczył, bo ostatecznie każdy wierzący ma być Apostołem (str. 5). „Jako kapłan boży śmiał każdy wierzący publicznie w zborze opowiadać słowo boże, nauczać i napominać, tylko kobietom było to wzbronione“ (str. 6). Mogłoby się uradować serce protestanckie na tę wiadomość i powiedzieć: *tout comme chez nous,* ale p. Badura zaraz sam gasi tę radość, bo nieco dalej przyznaje coś wręcz przeciwnego, a mianowicie, że chrześcijaństwo „zaraz z początku pojawiło się jako zespolona całość, jako społeczeństwo, jako ciało Chrystusowe, jako Kościół, a nie jako luźna zbieranina jednostek. Apostołowie sami postanowili przełożonych, którzy nazywali się biskupami lub prezbiterami“ (str. 7). Jak to pogodzić ze sobą: „naprzód“ — powiada p. Badura — nie było zwierzchności, ale była „zaraz z początku!“

Zresztą kapłanów przełknąłby p. Badura łatwiej, boć przecie sam się księdzem tytułuje, ale biskupi mniej znajdują łaski w jego oczach. Biskupi i cała hierarchia powstali też wedle niego dopiero w drugiej epoce (tj. w czasach prześladowania), a miało się to stać w ten sposób, że „między prezbiterami jeden wysunął się naprzód, jako pierwszy i przodownik, a nakoniec jako zwierzchnik“ (str. 77). Jakim sposobem „się wysunął“, tego nam p. Badura nie powiada i pewnieby powiedzieć nie umiał. Bo dlaczego np. sam nie „wysunie się“ na superintendenta, skoro to tak łatwo „się wysunąć?“ Albo też niech nam wytłumaczy, jakim sposobem powstali dyakoni, subdyakoni i klerycy niższych święceń? (str. 79). Czy także się wysuwali? Przecież p. Badura tyle ma rozumu, że hierarchię przypisuje dopuszczeniu bożemu, choć nie przyznaje jej boskiego ustanowienia. „Bez dopuszczenia bożego — powiada autor — nawet władza biskupia nie byłaby się wytworzyła“ (str. 78). Prawdziwie trudne zadanie zostawił Luter protestanckim uczonym, którzy koniecznie chcą w ludzi wmówić, że Kościół w starożytności bez hierarchii się obywał! Całe też dzieła pisali o tem: Rothe, Hilgenfeld, Harnack i inni. Ostatni z nich, profesor teologii w Berlinie, który uchodzi za małego papieża pomiędzy protestantami, przyznał już dawniej, że hierarchia katolicka powstała przez „przeniesienie“ *(Uebertragung)* i że jest od wieków *(uralt)* [1]. W ostatnich czasach przyznał jeszcze nieco więcej, jak o tem później mówić będziemy.

Nie będziemy też obszernie zbijali twierdzeń p. Badury, jakoby hierarchia katolicka dopiero w drugiej epoce powstała, bo wystarczy przypomnieć, że już za życia Apostołów byli biskupi, jak np. św. Ty-

[1] Cfr. *Texte und Untersuchungen.* Leipzig 1884, t. I., p. 157.

moteusz w Efezie, św. Tytus w Krecie, a sam p. Badura opowiadał przecie, że Piotr św. ustanowił w Rzymie swoim następcą św. Klemensa. Ci biskupi byli przełożonymi nad prezbiterami i dlatego upomina św. Paweł swego ucznia, którego biskupem ustanowił, aby zbyt lekko skargi na prezbitera nie przyjmował. Zawsze też była różnica pomiędzy klerem i laikami, bo już w Dziejach apostolskich (1, 17. 25) i w liście Klemensa Rzymskiego (Ep. I. 40) te nazwy zachodzą. A więc to co p. Badura prawi, że „naprzód“ nie było kapłanów i że każdy był „kapłanem bożym“, jest tylko wymysłem, niczem nieuzasadnionym. Kwestya pierwotnej organizacyi Kościoła katolickiego posiada zresztą obszerną literaturę, tak protestancką jak i katolicką; polecamy też p. Badurze gruntowne dzieło, świeżo wydane, traktujące o początkach episkopatu, uczonego prawnika francuskiego Réville [1].

3) Po tem wszystkiem, co autor pisał o Kościele katolickim w czasach starożytnych, nie dziwi nas już wcale, że pisząc o wiekach średnich, które objął nazwą „Kościoła papieskiego“ (od r. 800—1517), powtarza wszystkie stare bajki i kłamstwa o papieżach. Wiadomo przecie, że był czas, kiedy i katoliccy historycy poczytywali to sobie za wysoki dowód bezstronności i akrybii, gdy potwarze rzucali na Stolicę Apostolską. Dzisiaj jednak czasy się zmieniły, i od czasu gdy bajki o papieżach i kłamstwa historyczne najpowszechniejsze zostały gruntownie zbite, powinni też protestanccy pisarze liczyć się nieco z prawdą. Polecamy przeto p. Badurze dwa najbardziej rozpowszechnione podręczniki [2]. Pan Badura idzie tak daleko, że powtarza nawet bajkę, jakoby na Stolicy Apostolskiej zasiadała Joanna papieżyca (str. 164—166). „Uczeni ewangeliccy zadali sobie tę niepotrzebną fatygę — powiada p. Badura — żeby dowodzić, iż to jest bajka, a polscy pisarze niesłusznie się gniewają na Marcina Polaka, że w historyi swej tę bajkę-niebajkę umieścił“. Wiadomo jednak powszechnie, że Marcin Polak tego głupstwa nie napisał, tylko, że w jego „Kronikę papieży i cesarzów“, wpisana została ta bajka po wielu wiekach. Nikt więc na niego się nie gniewa. Wiadomo dalej, że kłamstwo to zbiła nauka, która się zowie numizmatyką. Znaleziono bowiem pieniądze z imieniem cesarza Lotara i pap. Benedykta III. Ponieważ zaś Lotar umarł 28 września 855 r.,

[1] J. Réville, *Les origines de l'épiscopat. Etude sur la formation du gouvernement ecclesiastique au sein de l'Eglise chrétienne dans l'empire romain.* I. Partie. Châlon-sur-Saône 1894.

[2] Cfr. Döllinger, *Die Papstfabeln des Mittelalters.* München 1863. — *Geschichtslügen.* Paderborn 1893, ed. X.

więc pap. Benedykt musiał przed jego śmiercią wstąpić na stolicę Piotrową. Ponieważ dalej w tym samym roku, co cesarz Lotar (tj. 855), umarł w lipcu pap. Leon IV., a w tym samym roku był jego następca Benedykt III. papieżem, więc nie mogło być żadnej papieżycy w tym roku, a tem mniej nie mogła być trzy lata papieżem. Innych dowodów nie będziemy przytaczali, boć sam p. Badura przyznaje, że ewangeliccy historycy bajkę tę zbili. Rzeczywiście, poważniejsi historycy, jak: Neander, Gieseler, Kurtz, nawet nie wspominają tej bajki. Nasz p. Badura jednak uważa to za „bajkę-niebajkę“ i dowodzi, że pap. Jan XX. († 1277) nazwał się XXI., „bo uważał to za rzecz niesłuszną, żeby ona papieżyca — Jan VIII. — nie miała być zachowaną“ (str. 166). Tak więc jedno kłamstwo ma służyć za świadectwo drugiemu, ale p. Badura nie ma nawet zasługi oryginalności, bo powtarza tylko to, co pierwszy wymyślił Guericke [1].

Zatrzymaliśmy się zbyt długo przy jednem kłamstwie, aby nie zbijać wszystkich po kolei; wszystkie one bowiem z tej samej są mąki lepione, a co gorsza, p. Badura idąc oczywiście za swoimi mistrzami, często robi z białego czarne. Tak np. Mikołaj I., papież, słusznie nazwany Wielkim, jest u p. Badury „obrońcą nieposłuszeństwa i niekarności, a nawet nieprawdy i bezprawia“ (str. 166), a to dlatego, że miał na mocy pseudo-Izydorowych dekretałów rozstrzygnąć sprawę pomiędzy biskupem Rotadem z Soisson, a metropolitą z Reims Hinkmarem. Na szczęście sam p. Badura zbija to kłamstwo, przyznaje bowiem, że Rotadus poszedłszy do Rzymu z apelacyą, „przedłożył papieżowi takie pseudo-Izydorowe prawo“. To znaczy, że w Rzymie wcale nie znano tego fałszywego zbioru praw, który ułożony został we Francyi. Papież Mikołaj wcale się też na niego powoływać nie potrzebował. Sprawa biskupa Rotadusa była bowiem bardzo jasna. On ekspensował jednego ze swoich duchownych. Ten duchowny apelował do synodu i metropolita Hinkmar zniósł wyrok biskupa. Wtedy udał się biskup z apelacyą do Rzymu i papież Mikołaj zniósł wyrok niesłuszny metropolity (864). Hinkmar protestował przeciwko temu wyrokowi, jakoby był oparty na dekretałach pseudo-Izydora, którym odmawiał mocy prawnej dlatego, że się nie znajdują w starym zbiorze dekretałów Dyonizego. Na to dał mu papież odpowiedź, w której mu przypomniał, że władza papieży nie wypływa z żadnych dekretałów, tylko wypływa z ustanowienia bożego. Dlatego też tylko takie dekretały mają moc

[1] *Kirchengeschichte* II. 51.

zobowiązującą w Kościele, które papieże wydadzą, i wcale o to nie chodzi, czy są zamieszczone w jakim zbiorze. Hinkmar jeszcze raz protestował i wtedy dał mu papież świetną odprawę, wykazał mu bowiem, że sam powołuje się na dekretały pseudo-Izydora, gdzie mu to dogadza, a protestuje przeciwko nim, gdzie mu są niewygodne. Przytem przypomniał mu papież, że w wyroku swoim wcale na fałszywe te dekretały powoływać się nie potrzebował.

Tak więc wygląda ta sprawa, za którą p. Badura zowie tego papieża „obrońcą nieposłuszeństwa“ i t. d. Co przytem rzecz dziwna, to, że sam p. Badura potępia biskupów Gallii, którzy dali rozwód królowi Lotarowi II., i wspomina o tem, że papież Mikołaj I. unieważnił ten nieprawny wyrok synodu, a zmusił Lotara do tego, że oddalił kochanicę Waldradę i przyjął napowrót prawą małżonkę Teutbergę; — ale p. Badura nie ma za to ani słowa pochwały dla papieża, tylko powiada, że znalazł „sposobność wtrącać się w spory domowe i państwowe Karolingów“ (str. 165). Oczywiście, gdyby się papież nie był ujął za pokrzywdzoną małżonką, byłby go p. Badura jeszcze srożej osądził, chociaż zobaczymy, że sam małżeństwa nie uważa za sakrament, tylko za „sprawę przyrodzoną“.

Zupełnie też ma minę wilka na pokucie p. Badura, kiedy z lubością opowiedziawszy smutne dzieje Rzymu, w czasach, kiedy rozmaici książęta Tuscyi, Friolu (Forum Julii) i t. d., a nawet księżniczki panowały nad miastem, potem skromnie przewraca oczy i mówi: „zbyt atoli brzydkie sprawy, aby je obszerniej opowiadać“ (str. 168). Dlaczego nie? My katolicy nie lękamy się prawdy historycznej, bo właśnie ona nas utwierdza w tem, że stanowczo domagamy się tego, aby Ojciec chrześcijaństwa był udzielnym i niezawisłym panem w Rzymie. Nie przestaniemy też domagać się tego, póki król włoski, który wszedł do Rzymu 20 września 1870 r. i to głównie za sprawą Bismarka, nie odda papieżowi zagrabionej własności. Co się zaś tyczy owych czasów smutnych w X. wieku, które protestanccy pisarze „pornokracyą“ nazwali, to zwracamy p. Badurze na to uwagę, że co innego jest „pornokracya“, a co innego „pornografia“, czyli pisanie brzydkich rzeczy. O tem zaś wiemy z historyi, że żaden papież nigdy nic brzydkiego nie napisał, ani nie ogłosił, a natomiast Marcin Luter traktował pornografię tak dalece w swoich *Tischreden*, że nawet protestanci tego się muszą wstydzić.

Wcale nas to nie dziwi, że p. Badura usiłuje wszystko złe przypisać papieżom i dlatego nie spodziewaliśmy się znaleść w jego książce

należytego zrozumienia tego okresu, który on nazywa „trzecią próbą podnoszenia się“ Stolicy Apostolskiej (str. 172). Papież Grzegorz VII. imponuje mu wprawdzie i przyznaje, że był to „człowiek niezłomnej woli i nieskażonych obyczajów“, że „nie pobudzała go do działania chęć panowania, albo chciwa chwały próżność, lecz myśl o wielkiem powołaniu Kościoła“ (str. 176), a przecież wrodzona nienawiść odzywa się jednak, bo powiada o tym papieżu, że „już na pierwszym synodzie rzymskim“ (1074) „pokazuje swoje pazury“ (str. 174). Widocznie owo błogosławieństwo, którem żegnał Luter swoich uczniów w Schmalkalden (r. 1537), *impleat vos Deus odio Papae* — niech was Bóg przepełni nienawiścią do papieża — przyjęło się doskonale w sercu p. Badury. Ale nienawiść jest złym doradcą i dlatego p. Badura plącze się w sprzeczności. Raz bowiem dowodzi, że świat tak bardzo potrzebował papieża (str. 165), że nawet Joannę papieżycę na tronie osadził: to znów twierdzi, że papiestwo wszystkim a wszystkim się sprzykrzyło (str. 186); ale trzy strony dalej znowu przyznaje, że rozterki we Włoszech wymagały tam bytności papieża (str. 189); aż wreszcie usiłuje w nas wmówić, że papiestwo w XV. wieku „jakimś odorem trupim świat zapełnia“. Dlatego też sobór lateraneński, zwołany przez pap. Leona X., jest tylko „ostatnim blaskiem zachodzącego słońca, bo już w jesieni 1517 r. rozpoczyna się czas kościoła nowego, kościoła reformacyi“ (str. 191).

Czytelnik mógłby z tego szumnego ustępu wnosić, że trup już zgnił, a słońce dawno zgasło, zwłaszcza, że p. Badura poświęcił osobny rozdział (§ 53) temu „dogorywaniu papiestwa“ (str. 190), a Luter przecie z wielką emfazą zapowiadał wciąż jego upadek: tymczasem jakoś papiestwo do dziś dnia istnieje. Tłumaczy nam to jednak p. Badura w ten sposób, że papiestwo nie żyje samo swoim duchem, lecz „napoiło nim narody i książęta i wszystkie ich instytucye“ — dlatego wprawdzie żyje, ale „nie będzie już na pierwszem, lecz na pośledniejszem miejscu, bo dawniej górowało hasło: albo papież, albo świat — a teraz rozgrywać się będzie ważniejsza sprawa: albo słowo boże, albo świat“ (str. 192). Widocznie jednak odmówił Pan Bóg daru prorockiego p. Badurze, albowiem dzieje się w naszych czasach coś wręcz przeciwnego. Papiestwo stanęło dzisiaj na tej wyżynie, na jakiej dawno już nie było, a „kościół reformacyi“, jak go p. Badura nazywa, rozprysł się w setne kawały i do żadnej walki już jest niezdolny, bo Pismo św. sponiewierał, więc słowa bożego bronić nie może, a jego mistrze i nauczyciele jawnie się wypierają wiary w Syna Bożego. Do tej walki z przewrotem społecznym, która świat czeka, stawa teraz papież na czele Kościoła Chry-

stusowego, wiedząc, że tego Kościoła ani żadna bezbożność, ani bramy piekieł nie przemogą.

4) Dotychczas mówiliśmy o tem, jak p. Badura usiłuje w swej książce wykazać, że papiestwo i hierarchia katolicka są ludzkim tylko wymysłem, czyli innemi słowy, że nie powinno być ani papieża, ani biskupów, ani duchownych i t. d., bo tak chciał Marcin Luter. Teraz zobaczymy, jak będzie usiłował dowieść, że wszelaka służba boża, sakramenta śś. i przepisy kościelne są także wymysłem ludzkim, aby luterska prawda w tem zwierciedle się okazała.

Przyznali to już wprawdzie dawno uczeni protestanccy pisarze, że pierwotny kościół nie jest ani luterski, ani kalwiński, lecz jest katolicki, że zawiera w sobie wszystkie latorośle, z których wyrosła scholastyka, hierarchia i zakony [1]. Cały wydział teologiczny w Berlinie podzielał to zdanie, bo Schaffowi dał za dzieło jego o tem napisane honorowy doktorat, ale p. Badura chciałby mimo to wmówić w czytelnika wręcz coś przeciwnego. Tak np. przyznaje (str. 82), że chrześcijanie zawsze pościli w piątki i soboty, albo środy i piątki, ale dodaje zaraz, że post nie był nakazanym obowiązkiem, tylko praktyką dobrowolną, bo jedynie heretycy, mianowicie Montaniści nakazywali ściśle pilnować postów, ponieważ mieli je za objaw osobliwszej doskonałości. Znaczyłoby to innemi słowy, że katolicy to heretycy, bo przestrzegają postów, a p. Badura jest dobry chrześcijanin, bo mięso w piątki jada! Najciekawsza jednak rzecz, jak p. Badura usiłuje dowieść, że protestanci mają nabożeństwo prawdziwe, a katolicy nie.

Dowiadujemy się bowiem, że nabożeństwo pierwszych chrześcijan było dwojakie, tj. „nabożeństwo kazaniowe“ i „nabożeństwo komunijne“. O tem, że protestanci mają tylko „kazaniowe nabożeństwo“ i że nie mają ofiary Mszy św., dobrze wiemy, ale żeby kazanie miało kiedykolwiek w starożytnem chrześcijaństwie tworzyć istotę nabożeństwa, tego p. Badura niczem nie dowiedzie. Świadectwo Pliniusza, który brał dwie dyakonki na tortury, aby się od nich dowiedzieć, w jaki sposób chrześcijanie odprawiają nabożeństwo, mówi przeciwko p. Badurze tak wyraźnie, że nie potrzebujemy się tu długo z nim spierać. Co się zaś tyczy „nabożeństwa komunijnego“, to sam p. Badura przyznaje, że nazywano je także „ofiarą“, ale zaraz objaśnia, że „nie rozumiano przez to, jakoby przy każdej komunii był Chrystus na nowo ofiarowany, tylko dlatego, że potrzebny do komunii chleb i wino zbo-

[1] Cfr. Schaff, *Gesch. der apostol. Kirche.* Leipzig 1824. Bd. I, p. 65.

rownicy dawali w darze“ (str. 88). Oczywiście tego nikt z nas nie twierdzi, żeby każda komunia św. była ofiarą mszy św., tylko wierzymy, że w każdej mszy św. ponawia się ofiara krzyża. To zaś, że msza św. nie znaczyła tylko „zbór rozpuszczony“, jak twierdzi p. Badura (str. 88), ale że była uważana jako ofiara, przyznał już znakomitszy niż p. Badura pisarz protestancki, wspomniany już przez nas profesor berliński Harnack [1]. Jeśliby zaś p. Badura nie bał się wziąć do ręki dzieł katolickich pisarzy, aby się pouczyć, jak pojedyńcze części mszy św. powstały z odpowiedniego ceremoniału paschy, to polecilibyśmy mu gorąco prace Bickla i Probsta [2]. Gdyby p. Badura rzeczywiście zdjął pychę z serca i te dzieła przeczytał uważnie, to możeby takie niedorzeczności nie wychodziły z pod jego pióra, jak np. to, co mówi (str. 100), że „herezya w nabożeństwie spycha na bok wiarę w Chrystusa przez zakażenie nabożeństwa bałwochwalstwem i przez wprowadzenie zabobonu do sakramentów“. Aż oczom się nie chce wierzyć, że to mógł napisać człowiek przy zdrowych zmysłach!

Przypatrzmy się jednak bliżej tym obelgom, rzuconym w twarz katolickiemu Kościołowi. Wiemy bowiem, że Kościół nasz ma obietnicę Chrystusa Pana: „ja będę z wami po wszystkie czasy, aż do skończenia świata“; chyba więc Zbawiciel nie dotrzymał obietnicy i nie był z nami, skoro herezya, ba, nawet bałwochwalstwo i zabobon mogły się zakraść do najświętszych artykułów tej wiary, której nas sam nauczył. Wedle p. Badury miało się to stać w epoce III., którą on zatytułował: „Kościół katolicki zwyciężający“ (r. 323—800). W tych to więc czasach, kiedy był zwyciężający, miał wedle p. Badury uledz najsroższemu upadkowi i zatracić prawdziwą wiarę. Najpierw bowiem miała się do niego zakraść herezya monofizycka, która sprawiła, że pod koniec tej epoki „już takie jest zdanie powszechne, że chleb i wino przeistoczyły się na ciało i krew“. Co to ma za związek z herezyą monofizycką — pytamy mimowoli, bo przecież wiemy, że już nazajutrz po zmartwychwstaniu Pańskiem poznali dwaj uczniowie w Emaus Zbawiciela po „łamaniu chleba“ (Łuk. 24, 31). Wiemy też, że od pierwszych chwil chrześcijaństwa wierzono w to, że w Najśw. Sakramencie przemienia

[1] Cfr. Harnack, *Texte und Untersuchungen zur Gesch. der alttestamentlichen Literatur*. Leipzig 1834. Bd. 1, p. 1—64.

[2] Cfr. Bickell, *Messe und Pascha*. Mainz 1872. — Cfr. *Zeitschrift für kathol. Theologie*. Innsbruck 1880, p. 90 sq. — Cfr. *Zeitschrift für kath. Theol.* Innsbruck 1884, p. 400—412. — Cfr. Probst, *Liturgie der drei ersten christlichen Jahrhunderte*. Tübingen 1871.

się chleb i wino w ciało i krew Pańską, a dzieje się to na mocy słów ustanowienia tegoż Sakramentu, przy ostatniej wieczerzy. Ale p. Badura dowodzi nam, że to właśnie jest herezya: „jak bowiem w monofizytyzmie człowiecza natura Chrystusa znika w jego boskiej naturze, tak też w wieczerzy Pańskiej chleb i wino znikają w ciele i krwi Pańskiej“ (str. 118). Szkoda tylko, że p. Badura zapomniał o małej rzeczy, tj. o tem, że Kościół *katolicki herezyę monofizycką* potępił, bo zawsze uczył, że w Chrystusie Panu są dwie natury, tj. boska i ludzka, połączone w jednej boskiej osobie. Więc jak miał popaść w herezyę, która powstała trzy wieki po ustanowieniu Najśw. Sakramentu? Ale niedosyć na tem. P. Badura twierdzi nadto, że do wiary katolickiej w Sakrament Ołtarza zakradła się herezya pelagiańska, ona to bowiem miała sprawić, że „ze Sakramentu Ołtarza uczyniono w niniejszej (tj. III.) epoce ofiarę mszalną“ (str. 119).

Mówiliśmy już, że p. Badura wie coś o tem, że „nabożeństwo komunijne“ — jak on je zowie — nazywano już w pierwszej epoce „ofiarą“ (str. 88), ale tam wywodził tę nazwę od ofiarowania, czyli przynoszenia do kościoła chleba i wina przez „zborowników“. Teraz przyznaje już półgębkiem, że wieczerzę Pańską nazywano ofiarą, i to w znaczeniu „przypomnienia“ ofiary na krzyżu. Poszedł już więc znaczny krok dalej, mimo to jednak dowodzi, że właśnie teraz „pojawia się zdanie, że ofiara Chrystusowa powtarza się“, a w tem właśnie ma się objawiać pelagianizm, „który człowiekowi przyznawa moc i możność sprawowania zbawienia swego“ (str. 119). Daruje nam p. Badura, ale tej herezyi to już ni przyszył, ni przyłatał do Najśw. Sakramentu. Kościół bowiem potępił herezyę Pelagiusza, tak samo jak herezyę monofizycką Eutychesa — i nigdy nie uczył, że kapłan swoją mocą sprawuje Najśw. Sakrament, tylko mocą słów bożego ustanowienia. Ale całkiem niepotrzebnie zadawalibyśmy sobie trud zbijania tych twierdzeń p. Badury, bo on sam w to nie wierzy, co popisał. Nieco później bowiem dowodzi, że to nie herezye monofizycka i pelagiańska wywołały w Kościele katolickim wiarę w przeistoczenie, tylko „przesadzona mnisza pobożność“ (w IV. epoce), która sprawiła, że „lud sobie wyobrażał, że dzieje się coś na podobieństwo czarów, a *mianowicie, że się chleb* i wino przeistaczają na ciało i krew, a w tem mniemaniu utrzymywany był także przez obrządki kościelne“ (str. 260). Gadaj tu z takim człowiekiem, który wymyśla co chwila coś nowego, a nie pamięta co twierdził poprzednio.

My wiemy, że Luter odprawiał jeszcze długi czas po swojej

apostazyi czyli odstępstwie mszę św. w Wirtemberdze, dlatego, że tak sobie życzył elektor saski Fryderyk. Dopiero z czasem nazwał ją „bałwochwalstwem“ i zarzucił. Ale sam przyznawał, że dyabeł robi mu tysiączne wyrzuty, tylko nigdy nie wyrzuca mu tego, że odprawiał mszę św. Wiemy dalej, że Luter miał zrazu zamiar zaprzeczyć obecności Ciała Chrystusowego w Najśw. Sakramencie, aby przez to papiestwu dać największego szczutka *(dem Papstthum den grössten Puff zu geben);* kiedy jednakże jego przyjaciel Carlstadt zaczął w Wirtemberdze (1522) uczyć w tym sensie, zniósł we mszy św. podniesienie i komunię św., wtedy Luter opuścił nagle Wartburg, gdzie się ukrywał jako banita, wrócił do Wirtembergi i przywrócił mszę św. wedle obrządku katolickiego, a Carlstadta wygnał z miasta. Sam wtedy przyznawał Luter, że tekst Pisma św., zawierający słowa ustanowienia: „to jest ciało moje, to jest krew moja“, nie da się zmienić, bo jest zbyt potężny *(der Text steht zu gewaltig da).* Powoli jednak staczał się nieszczęsny „reformator“ w przepaść niewiary i począł tłumaczyć słowa ustanowienia jako figurę retoryczną synekdoche, tj. że w Najśw. Sakramencie jest chleb a w chlebie jest ciało (impanacya). Natomiast Kalwin tłumaczył na swoją rękę słowa ustanowienia, jako figurę retoryczną, t. zw. metonymią, tj. że chleb i wino są tylko wyobrażeniem ciała i krwi Pańskiej. Z tego powodu powstał zacięty spór, t. zw. *Sakramentstreit,* i zwołano umyślnie dysputę do Marburga (1529), aby zgodę zaprowadzić, ale Kalwin nie chciał ustąpić, bo dowodził słusznie, że jeżeli kto nie trzyma się dosłownego brzmienia słów, jak to czyni Kościół katolicki, to mu wolno je tłumaczyć jak mu się podoba, bo jedna figura retoryczna tyle warta co i druga.

Tak więc wyglądają te herezye i czary, które zarzuca p. Badura Kościołowi katolickiemu przy wierze w Najśw. Sakrament. Ale na tem niedosyć, bo p. Badura czyni nas nawet bałwochwalcami i z wszelaką powagą dowodzi, że bałwochwalstwo zakradło się do Kościoła katolickiego. Miało się to zaś stać w ten sposób, że „Chrystus pojawił się z człowieczą naturą, jako święci, relikwie, miejsca święte i obrazy święte, które boską cześć otrzymały i tak służbę bożą zatruły bałwochwalstwem“ (str. 112). Każde dziecko katolickie wie dobrze, co sądzić o tem twierdzeniu p. Badury, nie potrzebujemy więc go zbijać. On sam zresztą przyznaje, że najwięksi Ojcowie Kościoła „powódź czczenia Świętych rozpuścili na Wschodzie“ (str. 113), możemy więc być spokojni, bo przecie sam p. Badura przyznać raczy, że ci Ojcowie Kościoła byli mądrzejsi od niego. My też wiemy dobrze, że cały ten „nowy kościół reformacyi“, jak go nazywa p. Badura, nie wydał dotąd ani

ednego Świętego i też go pewnie nie wyda. Nie dziwi nas też, że p. Badurę gniewają cuda, bo i to wiemy, że np. Marcin Luter chciał koniecznie zrobić jaki cud, aby dowieść, że jest powołany od Boga do reformowania kościoła, ale ani jemu, ani też żadnemu z jego wyznawców dotąd ta sztuka się nie udała. Powtarza się więc bajka o lisie, który nie mogąc dosięgnąć winogron, twierdził, że są kwaśne. Przyznaje też p. Badura, że „szanowanie relikwiów *(sic)*, czyli pozostałych pamiątek po Świętych, jest starodawne“ (str. 115), ale mimo to uważa tę cześć za wynik „bałwochwalczej wyobraźni“, która w średnich wiekach tak dalece wybujała, że w dyecezyi lyońskiej „potrafiła nawet czcić pewnego psa“ (str. 285). Ten niewczesny żart nie udał się p. Badurze, bo jako dzieci w szkole czytaliśmy o tym psie, który rzuciwszy się na węża, własną śmiercią uratował synka bogatego pana i za to mu pan przez wdzięczność pomnik postawił. Ale oddając piękne za nadobne, przypomnimy p. Badurze, że czciciele Lutra do dziś skrobią na zamku Wartburg plamę, którą na ścianie zrobił Luter, rzuciwszy kałamarzem na dyabła, gdy mu w tłumaczeniu Pisma św. przeszkadzał. Czy to czasem nie jest także szanowanie relikwii?

Z Najśw. Maryą Panną obszedł się p. Badura nieco grzeczniej. Przyznaje, że ją Kościół miał zawsze we wielkiej czci i poważaniu, ale twierdzi, że „nabożeństwo do Panny Maryi było uważane i potępiane jako herezya“ (str. 114). Kilka wierszy dalej jednakże przyznaje, że nabożeństwo to „podniosło się i wzięło górę nad wszelkiemi nabożeństwami do Świętych“. Przyczynić się miała do tego dopiero herezya nestoryańska i to, że sobór efezki (r. 431) przyznał Pannie Maryi przydomek „Bogarodzicy“. Najpierw, nieprawda jest, że dopiero sobór efezki przyznał ten „przydomek“ Najśw. M. Pannie, tylko prawda jest, że od początku wierzył Kościół katolicki, że Najśw. Marya P. urodziła Boga, a więc jest Bogarodzicą. Tego zaprzeczał Nestoryusz, twierdząc, że Najśw. Marya P. urodziła człowieka, więc sobór efezki, potępiając nową naukę, zatwierdził wiarę starą. Kościół katolicki nigdzie też i nigdy nabożeństwa do Matki Boskiej nie potępił, bo inaczej nie byłoby to nabożeństwo mogło się „podnieść i wziąć góry“ nad nabożeństwami do innych Świętych. Kościół potępił wprawdzie sektę „Kollyridianek“, ale potępił właśnie dlatego, że oddawały bałwochwalczą cześć Najśw. Maryi P., a my jej boskiej czci nie oddajemy [1].

[1] Cfr. Lehner, *Die Marienverehrung in den ersten Jahrhunderten.* Stuttgart 1886. 2. Aufl.

Bałwochwalstwem nazywa także p. Badura cześć obrazów. W gruncie rzeczy przyznaje sam wprawdzie, że „nie była to rzecz zła, bo jeśli najlichszy jaki człowieczek izdebkę albo komórkę swoją zdobił godłami chrześcijańskiemi, aby mu przypominały, że nawet ta komórka ma być domem bożym, to w kościołach swych też nie mogli chrześcijanie patrzeć tylko na gołe ściany“ (str. 85). Doskonale! Ale dlaczegóż to protestanci patrzą teraz na gołe ściany swoich zborów? Otóż p. Badura twierdzi, że cały Kościół okazał się pod koniec epoki IV. (800—1517) „jako zarażony bałwochwalstwem z obrazami“ (str. 117). To ma być zapewne powód, że protestanci nie mają obrazów, aby nie popaść w bałwochwalstwo! Tymczasem sprawa ta przedstawia się w świetle prawdy historycznej nieco inaczej.

Burzyciele obrazów, począwszy od Lwa z Izauryi (726), nadawali sobie pozory postępu i dążyli niby do oczyszczenia chrześcijaństwa z bałwochwalstwa i zabobonu, aby tem łatwiej zyskać dla Kościoła Żydów i Saracenów, którzy także w bóżnicach i meczetach swoich nie mają obrazów. W gruncie rzeczy byli to jednak barbarzyńcy, którzy zniszczyli sztuki piękne, pielęgnowane starannie przez Kościół. Kubek w kubek tak samo poczynała sobie rewolucya kościelna XVI. wieku. T. zw. reformatorzy rozpoczynali wszędzie reformacyę, czyli naprawę kościołów katolickich od tego, że niszczyli i palili obrazy, burzyli figury Świętych. Miał to być postęp, a było tylko najbrzydsze barbarzyństwo! Dlatego też Kościół katolicki, który uratował nawet zabytki sztuki pogańskiej, a pielęgnował starannie sztukę chrześcijańską, może spokojnie znieść zarzut bałwochwalstwa, który mu czyni p. Badura.

Przy tej okazyi jednak chciał p. Badura chyłkiem ominąć przykrą rzecz, na którą musimy zwrócić uwagę. Powiada bowiem, że chrześcijanie umieszczali na ścianach domów swoich godła chrześcijańskie: rybę, okręt, winograd, koguta i t. d., nie wspomina jednak ani słowem o katakumbach, w których ściany i sufity kaplic, do dzisiaj noszą te znaki. Te malowidła do dzisiaj zachowane zadają bowiem kłam wszystkim fałszom, które p. Badura popisał o Najśw. Sakramencie Ołtarza i o mszy św. Jeśli naprawdę chciałby się przekonać o prawdzie, polecamy mu prace dwóch młodych naszych uczonych, ks. Wilperta, który pisze głównie w *Römische Quartalschrift*, i ks. Bilczewskiego [1]. W katakumbie św. Pry-

[1] Ks. dr. Bilczewski, *Archeologia chrześcijańska wobec historyi Kościoła i dogmatu.* Kraków 1890. — *Katakumba św. Pryscylli i jej najważniejsze pomniki.* Kraków 1895.

scylli, mianowicie w t. zw. „greckiej kaplicy“, odkrył ks. Wilpert przed rokiem obraz, przedstawiający mszę św., a zaraz potem ks. Bilczewski opisał go dokładnie w *Przeglądzie Powszechnym*. Gdyby też choć raz p. Badura zajrzał do katakumb św. Kaliksta, mianowicie „kaplicy sakramentów“, nie pisałby takich nonsensów, że „kościół papieski“ ustanowił dopiero w IV. epoce (r. 800—1517) siedm sakramentów (str. 118). Jeśli bowiem p. Badura chciałby w nas wmówić, że „zbory ewangelickie“ wyznają naukę Pawła św., to przynajmniej małżeństwa nie powinien zaliczać między „przyrodzone sprawy, których nie musiał dopiero Pan Jezus ustanawiać“ (str. 117), bo przecie apostoł Paweł św. nazywa małżeństwo wyraźnie „wielkim sakramentem“ (Efez. 5, 32). Oczywiście takiego pożycia jak Lutra z Katarzyną Bora, nie uważał Kościół nigdy za sakrament! Wszakże sam p. Badura wie o tem, że synod elwirański (305) zadekretował bezżenność biskupów, prezbiterów i dyakonów (str. 135), a Luter przecież był nawet zakonnikiem.

Stan zakonny ocenia p. Badura zrazu dosyć bezstronnie, przyznaje nawet, że zakon Benedyktynów był „nieocenionem błogosławieństwem dla świata, bo wśród barbarzyństwa podczas wędrówek narodów, ocalił cywilizacyę“ (str. 147). Tak samo o dwóch wielkich założycielach zakonów, św. Franciszku i św. Dominiku, wyraża się dosyć pochlebnie (str. 216 sq.), ale mimo to wszystko twierdzi, że od r. 910 do 1256 cały stan zakonny jest ni mniej ni więcej tylko „cuchnący trup“ (str. 219). Jest to tem dziwniejsze, że ten „cuchnący trup“ wydał takie dwie znakomitości, jak „reformator Luter i duchowny jego ojciec Staupitz“. Myślałbyś, że ten „reformator“ wziął się do naprawy zakonów, skoro sam był zakonnikiem i znał ich upadek, tymczasem wiemy dobrze, że cała „reformacya zakonów“ polegała na tem, że mnichów rozpędzano, a własność klasztorną grabiono. Działy się przytem gwałty straszliwe, bo zakonnice przemocą wyciągano za włosy z klasztorów. Niektórzy zakonnicy bronili się nawet długi czas przed grabieżą, ale chciwość nazywano wówczas gorliwością o chwałę bożą, a bezprawie miało służyć „czystej ewangelii“. Wiemy też dobrze, że zakony, mianowicie ubogie, nietylko nie były „cuchnącym trupem“, jak się wyraża p. Badura, ale że były w niektórych krajach nawet doskonałe. Nie dziw, że np. w Polsce, wydały te właśnie zakony kilku Świętych, którzy prawie współcześnie żyli w XV. wieku.

Ulubiony to zwyczaj wszystkich protestantów dowodzić, że Luter miał w historyi poprzedników, którzy — jak mówi p. Badura (str. 296)—

szukali dla Kościoła „nowej głowy i serca“. Nową głową w miejsce papieża miał być Chrystus Pan, jakby w poprzednich wiekach był Zbawiciel zdetronizowany przez papieży. Do tego mieli dążyć Waldensowie, Wiklef, a mianowicie Hus w XV. wieku. Oni jednak wszyscy nie dopięli zamierzonego celu dlatego, że nie mieli „wyrobionego i jasnego programu“ (str. 297); tym brakiem programu tłumaczy p. Badura nieszczęścia i klęski, jakie husytyzm na Czechy sprowadził (str. 307). Nam się zdaje, że reformacya Lutra sprowadziła na Niemcy nie mniejsze klęski, jak np. trzydziestoletnią wojnę, ale zaczekamy, co o tem p. Badura powie w drugim tomie swojej historyi. Z niniejszego tomu radzimy każdemu spamiętać sobie to, co p. Badura mówi o Polsce i prawach, wydanych przeciw heretykom, mianowicie Husytom: „nieszczęściem stało się dla narodu, że się przyzwyczaił do nieposzanowania praw, i że można było mówić, że Polska nierządem stoi“ (str. 314). To przyznanie p. Badury zapisujemy tem chętniej, że wedle naszego przeświadczenia reformacya była rewolucyą przeciwko powadze Kościoła, w ślad za nią więc musiała iść rewolucya przeciwko powadze państwa, a to właśnie Polsce zgotowało upadek.

Najlepiej też sam p. Badura osądził wszystkie herezye, a słowa jego są tak charakterystyczne, że je dosłownie tutaj przytaczamy: „Nie jest bezowocną rzeczą przypatrzeć się herezyom — powiada p. Badura (str. 54) — bo przychodzi się do tego przekonania, że nic nowego pod słońcem, że następne i nawet dzisiejsze kształty niedowiarstwa nie stanowią nic rzeczywiście nowego, ale zawsze tylko odgrzewają stare pieczki“. — „Chociaż mówi przysłowie, że z głupotą nawet bogi daremnie stawają do boju, to przecież musiał stanąć i jeszcze musi Kościół z głupotą grzesznego człowieka, choć on się stroi w szatę najgłębszej mądrości“ (str. 60). „Kościół walczący będzie zawsze musiał coś u siebie naprawiać, lecz te naprawiania, czyli reformacye, nie zawsze będą zupełnie zgadzały się ze słowem bożem, owszem, będą miewały także cechę heretyczną. Więc Kościół nietylko musi dawać odpór złościom, ale owszem je zwyciężać; nietylko ma się zachować niepokalanym od świata, ale owszem, ma w tym świecie być solą i światłością i zdobywać go pod panowanie Jezusowe“ (str. 62).

Doskonale! Z tych słów jasno więc wynika, że Marcin Luter odegrzał „stare pieczki“, że Kościół musiał stanąć do walki z „głupotą grzesznego człowieka, choć się stroił w szatę mądrości“. Ale p. Badura ma inną logikę i dowodzi, że dawnemi czasy pojawiła się wprawdzie nazwa „wiary katolickiej“, jako nazwa wiary prawdziwie chrześcijańskiej,

a dopiero później, po wiekach, pojawiła się nazwa „wiary ewangelickiej“, ale „dwie nazwy te są dwie siostrzyce nierozłączne, bo ewangelicką być, o ewangelię opierać się musi prawdziwa wiara chrześcijańska“ (str. 66). Wprawdzie „dzisiaj najniesłuszniej kościół ewangelicki nazywają niektórzy heretyckim, lecz owszem, przeciwnie ten kościół ma prawo nazywać się katolickim, kiedy odrzuca wszystko, co ze słowem bożem się nie zgadza i dlatego też do kościoła nie należy“ (str. 77).

To się nazywa przewracać kota w miechu! P. Badura jest więc katolikiem i może dlatego pisze się księdzem, a my od razu zostaliśmy czem? Na szczęście robi tylko p. Badura ewangelicki kościół „siostrzycą“ katolickiego, a więc nie myśli zupełnie na seryo nazywać go katolickim. Ponieważ zaś sam wie dobrze, że chrześcijanie wierzyli zawsze w „jeden, święty, *katolicki, apostolski Kościół*“ (str. 76), a o siostrze żadnej nic wiedzieć nie chcieli, więc i my tej starej wiary będziemy się trzymali, i zaczekamy, aż się ta „siostrzyca“ do prawdziwej, rzymsko-katolickiej wiary nawróci. Nadto przyznał p. Badura, że nazwa „ewangelicki kościół“ powstała dopiero później, „po wiekach“ — my zaś dopomożemy jego pamięci i przypomnimy, że nietylko nazwa, ale cały ten „kościół ewangelicki“ powstał niebardzo dawnemi czasy. Starzy ludzie na Szląsku pamiętają jeszcze jego narodziny i pamiętają to, że powstał na rozkaz — nie boży — lecz królewski.

Wiadomo, że panujący dom w Prusiech wyznawał religię kalwińską, a poddani luterską. Próbowano już dawniej tego, żeby Prusacy przyjęli wyznanie domu panującego, ale to się nie udało. Dopiero król pruski Fryderyk Wilhelm III. nakazał (1817) utworzenie nowego kościoła, w którym wiara kalwińska z luterską zostały zmieszane. Ten kościół nazwano „ewangelickim“, a p. Badura wmawia w nas, że on właściwie jest katolickim. Wiadomo jednak, że właśnie na Szląsku stawili pastorzy luterscy najzaciętszy opór przeciwko temu kościołowi, który teraz p. Badura tak zachwala. Król kazał nawet dla Szląska ułożyć (r. 1829) osobną *agendę*, a kiedy i to nie skutkowało, wtedy użył tak „wymownych argumentów“ przeciwko nieposłusznym, jak: więzienia, kar pieniężnych, egzekucyj wojskowych. Tysiące luteranów uciekało wówczas do Ameryki i Australii przed tym „ewangelickim kościołem“ — niech więc p. Badura zaczeka aż przynajmniej wymrą ci, którzy narodzinom tego kościoła złorzeczyli.

*Ks. Chotkowski.*

**Historya gimnazyum przemyskiego.** Przez *prof. Stanisława Golińskiego.* **Kilka słów** o założeniu gimnazyum w Jaśle, wraz z kroniką zakładu. Spisał w 25-letnią rocznicę zakładu *prof. Aleksander Truszkowski.* **Kronika gimnazyum nowosądeckiego.** Przez *Wojciecha Błotnickiego.*

Ostatniemi czasami poczęto u nas zbierać gorliwie materyały do historyi naszego szkolnictwa. Pojawiły się cenne „Listy" d-ra A. Karbowiaka, tegoż „Historya gimnazyum wadowickiego", cały szereg artykułów w *Szkole,* wreszcie pomnikowa „Historya uniwersytetu lwowskiego", owoc umiejętnej i mozolnej pracy profesorów L. Finkla i St. Starzyńskiego. Sprawozdania za rok szkolny 1893-ci gimnazyum przemyskiego, nowosądeckiego i jasielskiego przyniosły nam historye tych zakładów. Autorowie tych prac sami oznaczyli różnicę wartości swych rozpraw: prof. Goliński nazwał rzecz swoją „Historyą", prof. Błotnicki „Kroniką", a prof. Truszkowski przyznał sam, iż tylko kilka słów o historyi gimnazyum jasielskiem napisał.

Początków gimnazyum przemyskiego należy szukać, podobnie jak początków uniwersytetu lwowskiego, w szkole katedralnej i kolonii Akademii krakowskiej. Dokładnie, kiedy taka szkoła powstała, trudno określić, rzecz pewna jednak, że istniała ona w wieku XV. W tym czasie zwalczała katedralna szkoła przemyska heretycką swą współzawodniczkę, szkołę kalwińską w Dubiecku, założoną tam przez znanego zwolennika reformacyi Stanisława Stadnickiego i Franciszka Stankara.

Z czasem stała się przemyska szkoła katedralna kolonią Akademii krakowskiej, podobnie bowiem jak do lwowskiej szkoły katedralnej, poczęto i do przemyskiej sprowadzać nauczycieli z Akademii krakowskiej. Za biskupa Stanisława Siecińskiego przybyli Jezuici do Przemyśla i wkrótce (1617) otworzyli swe szkoły, które dzieliły się na wyższe i niższe, *studia superiora,* obejmujące filozofię i teologię, i *studia inferiora,* mające zakres dzisiejszego gimnazyum.

Szkołom jezuickim poświęca szanowny autor baczniejszą uwagę i odtwarza starannie ich obraz, korzystając z cennych prac ks. Załęskiego, z „Historyi szkół" Łukaszewicza, i katalogów *Personarum Soc. Jesu,* spoczywających w Ossolineum. Po raz pierwszy może spotykamy tu starannie zestawione spisy nauczycieli i dokładnie przedstawione plany naukowe, metody nauczania, ćwiczenia religijne; nie pominął też autor karności uczniów, feryj i popisów, słowem dał nam możliwie dokładny obraz kolegium jezuickiego. Drugi okres w dziejach gimnazyum przemyskiego stanowi czas od przyłączenia Galicyi do monarchii austryacko-węgierskiej, aż do reorganizacyi gimnazyów 1772—1850. Pierwszych

lat ośm tego okresu zostawało gimnazyum przemyskie w rękach eks-Jezuitów.

W r. 1820 otwarto w Przemyślu zakład filozoficzny, który miał być przejściem z sześcioklasowego gimnazyum do uniwersytetu. Słuchacze ówczesnej filozofii, napół akademicy, byli wprawdzie tą warstwą młodzieży, co odczuwała gorąco prądy współczesne, rwała się za kordon w r. 1830, a za Karpaty w lat kilkanaście później, lecz byli też zarazem żywiołem niesfornym, lekceważącym swych nauczycieli, o pracy mało myślącym.

W r. 1850 nowy rozpoczął się okres w naszem szkolnictwie, okres do dziś trwający. Zakład filozoficzny przestał istnieć, powstało ośmioklasowe gimnazyum, profesorowie filozofii weszli w skład grona nauczycieli gimnazyalnych, butni filozofowie (piętnasto- do ośmnastoletni) musieli się nagiąć do karności i kontroli szkolnej. Egzamin dojrzałości odbył się po raz pierwszy w gimnazyum przemyskiem w r. 1850. Zdali go: Gniewosz Antoni, Jastrzębski Ludwik, Krynicki Hipolit i Liemiański Wawrzyniec.

Przeszło piętnaście kartek zajmuje wykaz abituryentów gimnazyum przemyskiego; wykaz ten jest tak dokładnym, iż nawet obecne stanowiska byłych uczniów gimnazyum przemyskiego podaje. Również starannym jest spis profesorów czynnych od r. 1850—1894. — Prac tak cennych jak „Historya gimnazyum przemyskiego“ pojawia się nader mało, jest ona nietylko sumienną i gruntowną, opartą na szerokiem tle współczesnem, napisaną umiejętnie i bezstronnie, lecz przynosi prawdziwie wiele cennego materyału do historyi naszego szkolnictwa, i może być odtąd wzorem, jak pisać należy historye naszych zakładów naukowych. Tyle o jej wartości naukowej; ze stanowiska literackiego równe tej pracy należą się pochwały. Styl barwny, zajmujące i zwięzłe przedstawienie rzeczy podnoszą wartość tego dzieła, które się stanie miłą pamiątką dla tych kilkunastu setek mężów, którzy świadectwo dojrzałości w gimnazyum przemyskiem otrzymali. W szeregu tych mężów jaśnieją nazwiska, otaczane czcią i poważaniem w narodzie naszym; oto kilka z nich: dr. Euzebiusz Czerkawski, ks. dr. Jakób Glaser, poseł Zygmunt Kozłowski, ks. dr. Julian Pełesz, ks. dr. Sylwester Sembratowicz, ks. dr. Stanisław Spis, ś. p. dr. Wawrzyniec Żmurko i t. d.

Gimnazyum nowosądeckie posiada skarb prawdziwy do swych dziejów w książce o 129 str. in folio, napisanej po łacinie, a zatytułowanej: *Historia c. r. gymnasii Neo-Sandecensis a. D. 1818 Kal. Nov. conditi.* Kronikę tę pisali: dyrektor nowosądeckiego gimnazyum Woj-

ciech Klimaszewski, dalej do r. 1839 nieznani autorowie, 1840—1857 jest luka, a czas od r. 1857—1888 wypełnił obecny dyrektor p. Manuel Kiszakiewicz, zarazem kontynuator dalszy tej kroniki. Pożar z dnia 17-go kwietnia zeszłego roku zniszczył wszystkie akta gimnazyum nowosądeckiego, kronika szczęśliwem zdarzeniem ocalała, gdyż na kilka dni przed pożarem wypożyczył ją prof. Błotnicki. O początkach gimnazyum nowosądeckiego mamy dotąd szczegóły niepewne. Od dawna istniały w Nowym Sączu szkoły łacińskie, profesorami w nich bywali duchowni przysyłani z Akademii krakowskiej. Pijarzy właściwie kolegium tu nie mieli. P. Błotnicki cytuje zdanie ks. Załęskiego: „Do roku 1772, a może dłużej, były tu szkoły gimnazyalne, kolonie Akademii krakowskiej"... Po przyłączeniu Galicyi do monarchii austryacko-węgierskiej był Nowy Sącz dłuższy czas pozbawiony średniego zakładu naukowego, gimnazyum bowiem otwarto dopiero w r. 1818 dnia 4-go listopada. W r. 1850, gdy wypracowano nowy plan dla gimnazyów, nowosądeckie gimnazyum pozostało nadal niekompletnem sześcioklasowem, nauczycielami byli w niem od r. 1838 do 1848 OO. Jezuici; d. 27-go października 1848 przeszła nauka znowu w ręce świeckich nauczycieli. W r. 1866 zaprowadzono klasę siódmą, a w r. 1867 odbyła się pierwsza matura pod przewodnictwem d-ra Andrzeja Oskarda. Krótki wyciąg z kroniki gimnazyum nowosądeckiego powiększył prof. Błotnicki wykazem nauczycieli, którzy uczyli w tem gimnazyum od r. 1819 do 1894, i statystycznie zestawionym wynikiem egzaminów dojrzałości od r. 1867—1893.

Prof. Aleksandra Truszkowskiego „Kilka słów o założeniu gimnazyum w Jaśle", jedynie treścią swą zasługuje na to, by obok dwu wyżej wymienionych prac je postawić; nietylko w niczem praca ta nie podobna do rozprawy prof. Golińskiego, ale nie jest ona także tak bezpretensyonalnem zestawieniem faktów, jak wiadomości kronikarskie podane przez prof. Błotnickiego, a o tem, że brak pracy p. Truszkowskiego cech naukowej rzeczy, zawyrokował już p. Dembitzer w listopadowym zeszycie *Museum*. Po nader mglistym wstępie zapoznaje nas autor z pamiętnikiem p. Antoniego Koralewskiego, b. aktuaryusza urzędu powiatowego w Jaśle. Z pamiętnika tego dowiadujemy się, jak starano się o założenie gimnazyum w Jaśle (1868), jak je uzupełniono, a wreszcie przyjęto na koszt rządu. Przed czterema laty zaczęto budować nowy budynek gimnazyalny, a zeszłego roku szczęśliwie go ukończono, czem pierwsze dwudziestopięciolecie istnienia gimnazyum jasielskiego zamknięto. Na tle kilku słów o założeniu gimnazyum jasielskiego rysują

się wypukle postacie i uroczystości małomiasteczkowe; prawdziwą wartość przedstawiają tylko spisy nauczycieli i abituryentów jasielskich.

*Leszek Dziama.*

**O Słowackim, Krasińskim i Mickiewiczu.** Studya historyczno-literackie. *Ferdynand Hösick.* Kraków. G. Gebethner i Spółka. 1895.

W szeregu studyów, zebranych w tej księdze, a znanych w większej części z czasopism, w których były drukowane, pomieszczono na czele: „Pierwsza miłość Zygmunta Krasińskiego". Studyum to ochrzcił p. Hösick nazwą: nowela historyczno-literacka, chcąc, zdaje mi się, tą nazwą dać nam do poznania raczej to, że do studyów ścisłych, naukowych, używa i używać należy formy lekkiej, pociągającej, aniżeli, że rozprawa ta nie rości sobie pretensyi do zupełnej, w wszelkich szczegółach prawdziwej opowieści. Naprzód musimy powiedzieć, że wolelibyśmy, żeby nazwisko pani B. nie było wymienione, bo przyzna każdy, że ogłoszenie *urbi et orbi*, iż ta i ta oddała się „duszą i ciałem" komuś, choćby ten ktoś był wielkim człowiekiem, nie jest dla rodziny rzeczą przyjemną, a to tem bardziej, że to przecież sprawy jeszcze bardzo świeże, że ta pani umarła przed niedawnemi laty. Usprawiedliwieniem autora jest, że nazwisko to wymienionem już było przedtem, przez kogo innego — przez panią Ogonowską w *Studio critico su Sigismondo Krasiński*, i przez d-ra Antoniego J. — „Zagmatwana to tragedya" — której bodaj więcej miejsca i czasu autor poświęca, niż na to zasługuje. Ciekawych odsyłamy do recenzyi prof. Tarnowskiego o tej książce *(Przegląd Polski*, wrzesień 1894); wyczerpująco wskazane przeróżne niedokładności, których autor się dopuścił, hipotezy, do których najniepotrzebniej w świecie się ucieka.

„Słowacki i Krasiński w Rzymie w r. 1836" nie przynosi nic nowego, jedną tu tylko rzecz mamy do zauważenia: to, co mówi Odyniec w Listach o Dorocie Czartoryskiej, świadczy przeciw mniemaniu p. H., że Słowacki w „Niepoprawnych", w wierszach „Jedna hrabina pobożna,

Której spadają włosy aż na ramię,
A w każdym włosa pierścieniu ukryty
Albo kanonik albo monsignore —

Dewotka", miał księżnę stolnikową na myśli.

„O Słowackim i pani B.", napisane najniepotrzebniej w formie dyalogu, nie nadającego się do studyum biograficznego. Forma to przystępna tylko dla mistrzów pióra; powiedzmy otwarcie, że próba ta w tem

studyum i w drugiem o „Beatrix Centi“ nie udała się. Niektóre z osób prawią same ogólniki, przemawia i dowodzi jedna tylko osoba, inne są tylko szematami, nie umiejącemi wynaleść odpowiednich argumentów, niezdolnemi do dysputy. Poza tem opowieść o tej miłości Słowackiego jest bardzo ciekawa i nowa, ale więcej jeszcze niż pierwsza przepełniona dowolnemi, z fantazyi czerpanemi szczegółami, nieraz nawet trudnemi do uwierzenia. Opowiada p. H., że Słowacki dowiedział się o miłości pani B. do Krasińskiego po przeczytaniu jej „Snu nocy letniej“. Skąd pewność, że ją razem czytali? niesposób również uwierzyć, że „Noc letnia“ wywarła na panią B. takie wrażenie, że pod jego wpływem opowiedziała dzieje swojej miłości. Przyznać się do niej, przyznać się do upadku, opowiedzieć o swem upokorzeniu—wszak Krasiński już jej wówczas nie kochał, — nie tak to łatwa rzecz dla kobiety — przed mężczyzną. Czyż nie naturalniejszą rzeczą byłoby przypuścić, że Słowacki dowiedział się o tem z pogłosek, które musiały krążyć w towarzystwie paryskiem; wszak przed paru laty tak głośno mówiono o tym stosunku w Wiedniu, gdzie Krasińskiego prześladowano półsłówkami, domysłami i t. d. Słowacki musiał o tem słyszeć, a przy odpowiedniem badaniu dowiedział się całej prawdy i wówczas pewnie zdawało mu się, że zdobycie serca pani B., serca, które się już raz oddało, nie będzie tak trudnem. Zawiódł się, trafił na obojętność, rozpaczał, skończyło się na wzajemnem do siebie pisywaniu.

„Hrabina Idalia“. Przyczynek to do genezy „Niepoprawnych“. Autor zastanawia się tutaj nad dwoma kwestyami, mianowicie: „Czy nie dałoby się dowieść, że dramat Słowackiego, znany nam p. t. ‚Niepoprawni‘ nosił pierwotnie przez samego autora nadany mu tytuł: Nowa Dejanira — oraz: Czy przypadkiem do postaci Hrabiny Idalii nie pozowała Słowackiemu pani B.?“ Zdaniem naszem twierdzenie p. Hösicka, że dramat „Niepoprawni“ powinien być zatytułowany „Nową Dejanirą“, jest słuszne, jak również i to, że nie Delfina Potocka, lecz pani B. służyła za wzór do postaci Idalii.

„Dwie uczty. Urywek z dziejów zatargu pomiędzy Słowackim a Mickiewiczem“. Autor opowiada nam o owych znanych dwóch ucztach z 25-go grudnia r. 1840 i 1-go stycznia 1841. P. Hösick zamierzał zapewne wyjaśnić stanowczo sprawę oddania puharu Mickiewiczowi, przedstawić wszystkie szczegóły tych uczt, aby już więcej nie było wątpliwości, co do winy jednej lub drugiej strony. Zadanie przedsięwzięte nie wypadło dobrze i, powiedzmy szczerze, lepiej było tego wszystkiego nie poruszać. Ostatecznie, co za korzyść z tych wiado-

mości, co za przyczynki do charakterystyki obu poetów: Mickiewicza i Słowackiego? Staraliśmy się dowiedzieć u ludzi, którzy te czasy pamiętają, jak się rzecz miała w istocie z owym puharem. Odpowiedziano nam, że zajmowała ich wówczas, w parę lat po owej uczcie, więcej duchowa, niż materyalna strona zaszłych wypadków, że każdy, nawet największy człowiek ma swe słabostki, swe uprzedzenia, że lepiejby było dla nas, w naszem społeczeństwie ich nie dotykać, że są rzeczy ważniejsze do roboty, niż zastanawianie się nad szczególikami, jak to robią Niemcy z Goethem, że wreszcie sąd o Eustachym Januszkiewiczu trzeba było oprzeć na pewniejszych podstawach, bo z listów lub wspomnień kogoś z emigracyi nie można wyprowadzać sądów o charakterze tego człowieka, gdy się zważy, jak to kotłowało wówczas w Paryżu, jakie było zamieszanie pojęć, sądów, ile goryczy i podejrzeń, naturalnych zresztą u ludzi, którzy pozbawieni ojczyzny, szukali wszędzie winowajców, szarpali się i rzucali na wsze strony, upatrując ocalenia, oswobodzenia kraju... Od siebie dodajemy, że dowody umyślnego przekręcenia prawdy przez Januszkiewicza (że Słowacki oddał puhar Mickiewiczowi podczas drugiej uczty), są natury raczej negatywnej, niż pozytywnej. Co do tej sprawy, jak i pojedynku Słowackiego z Ropelewskim, opowiedzianego w „Don Kiszotowym dniu", przemawiają nam zupełnie do przekonania słowa prof. Tarnowskiego, wypowiedziane w cytowanej recenzyi, i do nich odsyłamy czytelnika.

Za te dwie opowieści wynagradza nas poważna rozprawa o „Beatrix Cenci"; o formie jej powiedzieliśmy już wyżej, na treść, że Shelley nie wpływał na Słowackiego, że tragedye obu autorów, chociaż noszą te same tytuły, są odmienne, zgadzamy się zupełnie.

To, co mówi p. H. w ostatniej rozprawie: „Ostatnia miłość Juliusza Słowackiego", o p. Reitzenheim, to właściwie bezpodstawne, a raczej podstawa zbyt słaba, aby dojść do konkluzyi tak obszernej, jak ta, że była to miłość platoniczna, „z miłości Słowackiego najpoetyczniejsza, że to była prawdziwa Beatrice Juliusza".

Wkońcu kilka uwag nad językiem autora. Wolelibyśmy, żeby był prostszy, żeby posiadał mniej ozdób i floskuł stylowych, mniej widocznego silenia się na nadzwyczajne zwroty, porównania, mniej przedewszystkiem cytat. Ten brak oryginalności stylu uderza szczególniej w „Samotności", książce, o której *Przegląd* zamieścił sprawozdanie w poprzednich zeszytach. Powyższych uwag nie weźmie nam autor za złe, bo podyktowała je życzliwa i szczera chęć zwrócenia jego uwagi na niedobory, które rażą u człowieka sumiennej pracy, starającego się

jak najbardziej zbliżyć do ideału pisarza, oddanego tylko sztuce, usiłującego myśl swoją w jak najmisterniejszą oprawić formę. Z dotychczasowych rozpraw p. Hösicka mimowiednie wynosi się przekonanie, że pisze owe studya raczej dla kobiet, niż mężczyzn, że pragnie olśnić, że w sposobie opracowania, w stylu jest nieco pozy. Może się to podobać, ale poważny i rzetelny znawca, ale specyalista, a o tych autor naukowej pracy przedewszystkiem dbać powinien, wady wskazane spostrzeże i pomyśli najpierw jedno, że te same sprawy dałyby się opowiedzieć zwięźlej, nie tak rozwlekle, bez użycia najrozmaitszych aparatów efektownych, drugie, że piszący te rozprawy nie ma jeszcze własnego stylu, że goni nieraz za frazesem, że nie umie poświęcić prostocie i zwięzłości niepotrzebnego czasem zupełnie *bon-mot*.

Gramatycznie język p. Hösicka jest zupełnie poprawny; w książce o 333 str. znaleźliśmy tylko trzy błędne formy: „bali“, zam. balów; „nie zawahał się przyznać pewną słuszność“, zam. pewnej słuszności (str. 105); książe, zam. książę, błąd uważany widocznie za drobny, bo coraz częściej spostrzegać się daje w naszych książkach, podobnie jak imie, zam. imię.

*Dr. A. M. Kurpiel.*

**Pamiętnik historyczny i wojskowy** o wojnie polsko-rosyjskiej w roku 1831, napisany przez *Ignacego Prądzyńskiego*. Kraków. Nakładem Kazimierza Grendyszyńskiego.

Po tylu publikacyach o powstaniu listopadowem, obszernej Barzykowskiego, i pomnikowej, choć krótkiej rozprawie Popiela, niewiele chyba sąd o niem zmienią nowe głosy. Leżący przed nami memoryał jenerała Prądzyńskiego pochodzi z archiwum głównego sztabu w Petersburgu, pierwotnie na żądanie i dla użytku cara Mikołaja po rosyjsku napisany, później przełożony na język polski. — Początki powstania nie zastały Prądzyńskiego w Warszawie. Przybył już po wybuchu rewolucyi do stolicy, gdzie go Chłopicki, zostawszy dyktatorem, do swego sztabu powołał. Odtąd pozostał on czynnym aż do końca wojny. Rola, którą w niej odegrał, dostatecznie jest znaną, ocena jego działania stanowczo wydaną, niemniej jednak znajdujemy w książce szczegóły nowe, obfity materyał sprawozdawczy, który służył za źródło między innymi rosyjskiemu jenerałowi Puzyrewskiemu w jego historyi powstania. Opisane są mianowicie wypadki, w których autor brał udział, jakoteż te, o których, będąc kwatermistrzem jeneralnym, odbierał raporta. W wielu miejscach przeplata opowiadanie sąd jego osobisty o ludziach stojących

na czele wojska i rządu. Obszernie też traktowana różnica zdań między nim a Skrzyneckim przez cały przeciąg naczelnej tegoż komendy, szczegółowo opisane bitwy pod Grochowem, Wawrem, Dębem, Ostrołęką i Warszawą, z zaznaczeniem planów i projektów jeneralnego kwatermistrza, nie przyjmowanych przez głównodowodzącego. Zamykają książkę sprawozdania z ostatnich wypadków, przejściowego objęcia władzy przez Prądzyńskiego, kapitulacyi Warszawy, poddania się wojska. Obok treściwych obrazów, np. bitwy pod Iganiami, jego zasługą wygranej, i strasznych scen barbarzyństwa popełnianych tam przez wojsko moskiewskie, wywołują uśmiech na usta anegdoty o słabostkach ludzkich, bystrem dostrzeganych okiem, a które zdaniem autora były wyrazem wewnętrznego usposobienia. W całej zaś książce jest dużo fachowych szczegółów, wśród których mieszczą się pomysły odmiennego prowadzenia operacyj strategicznych, jak te, które zostały zastosowane. Wymienić jeszcze należy ciekawy dopisek autora, tłumaczącego się przed cesarzem, że pisząc o wojskowych, musi nadawać im stopnie uzyskane podczas powstania, a więc nielegalne w oczach monarchy. Opis bowiem stałby się niezrozumiałym, gdyby oznaczał ludzi podług dawnych stopni z przed powstania. Trzebaby np. pisać: „pułkownik Skrzynecki dał rozkaz jenerałowi dywizyi Krukowieckiemu i odebrał dowództwo jenerałowi Umińskiemu“. Nie wesołem zaiste musiało być pisanie memoryału dla polskiego żołnierza, zmuszonego w ten sposób książkę swą usprawiedliwiać.

*F. M.*

**O przekładach Mickiewicza z Göthego.** Napisał *dr. Albert Zipper*. (Odbitka z *Muzeum*). Lwów 1895.

Mała ta broszurka, bo ledwo 15 stron obejmująca, jest zestawieniem Mickiewiczowskiego „Podróżnego“ z Göthego *Der Wanderer*, oraz dwu innych utworów. Próżnobyś tu chciał się dopatrzeć jakichś głębokich charakterystyk stosunku obu poetów, lub szukał zdania o wartości utworów. Pan Z. zestawia utwory obu mistrzów, każdy bada pod względem formy i treści, a tak dokładnie dawszy poznać czytelnikowi, resztę jego sądowi zostawia. Praca to staranna, dokładna, czyta się zajmująco.

*Wł. R.*

## Z piśmiennictwa zagranicznego.

**Apologetica de Aequiprobabilismo Alphonsiano.** Historico-philosophica dissertatio juxta principia Angelici Doctoris, auctore *P. J. De Caigny, Congr. SS. R.* Parisiis, Lipsiae, Tornaci, 1894, $8^0$, p. 192, fr. 1·50.

**De Systemate morali antiquorum Probabilistarum.** Dissertatio historico-critica, auctore *Francisco Ter Haar, Congr. SS. R.* Paderborn, F. Schöningh, 1894, $8^0$, p. 104, M. 1·25.

Od lat 30-tu prowadzą między sobą wybitniejsi teolodzy-moraliści spór naukowy o system moralny św. Alfonsa de Liguori w kwestyi probabilizmu. Hasło do tej dość żwawej walki naukowej wyszło najpierw z ust, a potem z pióra głośnego profesora rzymskiego, O. Antoniego Balleriniego T. J., który przy inauguracyi wykładów na uniwersytecie Gregoryańskim w r. 1863, miał publiczny odczyt o nauce św. Alfonsa w kwestyi probabilizmu, ogłoszony następnie drukiem, w którym tenże uczony mąż uzasadniał twierdzenie, że św. Alfons nie jest autorem nowego systemu co do używania opinij probabilistycznych, przez niektórych ekwiprobabilizmem zwanego, lecz że zawsze trzymał się zasad zwykłego probabilizmu, którym się kierowali Busenbaum, La Croix i inni. Nic dziwnego, że twierdzenie to znalazło przeciwników, którzy odmiennego w tej kwestyi bronili stanowiska św. Doktora, a mianowicie, że św. Alfons jest naprawdę ojcem nowego systemu moralnego w stosowaniu opinij prawdopodobnych, systemu pośredniego między probabilioryzmem, a zwykłym probabilizmem, nazwanego dlatego probabilizmem umiarkowanym lub ekwiprobabilizmem. — Nie wchodząc bliżej w historyę tego sporu i w ocenę publikacyj nim spowodowanych, na teraz jedynie zaznaczamy, że światli synowie duchowni św. Alfonsa ze zgromadzenia Najśw. Zbawiciela, w jednym (ostatnim 1894) roku ogłosili aż trzy prace z zakresu właśnie owej kwestyi spornej, z których dwa tytuły na czele wypisaliśmy, podczas gdy o trzeciej (najpierw wydrukowanej) na innem miejscu zdaliśmy sprawę [1].

Pierwsza z wyżej tu wymienionych dyssertacyj postawiła sobie za zadanie nietylko bronić ze stanowiska historycznego systemu ekwiprobabilizmu św. Alfonsa, ale także poprzeć jego wywody powagą św. Tomasza i innemi scholastyczno-filozoficznemi argumentami. Wiadomo bowiem wszystkim, jak św. Alfons ściśle we wszystkiem przestrzegał nauki

[1] L. Gaude, *De morali systemate S. Alphonsi M. de Lig.* 1894, Romae. Zob. *Gazeta Kościelna* nr. 22 b. r.

św. Doktora Anielskiego, o czem często na rozmaitych wspomina miejscach, a zwłaszcza w swojej *Theologia moralis* [1], w której między innemi wypowiada zasadę: *Non recedendum a sana Doctoris Angelici doctrina, ubi haberi potest. (De actibus hum. Proëm.).* Nadto, ponieważ kwestya ta, w której chodzi o postępowanie w rozwiązywaniu wątpliwości *in re morali*, a więc o poznanie prawdy według kryteryów przez rozum wskazanych, z natury swojej wkracza w dziedzinę filozofii, przeto autor rozprawy bardzo właściwie postąpił, gdy tego rodzaju pytania, jak: co to jest wątpliwość, opinia, prawdopodobieństwo, pewność i t. d., w traktacie o probabilizmach pierwszorzędne mające znaczenie, ze stanowiska filozoficznego w myśl nauki św. Tomasza, rozebrał i objaśnił. Nader bowiem słuszne jest zdanie kardynała Bourreta, przez autora niniejszej rozprawy przytoczone (p. 6): *Haec quaestio minus agitaretur, si prius philosophice consideraretur; nam imprimis philosophica est, ejusque applicatio rebus theologicis non est nisi specialis determinatio theseos generalis de certitudine in ordine ad actionum humanarum moralitatem.* De Caigny podnosi nawet z przyjemnością tę okoliczność, jak św. Alfons, idąc wiernie za św. Tomaszem, używał do poznania prawdy środków przezeń wskazanych (2, 2, qu. 180, a. 3 ad 4), mianowicie ciągłej modlitwy i nieustannego a wszechstronnego studyowania, któremu przez 30 lat z nadzwyczajną poświęcał się gorliwością, zanim zbadawszy najwłaściwszy i dla zbawienia dusz najbezpieczniejszy system moralny, takowy potem definitywnie ugruntował i określił, i do końca życia go zalecał i bronił (p. 29).

Najważniejszą część dyssertacyi de Caigny'ego stanowi 3-ci i 4-ty rozdział. W pierwszym z nich wykazuje, że św. Alfons trzymał się systemu ekwiprobabilizmu, z całą pewnością przynajmniej od r. 1762, to jest od słynnej jego rozprawy: *De usu moderato opinionis probabilis*, czego, krom prac i pism św. Doktora dotychczas znanych, dowodzą także bardzo wymownie jego korespondencye, przed kilku laty (1887 r.) po pierwszy raz drukiem ogłoszone. Wprawdzie początkowo św. Alfons kierował się jakiś czas zasadami zwykłego probabilizmu, o którym nawet dwie rozprawy napisał (w r. 1749 i 1755), lecz jak się właśnie ze świeżo wydanych jego listów okazuje, było to z posłuszeństwa względem przełożonego, o czem nawet raz później ciężką złożony chorobą nie bez obawy myślał (p. 70). Rozprawy te stanowią też główny punkt oparcia owych teologów-moralistów, którzy św. Alfonsa do obozu zwykłych

[1] Jak np. Lib. I, n. 59, 65, 70.

probabilistów chcą zaliczyć. Lecz jak mało św. Alfons do nich przywiązywał wagi, stąd wynika, że je bezimiennie wydał, tak iż nawet uszły uwagi jego przeciwników, jak niemniej i z tego, że prawie nigdy później o nich w swych pismach nie wspomina.

Jak zaś przeciwnie św. Alfons był przekonany o duchownym pożytku, ze swego nowego systemu płynącym, objaśniają własne jego słowa w jednym z jego listów zamieszczone: *Hoc meum systema adeo verum aestimo, ut si quis in mea dioecesi sententiam certo minus probabilem tenere vellet, jurisdictionem ei abnuerem. (Corr. Spec. Epist. CCXVII).*

Aby rzecz całą jasno postawić, a tym sposobem uwydatnić różnicę odmiennych zapatrywań, de Caigny całą kwestyę sporną w 4-ech zamyka punktach, które tu dla lepszego jej zrozumienia w całości przytaczamy: a) *S. Alphonsus ab anno circiter 1762 certissime Aequiprobabilismum docuit.* b) *In aequiprobabilitate vincit possessor, sive libertas in dubio de legis existentia, sive lex in dubio de legis cessatione.* c) *Sufficienter promulgatur lex, quoties ipsi suffragatur opinio certe probabilior.* d) *Rejicienda est formula: Licet sequi opinionem solide probabilem, relicta probabiliori; est enim ambigua, non distinguens inter dubie et certo probabiliorem: in prima hypothesi ab Aequiprobabilistis admittitur, in altera vero ab ipsis rejicitur* (p. 76).

Autor zbijając twierdzenia teologów przeciwnego obozu, jak Ballerinicgo, O. Rafała od św. Józefa, Karmelity, Lehmkuhla, Frasinetta, Van Reetha, czyni to ze spokojem i ściśle naukowo, w czem najnowsze rozprawy jego braci zakonnych dobrą wyświadczają mu usługę.

Główną zaś zasługę tego dziełka stanowi naukowe uzasadnienie ekwiprobabilizmu św. Alfonsa, przeprowadzając tezę, że za tymże systemem stoi przedewszystkiem nauka i powaga św. Tomasza (nr. 109—163). Dział ten wymaga uważnego studyum, w którym autor rozbiera i uzasadnia ściśle naukowo bliższe i dalsze zasady alfonzyańskiego systemu moralnego.

Wkońcu zauważyć należy, że jakkolwiek kto innego chciałby się trzymać systemu — skrajny bowiem tylko rygoryzm i skrajny laksyzm są przez Kościół potępione — to jednak nikt nie zaprzeczy, że apologia O. de Caigny jest między rozprawami, które się na tem polu ukazały, jedną z najwybitniejszych prac. Odznacza się ona okrom tego jasnością w wykładzie, a powagą i przedmiotowością w omawianiu zarzutów, obok wzorowego języka łacińskiego, który czytanie tego zawiłego przedmiotu wielce ułatwia.

Ter Haar, autor drugiej z wyżej wymienionych rozpraw, wziął sobie za cel, kwestyę sporną między probabilizmem a ekwiprobabilizmem bliżej rozjaśnić o tyle, że zbadał zapatrywania teologów, jacy byli od czasów uczonego Bartłomieja a Medina, Ord. Praed., który w komentarzu do Summy teolog. św. Tomasza w r. 1577 wydanym umieścił tezę: *Licet sequi opinionem minus probabilem, relicta probabiliore* — aż do św. Alfonsa: *De usu opinionis probabilis.* Powodem zaś do tej pracy był ten wzgląd, że — jak to autor na wstępie zaznacza — wielu z nowszych teologów zwalczając ekwiprobabilizm, zwykli powoływać się na powagę prawie wszystkich dawniejszych głośniejszych autorów, jako temu systemowi przeciwnych.

Rozprawa niniejsza na dwie głównie rozpada się części, z których pierwsza obszerniejsza (str. 17—85), odsłania myśl autorów-probabilistów od czasów Bartłomieja a Medina aż do św. Alfonsa; druga zaś omawia ich powagę w niniejszej kwestyi. Główną tę pracę poprzedza jasny i pouczający wykład: *Status controversiae inter aequiprobabilistas et probabilistas simplices,* z którego się okazuje, że *cardo controversiae* nie leży w tem, czy wolno trzymać się opinii *vere et graviter probabilis,* lecz kiedy to jest owa *vera et gravis probabilitas,* czyli inaczej przez moralistów wymagana *certitudo moralis late dicta.* Jak bowiem autor (str. 12 i 13) wykazuje, opinii *vere, certe et graviter probabilis* domagali się w praktyce tak teologowie laksyści (Caramuel), jak probabilioryści (Gonzalez). Od Mediny zatem aż do św. Alfonsa, przeto przez dwa blizko stulecia, dwojakiego rodzaju byli probabiliści. Jedni umiarkowani, *probabilistae moderati* czyli *aequiprobabilistae,* którzy użycia łagodniejszej (za wolnością) opinii wtenczas dopuszczają, jeżeli ona jest *aeque vel fere aeque probabilis,* zaś *minus probabilem* wyraźnie na *dubie vel paulo minus* ograniczają. Inni znowu probabiliści zwyczajni, *puri aut simplices,* uważają owe: *certe, evidenter aut notabiliter minus probabilis,* jeszcze za *solide probabilis.* Wreszcie probabiliści wątpliwi, *ambigui, incerti,* których dla tej czy owej strony na świadków brać nie można, gdyż ich teza: *licet sequi opinionem vere probabilem, relicta probabiliore pro lege,* ponieważ nie określa bliżej, czy *parum aut dubie probabiliore,* czy też *certe aut notabiliter,* zarówno przez ekwiprobabilistów jak i przez laksystów może być przyjętą.

Co się zaś tyczy powagi dawnych probabilistów, to autor rozprawy powołuje się przedewszystkiem na św. Alfonsa, uskarżającego się w ogólności na teologów tamtych czasów: *quod haec materia opinionum probabilium tunc erat valde confusa, unde confuse de ea loque-*

*bantur* (p. 86), i że dopiero za zjawieniem się jansenizmu, a zwłaszcza od osławionych „Listów prowincyonalnych“ Pascala, tj. od r. 1656, system ekwiprobabilizmu powoli przez niektórych teologów dokładniej był obrabiany (Passerini, Esparza, Terillus, Daniel, Rassler, Mayr, Amort), a wkońcu nadewszystko przez zdumiewającą i opatrznościową naukę i roztropność św. Alfonsa został ugruntowany i dokładnemi określony granicami, jak to Stolica Apostolska dekretem z dn. 23 marca 1871 r., z okazyi udzielenia św. Alfonsowi tytułu Doktora Kościoła, orzekła, że: *inter implexas theologorum sive laxiores sive rigidiores sententias tutam strarit viam.*

Do zalet niniejszej rozprawy zaliczyć należy tę okoliczność, że autor przechodząc szczegółowo wielu moralistów owego peryodu, nie zadowalniał się cytatami z drugiej ręki, lecz przytacza ich słowa według samych źródeł, a jeśli ich mieć nie mógł, to stosowną o tem ostrzega notatką.

Praca ta, która niewątpliwie wiele kosztowała trudu, nie chybi też z pewnością swego zamierzonego celu, gdy się z jedną częścią istniejącego sporu załatwia, wykazując, że przeciw historycznej prawdzie wykraczają ci, którzy jednomyślną zgodą wszystkich prawie dawniejszych probabilistów, ekwiprobabilizmowi przeciwstawiają.

*Ks. dr. C. Wądolny.*

**Die internationale katholische Universität Freiburg in der Schweiz.** Von *Camille Morelle*, Kanzler der Univ. Freiburg i. d. Schweiz. Übersetzung der 2. französischen Auflage, mit 20 Illustrationen. Freiburg im Breisgau 1895. Herder'sche Verlagshandlung.

Nie od dzisiaj datuje się kwestya wolnych uniwersytetów katolickich. Kilkuwiekowe a pełne pożytku istnienie lowańskiego uniwersytetu najlepszym tego dowodem, a od lat dwudziestu, kiedy we Francyi zawrzała walka z Kościołem na polu nauki i wychowania młodzieży, rozbrzmiewa hasło do zakładania tego rodzaju wszechnic. Pierwszeństwo w tej mierze trzeba przyznać niezrównanej ofiarności Francuzów i Belgów, która przykładem swoim zelektryzowała nietylko Europę, ale nawet i Amerykę, powołując do życia katolicką wszechnicę w Waszyngtonie. Sam tylko Salzburg — co ze smutkiem wspomnieć się godzi — od lat kilkunastu żółwim krokiem nie zdołał jeszcze dotrzeć do celu.

Na wolnej ziemi Szwajcarów myśl ta kiełkowała jeszcze nierównie dawniej, bo kiedy reformacya zabrała sobie *jure caduco* założoną przez

katolików w XV. stuleciu wszechnicę w Bazylei, to już w r. 1537 domagali się katolicy dla siebie katolickiego uniwersytetu. Od owego czasu aż po dni nasze powtórzono to żądanie na radach kantonalnych 130 razy, zawsze napróżno. Fryburg tedy, ono przez bł. Piotra Kanizego uprzywilejowane miasto, własnym kosztem dźwignęło słynny wychowawczo-naukowy zakład, który od r. 1828 aż po rok tylko 1848 istniejąc, niezatartą a chlubną po sobie zostawił pamięć i tylu wielkich mężów dał społeczeństwu i Kościołowi.

Tymczasem myśl stworzenia katolickiego uniwersytetu nie zgasła; ale widocznie nietylko nieprzyjaciele, lecz i swoi sprzysięgli się na to, by stawiać trudności w urzeczywistnieniu upragnionego zamiaru. Ktoby się tego spodziewał, że kiedy wszystko najlepiej się składało po temu, kiedy bogate opactwa szwajcarskie: Einsiedeln, Rheinau, a zwłaszcza St. Gallen, mogły dostarczyć potrzebnych funduszów: wszystko rozbijało się o tę drobiazgowość, z jaką każde z wymienionych opactw chciało być siedzibą rzeczonego uniwersytetu. Dla załagodzenia sporu proponowano im całkiem neutralne miejscowości, jak: Rapperswyl, Rorschach, Bremgartem albo Locarno, lecz i to napróżno. W dziwny a niepraktykowany sposób chciano tedy wszystkim zadośćuczynić i każdy wydział wszechnicy w innej założyć miejscowości: ale temu oparł się zdrowy rozsądek obywateli Fryburga. I oto, kiedy pewnie najmniej o tem myślano, im się dostał ten zaszczyt, o który się dobijała cała katolicka Szwajcarya.

Szczęśliwie przeprowadzone operacye finansowe zrobiły Fryburczyków niespodzianie panami $2^1/_2$ miliona franków w r. 1886, a w wilię Bożego Narodzenia, jakby na kolendę Boskiemu Dzieciątku, Rada główna miasta ofiarowała tę sumę na założenie uniwersytetu. Odtąd upragniona sprawa szybkim postępowała krokiem. Radca stanu Python wraz z radcą d-rem Decurtins zajęli się wyszukaniem odpowiednich sił nauczycielskich, a już w r. 1889 otwarto wszechnicę z dwoma wydziałami na początek, to jest prawniczym i filozoficznym; w gronie profesorów widzimy prof. Kallenbacha z Krakowa i trzech innych Polaków.

Jeżeli z wielką radością powitał ten wypadek cały świat katolicki, to przedewszystkiem Ojciec św. Leon XIII., który to wyraził i na posłuchaniu, danem delegatom Fryburga, i w odręcznem piśmie do Rady stanu i ówczesnego jej prezydenta Pythona.

Ugoda, zawarta z Ojcem jenerałem Kaznodziejskiego Zakonu, pozwoliła otworzyć wydział teologiczny; okazałe gmachy wszechnicy i konwikty teologiczne dźwignęły się jak pod czarodziejską różczką, a żądna

wiedzy gruntownej i zdrowej katolicka młodzież posypała się wnet w progi nowej wszechnicy. I nie zawiodła się w swych nadziejach. Znakomici, a nieraz prawdziwie porywający nauczyciele, życie towarzyskie wielce przyjemne, a razem poczciwe i okraszone serdecznym stosunkiem z profesorami uniwersytetu, życie tanie, a okolica czarująco piękna: wszystko to wytwarza w uczniach prawdziwe przywiązanie do tej młodocianej *Almae matris* Fryburskiej.

Brak jeszcze było dwóch wydziałów: matematyczno-przyrodniczego i medycznego. Fryburg tedy wyznaczył jeszcze osobno 80 tysięcy franków rocznej dotacyi, i już na przyszłe półrocze zimowe otwiera się wydział matematyczno-przyrodniczy, zanim to samo wnet — jak sobie tuszymy — i z wydziałem medycznym nastąpi.

Pan Morelle, który w swej broszurze streścił tak zajmująco genezę tej nowej katolickiej wszechnicy, znajduje się w tem szczęśliwem położeniu, że o prawdziwości jego słów roznoszą świadectwo już od lat kilku po świecie liczni a pełni zapału adepci fryburskiej wszechnicy, z których ust i nam się już zdarzyło zasłuchać zasłużonych dla niej pochwał.

*Ks. Władysław Czencz.*

**Siècle.** Croquis Italiens. *René Bazin.* Paris. Calmann Lévy.

Niewyczerpana rodzajność ducha Francyi uderza szybkiem zastępstwem i następstwem talentów, wybijających się z kolei na pierwszorzędne, międzynarodowe stanowiska. Jeszcze nie zeszedł z pola jeden z mistrzów słowa, a już drugi w jego ślady wchodzi, gotów nieraz go przyćmić i prześcignąć. I tak, gdy Loti, bądź co bądź wielki artysta pióra, dopełnia w senacie umysłowości francuskiej świetnego i wczesnem powodzeniem uwieńczonego zawodu, już zewsząd powstają współzawodnicy, podejmujący jego jaskrawą paletę, aby niemniej świetlane kreślić obrazy i krajobrazy. Autor, którego imię wypisujemy powyżej, naprzemian uprawia niwę powieściową i opisową, na obu tych szlakach dorównywając nieraz czarem słowa autorowi „Rybaka islandzkiego“, a przewyższając go o całe niebo poczuciem chrześcijańskiem, zrozumieniem wszystkiego, co rwie wiarą i miłością w górne błękity, co świadczy o nieśmiertelności duszy i nad doczesność unosi. Między Lotim u Bazinem zachodzi różnica dwóch wręcz przeciwnych światów i pierwiastków: pogańskiego i chrześcijańskiego. Loti wciąż się przechwala zwątpieniem i usiłuje w niem siebie i czytelników utwierdzić, Bazin nie wypiera się dziedzictwa wiary, owszem, rad podchwytuje

tętna nadprzyrodzone, świadczące o nadprzyrodzonych też przeznaczeniach ludzkiej duszy. Co więcej, zamiast się upajać kształtnym frazesem i własnych słów szumem, Bazin po drodze zbiera cenne szczegóły i dodatnie wrażenia, w duszę czytelnika dobre rzucając ziarno, zamiast w nią wszczepiać rozstrój i zwątpienie cechujące dyletantyzm Loti'ego.

Sympatyczny wędrowiec pod jednosłownym tytułem *Siècle*, obejmuje dość urozmaiconą podróż po morzu Śródziemnem, z Marsylii do Tunisu, z Malty do Palermo, ażeby zamknąć księgę pamiątek w Neapolu, tej stolicy kilkowiekowego królestwa „obojga Sycylii". Ulubiony to cel dzisiejszych pielgrzymek za zdrowiem czy wrażeniami. Włochy za blizko już teraz leżąc, poniekąd spowszedniały ułatwieniem komunikacyi. Bogatsi docierają do Palermo i dalej, spieszą na afrykańskie wybrzeża. Można za nimi odbyć czarowną podróż, wczytując się w kartki p. Bazin'a. Do najpiękniejszych opisów zaliczamy ustęp o ruinach Segesty, gdy o zachodzie, wędrowiec wśród zapadającego dokoła mroku, ogląda w świetle ostatnich promieni słońca „tę myśl ludzką, sterczącą samotnie wśród pustkowia, niby ognisko wieńczące i skupiające w sobie wszystko dokoła" [1]. Raz po raz ciekawy rys z dziedziny obserwacyj praktycznych przerywa misterny tok licznych spostrzeżeń impresyonisty. Wie on, ile pomarańcz lub cytryn rokrocznie wyrzuca na europejskie targowiska Messyna czy Katania; jakie są stosunki materyalne mieszkańców, urządzenia groźnej sycylijskiej *Mafii*, lub maltańskie z Anglią węzły. Ale najlepiej nam się podobały ostatnie rozdziały o Neapolu. Podczas gdy zwykli podróżnicy chwytają tam w lot jedynie uśmiechy przyrody, Bazin zwrócił się raczej ku tajnikom cierpień i krynicom miłosierdzia tej uprzywilejowanej krainy. Odwrócił się od rozśpiewanego i rozbawionego Neapolu, aby policzyć jego łzy i jałmużny. Wkroczył w ciasne uliczki, w ciemne mieszkania ubóstwa, o którem Północ i Zachód nie może nam dać pojęcia, gdzie głód trwałym gościem, a lichym zarobkiem zwalczyć się nie daje. Dwie kobiety były mu przewodniczkami w tej bolesnej wędrówce. Jedna z nich, p. Matylda Serao, redaktorka *Corriere di Napoli*, spisała roczniki nędzy miasta w księdze noszącej tytuł nieco naturalistyczny: *Il Ventre di Napoli*. Druga, księżna Ravaschieri, pilnie zebrała szczegóły dziejowe litościwych w Neapolu instytucyj, a rozkochana w tych *poverelli*, którzy jej zastąpili utracone życia miłości, w czterotomowem dziele zgromadziła

[1] Niemniej malowniczo wypadł opis Etny i ostatnich wybuchów, opływających potokami lawy kwitnące na stokach osady.

dowody niezasypiającego nigdy miłosierdzia w tej starożytnej *Parthenope*. Niezaślepione bynajmniej co do przywar i błędów ludu południowego, obie autorki wskazują, czem on przedewszystkiem okupuje swe niedostatki: oto — dobrem sercem i miłością. Bo nie trzeba mniemać, aby bogaci mieli tam monopol miłosierdzia. Jak w Paryżu, tak i w Neapolu, najrzewniejszych rysów dostarcza pomoc bratnia, niesiona ubogim przez ubogich, jak np. tej chorej dziewczyny, która po wyjściu ze szpitala przez czas dłuższy otrzymywała każdego ranka po łyżce tranu. Gdy, jako niby już zdrowej, odmówiono jej dalszego lekarstwa, rozpłakała się rzewnie i przyznała, iż zamiast takowe zażywać, odnosiła ubogiej znajomej, która tym tłuszczem krasiła strawę swych dzieci! Gdy raz pewna biedaczka, nagle zaskoczona bólem rodzenia, na placu miejskim wydała na świat syna, zewsząd zbiegłe przekupki zniosły wszystko, czego było potrzeba: i wyprawkę, i kolebkę, i pomoc dla matki i pierwszy dla dziecięcia ratunek, tak iż niczego nie brakło nieoczekiwanemu tak wcześnie gościowi...

Właściwością wielkich miłosiernych instytucyj w Neapolu, to ich uniwersalność, obejmująca wszystkie naraz ludzkie biedy. Przy szpitalu wnet się znajduje przytułek dla pokutnic, dom dla podrzutków, ochrona dla sierot. W XIV. wieku założona *Santa Casa dell' Annunziata*, wynik ślubu dwóch rycerskich jeńców, którzy tym sposobem się niebu wypłacili za odzyskaną wolność, osobnej w Neapolu zażywa powagi. Ukochana to fundacya, ściągająca zewsząd hojne zapiski i datki. Zwłaszcza dom podrzutków przez długie wieki ulubionym pozostał przedmiotem troskliwości Neapolitańczyków, zasilających obficie dziecięcą ochronkę. Rycerstwo wyprzedzało się w darach. Rodziny Caracciolo i Caraffa sute i stałe zapisy w każdem niemal pokoleniu poczyniły Annunziacie. Mało kto umierał w Neapolu, żeby nie wspomnieć w testamencie o domie podrzutków. Nieraz szlachcic, usiłujący w sobie stłumić namiętność do gry, ślubował, że opłaci tysiąc lub sto dukatów kary za każde pofolgowanie swej pokusie. Ubodzy po swojemu dopomagali pięknemu dziełu. Najczęściej kobiety bezpłatnie służyły za mamki opuszczonej dziatwie, a rzemieślnicy lub marynarze najchętniej stąd brali żony, mając sobie za zaszczyt poślubiać „córki Madonny".

Niemniej zajmujące są roczniki szpitalów *degl' Incurabili*, oraz *delle Convertite*. Jeśli Annunziaty założycielami byli dwaj rycerze, to niniejsze instytucye zawdzięczają swój byt dwom niewiastom wysokiego rodu, połączonym legendową przyjaźnią. Gdy bowiem śmierć rozerwała

ich miłosierną spółkę, a po latach księżna Termoli spoczęła obok szczątków Maryi Lone, powiadają, iż ramiona tej ostatniej z trumny się podniosły, aby powitać serdeczną siostrzycę. Oddawszy ubóstwu wszystko co posiadała, ta wielka pani nie sromała się żebrać na rzecz swych biedaków. Fundacye obu przyjaciółek przetrwały burze, nawet neapolitańskie. Stare bowiem przysłowie twierdzi, iż ten uprzywilejowany ziemi zakątek cierpi na trzy nadmiary: fantazyi, zabaw i nawałnic. *Troppo feste, troppo feste, troppo tempeste.* Nie przeszkadza to utrwaleniu stalszych nad inne dzieł miłosierdzia, żeby jeszcze wspomnieć tę królewską gospodę dla ubogich, *Reale albergo dei poveri*, gdzie po dziś dzień dwa tysiące pięćset nieszczęśliwych znajduje gotowy przytułek!

Autor kładzie nacisk na przeciwieństwo tych blasków i cudów zewnętrznego świata z bezgraniczną nędzą ludności. Mamy ochotę za nim powtórzyć trafną, smętną, rzewną charakterystykę ludu neapolitańskiego, wspomnianej już pani Matyldy Serao: „Mieszkańcy tych dzielnic, pozbawionych światła, zdrowia, przestrzeni, nie są jednak próżniaczem, dzikiem lub zezwierzęconem nędzą plemieniem. Co więcej, nie znają buntu w swej niedoli, ani też rozpaczy w swej wierze, nie dają się pochłonąć złemu, mimo fatalnej spuścizny ciemnoty, zabobonów i zepsucia. Z natury swej uprzejma ta ludność lubi białe domy i wzgórza. W dniu Wszystkich Świętych, gdy cały Neapol wylega na wyżyny Poggioreale, aby wieńczyć groby swych ukochanych, śpiących w tym cmentarzu pełnym kwiatów, ptaków i woni, podsłuchano raz okrzyk pełen poezyi: ‚Chryste Panie! jakżebym rad umrzeć, aby tutaj na wieki odpocząć'. Lud ten kocha się w jaskrawych barwach, ubiera w fontazie konie swoje i muły, na szyi wiąże szkarłatne chusty, gotów ułożyć pomidorów garstkę na worku mąki, byle stąd wytworzyć malownicze przeciwieństwo. Lubi i muzykę, a śpiewa z taką miłością i melancholią, że w wygnańcu wszystkie budzi tęsknoty". W powietrzu i w muzyce neapolitańskiej drga jednakie zespolenie słodyczy i smętku, rozmarzenia i melancholii.

Po tej świetnej sycylijskiej próbie, Bazin snuje dalsze obrazy z życia i podróży. Jego nowoczesne Włochy nad inne zapiski i wyczerpujące studya dają poznać rozrost zarazem i bankructwo zjednoczenia Italii. W ostatnich zaś miesiącach przyćmił nawet swój sycylijski fajerwerk odgłosami z Hiszpanii, pisanemi z rzadką werwą i wdziękiem, kolorytem i dowcipem.

Niechby to słowo polecenia starczyło, aby czytelników odwrócić

od niesmacznych wyskoków pogańskiej Loti'ego fantazyi, aby raczej upowszechniać znajomość stokroć poważniejszych i ponętniejszych zapisków z podróży p. René Bazin.

*M.*

**Lehrbuch der Kirchengeschichte.** Von *Dr. Alois Knöpfler*. Auf Grund der akademischen Vorlesungen von Dr. Karl Joseph von Hefele, Bischof von Rottenburg. Freiburg im Breisgau. Herder'sche Verlagshandlung. 1895.

Czasy to niedawne, jak dzieło ś. p. kardynała Hergenröthera: *Allgemeine Kirchengeschichte,* święciło swe tryumfy. Zdawało się, że nierychło trafi się uczony, któryby chciał na tem polu chodzić z niem jeszcze o lepsze. Kłam temu zadał autor, którego dzieło mamy obecnie przed sobą. Nie twierdzimy, jakoby dzieło sławnego kardynała ucierpieć co miało na swej wziętości i powadze; ale to wypada zaznaczyć, że najnowsza ta praca w dziedzinie historyi kościelnej, oparta zresztą na akademicznych wykładach niezapomnianego badacza dziejów Kościoła, ś. p. biskupa Hefelego, a przeprowadzona z zamiłowaniem, odznacza się wielkiem bogactwem szczegółów historycznych z wewnętrznego życia Kościoła i jego instytucyj. Ma zaś do tego i tę wielką zaletę, że omawia najświeższe fakta i badania, a rozmiarami swojemi o wiele lepiej się nadaje do wykładów i repetycyj w seminaryach teologicznych.

*Ks. Władysław Czencz.*

# SPRAWOZDANIE Z RUCHU

## religijnego, naukowego i społecznego.

### Sprawy Kościoła.

Katolickie wiece. — Kongres monachijski. — Okólnik „Ewangelicznego Związku". — Encyklika o różańcu. — List pasterski biskupów belgijskich i biskupów galicyjskich.

KATOLICKIE WIECE.

Letnie miesiące przyniosły utartym zwyczajem i w tym roku cały szereg kongresów; zbierali się i rozprawiali literaci, artyści, kryminaliści, prawnicy; zbierali się i katolicy różnych narodowości, w różnych specyalnych kierunkach chwałę bożą szerzący, aby wzajemnie się porozumieć, pouczyć i do dalszej pracy zagrzać. Francuscy tercyarze św. Franciszka radzili w Limoges nad praktycznem rozwiązaniem zagadnień społecznych w duchu wskazówek papieskich, wyłożonych w pismach *Auspicato* i *Rerum Novarum*. W Liworno odbył się kongres „maryański"; w Medyolanie kongres „eucharystyczny", a echo ważnych kwestyj, poruszanych jak na jednym tak na drugim, wobec tłumu słuchaczów ze wszystkich warstw społeczeństwa, odbiło się głośno nawet w ultraliberalnej prasie włoskiej. Katolicy z archidyecezyi pragskiej, jak stało w programie; katolicy z całych Czech, jak było w rzeczywistości, obradowali w Przybramie. Anglicy, i to nietylko sami wyłącznie katolicy, zastanawiali się w Bristolu, jakich użyć sposobów, aby przyspieszyć zjednoczenie Anglii

z powszechnym, rzymskim Kościołem. Pierwsze miejsce, w rzędzie wszystkich tych, w rzędzie wielu, wielu innych prowincyonalnych, dyecezalnych wieców, należy się z wieku i z urzędu kongresowi niemieckich katolików w Monachium; z wieku, boć to już czterdziesty drugi walny zjazd niemieckich katolików; z urzędu, bo żaden inny wiec ani liczbą uczestników, ani doniosłością obrad i wpływem, jaki na społeczeństwo wywiera, z monachijskim wiecem, lub raczej powiedzmy ogólniej, z katolickiemi niemieckiemi wiecami równać się nie może.

KONGRES MONACHIJSKI.

Do bawarskiej stolicy zjechali się niemieccy katolicy obecnie po raz trzeci. Na pierwszym monachijskim kongresie, we wrześniu 1861 r., przemawiał, tak smutno głośny później profesor Doellinger, w obronie świeckiej władzy papieskiej. Drugi kongres odbył się w r. 1876, a więc w chwili buchającej najsilniejszym płomieniem walki kulturnej. Później parokrotnie przeznaczano Monachium na miejsce katolickiego wiecu, ale różne przyczyny nie dozwalały temu projektowi przyjść do skutku. Dopiero w tym roku doczekały się wreszcie sprawdzenia słowa Windthorsta, wyrzeczone na zjeździe koblenckim w r. 1890: „Nie bójcie się! do Monachium się dostaniemy; prędzej lub później, ale dostaniemy się z pewnością". Istotnie, katolicy nietylko do Monachium weszli, ale weszli z tryumfem. W olbrzymiej halli, mieszczącej około 7000 uczestników, nie można było znaleść ani jednego wolnego miejsca; wiele domów przystroiło się w papieskie, niemieckie, bawarskie chorągwie; magistrat powitał przez swego przedstawiciela katolickich gości; niemiecki cesarz i bawarski regent dziękowali telegraficznie za złożone sobie wyrazy hołdu. Jakże to wszystko inaczej wyglądało przed 20 latami!

Na pierwszym planie, jak wypływa z natury dzisiejszych czasów i stosunków, stała na kongresie sprawa socyalna; wysunęła się ona tem widoczniej naprzód, że jednocześnie obradował w Monachium, znany dobrze czytelnikom naszym, „Związek ludowy niemieckich katolików" [1]. „Socyalizm — mówił bardzo

[1] Por. „Związek ludowy przeciw socyalizmowi w Niemczech", przez ks. K. Czaykowskiego. *Przegląd Powszechny* z lipca 1893 r.

praktycznie i prawdziwie dr. Bachem — nigdy zwyciężyć nie potrafi chrześcijańskiej prawdy; ale pomimo, że pewni jesteśmy ostatecznego zwycięstwa, musimy dzisiaj energicznie walczyć, aby zwycięstwa prawdy nie potrzeba było okupywać strumieniami krwi. Zresztą jak nie walczyć, kiedy socyaliści nas właśnie uważają za najsroższych swych wrogów; kiedy głoszą, że wprzódy nie spoczną, dopóki na wszystkich kościołach i kaplicach nie zatkną czerwonej chorągwi? Walkę tę toczyć musimy na wszystkich polach: na polu nauki, praktycznej polityki, miłosierdzia, nowej organizacyi chrześcijańskich stanów. I my nie spoczniemy, dopokąd, nietylko na wszystkich pałacach, ratuszach i szkołach, ale też na wszystkich warsztatach i fabrykach nie będzie znów powiewać stara nasza, święta nasza chorągiew krzyża".

Dzięki Bogu, na wielu warsztatach i fabrykach, chorągiew ta już powiewa. „W Monachium — opowiadał monachijski ślusarz Schirmer — istnieje dziewięć katolickich związków robotniczych, które razem liczą 3000 członków; w ostatnim czasie powstał nowy związek robotnic, pod protektoratem księżnej Teresy. Robotniczy organ: *Der Arbeiter*, doszedł do poważnej cyfry 10.000 prenumeratorów. A jakże świetnie rozwija się „Związek ludowy"! Pod koniec r. 1893, jak dowiadujemy się ze sprawozdania złożonego przez adwokata Trimboma, liczył „Związek" 147.000 członków, pod koniec 1894 r. doszedł do cyfry 160.000; w tym roku spodziewamy się na pewne, że będzie nas 180.000. Pracujemy słowem i pismem. Słowem, bo „Związek" urządził dotąd przeszło 2500 zgromadzeń ludowych, a wierzajcie mi, robotnicy za każde takie zgromadzenie są nam wdzięczni z całego serca. Pismem, rozsiewając odpowiednie czasopisma i broszury; broszury nietylko niemieckie, ale i polskie. Jedna tylko np. z niemieckich broszur, rozeszła się w przeszło 200.000 egzemplarzy; pisma ulotnego, wymierzonego przeciw bezbarwnej prasie, tej najgorszej zarazie, zatruwającej całe życie publiczne, rozrzuciliśmy w r. 1894 przeszło 850.000 egzemplarzy. Rzecz to niemałego znaczenia, tem bardziej, że i socyaliści posługują się pismami ulotnemi, jako najostrzejszą, najlepiej wypróbowaną bronią. Nadto „Związek" wydaje społeczną korespondencyę, rozsyłaną do 240 katolickich pism. Do-

niosłe znaczenie mają urządzane rok rocznie praktyczno-socyalne kursa; katolicy austryaccy urządzili już takie kursa, wedle podanego przez nas wzoru; katolicy szwajcarscy urządzić je w przyszłym roku zamierzają; najlepszym to dowodem ich praktyczności. Biura ludowe, biblioteki ludowe, subwencyonowane przez „Związek", ludowe misye odrywają od socyalizmu bardzo licznych zwolenników; w jednem tylko z nadreńskich miast, w którem misya się odbyła, 54 robotników oświadczyło pisemnie, że wszelkie związki ze socyalizmem zrywają"...

W najściślejszym związku z kwestyą socyalną stoi sprawa wychodźtwa, o której referował specyalista w tym kierunku, poseł Cahensly, ostrzegając zwłaszcza przed faworyzowaną przez rząd brazylijski emigracyą do południowej Ameryki. Dr. Porsch domagał się wolności pracowania w Niemczech dla wszystkich zakonów, nie wyłączając Jezuitów. Z przewrotowemi żywiołami chcecie walczyć, porządek chcecie utrzymać, a odpychacie z niezrozumiałem zacietrzewieniem najlepszych sojuszników w tej walce i w tej pracy. Czem są zakonnicy; jakie ich ideały, jakie zasady? Wejdźcie do tej celi, w której niedawno temu umarł szlachetny zakonnik, co zdeptał wszystkie przywileje książęcego swego rodu, odrzucił kościelne godności i zaszczyty, aby w ubogim habicie św. Benedykta jednemu Bogu służyć; popatrzcie na O. Edmunda Radziwiłła. Jego życie nową dla nas nauką, że życie klasztorne jest tylko wypełnieniem najwznioślejszych ewangelicznych zasad.

Rzecz naturalna, że katolicki kongres nie mógł milczeniem pominąć kwestyi rzymskiej; nie mógł pominąć jej zwłaszcza tego roku, wobec zbliżającej się 25-letniej rocznicy zajęcia miasta wiecznego przez wojska piemonckie. „Nasze mowy, nasze rezolucye — kończył br. von Hertling, wspaniałą swą, wyczerpującą mowę o dzisiejszem położeniu papiestwa i papieża—z pewnością nie są bez znaczenia, nie są próżnemi demonstracyami. Nie należymy do potężnych tej ziemi, nie kierujemy zagraniczną polityką, ale możemy i powinniśmy starać się o pozyskanie dla siebie potęgi opinii publicznej, potęgi, w której wielu uznaje największą siłę naszego czasu. Kto bacznie, kto głębiej wpatruje się w to,

co się dziś dzieje, ten widzi od dawna, że pewien fundamentalny przełom przygotowuje się w opinii publicznej. Ideały malowane przez liberalizm, jego zasady i obiecanki straciły dawny wpływ na tłumy; wytężajmy tylko siły, aby przyspieszyć zbliżający się przełom, a zwycięstwo nasze — zwycięstwo pod sztandarem krzyża, zwycięstwo obozu Namiestnika Chrystusowego, zwycięstwo Kościoła i papieża"...

Entuzyazm, który przy tych słowach porwał zgromadzone tysiące, da się jedynie porównać z entuzyazmem, wywołanym już samem pojawieniem się w wiecowej sali, a cóż dopiero płomienistem przemówieniem nie tracącego ducha i po poniesionych, ufamy że chwilowych klęskach, rycerskiego wodza węgierskich katolików, hr. Ferdynanda Zichego. „Położenie nasze — kreślił węgierski magnat — w obecnej sytuacyi jest bardzo trudne. Wskutek tego, że prawne stosunki Kościoła noszą na sobie poniekąd średniowieczne piętno — parlament i liberalny rząd mają przywileje, które właściwie przysługiwały w dawnych czasach i jedynie powinnyby przysługiwać apostolskiemu królowi. To nas pociesza, że na czele kraju stoi dom królewski Habsburgów, tak nawskróś katolicki. To nas niemniej pociesza, że po naszej stronie stoi wielka, olbrzymia partya: lud. Przy wyborach w chydny sposób fałszują nasze głosy; ale to wszystko nie pomoże; prawo, historya za nami przemawiają, co więcej, sam Bóg po naszej stronie i za nas walczy. O ostateczne zwycięstwo nie mamy czego się obawiać, byleśmy wszyscy społem podjęli walkę przeciw wolnomularstwu, byle zasady katolickie całe życie nasze przeniknęły; byle przeniknęły równie rodzinę, jak społeczeństwo, jak państwo... Upoważnijcie mię, abym w Węgrzech mógł się odwołać na jednomyślny wasz sąd, jednomyślny z głębi serca płynący okrzyk: ‚To fałsz, to kłamstwo, aby katolicy, gdziekolwiekbądź na świecie, na cywilne śluby się zgadzali; aby gdziekolwiekbądź nie ganili ich i nie potępiali, tak jak Ojciec św. gani je i potępia!'"

Kongres monachijski za wspaniale się udał, aby wrogów Kościoła nie nabawić strachu, objawiającego się we wszelkiego rodzaju oszczerstwach i insynuacyach. Szczególnie mowa Hert-

linga o 25-letniej rocznicy zajęcia Rzymu, nie przypada do smaku włoskiej prasie; na wszystkie tony, wszystkiemi instrumentami, powtórzyła ona ograną piosenkę, o niezmiernych moralnych korzyściach, które zabór wiecznego miasta przyniósł papiestwu. Tak! — zauważa ze słuszną ironią jedno z pism katolickich — papiestwo w niewoli zajaśniało nowem światłem, ale zasługa Piemontczyków w tym kierunku podobną jest jota w jotę do zasługi rzymskich Cezarów, którzy mordując chrześcijan, przyczyniali się tem samem najskuteczniej do tryumfu chrześcijańskich ideałów. Protestanckie i liberalne gazety niemieckie gorszą się znowu z niepomiernego zainteresowania się całego społeczeństwa obradami kongresu; po co takie obszerne telegramy, pyta berlińska *Volkszeitung*, po co takie szczegółowe korespondencye o obradach naszych nieprzyjaciół? Bismarkowskie *Hamburger Nachrichten* wzywają całą niemiecką prasę do protestów przeciw uchwale kongresu w kwestyi rzymskiej; inaczej, lamentuje i ręce załamuje, narazić możemy lekkomyślnie na niebezpieczeństwo, tak cenne dla europejskiego pokoju, potrójne przymierze! Najjaśniej wygadała się *Vossische Zeitung*, z drzemiącemi na dnie serca uczuciami, a tem samem najsilniej siebie i stronników swych skompromitowała: „Katolicki wiec wywiódł na jaw bezbrzeżną nienawiść obskurantów przeciw oświacie, przeciw kulturze. Ziszczenie ultramontańskich planów, równałoby się przewrotowi nowoczesnego państwa. Jeśli kiedy, to dziś liberalizm stać musi pilnie na straży, aby odpierać szturmy czarnych legionów!“

OKÓLNIK „EWANGELICZNEGO ZWIĄZKU“.

Co do tych szturmów, kto je przypuszcza, kto bronić się musi, niejedno dałoby się powiedzieć. Zamiast wielu dosadnych argumentów i ciekawych ilustracyj, z których na poczekaniu cały tom możnaby spisać, wystarczy wskazać na świeżo ogłoszony, „ściśle poufny“ okólnik „Ewangelicznego Związku“. Okólnik, który mimo zaleconego ostro sekretu, bardzo szybko dostał się do gazet w całej swej rozciągłości, nawołuje wiernych protestantów do składek na wojenny fundusz przeciw ultramontanizmowi. Nie mając takiego funduszu — czytamy w odezwie — który dobiedz powinien jak najprędzej do

miliona marek, nie możemy rozpocząć z należytym naciskiem stanowczych kroków w kampanii przeciw ultramontańskim dążnościom. Kurya rzymska dlatego tak jest potężną, że wiedząc wybornie do czego zmierza, rozporządza jednocześnie olbrzymiemi materyalnemi środkami. „Ewangelicznemu Związkowi", którego celem jest obrona niemiecko-protestanckich interesów, brakuje takich środków, i dlatego „Związek" nie może ani w części spełnić swego zadania. Środków dostarczyć mają dobrowolne składki; niech znajdzie się tysiąc Niemców, z których każdy złoży po tysiąc marek, a możemy już rozpocząć akcyę w wielkim stylu. Zebrany fundusz nosić ma imię Ottona Bismarka, jako duchowego inicyatora przedsięwziętego dzieła.

ENCYKLIKA O RÓŻAŃCU. Od kilku już lat przygotowuje i zachęca Ojciec św. wiernych czcicieli N. Panny do wzywania Jej pomocy, wspólnem, o ile możliwa, odmawianiem różańca przez cały miesiąc październik, osobną „różańcową encykliką". I w tym roku zwyczaju tego nie zaniechał. W encyklice, podpisanej 5 września, wzywa znowu Leon XIII. do tego nabożeństwa tak miłego Królowej Niebieskiej; wzywa gorąco, bo w różańcu upatruje bardzo potężną broń do rozszerzenia królestwa Chrystusowego. „Niejednokrotnie już wspomnieliśmy — czytamy w encyklice — że obecnie zajmuje nas najbardziej myśl pozyskania dla Kościoła ludów od niego odpadłych; powiedzieliśmy niejednokrotnie, że należy nam prosić Boga jak najgoręcej o szczęśliwy wynik podjętych usiłowań... W tym celu poleciliśmy przed Zielonemi Świątkami modły do Ducha Przenajświętszego, a obecnie znów zachęcamy wszystkich duszpasterzy do odmawiania wespół ze swym ludem różańca przez miesiąc październik. Niepodobna złożyć wymowniejszych dowodów szczerze braterskiego uczucia dla innowierców, jak pomagając im do odzyskania najwyższego i największego dobra; a w jakiż lepszy sposób pomoc tę wyjednać, jak uciekając się do przyczyny Bogarodzicy? Tem pewniej zaś Marya prośby nasze wysłucha, że wiele ludów, dziś nie zostających z nami w jedności wiary, przedewszystkiem wiele ludów wschodnich, położyło wielkie zasługi około rozszerzenia Jej czci. Znaj-

dowali się wśród nich wybitni obrońcy godności Maryi; znakomici pisarze, którzy pióro swe oddali na Jej służbę; cesarzowe naśladujące wiernie swem życiem przykład zostawiony przez Matkę Bożą; wspaniałomyślni fundatorowie świątyń, oddanych pod opiekę Maryi, a z królewską okazałością wystawionych... I z tych i z wielu innych względów, przekonani o wielkiem znaczeniu i skuteczności różańcowego nabożeństwa, starali się niektórzy z poprzedników naszych rozszerzyć je nietylko na Zachodzie, ale i na Wschodzie. I my tego samego z całą usilnością pragniemy, o to się staramy. Otuchy dodaje nam wchodzący już w życie wniosek, postawiony na eucharystycznym kongresie jerozolimskim; odnosi się on zarówno do wschodnich, jak zachodnich krajów, a bardzo zgodny jest z naszemi pragnieniami. Wiecie, że na kongresie tym postanowiono zbudować w Patras w Achai wspaniałą świątynię, poświęconą Królowej Różańca św.; dziś, dzięki ofiarności wiernych, można już rozpocząć prace przedwstępne, odpowiadające wielkości zamierzonej budowy. Rozporządziliśmy, aby położenie kamienia węgielnego odbyło się jak najuroczyściej. Stanie świątynia przez lud chrześcijański zbudowana; modlić się w niej będą katolicy łacińskiego i greckiego obrządku do Niebieskiej swej Orędowniczki i Matki, aby do dawnych dobrodziejstw raczyła dodać jeszcze nowe, jeszcze obfitsze“

LIST PASTERSKI BISKUPÓW BELGIJSKICH.

W odpowiedzi na wyraźne wezwanie Ojca św., o którem pisaliśmy w ostatnim zeszycie *Przeglądu*, wydali biskupi belgijscy wspólny list pasterski o kwestyi socyalnej; wskazali drogi, na których wszyscy katolicy w walce z socyalizmem schodzić się nauczą. Walka, i to walka energiczna jest konieczna; ale walka ta nie doprowadzi do pożądanego celu, jeśli w szeregach katolickich rozwijać się i panować będzie nadal, jak, niestety! panuje dotychczas, pożałowania godna niezgoda. Niektórzy z najżarliwszych zapaśników katolickich błądzą i szkodzą sprawie, uważając swój sposób postępowania jako jedynie dobry. Ani to mądrze, ani po chrześcijańsku potępiać i piętnować mianem nauk socyalistycznych zasady i nauki, których Stolica św. nie potępiła. Kościół pochwala i cieszy się z wszelkich usi-

łowań, dążących do polepszenia doli robotników; ale jednocześnie domagać się musi, aby usiłowania te podejmowane były mądrze i roztropnie. A czy mądrą, czy roztropną rzeczą rzucać przed tłumy, szeroko zakreślone, w szczegółach nie obmyślane plany i programy, o których naprawdę nie wiedzieć nawet, czy są do przeprowadzenia możliwe? Czy roztropnem jest występować z obietnicami, których niepodobna spełnić? Co innego teoretyczne dyskusye w uczonych pismach i na uniwersyteckich katedrach; co innego wciągnięcie całego ludu w wir walki zażartej o mgliste teorye...

„Wszyscy — ciągną dalej biskupi belgijscy — muszą się kwestyą socyalną i teoretycznie i praktycznie zajmować; ale na pierwszem miejscu obowiązek ten cięży na duchowieństwie. Jeśli czyjem zadaniem, to księdza, pośredniczyć między pracodawcą a robotnikiem, przypominać pierwszemu, czego się od niego domaga sprawiedliwość i chrześcijańska miłość; upominać drugiego, gdy chwyta się nieprawych środków dla polepszenia swego losu. Obowiązkiem księdza, więcej dziś jeszcze niż kiedykolwiek, obcować z ludem, znać jego potrzeby, za nie się zastawiać, stawiać tamę socyalizmowi zakładaniem różnorodnych, na chrześcijańskiej podstawie opartych związków. Naturalnie, tu znowu zgoda i jedność, wszystkich dobrze myślących, pierwszym i nieodzownym warunkiem błogosławieństwa bożego w tych usiłowaniach. Dlatego, aby zgodę tę we wszystkich kierunkach sprowadzić, i odpowiedzieć w zupełności rozporządzeniom Ojca św., postanowiliśmy założyć, w każdej z osobna dyecezyi, stowarzyszenie złożone z księży i ludzi świeckich, którego celem będzie wynajdywanie i badanie środków zapewniających i wzmacniających tę jedność. Następnie, gdy stowarzyszenia te zapoznają się ze stosunkami i środki odpowiednie dla dyecezyj swych obmyślą, odbędzie się w Mechlinie ogólne zebranie wszystkich związków, w celu wzajemnego porozumienia się i obmyślenia wspólnej taktyki dla całego kraju. Wybrany na tem zebraniu stały wydział, czuwać będzie nad wypełnieniem powziętych rezolucyj; a zarazem będzie pewnego rodzaju trybunałem, rozsądzającym spory, wynikłe

między katolikami pracującymi na polu socyalnem. Spodziewamy się, że w ten sposób odpowiedzieć potrafimy pragnieniom i instrukcyom Ojca św".

LIST PASTERSKI BISKUPÓW GALICYJSKICH.

Niektóre z praktycznych wskazówek, zawartych w liście pasterskim biskupów belgijskich, odnoszą się ściśle do belgijskich stosunków; teoretyczne zasady niemniejszego są znaczenia i dla nas, i u nas znaleść powinny jak najszersze rozpowszechnienie. Te same zresztą zasady, bo płynące z tego samego źródła chrześcijańskiej nauki i chrześcijańskiej miłości, wyłuszczyli świeżo galicyjscy biskupi w wspólnym liście pasterskim, wydanym w sierpniu, z okazyi zbliżających się sejmowych wyborów. Te same zasady; podobne, choć oczywiście do miejscowych stosunków zastosowane, praktyczne nakazy i rady. Jak belgijscy, tak galicyjscy biskupi, nie biorą strony ani pracodawców ani robotników, ani panów ani chłopów; stoją jedynie za sprawiedliwością, napominają do zgody, do chrześcijańskiej miłości. Kto jedność psuje, kto narzuca się jako jedyny przyjaciel i przewodnik ludu, kto szerzy wzajemną nieufność między ludem a panami, urzędnikami, mieszczanami, ba! nawet między kapłanami; ten nie jest prawdziwym wyznawcą Chrystusa, ten raj na ziemi obiecując, kłamie, jak kłamał szatan Panu Jezusowi, kiedy obiecywał Mu królestwa całego świata. Chrześcijańska miłość zrodzi naturalnie i świętą wyrozumiałość, co umie i w przeciwniku uszanować dodatnie strony. Sprawiedliwość uchroni od niecnego przekupstwa. Miłość i sprawiedliwość oświeci, jakich posłów trzeba wybierać. Dobrego posła, to jest prawdziwego wybrańca narodu, co łączy w sobie naukę, doświadczenie z głęboką i żywą wiarą, znaleść można w każdym stanie. „Owszem — piszą dosłownie biskupi nasi — słuszną i pożądaną jest rzeczą, ażeby z każdego stanu, o ile możności, dzielni a uczciwi posłowie znajdowali się w sejmie, bo w takim razie łatwiej będzie można uwzględnić potrzeby wszystkich i o nikim nie przepomnieć. Niechże was, któregokolwiek jesteście stanu, Pan Bóg broni od złego ducha zazdrości i nienawiści; przy wyborach chrońcie się stronniczości i nie o to dbajcie, aby koniecznie wybrać posła

z takiego, a nie innego stanu, ale żeby wybrać posła takiego, któregobyście ani przed ludźmi, ani na sądzie bożym się nie powstydzili“...

Wspaniały ten, prawdziwie biskupi, prawdziwie pasterski list, zamknąćby powinien stanowczo usta oszczercom, co w pismach swych i mowach nie wahali się przedstawiać pasterzy naszych, jako ludowi niechętnych; co rzucili niecne, najsmutniejsze wspomnienia na myśl nasuwające hasło: Przeciw księżom i panom! Czy usta zamknie, czy do upamiętania doprowadzi? Jakże żywić w tym względzie nadzieję, gdy agitatorzy, pisarze, co ostentacyjnie tytułują się jedynymi przyjaciółmi i miłośnikami ludu, na tę pełną miłości odezwę biskupią, nie raczą nawet w swych pismach uwagi zwrócić, lub przechodzą nad nią do porządku dziennego w kilku szyderczych wyrazach? To już nie zaślepienie tylko, to zbyt wyraźna zła wola; tu już nie interes ludu, ale samolubny, własny interes w grę wchodzi!

*Ks. Jan Badeni.*

## Z krakowskiego wiecu katechetów.

Stare polskie przysłowie, może nieco za trywialne i za dosadne, utrzymuje: „pierwsze koty za płoty“; inne przypomina: „początek w każdej rzeczy ciężki“; trzecie, bardzo mądre: „na początku zależy; kto ten dobrze sprawi, połowicę wygrywa“. Różne przysłowia, a sama ich rozmaitość dowodzi, że nie każde w każdym przypadku i w równej mierze streszcza w sobie mądrość narodów. Dalej i dłużej nie szukając, świeżo w ostatnich dniach sierpnia odbyty w Krakowie pierwszy wiec galicyjskich katechetów najlepszą ilustracyą, jak pierwsze przysłowie nie zawsze się sprawdza; jak natomiast prawdziwe drugie; jak trzecie w pierwszej części spełnione, i w drugiej — miejmy nadzieję — doświadczenie potwierdzi.

Dlaczego i w czem ciężki był ten początek, dużo mogliby nam o tem opowiedzieć *inicyatorzy i organizatorzy* wiecu; spisaćby mogli

obszerną broszurę o następujących kolejno trwogach swych i nadziejach, o stosach rozpisanych listów, wysłanych cyrkularzów, niedospanych nocach, długich dziennych i nocnych naradach. Za to, gdy pierwszego zaraz poranku powiedli okiem po gęstych szeregach wiecowników nadpływających ze wszech stron do wspaniałej uniwersyteckiej sali, musieli sobie z radością powiedzieć: „Początek dobrze sprawiony, połowica wygrana“. Kto mógł, na wiec pospieszył, i z zachodniej i ze wschodniej Galicyi; Bukowina, choć osobno nie zaproszona, przysłała swego przedstawiciela; znaleźli się reprezentanci obu bratnich obrządków: ruskiego i ormiańskiego; krótko mówiąc, zebrało się przeszło stu katechetów ze wszelkiego rodzaju szkół: z gimnazyów, szkół realnych, wydziałowych, ludowych, z nauczycielskich seminaryów. Jak „na pierwszy wspólny akt galicyjskiego duchowieństwa“ — aby użyć słów prezesa zjazdu d-ra Trznadla — pierwszy akt, wyszły z prywatnej inicyatywy i prywatnemi usiłowaniami doprowadzony do skutku, pocieszający to był widok, imponująca cyfra.

Wedle ułożonego z góry, na całe trzy dni rozłożonego programu, obrady we wtorek (27 sierpnia) i przedpołudniowego posiedzenia w środę poświęcone być miały szkołom średnim; środowe obrady popołudniowe nauczycielskim seminaryom; obrady czwartkowe szkołom przemysłowym, wydziałowym, ludowym miejskim i wiejskim. W rzeczywistości wiec zakończył się w czwartek nie wieczorem, ale w południe, a wskutek tego obrady o szkołach zwłaszcza ludowych, które — o wewnętrznej wadze ich już nie mówiąc — interesowały bezpośrednio największą liczbę uczestników, odbyć się musiały w zbyt przyspieszonem tempie i, co gorsza, trafiły na umysły nieco już znużone, zajmującemi bo zajmującemi, ale też długiemi, bo długiemi debatami. Naturalnie, gdyby obrady o szkołach średnich na trzeci dzień przypadły, spotkaćby się też musiały z niejedną inkonweniencyą; prawda, że może mniejszą, może mniejby ich było. Obecnie skarżono się, że wiele spraw, pytań i żalów, poruszonych już przy rozprawach o szkołach średnich, wracało później pod niewiele zmienioną formą przy rozprawach o szkołach ludowych, o szkołach wydziałowych, o seminaryach. Czy uniknęłoby się podobnych powtórzeń, dzieląc referaty i debaty raczej wedle treści, niż formy, raczej wedle pewnych, ściśle ograniczonych kwestyj, niż wedle różnorodnych szkół, w których znajdują zastosowanie? Czy nie lepiej np. było mówić o planie nauki religii, o karności, o zadaniu i działaniu katechetów i t. p. we wszystkich, wszelkiego rodzaju szkołach, zamiast referować i dyskutować osobno o planie nauki religii w szkołach gimnazyalnych a realnych;

osobno o karności w seminaryach, a osobno o karności w szkołach średnich? Być może, że z niejednego punktu widzenia byłoby to lepiej i praktyczniej; ale z innego znowu punktu, czy do takich referatów znaleźliby się odpowiedni referenci, równie dobrze znający braki i wymagania gimnazyów, jak szkół ludowych, seminaryów, jak szkół wydziałowych? I to i tamto ma swoje „ale"; i to i tamto ma swoje „za"; czy „ale", czy „za" przeważa? Może przyszły wiec, korzystając z doświadczeń wiecu pierwszego, da w tym względzie stanowczą jakąś praktyczną odpowiedź.

Odpowiedź ta będzie zresztą mniejszej wagi, poruszone niedogodności same z siebie w najznaczniejszej części się rozpłyną, jeśli przyszły wiec podzieli się na parę odrębnych sekcyj, które z osobna obradować będą i przygotowywać materyał dla walnych zebrań. Przy pierwszym wiecu organizatorzy nie mogąc wiedzieć, ani nawet w przybliżeniu przypuszczać, ilu katechetów i z których szkół odpowie wezwaniu, lękali się podziału na sekcye; przy drugim, po udaniu się pierwszego, obawy te byłyby płonnemi. Nie trzeba będzie wtedy tak skrupulatnie z czasem się rachować; będzie można więcej przedmiotów wszechstronniej i gruntowniej traktować; nikt skarżyć się nie będzie, że słuchać musi długich dyskusyj, które nie mają dla niego praktycznego znaczenia; że doczekać się nie może, kiedy najbardziej i najbliżej obchodzące go kwestye, na stół się wreszcie dostaną. Obecnie, właśnie głównie z powodu braku sekcyj, tyle na każde zebranie, na każdą godzinę przypadało materyału, że załatwić się z nim, załatwić naprawdę było nieraz fizycznem niepodobieństwem. I to ważne i poważnego omówienia domaga się; i to jeszcze ważniejsze, i tamto najważniejsze. Ważna kwestya ważniejszą goni; prezes dokazuje istnych cudów, aby żadnego referatu z dziennego porządku nie zepchnąć; każdemu, co ma coś do powiedzenia, zagwarantować możność wygłoszenia swego zdania: lecz czas tak krótki, poruszonego materyału taka góra niebotyczna; tylu, na tylu różnych punktach do dyskusyi gotowych; że i cuda prezesowskiej energii i taktu nie zawsze pomódz mogą. W dodatku, ponieważ już nietylko referaty — co może za wiele byłoby żądać — ale i rezolucye nie wydrukowane i obecni w najostatniejszej dopiero chwili o nich się dowiadują, powstawać muszą przy głosowaniu przeróżne trudności i wątpliwości; mnożą się poprawki, dodatki, uzupełnienia. — Nieraz pokazuje się, że żądany dodatek już w innej rezolucyi zawarty; czasem prezes lub referent musi wyjaśniać, że gdyby przyjąć postawioną

poprawkę w punkcie *c*, to punkt ten jaskrawoby się kłócił z przyjętym już punktem *a*; następują ponowne wyjaśnienia, ponowne repliki; ostatecznie wszyscy się zgadzają, ale tymczasem upłynęło minut dziesięć, i dobrze jeśli tylko dziesięć. Ileż oszczędziłoby się czasu, ile zapału niepotrzebnie zużytkowanego, gdyby mające być postawione rezolucye z góry były wydrukowane i na parę dni naprzód rozesłane uczestnikom!...

Wszystko to będzie na drugim, na idealnym wiecu; — nie sztuka, że będzie idealnym, kiedy mu pierwszy drogę utorował; kiedy tyle, tak pożytecznego materyału, pod przyszłą, wspaniałą budowę nagromadził!...

Obrady, jak na wiecu katechetów: profesorów religii, ale zarazem i na pierwszem miejscu kapłanów-wychowawców, z samej natury rzeczy inaczej być nie mogły, płynęły dwoma korytami, dwóch głównych pytań dotyczyły: Jak religii uczyć; jak, wedle zasad przez religię podanych, wychowywać?

Jak religii uczyć; czy i o ile obowiązujące dziś plany nauki religii domagają się reformy; czy i o ile domagają się jej będące w użyciu szkolne podręczniki? Ks. kanonik Puszet wystąpił w szczegółowo opracowanym referacie o planie nauki religii w gimnazyum niższem z dość daleko idącym programem reform; oświadczył się za połączeniem w jedną organiczną całość katechizmu z historyą biblijną i liturgiką, tak, aby wykładając pewne katechizmowe prawdy, jednocześnie zaznajamiać uczniów z odnoszącemi się do nich ustępami z biblii, wyjaśniającemi je liturgicznemi obrządkami. Na myśl tę śmiałą, ale w praktycznem wykonaniu przedstawiającą bez wątpienia niemałe trudności, nikt się w zupełności nie zgodził. Natomiast proponowali jedni, aby katechizm rozłożyć na pierwsze dwie klasy, w trzeciej uczyć biblii, w czwartej liturgiki i historyi kościelnej; inni oświadczali się za istniejącym dziś planem, jako ostatecznie najpraktyczniejszym; jeszcze inni, zgadzając się z poprzednikami, domagali się pewnych modyfikacyj i opuszczeń zwłaszcza w liturgice, która obecnie pamięć ucznia obciąża wielu niepotrzebnemi dlań szczegółami. Podobna, znaczna różnica zdań objawiła się co do zaproponowanej reformy planu nauki religii w gimnazyum wyższem. Kiedy ks. Pechnik domagał się przesunięcia historyi kościelnej do klasy siódmej, a wykładania rozumnej, treściwej, do dzisiejszych stosunków zastosowanej apologetyki w klasie ósmej, to kilku innych, jak ks. Drozd, ks. Rawski, ks. Gołba, stanęli w obronie obowiązującego

dziś programu, byle w praktycznem jego zastosowaniu kierować się względami na dzisiejsze czasy i potrzeby; mniej uczniom mówić o Gnostykach, o Nestoryanach, a więcej o modnych dziś błędach, o zarzutach, z któremi spotykają się już może, a w każdym razie w późniejszych latach niechybnie się spotkają. Zresztą — zauważyli znów niektórzy — po co mówić, na co zda się *uchwalać szeroko* sięgające, istniejące dziś szkolne programy, z gruntu przekształcające reformy, gdy uchwały te wobec braku odpowiednich podręczników muszą pozostać martwą literą? Czy nie należałoby przedewszystkiem pomyśleć o wydaniu nowych podręczników, które wogóle i we wszelkiego rodzaju szkołach nie odpowiadają w zupełności słusznym wymaganiom? Bez wątpienia należałoby; o to tylko chodzi, kto podręczniki te ułoży; wedle jakiego planu, w jakich rozmiarach; komu zostawiony ma być ostateczny sąd, czy wszystkim pożądanym warunkom zadośćczynią? Dyskusya powstała w odpowiedzi na te pytania popłynęła szeroką falą, żadnemi określonemi brzegami nie ujętą; nic dziwnego, że do pozytywnych rezultatów nie doprowadziła. Przy takiej liczbie dyskutujących, wobec pytań tak trudnych, tak czasem drażliwych, dotykających tylu sprzecznych interesów, inaczej naprawdę być nie mogło. Za to możemy się słusznie spodziewać, że niebawem w druku się okażą obszerne a praktyczne katechezy, które w pierwszym rzędzie katechetom w szkołach ludowych niemało ułatwią ciężką ich pracę. Znany z literackich swych prac ks. Waligóra, doświadczony wiejski katecheta ks. Stachowicz, wzięli tę pracę na siebie, a kto słyszał na wiecu odnoszące się do tej sprawy gruntowne a wprost z życia wzięte ich referaty, wątpić nie może, że zadaniu podołają.

Ważną rzeczą dobry plan, ale ostatecznie dobry katecheta i z mniej dobrym planem da sobie radę, byle miał dosyć czasu do wpojenia w umysły dzieci katechizmowych zasad. Czy liczba godzin, przeznaczona na naukę religii, jest wystarczającą? Zgromadzeni z nielicznemi wyjątkami odpowiedzieli stanowczo: nie! Jeden z mówców oświadczył się za zaprowadzeniem pięciu godzin katechizmu tygodniowo w szkołach ludowych; pięknaby to może rzecz była, ale o innych trudnościach nie mówiąc, skąd katechetów na te pięć godzin dostarczyć? Inni żądali czterech godzin; inni, praktyczniejsi, wyrażali pragnienie, aby, jeśli już nie we wszystkich klasach, to przynajmniej w niektórych, i to we wszystkich wszelkiego rodzaju szkołach można trzy godziny pozyskać. Oczywiście w wyższych szkołach przemysłowych koniecznie naukę religii trzeba zaprowadzić; w tym względzie dwóch zdań być nie mogło.

Dobre i najlepsze plany; trzy, cztery, niechby i pięć godzin przeznaczonych na naukę religii nie wystarczą i nie pomogą, jeśli katecheta nie będzie miał wobec nauczycielskiego grona, wobec swych uczniów dostatecznej powagi; jeśli nauka religii uchodzić będzie za kopciuszka, z łaski niejako tylko na szarym końcu tolerowanego. Katecheta—a tutaj na pierwszem miejscu mowa o katechecie szkół średnich—zapewni sobie powagę wszechstronnem wykształceniem, ogładą, taktem. Dopomogłyby mu do tego i dawały rękojmię społeczeństwu, że warunki te posiada, złożone przezeń egzamina przed osobno w tym celu wydelegowaną komisyą; kilkumiesięczne przysłuchiwanie się wykładom doświadczonych katechetów w różnych krajowych i pozakrajowych zakładach naukowych; dozór ustanowionych osobno inspektorów duchownych, najlepiej dyecezalnych, którzy mogliby młodszemu zwłaszcza katechecie gimnazyalnemu oddać swemi spostrzeżeniami i radami nieocenione przysługi. Gimnazyaliści inną wagę przykładać będą do katechizmu, inaczej uczyć się go będą, jeśli przy egzaminie dojrzałości zdawać będą musieli z niego sprawę, tak samo, jak z innych przedmiotów.

Zadaniem szkoły, obowiązkiem każdego nauczyciela, nietylko uczyć, lecz na pierwszem miejscu wychowywać; obowiązek ten podwójnem brzemieniem ciąży na katechecie; nie dość uczyć religii, trzeba jej zasady w serca i w życie wprowadzać. Być może, i z naciskiem to na samym wiecu podniesiono, że paru mówców odmalowało moralne i religijne usposobienie naszej młodzieży w zanadto czarnych kolorach; niezawodną rzeczą, że nie można z kilku smutnych i bardzo smutnych wypadków, jakie zdarzyły się w galicyjskich szkołach w paru ostatnich latach, wyciągać ogólnych potępiających wniosków; ale z drugiej strony i to pewna, że powtarzające się peryodycznie narzekania na zepsucie młodzieży, na zdziczenie jej obyczajów, na dotkliwy brak religijnego poczucia — nie są, nie są w każdym razie zawsze prostemi, na smutnych podstawach nie opartemi frazesami. Różne przyczyny wpływają na tę, jeśli nie rosnącą, to i nie słabnącą chorobę: smutny przykład nauczycieli, usuwających się od publicznego wykonywania chrześcijańskich swych obowiązków; rzadkie i nieraz jakby dla dopełnienia tylko pewnej ceremonii, jakby dla zbycia urządzone i przeprowadzone przystępowanie uczniów do śś. Sakramentów; brak kontroli i zachęty w dopełnianiu religijnych praktyk; odsuwanie, zakazywanie uczniom wstępowania do kościelnych bractw, do założonych nawet specyalnie

dla młodzieży stowarzyszeń; nieodpowiednie, bywa, że w wysokim stopniu nieodpowiednie tak zwane „stancye"; złe książki, gorszące widowiska, zabawy, do błota za sobą ciągnący zepsuci towarzysze.

W jednej szkole, w jednej miejscowości te, w drugiej inne źródła niebezpieczniejszą truciznę ze siebie sączą; w jednej te, w drugiej inne lekarstwa przeciw niej najskuteczniejsze, często jedynie do użycia możliwe. Jakie to źródła, jakie lekarstwa? Obszernie i fachowo odpowiedzieli na to pytanie: ks. Jeż w referacie „O współdziałaniu katechety w celu utrzymania karności w szkołach średnich"; ks. Błonarowicz: „O praktykach religijnych w tychże szkołach"; ks. Bielenin: „O działaniu katechetów przeciw zgubnym wpływom, wkradającym się do seminaryów nauczycielskich". Wykłady bardzo były pouczające i dostarczyły aż za obfitej materyi do dyskusyi; to szkoda tylko, że wszyscy trzej prelegenci, choć z różnych szkół, ale z jednego miasta, z Krakowa, a tak wszyscy trzej głównie na tle krakowskich stosunków kreślili swe uwagi. Specyalnie poruszyli wszyscy prelegenci bardzo ważną kwestyę rekolekcyj dla uczniów; żądali, aby wszędzie i we wszystkich szkołach przestały być czczą formalnością, za jaką do niedawna prawie powszechnie uchodziły. Dobrzeby było w tym celu — jak domagał się tego drugi z referentów — aby katechecie wolno było zaprosić do udzielania rekolekcyjnych ćwiczeń, już nietylko kolegę z innej szkoły, ale wogóle każdego kapłana, pracującego z uznaniem ludzkiem, z błogosławieństwem bożem na tej niwie. Wniosek urządzania rekolekcyj kilka razy na rok, upadł. Wiecownikom zupełnie słusznie, zdaniem naszem, trafiły do przekonania słowa tarnowskiego katechety, ks. Walczyńskiego: „Niech raz na rok będą rekolekcye, ale niech odprawiane będą sumiennie, z należytem skupieniem; zupełnie wtedy wystarczą, a nie sprowadzą jednego z największych niebezpieczeństw, które raz na całe życie pożądanym skutkom rekolekcyj może drogę zagrodzić: znudzenia i przesytu".

Ileż poruszono jeszcze na pierwszym tym wiecu katechetów innych ważnych kwestyj — mniej ważnych, mniej ogólnych, ale bardzo ciekawych kwestyjek; ile poruszono, ile przedyskutowano na publicznych posiedzeniach, na uniwersyteckich korytarzach, w gościnnym domu inicyatora zjazdu, w równie gościnnych salach krakowskiego seminaryum? Niesposób podać bodaj najogólniejszy ich spis; zresztą jakąż praktyczną korzyść spis taki na tem miejscuby przedstawiał? Referaty w całości, dyskusye w wiernem co najmniej streszczeniu znajdą miejsce w redagowanym przez osobną, wybraną na wiecu komisyę, pamiętniku

katechetycznego zjazdu. Kto z urzędu, z powołania i zamiłowania poruszonemi przez zjazd pytaniami specyalnie się interesuje, książkę tę będzie musiał nie przeczytać, ale przestudyować; my tu pragnęliśmy tylko rzucić między szersze koła kilka myśli, kilka zagadnień na wiecu poruszonych, dotyczących zdrowia i życia całego naszego społeczeństwa. Słuszna, aby całe, o ile to jest możliwem, społeczeństwo od najwyższych do najniższych warstw o nich wiedziało, niemi się interesowało.

*Ks. J. B.*

Druk ukończony 28 września 1895 r.

# W OŚMSETLETNIĄ ROCZNICĘ WIELKIEGO SYNODU

## W CLERMONT.

W drugiej połowie listopada 1095 r. rojno było i gwarno w starym Clermont. Papież Urban II., skoro tylko wstąpił na ziemię francuską, zaraz — jeszcze w sierpniu — rozesłał do wszystkich metropolitów listy, zwołujące do stolicy Owernii na oktawę św. Marcina wielki synod, na którym oprócz spraw karności kościelnej, miano radzić o wyzwoleniu ziemi św. z niewiernych rąk muzułmańskich.

Wezwanie to głośnem echem obiegło całą Francyę, przeszło za Pireneje, przebiło Wogezy i Alpy nadmorskie i — wedle słów kronik starodawnych — „jako trąba niebieska“ poruszyło chrześcijańskie ludy Zachodu.

Więc też na oktawę św. Marcina ruszał do Clermontu, kto żyw. Książęta i udzielni hrabiowie w orszaku swoich baronów jechali konno w złocie i w stali; ciągnęły wszystkiemi szlakami mnogie poczty rycerstwa z Prowancyi, Akwitanii i Languedoku, z Burgundyi i Lotaryngii, z dalekiej Flandryi i Normandyi lesistej z giermkami i służbą różnobarwną — rzekłbyś na wojenną potrzebę. Po drogach i gościńcach toczyły się poważnie przestronne kolasy biskupów, otoczone konną gwardyą, orszakiem duchowieństwa i licznym dworem; po ścieżkach i wydeptanych polnych drożynach szły rzesze pieszego ludu w odświętnych strojach, nabożeństwem wiedzione i ciekawością. Szli też grajkowie i pieśniarze wędrowni, i błędni rycerze, przygód chciwi;

szły wozy kupców płóciennemi budami okryte i piesi kramarze objuczeni towarem, a z wiosek najbliższych wyruszały procesye z krzyżami i obrazami, modląc się w drodze i nabożne śpiewając pieśni.

I różnorodne te fale, niby rzeki zbiegające ku morzu, spływały do Clermontu przez wszystkie bramy, wypełniając miasto po brzegi. Nastał więc tłok wielki i zgiełk niebywały po gospodach, ulicach i placach cichego dotąd grodu, rosnąc i wzmagając się z dniem każdym. Całe masy przychodniów, nie znalazłszy miejsca po domach, rozbijały namioty po placach publicznych i błoniach przedmiejskich, a inni jeszcze koczowali we dnie i w nocy pod gołym nieba namiotem.

18 listopada rozpoczął się synod.

Przez dziesięć dni z rzędu odzywały się co rana dzwony wszystkich kościołów, zwołując członków na uroczyste zebrania. Wraz z ich odgłosem zbierały się u bram katedry długie szeregi prałatów, biskupów i kardynałów, a wkrótce po nich witany dzwonami i pieśnią, nadciągał w otoczeniu urzędników synodu i dworskiej swej świty, święty majestat papieża, poprzedzony gwardyą opancerzonych rycerzy, co rum mu czynili wśród klękających tłumów. Potem zamykano katedralne podwoje i po wezwaniu Ducha Św. rozpoczynały się długie i mozolne narady Ojców nad dobrem Kościoła i podległych mu ludów.

Dzień każdy nowe przynosił sprawy, nowe kanony.

Chodziły tedy słuchy po mieście o surowych karach, uchwalonych przeciw symonii i świętokupstwu, o ostrych i zbawiennych przepisach, któremi obwarowano celibat i karność kościelną, o środkach, mających tamę położyć najazdom i rozlewowi krwi chrześcijańskiej, o uroczystem odnowieniu pokoju bożego, zwanego *treuga Dei*, wreszcie... ze zgrozą i strachem podawano sobie wiadomość o wyklęciu króla francuskiego za publiczne zgorszenie i łamanie ślubów małżeńskich.

26 listopada większa część spraw bieżących była już załatwiona; synod zbliżał się ku końcowi. Ale napływ pobożnych znacznie się powiększył; w tym bowiem dniu sam Ojciec chrześcijaństwa przemówić miał do wiernych, a między rycerstwem

chodziły pogłoski, że mowa papieska rzuci hasło do wielkiej, niebywałej dotąd wojny i zawezwie całe chrześcijaństwo pod sztandar krzyża przeciw półksiężycowi. To też nieprzejrzane okiem tłumy zaległy już wczesnym rankiem plac przed katedrą. Ciekawość i zapał dla wielkiej sprawy, zrównały wszystkie warstwy społeczne; więc obok rolnika o licu ogorzałem, cisnął się zamożny szlachcic i królewski urzędnik i książęcy dworzanin, a cała ta zbita masa, w niespokojnem oczekiwaniu czegoś wielkiego zwrócona ku zamkniętym drzwiom katedry, poruszała się co chwila jak rozkołysane morze i tylko odgłos szeptanych modlitw i przytłumionych rozmów szumiał po placu — rzekłbyś pomruk dalekiej fali.

Wreszcie otwarto drzwi katedry i pojawił się w nich papieski mistrz ceremonii, ogłaszając zebranym, że Ojciec święty, zważywszy, iż katedra nie jest w stanie pomieścić w swych murach tylu tysięcy pobożnych, a pragnąc zarazem, aby do wszystkich, o ile to możliwe, doszedł głos apostolskiej jego zachęty, wynijdzie niebawem w procesyi na plac przed świątynią i tu, pod gołem niebem, przemówi do zgromadzonych. Wkrótce też wspaniałym chórem ozwały się katedralne dzwony, a po kilku chwilach przy odgłosie liturgicznych pieśni, poczęła z wnętrza katedry wysuwać się parami, a potem wolno i majestatycznie rozwijać po placu wśród dwóch ruchomych ścian zbitego w ciżbę ludu, olbrzymia procesya. Na jej czole połyskał w słońcu wysoko nad falą głów niesiony złoty krzyż, a za nim postępowały obok siebie w dwóch kolumnach dwa chóry mnichów z Kluniaku, śpiewając naprzemian natchnione strofy starego hymnu Fortunata, jakby umyślnie na ten dzień ułożone:

Vexilla Regis prodeunt,
Fulget crucis mysterium!

Po tych poważnych, czarno odzianych mnichach, ciągnęły się długie i nieprzejrzane szeregi niższego duchowieństwa świeckiego, różnych godności i stopni, w rokietach i komżach białych; po nich w złocistych kapach i białych infułach postępowało czterystu prawie opatów, dwustu dwudziestu pięciu biskupów, czternastu arcybiskupów i kilku kardynałów.

Szli więc arcybiskupi z Tours, z Arles, z Aix, z Bordeaux, z Bourges, z Narbonne, z Auch, z Bezançon i z innych stolic starych i sławnych; szedł głośny Hugo z Lyonu, legat i wikaryusz papieski na całą Galię, i drugi legat dla krajów za Pirenejami, Bernard z Toledo; szedł mężny wyznawca i więzień Chrystusowy, świątobliwy Iwo z Chartres, rycerski Ademar z Puy, późniejszy legat papieski przy pierwszej wyprawie krzyżowej; szedł Daimbert z Pizy, Albert z Metzu, Isnard z Tuluzy, Wilhelm z Orange; a wśród opatów stary Jarento z Dijonu, Balderyk z Anjou, przyszły autor „Historyi Jerozolimskiej", sławny z cudów i z reformy dwudziestu klasztorów Ryszard z Verdun, a wreszcie największy z wszystkich, sędziwy Hugo z Clugny, co miał pod sobą kilkutysięczną zakonną rzeszę, a niegdyś był mistrzem samego papieża, kiedy tenże za młodych lat mniszy nosił habit w kluniackiem opactwie.

A oprócz tych szło wielkie mnóstwo innych książąt Kościoła, których imion skrzętny nie zapisał dziejopis, ani kościelne nie przechowały marmury.

Szli oni wszyscy powolnym krokiem, w powadze wielkiej i majestacie, świadomi, że niosą na sobie święte *imperium* Kościoła i namaszczenie boskiego urzędu.

Po nich pod białym baldachimem szedł milczący papież, w skupieniu wielkiem i modlitwie; i tylko ogień zapału, co bił jak łuna z jego urodziwej i młodej jeszcze twarzy, zdradzał wielkie wzruszenie serca i zaświatowe jakieś natchnienie, co wschodziło mu w duszy i udzielało się pochylonym tłumom, nad któremi podnosił co chwila błogosławiącą prawicę.

Otaczali go nadobnym wieńcem kardynałowie i urzędnicy papieskiego dworu: więc Gwalter z Albano, późniejszy poseł do Anglii, Jan z Gaety, papieski kanclerz, i Grzegorz tytułu św. Anioła, późniejszy papież Innocenty II., i Milo, mnich z klasztoru św. Albina, i wielu innych.

Ale z pomiędzy wszystkich największą uwagę zwracał na siebie człowiek nizkiego wzrostu, bosy i pochylony, okryty suknią ze sierści, szarą i zgrzebną jak wór, i prostym przepasany powrozem. Długa broda spływała mu na piersi, zapuszczone włosy

i gęsty zarost zaciemniał drobną i postami wycieńczoną jego twarz; za to para ruchliwych oczu, świecących jak dwa karbunkuły, nadawała nikłym jego kształtom i bladym rysom wyraz energii i zapału, nie znającego ani zapor, ani granic.

Był to pustelnik Piotr z Amiens.

Przybył on z Jerozolimy z listami patryarchy do papieża; mówił, że ma poselstwo boże od Chrystusa do ludów Zachodu, a Ojcom synodu opowiadał ze zgrozą, iż widział grób Chrystusowy, obryzgany krwią pobitych chrześcijan, i sędziwego biskupa Symeona, wleczonego za brodę od ołtarza, i inne rzeczy okropne, od których słuchania powstawały włosy na głowie.

U stóp olbrzymiej trybuny, wzniesionej na przeciwległej stronie placu, stanęła procesya. Papież w złocistej swej kapie i potrójnej koronie wszedł na wzniesienie i objąwszy spojrzeniem wielką rzeszę ludu, patrzał się długo w tę ruchliwą falę, jak gdyby chciał do dusz im zaglądnąć. A fala owa poruszała się ze zgiełkiem, bo każdy chciał być jak najbliższym papieża, więc wzmagał się gwar i pomruk głuchy dokoła — przeto Urban, przeczekawszy chwilę, wzniósł rękę do góry, jednym tym ruchem nakazał milczenie i ciszę wielką uczynił i począł mówić:

„Wiecie dobrze, najmilsi bracia, jako Odnowiciel rodzaju ludzkiego dla zbawienia nas wszystkich przyjąwszy na się ciało człowiecze i żyjąc między ludźmi, ziemię onę świętą, którą niegdyś przed wiekami ojcom przyobiecał, uświetnił swą obecnością, a wielkiemi dziełami swego posłannictwa i mnóstwem cudów w szczególny sposób sławną uczynił. Ukochał on też tę ziemię osobną jakąś miłością; bo kiedy cały okrąg świata jego jest własnością i państwem, on przecie tę małą jego cząstkę raczył nazwać swojem dziedzictwem, jak to napisano u Izajasza: *Dziedzictwo moje Izrael*[1], albo jak powiedziano na innem miejscu: *Winnica Pana zastępów jest dom Izraelski*[2].

„Ale chociaż całą tę świętą krainę sobie wyłącznie poświęcił od wieków, to jednak w szczególniejszy jeszcze sposób miasto

[1] Izajasz 19, 25.
[2] Iz. 5, 7.

Jeruzalem przyjął za swoje, bo jak poświadcza prorok: *Miłuje Pan bramy Syonu nad wszystkie przybytki Jakubowe* [1].

„Gród ten od wieków wybrany był od Boga na przybytek największych tajemnic; on miał być świadkiem dzieł bożych i powiernikiem. Tam żył i nauczał Zbawiciel, tam umarł i zmartwychpowstał, dokonawszy dzieła odkupienia w pośrodku ziemi.

„Zdarzało się wprawdzie, że Bóg dla grzechów mieszkańców Jerozolimy słusznym swym sądem dopuszczał raz po raz, aby ono miasto święte wpadało w ręce bezbożnych i dźwigało do czasu jarzmo niewoli; sądzić jednak nie należy, aby przeto niem wzgardził i od siebie je odrzucił, albowiem napisano jest: *Kogo Pan miłuje, karze, a biczuje każdego syna, którego przyjmuje* [2].

„A więc miłuje Pan Jeruzalem, a ogień tej miłości nie wygasł, kiedy sam mówi o niem: *Będziesz koroną chwały w ręce Pańskiej i diademem królestwa w ręce Boga twego: i nie będą cię zwać więcej opuszczoną... ale cię zwać będą wola moja, bo się Panu upodobało w tobie* [3].

„Tę to kolebkę naszego zbawienia, tę ojczyznę naszego Boga i Pana, tę ziemię-rodzicę naszej świętej wiary zajął i posiadł przemocą lud bez Boga! Syn niewolnicy egipskiej gniecie i trzyma w niewoli syny wolnej matki i najsroższe wkłada ciężary na tych, którym sam służyć powinien.

„Lecz cóż napisano? *Wyrzuć niewolnicę i syna jej*“ [4].

Ostatnie słowa wymówił papież z wielką mocą i silnym rzutem ręki, poczem przerwał na chwilę. Wśród zebranego tłumu, który dotychczas słuchał papieża ze skupieniem i wielką uwagą, poczęło się objawiać niezwykłe poruszenie i zapał. Więc Urban widząc, że dusze ich ma w dłoni, postanowił silniej w struny uderzyć i mówił dalej:

„Bracia najmilsi! Saraceni, plemię bezbożne i ziemskim chuciom służące, okrutną, tyrańską nogą depce już od lat wielu te miejsca święte, których dotykały się stopy pańskie. Lud wierny

[1] Ps. 86, 2.
[2] Do Żyd. 12, 6.
[3] Iz. 62, 3.
[4] Księga Rodzaju 21, 10.

pobity i w niewoli trzymany, święte przybytki zbezczeszczone, do sanktuaryum wtargnęły psy! Rodzaj wybrany niegodne cierpi katusze, królewskie kapłaństwo służy przy glinie i cegle [1], miasto Boże, księżna powiatów płaci haracze i stała się hołdowną! [2]

„Czyjaż dusza nie topnieje, czyjeż serce nie ustaje, kto z suchemi oczyma słuchać tego jest w stanie, o bracia najmilsi?!

„Owa świątynia jerozolimska, z której Pan gorliwością zdjęty wyrzucił przekupniów, aby snać dom Ojca jego nie stał się jaskinią zbójców — stała się dzisiaj siedliskiem szatanów.

„Podobny widok Matatyasza, wielkiego kapłana i ojca Machabeuszów, rozpalił niegdyś gorliwością, godną naśladowania, kiedy wołał: „Świątynia Pańska jest w ręku cudzoziemców, Kościół jego — stał się jako człowiek bezecny — naczynia chwały jego zabrano w niewolę“ [3].

„Ach, miasto Króla królów, z którego niegdyś wyszła na świat czysta nauka objawionej wiary, dziś wbrew swojej woli służyć musi pogańskim zabobonom. Świątynia zmartwychwstania — miejsce spoczynku pogrzebionego Pana — wydana w ręce niewiernych i wystawiona na bezeceństwy tych, co w chwalebnem zmartwychwstaniu nie będą mieć udziału, ale pójdą jak słoma w pastwę ognia wiecznego. Czcigodne miejce, bożym poświęcone tajemnicom, które niegdyś gościły Boga w ciele, widziały cuda jego, doznawały łask i po dziś dzień jeszcze noszą na sobie niezatarte dowody i pamiątki świętych owych czasów — przemieniono trzodom na chlewy i bydłu na stajnie.

„A te sławne ludy chrześcijańskie, nad któremi spoczywało błogosławieństwo Pana zastępów, dzisiaj jęczą pod ciężarem tyranii i ohydnego wyzysku; porywają im dzieci — ten drogi skarb Kościoła — i zmuszają je służyć wszeteczeństwom niewiernych, wyrzekać się Boga żywego, bluźnić mu świętokradzkiemi usty, a jeśli które ośmielą się stawić opór bezbożnym nakazom, giną jak baranki niewinne pod mieczem, powiększając zastępy świętych męczenników.

[1] Porównaj Księgę Judyt 5, 10.
[2] Por. Treny Jerem. 1, 1.
[3] 1. Machab. 2, 8.

„Świętokradzki Saracen nie ma względu ani na miejsca, ani na osoby. U stóp ołtarzy mordują kapłany i lewity, po świątyniach gwałcą dziewice, zmuszając je do grzechu albo zabijając okrutnie, a nawet dla starszych matron wiek ich czcigodny nie jest obroną.

„Wielu z was najmilsi było w Jerozolimie i własnemi oczyma oglądało te okropności; potwierdzają je też listy ze Wschodu, doręczone nam przez czcigodnego Piotra pustelnika, który tu jest między nami obecny.

„Ach, biada nam, biada! żeśmy dożyli czasów tak strasznych! czasów, które wybrany od Boga król Dawid przewidział w duchu i opłakał wołając: *Boże! przyszli poganie na dziedzictwo twoje, splugawili Kościół twój święty* [1], *lud twój poniżyli i dziedzictwo twoje utrapili* [2]. Ach, biada nam! Przeczżeśmy się narodzili, aby patrzeć na skruszenie ludu naszego i poniżenie miasta świętego i siedzieć tu, kiedy świętości nasze podane są w ręce nieprzyjacielskie! [3]

„A więc, najmilsi, zbrójcie się!

„Zbrójcie się w męstwo Boże; niechaj każdy do bioder miecz przypasze! Gotujcie się, a bądźcie synowie mężni, bo lepiej nam jest pomrzeć na wojnie, niżeli patrzeć na złe ludu naszego i świętych! [4]

„Kto ma serce i zapał dla zakonu bożego, niech do nas przystaje!

„Idźmy z pomocą braciom naszym! Potargajmy więzy ich i zrzućmy z siebie jarzmo wrogów!

„Wychodźcie! — Bóg będzie z wami!!!“

Płonęły twarze słuchaczy od słów tych ognistych. Szeroko rozwarte źrenice utkwili w mówiącym, a na ich ustach lekko rozchylonych zdało się, że drżąca siedziała dusza, dygocąc z niecierpliwości i pierwszej czekając okazyi, aby wybuchnąć i zapał rozpierający piersi objawić słowem lub czynem.

---

[1] Psalm 78, 1.
[2] Psalm 93, 5.
[3] Por. 1. Machab. 2, 7.
[4] Por. 1. Machab. 3, 58.

I właśnie teraz nadeszła sposobna chwila. Kiedy papież wymówił ostatnie słowa: „Wychodźcie — Bóg będzie z wami“ niespodzianie głos jakiś nieznany wśrod tłumów odpowiedział donośnie: „Pójdziemy, bo Bóg tego chce!“

„Bóg tego chce! Bóg tego chce!“ — począł nagle wołać ze wszech stron kilkudziesięcio-tysięczny tłum w różnych językach pokrewnych, w różnych narzeczach i gwarach; i okrzyk ten potężny z siłą rozpętanych żywiołów huczał jak orkan po katedralnym placu. Ręce poczęły się wznosić ku górze, szable poczęły szczękać, a potem błyskać ponad głowami; wszczęło się kipienie wielkie i kotłowanie wśród mas... rzekłbyś, że bojowisko i walkę masz przed sobą, nie zaś kościelną uroczystość.

Biskupi i prałaci jeden po drugim rękoma zasłaniali twarze, aby ukryć rzewne łzy, płynące z wielkiej radości; i długa upłynęła chwila, zanim papież, własne opanowawszy wzruszenie, ręką wzniesioną zdołał uspokoić masy, niebywałym uniesione zapałem.

„Dziękuję Bogu najwyższemu, — rzekł — iż natchnął was tak gorącą chęcią i tak wielkim zapałem do tej walki świętej. Te krótkie z nieba nam zesłane słowa: ‚Bóg tego chce‘, niech będą odtąd waszem hasłem; niech będą bodźcem i zachętą do wielkich czynów!“

Tu twarz papieska stała się nagle surową; rzekłbyś, przywdział grozę sędziego i głosem zmienionym — tym przytłumionym, powolnym głosem, co zda się bezbarwny, a jednak do szpiku kości przenika — mówił dalej:

„A więc wy rycerze i wy, co pasy żołnierskie nosicie po to, aby przelewać bratnią krew chrześcijańską, zmieńcie życie i porzućcie wasze występne rzemiosło! Tę broń, którąście splamili niegodnemi czynami, mordując jedni drugich, zwróćcie na wroga wiary i chrześcijaństwa. Kradzieże i pożogi, łupiestwa i mężobójstwa i wszystkie inne zbrodnie, co zamykają wstęp do nieba, okupcie póki czas, wyruszając ochotnie na święte boje pańskie.

„Najbliższa wiosna niech będzie początkiem wyprawy. Kto na nią iść ma, ten niech znak krzyża kładzie na szatach. My zaś z miłosierdzia bożego, wsparci powagą świętych Apostołów Piotra i Pawła, wszystkich, co wezmą na się ciężar onej piel-

grzymki, uwalniamy od pokut i kar za grzechy ich; ci zaś, którzyby na tej wojnie w skrusze prawdziwej polegli, niech nie wątpią o odpuszczeniu grzechów i o nadziei wiecznej odpłaty. A nadto rycerzy krzyża, jako synów prawdziwego posłuszeństwa, przyjmujemy pod ochronę Kościoła i opiekę błogosławionych Apostołów Piotra i Pawła, a dając im całkowitą nietykalność i bezpieczeństwo, przykazujemy, aby nikt się nie ważył niepokoić ich osób albo majątków, a ktoby się ważył, niech od biskupa będzie wyklęty".

Teraz zwrócił się papież do biskupów i duchowieństwa:

„Wy bracia moi, — rzekł — współbiskupi i współkapłani i współdziedzice w królestwie Chrystusowem, podnieście głos wasz i po kościołach wam powierzonych opowiadajcie wiernym drogę świętą do Jeruzalem.

„A wy wszyscy, co wyruszycie na Wschód, pamiętajcie, że kiedy walczyć będziecie za lud Boży, my tutaj za was modlić się będziemy. My wyciągniemy z Mojżeszem błagalne ku niebu dłonie, a wy dobędziecie mieczów, o nieustraszeni rycerze, i na wrogie szyki Amalecytów idźcie mężnie i zwycięsko z błogosławieństwem Boga Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen".

Skończył papież.

Tłumy ludu znowu zawrzały uniesieniem.

Jeden wielki okrzyk: „Bóg tego chce!" wybuchnął z wszystkich piersi i zatrząsnął powietrzem; a potem rozbił się i rozprysnął w tysiące głosów, które ze wszystkich stron biły ku papieżowi zmieszane z sobą i wzajem się zagłuszające: „Do Jeruzalem, do Jeruzalem!" „Bóg tego chce!" „Do broni!" „Śmierć pohańcom!" „Do grobu Bożego!" „Bóg tego chce!!"

A za chwilę wszystkie te głosy zlały się znowu w jedno wielkie grzmienie i fala ludu huczała w uniesieniu jak nawałny wicher, kiedy pocznie miotać zbitą ławicą boru.

Tymczasem u stóp papieskich wzruszająca odbywała się scena. Biskup Ademar z Puy, duchem bożym natchniony, przypadł do kolan Namiestnika Chrystusowego i gorącemi słowy prosić się począł na wojnę świętą, żebrząc papieskiego błogosławieństwa. Papież wzruszony wzniósł ręce do góry i modlił się

przez chwilę, a potem obie ręce złożył na głowie rycerskiego pasterza i od wielkiego przejęcia słowa nie mógł wymówić. Wziął więc krzyż z czerwonego sukna uszyty i wobec patrzących tłumów przypiął go na prawem ramieniu klęczącego biskupa, mówiąc: „Idź mężny synu, Pan niech będzie z tobą".

Na ten widok poruszyli się co bliżsi z rycerstwa i szlachty, i tłumnie poczęli się cisnąć do Namiestnika Chrystusowego, wyciągając doń ręce i prosząc o krzyże. Klękali rzędem, kładąc rękę na głowniach szabel, a drugą ocierając nieznacznie łzy, które po raz pierwszy od wielu lat spływały im dzisiaj po marsowych obliczach. A papież brał krzyże, i tym, co przychodzili bez zbroic, kładł je na ramiona, a zbrojnym przypinał na szczytach szyszaków, modląc się i błogosławiąc.

Łagodne słońce jesienne, co już pół drogi odbyło po nieboskłonie i stało właśnie w południu, rzucało z góry złocistą falę światła na one krzyże czerwone, na srebrne blachy pancerzy, na twarze płonące i na tego wreszcie Urbana, co stał jak hetman Boży nad rzeszą chrześcijańskich ludów, budząc w ich duszach on zapał i oną potęgę, co stworzyć miała cuda, ruszyć z posad pleśniejącą bryłę świata i na nowe popchnąć ją szlaki.

* * *

Natchnione hasło: „Bóg tego chce!" szło lotem błyskawicy po wzgórzach Owernii, po brzegach kwiecistych krętej Loary i po podnóżach lesistych Wogezów i po dorzeczach wartkiego Renu i błękitnej Mozelli, poruszając wszystko co żyło — od mglistych wybrzeży zielonego Erynu, aż hen, po białe piaski Kalabryi, gdzie nad Tarentu zatoką marzyła o sławie i wielkich czynach rycerska dusza Tankreda.

I wszystko żyło tem hasłem, wszystko o niem mówiło. Roznosili je przychodnie z Clermontu po zamkach i chatach, głosili je biskupi w listach pasterskich, księża z ambon opowiadali je ludowi. Trubadur śpiewał o niem pieśni — a wieśniacy rzuciwszy pługi, rozmawiali o niem po polach, niepewni, co począć. Aż oto wielką otoczony rzeszą pojawiał się na mule pustelnik wędrowny ze Wschodu. Twarz miał wychudłą a promieniejącą jak święci

na obrazach; więc lud odkrywał głowy i słuchał — a on opowiadał im dziwy wielkie: jako sam Chrystus okazał mu się we śnie i powiedział: „Piotrze! wstań i idź, ja będę z tobą; sprowadź braci twych z Zachodu, bo czas już wielki, aby oczyścić moją świątynię i wierne me sługi z jarzma wybawić".

A kiedy ludzie słuchając tego kajali się grzechów i w zadumaniu patrzeli na siebie, jakby na potwierdzenie słów pustelnika wschodziła wieczorami na niebie kometa z grzywą ognistą, zwróconą ku Wschodowi; krzyże i miecze dziwnych kształtów widziano na niebie i jakieś pułki zbrojne, potykające się w obłokach. A przychodnie od niemieckiej granicy opowiadali, że Karol Wielki powstał z grobu i chodzi po ziemi Franków. Strażnicy zamkowi widzieli go po nocach... olbrzymi, w jasności wielkiej i blasku stąpał ponad zamkami; nogą tykał baszt najwyższych a głową gwiazd dosięgał i jakby budził śpiących, mieczem wielkim uderzał o bramy, od czego jak od rozżarzonej głowni szedł deszcz iskier.

I jak kiedy płomień podłożony pod suche trawy stepowe ogarnia coraz szersze przestrzenie i nic mu się oprzeć nie zdoła, tak rósł on zapał do walki o święty grób Chrystusowy i z siłą, jakiej drugiej nie znają dzieje, ogarniał coraz szersze obszary. Możni panowie sprzedawali swoje zamki dziedziczne i szli w ubóstwie walczyć o chwałę tego, który pierwszy wprowadził na ziemię szaleństwo krzyża; romantyczni młodzieńcy, co w bezcelowej gonitwie za awanturami krążyli po wszystkich zamkach i dworach, znając tylko puhary biesiad i szarfy w turnieju zdobyte, miasto szarf kładli na siebie krzyże czerwone, ślubując, że nie podniosą miecza jak tylko na obronę grobu pańskiego. Wyludniały się sioła, bo wieśniak spakowawszy cały dobytek, skrzypiącym wozem jechał ku Wschodowi i za granicami pierwszego powiatu dopytywał się już o Palestynę; wyludniały się klasztory, bo mnisi, padając do stóp biskupów i opatów, prosili się na świętą wojnę do kapłańskiej pracy wśród wojska, i do obozowej, albo szpitalnej posługi. Nawet rycerz-rozbójnik, bijąc się w piersi, porzucał ukryte w lasach zamczysko, a mając od papieża zapewnioną nietykalność swej osoby, ze znakiem krzyża na szacie

spuszczał się bezpiecznie w doliny, po drogach, na których niedawno czynił zasadzki; nawet dzieci tłumami uciekały pokryjomu z rodzinnych zagród — a siwe matrony i wątłe dziewczęta, siedzące przy krosnach po sklepionych zamków komnatach, tamując łzy, mężnie mówiły do synów, do braci, do narzeczonych: „Idźcie! Bóg z wami!“

Więc skoro tylko z wiosną stopniały śniegi, stanęło wojsko wielkie książąt i ludów, liczne jak piasek morski i jako gwiazdy na niebie, i wielka ona armia, jakiej od czasów Kserksesa nie widział świat, w kilku taborach ruszyła na Wschód.

I szli oni w dal mroczną, nieznaną, szarym obłokiem zakrytą, odarci ze wszystkiego, a jutra niepewni. W sennych widzeniach stawał przed ich duszą szyderczy szatan zwątpienia, chcąc zatrwożyć ich serca. Stawała przed nimi straszna mara głodu, wyciągając ku nim wychudłe swoje ramiona; widmo zarazy w postaci bladej dziewicy powiewało ku nim krwawą swą chustą, a zmora śmierci wołała za nimi martwym, bezdźwięcznym głosem: „Wyście moi! Piaski was pożrą, kruki podzióbią, szakale rozniosą! Ja was nie puszczę — wyście moi!“

Ale oni szli dalej!

Szli raczo i ochotnie z krzyżem na piersiach, z pieśnią na ustach; a żadne zwątpienie i żadna trwoga przebić się nie zdołały przez piersi ich opancerzone, bo w mglistej dali, tam za tysiącem gór i tysiącem rzek, promienił przed ich bohaterską duszą święty grób Chrystusowy, a wszystko dokoła nich na niebie i na ziemi brzmiało jednem potężnem hasłem: „Bóg tego chce!“

*Ks. Włodzimierz Piątkiewicz.*

# KOLEGIUM POLSKIE W RZYMIE.

## IV.

Rozpoczął się rok 1863, który miał stwierdzić wszystkie obawy życzliwych Polsce dostojników Kościoła, a zarazem wykazać konieczność ratowania u nas katolicyzmu, zagrożonego bardziej od idei rewolucyjnych, niż od przemocy nieprzyjaciół.

Wiadomość o powstaniu zrobiła w Rzymie wielkie wrażenie. Ks. Kaczanowski donosi o niem ks. Jełowickiemu: „Pod bolesnem wrażeniem nowin, które telegraf z 24 b. m. przyniósł z Polski, ten list do ciebie piszę. Wczoraj (26 stycznia) raniutko przyszli do Kulczyckiego, którego za dziennikarza polskiego uważają, gdyż istotnie do niektórych dzienników pisuje korespondencye, aby przyszedł do sekretaryatu stanu i przeczytał nazwiska miejsc w Polsce będących, o których lękano się, iż pisownia była źle wyrażoną. Przesyłka telegraficzna przyszła w niedzielę (25-go) wieczór. Jak nas to wszystkich pomieszało, to O. Aleksander wystawić sobie nie możesz. Jeśli masz nowiny jakie z naszej biednej krainy szczegółowe, obdziel się z nami. My tu, choć zakonnicy, jednakże nie możemy się otrząsnąć z ciekawości, która ma za cel naszą ojczyznę. Wczoraj szczerze płakałem, gdym się zastanowił nad klęskami, jakie znowu na nasz biedny kraj ta okoliczność sprowadzi. Dzisiaj z rana młodzież nasza, przyszedłszy do *Collegium Romanum* na lekcye, powitaną została od współuczniów Włochów powinszowaniami i przepowiedniami,

iż teraz już pewno Polska powstanie. Oby się ich proroctwo sprawdziło! lecz, niestety, ja tej nadziei nie mam!" Trwogą przejmowało w Rzymie wszystkich to bratanie się Polski z rewolucyą. „Módlmy się tedy — kończy ks. Kaczanowski — i coraz bardziej gotujmy się na sąd ostateczny, gdyż chwila nadchodzi i nie może być jak blizka, gdy takie pomieszanie w rozumach zaszło".

Ks. Kajsiewicz chciał ratować duchowieństwo, i jak sam się wyrażał, „uciął szarżę choćby na własne przepadłe, byle klęskę taką od Kościoła i narodu naszego odwrócić". „W końcu grudnia 1862 r. — czytamy w *Pamiętniku* — otrzymawszy z *Poznania* kopię listu ks. arcybiskupa Przyłuskiego i deklaracyę duchowieństwa poddającego się komitetowi centralnemu, ks. Kajsiewicz zażądał rady trzech prałatów, sprawami Kościoła polskiego zajmujących się z obowiązku, a najbardziej nam przychylnych: mgra Franchi, mgra Ferrari i mgra Bianchi, coby było do uczynienia w tak niebezpiecznem położeniu. Po namyśle odpowiedzieli jednozgodnie: ‚Róbcie co możecie prywatnie, aby taki ruch w duchowieństwie zatrzymać, bo dosyć, by nie już rząd, ale choć jeden biskup polski zażądał rady w Rzymie. Ojciec św. będzie musiał takie postępowanie duchowieństwa naganić; a sami wiecie i mówicie, i my to pojmujemy, jakby przy dzisiejszem wzburzeniu umysłów niebezpiecznem było najłagodniejsze ostrzeżenie, przychodzące od Stolicy Apostolskiej'. A i tak Ojciec św. kazał napisać do biskupa podlaskiego list z zapytaniem, czy podobna, aby się podobne rzeczy działy wśród duchowieństwa polskiego, z poleceniem, aby biskupi przypomnieli księżom, aby pilnowali obowiązków kapłańskich.

„Wtenczas to ks. Kajsiewicz, korzystając z położenia swego kapłana polskiego, a jednak niezależnego od biskupów polskich, napisał swój List otwarty do księży konspirujących; a, żeby nie był posądzony, że powstając na stronnictwo skrajne, sługą jest szlachty, powiedział w drugiej części prawdę i partyi zwanej umiarkowaną, wyrzucił jej sympatye piemonckie, a brak energii i rozumu politycznego. List ten posłał do Poznania na ręce ks. Koźmiana, pozwalając mu złagodzić i opuścić wszelkie wyrażenia za mocne, zostawując mu wolność co do sposobu roz-

szerzenia go, czy za pomocą odpisów, czy drukując w *Przeglądzie*, gdyby wyjść miał rychło, czy w *Tygodniku;* żądał jednak w razie drukowania, aby odbito osobno ze 2000 egzemplarzy do rozesłania duchowieństwu w Królestwie. Ks. Koźmian zawsze mocno zajęty, przeczytał tylko początek pierwszej części listu i posłał cały księdzu Prusinowskiemu, aby wydrukował w *Tygodniku*, albo jemu do *Przeglądu* odesłał. Ks. Prusinowski, również zajęty, i również jak ks. Koźmian czujący pilno potrzebę działania na umysły duchowieństwa, wydrukował bez żadnej zmiany. Numer tego *Tygodnika* wyszedł tego samego dnia (22 stycznia), w którym w Królestwie wybuchło powstanie. Nadto rząd rosyjski w Królestwie przedrukował ten list w nienawistnym Polakom urzędowym *Dzienniku powszechnym*, następnie w *Gazecie policyjnej* (później jeszcze w *Kuryerze wileńskim)*, opuszczając wszystko co było przeciwko rządowi, nie wskazując nawet kropkami, że co było opuszczonego, i owszem, układając osobną całość. A że mało kto czytał *Tygodnik,* więc prawie wszyscy znali tylko List otwarty z dzienników rosyjskich. Nadto *Le Nord* wydał go po francusku, trochę mniej obcięty niż w *Dzienniku,* ale zawsze niekompletny. Nastąpiło więc pewne zawstydzenie narodu wobec obcych. Wtedy powstał okrzyk powszechny na ks. Kajsiewicza, jakoby przesądzał prawa narodu do niepodległości i szkalował go; najłagodniejsi znajdowali, że ten list był niewczesny. Jeden tylko *Przegląd poznański* i *Le Monde* go bronił. Czepiano się nawet krzyża, który *Tygodnik* położył na czele listu i tytułu nagłówkowemi literami, jakoby to zakrawało na list pasterski—jak gdyby mniej było wolno ks. Kajsiewiczowi pisać w chwili, gdy lada młokos dawał nauki narodowi, i gdy właśnie studenci rządzili duchowieństwem. Zarzut też niewczesności niesłuszny, bo naród nie zaraz zdecydował się przystać na powstanie; a rozszerzenie tego listu, choć przez *nefas* zrobione, trzeba uważać za ostrzeżenie opatrzne dla duchowieństwa i obywatelstwa we wszystkich ziemiach polskich i w całej Rosyi.

„Gdy jednak *Głos kapłana* posunął się do potwarzy, wydrukowanej po francusku w marsylskiej *Gazette de Midi,* że Zgromadzenie Zmartwychwstania otrzymało od margrabiego Wielo-

polskiego za ten list obietnicę amnestyi i dotacyi w Królestwie, a najlepsi katolicy i przyjaciele nastawali, aby coś odpisać przez wzgląd zresztą na dobre imię Zgromadzenia, napisał ks. Kajsiewicz list drugi, w którym uznając prawo narodu do samodzielności, potwierdza i dowodzi, że ruch w początku był rewolucyjny, niewczesny, i że duchowieństwu nie wypadało czynnie się weń rzucać. List ten umieścił *Le Monde*. *Czas* nie chciał go umieścić dlatego, że nie był odwołaniem pierwszego, ale jego potwierdzeniem. Nie chciał nawet umieścić prostego, grzecznego zaprzeczenia fałszów korespondenta rzymskiego, jakoby Ojciec św. List otwarty potępił i t. d. Chodziło bowiem o to tym panom, aby utrzymać przekonanie w narodzie i duchowieństwie, jakoby Ojciec św. rad widział, że księża broń noszą, są agentami politycznymi narodowego rządu, skazują na śmierć i t. p. Wszakże ten drugi list nie był właściwie potrzebnym, bo ludzi złej wiary i woli nie przekonał, innych wypadki coraz bardziej przekonywały. Zrazu nieśmiało, dla obawy dzienników lub sztyletu, potem coraz głośniej wyznają Polacy, że ks. Kajsiewicz miał słuszność: i gdyby mu chodziło o tryumf osobisty, dość, by obecnie wydrukował z jednej strony tekst swego Listu otwartego, z drugiej strony fakta, które twierdzeń jego i ostrzeżeń dowiodły".

Tym Listem otwartym rozpocząć się miał dla ks. Kajsiewicza okres ciężkich bardzo krzyżów, wielkich cierpień. Przeczuwał on je. Posyłając list ten ks. Jełowickiemu do przesłania ks. Koźmianowi, pisał: „Jakkolwiek ci się wyda, odeszlij go zaraz. Narażam się i na sztylet, więc z głębokiego przekonania potrzeby i pilności go napisałem. Połowa duchowieństwa już zaprzysięgła wierność Mazzinistom polskim. Passaglizm obok tego fraszka" (10 stycznia). We trzy dni później dodawał: „Posyłam drugą część otwartego listu; przeczytaj, ale nikomu nie pokazuj i wyszlij zaraz. Gorączka w kraju rośnie; wybrniemy, da Bóg, ale przez brzydkie i bolesne rzeczy przejść musimy". Do sztyletu nie przyszło, ale że był pod dozorem policyjnym rządu narodowego, to sam Kulczycki przyznaje w liście do kapitana Korzeniowskiego (z d. 12 lipca 1868). Pisze on: „Zgromadzenia tego (Zmartwychwstańców) nie znam osobiście i znać

nie chcę. Oszczędzałem je nawet, kiedy jako pełnomocnikowi rządu narodowego przy Stolicy świętej polecono mi z Warszawy czuwać nad autorem otwartego listu i nad jego trzodą. To zaś, co w prywatnej rozmowie rzekłem i co polskim obyczajem powtórzono przesadzając kapitanowi, nie było osobistem mojem zdaniem o Zmartwychwstańcach, których nie znam, powtarzam, osobiście, lecz odgłosem tylko oburzenia narodu przeciw tej wypolszczonej konfraternii, którą uczucie i opinia narodowa od dawna potępiły, a która jest kamieniem obrażenia dla narodowego duchowieństwa, co tak zawzięcie prześladuje".

Ks. Kajsiewicz bronić się nie chciał. „Czuję najżywiej — pisał — że Bóg nie chce, bym się rehabilitował; w czasie swoim sam o tem pomyśli... Może doczekam, że pokochają u nas katolicyzm nie dlatego że narodowy, ale że Boży, a to przyjdzie". Czego zaś — pisze Bronisław Zaleski — w tym czasie od rozjątrzonych i uprzedzonych rodaków doświadczać musiał, najlepiej da poczuć to, że się dziwił, gdy od którego z przybyłych z kraju choćby najlżejszej oznaki przychylności doznał. Tak np. jak o zdarzeniu niezwykłem pisał raz w tym pamiętnym r. 1863: „Wstąpiło do mnie zawczoraj (szukając ks. Dąbrowskiego) dwóch młodych księży z Kieleckiego; dowiedziawszy się kim jestem, nie oburzyli się jakoś, a jeden odchodząc w ramię pocałował". A w dwa lata później, kiedy w Ameryce parafie obsługiwane przez jego synów wychodziły na jego spotkanie z miłością i uszanowaniem, pisze: „Przyznam się szczerze, że pierwszem mojem wrażeniem było zdziwienie. Znużonemu długą podróżą, wydało się to jakiemś sennem złudzeniem. Od kilku lat takem nawykł do odmiennego całkiem obchodzenia się ze strony moich kochanych rodaków, iż mi się to wkońcu wydało stanem normalnym; a tu dzieci irlandzkie, niemieckie, które mię nigdy nie widziały, obrzucają kwiatami".

A skąd przychodziły te pociski najwięcej? „Przeciw tobie — pisze ks. Koźmian do ks. Kajsiewicza (19 marca 1863) — księża najwięcej hałasują, a i na mnie odbijają się, jak mogą, za dawny rozsądek. Trzeba tę burzę spokojnie przetrzymać. Nie darmo nam ją P. Bóg zesłał... Każ ks. Piotrowi napisać roz-

prawę nie polemiczną ale *ex professo* o Kościele wobec towarzystw tajnych. Ja to umieszczę zaraz. Wierzaj mi, jest *periculum in mora*. Nie schodźmy ani na chwilę z wyłomu, bo tu o Kościół chodzi"; a 4 kwietnia: „*Tygodnik* dostał od ks. arcybiskupa napomnienie, aby nie umieszczał artykułów rozdwajających duchowieństwo jak list otwarty. Jeśli znasz ludzi i położenie, nie zadziwisz się... Ja od początku wypadków nie jestem wzywany przez ks. arcybiskupa... Myślę, że ks. arcybiskup ma mi trochę za złe swój list do ks. Felińskiego. W świetle dzisiejszych bałamuctw na rzeczy patrząc, nie rozumie, że ten list będzie kiedyś największym jego zaszczytem. Ostatni numer *Głosu kapłana* w Warszawie jest cały wymierzony przeciw tobie... Autor śród różnych niedorzeczności nie bez talentu wypisanych, zarzuca ci, że do schyzmy prowadzisz... Od miesiąca ostatniego listu do ciebie, mój Ojcze drogi, wiele się zmieniło. Wycieńczenie ogromne w kraju, nie ma z czego rozdmuchiwać nowych powstań. Wszakże nacisk z Paryża nie ustaje. Każą koniecznie, aby były choć częściowe poruszenia. Tu się gotuje nowa wyprawa na poświętach. Będzie prowadził Francuz. Wejdą znowu, zostaną zbici i wrócą. Kosztuje to wielkie pieniądze, a o krwi i nie mówić. Czego istotnie chce rząd francuski, ani zrozumieć. Emigracya utrzymuje, że działa z jego natchnienia... Twój list otwarty już został usprawiedliwiony. Nominacya Mierosławskiego z 25 stycznia i zabójstwa szpiegów w Warszawie pokazują, żeś miał słuszność".

Ks. Kajsiewicza te wszystkie krzyki nie straszyły. Był spokojny, choć bolały, jak nigdy. Czuł, że zrobił swój obowiązek. Owszem, był gotów na nowo wystąpić, na nowo się narazić, byleby sprawę ratować: „Niech mnie Bóg broni — pisze — abym się miał odejmować oczyszczającej mnie prawicy Jego. Wiem, że Bóg przyjdzie w pomoc Polsce, byleby z dziecinną ufnością w Nim jednym zaufała. Chodzi mi nawet o to, by takie usposobienie w narodzie przemogło; nie widzę jeszcze, jak się do tego wziąć, choćbym się nie lękał obrazić wszystkich pyszałków i mądralów, którzy sądzą, że oni podźwignąć potrafią naród z toni, w którą umieli go wepchnąć". Od kazań jednak się

wstrzymywał. „Kazać mnie teraz nie czas — pisał. — Widzisz, że systematycznie mnie i nas potwarzają w dziennikach, a gapie wierzą; dosyć kilku półgłówków, by zrobić burdę w kościele, którąby Moskale podnieśli i tryumfowali".

Przed papieżem bronił ks. Kajsiewicz i tłumaczył tych samych, którzy nań kamienie rzucali. „Co też wasi księża wyrabiają, — powiedział mu raz Ojciec św. — dowodzą bandami powstańczemi?" — „Ojcze św., o jednym tylko słychać, który, zdaje się, w dobrej wierze gra w Machabeusza". — „Zawsze to smutno" — odparł Pius IX. — Aż tu w krótkim czasie zaczęli przybywać i do Rzymu kapłani z powstania. Im musiał wyrabiać dyspenzy od cenzur kościelnych, jakie zaciągnęli. „Czy to nie dziwna, mój księże Aleksandrze, — pisze (2 lutego 1864) — zapewnie ci księża po obozach musieli najwięcej na mnie krzyczeć, a teraz ja muszę biegać, by ich z nieregularności wyciągnąć?" Od nich musiał i w Rzymie wiele znosić nieprzyjemności. A znosił wszystko cierpliwie — pisze Zaleski — tłumacząc przed drugimi, a zwłaszcza przed władzą kościelną nieszczęśliwe a czasem gorszące nawet wybryki, ogromem nieszczęścia, rozdrażnieniem chwilowem, podnosząc znowu każdą dobrą stronę, każdy rys zacny i szlachetny, a powtarzając zawsze swoim, że wszystko, co tutaj przecierpieć przychodzi, to nasz dochód czysty, bo się tylko takim sposobem niebo zdobywa. Zresztą „obok żałoby powszechnej — pisze on do Bogdana Zaleskiego — nic się innego nie słyszy tylko same smutki, upadki majątków, rozdzielenia rodzin, choroby, śmierci, więc czucie w człowieku stępione, obumarłe, i gdyby tak Bóg nie zarządził, nie wiem, jak ktokolwiek z nas mógłby jeszcze zostać przy życiu... Biedy publiczne, niedostatek domowy, staram się zagłuszać, bazgrząc co przy stoliku, choć to strasznie ciężko idzie, i tylko ponowionemi aktami woli i modlitwy coś się tam wykuje". A nad czemże wtedy pracował? Obok innych prac zabrał się do pisania: o prawodawstwie Kościoła wobec towarzystw tajnych, do czego zachęcał go ks. Koźmian, jakeśmy widzieli, a i sam powiadał: „Trzeba będzie ścigać tego polipa, który się wyrodził w organizmie narodowym, choć go już Polska nigdy całkiem nie po-

zbędzie". Czasem znowu ta niechęć powszechna ku niemu lepszą dawała mu otuchę: „Rozeszło się tu pomiędzy księżmi polskimi na mieście — pisze (2 lutego 1864) — jakobym ja miał powiedzieć, że okrom niego (to jest ks. Wilczyńskiego) i ks. Zabiełły wszyscy księża polscy byli łajdacy. Więc wierzą, i wre jak w garnku. Szczerze ci mówię, nie sądziłem, aby taki grzeszny człowiek jak ja mógł taką nienawiść szatana na siebie ściągnąć. Może Iotr przewiduje, że mi Bóg z łaski swojej i z miłości dla dusz, pozwoli mu później lepiej dokuczyć".

W całej tej kampanii przeciwko ks. Kajsiewiczowi z powodu Listu otwartego, najboleśniejsze dlań były, jak sam wyznał, listy ks. Jełowickiego. Już posyłając ów List otwarty do ks. Koźmiana, ks. Jełowicki pisał do niego: „Zdaje mi się, że nie na czasie byłoby osobno drukować i do Polski posyłać List otwarty Ojca Hieronima, ile mi się zdaje napisany pod wrażeniem mylnych doniesień. Boć nic Mazzinistowskiego nie zdaje się być w powstaniu polskiem od wszystkich innych ruchów rewolucyjnych różnem. Idzie mi o to, aby nie wzbudzać żalów przeciw Ojcu Hieronimowi, którego imię na prawdzie oparte może być potęgą". A do ks. Kajsiewicza pisze: „List otwarty trochę na kredyt został puszczony, i straszne wrzaski o kalumnię wzbudził. Myślę, że dobrzeby było wstrzymać się od rozsyłania go po kraju, aż się wyświeci, czy słuszny i potrzebny. Powstanie bowiem w Polsce nie jest masoneryą. Ja masonem nie byłem, a powstańcem byłem, i biłem modląc się. Jeszczem nikogo chętnego na ten list nie spotkał, acz tak piękny" (17 lutego 1863). Ks. Kajsiewicz znowu stara się go przekonać i uspokoić: „Modliłem się i modlić będę o wolność gardła i piersi dla ciebie. Wszakże może ta chrypka opatrzna, byś niezbyt gardłował za powstaniem i nie brał na twoją odpowiedzialność tych, którychbyś popchnął. Najwięcej co nam jeszcze obecnie wolno to trzymać się neutralnie i mówić pytającym: *habes (vel saltem censeris habere) aetatem et rationem.* Sprawa desperacka; skóra i kości twoje nie moje, rób co chcesz, pamiętając jeszcze co czeka kraj cały w razie nieudania się. Pociąga cię i rozpala męstwo, i nawet pobożność młodzieży; ale władza bezimienna

z organizacyą zupełnie karbonarską; a chłopi już niejednego księdza namawiającego do powstania zabili (w samem Lubelskiem wiem o trzech przypadkach). Bóg-ci może oczyścić i naprawić, co głupio zaczęto; o to się modlę i tego się nawet spodziewam; ale trzeba widzieć rzeczy jak są *hic et nunc*, i podług tego mieć zdanie, i innym radzić. Wybacz mi, mój Bracie! Dla ciebie są tylko rzeczy białe i czarne. Kamiński ci powie z dawnej swej teologii, że są duchy szare; tak i u nas mieszanina socyalizmu i nabożeństwa. Zobaczymy, czy te duchy poczernieją, czy wybieleją". A w parę dni potem: „Musisz ty więcej cierpieć ode mnie z powodu krzyków na mnie. Pamiętaj, że to samo było, kiedy *Nord* pochwalił ciebie. A że wszyscy ganią, także nic dziwnego. Czy nie wszyscy ufali Emanuelowi? i t. d. i t. d., a dziś się już postrzegli. Polska wyjdzie inną drogą, i bądź pewien, że co papież tylko zdoła, to zrobi, aby stanęła Polska poczciwa i katolicka — ale to powstanie upadnie... Zapewne spróbują jeszcze ruszyć Warszawę, by ją zakrwawić; ale i to się nie uda. Poczciwą krew Bóg policzy; ale widać raz jeszcze, trzeba było kraj oczyścić z żywiołów nieczystych" (24 lutego).

Na nowy list ks. Jełowickiego pisze znowu ks. Kajsiewicz: „Dziś posyłam na wszelki przypadek wypisane ustępy, które *Dziennik (Warszawski)* poopuszczał. Więcej na teraz przynajmniej nic do uczynienia niema. Przeczytaj list mój do ks. Szrejtera. O patryotach i ich powstaniu w liście moim niema mowy. Cała mowa księcia na 29-go wymierzona była przeciw powstaniu. Od roku każdy szlachcic z kraju, skrobiąc się w głowę, wzdychał: ‚co tu robić? księża sami buntują chłopów'. Dziś plwają na ludzi, którzy się za nich zastawili. Cóż z nimi robić? Gdyby nie ks. arcybiskup warszawski uderzył na gwałt, całe duchowieństwo, z małemi wyjątkami, przechodziło pod haniebne jarzmo komitetu centralnego; dziś konserwatory-katolicy krzyczą na niego i na kilku księży, którzy się odezwali. Wierzaj mi, że szatan, wściekły że mu się taki *mejsterstück* (zaprowadzenia w imię ojczyzny całego narodu z duchowieństwem na czele do apostazyi i do piekła) nie udał, wywołał tę sztuczną burzę, i że ona równie prędko przejdzie. Dlatego proszę cię i zakazuję w imię świętego posłuszeństwa,

abyś mnie pismem ani drukiem nie bronił. Dowodzić mojego patryotyzmu nie potrzebuję. O podziale Polski nic mocniejszego nie zdołam powiedzieć jak to, com powiedział w mowie po ś. p. księciu Adamie. Że Moskale okrutni, to świat cały wie. Że nareszcie Bóg rzecz źle zaczętą może na dobre obrócić, to także rzecz elementarna, bo do tego ludzie zmuszają wciąż miłosierdzie Boże. Bóg z tobą, mój najdroższy. Cierpię twojem cierpieniem, bo co do siebie, spokojny jestem, jak człowiek, który dopełnił przykrego obowiązku. Ufam, że pewne dobre skutki stąd nastąpiły i nastąpią. I w 1856 r. pokrzyczano parę tygodni, ale partya rewolucyjna ucierpiała na tem. I na ciebie krzyczano zeszłego roku, ale przestano ‚Z dymem pożarów' po kościołach śpiewać. I teraz pokrzyczą, ale da Bóg, że może nabożeństwa patryotyczno-profanacyjne po kościołach ustaną. Bądź trochę cierpliwy, a zobaczysz, kto z nas dwóch trafniej sądził o ruchu obecnym (nie o tem, jak się oczyścić i znarodowić może). — *P. S.* Przyjechał tu p. Osten-Sahen. Mówią, że domaga się o potępienie duchowieństwa polskiego. Nic z tego nie będzie; ale Ojciec św. w przykrem położeniu. Bo Stolica Apostolska nie sądzi, by przysięganie i namawianie ludu do przysięgi komitetowi tajnemu, i prowadzenie zbrojnie powstańców do boju w imię podobnych komitetów, wchodziło w powołanie i obowiązki kapłańskie".

Ks. Jełowicki 28 lutego pisze: „Ojciec kochany tak mię na kredyt osądził, jak i tych polskich księży, do których na denuncyacye hipokryckich żółto-zielonych pobożnisiów list swój otwarty napisał. A jeżeli Ojciec każe mi słusznie bać się duchów szarych, ja błagam Ojca, aby się jeszcze bardziej obawiał owych duchów srokatych, co wkońcu o to tylko dbają, aby im było dobrze, i aby ich wczasu nic nie zakłócało. Nie chcę ich nazywać, bo zresztą tacy ani takie zgoła się do mnie nie zbliżają, uważając mię także może za węglarza, chociaż nigdy nie byłem *pas même Academicien*, to jest framazonem". Stara się nawet ks. Jełowicki skłonić ks. Kajsiewicza do odwołania listu otwartego: „Wyglądamy z niecierpliwością czegoś od Ojca kochanego, coby poprawiło złe wrażenie sprawione listem, w którym bardzo są dobre rzeczy, lecz pierwszy raz przez Ojca nie bardzo dobrze

powiedziane, z przyczyny niewątpliwie onych srokatych duchów, co też i arcybiskupa warszawskiego do niewłaściwości pchają. Bo cóż niewłaściwszego, jak ów jego gabinetowy synodzik, na którym ks. Golian jak dzik wpadł na duchowieństwo; a sam arcybiskup ekskomunikę zdejmując, choć nikogo nie było przekonanego o winę, wszystkich podał w podejrzenie Kościołowi i rządowi moskiewskiemu. Prawdziwy dopust, a nie odpust Boży! — co oburzyło na arcybiskupa lud i duchowieństwo, na korzyść dyabła i Moskali".

„Mój drogi! — odpisuje ks. Kajsiewicz. — Ta kula (krzyki), ani mnie, ani was nie zabije, a dobre zrobi. Trzeba koniecznie większego porządku w głowach polskich, aby ojczyzna być i poczciwie żyć mogła. Doza prawdy była za mocna, jeszcze zakatarzonym i gorączkowym dana, i stąd kichania i womity. Ale to będzie na zdrowie... Nie napisałem listu mego pod wpływem żadnych duchów, jeno wskutek aktu poddania się komitetowi centralnemu, spisanego przez duchowieństwo podlaskie wobec delegowanych z Sandomierza (którzy już pierwej to byli uczynili) i z Lublina, a nawet z Warszawy. List mój nie tak ci się złym wydał, póki nie powstały krzyki. *Pazienza!* Ks. arcybiskup warszawski pomylił się jako człowiek (tem bardziej w tak trudnem położeniu), w niejednym szczególe; ale gdyby im na alarm nie uderzył, byłaby niezmierna większość przeszła pod komendę karbonarską. Czy księża wpadli w ekskomunikę, odczytaj przynajmniej bullę Leona XII. przeciw towarzystwom tajnym. Ks. Goliana przytaczano mnie wyrażenia przesadzone, choć tak dziś kłamią bezczelnie synowie tego *qui mendax et homicida fuit ab initio,* że nie uwierzę, aż na własne uszy nie usłyszę. Wiem już o ekskomunikowaniu ks. Prusinowskiego przez Towarzystwo Poznańskie Naukowej Pomocy. Dziś czepiają się ks. Jana. Widzisz więc, że już jest ekskomunikowanych dwóch arcybiskupów, ks. Prusinowski, ks. Koźmian i t. d., przynajmniej nie w złem jestem towarzystwie. Przyjdzie kolej na innych, pomimo wszystkich umizgów, skoro Boga nad ojczyznę przenoszą i religię uważają j e d y n i e za środek do powstania. Żeś posłał do *Tygodnika* twoje kazanie, niema w tem nic złego, ale że do *Czasu*

to ze wszech miar najniestosowniej. . . . . *Czas* nigdy kazań nie drukuje. Najszczęśliwiej będzie jak nie umieści, albo umieści wyjątki, o ile mu będą użyteczne do wychłostania mnie... Z zasad wyrażonych nie mam nic do cofnięcia. Mógłby kto powiedzieć: Możnaby to samo łagodniej powiedzieć. Prawda, ale gdy się topiącego ratuje, nie czas patrzeć, czy się go łagodnie i za jaki członek pochwyci... Przyznam ci się, pierwsze moje choć ludzkie i nie dobre poruszenie było, gdym posłyszał krzyki: ‚to już teraz będę mógł sobie siąść w jakim zakątku', do czego wciąż wzdycham. Ale i co do tego, jeśli nie uczuciem, to postanowieniem rozważonem jestem obojętnym. Jedno mi nie obojętne: to, by niczego nie uczynić i nie opuścić przeciwko sumieniowi" (7 marca).

W kilka dni potem, pisze znowu: „Dziś gdy już korespondencya z Rzymu do *Gazette du Midi* powtórzona była w *Le Monde*, powiem ci, że była rzecz doskonale przygotowana i napięta, iż Ojciec św. na nadchodzącym konsystorzu miał się mocno za Polską oświadczyć. Ale gdy przyszły raporta o przysięgach księży komitetowi centralnemu składanych, opadły ręce najlepszym naszym przyjaciołom i groził nowy *Breve* z 1823 r. już nie dla nastawań trzyletnich Rosyi, ale ze sumienia papieskiego. Wtenczas coś się stało ks. Kajsiewiczowi, i uciął szarżę choćby na własne przepadłe, byle klęskę taką od Kościoła i narodu naszego odwrócić. *In me sit maledictio ista.* A com do panów szlachty dodał, to nietylko dlatego, że zasłużyli, ale by księża i świeccy centraliści nie mogli powiedzieć, że jestem sługą i rzecznikiem szlachty. (Piszę to dla uspokojenia twego, nie dla roztrąbienia po dziennikach). Gdy wybuchło powstanie, Rzym widząc, że naczelnikami wojennymi są dawni adjutanci Garybaldego, że i Bentkowski, *adlatus* dyktatora Langewicza, któremu tylko co Garybaldi, jako dawnemu podkomendnemu, listem swoim pasterskim pobłogosławił *(Dio ti benedica)*, nie daje gwarancyi, a Mazziniści popierają to powstanie jako swoje na mityngach włoskich i portugalskich (niemylny dowód, że konspiracya komitetu centralnego działa zgodnie z konspi-

racyą europejską) — Ojciec św. (nie ja tylko) uznał komendę powstania za rewolucyjną. (Choć jeszcze Mierosławski nie został był naczelnym wodzem i Menotti Garybaldi nie wyjechał był jeszcze dla zbawienia Polski). Ojciec św. na ostatniej audyencyi powiedział do pań N.: *Votre cause est bien malheureuse, elle n'est pas claire, mais enfin bonne ou mauvaise, je ne la condamne pas.* (Sprawa wasza jest bardzo nieszczęśliwa, nie jest jasną, ale cokolwiekbądź, zła czy dobra, nie potępiam jej). To samo powtórzył mniej więcej księżnie Marcellinie. Podał mi wtenczas Bóg myśl, prosić Ojca św., by przynajmniej potępił mordy bezbronnych i pożogi. Byłem z tem u dwóch kardynałów, którzy mi obiecali poddać tę myśl Ojcu św. Zobaczymy, co Bóg da. Co mi piszesz o wykreśleniu ks. Prusinowskiego, jest jednym dowodem więcej, że naczelnicy powstania są Mazziniści. Gdyby już mieli władzę w ręku, toby kazali (jak ich koledzy włoscy) potłuc prasy *Tygodnika*, a jego zbić lub zabić. Wolność druku i t. d. jest tylko dla nich samych. Gdyby się im udało zyskać chłopów darowizną gruntów, zobaczyłbyś, jakby byli wzięli szlachtę w kupę. Ale że chłopi się nie ruszyli, a tu i ówdzie kosami powstańców przyjęli, a szlachta poczciwa daje żywność i pieniądze, trzebaż być dla niej grzecznym". Jeszcze o szlachcie mówi w tymże czasie: „Widzę, że od chwili, jak puknięto z dubeltówek w Polsce, a dzienniki zagraniczne gęgać zaczęły, i starsi i umiarkowańsi zaczęli być rozumni szałem; niech się dzieje wola Boża, a raczej polska, a dopust Boży! Jakiekolwiek ustępstwa pozorne komitet centralny w niebezpieczeństwie szlachcie uczyni, zawsze on rządzić będzie: aleć to jej rzeczą myśleć o sobie: ona taka mądra, że wrzeszczy na tych, którzyby ją chcieli dla narodu zachować".

Dużo potem, już po powstaniu, pisał ks. Kajsiewicz: „Pewien obywatel z Ukrainy, mój dawny znajomy, zesłany został do jakiejś wioszczyny na Syberyi. Posłyszał, że w sąsiedzkiej mieścinie czy wioseczce jest kilkunastu naszych zesłańców: dla rozerwania się pojechał ich odwiedzić. Zastał sejmikujących i dowodzących, że powstanie było na czasie pożyteczne i że ostatecznie celu dopięło: ‚Księża — mówili oni — zdyskredytowani,

szlachta zrujnowana, reszty Moskale dokonają". A gdy mój znajomy oburzył się i chciał protestować, kazali mu milczeć dodając, że „i w Syberyi znajdzie się dla niego stryczek i gałąź!" Jest więcej podobnych — dodaje ks. Kajsiewicz — a nawet boleśniejszych faktów".

Tymczasem ks. Jełowicki coraz bardziej zapalał się do powstania i coraz ostrzejsze robił ks. Kajsiewiczowi wymówki za ów List otwarty. „Powstanie coraz ważniejsze i poważniejsze przybiera rozmiary — pisze 10 marca — a za granicą sprawa polska wyrasta na olbrzyma. Dzienniki głoszą, że jakiś tam Sukin przyjechał do Rzymu wyłudzać encyklikę, ganiącą duchowieństwo polskie. Pewno i listem kochanego Ojca wojować będzie. Trzebaby więc Ojcu św. wytłumaczyć, że ten list był napisany na prezerwatywę, która dzięki Bogu okazała się niepotrzebną. Bo niema śladu mazzinizmu w tem wszystkiem. I nigdzie księża nie wystąpili w sposób przeciwny ich powołaniu. Jest tu p. Józef M., bardzo gorący za powstaniem. Zgadzając się na racye Ojca św. w liście ubolewa on nad niewczesnością jego, i jak wszyscy nad formą jego zuchwałą, arcypasterską, która wszystkich bardzo oburzyła, że jest jakby *ex cathedra*. Jeszcze też i ks. Koźmian czy tam ktoś przyczynił się do tego, drukując z ogromnym krzyżem u góry, z kolosalnym tytułem i z niezwykłym wielkim drukiem tekst cały. I tu się jeszcze raz pokazało, że niema większego nieprzyjaciela, jak niezgrabny przyjaciel. Nigdy sprawa Polski ni wewnątrz ni zewnątrz nie była na tej wysokości, na której dziś stoi. Langewicz jak *Jonatas reptans* tnie Moskali na prawo i na lewo. A takich Langewiczów jest mnóstwo po całej Polsce. Już przy Langewiczu są hrabiowie adjutantami i żołnierzami; może P. Bóg dać, że i chłopi będą. Kto nie za powstaniem, uważany już jest w Polsce za Moskala i za Targowicę. A zatem do Boga i do ludzi, trzeba nam gardłować za powstaniem, by zwyciężyło".

Ks. Kajsiewicz mu odpowiada: „Kochany Ojcze Aleksandrze. Piszę krótko prosząc, byś odczytał list mój do Kalinki. Znajdziesz tam w części odpowiedź na sądy twoje o ks. Janie. Dawniej p. Andrzej K. nie miał u ciebie takiej powagi. Wiesz

że przy łożu konającego ś. p. Zygmunta pisał artykuł do dziennika. Tym panom i obecnie rzecz główna, by mieć co pisać do dzienników. Że słowa są i będą na korzyść naszą, wiem; ale czy czynna pomoc będzie? Zresztą jak najmniej mówmy o tem, bo nawzajem siebie nie przekonamy. Od czasu jak puknięto z dubeltówek, wszystko u ciebie czyste i różowe. A mnie, jakkolwiek ufam, że Bóg wyratuje naród płocho w przepaść pchnięty, zawsze żal, że z braku cierpliwości nieskończenie nam to drożej przyjdzie, nietylko ze względu majątków, ale że to pokolenie młodzieży uczącej się (a mamy jej tak mało zdolnej) znowu pod żelazem wyginie. Bóg z tobą, mój drogi. — Ks. Hieronim". (17 marca).

Ks. Jełowicki coraz ostrzej pisał: „Nie dosyć, że Ojciec św. powiada, że nas *ne condamne pas,* trzeba, aby powiedział, iż potępia naszych nieprzyjaciół i że chce wskrzeszenia Polski. To opóźnianie się względem Polski dziwi i gorszy wszystkie słabsze dusze, a właśnie idzie o to, aby je dźwigać. Jak przejdzie konsystorz bez słowa za Polską, będzie to wielką próbą na serca Polaków względem Stolicy Apostolskiej. Że też te panie zapominają języka w gębie, gdy są przed Ojcem św.! Po cóż idą do niego, jeśli nie z jękiem i wołaniem: Nie wierz nieprzyjaciołom i plotkarkom naszym, ale patrz na krzyż, na krew, na ogień i łzy! Nie wierz tym jakimkolwiek niemądrze umiarkowanym!" (16 marca). I znowu pisze: List otwarty „dzięki Bogu okazał się nieprawdziwym w oskarżeniu duchowieństwa polskiego. Temu to mylnemu a w każdym razie przesadzonemu oskarżeniu należy się i to, że Ojciec św. nie ujął się o mordy wykonywane na bezbronnych Polakach... Z listu O. Karola wyraźnie się okazuje, że w skutku Listu otwartego Ojciec św. serce swe a przynajmniej usta zamknął polskiej sprawie. Oby dał Bóg, byśmy się w tej rzeczy zrozumieli!" (24 marca). I dodaje jeszcze: „Jestem pewny, że gdyby księża z ludem się sprzysięgali na wypędzenie Piemontczyków z państwa papieskiego, niktby im klątwą nie groził. Mnie się zdaje, że Ojciec winien reparacyę duchowieństwu polskiemu, któreś zbezcześcił i w podejrzenie u rządu, a co najgorsza, u Stolicy Apostolskiej podał. To można

uczynić bez cofnięcia kroku, mówiąc: Trwam przy nauce, a z radością odwołuję w błędnem mi świetle wystawiony fakt. Wystąpił Ojciec z sikawkami na alarm pożaru. Alarm ten pokazał się fałszywym; kurzyło się tylko z komina gościnnej polskiej kuchni, co okrzyczano za pożar. Chwalebna więc była czujność Ojca na alarm. Ale należy teraz uspokoić zaalarmowanych takim pędem całej dywizyi pompierów. Nic na tem nie ucierpi nauka, która *inflat*, a zyska miłość, która *aedificat*".

Na to ks. Kajsiewicz odpisał krótko: „Możesz być pewny, że Ojciec św. listu mego nie czytał. Gdyby tylko takie dokumenta zawadzały! Moskale dostarczyli kupę innych... Bądź przekonany, że gdyby księża przysięgali tajnemu komitetowi świeckiemu, choćby dla wypędzenia Piemontczyków, papieżby zganił... Ale ciebie, mój drogi, nic nie przekona, chyba czas i wypadki; więc lepiej dajmy temu pokój" (31 marca). Ks. Kaczanowski, przyjaciel od serca ks. Jełowickiego, chciał go ze swej strony reflektować: „Istotnie nie zgadzamy się w zdaniu co do Listu otwartego naszego Ojca, dajmy więc już pokój mówieniu o nim; zostawmy czasowi, aby między nami rozsądził, a raczej sumieniowi. Odkładając tedy na bok sąd nasz o nim, ja widzę dwa wielkie wypadki z ogłoszenia go: pierwszy, iż odwrócił od Ojca św. na samegoż O. Hieronima krzyki niezadowolnionych; drugi, że odwrócił od Polaków pokusę, którąby niezawodnie na nich spadła, gdyby Ojciec św. sam, choćby najłagodniej, ale zawsze mocno napomniał duchowieństwo polskie za wdawanie się w konspiracye, a to musiałby był w sumieniu zrobić... Hałasy, które powstają na list O. Hieronima, dowodzą tylko tej rzeczy, iż doskonale odkrył chorobę i palcem dotknął rany, może trochę za mocno (ja tak nie sądzę), i dlatego chory krzyczy i klnie doktora, który mu tę ranę opatruje, co bez boleści pacyenta zrobić nie może" (31 marca).

Kiedy ks. Kajsiewicz wysyłał list swój drugi, w którym niektórych raziło umieszczone na końcu błogosławieństwo kapłańskie i dlatego niektórzy radzili to zmienić, pisał do ks. Jełowickiego: „Co do drukowania lub nie ‚Słowa odpowiedzi' w Paryżu, zostawiam ci zupełną wolność... Napisałem ją przez

wzgląd na ciebie, a nie przez wzgląd na siebie lub tych, którym zawadza błogosławieństwo kapłańskie, choć *sacerdotis est benedicere.* Gdybym wiedział, że jeszcze po francusku nie wydrukowano, możnaby położyć: ‚wszelkiego dobra ci życzę', lub coś podobnego. Choć to nic nie pomoże. Obraziłem sektę, która nie przebaczy... Za tyle złorzeczeń, które odebrałem, niech już ten raz jeszcze kochani rodacy strawią insolencyę mojego błogosławieństwa. Św. Paweł pewno pokorniejszy ode mnie, a jednak oćwiczony niesłusznie, z pewną sufficyencyą odezwał się: *civis Romanus sum.* Nie taję ci, mój drogi, że w całej tej historyi najboleśniejsze mi może były twoje listy. Nie przeto mam żal do ciebie. Bóg, który umie trapić *mirabiliter*, kiedy weźmie kogo na warsztat, sobie jednemu zostawia przywilej krzepienia i cieszenia, a dopuszcza, że ci ludzie, u którychby się spodziewało ochłody, spotyka się przeciwnie. *Si est malum in civitate, quod Deus non fecerit,* to jest *permiserit.* Obyśmy tylko z wszystkiego dla duszy i na wieczność korzystali" (25 kwietnia).

I ten drugi list ks. Kajsiewicza nie podobał się ks. Jełowickiemu. On pragnął, aby drugi list był odwołaniem pierwszego. Ks. Semenenko stara się go przekonać, że to być nie mogło. „Co do listu O. Przełożonego, tego drugiego, który teraz ogłoszony, zdaje mi się, że właśnie jest taki, jaki być powinien. Najmniejsze odwoływanie tego, co było w pierwszym, byłoby nie dla niego, ale dla kraju i dla Kościoła najszkodliwsze. Trzebaż, aby ktoś przecie prawdę mówił; a tam wszystko prawda była, w pierwszym liście, święta prawda; i byłoby to zdradzić ją (w tak ważnej chwili!), gdyby cokolwiek z tamtego odwoływać. Ale zresztą co odwoływać? Ani jednego słowa nie było nawet, słowa omyłki jakiej; i przy najlepszej chęci odwoływania nie znalazłby nikt nic do odwołania, kto nie chciałby się z prawdą pożegnać. Ton był za ostry? Być może; ale ta jego ostrość stała się wydatną przez okoliczność zewnętrzną, nieprzewidzianą; onego spotkania się z chwilą powstania; bez tego ani ton nawet nie był tak bardzo niewłaściwy; był ton zwykły Ojca Przełożonego, który wszyscy znają i z którym są oswojeni. Mnie się zdaje, że z tego wdania się Ojca Przełożonego do wypadków wielki będzie pożytek

dla kraju i dla Kościoła, a tem samem i dla nas“ (5 maja 1863). A w niespełna rok pisze o tem znowu: „Cóż powiedzieć o naszych sprawach publicznych? Dopiero się pokaże, jak miał racyę O. Przełożony w swoim Liście otwartym; bodajby się nie pokazało! Ale bez cudu, i to wielkiego, za dwa lub trzy miesiące pokaże się całe szaleństwo i zbrodnia tych, co rozpoczęli powstanie... O. Przełożony nie proroctwo wypowiedział, ale rzecz jasną jak na dłoni już wtedy. Proszę list teraz przeczytać, a pokaże się, że to była przestroga od Boga i prawdziwie w duchu bożym. Będzie ten list jednym z najpiękniejszych tytułów w życiu Ojca Przełożonego i w aktach Zgromadzenia, akt prawdziwie chrześcijański i kapłański i boży; którego zazdrościłbym Ojcu Przełożonemu, gdyby nie był spólnem Zgromadzenia dobrem. Jak dzisiaj stoją rzeczy, niema dla nas po ludzku ratunku; już się rozpoczynają ostateczne następstwa, i po ludzku mówiąc, niechybnie przyjdą do skutku. Jedna tylko nadzieja: bezpośrednie wdanie się Boga i wyraźny cud. Ja w cud wierzę i nawet jestem pewien. Ale jako człowiek boleję nad tem, co jest, i mimowolnie drżę nad tem, co wkrótce musi być — bez cudu!“ (List do ks. Jełowickiego 19 marca 1864).

Mimo wszystko ks. Jełowicki nie ustawał ks. Kajsiewiczowi wymawiać jego stanowisko w sprawie narodowej. „Co do mojego usposobienia względem powstania — odpisuje mu ks. Kajsiewicz (7 listopada): gdyby lekarze wytoczyli matce mojej ostatnią krew z żył i ostatni grosz wyciągnęli na leki, które ją nie do zdrowia, ale do wyraźnej śmierci prowadzą, i jeszcze się chwalili, że są wyborni i nieomylni lekarze; choćbym miał w takim razie najpewniejsze objawienie, że Bóg cudownie mi tę matkę uleczy, lub wskrzesi — zawszeby mi serce biło i do panów lekarzy miałbym żal niewymowny. To zupełnie moje usposobienie. Gdybym tak ojczyzny nie kochał, tobym spokojnie i tryumfująco mówił: ‚a mówiłem, że tak będzie‘. A ja dzięki Bogu wolałbym być wyśmianym jak wizyoner, byleby Polska żyła, i żyła poczciwie, nie zarażona jadem rozpusty zachodniej... Ale o tem możemy całkiem do siebie nie pisać, jak już nieraz to proponowałem. Co boleśniejsza, to, że zdaje się, wymagasz tak częstych listów

ode mnie, aby częściej mnie octem poić... Zapewniam cię, że urazy najmniejszej w sercu nie mam". — Jeszcze z Ameryki pisał pod koniec roku 1865: „Zdaje mi się jeszcze z listów twoich, mój najdroższy Bracie, że cię trapi nasza niepopularność obecna. Otóż wiesz co: choć o to tyle dbam tylko, ile Bóg chce dla swojej służby — otóż mnie się zdaje, że ja jeszcze będę napowrót popularnym, przed śmiercią nawet. Bo albo naród postrzeże się i przyzna, że głupstwo zrobił, a wtenczas musi mi oddać sprawiedliwość, albo się nie postrzeże, a wtenczas miałbym sobie za największą obelgę być popularnym w takim narodzie chronicznie głupim i niepoprawnym, zgangrenowanym duchowo. Mój drogi, oczyszczajmy się tylko sami, nie róbmy sobie nieprzyjaciół naszemi osobistemi nieumartwionemi wadami, a zresztą brońmy prawdy do ostatka, a zobaczysz, że wkońcu przetrzymamy".

Już wtedy ks. Jełowicki był przekonany, że ks. Kajsiewicz miał słuszność. Nawrócili go księża przybyli do Paryża z obozu. Dnia 30 września 1864 r. pisze: „Posyłam kazanie miane przez najspokojniejszego i najpobożniejszego z nowo przybyłych księży. Co za *desolatio!* Co tu z nimi robić?... Przewrotności wyobrażeń i sądów tego Mickiewiczowskiego duchowieństwa nie można nawet sobie wyobrazić". Ks. Kajsiewicz ze swej strony donosił mu o księżach z Polski, przyjętych zrazu w zakładzie Św. Trójcy dla pielgrzymów, a z którego wkońcu zostali wydaleni. „Poczciwi ci księża strasznie powarzeni. Ojciec św. powiedział im na pożegnanie, że mu smutno, bo otrzymał już od trzech biskupów polskich skargi, iż niektórzy księża powpisywani są do towarzystw tajnych, które jak wiecie Kościół zawsze potępiał. Na to *dictum acerbum*, za powrotem miał być sądny dzień. Nie obeszło się bez bluźnierstw" (12 listopada 1864). „Uczące, co mi donosisz o ks. Mikoszewskim, niebym tego nie wiedział, ale cenne osobiste wyznanie. Tak wypisałem sobie, co ojczyzna pisze o kasacie klasztorów: Co innego — prawi — gdyby Polska sama, postępowa, niepodległa, idąca za duchem czasu, oczyściła była religię z klasztorów, już nieużytecznych i t. d. Słowem tyle tylko, że Moskale ich ubiegli. A ja odpowiadam: lepiej, że Moskale ten grzech wzięli na siebie. To samo powiem, gdyby grunta

proboszczom zabrali, boby i nasi to zrobili; i o Kościele narodowym byliby pomyśleli i o żonach dla księży. Teraz przynajmniej muszą choć półgębkiem na to wszystko wymyślać... Bóg z tobą, mój najmilszy. Niech cię Bóg posila. Smutno bardzo, ale jednak mocno ufam, że z klęsk wybrniemy. Wszystkich Bóg chce oczyścić, a naród nasz wyleczyć z żywiołu rewolucyjnego, trąc aż do krwi. Co cierpią niewinni, to właśnie na okup i zasługę, bo winni ponoszą tylko zasłużoną karę" (19 grudnia 1864).

Nikt może tyle przykrości nie musiał znosić od kapłanów-emigrantów, co ks. Jełowicki, on, który ich przedtem tak bronił. „Ta służba już dawno ćwiekiem mi jest w pięcie — pisze pod koniec roku 1864 do ks. Kajsiewicza. — Zabija mi czas i martwi mię, ile razy, a bardzo często, spotykać się muszę z głupotą lub złością tych, którym się służy". A donosząc, że „zakonnik jest autorem paszkwilu na arcybiskupa i na Zmartwychwstańców z powodu Listu otwartego Ojca kochanego" — dodaje — „a ż n a d t o s i ę s p r a w d z a j ą c e g o". „Smutno mi bardzo — pisze do ks. Jełowickiego ks. Kaczanowski z Adryanopola 30 marca 1865 r. — że nadzieje O. Aleksandra co do powstania w Polsce się nie sprawdziły. Przypominasz sobie, O. Aleksandrze, że na moje smutne przewidywania pisane z Rzymu o ruchu lutowym w Warszawie, odpisałeś mi: ‚nie tak to źle w Polsce, religia zyskiwa i t. d.', a teraz się pokazuje, że i klęski coraz większe spadły na naród, i religia nie mogła korzyści znaleść, kiedy takich smutnych miała przewodników. List otwarty przez Ojca napisany do Polski był niestety bardzo potrzebny, nieszczęściem nie wywarł skutku, bo może za późno o nim nasz Ojciec pomyślał; lecz patrząc na ową ogromną masę duchowieństwa, które musiało swe głowy schronić ucieczką, ze smutkiem trzeba powiedzieć, iż nie było między nimi ducha bożego, ale duch sekciarski, którym zarażeni zostali".

Szukaliśmy między współczesnemi listami — a mamy ich wielkie mnóstwo pod ręką — czy wielu było takich oprócz tych, których tu cytowaliśmy, co przychodzili do ks. Kajsiewicza ze słowem uznania za jego akt cywilnej odwagi, ze słowem protestu przeciwko tym ciągłym szkalowaniom i napadom? Z późniejszych czasów, kiedy powstanie upadło, mamy takich li-

stów kilka; ale z pierwszej połowy 1863 r. trafiliśmy na jeden tylko taki list. Nuncyusz belgijski mgr. Ledóchowski do ks. Jełowickiego (Wielkanoc 1863 r.) pisał: „Bardzo mi się list ks. Kajsiewicza do swych rodaków duchownych i świeckich pisany podobał — powiedz mu to przy sposobności. Czcigodny to kapłan, który rzeczy tak bezstronnie pojmuje, i pomimo ogólnej wrzawy je ogłasza. Niech Bóg mu błogosławi. Teraz to już nie można się z ludźmi porozumieć, złe dobrem nazwali, z cnoty się gorszą, a nieprawość za bohaterstwo mają. Jedynie ten się nie zawodzi, który Kościoła duchem przejęty, według jego sądów swoje własne przekonanie ustala i kieruje". Jest i list, choć późniejszy (7 lipca 1863), Pawła Popiela, w którym pisze do ks. Kajsiewicza: „Zdaje mi się, że nadejdzie czas, w którym kraj odda sprawiedliwość zasłużoną pierwszemu listowi twojemu".

Z późniejszych listów dajemy tu Walerego Wielogłowskiego z dnia 24 kwietnia 1864, do ks. Kajsiewicza. Zachęca go do nowego odezwania się do duchowieństwa: „Dawno do ciebie nie pisałem, najdroższy Ojcze; bo i cóż tu pisać z głębokości naszego grobu, w którym ciemno i smutno i łzawo? Mnie tem smutniej na świecie, iż zostałem ‚jako wróbel, który sam zostaje na dachu'. Bóg przepołowił mnie i skazał, abym żył resztą pośledną mojej istoty. Zabrał mi w żonie serce, a tylko piersi ku jękom zostawił. Niech będzie Imię Pańskie błogosławione! ale trudno powtarzać ze św. Teresą: ‚I cierpieć i nie umierać'. Ledwo pogrzebłem żonę, a tu patrzeć muszę na wielkie pochowanie kości ojczyzny naszej! Widzę, jak ją w grób potrącają Moskale i Polacy, i jak sobie ku jej zagładzie podały ręce: obca zemsta i nasza lekkomyślność. Osobiście nie należę Bogu dzięki do liczby tych, którzy wywołali lub popierali ostatnią zawieruchę, a nawet z narażeniem karku, a co najmniej grzbietu, sprzeciwiałem się jawnie i publicznie ruchowi, a potępiałem głośno grzeszne środki i terroryzm; lecz słaba to pociecha osobista, iż się domu nie podpaliło, skoro się go ugasić nie zdołało. Spłonął zawsze nasz gmach, i spłonął w nim cały zasób staroświeckich cnót naszych religijnych i obyczajowych. Materyalnie zniszczeni, moralnie rozpasani, nie prędko z tych rozbitków budę dla przyszłych pokoleń

sklecimy. Wygórowało w nas zuchwalstwo, a teraz poniży nas upodlenie, przez którebyśmy ratować się chcieli. Powstanie zwyciężone (i być inaczej nie mogło), ale z niego wyrodziła się gorsza plaga, bo bandytyzm, gorszy od Lisowczyków. Małe oddziały przebiegają kraj i terroryzują, wymuszając bezowocne już ofiary. Och! mój Ojcze, nie poznałbyś już Polski! Bóg dopuścił okropną karę, która jakby choroba zmieniła wszelkie jej rysy, połamała i wykrzywiła członki i jątrzącemi pokryła ją wrzodami. Te wrzody, to jest nowa jakaś populacya awanturników różnego stanu i kondycyi, których rzemiosłem burzenie, bodźcem pycha i chciwość, piętnem junkerya i zuchwalstwo, celem zniszczenie i eksterminacya. Ani mogłem przypuścić, aby w narodzie rolniczym i rycerskim, wyrosło tyle grzybów społecznych, mieszczących w sobie jad i truciznę. Przytem nędza się nie żartem szerzy, i zdaje się, iż szlachta bez ratunku już zmarnieje. Chociaż była po większej części głupia, ale się majątkiem jakoś zastawiała, i ile tyle szlachetnie go używała; dzisiaj, gdy straci majątek, to jej tylko głupstwo zostanie. Jeszcze mogłaby się ratować pracą, ale pracą szczerą i płodną, lecz czyliż zechce? kiedy w lenistwie od wieków rozmiłowana, woli umrzeć za ojczyznę, jak żyć i pracować dla niej! Ukazy ciężkie! to prawda, ale są one nieodwołalne i wreszcie przecięły jednem cięciem ten gnijący wrzód pańszczyźniany, który od wieków się u nas ropił. Trzeba fakt dokonany przyjąć i na tym nowym, acz uszczuplonym warsztacie dalej pracować. Z łez nikt chleba nie zaczyni, tylko z mąki. a więc mąkę trzeba produkować, a nie łzy i płonne skargi. Trzeba zapomnieć, iż ‚każda głowa do korony', ale uwierzyć, iż dzisiaj każda głowa do nauki, a ręce do pracy. Mnie to przystoi powiedzieć, gdyż pracowałem i pracuję, a nie ukąszę chleba, któregobym sam nie zarobił, z pominięciem i złożeniem szlacheckiej pychy. Nie wszystko robię dobrze, bo mało co umiem, ale robię ochotnie i pcham biedę przed sobą... Lecz kiedy już o pracy się rozpisałem, to wiem, iż jest inna, szlachetniejsza praca, jak zarabiać grosze, i czuję, że w kraju moralnie rozburzonym, znowu cegiełki na nową budowę ustawiać mamy. Otóż udaję się do ciebie, mój najdroższy Ojcze, jako do biegłego

architekty, abyś na to radził, i zarys wydał, a może i budulcu dostarczył. Posyłam ci list szanownego kapłana galicyjskiego w oryginale, iżbyś się z niego o naszych potrzebach przekonał, i razem wiedział, jak cię tu dobre nasze duchowieństwo ceni! Niewieleć tam jest tego dobrego duchowieństwa, ale tem potrzebniejszy lekarz dla chorych. Zdaje mi się, iż broszura, podnosząca szczytne posłannictwo kapłana, jako nauczyciela prawdy, jako stróża praw bożych, jako przewodnika na drodze zbawienia, bardzoby się przydała. Duchowieństwo nasze myśli, iż się podnosi, schodząc na ziemskie padoły, i często zstępuje do piekieł, w intencyi wybawienia może dusz błądzących, lecz to tylko Chrystus Pan bezkarnie, jako Pan i władca nieba i piekieł, mógł zwiedzić te przepaści, ale naszym kapłanom nie udaje się ta wycieczka, dlatego ile razy (w świętych nawet zamiarach) zapuszczą się w te podziemne lochy, to albo ich dyabeł porwie, albo bardzo pazurami podrapie. Zdawałoby mi się o bieżących wypadkach ani wspominać. Burza przeszła, popsowała grunt, zniosła dzieła pracy ludzkiej, zaśmieciła drogi proste. Na ulatującą już chmurę, która zniszczenie sprowadziła, ani się oglądać, lecz orać i obsiewać namulisko, a przypominać duchowieństwu ogólne obowiązki i niejako szkic zarysować Chrystusowego kapłana. Jeżelibyś, najdroższy Ojcze, miał coś gotowego w tym rodzaju, to przyszlij, a ja wydrukuję; jeśli nie masz, a czas ci starczy, to napisz; boć kiedy pisklęta dzióby otwierają, to je trzeba nakarmić".— Istotnie położenie było takie, że trzeba było coś zrobić dla kleru polskiego; ale pisanie tu już nie wystarczało; trzeba było wychować takich kapłanów. Konieczność kolegium polskiego w Rzymie stawała się coraz wyraźniejsza.

A jak w Rzymie zapatrywano się na ów List otwarty ks. Kajsiewicza? „Wczoraj byłem w Propagandzie—pisze ks. Kaczanowski (7 marca 1863). — Niektórzy z członków jej czytali, chociaż obszarpane tłumaczenie listu O. Przełożonego, na który tak Polacy zżymają się. Wszyscy winszowali tego wystąpienia, bo powiadają: *La causa Pollacca e santissima, ma i mezzi dei Pollacchi adoprati sono revoluzionarii.* (Sprawa polska jest najświętsza, ale środki przez Polaków użyte są rewolucyjne). Słowem, w wyż-

szem duchownem towarzystwie dobrze to widzą". — „Kochany Kulczycki uwziął się na O. Przełożonego — donosi ks. Semenenko (5 maja 1863) — i niesłychane rzeczy pisze, a jest korespondentem tuzina dzienników: krakowskich, warszawskich, francuskich. Napisał list do *Czasu*, datowany niby z Warszawy, że niby papież panu Kulczyckiemu wyraził swoje nieukontentowanie z owego listu. A tu tymczasem wszyscy byli kontenci z tego listu, i można nawet powiedzieć, że był napisany z natchnienia osób położonych najbliżej papieża, całej strony polskiej sekretaryatu stanu, zasmuconej owem mieszaniem się księży naszych do konspiracyi i psuciem przez to pozycyi najczystszej i najświętszej".

Tak tedy, jak z jednej strony waliły się gromy na ks. Kajsiewicza i na Zgromadzenie Zmartwychwstańców, tak z drugiej strony przekonano się w sferach kościelnych, że oni jedni pojmowali dobrze sprawę narodowo-kościelną, i jedni mieli odwagę stanąć w obronie zagrożonych zasad. „Pozwalam sobie tej pociechy — mógł słusznie powiedzieć ks. Kajsiewicz w sprawozdaniu swojem na kapitule 1864 r. — pozwalam sobie tej pociechy, że jeżeli Ojciec św. poruczy naszemu Zgromadzeniu kierunek seminaryum polskiego w Rzymie, to mój List otwarty mógł nam ten zaszczyt ułatwić". Co kardynał Fornari powiedział w r. 1850, że „papież się boi kolegium polskiego, i byłoby się czego bać, gdyby komu innemu jak wam było powierzone", to myślano w Rzymie obecnie. A choć rząd rosyjski będzie się najmocniej sprzeciwiał, aby kolegium polskie było oddane w ręce Zmartwychwstańców, jednak nie kto inny, tylko oni je obejmą. Rzecznikiem tej sprawy stanie się Czacki. Pod dniem 17 lutego 1864 r. zapisuje ks. Semenenko w swoim dzienniku: „Włodzimierz Czacki miał audyencyę u papieża i wytoczył sprawę założenia w Rzymie seminaryum polskiego. Papież zgodził się, przyrzekł dać dom, a seminaryum oddać w zarząd naszemu Zgromadzeniu. Przytem wyłożył papieżowi położenie nasze wobec kraju (całą historyę Listu otwartego Ojca Przełożonego). Oddał nam przez to prawdziwą usługę".

*Ks. Paweł Smolikowski.*

# PRZEZ SYBERYĘ.

Listy z podróży.

---

*Kiachta, 14 sierpnia 1889.*

Stanąłem w mym poprzednim liście na chwili, kiedy przejeżdżałem granicę Syberyi. Zupełnie inaczej przedstawiałem sobie tę część Azyi, nasłuchawszy się tyle o bezdennych równiach sybirskich. Ale bo też nie Syberyę w geograficznem słowa znaczeniu miałem u stóp. Tu wprost przede mną, to kraj Zabajkalski, górzysty, lesisty, piękny; na zachodzie, hen na horyzoncie, to odnogi może Ałtaju; na wschodzie, aż gdzieś poza Werhno-Udińskiem, za Czyłą Przyamurski kraj się zaczyna. Za mną Mongolia, Chiny. Nowy rozdział zamknięty.

Wjeżdżamy w las sosnowy; pod nogami piach. Las się kończy, znowu piach; nagle, hen daleko, z pomiędzy falistości terenu coś błysło, widna wysoka wieża cerkiewna, obok ogromny, długi bieleje budynek — to Kiachta! Tyle lat to nazwisko z ciekawością wymawiałem, nareszcie i wygadałem: u moich stóp Kiachta! Burza się zbliża; wszystko ciemnieje, oblane sinem, zimnem światłem, tylko w dali bieleje cerkiew kiachcieńska, na granicy dwóch największych imperyów świata — Chin i Rosyi.

Mijamy jeszcze jedną stacyę. Tu już widzę mnóstwo wózków czterokolnych, koszul rosyjskich czerwonych, jak mak rozsianych po dolinie, którą przejeżdżam. Dziś pierwszy *spas* — święto. Kozacy, którzy tu na granicy jako koloniści a zarazem obrońcy rozsiedleni, wylegli nad staw, który tu między piachami

leży, *na gulanie*. Nareszcie zbliżamy się zupełnie do Kiachty; znaków widocznych granicy, prócz mogiły z kamieni usypanej, żadnych. Pas międzygraniczny szerokości 50 kroków, w tej chwili zalany wodą, bo leje jak z cebra. Przelatuję jak wiatr koło majmatczynu (osady kupieckiej chińskiej), i jestem w Kiachcie. Zajeżdżam przed dom komisarza Sułkowskiego. Oddaję list od ministra z Pekinu; komisarza niema, *perowodczyk* (sekretarz) uciekł z domu przede mną; huczę, besztam, krzyczę; każę jechać do Trojekosawska; posyłam jednak konnego przodem, by mnie u policmajstra anonsował. Istotnie w gali oczekuje mnie policmajster przed domem pana Głębockiego, Polaka, utrzymującego tu gospodę, gdzie się doskonale instaluję. Przez parę godzin połapać się nie mogę gdzie jestem; niesłychany bo też to skok; z serca stepu, pustyni, Mongolii, raptem dostać się między domy europejskie, ulice z trotuarami, módz telegrafować! Patrzę przez okna: powozy rosyjskie jeżdżą; jakby u nas w Galicyi w niedzielę, siedzi przed domem parę bab, dzieci, stróż kamieniczny— święto w ten sposób obchodzą. Obraz taki, zda się, swój, taki znany — kiedy wczoraj wieczorem jeszcze marzyłem wśród stepu; a za chwilę przechodzi Chińczyk pod mojem oknem, nucąc swą, wiecznie tę samą piosnkę chińską! Skok niesłychany — opamiętać się trudno.

Wedle opowiadań p. Głębockiego, Kiachta dziś upada coraz bardziej; czasy świetne minęły; handel herbatą z dniem każdym się zmniejsza. Wielcy kupcy, którzy tu niegdyś żyli i miliony robili, opuścili Kiachtę, pozostał sam jeden z nich umierający Niemczynow.

Z Kiachty wypadnie mi jechać przez Selengińsk, Werhni Udińsk, po Bajkale statkiem parowym do Listwiennicznoja, skąd znowu idzie po Ambane statek do Irkucka. Chciałoby się zwiedzić Kułtuk, miejsce nader piękne nad Bajkałem, dwie stacye, do 60 wiorst.

Cerkiew w Kiachcie przez kupców stawiana w roku 1837; szczero-srebrny ikonostas, słupy kryształowe (kryształ skalny). Polowania aż ha! jeleń *(iziubr)* z prześlicznemi rogami i stada sarn w nadgranicznych lasach. Cała natura Zabajkału uderza

swem bogactwem; bogaci chłopi; klimat łagodny, a nawet ciepły w Kiachcie; śniegu nader mało, saniami nigdy nie jeżdżą. Są tu szkoły realne i szkoła żeńska, ochronka mikołajewska. A że to Sybir, więc są i Polacy. Smutek okropny ogarnia, słuchając opowiadań tych biedaków. Pan Granatowski, zegarmistrz, zesłany do Jakucka w roku 1868, tak po prostu opowiada, tak naiwnie, często wesoło, tak smutne, tak tragiczne przejścia swoje i drugich, że doprawdy mimowoli łzy do oczu się cisną. W Jakucku żył przez lat kilka z Adamem Szymańskim, autorem owych ślicznych szkiców; znał wszystkie osobistości, o których Szymański opowiada; przy nim owe tragedye i dramata się odgrywały. Morze smutku — dobrze, i Bogu dzięki, jeśli nie rozpaczy! Inny typ — p. Głębocki; przeszedł rzeczy straszniejsze o wiele, niż większa połowa wygnańców, bo jak mówi, był swego czasu w Warszawie znaczniejszą figurą. Dziś miałem dowód namacalny, że w kaszę sobie pluć nie daje. Sułkowski, tutejszy komisarz nadgraniczny, kupił z polecenia Klejmonowa z Pekinu tarantas dla mnie; kupił, powiada, przed trzema tygodniami specyalnie dla mnie; nie było co gadać, dałem pieniądze. Mój Głębosio spokoju nie ma, widząc ten tarantas; koniecznie twierdzi, że to drańć ostatnia, sprowadza znachorów; znachorzy, zwłaszcza kowal tutejszy, orzekają, że tarantas ani pół drogi nie wytrzyma. Niema co się namyślać; siadam i piszę do pana komisarza, że daję 20 rubli odczepnego temu, od kogo tarantas kupiony, ale żądam zwrotu pieniędzy. Komisarz wieczorem przyjeżdża, czerwony, wściekły; rzuca Głębockiemu w nos, że całe miasto wie, że to on mnie przeciw jego tarantasowi namówił, że on ode mnie za to łapówkę wyżebrał! Głębocki niewiele myśląc, odpowiada mu przy mnie: że ten, kto mu to powiedział, jest *padlec,* i w tym tonie beszta Sułkowskiego dalej. Ja cały drżę, bo Głębocki ekswygnaniec, może mu Sułkowski szkodzić. Komisarz się mieni, z uniżonością w pas mi się kłania, pieniądze oddaje, dodając frazes, że zachowuje tarantas dla siebie. Koniec końców, oddał pieniądze — odebrałem, i inny tarantas kupuję.

Poznaję także deportowanych rosyjskich, t. zw. *gosudarstwenyj.* Ciekawy jeden (nazwiska zapomniałem) od lat jedenastu

tu przesiaduje, widocznie człowiek wykształcony, już starszy. Wita się ze mną strasznie z góry; po rozmowie jednak dość długiej, w pas się kłania — dlaczego ta zmiana — *ne znaju*. Pisząc wczoraj do Biegelebena, wyrażałem żal, że dzisiejsza ludzkość tak daleko odbiegła od tego, czem dawniej była. Dawnego autoramentu przedstawicielem ot np. Mongoł: szczery, prostoduszny, gościnny, wesoły — bo nie ma gazet, nie zna pieniędzy; czego potrzebuje, to rodzi się koło niego; na małem przestaje; jedyna zbrodnia, jaką popełnia, to że konia, kiedy się trafi, ukradnie.

### *Bojarsk nad Bajkalskiem jeziorem, 20 sierpnia.*

Jestem u p. Lisowskiego w gospodzie. Polaczyna stary, krępy, widocznie kucharz z zawodu, a przynajmniej typ temu zawodowi odpowiada. Jest mi u niego dobrze, i kreślę wspomnienia z dni przebytych od Kiachty.

Zainstalowałem się w nowym tarantasie, wprzód wyfotografowawszy go wraz z Głębockim i Granatowskim. Pożegnanie z Głębosiem nader serdeczne; prosi mnie, bym nie zapomniał, wróciwszy, da Bóg szczęśliwie, do domu, napisać mu słów parę; dotrzymać pragnę. Człek to rzeczywiście porządny, prędki, gadatiwus, totumfacki; temperament i zdolności odpowiednie, by majątek robił, ale go nie zrobi, bo to między naszymi rzadkość. Wyjątek tu taki Imci Pan Ratyński; naturalnie drudzy psy na nim wieszają, oskarżają o Bóg wie co, dlatego, że potrafił zręcznością i pracą majątku się dochrapać. W ostatniej chwili markotno mi się na sercu zrobiło, tak samemu jechać, więc próbuję namówić mego Mongoła, czyby nie zechciał dalej dzielić ze mną trudów podróży; ale gdzie tam! Chińczyk był natychmiast gotów jechać, alem go ja znowuż nie chciał. Otóż poczciwy Granatosio decyduje się mnie aż do Selengińska odprowadzić. Ruszamy więc w imię boskie.

Pierwszy raz trójką jadę; licha trójka, droga jeszcze gorsza; zaraz po piątej wiorście kufer się gubi, na szczęście spostrzega to jamszczyk; stajemy więc; poczciwy Granatowski wiąże kufer, układa siedzenie, lepiej nie można, wogóle jak niańka koło mnie

chodzi. O 1-szej w nocy, w zimno nieludzkie, stajemy nareszcie w Selengińsku, nad Selengą, dopływem Bajkału, tu już dość znacznym; parochody kupców kompanii kiachcińskiej podchodzą na Selendze aż do Uść-Kiachty, wożą herbatę, pasażerów jednak nie podejmują. Selengińsk dziura smutna okropnie — istny grób.

Na drugi dzień jedziemy zobaczyć Jusino-ozierski Dacan (klasztor) i poznać Chamba Łamę Gombojewa, brata owego pocztmistrza ruskiego z Pekinu, który mi przy wyjeździe był pomocnym. Okolica mniej więcej Mongolię przypomina. Na widnokręgu, po szczytach gór i pagórków, gdzieniegdzie jeszcze resztki lasów sterczą; wogóle jednak lasy tu są strasznie zniszczone, nietylko przez siekierę, ale jeszcze więcej przez pożary. Na szczęście wydano już zakaz rąbania drzewa na 10 wiorst od Kiachty; ale któż tego zakazu dopilnowuje? Lasy istotne i wydatne dopiero koło Werhno-Udińska spotykam. Gusińskie jezioro i siedziba Chamba Łamy ni piękna ni ciekawa. Jezioro znaczne, że jednak leży wśród niezmiernie szerokiej doliny, otoczonej pasmem gołych, bezleśnych pagórków, kształtu kretowin, a mieszkań ludzkich nie widno i jezioro samo gołe, nie porosłe nawet sitowiem — więc tylko kałużę wielką przypomina. Chamba Łama i jego otoczenie, tj. kilku lamów wyższego stopnia i kilkudziesięciu chłopaków gotujących się do wstąpienia w karyerę lamów — wszystko to mieszka wśród stepu, w domkach w stylu ruskim, z szarego drzewa ustawionych. Całość, nawet świątynia i bożyszcza, żadnego mi wrażenia nie robią, owszem wrażenie przykre. Zanadto tu widać, że to rzecz świeżo przez rząd rosyjski i po ukazie, według myśli pana sprawnika, Ryłowa, stawiana; istne koszary czy lazaret prowizoryczny.

Rosya chce osłabić wpływ mongolsko-tybetańskich lamów na swoich Buriatów. Aby uczynić niepotrzebnem wędrowanie Buriatów za granicę, do Urgi, chciała stworzyć coś, coby Chutukcie wyrównywało znaczeniem i urokiem, i zastąpiło go w sercach i wierze lamaickich Buriatów. Przypomina mi się ów klasztor schyzmatycki w Hercegowinie nad granicą czarnogórską, który miano uświetnić sprowadzeniem zwłok cara Lazara ze Slawonii i tym sposobem zapobiedz pielgrzymkom pobożnych Hercego-

wińców i Bośniaków do Ostroga w Czarnejgórze. Nie wiem, czy to uczyniono? — zapewne byłby ten sam skutek co tu z Chambą Łamą Gombojewem i ogromną, istnie niebotyczną figurą, z drzewa złoconego, którą tu, na wzór stojącej w Urdze, wystawiono Meiderowi, bożkowi mającemu rządzić światem przyszłym. Biedni Buriaci tradycyjnego przywiązania do dawnego, prawdziwego Meidera nie stracili, a że muszą tu Chamba Łamę utrzymywać, więc kieszeń ich tylko żałośnie płacze, że im i tu i tam ofiary składać przychodzi.

Wyobrażenia, jakiego rodzaju jest ta próba skoncentrowania w swych granicach pobożnych dążności Buriatów, dać może obiad, jaki mi Chamba Łama ofiarował. W domku osobnym, w ruskim stylu naturalnie, z meblami europejskiemi, portretami Najjaśniejszych Państwa i familii i t. d., na białym obrusie zastawa europejska; obiad w rosyjskim guście, nader smaczny, grabki, serwety, wino Cheery, Chateau Ykem, ruskie, żytniówka i rodzaj szampana krymskiego; poczem czaj nieodzowny. Chamba Łama sam nożem i widelcem z ruska zajada, choć rzekomo po rosyjsku nie mówi. Obdarowani przez Chamba Łamę modlitwami tybetańsko-mongolskiemi, zawiniętemi w chustki jedwabne, wracamy nad wieczorem do Selengińska. Po drodze widzimy dwa czarne bociany nad jeziorkiem. Nocuję tu, bo późno wyjeżdżać. Ale co za niechlujstwo! W nocy polowanie nie na bociany! Nazajutrz pożegnam się z poczciwym Granatowskim i ruszam sam.

Deszcz przez cały dzień leje; nie wysiadam prawie z tarantasu, nie piję herbaty, gnam jak mogę. Drogi tak oślizły, że dopiero o drugiej w nocy staję w Werhno-Udińsku. Nie wiedziałem wcale, że przed samym Udińskiem minąłem sławne z rozbojów miejsca. Wogóle, według opowieści, zaczyna się rozbijanie po drogach nader rozgałęziać w Syberyi. Z Irkucka niema podobno nawet po co samemu się puszczać do Tomska, bo na pewniaka rozbiją. Kraj, który przejeżdżam, zawsze jednakowy, choć nieco więcej uprawnych pól, nieco lepiej widocznie się tu koloniści rosyjscy, a może i Buriaty mają. Nic jednak smutniejszego, jak ten kraj: ni góry, ni równina, ni step, ni uprawne pola; ciągle tylko oparkanienia około łąk i pól od bydła. Wsie

rzadkie, a takie brzydkie, jednostajne, niemalownicze; drzewo, z którego domy stawiane, od niepogody zszarzało; życia żadnego; pieśni nie usłyszysz, twarzy młodej nie zobaczysz! Dziwna rzecz, jeszczem wiejskiej młodej dziewczyny nie widział w tym kraju; wszystko stare i brzydkie! Cóż za różnica z Mongolią; z tym miłym, wesołym ludkiem, a pięknym, wolnym, przestronym stepem!

Udińsk znowu do innych podobna dziura. Zajeżdżam do hotelu, trzymanego przez pana Zalewskiego z Królestwa, ponoś były obywatel, zesłaniec polityczny. Gospodarstwem się trudni, źle mu idzie; kwaśny biedaczysko. Chce brać w pacht od rządu dalszych 200 dziesięcin łąk; łąki, które irygują tutaj, są podstawą bytu. Nieurodzaje były przez 3 ostatnie lata, czego przyczyną posucha. Obecny rok może lepszy będzie. Głód był tak znaczny, że z Irkucka rząd za 120.000 rubli zboża przysyłał. Wyjeżdżam o wpół do 10 z rana, na Połoninę i Kabańsk do Bojarska. Daję hojnie na czaj, by dojechać na czas, w mniemaniu, że parochód odchodzi o 4-tej z rana we wtorek; pokazało się, że o 4-tej popołudniu odchodzi. W tym kraju nikt nic na pewno nie wie. Cała droga doliną Selengi niebrzydka. Na rzece i jej wybrzeżach, koło Selengi i na niej polowanie na kaczki, ponoś niezłe, ma tam być i zajęcy dużo (?). Przypomina mi to nieco Bośnię północno-wschodnią nad Rosną. Uprawa pól znaczniejsza i dobrobyt również. Od południa lasy, bory nieprzejrzane. Koło Kabańska ledwo poczęto lasy karczować pod uprawę. Buriatów prawie nie widać, same Rusy. Zimno nad wieczorem i w nocy, zwłaszcza nad ranem, niepojęte. Blizki Bajkał gra tu rolę nie kaloryfera, ale zimnofera całej okolicy. Jest on istotnie potężny, przypomina morze, ale smutny i brzydki. Południowa strona ma być najpiękniejsza; zobaczę ją jutro rano; przejazd ma trwać 7 godzin. Takie są fale, że ów parochód, co nas ma przewieźć, przybić do lądu nie może. W tym kraju czuć na każdym kroku: 1) naród co stoi w cywilizacyi o 200—300 lat np. za Anglią; 2) społeczeństwo niedołężne; 3) brak inicyatywy prywatnej; 4) brak kapitału, bo choć kapitaliści są znaczni, jednak raz dorobiwszy się na herbacie lub na złocie pieniędzy,

jeszcze w garnkach i skarpetkach takowe trzymają; 5) brak zarządu; rząd robi mi wrażenie człowieka *qui trop embrasse et mal étreint.*

W Werhnym Udińsku ogromna turma, na oko nader porządnie wygląda, ale przez mury czuć niechlujstwo narodowe. Po drodze, w kilku miejscowościach, etapowe domy małe, drewniane, ale porządnie wydają się utrzymane; opisy Kennana może posłużyły? Krajobraz Zabajkału robi wrażenie kraju bogatego w minerały. Opowiadają cuda o niektórych wodach mineralnych, które się tu znajdować mają.

— Mój panie, a pan z której gubernii?

— Ja z Austryi.

— Aha! a ja był w Austryi w 48-mym, tośmy szli przez Kraków; i w Komornie i w Peszcie ja był; wojowaliśmy pod jenerałem Klapką; a potem w 63-cim żandarmem byłem; to też i teraz nie wolno mi do kraju, tj. w całej imperyi wolno mi przebywać, a tylko w carstwie polskiem i zapadnych guberniach i stołecznych miastach nie. Mój panie, ja tam żonę i dzieci zostawił, od tylu lat nie widział! Mój panie, a wojna na wiosnę będzie? bo my tu tak spodziewamy się, że koniecznie być musi. A czy też Moskala pobiją? Mój panie, żeby ja tego dożył! bywa, nie śpiem w nocy i myślę, myślę, a o czem? jakby to ja mógł dożyć, aż jego pobiją. Żeby ja tego dożył. A jak my się zejdziem, to tak łajem na austryackiego cesarza! jemu ciepło i wygodnie, a my giniem! Czemuż on nie posłał 3 korpusy, ta i byliby w 77-mym odcięli od Dunaju — i byłby koniec! Ależ Prusy nigdyby nie pozwoliły! A od czegóż Francuz? jakby był uchwacił za tył, Prusak ruszyć się nie może! Aj, panie, czemuż to on tego nie zrobił?! A wszystkiemu w 63-cim nasze pany winne; oni nam wytłumaczyli, że wszystko gotowe, że broń jest; kontrybucyę zbierali; my głupi uwierzyli; dalej bić; przychodzimy — a tu ni broni ni pieniędzy! Pany za granicę powyjeżdżali, bawili się i uszli nieszczęścia, a my tu giniem! Ach, panie! żeby wojna była! ja już niczego nie chcę na świecie, jeno choć jednego Moskala zabić, a potrafiłbym jeszcze kilku! — I sapał stary, pięści ściskał — a miał potężne — wreszcie wstaje: Przepraszam

pana — i wychodzi. — A cygarko masz pan dla mnie? oj, daj pan cygarko!

Ot, Szymańskiego szkice w naturze! Tak, niestety, nie wszystko złoto, co się świeci; i między naszymi deportowanymi wiele śmiecia, może większość; choć, co prawda, śmiecie poginęło już po największej części.

### *Irkuck, 22 sierpnia.*

Wiatr szalony wiał, fale na jeziorze Bajkalskiem znaczne. Że zaś naturalnie praktyczny zmysł słowiańskich żeglarzy nigdy i w niczem ich nie opuszcza, więc też pomost do lądowania w taki szczególny sposób jest ustawiony, iżby czy z zachodu, czy z północno-wschodu wiatr wiał, żadną miarą parostatki (kołowe) przybijać nie mogły. W klamrze dodać należy, że właśnie na wschód północny i zachód jezioro jest najszersze, brzegów zupełnie nie widać; z tych więc dwóch stron najczęściej wiatr wieje i największe fale podnosi. Niech żyje zmysł praktyczny Słowian!

O Bajkale cóż powiem? — że jest największym basenem wody słodkiej w Azyi, że blizko 60 razy jest większy np. od jeziora genewskiego, że łowią w niem przedoskonałe ryby, nieco kształtem śledzia przypominające, pospolicie tu śledziem sybirskim zwane; że obok owych śledzi, łowią tu i foki, zupełnie do fok mórz północnych podobne, że wkońcu wybrzeże zachodnio-południowe, o ile widziałem, nader malownicze, podczas gdy, jak już wspomniałem, wybrzeże wschodnie i wschodnio-północne, płaskie, lasem po brzeg przykryte i wcale niepiękne. Tu znowu nowy dowód, jak Francuzi podróżują i opisują. Z opisów p. Coteau np., który w lecie jechał przez Bajkał, sądzićby można, że Bajkał, to drugie genewskie jezioro, że zimą przez cały Bajkał na łyżwach przejechaćby można, że woda w nim kryształowa, tak iż rusałki na dnie śpiące z łatwością, oczy nieco przymrużywszy, zobaczyćby można. W istocie rzecz ma się przeciwnie, jak od zamieszkałych nad Bajkałem wiem i o ile sam widziałem; Bajkał zamarzłszy, śpi pod lodami do połowy maja; czem bar-

dziej ku północy, tem mniej ma być romantyczny; lód na nim piętrzy się w najdziwaczniejsze, nieraz wysokie góry, woda mętnawa, choć ją ogólnie piją. Prawdziwie piękny krajobraz, to nad wypływem Angary; góry wkoło; na wschodzie widne szczyty, o tej porze śniegiem przyprószone. Dziś przy wschodzie słońca, gdy szczyty różowieć i kraśnieć, a jezioro i niebo przesadzać się na wyścigi poczęło, kto piękniejszym błękitem słońce zadziwi, kto podobniejszym będzie do skał nierzadkiego tutaj *lapis lasuli* — wówczas istotnie było się czem zachwycać. Tylko jakże się tu zachwycać i unosić, kiedy najpierw coraz bardziej poczyna być pilno, by raz do Irkucka dojechać; przytem obawa, czy konie wszędzie się znajdą; wreszcie zimno nieludzkie i, co najgorsza, *tamożnia* przede mną.

Tak jest — *tamożnia* — sławnie ostra i szczegółowa rewizya. Cło pobierają bajeczne od strzelb, a ja mam sztuciec ze sobą! Wiozą mnie nieszczęsnego jak na ścięcie; stajemy; wychodzi dwóch urzędników; pomagają mi wysiąść z powozu. Robi to wrażenie owych chińskich katów galantów, co przed ścięciem łba lub powieszeniem, ba nawet rozćwiertowaniem — fundują delinkwentowi sznapsika chińskiego, herbatą i miłą nader rozmową uprzyjemniają mu ostatnie pół godziny przed końcem. Wchodzę do biura; ciemnawo jeszcze, słońce ledwie wstało, i lepiej, bo brudno okropnie. — *Kak wasza familija — Sapiega.* — Ukłony urzędników. — *Siedyte kniaź.* — Pomocnik tamożnika w dwóch susach przynosi mi stołek z drugiego pokoju. — Masz tedy! pomyślałem, teraz źle! chcą mnie widocznie przygotować do wyjątkowo przykrej operacyi celno-fiskalnej. — Przynoszą pliki papierów, zaczynają szukać; widocznie musi być na mnie donos. Czekam, minę słodką i niewinną naciągam; udaję nader szczęśliwego i spokojnego. Nareszcie obertamożnik zaczyna czytać: „*Po ukazu Jego Imperatorsko Wieliczestwa* i t. d. i t. d. — (zginąłem, myślę, aresztują mnie) — *Jego Siatelstwo* pan minister finansów Wyszachradzki — (już po mnie!) — i t. d. i t. d., nakazał, aby księcia S. i t. d. i t. d. — (o Boże, dziękuję ci!) — puścić bez oglądania nawet jego pakunków“ — (oddycham). — Niesłychanie potulnie i grzecznie obertamożnik pyta mnie o jakikolwiek dokument podróżny i ilość

moich pakunków. Paszportu znaleść nie mogę, bom go umyślnie przygotowując dla tamożni, gdzieś zbyt dobrze schował. Znajduję tylko stary paszport. Obertamożnik na wszystko się zgadza — i wreszcie, nadmiar szczęścia, *er entpupt sich* jako Polak. Czyta mnie ten poczciwiec z pół tuzina rozlicznych ukazów i pism z Petersburga, gdzie nakazano puścić mnie bez rewizyi. To dzieło Sechena i Aehrenthala — podobno rzecz nader trudna i ogromny wyjątek.

Po małej półgodzinie jadę dalej; wciąż nad Angarą. Skała Chamanitów niewidoczna; wyobrażam ją sobie jednak dokładnie. To owa skała, która ma bronić Irkucka i całej doliny od zalania przez Angarę, względnie przez Bajkalskie jezioro. Podanie Chamanitów niesie, że ta skała jest niby czyśćcem. Tu gromadzą się po śmierci wszystkie dusze; która bez winy, utrzymać się może na cyplu spiczastym skały i zbawioną bywa; która winna, spada w Angarę i ginie śmiercią przeklętych w jej ciemnych nurtach.

Czem więcej na zachód, tem Angara szersza być powinna; tak jednak nie jest; cały jej górny bieg, egzystencyę swą Bajkałowi zawdzięcza, to też w miejscu, gdzie opuszcza Bajkał, jest równie szeroka, jak o kilkadziesiąt wiorst dalej; po dwóch godzinach zaś jest o połowę węższa, i taka staje nareszcie na granicy wschodniej i zachodniej Azyi. Tu istotnie powinno być rozgraniczenie; na wschodzie i południu zdala widne pagórki i góry, na zachód bezgraniczna płaszczyzna, aczkolwiek poprzerzynana wieloma jarami, nieraz dość głębokiemi. Patrząc z wyżyny stacyi *kwatererononskaja*, nigdy i nigdzie tak dokładnie nie widziałem różnicy przedziału między dwiema formacyami powierzchni naszej planety. Za nami na wschód i północ Bajkał i otaczające góry, przed nami równina, co aż pod Ural, pod biegun się ciągnie. Zdala widnieje cerkiew irkucka. Więc nareszcie dojechałem! oczom, uszom wierzyć się nie chce. Widać tu dokoła grunta uprawne i nawet nieźle, lasu już niemasz — snać cywilizacya! Jednak znowu dziś już skonstatować muszę, że chyba niełatwo rasę słowiańską powoła Opatrzność do jakiej większej misyi. — W r. 1879 spaliło się miasto; do dziś dnia stoją niezli-

czone budynki, nawet niepobielone po pożarze! Ulice szerokie, domy małe, po największej części drewniane, bez stylu, wszystko razem: ulica, przechodnie, domy, o niedołęstwie słowiańskiem świadczy — a to wielce smutne. Mieszkam w „Sybirskiej gościnnicy“ u pana Goryckiego — zesłany za rok 1863; brudno, kuchnia pod psem; alem to zrobił z przyjaźni dla poczciwego Głębosia.

## *Irkuck, 23 sierpnia.*

Wizyty. Raniutko zjawia się p. Jastrzębski, zawiadujący *Moskow. Podworjem;* suplikuje, żeby się przenieść do niego, ofiaruje apartament za darmo, byle tylko ten zaszczyt, że syn księcia Adama u nich mieszkał, spadł na ich zakład. Otrzymali od hr. Ignatiewa jeszcze w marcu rozkaz przyjęcia mnie u siebie, jak można najlepiej. Przychodzi mnie ofiarować w imieniu p. Kosowskiego Michała, adwokata, ekwipaż tegoż na usługi. Pokazuje się przytem, że Kosowski zna ojca i mamę z Sevres, z r. 1864. Jadę więc natychmiast do Kosowskiego; człowiek lat 55-ciu, ale sterany i zmęczony życiem; deportowany w 1864, gdy wrócił z zagranicy. Od 1872-go ma pozwolenie wracania; ożenił się jednak tutaj i został. Teraz wyjeżdża próbować, czy w kraju będzie się mógł ostać. Prowadził tu z wielkiem powodzeniem kancelaryę adwokacką, uzbierał nieco pieniędzy; dobroczynny niesłychanie i czynny; jest wiceprezesem tutejszego Towarzystwa dobroczynności, dyrektorem teatru i t. d. i t. d. Na kościołek katolicki ofiarował 30.000 rubli; na jego środki to suma potężna. Zapatrywania szlachetne, uczciwe, polityczne i rozumne; nienawiści do Rosyi żadnej. Między Rosyą a nami głównie i zawsze kopią przepaść Berlin i kasta czynowników, w tem swój interes materyalny mająca. Niestety, w Petersburgu brano parcie berlińskie za dobrą monetę, słuchano bezwarunkowo tych podłych podszeptów. Dziś może przecież będzie zmiana po śmierci Tołstoja — przyszłość okaże.

W Irkucku dziś upadek materyalny od pożaru, a zwłaszcza podziału Syberyi wschodniej na dwa jeneralne gubernatorstwa. Pan Boulanger jeździł w zeszłym roku, posłany przez ministra

robót publicznych, celem badania terenu w Syberyi, ewentualnych lokacyj kapitałów francuskich w przedsiębiorstwach tutejszych; rezultatów namacalnych dotąd niema. Jak raz kolej przyjdzie do skutku, Niemcy zaleją Sybir. Żydów tu dużo; usuwają ich drogą rozporządzeń od wszystkiego, np. nie wolno im pod własną firmą prowadzić handlu wódką. Słyszałem, że aby się od tych sekatur uwolnić, wielu przechodzi na prawosławie, żenią się z ruskiemi; ale to należy jeszcze skonstatować. Wszyscy się skarżą na podatki; mój Boże, cóżby oni powiedzieli, gdyby u nich austryackie podatki zaprowadzono? Złota wielka ilość wychodzi do Chin; Chińczycy już aż do Irkucka zaszli, jest ich ponoś około 80 tutaj; po drodze wszędzie ich widać. Nie osiedlają się jednak wcale; żon i wogóle kobiet sprowadzać im nie wolno.

Kopalnie Niemczynowa i spółki mają w tym roku wydać 250 pudów złota, pud po 17.000 rubli. Z tego rządowi przypada 25 pudów, za resztę otrzymują właściciele asygnaty kasowe brzmiące na 20 do 200 półimperyałów, wypłacalne w pewnych terminach złotem. Z wielkich t. zw. tuzów tutejszych, większa część wymarła już, wielu się powynosiło do Rosyi. Już to nie jest owa stolica złotodajnej ziemi, jaką opisuje, naturalnie z przesadą, p. Meignan. Robotnicy w *preiskach* — tak się nazywają kopalnie złota — w okropnym są stanie: zarabiają niesłychanie wśród lata; nadchodzi zima, kopalnie przestają funkcyonować, robotnicy ściągają się ku południowi, w okolice bardziej zamieszkałe, koło Werhnego Udińska; tu cała ludność, próżnująca rok krągły, czyha tylko na przybycie tych nieszczęśliwych. Hulanie się rozpoczyna! Taki np. fakt opowiadał mi Korycki: Robotników dwóch przyszło na kwaterę do domu, gdzie Korycki mieszkał; zaczynają pić; kupują aksamitne narodowe ubrania, każdy po sztuce perkalu lub sukna, które się na śniegu lub błocie rozkłada; każą zaprzęgać do sani, zamawiają muzykę; potem śniadanie i kolacya. Właścicielka domu liczy im za śniadanie po 5 rubli od głowy, za kolacyę po 10, choć naturalnie daje tylko zwykłe chłopskie strawy! Wódka dopełnia miary, zalewa te nieszczęsne żołądki. Po kilkudniowem takiem *gulaniu*, leżeli obaj napół martwi. A ponieważ już gotówki nie stało, więc

suknie, obuwie, wszystko im zabrano, i nagich na mróz wypchnięto. Musieli znowu naturalnie wracać do robót w kopalniach. Tam, choć i jak się dorobią, oszczędzą, to często i towarzysze zadławią, wietrząc, że ma pieniądze.

Obiad u Łusznikowa, dyrektora złoto płuczącego laboratoryum tutejszego. Człowiek wyżej czterdziestki, kawaler, widocznie sobie, jak to mówią, dobrze stoi; nadzwyczaj uprzejmy, mówi po francusku — rzadki to wyjątek tutaj. Dziwnie mało Rosyan w Syberyi włada jakimkolwiek obcym językiem; dość wielu rozumie jednak po polsku, kilku nawet mówi. Przyjęcia doznaję wogóle nietylko grzecznego, ale nawet powiedziałbym serdecznego. Antypatyi do nas nie widzę zupełnie; za to niesłychana antypatya do Madyarów i Niemców. Otóż Łusznikow, dawszy mi doskonale pić i palić, zaprosił mię na jutro rano na godzinę 10-tą, na odlanie małej, jak się wyraził, ilości złota. Niebawem ma przybyć transport 700—800 pudów; nie nadszedł jednak jeszcze.

Boulanger był wysłany, według Łusznikowa, nie przez rząd francuski, ale przez konsorcyum bankierskie, i to głównie celem zbadania linii projektowanej kolei żelaznej, i przekonania się, czy na linii tej nie znajdują się gdziekolwiek pokłady złotodajne. Co do kolei żelaznej rząd nie powziął jeszcze decyzyi ostatecznej. Są dwie ruty preliminowane: jedna z Ufy przez Omsk, Tomsk, Krasnojarsk, Niżny Udińsk, Irkuck, Kugom, Bajkała Czita, Nerczyńsk aż do brzegów Szyłki (dopływu Amuru); druga ruta szłaby z Tomska nie na Irkuck, ale o wiele wyżej na północ, przecinając okolice niezamieszkałe; miałaby tylko ten awantaż, że szłaby głębiej w kraju dalej od granicy i byłaby prostszą. Według Łusznikowa nie ma ona racyi bytu.

Imci pan Wróblewski służy za numerowego w hotelu moim. Na drugi dzień mego przyjazdu, gdym go pytał, z których stron, jaka przyczyna jego tu obecności, w przydługą wdał się opowieść. Z Kalisza pochodzi; człowieka zabił, ale nie chciał; uczciwe i poczciwe człeczysko z kościami; wskutek procesu i kłótni z właścicielem gruntu, który dzierżawił, pieniaczem jakimś okrutnym, przyprowadzony do nędzy i rozpaczy, w kłótni, na polu zeszedłszy się z owym właścicielem, wśród bójki powstałej zbił go tak,

że ów w 24 czy 48 godzin umarł. — Ot, także typ *à la* Szymański.

Dziś niedziela, więc nabożeństwo. O dziesiątej suma; sam proboszcz katolicki ją odprawia, poczem kazanie i suplikacye przed *Sanctissimum*. Miękko się koło serca zrobiło! rok przeszło człek nie słyszał już najpierw łaciny w modlitwach mszalnych po naszemu wymawianej. Organista, stary wiarus, śpiewa i gra jak może; ksiądz starowina ciągnie prefacyę, widać kiedyś dobry głos był u niego; ludziska, cóż za typy nasze! pan szewc i pan kowal, a tu majster rzeźnicki, a tam ślusarski. Stosunkowo bardzo pobożnie nawet inteligencya się zachowuje; jakaż jednak różnica z chrześcijanami Chińczykami lub Japończykami, o ileż tamci bardziej skupieni się wydawali! Po mszy schodzimy do proboszcza; mieszkanie jego pod kościołem. Wódeczka i przekąska mała; przedstawiają mnie dość licznemu zebraniu; poczem pogawędka polityczna. Z niej odnoszę wrażenie, że ci panowie nader skrajnie o rzeczach sądzą: o szlachcie, o magnatach, nader wrogo. Lepiej, zdaje mi się, że tak jest, jak jest. Bóg przemądry! myślę sobie, my tylko żyjemy wzdychaniem: żeby to Polska była, toby już wszystko było! — a kto wie, gdyby była, czyby nie wyglądała tak smutnie, żeby lepiej prawie było, aby nie była?! — lepiej chyba, że jej niema!

*Irkuck, 29 sierpnia.*

Siedzę, ruszyć się nie mogę, projektów mnóstwo, a wykonać je trudno. Zwiedzałem pracownię, t. zw. złotopławnię, arcyciekawą. Złoto przywożą w zapieczętowanych workach. Po ceremonii stwierdzenia nienaruszonych pieczęci, przy drzwiach skarbca i na workach, otwierają jedne i drugie. Złoto z odpowiednią przymieszką soli jakichś, pochłaniających przy procesie topienia żelazo, wsypują do tygli grafitowych. Przez $1^1/_4$ godziny topi się; poczem je w formy przelewają, znaczą numerem, datą, imieniem a raczej znakiem właściciela i biorą do próby malutkie ilości. Próba odbywa się przez zważenie złota, potem przeczyszczenie go w ogniu za pomocą żywego srebra, ołowiu i w rozczy-

nach od srebra i miedzi, i znowu zważenie. — Różnica w ciężarze daje najdokładniej ilość przymieszki obcej. Poczem wydają właścicielowi kwit, który po sześciu miesiącach płatny jest monetą brzęczącą z głównego urzędu monetarnego w Petersburgu. Złoto topi się przy 1250 stopniach. Ogólna ilość złota, dobywanego w Rosyi (Sybir i Ural), wynosi mniej więcej rocznie 2000 pudów (pud wynosi mniej więcej 16 klg). Pryiski w Alokucie (spółka: Baksanow, Niemczynow, Sybiriakow) dają około 250 pudów. Dwa terytorya wielkości mniej więcej Francyi i Anglii, tj. Ałtajski okręg i Nerczyński (pierwszy od Tomska na południe po Semipalat i granicę mongolską, drugi aż do Szyłki po Bajkał i granicę mongolską), należące do familii cesarskiej, posiadają również kopalnie, ale o wiele mniej wydatne. W Alokucie opłacają wydobywający 10% rządowi, we włościach cesarskich 15%, w pryiskach nadamurskich tylko 3 i 5%.

Zwiedziłem też muzeum tutejsze. Jego dyrektorem Witkowski, Polak z 1863 r., archeologii i etnografii głównie oddany. Muzeum ma niektóre rzeczy ciekawe pod względem archeologicznym: kościotrupy i rozliczne przy nich znalezione ozdoby i narzędzia, świadczące o pochodzeniu ich jakoby z epoki kamiennej. Witkowski twierdzi, że u hr. Zawiszy w Warszawie widział identyczne kościotrupy z kłami dziczemi, jako ozdobami, znajdowane w galicyjskiem Podkarpaciu. Jakie ich pochodzenie, nie wiadomo; ważnem odkryciem tylko, skonstatowanie faktu, że we wschodniej Syberyi była również epoka kamienna. Ciekawe i piękne są okazy kości mamutów, rynocerosów, krów morskich; głowa rynocerosa arktycznego, posłana z Jakucka do Petersburga z mięsem i sierścią, dowodzi, że rynoceros ten, zupełnie inny od brata swego z tropikowych sfer, był okryty futrem równie ciepłem jak niedźwiedź polarny, podobnie jak mamut. Zagadką tylko zostaje, jakie przyczyny wyniszczyły te rody zwierząt. W Jakucku są podobno potężne składy i ogromny handel kośćmi mamuta; wysyłają je do Petersburga. Bardzo wiele i piękne ponoś rzeczy z kłów mamuta wyrabiają. Widziałem tu w muzeum szkatułkę, wyrzeźbioną nożem z wolnej ręki przez Jakuta; kość zupełnie biała, o ile się mogłem przypatrzyć, nieporówna-

nie brzydsza od kości słoniowej. Ciekawe są siodła, ubrania i czapraki Tunguzów w piękne wzory, przypominające środkowo-zachodnio-azyatyckie wyroby i hafty.

*Irkuck, 8 września.*

Dziesięć dni, zdaje się, mija od chwili, kiedy po raz ostatni pisałem. Zwiedzenie Aleksandrowska, wycieczka z panem Wilmont do Kułtuka, Tunki (niłowej pustyni), na Murawiew Amurską, Utulik, do Muryńskiej, istnej matni niedźwiedziej — oto zajęcia, które gęsto zapełniły cały tydzień ostatni. Od Kułtuka do Muryńskiej jedzie się drogą krugo-bajkalską, cudownie piękną; dzicz rzeczywiście straszna, tajga w całem tego słowa znaczeniu. Kedrowniki, modrzewie, topole czarne, nad ujściem w Bajkał Utuliku, łomy, góry, jary, rozpadliny; a u stóp tego wszystkiego jezioro Bajkał, w tem miejscu prześliczne. Ślady niedźwiedzie nierzadkie; spotykaliśmy też kulomy, tj. łapki na niedźwiedzie: prostokąt zakończony z jednej strony ostrym kątem, u wierzchu którego wisi w korę drzewną zawinięty i zagwożdżony kawał mięsa; drąg, na którym to mięso wisi, słabo oparty na drugim, ten zaś podtrzymuje również niemocno dwie belki, na których spoczywa stos bierwion sosnowych. Kiedy niedźwiedź szarpnie za mięso, cały ten stos spada mu na kark. Zdarzało się ponoś nieraz, że zgniecionego tak kolegę inne niedźwiadki zjadały. Kulomy leżą nad samym brzegiem Bajkału, tu bowiem wychodzi niedźwiedź na ryby wiosną. W wiosennym czasie, jak opowiadał nam jeden z jamszczyków, co dzień można niedźwiedzia na drodze spotkać. Nie atakuje on tu jednak, owszem niezmiernie jest łagodny, nawet bydło i konie bynajmniej się go nie obawiają. W samej Muryńskiej podchodzi nieraz pod okna pisarza pocztowego. — Łosie mają się tu również znajdować, zwłaszcza na zachodnim brzegu Bajkału. Nie spotkałem wprawdzie dotąd nikogo, ktoby był tu łosia zabił, ogólnie o ich egzystencyi jednak mówią. Dziwi mnie co prawda obecność łosia w takich górach. Iziubr ów, o którym jeszcze w Mongolii tyle słyszałem, to po

prostu jeleń górski; ale jakież rozmiary! rogi cudowne, potężne! Biją go tutaj w czasie, gdy róg jeszcze miękki i sprzedają na lekarstwo do Chin; piękne rogi płacą Chińczycy po 200 do 300 rubli srebrem. Wreszcie rysie, wilki, renifery nad granicami Mongolii przebywają.

W Tunce spotkałem jednego z ostatnich — Bogu dzięki — księży naszych tu deportowanych. Ksiądz J., chłop jak dąb, czerwony, zdrów, siwawy; dom ma porządny, handel różnemi towarami. Ale pod względem moralnym ruina kompletna: wypożycza pieniądze na lichwę; po mieszkaniu uwija się familia; w sypialni nawet krzyża niema, tylko w salonie, russkim obyczajem, obraz schyzmatycki w kącie zawieszony! Drugi podobny ksiądz S. o kilkadziesiąt wiorst dalej we wsi Szynki żyje. Trzeci F. w samej Tunce. Tych dwóch nie chciałem już widzieć.

Ksiądz Szwemicki, proboszcz tutejszy, używa względnie dobrego miru między tymi panami; staruszek, 50-letni jubileusz kapłański obchodził; naturalnie przyzwyczajony do braku religii tych ichmościów, niewiele pod tym względem od nich wymaga; cóż ma biedaczyna począć? tym sposobem choć raz w tydzień do kościoła ich zwabia. Niektórzy jednak z tych panów nigdy w domu bożym nie bywają. Miasto płakać nad smutnym stanem, do jakiego wielu księży naszych przyszło, oni cieszą się, podnosząc z uśmiechem wesołym a szyderczym pojedyńcze ciemne fakta. — Strasznie ograniczony, nizki horyzont umysłowy tych biedaków. Niema się co dziwić zresztą; zostały tutaj istotnie już tylko wybiórki, szumowiny, żandarmi z 1863 r.

Nieco milej się przedstawia Jan Piotrowski, którego poznaję w handlu Kalmeira, Żyda. Zasłany za rok 1863, syn bibliotekarza ze Sławuty, nic o ojcu nie wie, prosi mię o przewiezienie listu do ojca. Chce, żeby mu ojciec przesłał dowody szlachectwa, bo rząd zaprzecza mu praw szlacheckich. Wróciłby chętnie do domu, ale obawia się rzucić pewny kawałek chleba, nie mając zapewnionego losu w kraju. Obecnie rocznej pensyi pobiera 800 rs., a chętnieby porzucił to miejsce dla posady choćby 300 rs. w kraju, byle pewnej; zna krawiectwo, dawniej pracował w fabryce sukiennej w Sławucie — 10 lat służy w handlu Kal-

meira. Biedaczysko! spłakał się jak bóbr, gdym go pytał, czy oprócz tego żąda czegoś od ojca i kraju? — Nie — odpowiedział, a łzy biedakowi jak groch po licach spływać poczęły. W 16-tym roku życia ojciec wysłał go do powstania. Mimo przestróg przeciwnych, wypchnięto formalnie malca nieszczęściu w paszczę. Anienkow, jenerał sądzący tych nieszczęśliwców, kazał ich do katorgi zasłać. Murawiew sam był lepszy, bo malców takich bić tylko kazał i puszczał do domu.

Co to podobnych egzystencyj zmarnowanych, zniszczonych w tym nieszczęsnym kraju! Oho! mój pan Orzelski, co mnie w aleksandrowskim zawodzie gościł, t. zw. pesymista, tj. człowiek dobry, poczciwy, ale praktyczny, słuszną uczynił uwagę: My, powiada, nie Niemcy lub Żydzi, u nas nie pomyślał nikt o tem, by ratować tych nieszczęsnych wygnańców od upadku moralnego, zschyzmatyczenia i zruszczenia dzieci, przez wysyłanie po prostu odpowiedniej liczby kobiet, dziewcząt polskich na Syberyę. Niemcy zawsze Niemki, Żydzi Żydówki za sobą ciągną. U nas o tem nikt nie pomyślał. Dziś więc nie dziwić się i nie brać za złe tym biedakom, co wygnani tu, w czasie, gdzie inaczej jak z Russką żenić się nie mogli, tak się też żenili. Wielu, bardzo wielu jest takich: ślubu zwykle nie brano, dom zruszczony kompletnie, a co gorsza, religia prawosławna u dzieci — u ojca żadnej. Serce się kraje na ten widok! Biedny nasz kraj! biedna też i ta Rosya! ileż ona sił rocznie traci w tych katorgach, kopalniach, fortecach! A kto temu winien? — winna owa szajka czynowników, co służąc dyabłu i Prusakowi, pcha ku zgubie ojczyznę i wszystko co z nią złączone!

Wycieczka do Aleksandrowska zabawna, bo przyjmowali mnie wieczorem w pełnej gali, naczelnik poczty, pan Sipiagin, naczelnik *tiurmy*, pan Łatuszkowicz, Polak (z 1863 r.), pomocnik naczelnika *tiurmy* Aleksandrowskiej. Z Petersburga zażądano pozwolenia, bym mógł zwiedzić *tiurmę* tutejszą i Aleksandrowską! Podczas całej ekskursyi do Kułtuka jamszczyki w pełnej gali; naczelnicy poczt *detto*, naczelnik komory *detto*, bo jedzie *siatelstwo*. Nie przypuszczałem, żeby mnie tu miano z takiemi honorami i grzecznością przyjmować.

Koło Kułtuka (od Bystrej do Tunki) jamszczyk, Buriat wychrzczony, t. zw. *jasaczny*, opowiadał nam, chcąc dać obraz, o ile Buriaci przez chrzest i wpływ rosyjski postępują, jak to dawniej Buriat z Bystrej lub Tunki, nim ruszył do Irkucka, rok cały i dumał i rachował, czy, jak, kiedy, czy nowiem, czy na miesiącu ruszyć? Konia przez rok pasł i w spokoju zostawiał, nie zaprzęgał; dziś rusza od razu, i jednym dniem w 24 godzinach staje w Irkucku, dwa razy w tydzień obróci z domu do Irkucka.

Wreszcie wizyta pożegnalna u gubernatora pana Świetlickiego, w mundurze, w wielkiej sali recepcyjnej, *officiel und steif.* Pozwolenie z Petersburga już przyszło natychmiast, by mnie pokazać wszystkie *tiurmy!* — po zwiedzeniu je opiszę.

*Paweł Sapieha.*

# SZKICE GILBERTA PARKERA.

(PIERRE AND HIS PEOPLE, by Gilbert Parker).

(Dokończenie).

---

Gilbert Parker nie szczędzi nam przykładów zbrodni, w pośród nie jednak od czasu do czasu wplata promyk jaśniejszy, jak to widzimy np. w dwóch obrazkach: *Antoine and Angélique* i *Père Champagne*. Tytuły francuskie, jak i wielka część mieszkańców Kanady; obrazki zaś tak krótkie, że je śmiało możemy tu podać w całości.

### Antoni i Aniela.

— Już ptaki lecą na południe — patrz Antoni — a pora tak wczesna!

— Tak Anielko, zanosi się na długą zimę.

Po chwili milczenia rzekła znowu:

— Tej nocy słyszałam płacz dziecięcy... nie mogłam spać.

— To puszczyk, żono moja. Lot ma teraz powolny, lato już minęło.

— Antoni! Przed świtem słyszałam znów szelest skrzydeł nad łóżkiem.

— Dzikie gęsi i w nocy znają drogę; przelatywały nad domem, a nie nad twem łóżkiem.

— Tych dwóch czarnych wiewiórek już nie widzę na klonie.

— Ukryły się z niedźwiedziami pod ziemię; mróz nadchodzi... spać teraz będą.

— Mój Antoni! Wczoraj wieczór, gdym mówiła pacierz, zdało mi się, że jakaś lodowata ręka serce mi ściska.

— Serce kobiece dużo dziwnych rzeczy odczuwa; cóż ci mam odpowiedzieć, żono moja?

— Idźmy na południe, Antoni, nim przyjdą wielkie wichry i mrozy.

— Kocham cię, Anielko, ale nie mogę ruszyć się stąd.

— Czyż miłość nie jest ważniejszą od wszystkiego na świecie?

— Dotrzymanie danego słowa jest jeszcze ważniejszem.

— A jak nieszczęście przyjdzie?...

— A kopalnia?...

— Tu nikt nie przychodzi; któżby ją miał odszukać?

— Moja droga, wszak on mi powiedział wtedy: „Antoni! czy chcesz tu pozostać i pilnować kopalni, aż z ptakami na wiosnę powrócę?“ — a ja odrzekłem: „Zostanę, i Anielka zostanie i będziemy pilnowali kopalni“.

— Jemu chodzi o pieniądze, a nam o życie!

— Któż odgadnie, gdzie wyobraźnia kobieca poleci? Zawsze coś przewiduje: dziś widzi same burze i chmury, jutro samo słońce zobaczy. Ja ci na to odpowiedzieć nie mogę.

— Boję się!... gdybyś mnie kochał...

— A kopalnia? — odparł stanowczo.

— Mnie serce pęka...

— Anielko! powtarzam ci: jest kopalnia!

— O mój Antoni!

I tak ci dwoje pozostali na wyspie św. Jana, wśród Wyższego jeziora. Przeszła jesień o krasnych barwach, nastała śnieżna, lśniąca zima, a oni wiernie strzegli kopalni Rosetrée [1], którą był odkrył Anglik Falding wraz z towarzyszami, licząc, że w niej znajdzie bogactwa Ofiru.

Wyspa św. Jana leżała daleko od ludzkich siedzib; trudno na niej było o pożywienie i jedna tylko wznosiła się chata. Dużo jeszcze było do zrobienia w sprawie kopalni, to też wła-

[1] Właściwie kopalnia różanego krzaku.

ściciele udali się do miast, gdzie ludzie dusze za pieniądze sprzedają, a tymczasem poruczyli swój skarb opiece Antoniego i Anieli, młodej pary francuskich wieśniaków z parafii św. Ireny w Quebec. Z wiosną miało tu przybyć dużo ludzi i dużo narzędzi, aby wiercić ziemię i wyciągać z niej spodziewane bogactwa. Tymczasem jednak, gdy pierwsze mrozy zaczęły ścinać ziemię i tworzyć naokoło wysepki twardą lodową zaporę, serce kobiety przeczuło nadchodzące nieszczęście. Po długiem wahaniu zdobyła się na nieśmiałą przestrogę. Raz przestrzegłszy, nie odzywała się więcej; natomiast zabrała się do roboty, poczęła sypać około domu wał z ziemi przeciwko śniegom, a przeciw wichrom zatykać wszelkie szczeliny, zacieśniać, o ile mogła, krąg świata dokoła tych dwóch izdebek, w których mieli tyle spędzić miesięcy.

Zima była ostra, ale serca ich były dzielne. Kochali się, a miłość uczy wszystko znosić. Co dnia Antoni robił lustracyę kopalni, uważając to za swój obowiązek. Aniela znów co dnia długie odmawiała pacierze, uważając to za swój obowiązek. Jeden zaś pacierz mówiła najgoręcej: o wczesną wiosnę, aby snać zimno nie zaszkodziło dziecięciu, które im Pan Jezus miał zesłać. Zazwyczaj o zmierzchu Antoni zapalał fajkę, a Aniela śpiewała stare pieśni, przez ich przodków przywiezione z Normandyi. Pewnego wieczora Antoni weselszy był niż zwykle; siadłszy przy ogniu, który jasno twarz jego oświecał, jął przypominać szczęśliwe czasy ich pożycia w Quebec, a wreszcie, z iście francuskim zapałem, którego nie zdołały wyziębić mroźne nieba Kanady, zaśpiewał ulubioną wędrowców piosenkę: *A la claire fontaine* [1].

A żona uśmiechała się w dal, zapatrzona w skaczące płomienie, poza któremi widziała duchem ubogi kościół, kędy się pobrali, i na to wspomnienie uczyniła to, co zwykle czynią poczciwe kobiety, a czego mężczyźni jakoś pojąć nie zdolni: zapłakała cichutko, nie przestając przez łzy się uśmiechać. Ale gdy doszedł do ostatniej strofki, i łzy i uśmiech naraz zniknęły. Antoni śpiewał:

[1] „U jasnego źródła".

Niechaj nam wszystkie, o! wszystkie róże
Rosną na szczęścia krzewinie,
A krzak nieszczęścia, niech gniewne morze
W czarnej pochłonie głębinie.
*Il y a longtemps que je t'aime*
*Jamais je ne l'oublierai!* [1]

Anielce zrobiło się ciężko na sercu. Od krzaku róży w piosence, myśl jej przeniosła się na odarty z liści, okryty śniegiem krzak róży, rosnący u wejścia kopalni, krzak, od którego tej kopalni nazwę nadano. Przeszedł ją dreszcz i dawny strach powrócił. Oczywiście było to nierozsądnem; uczeni i mędrce wzruszają ramionami na takie przesądy, a doświadczone niewiasty uśmiechną się znacząco i patrząc z politowaniem na nieświadomego tych spraw piszącego mężczyznę, powiedzą jedna drugiej na ucho: „Naturalnie — to z przyczyny jej zdrowia!“ Ale darujcie potęgi tego świata! — wiele jest rzeczy zakrytych przed waszym rozumem a odsłoniętych maluczkim: dziatkom i matkom tych dziatek.

Tejże samej nocy Anglik Falding siedział w wesołem towarzystwie w kawiarni w Londynie i rozmawiał ochoczo.

— Dziwnie nam się poszczęściło w tej sprawie — mówił.— Szukaliśmy już od kilku miesięcy, nakoniec próbując ostatniej szansy, popłynęliśmy pewnego wieczora na tę wyspę i rozbili namioty. O kilkanaście kroków od naszego obozowiska stał krzak róży; pomyśl, Belgard, krzak róży na zatraconej wysepce Wyższego jeziora... „Nieparzyste liczby przynoszą szczęście“ — rzekł mi wtedy Rory O'More. — Szczęście jest tu, powiedziałem ja, idąc wprost do krzaku. I co z tego wynikło? Oto masz prospekt: spółka z kapitałem 200.000; cała wyspa w naszych rękach za jaki tydzień, a tymczasem mój Antoni, wysiadujący na niej jak Napoleon na wyspie Elbie.

— Co płacisz Antoniemu?

— Czterdzieści dolarów i utrzymanie.

— Dlaczegóżby nie zapisać kilka udziałów na jego imię?

[1] W oryginale po francusku.

Tak sobie... aby zjednać łaski bogów dla naszej sprawy. Wiesz dobrze: dar ubogiemu opłaca się stokrotnie... No cóż?

— Dobrze. Można to będzie zrobić, jeżeli...

Lecz w tejże chwili ktoś wzniósł toast: Na pomyślność kopalni pod krzakiem róży! I wszystkie serca urosły weselem i dumą; widzieli bowiem pełno złota w dłoni założyciele spółki, a złotem zdobywa się świat. I podczas gdy Antoni w dalekiej chacie śpiewał wraz z żoną, oni bawili się i pili w jaskrawem świetle gazowych świeczników. I długo w noc, wśród uśpionej ulicy, rozlegały się śmiechy, a ponad śmiechami górujący śpiew:

Gai lon la, gai le rosier
Du joli mois de Mai!

Nazajutrz niejedna głowa w Londynie zbolałą była i ciężką, i nazajutrz też choroba powaliła człowieka na wyspie św. Jana.

Antoni wyśpiewał był ostatnią swoją piosenkę. Wśród nocy obudził go ból, a w południe, gdy słońce w całej pełni stanęło nad kopalnią, był już na tej ciężkiej drodze, której ani początku ani końca żaden człowiek nie mógł opisać dokładnie, ciału bowiem nie danem jest być wiernym tłumaczem spraw ducha. Wiemy cośkolwiek, ale bardzo mało: groza śmierci kryje się w głębiach duszy, dążącej samotnie do Boga. Gdy zabrzmi wezwanie, już ani żona ani dziecię, ani nic na ziemi nie zdoła powstrzymać wędrowca, najwyżej przez chwilę zawaha się na progu. Biedne leki Anielki były bezsilne, jej łagodne dotknięcie i słowa pociechy dochodziły do Antoniego, jakoby przez mgłę, gdzieś między ziemią a niebem. Dopiero gdy druga północ nadeszła, otworzył oczy przytomne, lecz zamyślone i zapatrzone w dal, i rzekł:

— Anielko!

Przycisnęła usta do jego twarzy i szepnęła:

— Czy cierpisz teraz, Antoni?

— Nie cierpię, Anielko.

Powoli zamknął oczy; ona zaczęła się modlić.

— Kopalnia — rzekł — kopalnia, aż do wiosny.

— Tak Antoni, aż do wiosny.

— Czy masz świece, dużo świec, Anielko?

— Jest ich dużo, mój drogi.

— Ziemia twarda jak żelazo, nie można kopać, a woda pod lodem okrutnie zimna, nieprawda Anielko?

— Żaden topór ziemi nie urąbie, a woda pod lodem jest straszna.

— Będziesz mogła patrzeć na mnie póki zima trwać będzie?

Pochyliła głowę, głaszcząc jego dłoń. Ból pierś jej rozpierał.

Chwilami spał, to jest ciało jego spało, podczas gdy dusza szukała drogi ku nieznanym krainom. Ale nad ranem rozwarł szeroko oczy, mówiąc:

— Ktoś woła, Anielko.

A ona, przyciskając rękę do serca, odrzekła:

— To pies szczeka, Antoni.

— Ale słyszę stąpanie u drzwi!

— Nie Antoni, to śnieg bije o szyby.

— A te skrzydła... słyszę szelest skrzydeł, tuż przy mnie... czyż ich nie słyszysz, Anielko?...

— Skrzydła! skrzydła... — odparła złamanym głosem. — To wiatr huczy w kominie. Noc jest zimna, Antoni.

— Noc bardzo zimna — rzekł i począł drżeć. — Słyszę! słyszę głos małego dziecka... podobny do twego głosu, Anielko!

A ona, nie wiedząc co odpowiedzieć, rzekła z cicha:

— W głosie dziecka jest zawsze nadzieja.

I w tej chwili serce macierzyńskie w jej łonie zadrgało, a on przeczuł też, iż jej danem będzie porodzić szczęśliwie, aby nie była tak samotną przez długie dni zimowe.

Odgłosy dzikiej nocy ucichły; łomot bezlistnych gałęzi, pękanie zamarzłej ziemi i dalekie bicie fal o skały: mróz ukończył swe dzieło. W chwili, gdy wybladła zorza jęła się ukazywać z za wzgórza, Antoni zawołał cicho:

— Anielko!... *Ah mon Capitaine... Jésus...* — i zamilkł.

Noc po nocy Aniela paliła świece tam, kędy Antoni leżał uśmiechnięty w swej zamarłej ciszy i odmawiała za niego pacierze, gorące pacierze, jakie tylko miłość śle za zmarłymi do nieba. Ziemia nie mogła go przyjąć, gdyż była twarda jak głaz, ale zepsucie również imać się go nie mogło; więc Aniela prze-

stawała samotnie z tem, co niegdyś było jej mężem, aż do jasnego, mroźnego poranku, gdzie bez ludzkiej pomocy, sama, pod Boga wejrzeniem, powiła syna. Ale i tego wieczora dowlekła się wśród zimna do zwłok, aby zapalić świece u głowy i u stóp zmarłego, i zdało jej się, że uśmiech na jego twarzy był jeszcze jaśniejszy niż wprzódy.

Gdy przyszła wiosna i ziemia odetchnęła z pod ciążących jej więzów, Aniela pogrzebała sama Antoniego, i sama po swojemu odprawiła nad grobem egzekwie. Nie było tam księdza ani kościelnego, a niemowlę musiało starczyć za orszak żałobny; ale modlitwa jej płynęła z czystego serca i ubogiego ducha i ani jej na myśl nie przyszło na świat wyrzekać za to, iż podczas gdy ona musiała wiernego towarzysza złożyć w otchłań grobową, wszystko dokoła śmiało się i stroiło do nadchodzącego lata.

Tego dnia właśnie właściciele wyspy przybyli objąć ją w posiadanie, a, że zaszłe na niej zdarzenia głęboko ich serca wzruszyły, przeto nadali dziecku imię Jan i podzielili się z niem złotemi owocami kopalni.

Nie wiem, czy wszystkich zarówno poruszy ta prosta opowieść, czy każdy odczuje wielkość opisanego w niej bohaterstwa i ogrom cierpienia... Jedną w niej wszakże stronę podnieść jeszcze należy: zupełny brak goryczy i pesymizmu. Szczęśliwi właściciele kopalni nie są tu bezmyślnymi wyzyskiwaczami ludzkiego znoju, jakby ich każdy tuzinkowy autor przedstawił, ani, co byłoby także banalnem, uczta ich nie odbywa się w samą noc zgonu Antoniego. Nawet wśród swojej uciechy wspominają go i myślą o zabezpieczeniu mu losu; znać, że to ludzie twardzi, niezdolni może do odczuwania delikatnych wrażeń. Nie boleją nad osamotnieniem pary małżonków strzegących ich dobra, ale bo też niejeden z nich samych, ciężkie w awanturniczem życiu przechodził koleje i zaznał dużo samotności i biedy. Za to po zaszłem nieszczęściu, od razu miękną i czynią co mogą dla sieroty i wdowy. Taki objaw, rzadki u tegoczesnych pisarzy, świadczy o szlachetnem sercu autora. Znać, że nie patrzy na świat od brzydkiego końca, że wierzy, iż w każdym człowieku, choćby

się zbrodnią pokalał, jest pierwiastek dobrego, który w swoim czasie zakiełkuje i owoc przyniesie; znać zwłaszcza, że się rozmiłował w półdzikich mieszkańcach Hudsońskiej pustyni. W *Père Champagne* odnajdujemy znów tę pustynię w całym majestacie i grozie; aż zimno się robi, czytając tyle o mrozach i śniegach. Spotykamy się z jedną z tysiącznych nędzy, nieznanych pod łaskawszem niebem, z śnieżną ślepotą *(snowblindness)*, sprawioną olśnieniem oczu od śniegu. Choroba ta, wprawdzie przejściowa, wisi zawsze jak groźba nad zimowym wędrowcem, a biada mu wtedy, jeżeli wędrował samotnie. Dwaj nasi dawni znajomi: Irlandczyk Szon Mac Gann i Joli Pierre, wybrali się we dwójkę; ich to jednak w ciężkiej biedzie spotykamy na jakiejś bezludnej wyżynie. Szon oślepły wypytuje towarzysza:

Père Champagne.

— Czy stoimy na szczycie wzgórza? Czy to już koniec podróży?... Piotrze, czemu nic nie mówisz?

— Tak jest, stoimy na szczycie, i tu jest koniec.

— Czy mamy u stóp naszych Samotną Dolinę, a Białą Górę przed nami?

— Dolina jest tuż pod nami, a za nią góra, mój Szonie.

— Bóg wie, jakbym pragnął choć na ten jeden ranek wzrok odzyskać. Powiedz, co widzisz?

— Widzę na stoku góry drzewa błyszczące od szronu. Jest droga — o tak szeroka! idąca w dół przez środek świerkowego lasu. Na Białej Górze jest lodowiec i... wszędzie cicho.

— Twój głos brzmi jakby z daleka, Piotrze, i taki drżący, taki nieswój... To może od wiatru...

— Niema żywego tchnienia ani od gór ani od doliny.

— Przecież ja czuję na twarzy.

— To co czujesz nie jest tchnieniem życia.

— Czy nie słyszysz głosów, które aż tu wiatr niesie? Widzisz ludzi około kopalni?

— Powiedziałem ci, co widzę.

— Mówiłeś o świerkach, o lodowcach i o śniegu.

— Bo też to wszystko.

— Ale w dolinie! w dolinie, tam gdzie są górnicy.

— Nie widzę ich!

— Na miłość boską, czyż i ty wzrok tracisz?

— Nie, Szonie! Nie ślepnę.

— Czemuż więc czuć taki ból w twym głosie?

— Widzę dolinę, a na niej śnieg... śnieg...

— Chyba drwisz ze mnie, a jabym dał kilka lat mego nędznego życia, aby módz dojrzeć komin i dym wznoszący się z niego w tem ostrem powietrzu — tam, na dolinie...

— W całej dolinie niema komina ani dymu!

— Na Boga żywego! Piotrze, daj mi rękę i powiedz, dlaczego głos ci się łamie jakby tłumionem łkaniem?

— Szonie, przeżegnaj się!... Tak... dobrze!... a ja położę rękę na twojem ramieniu.

— Twoja ręka jest ciężka, Piotrze.

— Słuchaj! Oto co widzę: w dolinie widzę śnieg, pod tym śniegiem zagrzebane wszystko, ponad nim sterczy tylko daszek od otworu kopalni św. Gabryela, a na tym daszku widać postać kobiecą.

— A!...

— Nie rusza się...

— Czy się już nigdy nie poruszy?

— Nigdy!

— Duch we mnie zamiera... Piotrze! więc tam w dolinie jest śmierć?

— Tylko śmierć.

— Rozumiem! Przyszła lawina... ta szeroka droga wśród świerków?...

— Tak, a po lawinie burza dokończyła dzieła.

— Bogu dzięki, że ja tego nie widzę! Ale ta kobieta, Piotrze, ta kobieta na daszku?...

— Wyszła tam patrzeć za kimś co miał powrócić i podczas gdy patrzała, przyszła lawina i... teraz już się nie rusza.

— Czy znamy tę kobietę?

— Kto to wiedzieć może!

— Więc cóżeś to szepnął po cichu, Piotrze?

— Ja nic nie szeptałem.

— Ot! Nie słyszysz teraz jakby ktoś wzdychał, szepcząc słodko: „Natalio!“

— *Mon Dieu!* To chyba głos z tamtego świata!

— Czy jestem naprzeciwko tego daszku?

— Jesteś.

— A słońce gdzie?

— Świeci wprost nad jej głową.

— Dla niej już złe czasy przeszły i wszelki ból minął, a teraz: wieczny odpoczynek daj jej, Panie, jej i tym wszystkim, którzy tu zginęli.

— *Eh bien!* Partya skończona.

— Jeśli tu zostaniemy, zginiemy także.

— A może również zginiemy, jeśli odejdziemy.

— Nie mów tak, Piotrze! Pójdziemy i wrócimy na wiosnę.

— Niech i tak będzie.

— Cicho! Czy nie słyszałeś?

— Nie! Nic nie słyszę, ale widzę orła, leci ku Białej Górze.

I niebawem Szon Mac Gann i Joli Pierre wyruszyli z powrotem, zostawiając za sobą miejsce, które było celem ich podróży, obrócone w wielką mogiłę, a mając przed sobą cały ogrom samotnej pustyni. A choć jeden z nich oślepł od śnieżnego blasku, a drugi wiedział, że na niego spada podwójne brzemię nieszczęścia, gdyż musi dostarczać jadła i ognia i być jakoby matką swego towarzysza, przecież nie tracili odwagi, owej odwagi, bez której człowiek staje się lichszym od źdźbła słomy, zapomnianej na polu i wichrem zimowym miotanej. Oni przeciwnie, byli jako świerk, okryty zielenią wśród mrozu, pełen soków żywotnych, krążących pod śnieżną powłoką.

Skąd zaś przybyli i czemu — opowiem.

Pewien Francuz z Kanady zamieszkiwał w Samotnej Dolinie pod Białą Górą. Razu jednego zajaśniało mu szczęście: odkrył kopalnię św. Gabryela. I powiedział kobiecie, którą był ukochał: „Zabiorę muły i dużo wykopanego złota i pójdę na Wschód do

wioski, gdzie mieszkają moi rodzice. Ubodzy są, ale ich wzbogacę. A potem powrócę tu, przywożąc ze sobą księdza, i połączymy się i zamieszkamy u stóp Białej Góry". A kobieta pożegnała go, błogosławiąc i śląc za nim gorące modlitwy.

Przebył szczęśliwie pasma gór i dotarł do krainy, gdzie nowe miasta rozsiadły się na stepie, gdzie ludzie pełni byli złości i żądzy złota. Miał serce miękkie i dłoń otwartą, to też gdy doszedł do Diamond-City, otoczyli go wnet fałszywi przyjaciele, wyciągnęli na hulankę, spoili winem szampańskiem, a potem ubili, okradli i jako nieżywego zostawili na miejscu. Dobrzy ludzie jednak znaleźli go i poratowali, tak że mu wszystkie rany zagoiły się wkrótce. Mózg tylko pozostał uszkodzony: mówiono, że jest obłąkany.

Chodził z miejsca na miejsce, napominając i zaklinając ludzi, aby nie pili wina i lękali się złota, ale go wyśmiewano i przezywano: *Père Champagne.*

Pewnego razu obfita żyła złota odkrytą została w miejscowości zwanej Reef of Angel, ale równocześnie wybuchł straszliwy mór. Indyanie padali setkami, a biali dziesiątkami; wpośród tej grozy, jedyny Père Champagne nie uląkł się zarazy i nie uciekł, ale szedł pomiędzy chorych i konających, czyniąc posługę, jakiej żadne złoto nie kupi, i modląc się — a kto zmierzy, jak wysoko modlitwa niewinnych dosięga?

Gdy nikt nie chciał grzebać umarłych, on im kopał groby pod stepową darnią, skropione, miasto święconej wody, biednemi łzami szaleńca. Na zastąpienie zaś ostatnich sakramentów, umiał tylko rzec jedno: „Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!"

Zdarzyło się, iż Piotr i Szon Mac Gann, wędrujący na Zachód, trafili na to okropne pobojowisko i widzieli, jak Père Champagne walczył z żywiołami cierpienia i śmierci. Zatrzymali się i poczęli wraz z nim pracować, ratując tam gdzie ratunek był możliwy, dając pogrzeb tam gdzie grasowała kosa niestrudzonego żniwiarza. Dopiero za nadejściem zimy zaraza ustała, wtedy jednak sam Père Champagne zachorował. Ta ciężka, śmiertelna choroba przywróciła mu zupełną przytomność. Przypomniał sobie, skąd przyszedł i co mu się wydarzyło w Diamond-City, a gdy

poczuł zbliżający się koniec, poprosił ich, aby poszli do Samotnej Doliny, opowiedzieli wszystko jego narzeczonej i oznajmili jej, że idzie teraz do dalekiego ale rozkosznego kraju, kędy na nią oczekiwać będzie. Upraszał, aby poszli zaraz, iżby biedaczka nie wypatrzyła oczu i nie zużyła serca tęsknotą, czekając na niego. Wymienił im jej imię, poczem zakrył głowę kołdrą i zdał się spać, ale o zmierzchu obudził się i z cicha zawołał:

— Śnieg taki ciężki na górach... a dolina pod niemi... Zachowaj ich Ojcze!... Ach! Natalio...

Pochowali go przed wschodem słońca.

Wichry były mroźne i droga niebezpieczeństw pełna, a jednak dotrzymali słowa. Przebrnęli przez śnieżyste stepy, przedarli się przez wąwozy gór i znów ujrzeli przed sobą biały step. Wtedy dnia jednego, gdy powietrze całe lśniło ruchomemi igiełkami szronu, Szon zaniewidział. Nie chciał jednak zawrócić; słowo dane umierającemu jest rzeczą świętą; nie mógł już wprawdzie iść naprzód, ale mógł być prowadzonym przez Piotra. Mieli jeszcze nieco suszonego mięsa, a prócz tego zdarzało się, iż im jaki duch dobroczynny nagnał na strzał leśną kunę lub jelenia, a Piotr nigdy nie chybiał.

Piotr nie mówił Szonowi, że przez wiele, wiele dni szli lasem, do którego głębi nigdy się promyk słońca nie przedarł, kędy żadnej nigdy nie wyrąbano ścieżki, kędy ludzka nie postała noga: nie powiedział, że zabłądzili w pustyni. Nie przyznał się, iż pewnego wieczora ciągnął kabałę, aby wiedzieć, czy trafią do Samotnej Doliny. Zanim karty rozłożył, przeżegnał się nabożnie; po trzykroć próbował i po trzykroć karty zwiastowały zwycięstwo. W istocie, zanim słońce trzy razy powstało i zaszło, stanęli na wzgórzu, górującem nad Samotną Doliną.

A co tam ujrzeli i co w ich sercach się działo — już wiemy.

Gdy zabierając się z powrotem, obrócili się ku wschodowi, czuli, że idą na ostateczną, rozpaczliwą walkę z potężniejszym od nich wrogiem, ale czuli też, że dotrzymali obietnicy danej człowiekowi, nad którego grobem Szon wyrył był obok nazwiska następujące wyrazy:

*Brat Aarona.*

Szli pustym a groźnym szlakiem. Duchy zbłąkanych niegdyś wędrowców zdały się ich gonić i zwieszać się po drodze nad nimi, to jęcząc cicho w gęstwinie drzew, to łkając w wiatru powiewach. A Piotr wiedząc, iż złe moce można oddalić tylko silnem zaklęciem, śpiewał na całe gardło, głosem cienkim od głodu, śpiewał pieśń o Czerwonym Łowcu, którą mu matka niegdyś nuciła, aby odpędzać zmory od jego wezgłowia. I widocznie zaklęcia były skuteczne, gdyż pewnego smutnego poranku trafili w puszczy na chatę trappera, gdzie cierpienia ich skończyły się, a wzrok powrócił do oczu Mac Ganna. Nabrawszy nieco sił, udali się do indyjskiej osady, wśród której mieszkańców pracującego znaleźli kapłana i uprosili go, aby poszedł z nimi. Gdy zaś nastała wiosna, wyruszyli ku Samotnej Dolinie, aby, jeśli będzie możebnem, pogrzebać po chrześcijańsku ową zmarłą kobietę i innych zaduszonych pod śniegiem. Ale doszedłszy ujrzeli na dolinie tylko mętną i skłębioną rzekę, z ponad której sterczał jeden daszek od otworu kopalni św. Gabryela. Nawet klęcząca na nim dawniej postać kobieca zniknęła, uniesiona falą w głuche pustkowia, kędy tylko moc boska zdoła grób szczątkom ludzkim sposobić...

Kapłan jednak uklęknął i modlił się pokornie za te dusze tak nagle wezwane na sąd.

Ocenę tego ostatniego szkicu zostawimy czytelnikowi. Nie chcąc wszakże, aby się zbytnio rozczulał nad cnotami Piotra, należy nadmienić, iż w jednym z końcowych obrazków tenże sam Joli Pierre, odnalazłszy w zupełnie niewinnie przez Szona poślubionej kobiecie swoją własną, od dawna za nieboszczkę mianą żonę, proponuje Szonowi, aby całą sprawę rozegrać — w karty. Zwycięzca będzie miał prawo pobitego zastrzelić. O umówionej godzinie, w szynku, rozpoczyna się piekielna partya; Joli Pierre wygrywa, wstaje i wymierza rewolwer ponad głowę swego przeciwnika. Lecz w tejże chwili rozlegają się dwa szybkie wystrzały: jednym nieszczęśliwa kobieta powaliła Piotra, a drugim samej sobie zadała śmierć. Piotr nie zabity, tylko ciężko ranny; ale stara przyjaźń, łącząca go z towarzyszem tylu bied

i znojów, zabita na zawsze. Spotykają się raz jeszcze w chacie kapłana-misyonarza, którą autor zwie: *A sanctuary of the plains.* Joli Pierre oddał znów z narażeniem życia wielką usługę Szonowi, ale oskarżony niesłusznie o jakąś w stepach popełnioną zbrodnię, i gnany przez konnych żandarmów, kryje się u sędziwego kapłana. Dom Ojca Corraine jest wszystkich cierpień przytułkiem. Przybywają doń jednak żandarmi, a na ich czele Szon Mac Gann, który po owych tragicznych wypadkach wstąpił był do służby wojskowej. Kapłan, ratując zbiega, po raz pierwszy w życiu popełnia kłamstwo, a raczej omija prawdę; żołnierzom bowiem, którzy nie śmią robić poszukiwań w jego mieszkaniu i spuszczają się na jego słowo, powiada, wskazując ręką naokół izby: „Widzicie, niemasz go tu!“ Żandarmi ustępują, ukląkłszy wprzód dla odebrania błogosławieństwa, które biedny starzec, zarumieniony i pełen wyrzutów sumienia, waha się im udzielić, czuje się bowiem niegodnym i grzesznym. Żandarmi odjechali, ale sierżant Mac Gann pozostał; pozostał, bo się domyśla obecności Piotra. Obecnie dowiaduje się z ust księdza o oddanej mu przez Piotra usłudze, a wtedy wdzięczność a z wdzięcznością i pamięć lat dawnych przeważa w nim nad zawiścią i poczuciem służbowego obowiązku. Gdy po chwili Joli Pierre ukazuje się we drzwiach, nie myśli go już aresztować, ofiaruje się wziąć za to uchybienie odpowiedzialność przed ludźmi, a za kłamstwo kapłana odpowiedzieć przed Bogiem. Ale Ojciec Corraine potrząsł tylko głową w milczeniu; było mu bowiem ciężko na duszy. Podczas gdy ci dwaj — żandarm i zbieg — przy zamkniętych drzwiach i oknach rozmawiają półgłosem, on noc całą spędza na rozmyślaniu i modlitwie. Z rana Mac Gann odjeżdża, żegnając Piotra podzięką: żaden z nich nie wie, który z dwojga więcej drugiemu zawdzięcza, a jednak czują, że się muszą rozstać na zawsze.

W chacie nastaje cisza, gdyż za sierżantem i ksiądz na step wychodzi, a Piotr pozostaje sam, blady, nieruchomy i smętny, a gdy ksiądz po paru godzinach powraca, znajduje go na tem samem miejscu, z oczami wlepionemi w jasny błękit nieba

i z myślą pogrążoną w zadumie. Po raz pierwszy może rozmyślał nad ponurą zagadką swego życia...

Po niemiecku możnaby Piotra określić jednem słowem: *ein edler Lump*, choć i to nie wyraziłoby dostatecznie mieszaniny złego i dobrego w człowieku, działającym czasem jak szatan, ale częściej jeszcze jak anioł. Jeżeli to jest typ prawdziwy, lub raczej prawdopodobny mieszkańców nadhudsońskiej krainy, wtedy można się wiele w przyszłości od tych ludzi spodziewać. Siła woli, jedyna istotna potęga na świecie, większa niż wiedza, niż miecz, a nawet — niż pieniądz, powoli wymiera w Europie lub zwraca się w jeden tylko kierunek — chęć zysku. Być może, iż z tych dzikich pionierów drugiej półkuli zrodzą się pokolenia, które nowe tchną życie i świeżą krew przeleją w żyły naszego wyczerpanego społeczeństwa. Czy świat na tem zyska, czy straci — nie wiadomo; będzie zależało od tego, czy owe nowe siły oddalą nas czy przybliżą do Boga.

*T. W.*

# ŻEGLUGA POWIETRZNA W SŁUŻBIE NAUKI.

Od najdawniejszych czasów marzyli ludzie o tem, aby za przykładem ptaka podnieść się od ziemi, ale przez tysiące lat napróżno, bo im przeszkadzał i własny ciężar człowieka i słabość jego muszkułów. Myśl ta, aby za pomocą maszyn, którym atoli siła wyobraźni nie zdołała prędko dać potrzebnych kształtów i własności, marzenie to swoje urzeczywistnić, nigdy nie przestała zajmować ducha ludzkiego. Któż nie zna opowieści o Daedalu i Ikarze, głównych reprezentantach tej myśli w starożytności, lub projektów Bakona werulamskiego i t. p. w wiekach późniejszych, które zdawało się, że na zawsze tylko projektami zostaną. Atoli w r. 1782 pragnienia te po części się spełniły, a mianowicie, gdy bracia Montgolfier, szczególniej zaś starszy z nich Michał, członek paryskiej Akademii Umiejętności, obliczył, że balon papierowy o pewnej wielkości, skutkiem ogrzania, a więc rozcieńczenia powietrza wewnątrz niego, może nabyć siły wzlotu starczącej do podniesienia człowieka lub jakiegobądź innego ciężaru. Teoretyczne swe poszukiwania poparł on niebawem próbą odbytą publicznie dnia 5 czerwca 1783 r. przed zgromadzonemi stanami w mieście Annonay, w miejscu swego urodzenia, w departamencie Ardèche, po której ogarnął można powiedzieć ludzkość zachwyt radosny, choć na razie przesadny, a dowodem jego są sprawozdania z owych czasów, i to nietylko w dziennikach, ale i w czasopismach naukowych. Montgolfier w jednem ze swych pism podaje wymiary i konstrukcyę tego pierwszego balonu,

a mianowicie: był on kształtu kulistego, z materyi, wylepionej papierem i otoczonej siecią szpagatową; obwód jego mierzył 36 m, na dole przywiązana doń była zamiast łódki drewniana rama o powierzchni 1·7 m kw.; objętość około 750 m kub., ciężar całej maszyny 245 kg. Pojedyńcze jej części były guzikami pospinane. Po rozcieńczeniu w nim powietrza wzniósł się szybko do wysokości 1950 m, a wiatr bardzo słaby odprowadził go 2340 m w kierunku poziomym od miejsca wzlotu. Bawił tylko 10 minut w powietrzu.

Za tą pierwszą próbą, która zainteresowała bardzo świat cały, poszły wnet inne. Nie czekając na dalsze wskazówki, mechanik Robert i fizyk Charles, obaj z Paryża, wsparci subskrypcyą narodową, kazali sobie zrobić balon z kitajki powleczonej gumą, o średnicy 4m, a wypełniony wodorodem. Balon ten wzniósł się 27 sierpnia 1783 z pola Marsowego wobec niezliczonych tłumów publiczności i przy biciu dział; po blizko jednogodzinnem krążeniu w powietrzu, opadł koło Ecouen, dwie mile od Paryża. Chociaż przy tej próbie okazało się, że wodór może korzystnie zastąpić rozcieńczone powietrze, to przecież ten środek nie wszedł prędko w użycie, lecz robiono dalsze doświadczenia tak z pierwszego rodzaju balonami, które nazwano od ich wynalazcy, montgolfierami, jak z drugiemi, nazwanemi w odróżnieniu od tamtych charlièrami. Takim balonem według metody Montgolfiera odbył Pilâtre de Roziers, profesor chemii w Rheims, pierwszą osobistą podróż napowietrzną, na jaką się ludzie zdobyli, dnia 21 listopada 1783; wyjechał on z zamku Muette koło Paryża, i przebywszy około jednej mili w kierunku poziomym, bawił blizko pół godziny w wysokości 1000 m ponad Paryżem. Odwagę swoją po kilku jeszcze takich podróżach przypłacił on śmiercią w r. 1785 skutkiem zapalenia się balonu w wysokości 1200 m. Niezrażeni takim wypadkiem, już dnia 1 grudnia t. r. wznieśli się znów Robert i Charles balonem małym o 8·5 m średnicy, a napełnionym wodorodem. Wyjechawszy z Tuilleryów po podróży około 4 mil balon opadł w Nesles, gdzie Robert wysiadł, zaś Charles wzniósł się ponownie do wysokości 2000 m, gdzie notował ciepłoty $-5^{0}$ C., podczas gdy na ziemi było $+7{}^{0}0$ C.

Nie będziemy tu szli dalej za rozwojem aeronautyki i jej ulepszeniami, tak np. co do kierowania balonami, używania innych mniej kosztownych środków do ich wypełniania i t. p., bo jedynym celem naszym jest wskazać jej zastosowanie do celów naukowych, gdzie otwarło się wielkie pole czynności. Początkowo, robiący te niby spacery balonami, nie mieli wogóle należytego pojęcia ani o zadaniach naukowych, ani o trudnościach, jakie były do pokonania, aby coś zyskać dla nauki. Narzędzia do mierzenia temperatury i wilgotności powietrza, magnetyczne i barometryczne i t. p., nie były jeszcze takiej doskonałości, iżby je można było z wielką korzyścią używać w większych wysokościach. Dopiero na początku bieżącego wieku niektóre naukowe korporacye, jak paryska Akademia Umiejętności, petersburska, londyńskie Towarzystwo Naukowe i t. d., starały się tym brakom instrumentów zaradzić, a w ślad za tem poszło i określenie zadań, postawionych żeglarzom powietrznym do przyszłego rozwiązania. Były one zaś dosyć liczne, jak np.: 1) zbadać prawo ubywania ciepłoty ze wzrostem wysokości i działania promieni słonecznych w różnych warstwach atmosfery; 2) pomierzyć wilgotność powietrza w tychże warstwach, i zrobić analizę chemiczną powietrza wziętego z różnych wysokości; 3) zbadać różne optyczne przez chmury wywołane zjawiska, jakoteż przezroczystość i siłę barwy nieba w różnych warstwach powietrzni; 4) zrobić obserwacye wszystkich trzech składowych magnetyzmu ziemskiego; 5) doświadczenia nad przechodzeniem i odbijaniem się głosu w różnych warstwach przy pogodnem i pochmurnem niebie; 6) fizyologiczne spostrzeżenia przy nizkich temperaturach, nizkich stanach barometrycznych i t. p.

Rozpoczął się teraz szereg podróży powietrznych, podjętych przez uczonych badaczy, pragnących nauce przynieść coś w ofierze. Pierwszym w tym szeregu jest Jan Jeffries, którego zasługi w tej mierze odkryte zostały dopiero przed 3 laty, a stwierdzone w nader rzadkiem dziełku przezeń spisanem dla Tow. Naukowego londyńskiego w r. 1786. Jaki był zapał do tej rzeczy, dowodem opis okoliczności towarzyszących jego wyprawie, który w krótkości jako bardzo ciekawy tu przytaczamy:

Jeffries, młody amerykański lekarz z Bostonu, a zamieszkały od dłuższego czasu w Anglii, marząc ciągle o zbadaniu własności atmosfery za pomocą obserwacyj dokonanych w balonie, ale sam z techniką aeronautyki nie obznajomiony, postanowił skorzystać z chwilowej obecności w Londynie francuskiego aeronauty Blanchard'a, celem wykonania swego planu. Za udzielone mu pozwolenie towarzyszenia w podróży powietrznej, przez Blanchard'a zapowiedzianej, zapłacił temuż 100 gwinei, sumę na ówczesne czasy bardzo wysoką. Chociaż zimna i mglista pora roku, bo był to koniec listopada, nie bardzo się nadawała do takiej podróży, przecież gdy różne powody nie dozwalały jej odłożyć do lata i pogodnych dni, po pokonaniu różnych trudności, odbył ją 30 listopada 1784 roku wraz z Blanchard'em. Wzlot odbył się w Londynie o godz. 2 m. 38 popoł., a po blizko $1^1/_2$ godzinnej podróży wylądowali w miejscowości tylko o 15 klm od Londynu odległej. Do robienia meteorologicznych i fizycznych spostrzeżeń zaopatrzył się Jeffries w różne przyrządy, jak w termometr, barometr, elektrometr kieszonkowy, higrometr, zegar i kompas okrętowy, a prócz tego w kilka flasz szklanych, wypełnionych destylowaną wodą, do zabrania z sobą próbek powietrza z różnych wysokości. Według bardzo oględnie i starannie przezeń czynionych i ogłoszonych spostrzeżeń, szczególniej tyczących się ciepłoty i ciśnienia powietrza, wypada z obrachunku najniższego obserwowanego stanu barometrycznego, że największa wysokość przez tych żeglarzy osiągnięta, wynosiła 2800 m.

Odtąd przez 20 lat nic nie słychać o podróżach powietrznych naukowych, i dopiero 18 lipca 1803 r. odbył ją Robertson, fizyk, ze swoim przyjacielem Lhoest'em. Wyjechali oni z Hamburga, a po $5^1/_2$ godzinnej podróży wylądowali w pobliżu Hanoweru, około 16 mil od punktu wzlotu. Według obserwacyj barometrycznych dotarli do wysokości 6830 m, gdzie notowali ciepłotę $-6^0{,}9$ C., podczas gdy o tej chwili było na ziemi $+20^0$; z fizyologicznych pojawów wspominają o ogólnem osłabieniu w tej wysokości, nabrzmieniu żył, krwawieniu się oczu i t. p. Ciż sami uczeni powtórzyli 30 czerwca 1804 r. podróż swoją w Petersburgu na żądanie tamecznej Akademii Umiejętności, i to w towa-

rzystwie członka tejże, Sucharowa, znanego fizyka i chemika. Dosięgli tym razem do wys. 2700 m, gdzie notowali + 5°6 C., a po 3-godzinnej podróży wylądowali w pobliżu Sivoritz, 10 mil od punktu wzlotu.

Tegoż roku jeszcze Biot, tudzież Gay-Lussac, obaj znakomici fizycy i astronomowie paryscy, wybrali się dnia 24 sierpnia w podróż balonem, a to głównie celem sprawdzenia twierdzeń poprzednich podróżników, że natężenie siły magnetycznej maleje w miarę wysokości nad ziemią. Zaopatrzyli się we wszystkie ku temu potrzebne przyrządy, ale z powodu małych rozmiarów balonu zdołali zaledwie dotrzeć do wys. 4000 m po $3^1/_2$ godz. podróży, gdzie notowali + 10°5 C., przy ciepłocie na ziemi + 17°5 C., wylądowali zaś 9 mil od Paryża. Nie osiągnąwszy pożądanych rezultatów, wybrał się Gay-Lussac po raz drugi d. 16 września, i to sam, balonem już większym i opatrzonym długiemi linami, aby zmniejszyć doświadczony poprzednio ruch jego obrotowy, i ułatwić sobie obserwacye wahań magnesu. Dotarł tym razem do wys. 6923 m, nie znalazł atoli także dowodu na twierdzenia powyższe, wobec bardzo małych różnic w wynikach swych obserwacyj magnetycznych w różnych wysokościach. Najgłówniejszym wynikiem jego podróży było stwierdzenie stałego składu powietrza aż do wysokości 7000 m. przezeń osiągniętej, skąd przywiózł próbki i zrobił ich rozbiór. W punkcie najwyższym swej drogi miał ciepłotę — 9°5 C. (na ziemi w chwili odjazdu 27°7 C.), podczas gdy barometr z 765 spadł na 329 mm. Stwierdził także podawany jeszcze wówczas w wątpliwość wpływ fizyologiczny na człowieka, i tak skonstatował, że w wysokości 7000 m oddech już był utrudniony, puls przyspieszony, a przy bardzo małej wilgotności powietrza w tych warstwach gardło tak suche, że tylko z trudem zdołał chleb przełykać.

Na tem skończyły się podróże naukowe pierwszej połowy bieżącego wieku. Czy zwątpiono o możności osiągnienia upragnionych owoców, czy też brakło ludzi odważnych, którzyby dla dobra nauki narażać byli gotowi życie swoje na niebezpieczeństwo, czy wreszcie brakło mecenasów, którzyby kiesy swojej nie szczędzili na pokrycie wydatków tych kosztownych podróży, dość,

że już odtąd do piątej dziesiątki lat tego wieku o takich wyprawach cicho. Dopiero 29 czerwca 1850 r., gdy tymczasem i technika aeronautyczna udoskonaloną została, i narzędzia meteorologiczne znacznie się ulepszyły, podjęli taką podróż paryscy fizycy Barral i Bixio balonem wodorowym. Podróż ta nie bardzo się powiodła, skutkiem bowiem przypadkowych uszkodzeń i rozdarcia balonu, już po 3 kwadransach drogi, będąc narażeni na wielkie niebezpieczeństwo, spuścili się na ziemię z wys. 5900 m. Mimo tych niepowodzeń stwierdzili oni, że światło chmur nie jest poloryzowanem, że warstwa chmury przez nich przebytej, miała około 3000 m grubości, i że pomimo takiej przegrody między niebem a ziemią ubytek ciepłoty był taki, jak go znalazł Gay-Lussac przy zupełnie pogodnem niebie.

W miesiąc później, tj. 27 lipca t. r., ciż sami nieustraszeni fizycy wybrali się znów w drogę, zaopatrzeni w narzędzia, jakie ówczesna fizyka uznawała za najlepsze. Tym razem w czasie $1^1/_2$ godzinnej wycieczki dotarli do wys. 7050 m, a nie wyżej dlatego, bo się w balonie zrobiła znów rysa. Ich obserwacye termometryczne dały całkiem niespodziewany rezultat. Podczas gdy Gay-Lussac przy pogodnem niebie w wys. 7000 m notował ciepłotę — 9°5 C., oni takąż mieli w chmurach już w wys. 6000 m, a odtąd posuwając się wyżej, zmieniała się ona całkiem nieprzewidzianie, gdyż w wys. 7049 m, a blizko górnej granicy chmury, wskazywał im termometr — 39° C., przy stanie barometru 315.0 mm, a więc o 30° niżej, niż to miał Gay-Lussac przy pogodzie. Było to bardzo ciekawe odkrycie, takie nagłe obniżenie temperatury w masie chmurnej, które różne pytania co do konstytucyi atmosfery nasunęło fizykom i meteorologom. Daty podane były wiarogodne, bo stwierdzone zostały na termometrach maximo-minimalnych Walferdina, opieczętowanych dla kontroli na drogę, i w takimże stanie napowrót zwróconych, a prócz tego na termometrach ze skalą dowolną, której znaczenie w mierze termometrycznej znał tylko Regnault i on także obserwacye ich obliczył.

Te i inne jeszcze odkrycia, poczynione przez tych dwóch uczonych, skłoniły londyńskie Towarzystwo Naukowe do dalszych badań. Za jego inicyatywą odbył w r. 1852 J. Welsh, meteorolog

z Kew koło Londynu, cztery zupełnie udane wycieczki, z których w ostatniej dotarł najwyżej, tj. do 7000 m, gdzie notował stan barometru 311 mm przy ciepłocie — 23°6 C., podczas gdy na ziemi stany te równocześnie były 761 mm i + 9°6 C. Za inicyatywą także tegoż Towarzystwa w 10 lat później odbył J. Glaisher świetny szereg swoich 30 naukowych podróży powietrznych, i odtąd też mniej więcej datuje się współudział poważny i innych także korporacyj naukowych w tej sprawie, szczególniej w Austryi, Niemczech, Szwecyi, Rosyi, Ameryce północnej i t. d., do czego i rządy hojną przyłożyły rękę. W ślad za korzyściami, zdobywanemi coraz więcej na tem polu dla nauki, potworzyły się niebawem i towarzystwa aeronautyczne o celach wyraźnie zakreślonych i nauce poświęconych, jednające sobie coraz więcej zwolenników i mecenasów, i publikujące swe czynności i prace za pomocą czasopism specyalnych. Tak np. monachijskie towarzystwo, założone w r. 1889, urządziło dotąd 9 wycieczek naukowych, subwencyonowanych przez tameczne ministerstwo oświaty; towarzystwo berlińskie, wsparte funduszami pruskiej Akademii Umiejętności, a jeszcze więcej hojnemi darami cesarskiemi, rozwinęło wielką czynność, i dziś poszczycić się może wielkim szeregiem poważnych ekspedycyj, wykonanych w ciągu ostatnich lat, i przewyższających wszystkie poprzednie co do osiągniętych przez nie wysokości. Z pomiędzy wielu innych, corocznie przez te towarzystwa urządzanych wypraw balonowych, najciekawszą jest podróż odbyta w roku zeszłym przez A. Bersona, której opis według jego własnego sprawozdania w krótkości tu podajemy:

Po kilku mniejszych wycieczkach, jakie Berson odbył w ciągu r. 1894, a szczególniej po podróży odbytej d. 11 maja, w czasie której przez wielkie masy śnieżne udało mu się dobić do wys. 8000 m, przyszedł on do przekonania, że dojść do jeszcze większych wysokości możnaby tylko przy szczególnie korzystnych warunkach i jak największej lekkości balonu. Odrzucił więc z balonu swego *(Phönix)*, którym powyżrzeczoną podróż odbywał, kotwicę wagi 90 funtów, i dnia 4 grudnia o godz. 10 min. 28 rano puścił się nim w napowietrzną drogę ze Stassfurt (w Saksonii) wobec bardzo wielkiej liczby widzów, przy pięknej pogodzie

i słabym wietrze południowo-wschodnim. W 15 minut znajdował się już w wys. 2000 m. O kierowaniu balonu, aby szedł w zamierzonym kierunku, nie mogło być mowy, bo to dużo zabiera czasu i wymaga ciągłego oryentowania się na wielkich kartach, podczas gdy tego czasu zaledwie starczy na nieustanną kontrolę ruchu pionowego, doglądanie kosza, wentyla, jakoteż obserwacyę narzędzi meteorologicznych. Jeżeli się nie ma na swej drodze do przebycia żadnej grubej warstwy chmur, to żeglarz, który już odbywał wyższe podróże, dopiero od wys. 4000 m ma przed sobą ładną i pewnej energii wymagającą podróż. Pierwsze kilka tysięcy metrów już mu nie imponują, pisze obojętnie swoje notatki, uwagi i daty obserwacyjne; ale skoro barometr spadnie do 450 mm, zaczyna coraz cieńsze powietrze przypominać mu, gdzie się znajduje, a gdy opadnie jeszcze do 400 mm (± 5100 m wys.), następuje już trochę namyślania się nad swoim bytem i pobytem, przerywanego chwilami i pracą umysłową i wspaniałym obrazem głębi powietrznej pod jego stopami, a niezmierzonej nad głową jego.

Do tej wysokości dotarł Berson po godzinie jazdy, termometr wskazywał mu — 17°5 C. (na ziemi 0°, zaś + 6°0 w wys. 1400 m), lekkie bicie serca czuć się mu już dało. Przy wys. 6000 m była ciepłota — 25°5, stan barometru 350 mm. Znając z poprzednich swoich wycieczek fizyologiczne skutki, osłabiające chwilami siłę wzroku i pobudzające serce do przyspieszonej akcyi, a nawet senności, w wys. 6700 m (bar. 320 mm, temper. — 29°, wilg. 28%) wziął się do używania aparatu respiracyjnego, przeznaczonego do sztucznego oddychania. Był to w rogu kosza silnie umocowany wysoki cylinder stalowy, w którym znajdowało się 1000 litrów kwasorodu, zgęszczonego do ciśnienia 200 atmosfer, a doprowadzonego w razie potrzeby do ust za pomocą węża gumowego, przytwierdzonego do wentyla w cylindrze. Skrzepiwszy swe siły w ten sposób, wziął się do odczytania wszystkich narzędzi i ulżenia balastu, którym zwykle bywa piasek w workach.

O godz. 12 m. 24 był już w wys. 8000 m, ciepłota — 38°5 C. Czując się dobrze na siłach przy ciągłem zażywaniu kwasorodu, postanowił jechać wyżej, na co zapas balastu pozwalał, zwłasz-

cza, że i senności tym razem nie doświadczał, jak to było w czasie wycieczki jego, odbytej w październiku przy wys. 5400 m, czego atoli powodem był prawdopodobnie wyjazd o północy, i ciągłe odtąd czuwanie. Należy po każdym razie podziwiać jego odwagę, zwłaszcza gdy dawniejsze przykłady wznoszenia się jeszcze wyżej, nie bardzo do tego zachęcały, skoro np. J. Glaisher przy największej przezeń osiągniętej wysokości 8500 m zemdlał, zaś w r. 1875 dwóch z trojga francuskich aeronautów, to jest Givel i Spinelli, mimo wziętego na drogę kwasorodu, którego Glaisher nie miał, w wys. 8300 m skutkiem uduszenia śmierć znaleźli. Trzeba więc teraz było ciągle żyć sztucznem oddychaniem, bo tylko na chwilę odjąwszy rurkę od ust, następowało gwałtowne bicie serca i oczy gwałtem się zamykały; trzeba się było, krótko mówiąc, nie poddawać, ruszać się, gadać do siebie samego i t. p. Tymczasem w wys. 8700 m balon zanurzył się w chmury pierzaste, barometr wskazywał 245 mm, termometr — 43°7 C.; chmury, złożone z płatków śnieżnych gęsto wokoło krążących, wnet pokryły balon białym całunem. Po wydobyciu się z tych chmur, przy wys. 9000 m, piękne i mroźne odsłoniło się niebo. O godz. 12 m. 49, czyli w $2^1/_3$ godziny po opuszczeniu ziemi, znalazł się w wys. 9150 m przy stanie bar. 231 mm, zaś termometru — 47°9 C., a mimo że jeszcze czuł się dobrze, postanowił już teraz spuszczać się z powrotem. Z zadziwieniem dostrzegł tu w szklanej pokrywie aneroidu, że jego twarz cała była zupełnie niebieska, a wziąwszy aneroid do ręki, zdawało mu się, że dotknął się rozpalonych węgli. Zimno było dokuczliwe, osłabiające. Z tej wysokości rozpoznał wijącą się pod jego stopami w kształcie wązkiego paseczka Elbę, a inne mniejsze osady ludzkie w kształcie małych czerwonych plamek, i wogóle stwierdził, że ziemię zawsze można widzieć z tych wysokości, jeżeli tylko chmury nie przeszkadzają, a nawet takby było i z każdej innej.

W powrocie przy wys. 8500 m uderzyła go lodowata, ponura cisza, bo nawet ustało tik-tak zegaru przy barografie, które o jakiemś życiu świadczyło; zegar stanął prawdopodobnie skutkiem silnego mrozu. Na północ od Elby zniknęła ziemia pokryta chmurami, i dalsze oryentowanie się co do miejsca pobytu stało

się niemożliwem. W wys. 7500 m balon zamiast spadać, rozpoczął ruch poziomy; trzeba było pomagać mu całemi minutami, to jest gaz wypuszczać, ale mimo tego opadanie na dół było bardzo leniwe. W wys. 5000 m zaprzestał Berson sztucznego oddychania, a w wys. 2800 m przez chmury, które zasłaniały całkiem ziemię, usłyszał już szczekanie psów. Temperatura podnosiła się szybko; w wys. 1400 m była ona + 5°6 C., co wydawało się okropnem gorącem w porównaniu do 48° mrozu, doświadczonych przed godziną. Tu zaczął już pakować wszystkie przyrządy prócz aneroidu i psychrometru, zaś resztę kwasorodu wypuścił, gdyż uderzenie flaszy stalowej, w której się znajdował, o twardą ziemię, mogło być bardzo niebezpiecznem. O g. 3 m. 30 w wys. 500 m znów balon zaczął pływać w chmurach, które otoczyły go tak grubą i zbitą masą, że go chwilami z łodzi zupełnie dojrzeć nie było można, natomiast usłyszał tu gwizd jakiejś parowej maszyny i gwar wielkiego miasta, ponad którem przepływał. Naraz odsłoniła się ziemia, zaczynało się na niej już zmierzchać, a o g. 3 m. 45 z pomocą ludzi bawiących w polu, którzy na jego wołanie złapali linę balonową przezeń wyrzuconą, wylądował szczęśliwie w Schönwohld w pobliżu Kiel, a co bardzo ważne, szczęśliwie przybyły z nim i balon i wszystkie przyrządy naukowe. Wogóle droga, przebyta w tej wycieczce w ciągu 5 g. 17 m., wynosiła 310 klm w kierunku poziomym, czyli średnia chyżość balonu na 1 sekundę była 16·3 m.

Prócz takich podróży, któreśmy powyżej opisali, z pominięciem wielu innych, odbytych przez Siegsfelda w Berlinie, Traberta w Wiedniu, przez Tissandiera, Flammariona w Paryżu i t. p., z których każda nauce coś w ofierze przyniosła, a o czem poniżej jeszcze mówić będziemy, próbowano jeszcze i na innej, choć pokrewnej drodze, ale nie narażającej życia ludzkiego na tak liczne przygody i niebezpieczeństwa, prowadzić dalej rozpoczęte dzieło. A mianowicie, nie zapoznając wcale wielkiego pożytku z podróży balonowych, kierowanych ręką człowieka, aby przecież dotrzeć do jeszcze większych wysokości, aniżeli to dla organizmu człowieka jest możebnem, zaczęto przed kilku dopiero

laty, i to najprzód we Francyi pod kierunkiem prof. G. Hermite'a, robić doświadczenia z małemi balonami, puszczanemi bez asystencyi ludzkiej, ale natomiast zaopatrzonemi na drogę w różne przyrządy meteorologiczne, a więc ma się rozumieć w samopisy. Idą one na los szczęścia, po spadnięciu czasem odnalezione, czasem nie, dlatego nazwano je w odróżnieniu od poprzednich s t r a c o n e m i *(ballons perdus)*. Pomysł ten nie przynależy właściwie Francuzom, bo już w r. 1882 A. Meydenbauer, radca bud., obecnie zaś dyrektor Instytutu fotogrammetrycznego w Berlinie, plan jego opracował i ważność wykazał; Francuzi atoli pierwsi go wprowadzili w praktykę, chociaż nie z wielką korzyścią dla nauki, a to z powodu wad narzędzi obserwacyjnych i metody ich obserwowania. Balony te bowiem były zaopatrzone wprawdzie w samopisy termometryczne, ale te funkcyonowały do pewnych wysokości, w wielkich zaś przestawały działać, bo atrament zamarzał. Dopiero dr. R. Assmann, meteorolog berliński zamiast poprzedniego wprowadził t. zw. fotograficzne registrowanie przy użyciu termometru alkoholowego, a polegające na tem, że w kamerze aluminowej ciągle jest fotografowanym stan termometru i barometru na papierze *ad hoc* spreparowanym i ciągle się odwijającym z bębenka zegarem obracanego, podczas gdy równocześnie t. zw. aspirator naprowadza nieustannie do kamery świeże powietrze.

Między innemi doświadczeniami, jakich Hermite dużo robił, był balon puszczony w Paryżu dnia 21 marca 1893, objętości 113 m kub. Puszczony o g. 12 m. 25 w południe, opadł dopiero o g. 7 m. 11 koło Joigny (Yonne). Według minimum barometrycznego 103 mm, na samopisie zaznaczonego, dotarł balon do wysokości 16.000 m; w wys. 12.500 m, gdzie już atrament przy termografie zamarzł, było $-51^0$ C., a że przy wzlocie balonu było na ziemi $+17^0$ C., odpowiada to więc ubytkowi ciepłoty $0.54^0$ na każde 100 m. W tej ostatniej wysokości bawił balon przez kilka godzin, co wskazywały zapiski samopisów, i dopiero po zachodzie słońca, gdy więcej powietrze jeszcze się oziębiło, zaczął balon szybko opadać.

Pierwsze znów doświadczenie z przyrządami Assmanna od-

było się w Berlinie dnia 11 maja 1894 r. balonem *Cirrus*. Miał on objętości 250 m kub., ważył zaś tylko 42 kg, samopisy 2·6 kg. Doświadczenie to się nie udało, balon bowiem przy wichrowatym i dżdżystym stanie powietrza wyrwał się zawcześnie z rąk trzymających go ludzi, i zaraz na początku swej jazdy rozdarł się i spadł, dotarłszy tylko do 700 m wysokości. Mimo tego okazało się, że ta metoda registrowania jest dobra i przyrządy wróciły w dobrym stanie. Drugie doświadczenie odbyło się już 7 lipca t. r. i z tymże *Cirrus*'em. Balon był wypełniony gazem świetlanym, a na koszu znajdowały się ogłoszenia w polskim i niemieckim języku, zapewniające 50 mrk nagrody za oddanie narzędzi registrujących, nieotwartych po spadnięciu balonu. Po blizko 12-godzinnej podróży opadł on w Bośni, w dystrykcie Zwornik, tj. zrobił drogi 1000 km, czyli biegł ze średnią chyżością 28 m na sekundę. Wylądowanie balonu i wszystkich aparatów odbyło się bez najmniejszego ich uszkodzenia, a fotogramy tym razem uzyskane, acz tylko z pierwszej godziny wędrówki balonu, były doskonałe. Po odcyfrowaniu i obliczeniu tychże dla ustępów czasu 5-minutowych od chwili puszczenia balonu, otrzymano następujące ciekawe wyniki:

| Czas | Stan barometru mm | Wysokość w metrach | Chyżość wzlotu | Ciepłota C° | Ubytek ciepłoty na 100 m |
|---|---|---|---|---|---|
| 3 godz. 40 m. popoł. | 764 | 40 | — | + 17° | — |
| „ 45 „ „ | 550 | 2800 | 9.2 | 7 | 0.37 |
| „ 50 „ „ | 440 | 4600 | 6.0 | — 2 | 0.50 |
| „ 55 „ „ | 340 | 6600 | 6.7 | — 15 | 0.65 |
| 4 godz. 0 „ „ | 250 | 9000 | 8.0 | — 25 | 0.42 |
| „ 5 „ „ | 200 | 10600 | 5.3 | — 35 | 0.62 |
| „ 10 „ „ | 160 | 12150 | 5.2 | — 43 | 0.52 |
| „ 15 „ „ | 125 | 13800 | 5.5 | — 47 | 0.24 |
| „ 20 „ „ | 110 | 14650 | 2.8 | — 50 | 0.35 |
| „ 25 „ „ | 95 | 15600 | 3.2 | — 53 | 0.32 |
| „ 30 „ „ | 85 | 16325 | 2.4 | — 52 | — 0.14 |

O 4 godz. 30 minut urwało się registrowanie barometru z powodu błędnego, ale z poprzednich doświadczeń wyniesionego mniemania, że niższego stanu barometru nad 85 mm spodziewać

się nie można, do czego też odpowiednio przyrządzono papier registrujący, tak, że cała dalsza krzywizna barometryczna przypadła już poza papierem; drugi zaś powód był, że przygotowano przy samopisie tenże papier tylko na 6 godzin, a że podróż balonu trwała przeszło 11 godzin, zatem brakło go przy opadaniu tegoż.

Dnia 6 września z. r. puszczono w Berlinie po raz trzeci ten sam balon; po 7-godzinnej drodze, przy średniej chyżości 38 m na 1 sek., spadł on między Wilnem a Mińskiem na Litwie. Prawdopodobnie dotarł on jeszcze do większej wysokości, aniżeli poprzednio, termofotograf bowiem registrował najniższą ciepłotę — 68° C.; dalsze atoli szczegóły tego doświadczenia dotąd nie są publikowane.

Ponieważ do systematycznych badań i doświadczeń wielkie balony z powodu znacznych kosztów, i ich po większej części zbyt powolnego ruchu w kierunku pionowym, nie są bardzo dogodne, a nadto giną one czasem bez śladu, wraz z narzędziami, jak się to przytrafiło dnia 15 lipca 1893 inżynierowi Andrée'mu w Sztokholmie, wprowadzono więc w ostatnich czasach w użycie t. z. Piloty, to jest małe balony, mające jeden lub niewiele metrów kub. objętości, a które jako takie wznoszą się nader szybko. Przy ich zastosowaniu głównie chodzi tylko o wyznaczenie przebytej przez nich drogi, tak co do kierunku, jak i długości, wreszcie zaś i chyżości, celem obliczenia kierunku i chyżości wiatru w różnych warstwach atmosfery, jako najważniejszego czynnika meteorologicznego — na to zaś podaje sposoby geometrya praktyczna, za pomocą obserwacyi balonu z dwóch punktów na ziemi obranych, a mianowicie jego pozornej wysokości, azymutu i pozornej jego w czasie drogi wielkości. W ten to sposób, to jest za pomocą takich małych balonów, zrobił w r. 1893 Kremser w Berlinie kilkanaście udatnych doświadczeń, które w przeciągu niespełna godziny dostarczyły dobrego materyału do wyznaczenia kierunku i chyżości wiatru dla 10 różnych wysokości, w granicach aż do 2000 m, i te doświadczenia prowadzi odtąd systematycznie dalej. Wzięto się do tego następnie za jego przykładem i we Francyi, zwłaszcza w Amiens, a za pomocą zna-

jomości miejsca wylądowania takich balonów, tudzież czasu jego pobytu w powietrzu, zdobyto cenne wiadomości o prądach powietrznych, panujących nad Francyą.

Różnych więc sposobów, jak widzimy, chwytała się nauka, aby tylko na swoją korzyść spożytkować wynalazek balonu i choć częściowo ziścić nadzieje na tem polu doń przywiązane. Do takich sposobów, prócz powyżej wspomnianych, należy jeszcze puszczanie balonów trzymanych na uwięzi *(ballons captifs)*, a służących głównie do badania niższych warstw powietrznych, mniej więcej do wysokości 1000 m. Przy tej metodzie zastosowania balonu unika się jednej z wielkich niekorzyści poprzednich sposobów, a mianowicie ciągłej zmiany miejsca, gdyż przy stosownem urządzeniu w ten ostatni sposób nawet przez dłuższy czas może być balon w tej samej wysokości utrzymany, a więc i przez dłuższy czas może on zmiany powietrzne i różne czynniki tam registrować. Tego rodzaju balony bywają zwykle małe, obciążone tylko przyrządami meteorologicznemi, a najwięcej używane bywają przez wojskowość. Jak przy innych sposobach, tak i tu zdarzają się czasem nieprzewidziane przypadki. Tak np. balon wojskowy, przygotowany do puszczenia w Wiener-Neustadt dnia 28 sierpnia 1894, a trzymany przez 28 ludzi, wyrwał się z ich rąk przy nagle powstałym północnym wichrze, i uniósł z sobą jednego z kierujących tem doświadczeniem. Dotarł on do wysokości 5000 m, i w tej wysokości przebywszy przeszło 400 km w kierunku poziomym, wylądował szczęśliwie koło Zupanje w Kroacyi, o g. 3 m. 10 popołudniu, zebrawszy niespodziewanie w czasie swej drogi nietylko registrowane, ale i osobiste pożądane daty i wiadomości.

Pokrewieństwo, chociaż już dalekie, zachodzi także między balonami, a t. zw. latawcami albo orłami, które prócz popularnego użytku, mają również swoją historyę i w dziedzinie nauk. Do meteorologicznych i fizycznych badań były one prawdopodobnie po raz pierwszy użyte przez B. Franklina w r. 1750 przy jego pracach nad elektrycznością powietrzną, i one doprowadziły go do odkrycia piorunochronów. W latach 1836/37 używał admirał angielski J. Back orłów do pomiarów ciepłoty wyższych warstw

powietrznych w okolicach północnego Oceanu Lodowatego. W roku 1882 angielski meteorolog D. Archibald przeprowadził szereg doświadczeń z orłami zaopatrzonemi w wiatraki i termometry, i zebrał liczne daty w tym kierunku, aż do wys. 600 m ponad powierzchnię ziemi, przyczem celem zdobycia jak największej siły wzlotu dla swych orłów, używał on połączenia kilku tychże ze sobą, jeden ponad drugim. W ostatnim dziesiątku lat podjął te doświadczenia na obszerną skalę meteorolog A. Rotsch na obserwatoryum Blue-Hill w Ameryce. Przy użyciu orłów według wzoru Archibalda, a zaopatrzonych na drogę w termografy z aluminium, nader lekkie, bo ważące mało co więcej nad $^1/_2$ klg, zebrał on także wiele cennych dat o rozkładzie ciepłoty aż do wysokości kilkuset metrów. Taki np. aparat, złożony z 6 spojonych z sobą orłów, wypuścił on 4 sierpnia, a potem jeszcze 15 t. m. 1894 r. Stąd uzyskane daty, porównane z datami otrzymanemi termografem Richarda na obserwatoryum (wys. 100 m) i na innej stacyi w poblizkiej dolinie (wys. 15 m), dostarczyły ważnych dat co do zmian ciepłoty ze zmianą wysokości, a prócz tego i co do panujących prądów powietrznych tak w kierunku pionowym jak i poziomym.

Kończąc ten krótki przegląd rozmaitych sposobów zastosowania balonu do celów meteorologicznych, powiedzieć jeszcze musimy kilka słów o ważności tych doświadczeń.

Meteorologia zajmowała się przez długie lata badaniami i obserwacyami stanu powietrza, ale niemal wyłącznie u jego podstawy czyli przy powierzchni ziemi; z nich otrzymawszy średnie wartości klimatyczne, starała się następnie mimo tego zbyt jednostronnego i ograniczonego materyału wyciągnąć wnioski o zjawiskach i stanie całej atmosfery. Ale to było niemożliwe, bo trudno żądać, aby teorya dała nam zaspakajające wyjaśnienie o tych nader zawikłanych zjawiskach wśród oceanu powietrznego, kiedy same obserwacye, fundament, a zarazem i kamień probierczy każdej teoryi, są całkiem niedostateczne. Aby temu zaradzić i z tego przykucia do powierzchni ziemi się uwolnić, pozakładano w ostatnich dziesiątkach lat znaczną liczbę stacyj meteorologicznych na szczytach górskich, a zebrane tam spostrze-

żenia posłużyły już do sprostowania naszych zapatrywań, fałszywych w niejednym względzie. Ale i ten stan powietrza zanadto podległy jest wpływom stałego lądu; najwięcej jeszcze do ideału wolnej i odosobnionej stacyi powietrznej zbliża się tylko lekko zbudowana wieża Eiffla w Paryżu, gdzie za pomocą stacyi meteorologicznej, na jej wierzchołku urządzonej, zyskano kilka bardzo ważnych i nieznanych wskazówek, tyczących się głównie temperatury i chyżości wiatru. Niema atoli wiele nadziei pomnożenia tego rodzaju stacyj, a prócz tego wysokość ich nie odpowiadałaby jeszcze wszystkim potrzebom nauki. Inaczej mówiąc, meteorologia, ograniczona do powyższych źródeł obserwacyi, jest niezdolną do zmierzania ku swemu głównemu celowi, a którym jest, aby, podobnie jak astronomia, zdołała przyszłe zjawiska przepowiadać. Potrzebowała ona od dawna innych źródeł do zbadania stanu atmosfery w najrozmaitszych jej wysokościach i w najrozmaitszych jej przemianach, a drogą, do tego prowadzącą, jest tylko zastosowanie balonu, bądź wolnego, bądź uwięzionego. Ten ostatni w każdym razie ma mniejszą wartość, gdyż każda zmiana siły wiatru zmienia jego wysokość, a przy silnym wietrze jest nawet bezużyteczny, wreszcie wysokość jego wzlotu ma granice szczupłe, naprzód już wyznaczone, poza które przejść nie może. Pozostaje więc tylko balon wolny, do tych celów najodpowiedniejszy, bądź taki, który obserwatora prowadzi tak wysoko, jak warunki życia ludzkiego pozwalają, bądź też wyżej samopas puszczony i zaryzykowany na zagubę, ale w razie pomyślnym przynoszący za pomocą narzędzi registrujących wiadomości z niedostępnych już dla człowieka wysokości.

Możnaby powiedzieć, że wraz z zastosowaniem balonu do celów meteorologicznych, i wraz z nadzieją otrzymania stąd rzetelnych korzyści, nastała nowa era dla tej nauki, gdyby nie zarzut, jaki sam się nasuwa, że podróże balonowe, nic to przecież dziś nowego, bo już od przeszłego wieku, jak widzieliśmy, były w celach nauki podejmowane, a jednak meteorologia nie doznała spodziewanego impulsu! Na ten zarzut odpowiedź łatwa. Stosunkowo mały owoc z dawniejszych podróży balonowych miał różne przyczyny; jużto, że obserwacyj, na tej drodze otrzy-

manych, nie umiano należycie spożytkować wobec braku do niedawna buletynów meteorologicznych, wielkie obszary ziemi obejmujących; jużteż, że te podróże i spostrzeżenia, z nich dostarczone, były sporadyczne, a jako takie, dostarczały tylko odosobnionych faktów tam, gdzie pewna systematyczna ciągłość w ich powtarzaniu i wytrwałość są niezbędne. Niekorzystnie na postęp tej rzeczy wpłynęły prócz tego niedostatki narzędzi meteorologicznych, szczególnie ciepłomierzy, bo najważniejszą tu jest znajomość rozdziału ciepłoty w wyższych warstwach powietrznych, gdyż na tem po największej części polega cała dynamika powietrzna. Dopiero gdy wprowadzono termometr aspiracyjny, któryśmy poprzednio opisali, i odtąd zwrócono na to uwagę, aby tylko rzeczywiście wolne i dostatecznie od balonu odległe powietrze poddawać badaniom, jak to robił Welsh już w r. 1852, odczytując za pomocą lunety ciepłotę na termometrze, umieszczonym kilka metrów poza łódką, dopiero odtąd myśleć było można o zyskaniu prawdziwszych niż dotąd dat i wniosków.

Łatwo zrozumieć, że wobec krótkości czasu, odkąd obserwacye balonowe wprowadzono w ścisły związek z ogólnym ustrojem atmosfery, obserwowanym w różnych punktach ziemi, nie może dotąd być wielkich zdobyczy, prostujących stare i utarte poglądy. Dziś te obserwacye innym i surowszym, aniżeli dawniej, podlegają wymogom. Tak np. za inicyatywą bawarskiego centralnego zakładu meteorologicznego, równocześnie z monachijskiemi wycieczkami balonowemi, robią odpowiednie spostrzeżenia na sąsiednich górskich stacyach, jak na Hohenpeissenberg, Hirschberg, Wendelstein i t. p.; a stąd już zyskano między innemi ważny dowód, że ciepłota powietrza na wysokich punktach górskich wcale nie jest taka sama, jak w wolnej atmosferze w tej samej wysokości. I w ten to dopiero sposób uzyskano następnie szereg prawdziwie cennych spostrzeżeń dla wszystkich czynników meteorologicznych, zwłaszcza przy użyciu aparatu prof. Finsterwaldera, za pomocą którego fotografowanym jest ciągle w czasie drogi stan aneroidu, suchego i mokrego termometru, tudzież zegaru, do czego w nocy służy oświetlenie żarowemi lampami elektrycznemi. Można atoli powiedzieć, że spostrzeżenia te są do-

piero w toku, i że potrzebują jeszcze wiele pracy, zanim sformułować będzie można stwierdzone prawa. A jeżeli kiedyś zerwaną zostanie opona, którą przyroda osłoniła tajemnicze zjawiska atmosferyczne; jeżeli późniejsze dopiero może pokolenia zrozumią ten dla nas zawikłany jeszcze mechanizm, tak, że przyszły stan powietrza przepowiadać będą mogły z całą pewnością, to w pierwszym rzędzie zasługa tego przypadnie dzisiejszemu pojęciu naszemu o wielkiem znaczeniu naukowych podróży balonowych.

*Dr. Wierzbicki.*

# ŁUŻYCE.

Już przed Zgorzelcem (Goerlitz) przekroczyliśmy granice dawnego margrabstwa łużyckiego. Dziś koleją pędząc, niktby się nie domyślił, że tu niegdyś rozciągały się potężne słowiańskie państwa Świętopełków, Bolesławów; tu, pod samym Zgorzelcem, pod dawnym Drewnowem, dzielny Cześcibor królował w obronnym swym zamku i toczył z wrogami zwycięskie boje. I z wagonu wysiadłszy, w okoliczne wioski się zapuściwszy, niełatwo, nie od razu wpadniesz na łużyckie ślady; wszędzie niemiecki język, niemiecki obyczaj. Na szyldach zgorzelskich sklepów, na tramwajowych afiszach haniebnie poprzekręcane pół-polskie, pół-niemieckie nazwiska — prawdziwe „pół barana, pół kozy“: J. Salewsky, A. Katschinski; znak, że Polacy przyszli tu szukać chleba, jak szukali go i szukają w Dreznie i w Berlinie, w Wiedniu i Londynie, za jednym i za drugim oceanem; ale to polski ślad, nie łużycki. Jedziesz dalej, na dworcu mignął charakterystyczny, różnobarwny ubiór Łużyczanki z okolic Chociebuża; i znów wszystko, co w ucho, w oko wpada, tak grubo niemieckim pokostem polakierowane, że niesposób dotrzeć do słowiańskiego jądra. Czym się tylko nie pomylił, czy te Łużyce, o których w ostatnich czasach stosunkowo dość dużo u nas pisano, nie leżą gdzieindziej; czy naprawdę jadę środkiem, bądź co bądź, słowiańskiej jeszcze ziemi?

Parę kroków za kubšicką (Kubschütz) stacyą widać w pół mgle jakieś wieże; konduktor objaśnia, że dojeżdżamy do Bautzen.

Więc nie pomyliłem się. Bautzen, to stary, chrobrowski Budyszyn, duchowa stolica nietylko górnych, saskich, ale do pewnego stopnia i dolnych, pruskich Łużyc; to zborny punkt łużyckich patryotów; źródło, z którego niewielkim, ale nieustającym strumieniem płyną łużyckie książki, pisma, pieśni. Ale znowu, gdy z kolejowego dworca w pierwszą ulicę się zwracam i niemieckie dźwięki o ucho się obijają, gdy rzucam okiem na niemieckie sklepowe szyldy, niemieckie hotelowe napisy, znowu do umysłu wątpliwość puka: „Czy to naprawdę łużycki Budyszyn? a jeśli naprawdę, co sądzić o głoszonem *urbi et orbi* łużyckiem narodowem odrodzeniu, które, jeśli gdzie, to tutaj najsilniejszem tętnem bićby powinno?“ Na głównym placu jeden słowiański napis nieśmiało z orszaku niemieckich towarzyszów się wychyla: *Smoljerjec knihiciśćernja*, tj. jak obok położony niemiecki napis objaśnia: *Schmaler's Buchdruckerei*; gdzieś na przedmieściu zawieszona na skromnym domku tablica z napisem: *Sòl na předan*, widocznie ustępstwo zrobione przybywającym z okolicy wieśniakom; ależ trudno żądać, aby obcy przybysz wyłowił od razu tych parę napisów z gęstego niemieckiego morza. A choć szczęśliwym trafem pod oko mu się podsuną, cóż znaczy tych parę kropli wobec zalewającej wszystkie place, ulice, ogrody, niemieckiej powodzi? Gdzieżeś, gdzie stara serbska stolico; gdzieżeś stary, chrobrowski Budyszynie?!

Gdzie? — Przejdźmy tę wielką bramę, za którą wznoszą się gmachy budyszyńskiej kapituły, a otrzymamy częściową przynajmniej odpowiedź. Niema tu już, niestety! gorącego przyjaciela Polaków, nieodżałowanego księdza Michała Hórnika, którego imię znane każdemu dziecku, jak długie i szerokie Łużyce; którego każdy Serb-Łużyczanin nazywa z dumą wskrzesicielem swej narodowości! Niema go, ale duch Hórnika mieszka w gmachach, w których tyle lat pracował; ale ideały, dla których żył, zostawił w święcie strzeżonej spuściźnie swym przyjaciołom i następcom. Jak za Hórnikowych czasów, tak teraz, gość polski od pierwszej chwili, w której przekroczył kapitulne progi, widzi i czuje, że nie uważają go tu za gościa, a za serdecznego druha, za przyjaciela. Następca Hórnika w godności scholastyka budyszyńskiej

kapituły, zastępca w rozpoczętem przezeń dziele duchowego, literackiego odrodzenia łużyckiego ludu: Jurij Łusčanski, wita jak brata, i pojąć nie chce, jak można było od razu na „dziekaństwo“ nie zajechać. Wita jak brata i przy pierwszem uściśnieniu ręki na usługi się oddaje, wiernie wszystko, co w Budyszynie ważne i ciekawe, obiecuje pokazać, proboszcz „serbskiej cerkwi“: ks. Jakób Skala. Podobnie wita, te same, równie szczere, nie rachujące się z czasem, z niewygodą, daje zapewnienia i dyrektor „dziekańskiej szkoły“, i „dziekański kaznodzieja“ i „dziekański wikary“. Poczciwi!... Oby tylko nie zapomnieli o danem półgębkiem przyrzeczeniu, i jak od czasu do czasu Polacy zaglądają do Budyszyna, tak oni znowu wybrali się jak najprędzej do „polskiego Rzymu“, na Wawel, na Kościuszkowski kopiec!...

Prześlicznym wieczorem oprowadza mnie jeden z poznanych przed paru godzinami, a zdawałoby się znanych i pokochanych od lat i lat przyjaciół, po spadzistych budyszyńskich ulicach; wspinać się każe nieforemnemi schodami, na góry i pagórki, staremi domami i drzewami zasiane. Stajemy pod rozłożystą gruszą i ogarniamy okiem cały Budyszyn. Niewielkie miasteczko, zaledwie dwadzieścia parę tysięcy mieszkańców liczy; nie kryje w sobie artystycznych skarbów, nie ciągnie zagranicznego turysty muzealnemi osobliwościami w wielkim stylu, ale historyk chętnie tu zagląda i z pewną czcią spogląda na te wyżyny i pola, na których rozgrywały się stanowcze walki między słowiańską rzeszą a niemiecką potęgą; Serbowi żywiej serce uderza, kiedy wspomni, czem kiedyś był Budyszyn, jak wspaniała, pełna czarodziejskich nadziei dla jego narodu wschodziła tu jutrzenka, niegdyś, niegdyś... I Polak od wzruszenia się nie obroni, gdy mu Serb-towarzysz zalesione wzgórze pokaże, na którem wedle tradycyi szykowały się do boju zwycięskie poskie hufce Chrobrego. Teraz księżyc ozłocił panującą nad całą okolicą ortenburską wieżę; choć dla oka za daleko, ale fantazya przybliża i w oryginalnych barwach, w kolosalnych, jakichś nieludzkich kształtach maluje rycerską, zwieszającą się z wieży kamienną postać Macieja Korwina; z dołu, gdzieś z przepastnych głębin dochodzi do ucha przytłumiona muzyka przewalających się flegmatycznie

fal Sprewy. Słowa przez usta nie przechodzą, za to myśli, pobudzone księżycowem światłem, szumem rzecznym ukołysane, tem szybciej w dal biegną...

Kiedy stanął tu pierwszy obwarowany gród, czy istotnie, jak głosi tradycya w pierwszych latach IX. wieku po ustąpieniu najezdniczych legionów frankońskich? Czy przechodził już tędy, czy tu królował bohaterski Samo, słowiański Aleksander W., co w kilkunastu latach założył wielkie państwo, mające trwać tak długo, jak długo żył jego założyciel; czy na tych właśnie może górach, których ciemno-zielone szczyty w jedno czarne, niewyraźne pasmo teraz się zlewają, rozłożyły się obozem hufce Karola W.? Na tej tam górze, na „Hromadniku", gromadzili się serbscy mężowie bronić swych domów i rodzin przed posuwającą się ciągle, ciągle naprzód, zaborczą nawałą niemiecką; na szczytach Praszicy pytali swych bogów, jakie ich losy w przyszłości czekają, iść, czy nie iść na wojnę, czy z koniecznej walki wyjdą zwycięsko? Na lubińskiej górze złączyło się siedmiu serbskich książąt do wspólnej obrony przeciw znienawidzonym Niemcom; siedmiu książąt padło i wszystkich siedmiu, każdego w złotej koronie, pochowali wierni poddani pod jednym wspólnym głazem. Tu skaliste urwisko, pod niem rzeka ścisnęła się w wązkie, głębokie koryto; tu stał złoty bałwan: *przyboh*, który co roku pożreć musiał jednego przynajmniej Niemca. Dalej, na południe od miasta, dwie wznoszące się naprzeciw siebie góry, poświęcone dwom bożkom: dobremu, białemu duchowi: *Biełobohowi*, złemu: *Czernobohowi*. A obok tych dwóch najpotężniejszych snuły się całe gromady złych i dobrych duchów, wrogów i opiekunów domów, gór, lasów: młodzieńcza, siwa, prześliczna Liuba, groźna, śmierć niosąca Marzana...

Przeszły szybko czasy serbskich książąt; ustąpili serbscy bożkowie do niedostępnych moczar i lasów, ale ustępowali zwolna, bo zbrojni apostołowie krzyża, nie zawsze, niestety! trzymali się w życiu przykładu Mistrza, którego naukę mieli głosić i szerzyć. Henryk Ptasznik puścił na słowiańskie ludy wyćwiczone w rozbojach „legiony łotrów"; okrutny margraf Gero urządzał polowania na „słowiańskich barbarzyńców" i na uczcie, wyprawionej

we własnym zamku, mordował słowiańskich książąt. Trzydziestoletnie (1002—1032) polskie panowanie, polskie *interregnum*, jak je Niemcy zowią, upłynęło na ustawicznych, krwawych walkach. Budyszyn zajmowały kolejno hufce Chrobrego i wojska Henryka II.; zawarty w r. 1018 pokój budyszyński przyznał urzędowo Polsce ziemię milczańską, łużycką i lubuską. Cóż z tego, kiedy następcy „krala a fjerszta“, potomkowie legendowego króla a księcia Chrobrego, nie umieli utrzymać w ręku tych zdobyczy? Po licznych bojach, po licznych i ciężkich z obu stron gwałtach, Mieszko opuścił (1032 r.) Łużyce i zdał je Niemcom na łaskę i niełaskę. Ofiarą gwałtów padali Niemcy, padali Polacy, ale jak dotąd, tak później padali na pierwszem miejscu nieszczęśliwi mieszkańcy „Wendowie“, jak ich Niemcy urzędowo nazywali w swych kronikach i dyplomach: *Slavi cognomento Winidi, Wenedi, Winedi*...

Biedni Wendowie! — kilkakrotnie do broni się zrywali i próbowali wybić sobie niepodległość; za każdym razem potoki krwi topiły ich nadzieje, a na polach, krwią przesiąkłych, wyrastała coraz sroższa niedola. Wend nie mógł sobie zdobyć już nietylko majątku, znaczenia, ale nie miał nawet prawa wstępu do rzemieślniczych cechów. Za lada oskarżeniem, często bez oskarżenia, niszczono wendyjskie wsie i osady, a mieszkańców przepędzano na nadreńskie, na nadmeńskie pustkowia; całe rodziny sprzedawano w niewolę i wywożono w dalekie kraje, nieraz aż na afrykańskie brzegi. W XIII. wieku okrutne, zdawałoby się, niemożliwe prawo, którego wykonania na szczęście nikt przypilnować nie mógł, zakazywało pod karą śmierci używania łużyckiego języka [1]. Inne prawo, wydane trzy wieki później, zabraniało surowo „wendyjskim chłopom“ nosić długie włosy, wstążki, buty z obcasami i pióra na kapeluszach. „Wendyjski naród — nauczał Luter w swych pismach — jest najgorszym ze wszystkich, między którymi Bóg żyć nam przeznaczył... Lud to nieuczciwy, niegościnny,

[1] Por. *Das Wendentum in der Niederlausitz,* von Ewald Müller, Kottbus 1894. — „Rys dziejów serbo-łużyckich“, przez W. Bogusławskiego. Petersburg 1861. Podane tu szczegóły z łużyckich dziejów oparte są przeważnie na tych dwóch źródłowych pracach.

nie znający się na zasadach, ani grzeczności, ani przyzwoitości; lud to nieokrzesany, grubiański, dziki". Piękne nauki reformatora w las nie poszły. Król Fryderyk Wilhelm I., pragnąc wytępić „najgorszy ze wszystkich ludów", zniszczyć jego język, zakazał w osobnym dekrecie dawać ślubów łużyczańskim Serbom, którzyby się nie wykazali dostateczną znajomością języka niemieckiego. Dekret ten wyszedł w XVIII wieku; godnie on stanąć może obok cytowanego powyżej prawa z barbarzyńskiego XIII. stulecia.

Cóż dziwnego wobec takich praw, takich właściwiej mówiąc bezprawi, że granice zajęte przez słowiańskie szczepy z wieku na wiek się ścieśniały? — jeśli co dziwne, to raczej to, że dotąd Łużyczanie żyją, żyć chcą, że tak energicznie bronią się przed roztopieniem w niemieckiem morzu. Kiedy Lutrowi wspominano o projekcie przełożenia Pisma św. na język łużycki, machnąć miał ręką z lekceważeniem i zawołać: „Po co i dla kogo? — Nie przejdzie sto lat, a nie będzie ani jednego Wenda na świecie!" Proroctwo Lutrowe nie ziściło się; Wendowie przed zagładą swego języka, po części i swego obyczaju, po rycersku się bronią; ale jak długo bronić się jeszcze potrafią?

Nie długo, nie długo już — odpowiadają im Niemcy. Czego nie dokazały średniowieczne rzezie i krwiożercze prawa, to z łatwością osiągnie i w znacznej części już osiąga niemiecka szkoła i niemiecka kultura. Dziś mowy być nie może o gwałtownej jakiejś walce, któraby miała uprzątnąć ze świata łużycki język; ginie on sam ze siebie powolną, spokojną śmiercią [1]. Popatrzcie na mapę, gdzie jeszcze przed kilkudziesięciu latami rozciągały się czysto łużyckie kolonie, a gdzie dziś się rozciągają... Od r. 1750 do 1850 zniemczało w dolnych Łużycach przeszło sto parafij. Porachujcie, w ilu parafiach w ostatnich pięćdziesięciu latach zniknęły ostatnie ślady wendyzmu w kościele i w domu. Niech co rok tylko zmniejsza się liczba Wendów w pruskich Łużycach o tysiąc, a za jakie 60 lat, już w Prusach wendyjska narodowość należeć będzie do historyi. Za pruskiemi pójść muszą

[1] R. Andree, *Wendische Wanderstudien.*

i saskie Łużyce; pójść muszą, choć prawdopodobnie w wolniejszem tempie. Daremnie! naturalnego biegu historyi nikt nie zmieni; gwałtownemi wysiłkami można go może na chwilę zatrzymać, ale nie dłużej, jak na chwilę.

Tak mówią, tak prorokują Niemcy. I łużyccy patryoci, choć rąk założyć nie chcą, od rozpaczliwych myśli wszelkiemi siłami się bronią, przecież niewesołem okiem w przyszłość patrzą. Może cichy, czerwcowy wieczór; może przytłumiona, nocna muzyka fal i drzew, melancholijniej niż zwykle towarzysza mego nastroiła; ale niechby w słowach jego, wyrzuconych nagle po długiej zadumie, jakby dla ulżenia sobie, dla zrzucenia z serca gniotącego ciężaru; niechby w słowach tych palących, targających nerwy, tylko połowa prawdy się mieściła, to i tak prawda byłaby bardzo gorzka!

„Co długo mówić? — giniemy! Czy za jakich lat dwieście będzie po nas ślad? Będzie w książkach, czytanych przez uczonych, jedzonych przez mole; w życiu nie będzie. My teraz niby podwójnem życiem żyjemy; wszystko się pali niby jasnym, bardzo jasnym płomieniem, ale i świeca przed zgaśnięciem rzuca na chwilę tak piękny, tak wielki płomień, jak nigdy przedtem. I człowiek w gorączce zdumiewa innych swym zapałem, energią: a cóż z tej energii? Stary nie jestem, a jednak pamiętam całe wsie, które za mego dzieciństwa były słowiańskie, dziś są niemieckie. U nas w Saksonii, w pierwszej przynajmniej klasie ludowej, językiem wykładowym jest macierzyński język dzieci; w następnych nauczyciele-Łużyczanie posługują się rodzimym językiem, jako pomocniczym. W Prusach łużycki język ze szkoły zupełnie wygnany. Szkoła, to pierwszy germanizacyjny zakład; drugi, to wojsko, a ten drugi z równą siłą funkcyonuje w Prusach, jak w Saksonii. Chłopak, który przeszedł przez wojsko, jest z niewielu wyjątkami dla narodowości i języka naszego stracony. Źle z nami! Czujemy to wszyscy, choć nie wszyscy głośno mówią — i dobrze może robią. Ale łudzić się samemu? Po co mam się łudzić?“...

Dwaj Łużyczanie, służący od wielu lat w wyjątkowo łużyckim domu, powtarzają w dłuższej pogawędce te same poglądy

beznadziejne, zbyt długą, zbyt ciężką niewolą w duszę wsączone. Dalszy to ciąg nadsprewskich zwierzeń, z tą różnicą, że świadkami ich zamiast wód Sprewy, ustawione rzędem butelki z piwem; zamiast gór zielonych, góry półmisków i talerzy; zamiast księżyca, okopciała lampa. Młodszy służący systematycznie zapatrywania swe wyłuszcza; starszy, mocno szpakowaty, podkreśla każde słowo to kiwnięciem głową, to machnięciem ręką.

„Prawdziwych Wendów coraz nas mniej; jak śnieg na wiosnę topniejemy. Ot! co dalej szukać? Moja własna siostra poszła jak była malutką do Drezna na służbę, a dziś ani słowa już po naszemu nie umie. Każdy Łużyczanin, każda Łużyczanka rozmówi się dziś z równą łatwością w języku niemieckim, jak w rodowitym; jedynie ośmdziesięcioletnie babulki nie mogą się do niemieckich dźwięków przyzwyczaić. Ale babulki wymierają, a młodzi, raz z konieczności, drugi raz z przyzwyczajenia, lub dlatego, że boją się narazić, coraz częściej posługują się niemczyzną. Sam pamiętam, jak w naszym Budyszynie daleko więcej po łużycku rozmawiano na ulicach, w domach, niż dzisiaj. Więcej dziś piszą, książki, dzienniki wydają. Gdyby ta dziennikarska, książkowa robota była rozpoczęła się przed sześćdziesięciu latami na taką skalę, jak teraz, to kto wie, inaczejby może u nas wyglądało. Dziś za późno!“...

Serce się ściska, słuchając tych wynurzeń. Więc jakże? — czy łużyckim naszym pobratymcom przeznaczony los amerykańskich czerwonoskórców — wolna śmierć? Czy broniona z takim zapałem i poświęceniem twierdza łużyckiej narodowości broni się jedynie dla honoru; ale na bramach jej wypisane złowieszcze wyrazy: *Lasciate ogni speranza?!* Bez wątpienia, najmniejszy ze słowiańskich ludów, największemi zagrożony niebezpieczeństwami naród łużycki, znajduje się w niesłychanie krytycznem położeniu. „Nasza narodowość, obyczaj i język — pisze łużycki historyk, nie Niemiec, ale rodem i uczuciem Łużyczanin — podobne są do helgolandzkich skał, od których morskie bałwany rokrocznie jeden głaz po drugim odrywają“... Lecz jak uwierzyć, aby rosnące fale niemczyzny uporać się miały ostatecznie z łużycką wyspą, patrząc na wszystko, co łużyccy patryoci zrobili w osta-

tnich kilkudziesięciu latach dla rodzimej oświaty, języka, obudzenia narodowego ducha; podziwiając dzisiejsze bohaterskie ich wysiłki? Okręt do połowy wodą zalany, woda wszystkiemi szczelinami się przeciska; ale przy takiej umiejętnej, wytrwałej, gorączkowej obronie może nie utonąć, nie powinien utonąć.

Czynna obrona koncentruje się w drukarniach, redakcyach, różnego rodzaju i nazwy stowarzyszeniach. Pierwsze serbsko-łużyckie, oczywiście religijne książki, okazały się z końcem szesnastego, z początkiem siedmnastego wieku. Michał Brancel, a jak Niemcy go przechrzcili: Michał Frencel, luterski pastor w Budestecach koło Budyszyna, wydał tłumaczenie Nowego Testamentu i elementarz, w którym zreformował, powiedziećby można, ukształcił pisownię częścią wedle polskich, częścią wedle czeskich wzorów. Jednocześnie Jezuita, Jakub Tycin *(Ticinus)*, formował inną pisownię, której trzymali się następnie katoliccy Łużyczanie. Nie brakło, w późniejszych zwłaszcza czasach, przedsięwziętych przez ludzi dobrej woli prób złączenia lutrów i katolików, jeśli już nie we wspólnej wierze, to przynajmniej we wspólnej ortografii; ale usiłowania te szły, a po części i idą oporem. W drugiej połowie zeszłego wieku pojawiają się pierwsze serbskie broszury ze świeckiemi, dość jeszcze nieudolnemi poezyami i wierszykami; właściwa świecka serbsko-łużycka literatura, zasługująca istotnie na tę nazwę, zrodziła się dopiero w bieżącem stuleciu. Andrzej Zejler, Jan Ernest Smoler, Andrzej Lubenski utorowali drogę przyszłym poetom, historykom, literatom; przekonali świat, a na pierwszem miejscu własnych swych ziomków, że można po łużycku nietylko mówić w poufałem domowem kole, nietylko po łużycku się modlić, ale można i najwznioślejsze uczucia w łużyckim języku wyśpiewać, ba! można uczone księgi pisać i drukować.

W budyszyńskiem muzeum miejskiem, tak zwanem od nazwiska swego założyciela muzeum Stiebera, przypatrujemy się sztychom i portretom niektórych przynajmniej z tych mężów — i musimy przed nimi głowy pochylić. Pisząc po niemiecku, dobiliby się szerokiej sławy i znaczenia; dziś szczupły zastęp ziomków, szczuplejszy zastęp innych Słowian zna ich nazwiska; prawda,

że Słowianie przynajmniej nietylko je znają, ale i cenić umieją; ziomkowie nietylko cenią, ale i kochają. Dowodem tej prawdziwej miłości choćby te *Zhromadźene spisy Handrija Zejlerja*, których pierwszy tom, wydany nakładem „serbskiej uczącej się młodzieży“, na stoliku teraz przede mną leży i przypomina kilka chwil spędzonych na polskiej rozmowie ze znakomitym uczonym, d-rem Ernestem Muką, co „spisy“ te wydał i wręczył mi je w *słowjanskej lubosć'u*. Dowodem te rozsiane po łużyckich domach sztychy, portrety łużyckich poetów, uczonych; ta wierna cześć, jaką dla nich żywią ich następcy, ich uczniowie.

Żywą jest cześć dla tych, co pierwsze łamali lody, dla Zejlera, dla Smolara; najżywszem tętnem powszechna cześć i miłość bije dla najlepiej też pewnie znanego w całej Słowiańszczyźnie, ks. Michała Hórnika. W uszach mi jeszcze brzmią entuzyastyczne, niczem nie dające się wstrzymać okrzyki, któremi przed paru latami na welehradzkim wiecu odpowiadali Morawianie i Słowacy, Polacy i Chorwaci i Rusini na każde wymienienie nazwiska uwielbianego Hórnika. Łużyccy protestanci, katolicy jednego są zdania, gdy o Hórniku mowa; nawet Niemcy przyznają: „Gdyby było możliwem uratować słowiański żywioł w Łużycach, to tacy Hórnicyby go uratowali!“ I uratują — odpowiadają im łużyccy patryoci słowami Hórnika, którego właśnie największą siłą było, że nadziei nie tracił. Żal po śmierci „łużyckiego wodza“ był nie do opisania; i dziś, choć blizko półtora roku ubiegło, jak na zawsze swe Łużyce pożegnał, żal ten płynie świeżą, niepowstrzymaną falą.

„Kiedyśmy Hórnika naszego stracili — opowiada ks. Skala, młodszy, ale wierny towarzysz jego trudów, powiernik jego marzeń i nadziei — zdawało nam się, że już po wszystkiemu, już Łużyce stracone. Bo i do czego on ręki nie przyłożył, przed czem się zawahał, gdy szło o kraj, o lud tem bardziej ukochany, im godniejszy pożałowania! Pisał wiersze, zbierał ludowe pieśni, uzupełniał łużycki słownik, badał dzieje ojczyste, pisał rozprawy, artykuły, notatki do wszystkich naszych pism i pisemek, prowadził korespondencyę z uczonymi wszystkich słowiańskich krajów i ciągle im przypominał o naszych małych Łużycach. A przy-

tem jakim był kapłanem, jakim wzorowym proboszczem! Pracowałem pod jego kierunkiem i jako łużycki pisarz i ksiądz; więc mogę coś o tem wiedzieć. Teraz pytamy się ciągle wszyscy: Jak my sobie bez Hórnika damy radę?“

Pytanie to powtarza się w Budyszynie, słychać je w Dreznie, odzywa się głośnem, smętnem echem pod Chociebużem. Zapewne, śmierć Hórnika była dla Łużyc prawdziwą klęską; uznawali i uznają to nie sami Łużyczanie, ale wszyscy, co losem ich się interesują; jak uznają, tego znakiem zamieszczone w paru numerach miesięcznika *Łužica* gorące słowa uznania i współczucia, które odezwały się ze wszystkich słowiańskich kresów na wieść o tej wielkiej stracie [1]. Ks. Łusčanski, ks. Skala, którzy na pierwszem miejscu poczuwają się do obowiązku prowadzenia dalej rozpoczętego przez Hórnika dzieła, zdają też sobie najlepiej sprawę z ogromu trudności, które na nich obowiązek ten włożył. O trudnościach wiedzą, lecz zarazem pamiętają, że nie zwycięży trudności, kto im śmiało w oczy nie zajrzy; wiedzą, że i centaury można zdusić i łeb urwać hydrze, byle do tego rwania, czy duszenia, naprawdę się zabrać. Kto wejdzie do skromnego gabinetu budyszyńskiego scholastyka Łusčanskiego, do jeszcze skromniejszej pracowni proboszcza wendyjskiego kościoła, ks. Skali, pozna od pierwszego rzutu oka, że ich mieszkańcy i panowie nie trzymają rąk bezczynnie założonych i nie pytają się dopiero: czy co robić, jak robić, kiedy robić? Ks. Łusčanski mozoli się nad dziełem, które w historyi kościelnej literatury łużyckiej stanowić będzie epokę; nad łużyckim przekładem Nowego Testamentu, opatrzonego komentarzem, jakiego niejedna inna, o wiele skądinąd bogatsza słowiańska literatury, mogłaby słusznie braciom

[1] Z Polaków przesłali do *Łužicy* dłuższe lub krótsze artykuły o Hórniku: Romuald Baudouin de Courtenay *(Spomnjenka knjenje prof. Romualdy Baudouinoweje de Courtenay,* tudzież *Spomnjenje akademika prof. J. Baudouina de Courtenay wo Mich. Hórniku);* Wilhelm Bogusławski *(Spomnjenje wo česć. knjezu Michału Hórniku z l. 1858);* Władysław Ciot, polski wiersz ułożony na cześć Hórnika jeszcze w styczniu 1892 r.; Melania Parczewska, wiersz p. t. „Pamięci ks. Michała Hórnika“, datowany w Kaliszu 6 marca 1894 r. Dwa pierwsze wspomnienia przełożył z polskiego na łużyckie dr. E. Muka.

Łużyczanom pozazdrościć[1]. Na pierwszych czterech zeszytach czytamy jeszcze położone obok siebie dwa nazwiska przyjaciół i tłumaczów: Jurij Łusčanski a Michał Hórnik; na piątym drugie z tych nazwisk będzie już musiało być wymazane. Ks. Skala, uporawszy się z parafialnemi zajęciami, również do biurka zasiada i instynktownie za pióro chwyta. Tyle, tyle pracy! Wyszłe z obiegu ludowe książeczki trzeba do druku przygotowywać, nowe układać, przejrzeć korekty, obliczyć się, ile zostało w zapasie artykulików do *Katolickiego Posła*, ile nowych trzeba napisać, do jutra koniecznie napisać. A listy dopiero, których stos rośnie i rośnie; na dziesięć odpiszesz, piętnaście listonosz przyniesie.

Skrzypią pióra w pracowitych rękach budyszyńskich następców i zastępców ks. Hórnika. Skrzypi pióro w freibergskim dworku, w którym zamieszkał najpoważniejszy dziś może łużycki uczony, dr. Ernest Muka, a jak Niemcy go nazywają i jak na listowej kopercie, po niemiecku adresując, tytułować go trzeba: Dr. phil. Ernst Mucke. Czem p. Muka jest, co robi; a raczej czem nie jest i czego nie robi? Jest profesorem w wyższem gimnazyum w Freibergu, redaktorem *Łužicy* i *Časopisu Maćicy Serbskeje*, członkiem, sekretarzem, kasyerem, założycielem, byłym, rzeczywistym lub honorowym prezesem nie wiedzieć ilu związków, zebrań, stowarzyszeń; a w dodatku — w wolnych chwilach — wydawcą rozproszonych po różnych broszurkach i czasopismach poezyj rodzimych wieszczów; autorem fachowych to niemieckich, to łużyckich, to łacińskich broszur i ksiąg: *De consonarum in Graeca lingua praeter Asiaticorum dialectum Aeolicam geminatione; Statistika łužiskich Serbow*[2]; *Historische und vergleichende Laut- und Formenlehre der niedersorbischen Sprache*[3]. Czy tego niedość,

---

[1] *Nowy Zakon. Do hornjoserbšćiny po rjedže Vulgaty,* prełožištaj Jurij Łusčanski a Michał Hórnik. Budyšin. Pierwszy zeszyt opuścił prasę w r. 1887.

[2] *Statistika łužiskich Serbow. Wobličenje a wopisanje hornjo- a delnjołužiskeho Serbowstwa w lětach 1880—1885.* Spisał dr. Ernest Muka. Budyšin. Z nakładom spisačela. 1884—1886.

[3] *Historische und vergleichende Laut- und Formenlehre der niedersorbischen (niederlausitzisch-wendischen) Sprache. Mit besonderer Berücksichtigung der Grenzdialecte und des Obersorbischen.* (Preisschrift gekrönt und herausgegeben von der Fürstlich Jabłonowski'schen Gesellschaft zu Leipzig). 1891.

zważywszy zwłaszcza, że *Statistika* zawiera 502 stronice bitego druku; *Laut- und Formenlehre* 615 stronic; zważywszy, że materyały zbierać trzeba było nie z książek, nie z rękopisów, ale z ust ludu, wędrując od wioski do wioski, od domu do domu? Niedość, bo w biurku, a może już w drukarni znajduje się jeszcze wyczerpująco opracowany słownik łużycki; bo trzeba i pobratymców z Łużyczanami obznajamiać, utrzymywać z nimi ciągły kontakt, wiedzieć wszystko, co o Łużyczanach piszą, błędne wiadomości prostować, niedokładne uzupełniać.

Na stoliku, na stole, na biurku, w szafach pana Muki roi się od wszechsłowiańskich książek, broszur, przeglądów. Czeskie, obok nich rosyjskie zajmują honorowe miejsce; widocznie rosyjscy redaktorzy żywo się zajmują ostatnią na zachodzie słowiańską placówką i chętnie przysyłają w zamian za mikroskopijną *Łužicę* grube tomy swych miesięczników i dwutygodników. Dostrzegłem i kilka polskich książek, za polskiem jakiem pismem napróżno się oglądałem; pocieszajmy się, że pewnie je p. Muka pożyczył któremu z redakcyjnych lub szkolnych kolegów. Trudno przypuścić, aby nie miał u siebie choć paru polskich czasopism, kto tak płynnie po polsku mówi, jak nasz autor-profesor-redaktor; kto nawet w razie potrzeby i pisać po polsku potrafi; a tak żywo, tak gorąco interesuje się wszystkiem, co się dzieje w całej Słowiańszczyźnie. A jeśli nie ma, to zapytajmy po cichu: Czyja w tem wina? — zapytajmy troszkę głośniej: Czy w tem wyłącznie wina profesora Muki?

Dzieje się to dziś gdzieindziej, dzieje się i u nas, że każdy prawie uczony, literat, poeta, złożyć musi, rad nierad, pewien trybut nigdy nienasyconemu smokowi: peryodycznym pismom, dobrze i szczęśliwie, jeśli nie dziennikom. W Łużycach powszechna ta reguła nie zna żadnych wyjątków. Łużyckich dzienników w ścisłem tego słowa znaczeniu niema i nigdy nie było; pisma peryodyczne także bardzo niedawno urodziny swe obchodziły, ale właśnie dlatego, że tak jeszcze młoda i wątła roślina potrzebuje tem troskliwszej i powszechniejszej opieki. Pierwszy numer pierwszego serbskiego miesięcznika *K rozwuczenju a k wokrzewienju*, pokazał się w sierpniu 1790 r.; pierwszy to był numer,

a zarazem jedyny i ostatni, bo rządowy referent wyraził obawę, aby nowe pisemko, zawierające zachętę do pobożnego życia i bajeczkę o przepiórce, nie przyczyniło się do rozszerzenia rewolucyjnych mrzonek, nadpływających z Francyi. Drugi z rzędu miesięcznik: *Serbski powedar a kurier*, a jednocześnie drugi wogóle numer serbskiego pisma wyszedł w r. 1809 i przetrwał do kwietnia 1812 r. pod redakcyą budyszyńskiego mieszczanina Jana Deuki. Krzyż pański miał Deuka z tą redakcyą, bo rządowi cenzorzy pozwalali i radzili mu pisać o wojnach Serbów z Turkami, o sprawach azyatyckich i afrykańskich, o wszystkiem, byle nie o sprawach domowych, serbsko-łużyckich; kubek w kubek, jak dziś cenzorzy warszawscy. I znowu szereg lat nie mieli Łużyczanie własnego pisma, aż pokąd energiczny, żadnemi trudnościami nie zrażający się Zejler nie puścił w obieg, niedrukowanych nawet, ale przepisywanych w pewnej, o ile można było, znacznej liczbie egzemplarzy *Serbskich Nowin*. Założona w r. 1842, dwa razy w tygodniu wychodząca *Jutnička* przetrwała zaledwie pół roku. Lepszy los wyciągnęły powstałe niezadługo potem *Tydźeńske Nowiny*, które w późniejszych latach przekształciły swą nazwę na istniejące po dziś dzień *Serbske Nowiny*. Najnowsze te *Nowiny* nie potrzebowały już krążyć po kraju w rękopiśmiennych odpisach; owszem, co kilka lat witały nowego kolegę, nowego nieraz rywala, ale zawsze miłego rywala, bo łużyckiego. Dziś weterana rodzimej prasy otacza koło różnorodnych pism i pisemek; nietrudno się w nich zoryentować, bo na stole każdego wybitniejszego patryoty, z wszystkiemi bez wyjątku się spotkasz.

Najstarszem, najpoważniejszem, największem polityczno-społeczno-literackiem pismem, jak były, tak są bydyszyńskie *Serbske Nowiny*. Powagę zapewnia, o innych czynnikach nie mówiąc, pięćdziesiąty czwarty rok życia; format i objętość bardzo podobne do krakowskiego *Krakusa*, treść zbliżona do bytomskiego *Katolika* lub *Gazety Opolskiej*, z tą różnicą, że szląskie gazetki wychodzą trzy lub dwa razy tygodniowo, łużycka raz jeden; i z tą o wiele kardynalniejszą różnicą, że *Katolik* i *Gazety* są gorąco katolickie, *Nowiny* przeciw katolikom wrogo nie występują, ale są pod wpływem i redakcyą protestantów. W każdym

numerze, oprócz politycznego przeglądu z całego tygodnia, obfitej kroniki, powieści, gospodarskich rad i ostrzeżeń, znajdujemy długi szereg króciutkich notatek i korespondencyj z miasteczek i wiosek łużyckich; najlepszy dowód, że *Nowiny* chętnie w tych wsiach i miasteczkach są czytane, kiedy znajdują tylu chętnych korespondentów; najskuteczniejszy z drugiej strony środek do rozpowszechnienia pisma we wspomnianych w niem miejscowościach. Czem dla *Katolika* jest *Rodzina* i *Dzwonek*, dla *Gazety Opolskiej: Gość Niedzielny* i *Rolnik*, tem dla *Nowin* bajecznie tani (rocznie 76 fenigów) i stosunkowo bajecznie małych rozmiarów *Serbski Hospodar* i niewiele większy przez luterskich pastorów redagowany *Pomhaj Bóh!* Nadto pastorzy wydają jeszcze osobne, miesięczne pisemko, poświęcone głównie „ewangelicko-luterskim“ misyom, p. t. *Missionski posoł;* katoliccy księża, a mówiąc ściślej, znany już nam dobrze, niezmordowany ks. Jakub Skala, dwutygodniowe czasopismo, zajmujące się ascezą i kościelnemi sprawami i interesami: *Katholski posoł.* Dolno-Łużyczanie mają jedno pisemko polityczno-społeczno-literacko-religijne: *Bramborski Čassnik*, młodsze o sześć lat zaledwie od *Serbskich Nowin*, ale aż o połowę od nich szczuplejsze.

*Hospodary, Nowiny, Čassniki, Posoły* zaspakajają wewnętrzne potrzeby łużyckiego ludu; dwa, przez d-ra Mukę redagowane pisma: *Łužica* i *Časopis Maćicy Serbskeje*, służyć mają na pierwszem miejscu za nić komunikacyjną między Łużyczanami, a innemi słowiańskiemi narodami; znakiem mają być i dowodem, że Łużyczanie nie myślą zostawać w tyle na drodze oświaty. Biorąc teraz porównanie już nie ze Szląska, ale z Galicyi, *Łužica* zastępuje miejsce naszych naukowych i literackich: *Przeglądów, Muzeów, Przewodników, Przełomów; Časopis Maćicy* spełnia rolę publikacyj Akademii Umiejętności.

Czternasty rok *Łužica* służbę swą pełni; czternasty rok rozumni łużyccy mecenasi nie skąpią na nią grosza, rozumiejąc, jak potrzebny taki — jeśli tak wyrazić się można — organ ministeryum spraw zagranicznych; taki wspólny, jak na tytule czytamy: *zhromadny časopis hornjo- a delnjołužiskich Serbow.* Nakładcą i administratorem *Łužicy* jest obecnie wotrowski (Ostro) proboszcz,

kanonik Jakub Herrmann. Administracya niedużo mu prawdopodobnie czasu zajmuje; za to tytuł „nakładcy“ nie jest wcale wyłącznie honorowym, żadnych ściśle określonych, ściśle policzonych obowiązków za sobą nie pociągającym tytułem. W czerwcu 1895 r. wykazywały administracyjne księgi łużyckiego miesięcznika 134 płatnych prenumeratorów za rok ubiegły, a 56 za rok bieżący; powoli, powoli i w tym roku, jak w poprzednich, cyfra płacących dobiegnie do półtorej setki. Roczna prenumerata wynosi trzy marki; rzecz prosta, że choć pół arkusza druku na miesiąc nie wymaga sum bajońskich, to przecież drukarnia, administracya — bo redakcya w grę tu nie wchodzi — więcej marek pożera, niż prenumeracyjne sieci są w stanie ich dostarczyć.

Ciekawe są spisy prenumeratorów; widać z nich, kto, gdzie Łużyczanami, ich losami i literaturą się zajmuje. Łużyccy księża, pastorowie, nauczyciele uważają sobie naturalnie za punkt honoru mieć u siebie swój miesięcznik; prawda, że między Łużyczanami oni jedni go mają i w dzisiejszych stosunkach mieć mogą, gdyby redakcya zechciała na wzór paru naszych peryodycznych pism zniżyć cenę „dla wszystkich osób stanu nauczycielskiego i dla duchownych“, to lepiejby było dla krótkości napisać po prostu: „zniżamy cenę dla wszystkich Łużyczan“. Czescy księża, nauczyciele, nauczycielki, czeskie stowarzyszenia, dostarczają znacznej stosunkowo liczby abonentów. Nie brak i Rosyan, jest i paru Słowaków i paru Polaków: *Knjeni* (pani) Marija Ramułtowa ze Lwowa, Adam Kryński z Warszawy, prof. Nehring z Wrocławia; jest paru, których p. Muka jako Polaków mi rekomenduje i widzi z niemałem zgorszeniem, że nazwiska ich żadnego oddźwięku w sercu mem nie wywołują.

— Jakto, ksiądz nie wiesz o naszym łużyckim przyjacielu, profesorze Petrowie z Krasnofimska, któremu zawdzięczamy wydanie dolnołużyckiego słownika. Toć Polak przecież! No! ale wiesz w każdym razie o warszawskim prof. Konstantym Grocie?

Nie! nie wiem. Wstyd mi, ale cóż robić, kiedy nie wiem, a ci, których o to pytałem, także nie wiedzą. Nie wiem i trochę wątpię, czy zamianowany Polakiem p. Petrow, zgodziłby się bez protestu na tę nominacyę; o panu Grocie wiem również tylko

tyle, że się Łużyczanami żywo interesuje i przesyła składki na serbską Macierz. Może kiedyś, za jakie lat dwadzieścia, kiedy wielka ilustrowana encyklopedya dopłynie do litery *G*, dowiem się szczegółowo, co za zacz jest pan Grot, jakim herbem się pieczętuje, czem zajmują się jego synowie, a czem wnukowie. Co do p. Petrowa, to oczywiście w najśmielszych marzeniach przypuścić trudno, abym mógł o nim za życia z ilustrowanej encyklopedyi zasięgnąć informacyi. Ba! ale jeśli nie z tej, to z jakiej, to skąd?

*Časopis Maćicy Serbskeje* założył w r. 1848 Jan Ernest Smoler: od r. 1853 do 1867 wydawał go znany dobrze wielu bawiącym w Dreznie Polakom, szczery, prawdziwy przyjaciel nasz, znawca wyborny naszego języka, ks. Jakub Buk, który kilka miesięcy temu z życiem się pożegnał; następne całe ćwierć wieku ks. Michał Hórnik dźwigał redaktorskie kajdany, a przed śmiercią wymógł na d-rze Muce, dawnym swym przyjacielu, przyrzeczenie, że nie dozwoli upaść ukochanemu pismu. Dziewięćdziesiąt zeszytów *Časopisu* pięknym, prawdziwie trwalszym od spiżu jest pomnikiem dla czterech jego redaktorów, czterech duchowych przywódców serbskiego ludu: Smolera, Buka, Hórnika, Muki. Jedyne to ściśle naukowe łużyckie pismo; nie dziw, że szerokie zatacza koła. Mieszczą się w niem i mieścić mają wedle urzędowego programu: zbiory starych i nowszych historycznych dokumentów, odnoszących się do historyi Łużyc; rozprawy i dokumenty dotyczące starożytnych zabytków ojczystych, statystyki i etnografii; ludowe pieśni i podania; rozprawy filologiczne, przyrodnicze, literackie, ekonomiczne, muzyczne...

„Wielkie, wielkie to pole! — przyznaje dr. Muka i ducha dodaje do wspólnej pracy w programowem *předsłowiu*, umieszczonem na czele pierwszego zeszytu, puszczonego w świat pod swym kierunkiem, pod swoją odpowiedzialnością. Wielkie pole, ale właśnie dlatego, że tak wielkie, mają wszyscy Serbowie sposobność, a zarazem obowiązek na nie wstąpić; nie sami wyłącznie filologowie i duchowni, lecz również wiejscy i miejscy nauczyciele, nasi prawnicy, nasi doktorzy i wielu, wielu innych. Czy nam nie

wstyd, nie hańba, jeśli pozwalamy Niemcom lub uczonym innych narodowości pisać za nas o naszych serbskich sprawach, serbską naukę pielęgnować; jeśli ręce założywszy, przypatrujemy się, jak zgorzelecki: *Lausitzer Magazin*, dolnołużyckie: *Mitteilungen für Anthropologie und Urgeschichte*, lub inne uczone niemieckie przeglądy drukują spisane przez Niemców niemieckie artykuły, które w pierwszym rzędzie powinnyby być po serbsku spisane i umieszczone w organie naszej Macierzy. A jakże dopiero serce mię boli, gdy widzę, że nawet niektórzy uczeni Serbowie umieszczają w tych niemieckich czasopismach niemieckie rozprawy o serbskich sprawach... Taka słabość narodowej myśli i świadomości nie wychodzi na cześć, na chwałę, ani tym pisarzom, ani serbskiemu narodowi. Każdy prawdziwy Serb, czy proboszczem jest, czy nauczycielem, czy jurystą, czy doktorem, czy jakiekolwiek zajmuje stanowisko, jakąkolwiek ma godność, powinien uważać to sobie za punkt honoru, pracować na polu serbskiej nauki, pisać w macierzyńskim swym języku!...“

Redaktor *Časopisu Maćicy Serbskeje* jest z natury rzeczy najgorliwszym członkiem *Maćicy;* jeśli już nie jej duszą, choćby dlatego, że mieszkać musi w Freibergu, nie w Budyszynie, to w każdym razie jej *wutrobą*, jak Łużyczanie serce nazywają. *Maćica!* — na sam dźwięk tego słowa błyskają płomienie z oczu Czecha, Słoweńca, Słowaka; błyskają płomienie i z oczu Łużyczanina. *Maćica* w Budyszynie, w Lublanie, w św. Martinie zupełnie inne ma znaczenie i wpływ, niż Polska nasza „Macierz“, niż nawet czeska, choć tak potężna, tak gorąco ukochana *Maćica*. U nas, u Czechów „Macierz“ jednem kółkiem w zegarze; tam całym zegarem, tam uniwersytetem narodowym i akademią umiejętności, najwyższym trybunałem rozsądzającym literackie i naukowe spory, narodowem powiedziećby można ministeryum oświaty. Nie dziw, że dzień założenia *Maćicy,* dzień 7 kwietnia 1847 r., zapisany jest złotemi, niezatartemi głoskami w księdze narodowych rocznic. Założyli ją, kierowali znowu ci, których nazwiska, mówiąc o odrodzeniu się łużyckiej narodowości, na każdej karcie trzeba cytować: Smoler, Hórnik. Po śmierci Hór-

nika obrany został prezesem protestancki „proboszcz-superior“ — jak sam się podpisuje — dr. Karol Kalich; ale niebawem z poruczonej sobie godności zrezygnował i dotąd niema po nim następcy. Sekretarzem Maćicy jest ksiądz Skala; jego rzecz, jego troska, żeby przypadający za kilkanaście miesięcy pięćdziesięcioletni jubileusz założenia Maćicy wypadł jak najświetniej, ożywił ducha, przypomniał światu, że istnieje jeszcze łużycki lud i istnieć nadal chce; lud, co śpiewa, a jak śpiewa, myśli:

Ja Słowjan sym a Słowjan budu,
A Słowjan stajuje wostanu,
Wše dobre přeju wšemu ludu,
A Serbstwo prjodcy lubuju...
Kraj serbski, domowina moja,
Ty sy mój raj tu na zemi,
Niech rosće wšědnje sława twoja,
A kčěj w najrjeńšej krasności![1]

Czy wielką pięćdziesięcioletnią rocznicę będzie już mogło najpoważniejsze z łużyckich stowarzyszeń święcić we własnym swym domu? Nie brak w tej mierze gorących chęci, nie brak usiłowań, i gdyby chęci przekuć można na brzęczącą monetę, gdyby za podjętemi usiłowaniami szedł regularnie w te tropy proporcyonalny skutek, nie mogłoby być dwóch odpowiedzi na to pytanie. Niestety! moneta płynie, ale niedość wartkim i głębokim strumieniem; usiłowania nie pozostają bezowocne, ale owoc skąpy i długo każe na siebie czekać. Komitet budowy, w skład którego wchodzi znany u nas, lepiej jeszcze znany między Łużyczanami, Alfons J. Parczewski, rozesłał okólniki do sło-

[1] Ja Słowianinem jestem i będę,
I zawsze wiernie zostanę,
Wszystkim narodom dobrego życzę,
Lecz Serbię kocham najżywiej.
O serbski kraju, ojczyzno moja,
Tyś jest mym rajem na ziemi,
Niech rośnie wszędzie sława twoja,
Błyszcz w najcudniejszej piękności!

wiańskich narodów z prośbą o braterską pomoc; rozesłał je także w polskim tekscie do Polaków, których adresy zdołał zebrać.

„Spodziewany jubileusz — czytamy w tej odezwie, datowanej 15 maja 1894 r. — pragniemy obchodzić w własnym domu... Dom ten będzie przytułkiem naszych ideałów. W nim zawarte będą: biblioteka, muzeum starożytności, sala zebrań, koncertów i przedstawień amatorsko-teatralnych. Ale lud nasz jest nieliczny i niezamożny. Mamy wiele dobrej woli, lecz środków mało. Więc udajemy się o bratnią pomoc do pobratymczego polskiego społeczeństwa, o poparcie naszych usiłowań przez pieniężne ofiary. Kto najmniej 200 marek albo 100 rubli da, stanie się założycielem serbsko-łużyckiego domu; kto przynajmniej 2000 marek, lub 1000 rubli da, stanie się dobrodziejem narodu serbskiego i honorowym członkiem Maćicy serbskiej. Ich imiona będą co trzeci rok wymienione na jeneralnem zebraniu Maćicy serbskiej. Dom budować chcemy w Budyszynie, w tem samem mieście, gdzie niegdyś przed wiekami król Bolesław Chrobry panował i zaszczytny pokój zawierał z cesarzem Henrykiem II. Mamy nadzieję w szlachetnem, zawsze humanitarnem sercu polskich braci, że prośba nasza zostanie wysłuchaną, i usiłowania nasze poparte będą czynem i pomocą“...

Nadzieja tem słuszniejsza, że przerzucając listę dawniejszych i dzisiejszych członków Maćicy, napotykamy stosunkowo dość znaczną liczbę nazwisk polskich. Jedno z pierwszych uderza nazwisko ks. Jerzego Lubomirskiego, zapisane pod r. 1847; a zatem pod rokiem założenia Maćicy. Dalej idą w różnych odstępach czasu dobrze wogóle znane nazwiska: Baudouin de Courtenay, Urbanowski, Andrzejewski, Chociszewski, Popłoński, Jelski, Jan Karłowicz, Stefan Ramułt, Eust. Tyszkiewicz, Hilary Treter, kilku zamieszkałych stale w Petersburgu Polaków, kilku może Polaków, może Rosyan — trudno z brzmienia nazwiska rozróżnić. Kraszewski otrzymał w r. 1880 dyplom honorowego członka Maćicy; w tymże samym roku takiż dyplom wręczono Parczewskiemu, w pięć lat później Bogusławskiemu. Prawdopodobnie też zabiegom polskich członków Maćicy zawdzięczyć

należy, że rzucone w odezwie na polską ziemię nasienie marnie nie przepadło. Kilku ziomków naszych z Poznańskiego, z Galicyi, nawet kilku bezimiennych z Litwy przysłało grosz swój wdowi. Łużyccy patryoci umieją ocenić — nietrudno się o tem w rozmowie z nimi przekonać — te skromne ofiary biednych dla jeszcze biedniejszych.

(Dok. nast.).

*Ks. Jan Badeni.*

# PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

## Z piśmiennictwa krajowego.

**Wykład chemii ogólnej.** Część I. Chemia nieorganiczna. *Dr. Ernest Bandrowski.* Kraków. Nakładem autora. 1895. (Str. 334, w 8-ce).

Nic tak nie powstrzymuje postępu nauk, jak brak odpowiednich dzieł naukowych, któreby były w stanie poprowadzić pracującego na danem polu do granic dzisiejszej wiedzy, któreby otworzyły mu drogę do samodzielnych badań, a mając ciągle na celu główne zadanie danej nauki, nie pozwoliły mu iść na manowce, ale wprowadziły go od razu *in medias res*, wskazując mu, przynajmniej w ogólnych zarysach, co na polu danej nauki zrobiono, oraz co jeszcze do zrobienia pozostaje.

Dlatego każdą wydaną książkę, a tem bardziej podręcznik naukowy, wykładający podstawy tak ważnej nauki jak chemia, bierzemy zawsze do ręki z sympatyą i życzliwością, zwłaszcza jeżeli takowe powiększa zasób naszego naukowego dorobku na polu danej gałęzi wiedzy, oraz jeżeli czy to przyjęty w niej system cały, czy też pojedyncze części tej nauki opierają się na zasadzie umiejętnej, np. na podstawie matematyki, tej królowej nauk, jak ją nazywał Jan Śniadecki, według którego ci, co od niej stronią w naukowych swoich badaniach, „szukają *criterium veritatis* w mało komu przydatnej gadaninie". Jeżeli chemia nowożytna, w ostatnich czasach zrobiła tak wielkie postępy, z czysto empirycznej stając się umiejętnością prawdziwą — co było naturalnem następstwem poprzedniego jej stanu, jak słusznie utrzymuje Pattison Muir [1],

[1] „The old chemistry — powiada — was empiric, whilst the new is scientific; but empiricism preceeds science: science is the natural development of empirical statements".

empiryzm bowiem poprzedza tylko prawdziwą umiejętność — to jako taka musiała i co do układu swego być opartą na naukowej podstawie.

To też prof. Bandrowski układ dzieła swojego, jakkolwiek przeznaczonego tylko dla początkujących, oparł pierwszy na naukowych resp. matematycznych podstawach, nie zawsze należycie ocenianych [1], i ta okoliczność, obok treściwego, jasnego, przystępnego wykładu, stanowi wielką zaletę tego dzieła; przed nim bowiem żaden z autorów nie wydał podobnego podręcznika chemii, i biorący do rąk tę książkę doznaje prawdziwego zadowolenia, że cześć wprowadzenia tej innowacyi do nauki chemii przypadła w udziale rodakowi naszemu.

W astronomii znane jest t. zw. prawo Bode'go, podług którego odległości planet od naszej gwiazdy centralnej, wyrażone za pomocą jednej z nich, są od siebie zależne, w ten prawidłowy sposób, iż stanowią człony pewnego szeregu. Jeżeli zaś dla pewnego członu w tym szeregu niema odpowiedniej w systemie naszym planety, pochodzi to stąd, że ta brakująca planeta nie została jeszcze odkryta. — Na analogicznej podstawie oparł szanowny profesor swoją systematykę chemiczną, tj. na tak zwanem prawie peryodyczności pierwiastków.

Jak w każdej nauce, tak i w chemii rozpoczynamy od rzeczy najprostszych, przechodząc z kolei do więcej złożonych, tj. rozpoczynamy przedewszystkiem od pierwiastków chemicznych — ciał prostych, nierozkładalnych znanemi dotąd środkami — a następnie przechodzimy do związków pierwiastków między sobą. Ponieważ obecnie istnieje około 70 pierwiastków, przeto, jeżeli już nie ze względów czysto naukowych, to przynajmniej dla łatwiejszego ich zapamiętania, należy je uporządkować według jakiejś naukowo usprawiedliwionej zasady. Dawny podział Berzeliusza na metale i nie-metale resp. metalojdy, nie mógł się utrzymać, a wprowadzony przez cytowanych wyżej chemików podział naturalny, przyjmuje się coraz więcej. Według tego podziału, wszystkie własności danego pierwiastku składają się na charakterystyczną całość, wszystkie razem go określają. Na czele ich stoi wodór, pierwiastek najlżejszy, nie należący do żadnej z 15 gromad naturalnych.

Pomiędzy własnościami pierwiastków a ich ciężarami atomowemi tj. ilościami w jakich, lub ich wielokrotnościach, łączą się one między

[1] Niedawno wyszło bardzo ciekawe dzieło, czyli właściwie dopiero wstęp do dzieła o ekonomii politycznej, opartego na zasadach matematycznych (p. Teofila Rozmarynowicza), a które mimo to jużto pominięte zostało milczeniem przez jednych, już niechętnie przyjęte przez niektórych innych sprawozdawców.

sobą) zachodzi pewien prawidłowy związek. Zestawiając bowiem pierwiastki według ich rosnącego ciężaru atomowego, otrzymujemy szereg, w którym co ósmy pierwiastek, jak co ósmy ton w muzyce, jest podobny. Prawidłowość tę nazwano „prawem oktaw chemicznych". Rozmaite własności pierwiastków chemicznych pozostają w pewnej, peryodycznie się powtarzającej zależności od ciężaru atomowego. Odkryli to prawo prawie jednocześnie i niezależnie Newlands, Meyer i Mendelejew.

Bardzo wyraźnie przedstawia się również zależność ciężaru atomowego od ciężaru gatunkowego resp. właściwego [1] pierwiastków, który wzrasta peryodycznie, jednocześnie ze wzrostem ciężaru atomowego. Podobnież istnieje peryodyczna zależność między ciężarem atomowym a własnościami fizycznemi: topliwością, barwą, przewodnictwem ciepła, a nadto zachowaniem się chemicznem pierwiastków. Ogólnem zjawiskiem w każdej gromadzie pierwiastków jest wzrost własności zasadowych w miarę wzrostu ciężaru atomowego, a zmniejszanie się charakteru kwasowego w tym samym przypadku.

Układ zatem peryodyczny daje nam naturalny, tj. umiejętny przegląd pierwiastków i ich związków nietylko pod względem chemicznym, ale i pod względem fizycznym, ułatwiając i upraszczając badania naukowe, oraz pozwalając przewidywać istnienie innych pierwiastków poprzednio nieznanych, podawać ich własności na zasadzie właściwego im miejsca w szeregu; w każdym bowiem peryodzie postępują pierwiastki według tego samego prawa, każdy pierwiastek pozostaje w pewnym prawidłowym stosunku do pierwiastków sąsiednich. Jak na zasadzie prawa Bode'go, astronom Leverrier określił bliżej miejsce nieznanej planety, astronom zaś Galle odkrył tę nową planetę, nazwaną w następstwie Neptunem, tak na zasadzie wyżej wymienionej zależności pierwiastków opisał Mendelejew pierwiastki *gal* i *skand*, które w następstwie odkryte zostały.

Chemicy jednak w swoich badaniach idą jeszcze dalej i stawiają pytanie: czy pierwiastki dzisiejsze są rzeczywiście ciałami prostemi, wobec tego, że w poszczególnych gromadach systemu peryodycznego powtarzają się jedne i te same typy materyi? [2]. Myśl ta występuje jako następstwo prawa peryodyczności pierwiastków. Rozwiązanie je-

[1] Jest to, jak wiadomo, stosunek wagi ciała danego do wagi wody tej samej objętości. Gazy zamiast z wodą porównywają się z powietrzem.

[2] Norman Lockyer, *On the Nature of the Elements.*

dnak tej kwestyi należy do przyszłości. Stoimy tu na granicy obecnej wiedzy ludzkiej.

Ale nie na tem koniec. Istnieje wybitna dążność do wprowadzenia analizy matematycznej w dziedzinę chemii, podobnie jak do wszystkich części fizyki, do czego mechanika molekularna jest kluczem. Symptomem, wykazującym ten kierunek, jest wystąpienie czasu, jako jednego z elementów zagadnienia chemicznego. Chemicy, jak Berthelot, nietylko uznali konieczność czasu, jako warunku do wywoływania zjawisk chemicznych, ale nadto, podejmując zagadnienie odwrotne, postanowili mierzyć ilość skutku chemicznego, sprawionego w jednostce czasu, a prawo to u Berthelota przybiera formę matematyczną. Postąpili oni dalej, mówiąc o prędkości reakcyj chemicznych, podobnie jak mechanicy mówią o prędkości ciała wprawionego w ruch. A Williamson poszedł jeszcze dalej w postawionej teoryi łączenia się chemicznego, podług której równowaga chemiczna nie oznacza wcale spoczynku, ale pewien system ruchu molekularnego, w którym skład i rozkład wzajemnie się równoważą.

Taką jest dzisiejsza chemia — *atomic phase of the science.*

W tych wszystkich subtelnych rozumowaniach, które są metafizyką *sui generis*, należy być bardzo ostrożnym, aby się nie zbłąkać, jak to kiedyś przytrafiło się Leibnitzowi. Ten wielki matematyk-filozof posunął się za daleko, stosując rachunek prawdopodobieństwa do sumowania niektórych szeregów i szukając w nich uzasadnienia samego stworzenia świata [1]. Tenże widział też obraz stworzenia świata w swojej arytmetyce podwójnej, w której używał dwóch tylko cyfr — zera i jedności. Wyobrażał sobie, że Bóg może być przedstawiony przez jedność, nicość zaś przez zero, że tem samem Istota Najwyższa wyprowadziła z nicości wszystkie rzeczy, podobnie jak jedność i zero wyrazić może w arytmetyce podwójnej wszystkie liczby. Myśl ta, jak powiada Laplace, tak się podobała Leibnitzowi, iż zakomunikował ją Ojcu Grimaldi, prezesowi trybunału matematycznego w Chinach, w tej nadziei, że ten niby dowód stworzenia może nawrócić na chrześcijanizm ówczesnego

[1] Rozwijając w szereg ułamek $\frac{1}{1+x}$, czyli po prostu dzieląc licznik przez mianownik, otrzymujemy:

$$\frac{1}{1+x} = 1 - x + x^2 - x^3 + x^4 - \ldots\ldots$$

a kładąc $x = 1$, otrzymamy:

$$\frac{1}{2} = 1 - 1 + 1 - 1 + 1 - 1 + \ldots\ldots = 0 + 0 + 0 + \ldots\ldots$$

władcę Niebieskiego Państwa, który odznaczał się szczególnem zamiłowaniem do nauk.

Pozostawiając na stronie kwestyę, która wprowadziła w błąd wielkiego filozofa, nie możemy nie zwrócić uwagi na to, jak niebezpieczną jest rzeczą posiłkować się tego rodzaju rozumowaniami.

* * *

Porównywając obecne wydanie chemii prof. Bandrowskiego z poprzedniem, znajdujemy w niem wielkie zmiany, polegające jużto na znacznem rozszerzeniu i uzupełnieniu, już na wstawieniu całych nieraz rozdziałów.

Do tych ostatnich należą rozdziały: „Chemia i jej podział", „Teorya rozczynów", „Przegląd tlenków i kwasów siarki", „Nowe dwie metody oznaczania ciężaru atomowego", „Fotografia".

Do rozdziałów częściowo wstawionych i uzupełnionych należą między innemi: Metody otrzymywania chloru i tlenu, ozon — i wiele innych, jak np. związki magnowców z azotowcami, żelazowców z siarką, oraz hutnictwo żelaza.

Wreszcie z zakresu chemii analitycznej dodane zostały: Reakcye soli antymonu, bizmutu, cyny, ołowiu, glinu, magnowców, wapniowców, srebra, złota, manganu, kobaltu, niklu, żelaza i t. d.

Pomijamy wiele innych uzupełnień, jakie spostrzegliśmy w tym wybornym podręczniku chemii uczonego profesora. Miejsce nam na to nie pozwala.

*T. Skomorowski.*

**Ostatnie lata w życiu Stanisława Orzechowskiego.** (1562—1566). Skreślił *Apolinary Maczuga*. Tarnów 1895. Druk J. Styrny. Odbitka ze Sprawozdania gimn. w Tarnowie.

Gdy nam przed czterema laty w seminaryum literackiem przedstawił prof. Tarnowski świeżo podówczas wydane *Orichoviana*, wzięliśmy się z zapałem do ich opracowania. Mnie przypadły lata 1548 i 1549, p. Maczuga wziął koniec, tj. lata 1562—1566, inni zaś inne... i wszyscy wywiązali się ze swego zadania tak, iż cały bogaty materyał, zebrany przez d-ra Korzeniowskiego, wyzyskano z możliwie dokładną skrupulatnością. Wskutek tej zbiorowej pracy i towarzyszącej jej wcale ożywionej dyskusyi, Orzechowski, choć tak głęboko uchwycony i wytłumaczony przez naszego profesora w jego „Pisarzach politycznych", stanął przed nami w nowem oświetleniu, charakter jego

zarysował się nader plastycznie; wszystkie kierunki jego działalności pisarskiej, wszelkie objawy jego życia i postępowania, cała chaotyczność i zamęt tego życia i postępowania człowieka, stały się nam zrozumiałe i jasne. Byliśmy wdzięczni profesorowi, że zachętą swą i kierownictwem poprowadził nas w sam środek owego zaczarowanego świata, który się humanizmem naszym nazywa, a dla każdego badacza tyle głębokich i ponętnych problemów przedstawia. Oczywiście zbiorowe wydanie tych wszystkich cząstkowych monografij czy studyów literackich narzucało się samo przez się jako zupełnie usprawiedliwione pragnienie. Już kilka lat minęło, a do tego jeszcze nie przyszło... Czemu? Ja nie potrafię na to odpowiedzieć...

Dość, że po mojej pracy [1], drukowanej w tym *Przeglądzie* w r. 1893, zjawia się teraz rozprawa kolegi Maczugi, która zawiera rozbiór dokumentów, zawartych w *Orichoviana*'ch, o ile się odnoszą do czterech ostatnich lat życia kanonika przemyskiego, a zarazem na ich tle psychologiczną sylwetkę Orzechowskiego usiłuje nakreślić. W czterech ustępach omawia tu autor po kolei dokumenta odnoszące się do walki z heretykami, do małżeństwa Orzechowskiego, do jego zabiegów w sprawie połączenia Kościoła greckiego z łacińskim; wkońcu rozbiera różne kwestye polityczne w korespondencyi Orzechowskiego, w tym okresie zawarte.

Już sam podział materyału jest niedość logiczny, rzecz bowiem przedstawiłaby się o wiele jaśniej i zrozumialej, gdyby autor nasamprzód był nakreślił zabiegi Orzechowskiego o potwierdzenie małżeństwa, a dopiero na tem tle odmalował nam utarczki z innowiercami, stanowisko religijne i polityczne głośnego statysty XVI. wieku. P. Maczuga obrał inną drogę; wskutek tego musiał się powtarzać, a rozwoju działalności pisarza i psychologicznej analizy nie mógł jednolicie i krytycznie przeprowadzić.

A przecież jest to epoka w życiu Orzechowskiego najciekawsza dla badacza, najponętniejsza dla psychologa! Nieszczęśliwa ofiara swych namiętności i zewnętrznych zarazem podżegań, obudzonych przez pogański humanizm i przewrotną „reformacyę", Orzechowski jest w tych latach — jak to widać z dokumentów podanych w *Orichoviana*'ch — tak rozdzierająco tragiczną osobistością i tak potężną dla dalszych pokoleń przestrogą: jako walka ze sumieniem i igranie z niem mści się strasznie na jaźni całej człowieka, — że warto się dokładnie i wszech-

[1] „Dwa lata w życiu St. Orzechowskiego". Kraków 1893.

stronnie rozglądnąć w tych naprawdę wstrząsających „dokumentach ludzkich“, aby zdrowy pokarm z nich wydobyć i swemu społeczeństwu ku nauce podać...

Biorąc do ręki — po świeżem odczytaniu *Orichovian*'ów — rozprawę kol. Maczugi, tego w niej nadewszystko szukałem; zdawało mi się bowiem, że same dokumenta o to się proszą... Źle jest za wiele się spodziewać, jeszcze gorzej za dużo od autora żądać. Więc też zawiodłem się.

Rozprawka jest wprawdzie pisana wcale lekko, czyta się ją mile, nawet z zajęciem... ale wszystko tylko po wierzchu muśnięte, niczego nie roztrząśnięto gruntowniej. A przecież gdy się miało mówić o „Chimerze“, to nie wystarcza sąd o niej oprzeć na podaniu tylko skróconego rejestru jej treści, podanego przez samego jej autora w t. zw.: „Przestrodze“. Tem bardziej musi razić, gdy się wydaje wyroki o takich dziełach jak *Fricius*, „Dyalog około egzekucyi“ i t. d., a nie rozbiera się wcale treści ich, lecz zbywa się ją jednem lub drugiem zdaniem: to już żadną miarą nie wystarcza!

Ale dajmy pokój zarzutom dotyczącym tego, czego w rozprawce brak. Czy poza tem wszystko bez zarzutu? A naprzód spotykamy czasem zwroty lub zdania niedokładne, bo niejasne, np. na str. 10 powiada autor, że Orzechowski w r. 1551 występował przeciw jurysdykcyi kapłańskiej i przytaczał nawet trzeźwe (?) i porywające (!) argumenta. Co to ma znaczyć — boć, jak jest, to nic nie znaczy i nawet z historyczną prawdą niezgodne. Na str. 11 Modrzewski — podług autora — wyznawał „teoryę Kościoła i supremat narodowego“, co ma chyba wyrażać, że M. dążył w swych pismach do Kościoła narodowego. Kto wie, o co chodzi, to się domyśli — ależ przecie wyrazy nie powinny służyć do ukrywania naszych myśli! Na str. 13 znowu Orzechowski otrzymuje na rok rozgrzeszenie — zwrot komiczny w sobie z powodu złego użycia wyrazu: miało być, że biskupi r. 1551 uwolnili Orzechowskiego na rok od ekskomuniki, aż do załatwienia sprawy z papieżem.

W argumentacyi na str. 21 wiele nielogiki. Naprzód: dlaczego Orzechowski nie mógł tak kategorycznie wrócić z drogi złej, na której się znalazł? Wszak wolnej woli nie zaprzecza mu autor. Właśnie Kromer wskazuje mu sposób, w który możnaby nawrócić na drogę obowiązku — co zresztą już przedtem (cfr. *Orich.* p. 291—301) biskup Maciejowski uczynił. Autor nasz pyta się, jaką radę mógł Kromer mieć na myśli? i odpowiada sobie: „Dwa tylko (sposoby) były w tej sprawie

możliwe: albo zerwać małżeństwo... albo pozostać w małżeństwie. Lecz niestety oba te sposoby nie były stanowczem załatwieniem sprawy" (?!). Czy to więc taki sposób załatwienia sprawy mógł mieć na myśli Kromer? Wszak pragnął, by Orzechowski manowce porzucił, a więc po prostu do celibatu powrócił, używając oczywiście tych środków, które właśnie tak ojcowską dłonią wskazywał zbłąkanemu Maciejowski: a tak byłaby się sprawa załatwiła stanowczo. Gdzież więc w całym tym wywodzie logika?

Należałoby także wytknąć liczne usterki przeciw stylowi, które pracę skądinąd staranną szpecą niepomiernie: lecz w tem miejscu nie mogę tego z całą dokładnością przeprowadzić. Wytknę więc tylko stawianie np. partykuły zaś na pierwszem miejscu; zwroty, jak: „burzył po sejmikach" (nieprzechodnio), p. 4; „uderza w jego uczucia patryotyczne" (odzywa się do jego uczuć patr.), p. 7; „cenę zwierzchności utracili" (chyba to znaczy: szacunek?), p. 8; wszyscy „nienawiścią płoną na Orzechowskiego", p. 10 i t. d.

Jeżeli już od kogo wolno domagać się poprawnego stylu, to zapewne od literata — a co dopiero, gdy praca jego pomieszczona jest w sprawozdaniu szkolnem... a więc w pierwszym rzędzie czytana jest przez uczniów.

*Romuald Koppens.*

**Zarys psychologii** dla użytku szkół średnich. Napisał *ks. Aleksander Pechnik*, dr. fil. i prof. gimn. We Lwowie. Nakładem Towarzystwa pedagogicznego.

Już przed trzema laty ks. Pechnik złożył przekonywające dowody, jak żywo go i bardzo obchodzi poprawienie i podniesienie propedeutyki gimnazyalnej [1]. Piękne owe marzenia i projekta nie spełzły na niczem, ale skłoniły i przykuły autora do zmudnej pracy, długich dumań i rozmyślań, które teraz zaczynają wydawać dojrzałe owoce. Oto mamy przed sobą podręcznik psychologii dla naszych szkół średnich, i to nie tłumaczony ale własny, oryginalny. Powiedzmy z góry, że podręcznik ten przedstawia się nieźle, wcale dobrze, o wiele lepiej od podobnych podręczników niemieckich.

Dobór materyału i sposób traktowania rzeczy, to cechy, co książkę ks. Pechnika wyróżniają i wynoszą ponad dotychczasowe tego rodzaju

[1] A. Pechnik, „O reformie t. zw. propedeutyki filozoficznej w naszych gimnazyach". Tarnów 1892. — Cfr. *Przegląd Powszechny,* sierpień 1892.

elukubracye i przeróbki. Najważniejsze kwestye, dla dojrzewającego dzisiaj pokolenia nieodzownie potrzebne, są tu pomieszczone. główne prądy psychologiczne z ostatnich lat dziesiątków uwzględnione, dużo szczegółów z psychologii empirycznej napomkniętych, nic zasadniczego niema pominiętego. A wszystkie kwestye zna autor dokładnie tak na podstawie własnej pracy umysłowej, swoich obserwacyj, jak też z krytycznego studyum różnych dzieł i prac psychologicznych; stąd nie uchodzą go najnowsze kierunki nietylko filozofii niemieckiej, ale i francuskiej (Fouillée) i angielsko-amerykańskiej (W. James). Panuje też autor dostatecznie nad niezmiernie obfitym materyałem, umie wybrać i oddzielić rzeczy istotne od przydatkowych, główne od podrzędnych: stąd dokładniej i obszerniej traktuje kwestye zasadnicze, mające doniosłejsze znaczenie, starając się je i rozprowadzić gruntownie i prawdziwie pogłębić, kwestye zaś poboczne narzuca i natrąca tylko, grupując je i wiążąc logicznie z pierwszemi, jakkolwiek i tutaj nie grzeszy nigdzie powierzchownością. Wreszcie cały wykład tej treści nie czysto opisowej, ale filozoficznej, przeplata mnóstwo przykładów, nietylko z codziennego życia, ale nadto z różnych tak klasycznych, jak nowożytnych literatur, zwłaszcza zaś ze skarbnicy poezyi ojczystej.

To wszystko złożyło się na całość dziełka, która przedstawia się mile, a czytaną będzie z pożytkiem przez każdego wykształconego, nawet już ukończonego człowieka.

Plan książki prosty i jasny. Wstęp i trzy części: 1) poznanie, 2) uczucie, 3) pożądanie i wola, stanowią treść podręcznika.

W uwagach wstępnych autor tłumaczy krótko i jasno różnicę między zjawiskami psychicznemi a fizycznemi, podaje określenie i podział psychologii, przyczem zaznacza swoje stanowisko względem t. zw. władz duszy, których nie uważa wcale za odrębne siły, ale raczej za pierwiastki świadomości.

Pierwsza część zajmuje prawie połowę dzieła. Poznanie zmysłowe z wszystkiemi swemi wrażeniami, spostrzeżeniami, wyobrażeniami, pamięcią i wyobraźnią rozprowadzone stosunkowo bardzo obszernie, z uwzględnieniem potrzebnych szczegółów fizyologicznych systemu nerwowego, tych zwłaszcza, których znajomości nie można suponować z anatomii i fizyologii człowieka. Mógł autor tutaj umieścić kilka uwag o psychofizyce i głośnem „prawie Webera“, zarzutu jednak z tego, że je pominął, robić mu nie chcemy. Rzecz o poznaniu rozumowem zasługiwała może na dokładniejsze traktowanie, pragnęlibyśmy zwłaszcza więcej szczegółów psychologicznych o tworzeniu pojęć ogólnych, sądów

i wniosków. Pogląd też autora na pojęcia przyczyny, substancyi, tożsamości (str. 62—66) nie przemawia nam do przekonania. Ks. Pechnik skłania się w tej mierze do natywizmu i uważa pojęcia owe za wrodzone. Racyą jego między innemi jest ta, że utrzymuje np. za Humem, jako pojęcia przyczyny nie możemy odnieść do żadnego doświadczenia, tymczasem zdaje się nam, że jakkolwiek trzeba przyznać słuszność Hume'owi co do zewnętrznego doświadczenia, odmówić mu jej z de Biranem i innymi filozofami [1] stanowczo należy, co się tyczy doświadczenia wewnętrznego. Przyjąć zresztą, że te najważniejsze i najbardziej zasadnicze pojęcia są nam wrodzone i jako takie są tylko koniecznemi warunkami wszelkiego poznania, nie znaczy naszem zdaniem nic innego, jak przyjąć apryoryczne kategorye Kanta i skazać nasz rozum w rzeczach właśnie podstawowych na ślepą a nieuzasadnioną wiarę. Nie możemy się również zgodzić na zapatrywanie autora, napomknięte na jednej z końcowych stronic (148), należące jednak ściśle do kwestyi poznania, jakobyśmy znali tylko „własne wrażenia i wyobrażenia". Wprawdzie wiadomo mi dobrze, że dzisiejsi psycholodzy i filozofowie przyznają się powszechnie do tego poglądu, że przez wystąpienie przeciwko niemu można ściągnąć na siebie miano heretyka i ignoranta w filozofii — ale cóż robić? Odstępujemy od tego poglądu, bo nie rozumiemy, jak można wtedy bez popełnienia niekonsekwencyi uratować się od przepaści idealizmu, a nawet skeptycyzmu? — Do części o poznaniu należy jeszcze rzecz o samowiedzy i jaźni. Warto było w tym paragrafie wspomnieć owe dziwne i niezmiernie ciekawe rozkawałkowania i rozłupania świadomości, znane najczęściej pod nazwą zdwojenia osobowości, które w bardzo wielu dziełach i czasopismach, zwłaszcza filozoficznych, były już tyle razy opisywane, rozbierane, w najrozmaitszy sposób tłumaczone [2]. Całą kwestyę poznania wyświecają jeszcze z nowych punktów widzenia paragrafy o złudzeniach, obłędzie, śnie normalnym i hypnotycznym, o mowie, które podają mnóstwo interesujących, skrzętnie zebranych faktów i instruktywnych uwag.

Tyle o pierwszej części; słówko jeszcze o dwu następnych. Część druga omawia wcale obszernie psychiczną naturę uczuć, związek ich z objawami fizyologicznemi, przegląd, znaczenie i opis rozmaitych rodzajów uczucia. Jedna rzecz tylko wpadła nam w oczy. Za krótko i nie-

[1] Por. np. G. L. Fonsegrive, *La causalité efficiente.* Paris, Alcan, 1893.

[2] Por. np. dzieła Piotra Janeta, Bineta, Azama, Ribota i wielu innych, różne prace w *Revue philosophique, Annales de philosophie chrétienne* i t. d.

dość jasno autor tłumaczy stosunek serca do uczucia, czemu powszechnie serce uważamy za siedzibę uczucia; spodziewaliśmy się wyraźniejszego zaznaczenia, że właściwym organem *(organum elicitivum)* tak poznania zmysłowego jak uczucia jest mózg, serce zaś jest tylko organem uwydatniającym i objawiającym na zewnątrz uczucia *(organum manifestativum)*.

W trzeciej części nałogi są za skąpo uwzględnione; za to paragraf o wolnej woli, jeden z najdłuższych a najlepszy bez wątpienia ze wszystkich w całej książce, rozbiera doniosłą tę kwestyę, w naszych zwłaszcza czasach może najważniejszą, bardzo dokładnie, prawdziwie gruntownie, jak na podręcznik wszechstronnie i zupełnie wyczerpująco. Ostatnie dwa paragrafy tej części, które byłoby może lepiej umieścić poza obrębem jej jako konkluzyę psychologii lub coś podobnego, omawiają charakter indywidualny i nieśmiertelność duszy. Do paragrafu o charakterze nie zawadziłoby wciągnąć i wybrać niektóre rzeczy z Ribota [1] lub Paulhana [2], o klasycznym zaś podziale temperamentów Hippokratesa wystarczyło napomknąć; ważna kwestya nieśmiertelności naszkicowana jest dobrze, krótko, przekonywająco.

Taka jest książka ks. Pechnika. Nie zrobiliśmy jej dotychczas żadnego właściwie zarzutu, zaznaczyliśmy tylko w pewnych punktach różność zdania autora i recenzenta — jeden jednak zarzut podnieść należy, który w następnem wydaniu koniecznie trzeba usunąć. Psychologia ks. Pechnika jest dosyć ciężko napisana, a przytem wydrukowana tak, jakby to były obszerne prelekcye, nie tekst do wykładów. W podręcznikach szkolnych, zwłaszcza do tak trudnej rzeczy jak filozofia, wymagamy krótkich, jasnych zdań — w naszym podręczniku zdania, co mają po 14 wierszy drobnego druku, są wcale częste, ostatnie zaś zdanie w książce stanowi samo dla siebie cały dowód i obejmuje 28 wierszy. Prócz tego w takim tekscie trzeba koniecznie oddzielić definicye od wyłuszczeń, rzecz samą od rozmaitych przykładów, wogóle używać jak najczęściej *a linea* — tutaj znajdujemy całe stronice bez żadnego odstępu. Nadto byłoby dobrze, ażeby w takich propedeutykach szkolnych każdy ustęp, choćby tylko pół stronicy zajmował, zawierał na początku w jednem zdaniu treść swoją osobnym drukiem uwydatnioną; w taki sposób atoli, by nagłówki wszystkich ustępów jednego np. para-

[1] Cfr. Th. Ribot, *Sur les diverses formes du caractère.* W *Revue philosophique,* Novembre 1892.

[2] Fr. Paulhan, *Les Caractères.* Paris, Alcan, 1894.

grafu ściśle logicznie po sobie następowały i wiązały się z sobą. Ułatwiłoby to niemało i uczenie się uczniom i wykład profesorom, a samego autora zmusiłoby do wielkiej ścisłości, logiczności, przejrzystości i jedności w książce. Za wzór do pewnego stopnia pisania i drukowania w taki sposób podręczników możnaby polecić np. podręczniki Rabiera[1].

Kończymy tę krótką analizę życzeniem, by książka ks. Pechnika przyjęła się we wszystkich naszych gimnazyach z prawdziwym pożytkiem młodzieży, nad którą autor z takiem poświęceniem i miłością pracuje, i byśmy wkrótce otrzymali nowe wydanie psychologii, któreby było już nietylko dobrym, ale bardzo dobrym podręcznikiem.

*J. Nuckowski.*

**Elżbieta z Kowalskich Drużbacka. Życie i pisma.** *W. Bojarski.* Przemyśl 1895. Str. 54. (Odbitka ze Sprawozdania c. k. gimnazyum w Przemyślu).

Szerokie tło rzucił prof. Bojarski, pisząc rozprawę o Drużbackiej, we wstępie bowiem do tej pracy próbował podać charakterystykę piśmiennictwa angielskiego, francuskiego i polskiego z XVII. i XVIII. wieku. Pewna nawet nierównomierność wynikła z tego podmalowania tak obszernego tła, bo gdy wstęp obejmuje siedm stronic, to cały życiorys, przepleciony licznemi cytatami i opatrzony kilkoma obszerniejszemi przypiskami, zajął tylko czternaście stronic druku. Nowych szczegółów do życiorysu Drużbackiej nie zebrał p. B., sprostował natomiast kilka błędnie dotychczas podawanych dat z życia tej poetki i obalił kilka fałszywych sądów o tej autorce, które wśród czytającej publiczności rozszerzyły się dzięki pracy d-ra A. Bełcikowskiego.

Zdaniem p. B., Drużbacka najprawdopodobniej „urodziła się w r. 1695, umarła zaś r. 1765, w wieku lat 70... Nie ulega wątpliwości, że daty te są pewniejsze od wszystkich do r. 1868 przez historyków literatury powtarzanych". Bardzo trafnie zbija p. B. mniemanie Bełcikowskiego, że Drużbacka większą część swych wierszy napisała jako panna z fraucymeru kasztelanowej Sieniawskiej, w takim razie bowiem musiałaby była nabyć rozgłosu poetyckiego jako panna Kowalska, a nie jako pani Drużbacka. Życie Drużbackiej z mężem było krótkie, a owdowiała poetka musiała zrazu walczyć z kłopotami gospodarczemi, tak, że dopiero około r. 1748 przeniósłszy się do Rzemienia

[1] E. Rabier, *Leçons de philosophie I. Psychologie.* 3 éd. Paris, Hachette 1888.

nad Wisłokiem, doznała spokoju. „To też przenosiny te wpłynęły korzystnie na spokój jej umysłu, na swobodę i twórczość literacką. Do tego-bo zapewne okresu odnieść wypada znaczną część jej utworów poetycznych, osobliwie większych rozmiarów. W tym okresie prawdopodobnie bliższą zawarła znajomość ze znakomitym mecenasem literatury ojczystej, Andrzejem Stanisławem Załuskim, biskupem krakowskim i referendarzem koronnym, który ją osobliwie zachęcał do pisania wierszy". Wykształcenie Drużbackiej, dzięki jej niezwykłemu czytaniu, było wcale niepoślednie. Mimo rażących nieraz błędów, pochodzących z braku w tym lub owym kierunku wiadomości, umiała poetka wyzyskać podania starożytnego świata „w zręczny i udatny sposób", i nad formą wiersza panowała świetnie. Trafnie też charakteryzuje jej stanowisko w dziejach naszego piśmiennictwa p. B., pisząc tak o niej: „Nie miała rozległych widnokręgów myśli, nie wdawała się w dociekanie spraw publicznych; niemniej przeto potrafiła zapatrywania swe przyoblec w szatę poezyi, w szatę niejaśniejącą przepychem barw i świetności, to jednak poprawną i czystą".

W drugiej części rozprawy o Drużbackiej, podaje p. Bojarski treść niektórych jej poematów, osądzając je niestety z dzisiejszego punktu widzenia. Kilkakroć powtarza p. B., że poetka nie znając obcych języków, nie mogła się zaznajamiać z ówczesnemi prądami literackiemi zagranicy. Czy wiersze Drużbackiej są istotnie oryginalnemi, czy na nie prócz gdzieniegdzie porobionych poprawek przez X. B. W. (ks. biskupa warmińskiego), żaden poeta nie wywarł wpływu, na to pytanie w rozprawie p. B. nie znachodzimy odpowiedzi. Rzecz pewna, że porównanie poezyj Drużbackiej z utworami przynajmniej współczesnych jéj poetów polskich, cenneby było wydało rezultaty i prawdziwa szkoda, że prof. Bojarski, pracując tak sumiennie nad monografią Drużbackiej, nie zadał sobie jeszcze tego trudu, czem pracy swej wartość w dwójnasób byłby powiększył.

W trzeciej części swej pracy podaje p. B. dwa nieznane utwory Drużbackiej. Pierwszy z tych utworów nosi tytuł: „Raj Białostocki każdemu otwarty w zupełnej szczęśliwości, w doskonałej rozkoszy wszystkich kontentujący, przez Adama stracony, przez Jana przywrócony". Jest to panegiryczne powinszowanie, złożone Janowi Klemensowi Branickiemu w dniu św. Jana Chrzciciela, patrona hetmana Branickiego; pod „rajem białostockim" należy rozumieć park, otaczający rezydencyę tegoż magnata.

Drugi poemat treść swą własnym tytułem tłumaczy: „Reflexia

nad śmiercią J. W. I. M. C. pana Tarła, wojewody Lubelskiego herbu Topor, zabitego w Warszawie pod Marymuntem o środopościu, w pojedynku z I. M. C. panem Poniatowskim, podkomorzym koronnym herbu Ciołka; zginął w Czerwonej Barwie, powadził się o Xiężniczkę Lubomirską herbu Śrzeniawa, imię Hanna".

Rozprawę p. B. należy chętnie powitać, jest ona jedną z tych literackich monografij, których spora ilość przybywa co roku, na których kiedyś zbudować będzie można zarys naszego piśmiennictwa, ustalający sądy o dziełach naszych autorów. Korekta tej rozprawy pozostawia dosyć do życzenia, a błędna deklinacya nazwiska „Tarło" wskazuje dobitnie, że szanowny autor wczytywał się dokładnie w poezye Drużbackiej. Jak Drużbacka pisze „Reflexię nad śmiercią pana Tarła", zamiast jak dziśbyśmy powiedzieli Tarły, tak prof. Bojarski „napotyka co niemiara wierszy, panegiryków, satyr lub nagrobków, poświęconych Tarłowi" (str. 52). Tarło odmienia się dziś przecież jak Jagiełło, Jagiełły, Jagielle i t. d.

*Leszek Marya Dziama.*

**Poezye.** Serya II. Sfinks. Fantazya dramatyczna. *Kazimierz Tetmajer.* Kraków. Nakładem autora. 1894.

Pierwszą już seryą swoich poezyj, wydanych przed czterema laty, zwrócił na siebie Kazimierz Tetmajer uwagę krytyków i publiczności: już wtedy uderzał i wyróżniał się korzystnie wśród plejady młodych poetów, już wówczas spodziewano się, że stanie na ich czele: dziś, o ile poznałem głosy krytyki, przyznają mu wszyscy formę wykończoną, doskonałą, stawiają go w najbliższem sąsiedztwie Asnyka i Konopnickiej. Zaszczyt to dla niego niemały, podnieta do pracy dalszej nad sobą wielka, a powiedzmy od siebie, zaszczyt słusznie mu się należący, podnieta bardzo potrzebna, bo chociaż i sam się już zapewne do bardzo młodych nie zalicza, lubo go tak krytycy nazywają, to jednak pracy nad sobą potrzebuje w pewnym względzie, o którym będzie później, wiele i znacznej.

Nie mamy zamiaru wdawać się w krytykę wierzeń filozoficznych autora, bo sami należymy do tego pokolenia, co i poeta — i innym, starszym i doświadczeńszym należy wskazać mu drogi, na których znajdzie środki do zharmonizowania się, zdobycia przekonań zdrowszych silniejszych, plenniejszych w owoce i dla niego i dla społeczeństwa. Wypada nam tylko sobie życzyć, aby dla niego i jemu podobnych

nadeszła jak najprędzej chwila, która da im cel życia, da spokój i ukojenie. Piszemy tu tylko sprawozdanie, poprzestajemy na roli tłumacza poety wobec publiczności, której uwagę chcemy zwrócić na te poezye, a zasługują one na to z tego względu, że są, zdaniem naszem, wiernem odbiciem umysłu, przekonań i wierzeń ludzi urodzonych w czasie lub tuż po ostatniem naszem powstaniu. Zdaniem naszem, Tetmajer jest tym, który pierwszy wypowiedział radości i bóle, wiarę i nadzieję, szały i to, w czem większość ostatniego pokolenia szuka ucieczki. On nietylko ciekawy dlatego, że go ogłoszono najlepszym z młodych, że może zaczyna należeć do modnych pisarzy, o których się mówi, a więc i czytać go dla towarzyskich względów trzeba, nie dlatego, że w „Lizystracie“ każą sobie jego nazwisko zapamiętać, ale z tego przedewszystkiem powodu, że jego wiara jest wiarą wielu, że jego przekonania są przekonaniami tych, którzy już zajęli i powoli zajmą stanowiska, z których się ma wpływ na życie społeczne. Bądźmy więc otwarci i szczerzy, starajmy się bezstronnie przypatrzeć i zanalizować te wierzenia, aby sami sobie zwrócić uwagę na to, co w nas jest, aby sobie postawić pytanie, czy to, co jest, jest dobre, jakie z tego skutki; zejdźmy więc z drogi artystycznej tylko oceny, bo ograniczenie się na niej tylko byłoby dla samego poety krzywdą.

Zanim przystąpimy do tej analizy, załatwmy się naprzód z jednem: przyznajmy poecie to, na co się wszyscy godzą, mianowicie formę piękną, wykwintną, wielką rozmaitość wiersza, zastosowaną doskonale do treści, język bardzo dobry, wielką siłę wyrażenia, bogactwo tropów i figur, porównań oryginalnych, chociaż znajdują się tam i takie, jak miecz Damoklesa, jak wulkany, potopy i lawy (= rewolucya), skorpiony, same się zabijające, a więc przybory, które należało z powodu zużycia pozostawić w dobrze zasłużonym spoczynku.

Jako rys bardzo sympatyczny, a zarazem bardzo ważny w ocenie tych poezyj, podnieść należy szczerość poety, brak zupełny udawania, tego, co się nazywa w powszednim języku „blagą“. Może tu i ówdzie jest nieco pozy, zresztą otwartość i szczerość w wypowiedzeniu swych uczuć, wrażeń, przekonań. To wszystko bije z wierszy, dlatego robią wrażenie; można się z poetą nie zgadzać, można mu wiele mieć za złe, można się nawet na to i owo oburzyć, nie można go nie szanować, nie można z nim nie współczuć, nie można mu nie wierzyć. Staranie się o oddanie najwierniejsze, najczystsze tego, co wstrząsało jego umysłem, co targało jego sercem, prawda, którą każdy w jego utworach odczuć musi, ta zasłuży zawsze na uznanie, zdobędzie je sobie przebojem. Z tej

też chęci i z pewnością samowiednego postawienia sobie zasady, aby przedstawiać tylko to, co za prawdę uznaje, starania się, aby ta prawda w całej swej istocie, bez żadnych osłonek teoretycznych, wyszła — wypłynęła piękność i czar tych poezyj.

A teraz, jakie to pierwiastki wywołały te poezye. Szeregujemy je mi w porządku zależnym od tego, czy poeta zajmował się niemi więcej, czy mniej, a więc: zagadnienia, dotyczące celu życia ludzkiego, ludzkość, społeczeństwo, wśród którego poeta żyje, przyroda, no i naturalnie korona stworzenia: kobieta.

Odrzuciwszy sprzeczności, jakie się dosyć nawet często spotyka w wierszach Tetmajera, sprzeczności, dające się wytłumaczyć tem, że poeta nie miał dotąd czasu skonsolidować się, następnie tem, że wogóle wyjątkowo tylko znajdujemy w poezyi ścisłe przeprowadzenie, pewien stały kierunek filozoficzny, czy artystyczny, że zwykle dopiero po długiem błąkaniu, „macaniu", dochodzimy do stanowczo określonych zasad — uczyniwszy więc powyższe zastrzeżenie, sformułujemy zapatrywania i poglądy poety na ustrój, cele i drogi tego świata w następujący sposób. Zaraz na samym początku tej „seryi" spotykamy się z wierszem, („Nowy Rok"), który jest wyrazem niezadowolenia młodych z teraźniejszości suchej, przygniatającej, rozpaczliwej. Życzy więc sobie poeta i pragnie przewrotu, jaki się już zapowiada. Poeta wierzy, że życie świata sunie się ruchem falistym, że zło dopełniło już chyba swej miary, dosięgnęło zenitu, a więc runąć musi, potop zaleje świat, po nim — wierzmy — że jasne słońce uśmiechnie się ziemi. W tej jednej tylko, zdaje mi się, pieśni, spodziewa się poeta szczęśliwszej doli dla świata. W innych już tylko sam pesymizm — w następującem zaraz „Credo" wszelka nadzieja znikła:

Jutro?... Nie wierzę, aby lepiej było
I nie zazdroszczę już tej wiary — dzieciom...

Wiarą dla niego:

I tylko głos ten, co nas w noce woła
Z złem walczyć, nie przez ufność odrodzenia,
Lecz przez nienawiść ku złemu, dla złego,
I żądzę, ssaną z powietrzem, niszczenia.

Na nic wszelki trud, wszelka praca, wszelkie usiłowanie postępu, bo doświadczenie uczy, że dzieje świata, to tylko ustawiczna przemiana złego: jedne zbrodnie ustępują, aby zrobić miejsce drugim. Światem rządzi siła ślepa, głucha, zimna, obojętna i brutalna, dźwignią zaś ludzkości — nienawiść.

Pesymizm więc najzupełniejszy wieje z tego wiersza i z wielu innych. Poeta nie widzi nigdzie jasnej drogi ani dla ludzkości całej, ani dla narodu, którego jest członkiem. W wierszu „Kwestya polska“ powiada: trudno wierzyć, że krzyk nasz przestraszy winnych zbrodni nad nami popełnionej.

„Więc co?“ Co robić, woła młody i żąda od starszych wskazania mu drogi postępowania: wszak wszelka nadzieja zawiodła, wszystkie wiary okazały się niczem, żadne godła nie miały mocy w sobie, więc wobec pogromu, wobec jego pewności niezbitej, „Dokąd wzrok wznosić?“ W jakie patrzeć strony? Z jakich pić źródeł? W co wierzyć i w kogo? Poeta jest przedstawicielem młodego pokolenia, które choćby już z racyi swej młodości pragnie ideałów, którego życie rwie się w krainę wyższych zagadnień, szuka celów wysokich, świetlnych, chce na nich spróbować swej siły — a tych ideałów, tych idei wyższych naokół siebie nie znajduje, a jeżeli je sobie stworzy, jeżeli ich odblask gdziekolwiek znajdzie, to zabija je w niem nowoczesna nauka. Pokolenie to w większości swej nie wierzy, wiarę zabił pozytywizm, materyalizm, zabiło ją już w młodym wieku szyderstwo, nieraz przykład starszych, wreszcie życie tego rodzaju, jakie maluje Tołstoj w „Kreutzerowskiej Sonacie“. Ogląda się więc za czemś innem, coby tę wiarę w Boga, którego się czuje, którego się uznaje, a jednak w formach objawionej religii przyjąć nie chce, zastąpić mogło. Żyć trudno myślącemu i rozważającemu wśród powszedniej pracy, nie tak łatwo mu zapomnieć w kieracie, który porusza dla zarobku, o tem, że przecież człowiek nie jest bydlęciem pociągowem: szuka więc celu i myśli wznioślejszej. Może jest nią praca dla kraju swego? Przypatruje się więc swemu społeczeństwu, bada jego dzieje, zadaje sobie pytanie, czy byt polityczny można mu powrócić? czy przynajmniej narodowość nasza jest tak silna, że trwanie jej nie ulega wątpliwości? I jeżeli nie jest jeszcze bardzo doświadczonym, jeżeli się przypatrzy obecnej pracy około jej zachowania, to może zawołać: „Z jakich pić źródeł?“ W co wierzyć i w kogo? W jednej stronie grzebią nasz naród ukazem jednego, w drugiej większością parlamentarną, w trzeciej osłabia się sama brakiem jedności, walką stronnictw namiętną, gdzie każde dla siebie tylko wyłącznie rewindykuje prawdziwy i najczystszy patryotyzm, drugich odsądza często od czci i wiary. Gdzież dla młodych, myślących a niewytrawnych droga, gdy parę stronnictw używa i nadużywa najświętszych nazw i haseł, a gdzie każdy, choć nieco obeznany z maszyneryą dziennikarską, a takim jest autor, widzi bardzo często kłamstwo, interes osobisty, zawiść,

brak wyrozumiałości, gdzie nierzadko spostrzega się, że żadna strona nie ma zupełnej słuszności, że wszystkie, aby coś zdziałać i przeprowadzić, każą się dla swego programu wyrzec jednostkom wielu przekonań istotnych i prawdziwych... W takim stanie rzeczy nic dziwnego, że młody, który jako taki pragnie radykalnego, jednego a pewnego środka, pyta, gdzie on jest, wskażcież mi go — wreszcie poczyna wątpić i staje się pesymistą, gdy widzi, że tyle już haseł zawiodło, że w teraźniejszości, prócz chaosu najsprzeczniejszych nawoływań i argumentów, nie dostrzega nic, coby zapowiadało, że ta, a nie inna droga wiedzie do celu.

A więc wiary się nie posiada, praca dla narodu nieokreślona lub młodej fantazyi nie odpowiadająca. Może więc postawić sobie cele ogólniejsze?... Ludzkość?! Ale tu dopiero las teoryj! Umysł świeży, młody, chce widzieć daleko, jasno, pragnie na końcu swej drogi zobaczyć przypuszczalny rezultat swej pracy, starszy wiekiem dopiero po mękach i szamotaniu zakreśla sobie drobne koło i w niem się krząta. Jakież więc cele ludzkości? Czy jest wogóle jakiś, czy ludzkość do niego dąży, czy w jej dziejach jest postęp ku lepszemu: pyta, słucha, czyta. I cóż się dowiaduje? Jakakolwiek filozofia historyi powie mu, ile najsprzeczniejszych teoryj było i jest o postępie ludzkości, a każda ze stosem dowodów, a wszystkie nie wystarczające. Rozwój tego świata tłumaczy jedynie konsekwentnie i jasno wiara. Ale ta stracona: wygnaniśmy z raju! Rzucamy się więc w sceptycyzm, z tego w pesymizm, wprawdzie nie zupełnie pewny i ugruntowany, bo tego nie znajdujemy ani u poety, ani u młodych wogóle, gdyż mają za mało ochoty i czasu do filozoficznych badań, ale w ów wygodniejszy, który wyrósł z powieści i feljetonów i pisze się wówczas:

Dzieci krytyki, wiedzy i rozwagi,
Cudzych doświadczeń mając pełną głowę.

Z takiego pesymizmu wydobyć się można i wszelkie narzekania z niego wypływające nie tak znów bardzo seryo brać należy. Nie wynika z tego, że nie wierzy się w ból poety, w słowa: „... i tylko nam bywa

Tak źle, że na złe takie brak wyrazu".

Wierzy się tylko, że z takiego pesymizmu otrząsnąć się można, i można mieć nadzieję, że poeta sam znajdzie prędzej czy później cel jasny i wysoki, że wskaże go tym, których uczucia wyśpiewał, a zapewne sam on to czuje dobrze, że niedosyć być odbiciem swego czasu,

ale trzeba go wyprzedzić. W tem, cośmy dotychczas powiedzieli, streszcza się pogląd poety na sprawy tego świata. Dla stwierdzenia tylko tego, cośmy wyżej napisali, streścimy wiersz: „Koniec wieku". Na pytanie, gdzie szukać teraz szczęścia, ukojenia, obrony przeciw złemu, odpowiedzi niema. Ani losu przeklinać, ani szydzić z niego nie warto. Szukać pociechy we wzniosłej idei: idee pozostały i pozostaną ideami; może w modlitwie: ta już tylko niewielu osłodą. Również nie pomoże ani wzgarda, ani rozpacz, ani walka, ani rezygnacya, ani wiara w byt przyszły, ani użycie.

W „Prometeuszu", jedyne zbawienie i szczęście dla świata upatruje w zupełnem zniszczeniu, w nicości; czci ją w „Hymnie do Nirwanny" (której koniecznie należało dać inną formę, nie tę, która każdego wierzącego oburzyć musi), jako jedynej ucieczki przed klęskami, cierpieniami, podłością, złością i bólami, które ludzkość ścigają.

„Zamyślenia", dedykowane rodzicom poety, są śpiewem na cześć spokoju, oddania się zupełnego marzeniom, zatracenia pamięci; myśl we wszystkich pieśniach, objętych powyższym tytułem, prawie jedna, wyrażona jednak każdym razem w innym obrazie, w innych porównaniach, a chociaż ton ich ten sam, ton smutku, tęsknoty, panteistycznych pożądań zlania się z wszechświatem, poeta nie staje się nigdy ckliwy, nudny, nużący i powszedniejący: świadczy więc to znowu o tem, cośmy poprzednio powiedzieli o wielkim talencie Tetmajera.

Trzecim pierwiastkiem, któremu poeta poświęcił w swych poezyach wiele miejsca, jest przyroda, i wiersze nią wywołane są, zdaniem mojem, najlepsze z tego zbioru, z nich zaś najwięcej podobać się muszą owe, w których nie znać jakiejś filozoficznej idei, w których poeta pozwala działać na siebie naturze, nie szukając w niej jakichś celów i przeznaczeń, nie filtrując jej przez swój umysł, ani nie patrząc na nią przez szkła tej lub owej artystycznej czy filozoficznej teoryi. Spotykamy się tu z odczuciem przyrody wielkiem i nadzwyczajną łatwością w oddaniu zbudzonych przez nią nastrojów. A przyroda, jaka się przed nami w tych pieśniach, we wspaniałych roztacza obrazach, to przedewszystkiem dobrze zaobserwowane barwy, światła i cienie lasów, gór, strumieni ziemi ojczystej, szczególnie zaś ukochanych, bo rodzinnych Tatr, następnie fantazyjne malowidła natury, jaką widzimy w snach i marzeniach naszych, nie istniejącej w rzeczywistości, gdzie się łączą obrazy widziane z opisami egzotycznych krain, gdzie mieszają się strefy, gdzie liany wiążą sosny, gdzie widoki zmieniają się, jakby za poruszeniem maszyneryi. Chcąc wskazać najpiękniejsze, wyliczyćby należało

wszystkie, a więc cały cykl „Z Tatr“, „Narodziny Afrodyty“, „Narodziny wiosny“, „Albatros“, a zapomnieć także nie wolno przepięknej „Melodyi mgieł nocnych“.

Zbliżamy się ku końcowi. Tetmajer jest lirykiem; „Sfinks“ jest drobnostką, po której o talencie dramatycznym poety trudno coś stanowczego powiedzieć — musi się więc znaleść na jego bardonie struna, brzmiąca chwałą kobiety, sławiąca miłość. Wybieramy najbardziej charakterystyczną z tego rodzaju pieśni: „Hymn do miłości“. Miłość jest dla poety najwyższą z sił, „życiem życia“; pojmuje on ją zupełnie zmysłowo, czasem aż za bezwstydnie przedstawia, — szuka w niej zapomnienia, powiada, że wobec niej ginie piękność przyrody, niczem staje się sława, znika żądza poznania wszystkiego, co jest poznanem, albo niem być może i t. d. Czy mamy w to wyznanie wierzyć? Zdaje nam się, że ta i jej podobne pieśni są tylko śladem jednej chwili życia, skutkiem nadmiernych sił młodości, wszędzie i zawsze przesadzającej, a utwierdzają nas w naszem mniemaniu wyrażenia tego rodzaju, jak następujące:

Ależ w duszy jest zawsze coś na dnie,
Co wśród użycia pragnie, wśród rozkoszy żąda,
Rzuciłbym wszystko (skarby, sławę, kobiety), gdyby z drugiej strony
Dano mi tylko jedno: swobodę.

*Wspomnieliśmy już poprzednio* o „Sfinksie“. Sfinks jest to fantazya dramatyczna, napisana prozą, rzecz jedyna, w której poeta, zupełnie oryginalny, naśladuje Maeterlincka. Sfinksem jest Leon, brat Anny, człowiek ślepy i głuchoniemy: jego jedynym, najbardziej rozwiniętym zmysłem jest węch. Rzecz odbywa się wieczorem, przed burzą w górach. Anna rozstrojona, zdenerwowana, oddająca się namiętnie muzyce, ma owego wieczoru smutne przeczucia, w naturze odczuwa jakieś złowieszcze drgnienia i szelesty, dla innych niedosłyszalne. Sprowadzony przypadkiem w jej dom Artur Weren, uderzony jej pięknością, wyznaje jej swą miłość, którą Anna podziela. Leon, zazwyczaj spokojny, obecnie podrażniony, objawia zazdrość o Annę. Proboszcz miejscowy tłumaczy te objawy temi słowy: „Czyżby to instynkty w nim się budziły spóźnione? Byłaby to rzecz straszna“... Ostatecznie Leon, poczuwszy, że Anna znajduje się w objęciach Artura, zabija go wazonem. Ciekawiśmy byli bardzo tego utworu, znaliśmy go przedtem z przedstawienia na scenie krakowskiej. Wówczas na nas, jak i na całej publiczności wywarł wrażenie znaczne, wzbudził w nas te uczucia, jakie autor życzył sobie, aby powstały w słuchaczach. Już to samo

świadczy o wartości utworu. Była to jednakowoż prawdopodobnie chęć przemijająca spróbowania się w rodzaju świeżo powstałym, a modnym; próba wypadła pomyślnie i na niej autor poprzestał, bo w zbiorku tym nie widzimy żadnych dalszych wpływów maeterlinckowskiej poezyi. Wrażenie, jakie się otrzymuje z czytania „Sfinksa“, jest daleko słabsze niż to, jakie się otrzymało z przedstawienia na scenie, a tłumaczy się to tem, że wrażenie grozy, przestrachu, wywoływane jest nietylko słowami występujących osobistości, lecz także, i to w znacznej części, akcesoryami pobocznemi, burzą, pożarem, intonacyą głosów i t. p., co tylko scena dać może.

*Gdybyśmy teraz ostatecznie* zdanie nasze o Tetmajerze sformułować chcieli, to wypadłoby jak następuje: poeta ten ma w swoich rękach instrument bardzo dobry, posłuszny zupełnie jego woli: epoka szamotania się z formą, widoczna jeszcze w pierwszej seryi, należy już do przeszłości; następnie uderza w nim przedewszystkiem miłość do natury, która na niego działa najsilniej, a on jest jej doskonałym tłumaczem i malarzem; jest w nim dalej pociąg do zdania sobie sprawy z najważniejszych zagadnień życia, rozwiązanie ich ani nas, ani jego z pewnością nie zadawalnia, ale już to samo zajęcie się niemi napełnia nas otuchą, że talent ten nie zmarnieje, że, czy znajdzie czy nie znajdzie wreszcie prawdy, to utwory jego, odzwierciedlające tę walkę, jaka się *toczy w człowieku od tylu wieków*, będą dla nas zawsze rzeczą, którą się czyta z wielkim interesem, z niemałem uznaniem dla talentu, czasami z wielką przyjemnością i sympatyą, nigdy z nudą lub lekceważeniem.

*Dr. Antoni M. Kurpiel.*

## Z piśmiennictwa zagranicznego.

**Die moderne Litteratur** in ihren Beziehungen zu Glaube und Sitte. *Dr. H. Rody*, Pfarrer in Östrich am Rhein. Mainz 1895. (W 8-ce, str. 96).

Do szeregu broszur i artykułów, pojawiających się od czasu do czasu w pismach peryodycznych przeciwko teoryom socyalistycznym, spowodowanym po części fałszywemi kierunkami i prądami w literaturze nowoczesnej, a szerzącemi zepsucie i obojętność religijną w masach, zaliczyć wypada i broszurę powyżej wymienioną. Więcej ona

daje, aniżeliby po skromnych jej rozmiarach i nazwisku autora spodziewać się można, gdyż lubo kwestye, które dr. Rody (ksiądz z nadreńskiej prowincyi) porusza, należą do najżywotniejszych dzisiaj, to przecież prędzej i łatwiej zastanowią one czytający ogół, kiedy są podane w tej formie umiejętnie i gruntownie zestawionych czynników destrukcyjnych zepsucia, jak krótki artykuł w gazecie. Jest to rzeczą smutną, lecz niezaprzeczoną — powiada Rody — że w społeczeństwie dzisiejszem, mianowicie w świecie uczonym (autor oczywiście Niemców specyalnie ma na myśli), wieje jakiś niewytłumaczony duch nienawiści dla katolickiego Kościoła, przez co coraz to bardziej rośnie liczba ateuszów: albowiem i socyaliści, ci najgroźniejsi dziś nieprzyjaciele społecznego porządku, niczem innem nie są, jak dziećmi źle zrozumianego liberalizmu, wykształceni i obałamuceni w szkole religijnego indyferentyzmu swych nauczycieli. Stąd też coraz to częściej pojawiają się jakieś błędne idee i hasła przewrotu, niepokojące nietylko rządy i panujących, ale ogół cały i społeczeństwo, w większej dotąd, ufajmy, liczbie nie dotknięte jeszcze tą zarazą. Mężowie stanu, politycy, panujący wreszcie sami starają się napróżno bądźto wyjątkowemi prawami i ukazami, bądźteż groźbami i surowemi karami, zgnieść, zgnębić, stłumić tę zgniliznę moralną, a przecież ona szerzy się wciąż, bo zanadto już przeszła w krew i kości narodu. Jaka tego przyczyna i jakie na to lekarstwo? Nie broń, ni ostrze bagnetu, jak chcieliby niektórzy, gdyż *geistigen Strömungen gegenüber haben sich stets die materiellen Machtmittel als unzulänglich bewiesen* — odpowiada na to skromnie autor naszej broszury. A więc, co trzeba czynić, aby złe wykorzenić? W ostatnich czasach nikt z pewnością trafniejszych rad, uwag i środków zaradczych na socyalizm nie udzielił, niż panujący obecnie papież Leon XIII. w owych nieporównanych encyklikach: *Apostolici muneris* i *Rerum novarum*. Dziwna rzecz, że do nich nie odsyła nas nasz autor, a wykazawszy szczegółowo, skąd i jak się złe wzięło, jako jedyny prawie środek zaradczy wskazuje ostrzejsze ograniczenie praw prasowych, twierdząc, że najwięcej złych, przewrotnych, ateistycznych pojęć i przekonań w masach, szerzą pisarze wogóle, a przedewszystkiem dzienniki. To też broszura ks. Rody'ego skierowaną jest przedewszystkiem przeciw najwięcej dziś czytanym i wychwalanym pisarzom, literatom i dziennikarzom, gdyż ci głównie — twierdzi Rody — przez zatrutą strawę duchową, podawaną codziennie w tanich wydawnictwach i gazetach, pozwolili tak wzróść socyalizmowi. A więc wytyka błędne teorye, duchowi religijnemu przeciwne, takiego Hardena, Ibsena, Tołstoja i Zoli, którzy

nadużywają swego talentu na to, aby w lśniących słowach brudną treść podawać. Dalej ubolewa, że tak niedostateczną strażą otoczone są ze strony władz wszelkie tanie wydawnictwa tak zwanych *Schandromane*, nabywanych głównie przez młodzież i mało wykształconych ludzi. A mianowicie gazety, przyjmując nieraz bezwstydne inseraty i ogłoszenia, bardzo szerzą zepsucie. Wszystko to odnosi się przeważnie do stosunków niemieckich, ale bądź co bądź niejedno i nas bliżej obchodzi, bośmy od niego nie wolni lub łatwo zarazić się możemy, a więc *exemplo moniti*... W każdym razie broszura ks. Rody'ego, napisana w duchu ściśle religijnym a umiarkowanym, *sine ira et studio*, odkrywając niejedną ranę społeczną, jątrzącą się na zdrowych zresztą organizmach, o niejednem pouczyć nas może, od niejednego uchronić, przedewszystkiem zaś starszym wskazuje te żywioły i kryjówki zepsucia, przed któremi mamy obowiązek przestrzegać i chronić maluczkich.

*K. O. B.*

**Johannes Mabillon.** Ein Lebens- und Litteraturbild aus dem XVII. und XVIII. Jahrhundert. Von *P. S. Bäumer*, Benediktiner der Beuroner Congregation. Augsburg 1892. (W 8-ce, str. 270).

Pod wyżej wypisanym tytułem wyszła kilka lat temu książka poważniejszych rozmiarów, z której treścią zaznajomić czytelników *Przeglądu Powszechnego* i dziś jeszcze nie zawadzi. Ktokolwiek bowiem zajmuje się historyą wydawnictw Ojców Kościoła i średniowiecznemi pomnikami literatury, albo też pragnąłby poznać historyę zakonu Benedyktynów, niemniej i historyę Kościoła katolickiego w średnich wiekach, temu powyższe dzieło, na gruntownych oparte studyach, niejednej udzieli wskazówki, niejedną rzecz wyjaśni i niejedno odkryje źródło, z którego czerpać już potem łatwiej mu przyjdzie. Nie sam bowiem tylko życiorys uczonego mnicha podaje nam i uczony i w źródłach swych gruntownie oczytany autor, ale śledząc w toku opowiadania bieg życia Mabillona, zwraca raz po raz uwagę na ówczesne stosunki kościelne, polityczne i literackie, wśród jakich żył i działał Mabillon, zapoznaje nas z ludźmi, z którymi tenże nietylko w swej celi klasztornej *(St. Germain)* się stykał i obcował, ale i w rozlicznych swych naukowych podróżach po Francyi, Niemczech i Włoszech ponawiązywał mniej lub więcej znaczące stosunki dla dalszego rozwoju swej literackiej działalności i nauki wogóle. Całość pisana jest w języku i stylu każdemu dostępnym, a o ile treść niejedną myśl głębszą i uwagę kryje, o tyle forma jest lekka, nie nużąca i łatwo zrozumiała. Autor nie rości

sobie pretensyi, że napisał ściśle naukowe dzieło, ale dość przejrzeć źródła, z których korzystał (str. VI—IX), a przekonać się można o jego prawdziwie zakonnej skromności. Przedewszystkiem zaś podziwiać należy pietyzm, z jakim przedstawia w ciągu całej swej książki postać i dzieła Mabillona. Lubo ten pierwszorzędnej nauki uczony mnich i erudyt, sam życiem swem i dziełami wiekopomną po sobie sławę zostawił, a począwszy od jego śmierci (w r. 1707) aż do ostatnich lat, coraz to nowe o nim pojawiają się dzieła i studya, przedewszystkiem w języku francuskim pisane, i coraz więcej dalszych jeszcze oczekiwać należy: to mimo to książka Bäumera, z niemiecką i benedyktyńską do tego akuratnością napisana, nietylko nie jest zbyteczną, ale godnie tamte uzupełnia, a na ukazać się mające przygotowuje. Cenną też ona wśród dzieł o Mabillonie jest i pozostanie książką, wzorem literackiej monografii męża tej miary co Mabillon.

Autor podzielił sobie treść na 19 rozdziałów, w których opowiada szczegółowo bieg życia i powstawanie prac naukowych Mabillona, nie omieszkując na ważniejsze wypadki z jego życia lub dzieła celniejsze zwrócić baczniejszej uwagi. To też dowiadujemy się kolejno od autora, co wpłynęło na Mabillona, że chcąc zostać uczonym, „cnotliwym i pobożnym“, wstąpił do zakonu św. Benedykta, jak następnie rozpoczął swój zawód literacki, z początku jako pomocnik w naukowej pracy bibliotekarza klasztornego w St. Germain des Près, później, gdy poznano się bliżej na jego zdolnościach umysłowych, jak stopniowo oddawano mu coraz to częściej do samodzielnego opracowywania obszerne dzieła i najzawilsze kwestye, tyczące się reguły klasztornej św. Benedykta. Dowiadujemy się dalej, dlaczego za najlepsze dzieło Mabillona uchodzi *De re diplomatica,* w którem nieugięte postawił reguły, jak odróżniać fałszywe dokumenty od prawdziwych; również poznajemy przeciwników tez Mabillona, i podziwiać musimy skromną a mimo to przekonywającą i niezbitą w swych argumentach obronę uczonego Benedyktyna.

W dalszym toku opowiadania przytacza nam autor próbki korespondencyi Mabillona z ówczesnym europejskim światem uczonym, któremu największy ówczesny protestancki filozof (Leibnitz) niejednokrotnie niepospolite zasługi i niepoślednią uczoność przyznawał, a Ludwik XIV. zaufaniem swem darzył i materyalną protekcyą. To też nie dziw, że ten uczony mnich, obdarzony rzadkim umysłem spostrzegawczym, bystrym sądem i zdumiewającą pamięcią, władający przytem językiem łacińskim tak biegle jak Bossuet francuskim, co mu w jego

podróżach naukowych niezmiernie poszukiwania ułatwiało, z tych swych podróży świetne dla nauki zdobył rezultaty, przez odkrycie i opisanie wiarogodne wielu najcelniejszych kodeksów, manuskryptów i bibliotek. Sam to wszystko w dziełach swych *(Iter germanicum* oraz *Iter italicum)* opisał. Z innych, obszerniejszych, ciekawszych i najważniejszych dzieł jego zasługiwałyby na wzmiankę przedewszystkiem *Acta Sanctorum ordinis S. Benedicti,* wydawnictwo dzieł św. Augustyna i *Annales ordinis S. Benedicti,* którego już nie ukończył — nie mówiąc o wielu mniejszych pracach, pisanych bądźto w języku łacińskim, bądźteż francuskim.

Przytoczywszy ten szereg dzieł Mabillona w porządku chronologicznym, opisuje nam autor jego ostatnie chwile i śmierć chrześcijańską, a następnie podaje ogólną charakterystykę ducha i talentu tego olbrzyma wiedzy i uczoności.

Pod koniec swej książki zamieścił Bäumer chronologiczny skorowidz wszystkich dzieł i broszur Mabillona. Pobieżny rzut oka na tytuły tych dzieł i ich mnogość wystarcza, abyśmy wiedzieli, z kim mamy do czynienia, a nie potrzeba zupełnie dowodzić, że nie może zostać bez wielkiej korzyści poznanie prac i zasad człowieka, który z taką siłą przekonania, mocą i prawdą słów i argumentów potrafił przekonywać niedowiarków o potrzebie wiary i oświaty i wykazać cele i zasługi zakonów katolickich, tak, że z ust protestanckich (Leibnitz) wydobył wyznanie, iż „klasztory naukę od zagłady uratowały". Bez wątpienia jedną z największych korzyści jest poznanie męża, którego życie całe poucza wymownie, jak przy największej uczoności można i trzeba pozostać skromnym, cichym i bezstronnym.

*K. O. B.*

**Geschichte des Collegium Germanico-Hungaricum in Rom.** Von *Cardinal Steinhuber S. J.* Freiburg im Breisgau. Herder'sche Buchhandlug.

„Dzieje kolegium niemiecko-węgierskiego w Rzymie, stanowią część nieodłączną historyi odrodzenia religijnego Niemiec po nawałności reformacyi. Toż kolegium stało się narzędziem Opatrzności, ażeby uśmierzyć wzburzone fale buntu przeciw Kościołowi, i zachować ludowi niemieckiemu skarb wiary świętej. Okoliczności, towarzyszące powstaniu owej instytucyi raz więcej świadczą, iż jako Zbawiciel na Piotrowej opoce swój Kościół zbudował, tak i życie i rozkwit poszczególnych kościołów zawisły od łączności z centrum katolickiego świata".

Od tych pięknych słów kardynał Steinhuber z Towarzystwa Jezu-

sowego rozpoczyna szereg swych studyów nad historyą niemieckiego kolegium, które po całych latach pracy, dziś nareszcie wydał. Nikt odeń nie mógł lepiej sprostać temu zadaniu. Sam bowiem w *Collegium Germanicum* odbył studya teologiczne, od r. 1845 do 1853, ażeby później, w latach 1867—1880, sprawować tamże urząd rektora. Późniejsze dostojeństwa, kardynalska nawet purpura, nie rozłączyły go z umiłowanem kolegium, gdzie stale, po dawnemu zamieszkiwał.

Zaczem jako uczeń, rektor, kierownik duchowny instytucyi, założonej niegdyś przez św. Ignacego, kardynał Steinhuber z blizka mógł przeniknąć wewnętrzną organizacyę tego pierwowzoru seminaryów duchownych z epoki, która nastąpiła bezpośrednio po soborze trydenckim.

Pierwsza myśl tej fundacyi wyszła z głowy kardynała Morone. Długoletni nuncyusz w Niemczech, zmierzył on potrzeby krainy, którą złe obyczaje i brak wykształcenia kleru wydały na łup nauki Lutra. Pragnąc skuteczną przynieść pomoc zatrutemu jadem herezyi plemieniu, mniemał, iż najwięcej zdziałaćby mogło seminaryum, założone w Rzymie, gdzie wybrany zastęp młodzieży kształciłby się w świeckich i duchownych naukach, ażeby następnie krzepić w ojczyźnie własnej chwiejącą się wiarę i zacieśniać węzeł jedności ze Stolicą świętą. Radził się tedy św. Ignacego, który nietylko pochwalił zamiar byłego nuncyusza, lecz nadto ofiarował mu się wraz z braćmi swymi na usługi.

Morone, wespół z kardynałem Santa Croce i Marcelem Cervini, później papieżem pod mianem Marcela II., zjednał sobie poparcie znacznej części kardynalskiego kolegium, oraz przyzwolenie papieża Juliusza III. otrzymał. Trudniej przyszło zebrać konieczne fundusze. Niemcy wyczerpnięte były wojną bratnią, skarb papieski podobnież do dna wysechł. Św. Ignacy nie dał za wygraną, i póty się krzątał, aż zabezpieczył dwudziestoletni byt zamierzonej instytucyi stałemi jałmużnami, do których się zobowiązali najprzedniejsi Kościoła dostojnicy.

Pierwszym rektorem nowo powstałego kolegium był Francuz, niejaki O. Andrzej Frusius, który przetłumaczył na język łaciński ćwiczenia św. Ignacego i kierował zakładem aż do śmierci swojej w 1556 r. Słynął on z szerokich wiadomości w dziedzinie prawa, matematyki, literatury klasycznej, medycyny i muzyki.

Atoli obok finansowych trudności, św. Ignacy znajdował ich niemało w ściągnięciu do Rzymu pożądanych uczniów. Młodzież lękała się długich podróży w czasach wojny i niepokoju. Z końcem 1552 r. udało się ich zgromadzić dziewiętnastu, przeważnie z Flandryi i dye-

cezyi kolońskiej. Później błog. Piotr Kanizyusz zajął się skutecznie zaciąganiem nowych uczniów w różnych częściach Niemiec.

Wspomnieliśmy, iż *Collegium Germanicum* uważanem być może za pierwowzór seminaryów, w duchu soboru trydenckiego urządzonych. To też św. Karol Boromeusz zapragnął poznać organizacyę wewnętrzną tego zakładu, nim sam w Medyolanie ufundował słynne swoje seminaryum. Święty Ignacy ułożył reguły i ustawy, rządzące po dziś dzień niemieckie w Rzymie kolegium.

Grzegorz XIII. może być uważanym jako drugi założyciel *Germanicum*. On bowiem ostatecznie zabezpieczył byt instytucyi i opatrzył takową hojnie z własnej szkatuły, warując utrzymanie stu uczniów. Niepodobna za dostojnym dziejopisem wymieniać wszystkie dowody łaski następujących po sobie papieży, którzy wszyscy osobną przychylnością wyróżniali niemieckie kolegium. Czerwono ubrani klerycy *Germanicum* stale wzbudzali podziw i szacunek Rzymian, zbudowanych ich pobożnością i wiernością w ćwiczeniach duchownych. Tutaj także pilnie uprawiano śpiew kościelny pod kierunkiem mistrzów takich, jak Vittoria lub Carissimi, a po dziś dzień chór „Germaników“ słynie i bywa zapraszany do przydania świetności uroczystym po innych kościołach obrzędom.

Najwspanialszą kartę tej księgi stanowią dzieje wpływów zbawiennych, wywieranych przez uczniów *Germanicum* na własną ojczyznę. Autor śledzi każdego z nich po wyjściu z kolegium, i opowiada, jak umiał zastosować w kraju wyniesione z Rzymu nauki i przykłady. Z kolei każdą dyecezyę przebiega, mnoży dokumenta historyczne, i czytelnika zostawia pod wrażeniem, iż odrodzenie duchowieństwa w Niemczech jest przeważnie dziełem germańskiego kolegium.

Od r. 1552 po rok 1894, przeszło przez *Collegium Germanicum* 5748 uczniów, z których 28 kardynałów, 47 arcybiskupów, 280 biskupów, 31 administratorów dyecezyj, 70 opatów i proboszczów kapitulnych, i t. d. i. t. d. Nie brakło i Polaków w tym poczcie szanownym. Dopóki nie mieliśmy własnego w Rzymie kolegium, polscy klerycy tulili się do cudzoziemskich zakładów.

Wyborna organizacya wewnętrzna niemieckiego kolegium zapewnia onego wytrwałe powodzenie. Ustawy warują pobyt siedmioletni każdego ucznia w murach instytucyi; trzy z nich wyłącznie poświęcone są filozofii, acz pobocznie uprawiają nauki klasyczne i przyrodzone; po doktoryzacyi następują cztery lata teologii dogmatycznej, prawa kanonicznego i egzegetyki. W końcu szóstego roku doktorat teologiczny uzupełnia

stopień filozoficzny, wcześniej otrzymany. Co rok, okrom dysput i popisów końca roku, odbywają się dwukrotne egzamina w obrębie domu i repetycye.

System ten odnosi najświetniejsze skutki, i po siedmiu latach uczniowie *Germanicum* powracają do swoich, uzbrojeni w cały rynsztunek bojowników pańskich. Najlepsi szermierze Kościoła w okresie *kulturkampfu* wyszli z tegoż kolegium. Nie zrywają z niem nici ustawicznych stosunków, a korespondencya byłych uczniów dostarczyła kardynałowi Steinhuberowi niemało wątku do osnowy swej wyczerpującej księgi. Postawił tym sposobem trwały pomnik umiłowanej przez się instytucyi, której wespół z kardynałami Reisachem, Hergenroetherem i uczonym Hettingerem, sam najświetniejszą jest ozdobą.

*M.*

**Le livre de Job** traduit de l'hébreu. Par *A. Loisy*, avec une introduction. Picard éditeur.

Księga Joba osobne zajmuje miejsce w księgach Starego Zakonu, i nie daje się podporządkować żadnej klasyfikacyi literackiej. Można w niej upatrywać dzieło historyczne, skoro przytacza wypadki i fakta: epopeę, ze względu na onych faktów cudowność; dramat usprawiedliwiony dyalogiem przyjaciół i rozstrzygającym w końcu Jehowy głosem: poemat filozoficzny, rozwiązujący zagadkę teologiczno-moralną.

Drobna praca p. Loisy należy do najlepszych w tym przedmiocie, i stąd na polecenie zasługuje.

Ojcowie Kościoła, acz znali księgę Joba z tekstu widocznie zdefektowanego, niemniej obficie z niej czerpali dla zbudowania wiernych. Św. Grzegorz Wielki umiał wyciągnąć z tej księgi całą Summę teologii moralnej, mistycznej i dogmatycznej; późniejsi komentatorzy, uciekając się wprost do tekstu hebrajskiego, potrafili rozświecić naukowe i literackie znaczenie tej księgi. Ale jednocześnie spostrzegli, iż nawet ów tekst pierwotny dojść nas musiał w niewiernych odpisach, że mianowicie całe odezwanie się Elihu, wplecionem zostało na długo po powstaniu oryginału. Znakomity katolicki egzegeta, dr. Bickell, wykazał, iż z wyjątkiem prologu i epilogu, całość księgi Joba spisaną była wierszem, o rytmie jednolitym, podzielonym na strofy czterowierszowe. To odkrycie, oraz krytyczne badania, pozwoliły rozpoznać ustępy przekręcone, a nawet ułatwiły wrócenie im pierwotnego znaczenia i formy. Łatwo np. przychodzi w strofie pięciowierszowej, o zepsutym rytmie

i mierze, rozpoznać dodatki, których nie było w oryginale, a które w kształcie objaśnienia zostały przydane.

Zbyt często jednak, robota krytyka ogranicza się na stwierdzeniu zdefektowania tekstu, nie umiejąc znaleść, ani podstawić słów brakujących. Ale już świadomość rzeczy niezmiernie jest ważną, i ustęp widocznie zmieniony późniejszemi naleciałościami, sam z siebie wskazuje, iż nie należy wyciągać stanowczych wniosków z rozbitych zdań i słów rozproszonych. Na tej zasadzie p. Loisy oparł swoje dosłowne tłumaczenie Ustawił wiersz po wierszu, kropkami znacząc widoczne niedostatki, kursywą drukując obce dodatki, adnotacyami wyjaśniając ciemniejsze ustępy.

Plan pierwotny księgi Joba uderza swą jednolitością. Autor jej stawia się wobec zagadnienia, co myśleć należy o sprawiedliwości boskiej, kiedy cnotliwi nieraz bywają stokroć nieszczęśliwszymi od złych i bezbożnych na tym świecie? Problemat ten stawion nam jest w kształcie historyi czy przypowieści.

Sprawiedliwy Job, obcy izraelskiemu plemieniu, jeden z owych mędrców Wschodu, słynnych z roztropności i nauki, żył w szczęściu i dostatkach. Bóg, chcąc go wypróbować, dozwala zazdrosnemu szatanowi, aby mu wydarł dobra ziemskie, liczne potomstwo, nawiedzając jego samego przykrą i dotkliwą chorobą. Nie narzeka Job, nie bluźni Bogu. Przyjaciele z dala spieszą, aby go cieszyć w chorobie, i zaczynają roztrząsać powody tylu niepowodzeń. Nam widocznem jest, że niedola Joba jest próbą, nie karą; atoli ni on, ni przyjaciele jego nie są w stanie to zrozumieć. Job nie umie sobie wytłumaczyć, co go spotkało, dotąd bowiem mniemał zawsze, iż nieszczęście jest odwetem zbrodni. Przyjaciele, wychodząc z tej samej zasady, domyślają się, iż musiał zgrzeszyć. Zaczyna się dysputa, oparta na wspólnem a niewyjaśnionem aż do końca nieporozumieniu. Po trzykroć przyjaciele Joba głos zabierali, i po trzykroć on im odpowiadał; lecz ani oni nie chcieli ustąpić, ani on przyznać się do grzechu, którego czuł się niewinnym. Zrozpaczony, odwołał się do samegoż Jehowy. Jehowa zaś nakazał milczenie Jobowi, pytając, azali stworzenie ma prawo Stworzyciela krytykować. Job się upokarza, przyjaciele jego skarceni są za niezręczną Opatrzności obronę; Job zaś odnajduje dawne szczęście i długo się niem cieszy.

Ostateczną konkluzyą zda się tedy być, iż nie godzi się sądzić ani badać ciekawie dróg bożych, których człowiek zrozumieć nie jest

w stanie, oraz, że wszystko się obraca ku dobremu tych, co miłują sprawiedliwość i chodzą prawemi ścieżkami.

Powstanie księgi Joba odnieść wypada do panowania Ezechiasza, około r. 770 czy 760 przed Chr. Już w trzecim wieku przed erą chrześcijańską dostały się weń interpolacye, utrudniające dziś zadanie komentatorów, mianowicie sztucznie dodany dyskurs Elihu, który widocznie nie chciał przyznać zupełnej doskonałości Joba, ani go całkiem niewinnym z dłuższej wypuścić dysputy.

Czy Job rzeczywistą jest postacią? Orzec trudno. Nie brak argumentów *pro* i *contra*. Atoli waga i powaga tej księgi nie polega na jej historycznej ścisłości, lecz na wielkości i wspaniałości zawartej w niej nauki. Doktryna to „Eklezyastyka“ i „ksiąg przypowieści“, ujęta w jeden tok, zamiast się rozpadać na pojedyńcze zdania. Autor jedną tylko chciał poruszyć kwestyę, ale że takowa jest jedną z najbardziej zasadniczych w dziedzinie teologii, filozofii i moralności, rozwinął stąd cały systemat, streszczający poglądy starców w Izraelu na świat, człowieka i Boga. Stąd też każdy przyczynek do literatury Jobowej, ocenienia i zrozumienia tej niezrównanej księgi, osobną posiada doniosłość.

*M.*

# SPRAWOZDANIE Z RUCHU

## religijnego, naukowego i społecznego.

### Sprawy Kościoła.

Dwudziestopięcioletnia rocznica zajęcia Rzymu. — Obrady francuskich wolnomularzów. — Śluby cywilne w Węgrzech. — List pasterski węgierskich biskupów. — O. Albert M. Weiss o austryackich chrześcijańskich socyalistach a konserwatystach.

DWUDZIESTO-PIĘCIOLETNIA ROCZNICA ZAJĘCIA RZYMU.

Grubo reklamowane, słono opłacone przedstawienie, urządzone z powodu 25-letniej rocznicy zajęcia Rzymu, nie powróciło, ogólnem zdaniem najmniej nawet wymagających, podjętych kosztów. Król Humbert, dawny garybaldczyk Crispi, ekskoledzy Crispiego, którzy nie zostali ministrami, ani nawet najpodrzędniejszymi urzędnikami, i dlatego mogli po staremu paradować w czerwonych koszulach, wysilali się jak mogli; — cóż! kiedy te konwulsyjne wysiłki, dla których nie wahano się zaofiarować królewskiej powagi i względów elementarnej przyzwoitości dla papieża, obudziły nie entuzyazm, lecz niesmak, nie otoczyły włoskiego państwa aureolą, lecz przeciwnie odsłoniły przed zagranicą w całej nagości jego rany, jego choroby. W uroczystościach, na które umierający z głodu, emigrujący tysiącami do Ameryki Włosi musieli się składać, przypadło notorycznie pierwsze miejsce dygnitarzom wolnomularskich lóż; tak notorycznie, że wojsko obrażonem się czuło w swym honorze, a wojskowe dzienniki uważały za niezbędne zaprote-

stować przeciw tego rodzaju preferencyom. „Król i królewicz — lamentuje *Italia Militare*, wtóruje jej liberalna *Gazzetta Piemontese* — pragnęli osobistą swą interwencyą ocalić honor armii; loże uparły się i królowi nie udało się zmienić ułożonego poprzednio porządku pochodu do ‚Porta Pia'". Drobny to szczegół, ale ciekawe rzuca światło na tryumfującego monarchę, posadzonego na tronie przez rewolucyę. Ciekawsze jeszcze światło i na monarchę i na całą uroczystość rzuca mowa Crispiego, wypowiedziana przy odsłonięciu posągu Garibaldiego; tem ciekawsze, że i król i królowa uznali za stosowne ostentacyjnie mówcy powinszować.

„Dzień 20 września 1870 r. — deklamował włoski premier w niekończącem się przemówieniu — nie może być stosowniej obchodzony, jak odsłonięciem w Rzymie pomnika Garibaldiego, tego wiernego i oddanego przyjaciela Wiktora Emanuela... Rzymscy obywatele nie mogli być helotami jedności narodowej, niewolnikami kosmopolitycznego fanatyzmu... Ten dzień, to miejsce, przypomina niesłychanie mozolne, ale zarazem bogate w najpiękniejsze owoce walki o wolność przeciw tyranii. Lata pomiędzy 4 lipca 1849 a 20 września 1870 r. były ostatnią próbą świeckiego panowania Kościoła; próba się nie udała, Kościół dla zachowania swych posiadłości uciec się musiał pod opiekę cudzoziemskich bagnetów, i zmienić się w ich niewolnika. Garibaldi nasz odparł dnia 30 kwietnia po krwawej walce najeźdźcę, który nie zaczepiony, z własnej woli podjął się barbarzyńskiej misyi przywrócenia księżej tyranii. Później znów obrońcy prawa musieli ustąpić przed siłą, aż wreszcie po długiem, cierpliwem oczekiwaniu, doczekali się dnia 20 września. Nieprzyjaciele jedności włoskiej uważaćby chcieli dzisiejsze nasze święto jako obelgę wyrządzoną papieżowi; zdrowy rozsądek ludowy łatwo z tą insynuacyą umie się rozprawić; któż nie wie, że chrześcijaństwo właśnie dlatego, że jest boskiego pochodzenia, może wybornie obejść się bez armat... Nasi przeciwnicy domagają się przywrócenia władzy świeckiej Stolicy świętej, nie dla ochrony powagi religii, ale z ludzkich względów. Nie rozważają, że świecki władca nie mógłby być ani świętym, ani nieomylnym. Upra-

wniony przez racyę stanu materyalny oręż i prawami przepisane środki karne, mącą pokój duszy półbożka, odbierają mu wszelkie znaczenie i tłumią uczucie czci dla Chrystusowego namiestnika, który na to jest postanowiony, aby głosić pokój i rozgrzeszać Adamowe dzieci modlitwami i odpustami...

„Owszem — woła dalej Crispi z wzmagającą się z każdem zdaniem bezczelnością — komu, jeśli nie nam, zawdzięcza papież, papiestwo rosnącą swą sławę i potęgę? Otoczyliśmy go murem duchownej wolności i strzeżemy w tej fortecy wolności. Dziś, dzięki nam, papież rządzi duszami, a rządzi niemi tak, że pozazdrościć mu mogą wszyscy mocarze świata. Protestanccy władcy, co więcej, i ci, co w Chrystusa nie wierzą, schylają przed nim czoła, przyjmują ze czcią jego wyroki. Majową ustawą z r. 1871 rozwiązał geniusz włoski problemat, który w innych czasach wydawaćby się musiał nierozwiązalnym. W obrębie swego kapłańskiego urzędu ma papież zagwarantowaną sobie nieograniczoną wolność; jest władcą niezależnym, nie potrzebującym się oglądać na żadnego człowieka, na żadne względy, a władcą takim myśmy go uczynili. Świat katolicki żywić winien dla Włoch głęboką wdzięczność za nie dające się nigdy dość ocenić usługi, oddane papiestwu!“...

Czytając tę mowę, przypominać ciągle trzeba opierającemu się, nie mogącemu się zoryentować rozumowi: To mówił nie sycylijski bandyta z przed lat kilkudziesięciu, nie jarmarczny kuglarz, ale prezes włoskiego ministeryum! „Przemowa Crispiego — wyznać musiała nawet urzędowa *Presse* — przywodzi na pamięć dnie najgwałtowniej srożącej się walki kulturnej“. „Skoro dowiedziano się — czytamy w rzymskim telegramie, nadesłanym do *N. Freie Presse* — o treści mowy Crispiego, wygłoszonej tak cichym głosem, że bardzo niewielu z otaczających mogło ją dosłyszeć, obudziły się we wszystkich umysłach bardzo dziwne uczucia“. „Nie można — streszcza krótko *Deutsche Tageszeitung* swe zdanie — wytłumaczyć sobie inaczej tego steku bredni, insynuacyj, obelg, jak tem, że wcielona nienawiść Kościoła dawnego rewolucyonisty Crispiego, poniosła niepowstrzymanym pędem dzisiejszego dyplomatę Crispiego“.

Ojciec św. bolesną rocznicę spędził w odosobnieniu, na modlitwie, jak polecił poprzednio ją obchodzić wszystkim wiernym, a w szczególności wiernym katolikom rzymskim. Istotnie cały świat chrześcijański łączył się w tym dniu z uwięzionym w Watykanie, i sromotnie, żakowskiemi mowami i figlami zelżonym Ojcem chrześcijaństwa. W kościołach całego świata odbywały się przebłagalne nabożeństwa; biskupi przemawiali do dyecezyan w listach pasterskich, kapłani tłumaczyli z ambon znaczenie żałobnej uroczystości; tysiące listów, telegramów, hojne jałmużny, nadesłane z wszystkich pięciu części świata, wymownym były protestem przeciw niecnej, wolnomularskiej zabawce. „Zapewnić możemy — donosił *Osservatore Romano* pod datą 23 września — że dzień w dzień nadchodzą i ze wszystkich części świata nadchodzić nie przestają całe, nie dające się zliczyć stosy adresów i telegramów z wyrazami dziecięcej miłości dla Stolicy świętej, a jednocześnie energicznego protestu przeciw uroczystościom urządzonym, i które mają jeszcze być urządzone z okazyi 20 września. Tak np. dnia wczorajszego nadeszły z Niemiec setki i setki telegramów z wiadomością o uroczystych nabożeństwach, odprawionych dla przeproszenia Boga za zniewagi, wyrządzone najwyższej powadze Kościoła św.... Podobno ktoś oznaczył cyfrę tych telegramów na 5000... Rzeczywista liczba większą jest przynajmniej o ośm lub dziesięć razy; choć dziś niepodobna jeszcze przeprowadzić dokładnego rachunku. A ileż z tych telegramów, adresów, podpisanych jest przez związki, stowarzyszenia, liczące setki i tysiące członków. Tak! to jest prawdziwy plebiscyt, katolicki plebiscyt!“...

Hucznych, po nakazie urządzonych uroczystości, Ojciec św. nie przerwał ani jednem słowem; dopiero gdy „jubileuszowe“ hałasy się uciszyły, wniósł, w liście do kardynała sekretarza stanu, zbyt słuszną skargę przed *forum* całego cywilizowanego świata, napiętnował w dosadnych wyrazach i postępowanie i plany prześladowców:

„Żywiliśmy nadzieję, — czytamy w piśmie tem, ogłoszonem dnia 9 października — że zachowane zostaną pewne względy dla sędziwego naszego wieku, ponieważ i umysły, na-

miętnością opanowane, nie zawsze wyzuwać się zwykły z wszelkiego humanitarnego poczucia. Zawiodły nas jednak te nadzieje. Byliśmy prawie bezpośrednimi świadkami apoteozy rewolucyi włoskiej i ograbienia Stolicy Apostolskiej. Napełnił nas przedewszystkiem boleścią plan uwiecznienia prędzej niż usunięcia zatargu, którego zgubnych następstw nikt przewidzieć nie jest w stanie. Poza tem uczyniono dalszy krok ku przeciwnemu religii ideałowi, ostatni bowiem cel zajęcia Rzymu, chociaż nie w duchu wszystkich, którzy brali w niem udział, to jednak w duchu sekt, które do tego zajęcia pierwsze dały pochop, nie polega wyłącznie w uzupełnieniu politycznej jedności. Za pomocą zburzenia murów cywilnej metropolii, starano się zadać cios śmiertelny duchowej potędze papieża. Noszono się z myślą zmienienia losów Rzymu, przekształcenia Rzymu w duchu pogańskim, w celu wytworzenia trzeciego Rzymu, trzeciej cywilizacyi. Ten cel miały też na oku ostatnie hałaśliwe manifestacye, urządzone przez antyreligijną sektę. Cierpi na tem naród; nietylko bowiem nie dotrzymano obietnicy materyalnego powodzenia, ale Włochy pod względem moralnym chylą się ku upadkowi, a żywioły przewrotu zdobywają sobie coraz większą przewagę. Żadna obywatelska ani społeczna instytucya, nic wogóle nie zapewni papiestwu prawdziwej niezależności, dopóki papież pozbawiony będzie terytoryalnej juryzdykcyi. Nasza niezależność, rzekomo zagwarantowana, podlega wyrokom innych, a w ostatnich czasach pojawiają się nawet groźby, że i te gwarancye mogą być zniesione".

OBRADY FRANCUSKICH WOLNOMULARZÓW.

Obrady wielkiego konwentu francuskiego wolnomularstwa, na które zjechało się do Paryża 500 delegatów lóż „Związku Wielkiego Wschodu", toczyły się naturalnie głównie około wynalezienia nowej broni w walce z religią, wyostrzenia dawnej. Jeden z głównych przywódców masońskiego konwentu, być może, że sam świeżo naczelnym wodzem wybrany, Ludwik Lucipia, powtórzył bez długich ceremonij w interwiewie z redaktorem dziennika *Le Matin*, stare, gambettowskie hasło: „Klerykalizm, to główny nasz wróg".

„Gotować się musimy do nowej, bardzo gwałtownej walki;

nasi klerykali nie pozostawiają nas w tej mierze w wątpliwości. Plan przedkładania antymasońskich list, dowodzi zamiaru walki osobistej, ekonomicznej. Zapowiedziany wiec antymasoński, który zakwestyonować ma jedność Włoch, jest, w Belgii przynajmniej, czemś niemożliwem. Rząd nie może ścierpieć tego pospolitego ruszenia przeciw zaprzyjaźnionemu ze sobą państwu. Rzym pozostać musi włoskim, Rzymu ruszyć nie wolno. Wrogowie nasi wiedzą dobrze i od wieków, jaką siłę ma korporacya, która żyje, gdy ludzie umierają, zdarzenia, namiętności nikną. Dzisiejsze napaści nie są dla nas bez korzyści; ściskamy nasze szeregi i idziemy naprzód z większą siłą... Zarzucają nam, że jesteśmy sekciarzami; to dla nas zaszczyt. Walczymy za ideały, stojące w dyametralnej opozycyi z ideałami religijnemi; bronimy moralności, stojącej o wiele wyżej od moralności naszych wrogów... Wszyscy wolnomularze są wolnodumcami, ale nie wszyscy wolnodumcy, niestety! są wolnomularzami... Roku zeszłego, urzędowy nasz mówca, minister rolnictwa Gadaud, wyraził wspólną nam wszystkim myśl: ‚Wolnomularstwo, to zamknięta rzeczpospolita; rzeczpospolita, to stojące otworem wolnomularstwo'. Nasza nauka moralności, nasze altruistyczne dążenia są charakterystyczną cechą prawdziwej rzeczypospolitej... Przeciwnicy nasi śpiewają na wszystkie tony, żeśmy się już w nicość pogrążyli. Śmieszna rzecz! Wolnomularze, począwszy od prezesa rzeczypospolitej aż do najskromniejszego robotnika, są najwyborniej w świecie zorganizowani i gotowi do boju na całej linii. Ksiądz de Monsabré, każąc w Clermont w czasie uroczystości ośmsetletniej rocznicy wojen krzyżowych, zachęcał chrześcijaństwo do chwycenia za broń przeciw nam... Patrząc na nasze uroczystości, mogli się już wrogowie nasi przekonać, że znaki nasze nie myślą jeszcze opuścić francuskiej ziemi, gdzie stoją tak silnie"...

LUDY CYWILNE I WĘGIERSKI. Te same hasła, te same cele, te same programy w logach francuskich, co we włoskich, co w węgierskich; we francuskich i włoskich bez niepotrzebnych już dziś zasłon, w węgierskich ukryte czasami dla zdawkowej przyzwoitości za szumnemi, popłacającemi niegdyś, dziś niemylącemi nikogo libe-

ralnemi frazesami. Z dniem pierwszego października wprowadzono w Węgrzech w życie śluby cywilne. Kto ślubów tych chciał, a co o nich węgierski naród sądzi, tego najlepszym znakiem radość żydowskiej prasy, entuzyazm najgorszych szumowin społeczeństwa, a obok tego entuzyazmu lament wśród katolików, protestantów, nawet wśród prawowiernych Żydów, rosnące w całym kraju oburzenie. W ostatnich dniach września księża nastarczyć nie mogli z dawaniem ślubów; każdy, kto mógł, pragnął uniknąć wstrętnych „cywilnych“ komedyj. W samym Peszcie przystąpiło do ołtarza w drugiej połowie września 306 par więcej, niż w tymże samym przeciągu czasu w roku zeszłym. W kilku innych większych miastach wyrachowano, że kiedy w roku przeszłym wstąpiło w związki małżeńskie 122 par, to w tym roku, w tym samym czasie zgłosiło się 586 par. Za to przez kilka pierwszych październikowych dni zdawać się mogło, że instytucya małżeństwa została w Węgrzech zupełnie zniesioną; urzędnicy w paradnych mundurach czekali napróżno — nikt się do nich nie zgłaszał. Naturalnie, nie należy tego rodzaju manifestacyom przypisywać wygórowanego znaczenia; ale czy są one bez wszelkiej wagi; czy oryginalne te, ale znaczące plebiscyty, nie pokazują, kto właściwie przemawiał w imieniu narodu i bronił jego interesów?

LIST PASTERSKI WĘGIERSKICH BISKUPÓW.

Episkopat węgierski odezwał się do wiernych bezpośrednio przed zaprowadzeniem małżeństw cywilnych we wspólnym liście pasterskim. Biskupi powtarzają dawniejsze swe oświadczenia, złożone w parlamencie, w memoryale do cesarza i w ogłoszonym przed kilku miesiącami liście pasterskim; stwierdzają raz jeszcze, że nowa ustawa sprzeciwia się nauce wiary, pozbawia katolików prawa uznanego i wykonywanego przez dziewięć stuleci, osłabić musi religię i dobre obyczaje. Wszystkich niebezpieczeństw usunąć się dziś, niestety! nie da; aby, o ile można, je osłabić, biskupi przypominają kardynalne nauki Kościoła katolickiego o małżeństwie i dają praktyczne wskazówki, jak katolicy winni się zachować wobec nowej ustawy.

„To próba dla waszej wierności we wierze, dla waszego

przywiązania do Kościoła. Próba, czy jesteście urodzajną, czy też nieurodzajną, uschłą gałęzią drzewa wyrosłego z ziarnka gorczycznego a rozprzestrzenionego na cały świat, które Pan sam zasiał i oblał krwią swoją i swoich Męczenników“... Dotychczas — czytamy dalej w piśmie biskupiem — uznawało państwo związek małżeński, zawarty z uwzględnieniem praw kościelnych, jako małżeństwo prawne i nadawało mu wszelkie następstwa, wynikające wedle prawa cywilnego z małżeństwa. Dziś rzecz zmieniona. Dziś zmuszeni jesteście uwzględniać nowe prawa, ale jedynie w tym celu, aby ślub wasz, zawarty w obliczu Kościoła, pociągał za sobą także wobec państwa cywilno-prawne następstwa. Wszakże uczyniwszy zadość wymaganiom prawa, nie zapominajcie nigdy, że tą cywilną czynnością nie uczyniliście zadość obowiązkom waszym, jako katolików. Dlatego zobowiązujemy oblubieńców w sumieniu, aby, zanim uczynią przepisane kroki u urzędnika cywilnego, oznajmili poprzednio swemu duszpasterzowi zamiar zawarcia małżeństwa, aby tenże mógł usunąć ewentualne kościelne przeszkody, lub o nich ostrzedz. O ile możliwe, tego samego dnia, którego wypełnicie prawno-państwowe wymagania, przystępujcie do ślubu w kościele; gdyby to było niemożliwem, pamiętajcie, że przed ślubem kościelnym nie możecie się pod żadnym warunkiem uważać za rzeczywistych małżonków. — W końcowych ustępach pasterskiego listu biskupi ogłaszają kościelne kary, nałożone od dawna już przez papieży na tych, którzy nie poczuwaliby się do obowiązku zawarcia kościelnego ślubu.

KONSERWATYZM A SOCYALIZM CHRZEŚCIJAŃSKI

Skarżyć się nie można, aby w wielu krajach, aby w szczególności w Austryi nie dawała się odczuć pewna zbawienna, chrześcijańska, katolicka reakcya. W tem nieszczęście i główna przeszkoda w tym ruchu, że biorący w nim udział zgodzić się nie mogą na pewien wspólny plan działania; tak zapamiętale bojują ze sobą o pewne różnice we wspólnych zapatrywaniach, że wreszcie zapomnieć gotowi o owem wspólnem dle, o właściwym nieprzyjacielu. Walczą arystokraci z demokratami, twardzi konserwatyści starego pokroju z chrześcijańskimi

socyalistami, walczą i zrozumieć się nie mogą Luegerzyści z Hohenwartystami; walczą wodzowie, walczą ich stronnicy, ich organa, a na wszystkich tych bitwach i szermierkach najgorzej wychodzi dobra, chrześcijańska sprawa. Wielu to czuło, wielu po cichu mówiło; obecnie powiedział głośno jeden z najuczeńszych i najpopularniejszych austryackich uczonych katolickich, znany szeroko autor chrześcijańskiej Apologetyki, O. Albert M. Weiss. Programowy jego artykuł, ogłoszony przez fachowe pisma i dzienniki p. t.: „Osobiste me uwagi o dzisiejszem położeniu", zasługuje na jak najszersze rozpowszechnienie; skłonić powinien do głębszego zastanowienia się, do praktycznego wglądnięcia w siebie wszystkich, którzy tak się przykuli do abstrakcyjnej jakiejś teoryi lub teoryjki, że gotowi dla niej najświętsze interesa poświęcić; zamykają oczy, zamykają uszy — jak autor nasz się wyraża — na realną politykę, na to, co życie niesie, co zmieniające się okoliczności bezwzględnie nakazują i ostatecznie bezmiłosiernie przeprowadzają.

„Dobrze to i słusznie — pisze jasno i śmiało uczony Dominikanin — i dosyć Bogu za to wydziękować nie możemy, że lud chrześcijański zaczyna wreszcie budzić się z dotychczasowej drzemki... Dobrze i słusznie, że w tłumach kotłować zaczyna. Wchłonęły one w siebie tyle bezbożności i niechęci dla Kościoła, że złe te soki muszą się poruszyć i zagotować, bo inaczej niepodobna ich wyrzucić... I to dobrze i bardzo słusznie, że wybiła już ostatnia godzina dla owego wielkiego dziedzicznego wroga dobrej sprawy: liberalizmu... Stoimy w krytycznej chwili; w jakim kierunku dziś losy świata popłyną, w takim płynąć będą przez długie lata. W Austryi, w szczególności w stolicy Austryi, ruch ku dobremu rozwinął się w kierunku, znanym pod nazwą chrześcijańsko-socyalnego. Z początku, dopóki obracaliśmy się w kole teoryj, można było o tę nazwę się sprzeczać, i ja sam niejedno miałem jej do zarzucenia. Dziś nazwa stała się programem, czynem, i szkoda byłoby czasu, dłużej nad nią dyskutować. Zwie się to stronnictwo chrześcijańskiem. Zapewne, zdarzają się czasy i stosunki, w których słowo ‚chrześcijański', niedość wyraźnem jest i jasnem; zdradza pewną bojaźń w wy-

suwaniu naprzód Kościoła katolicyzmu. Ale z drugiej strony, gdybyśmy tylko mieli istotnie praktycznych chrześcijan, nie mielibyśmy racyi się żalić. Ja ze swej strony wolę tysiąc razy praktycznych chrześcijan, niż niepraktycznych ultramontanów lub niepraktykujących katolików.

„Rachuję zatem w przyszłości na chrześcijańsko-socyalne stronnictwo; rachuję mianowicie na jego członków, jako na ludzi, którzy praktyczne chrześcijaństwo biorą na seryo, równie co do własnej osoby, jak co do życia publicznego. Za prawdziwego chrześcijańskiego socyalistę uważam tego, co wraca do praktyk chrześcijańskich, i to nietylko raz w życiu, wyjątkowo w Mariazell, ale przystępuje regularnie do wielkanocnej spowiedzi, uczęszcza regularnie do kościoła w niedziele i święta i regularnie odmawia ranny i wieczorny pacierz. Podrugie, tego uważam za chrześcijańskiego socyalistę, co robi wszystko co może, robi spokojnie, z miarą, ale robi praktycznie, a nie jedynie pięknemi słowami i ostrą krytyką, aby chrześcijaństwo powróciło do należnego sobie stanowiska we wszystkich dziedzinach życia publicznego.

„Co się mię tyczy, nie taiłem nigdy, że bardziej uśmiechała mi się inna droga do ożywienia w świecie chrześcijańskiego życia; droga wewnętrznej koncentracyi, zebrania silnej, zorganizowanej mniejszości, która później większościby za sobą pociągnęła. Istniejący ruch nie zastosował się do mych życzeń. Oddziałuje on na tłumy i żywi nadzieję, że zyskawszy sobie naprzód większość, łatwiej przystąpić do wewnętrznej organizacyi. Przyszłość dopiero wykaże, która z tych dróg istotnie lepsza; dziś mamy przed sobą fakty i trzeba się do nich zastosować.

„Mamy przed sobą fakt rosnącego jak na drożdżach, z elementarną jakąś siłą, ruchu chrześcijańsko-socyalnego. Wojsko szybko się wzmaga, ale w szeregach jego stoją, ramię koło ramienia, ludzie mający niesłychanie ze sobą sprzeczne zasady. Wspólnym kitem jest, wogóle mówiąc, antysemityzm. Czy to spójnia nie za słaba; czy na gruncie czysto negatywnej nienawiści Żydów, wystawić można pozytywną budowę chrześcijańskiego porządku społecznego? A co się stanie, jeśli ludzie, walczący do-

tąd pod jednym sztandarem, będą musieli się rozejść, bo pokaże się, jak pokazać się musi, że ich zasady i ideały zbyt różne, wręcz sobie przeciwne? Mówią mi na to: Teraz nie czas o tem myśleć; teraz chodzi o dopięcie pewnych bezpośrednich celów, których nie dopniesz bez tych niemiłych ci sojuszów. Dobrze! niech i tak będzie; sojusze są niezbędne, ale w takim razie jeszcze mniej mi jasnem, dlaczego miałby być niemożliwym sojusz między chrześcijańskimi socyalistami a konserwatystami? Czy nie mają może, czy mają mało stycznych punktów? Chrześcijańscy socyaliści iść mogą swemi ścieżkami, konserwatyści swojemi dróżynami; niech idą sobie, lecz niech strzegą się wedle sił, i jedni i drudzy, wchodzić sobie wzajemnie w drogę. Dość znam i jednych i drugich, aby się nie łudzić, i wiedzieć, że będzie to o wiele praktyczniejszem, niż gdyby mieli się spotykać i prawić sobie wtedy wszelkie możliwe komplementy. Lecz dlaczego nie mają się uważać za braci; dlaczego wrogowie Starego Testametu mają być lepszymi sprzymierzeńcami chrześcijańskich socyalistów od konserwatystów, od wiernych chrześcijan, szczerych katolików? Przyznaję, że tego nie mogę zrozumieć.

„Na miłość Boga i świętej sprawy bożej, precz z nieszczęsnemi rozdwojeniami! Stronnictwa być muszą, owszem być powinny; ale nie rozdwojenia, niechęci, nienawiści! Dopóki Kościół jakiego stronnictwa nie potępia, i my go nie potępiajmy... Albo czyż może konserwatyści zdradzili katolicką wiarę, katolicką karność, gorliwość o zwycięstwo wiary, o wolność Kościoła, o czystość chrześcijańskiego życia; czy zdradzili i w czem zdradzili?...

„W czemże różnią się ostateczne cele obu stronnictw? Środki są różne, na to zgoda; ależ i ta różnica nie taka, aby usprawiedliwić mogła walkę na życie i śmierć. We wszystkich głównych punktach, oba stronnictwa dążą do jednego i tego samego.

„Więc skąd te spory?... Chrześcijańscy socyaliści zarzucają konserwatystom ospałość, zbytnie rachowanie się z przenajróżniejszemi względami. Konserwatyści skarżą się na ostry ton, na szkodliwe nieumiarkowanie chrześcijańskich socyalistów. I ci i tamci mają, mem zdaniem, najzupełniejszą racyę, ale Pan dla-

tego ich właśnie koło siebie postawił, aby jedni drugich uzupełniali, jedni od drugich się uczyli...“

Ks. Weiss, jak z góry ostrzega, ma na pierwszym planie na oku wiedeńskie, a przynajmniej niemiecko-austryackie stosunki; czy i do naszych stosunków w pewnej mierze i z pewnemi lekkiemi odmianami, dotykającemi formy, nie treści, nazw raczej niż rzeczy, nie dałyby się zastosować zdrowe te rady, zapatrywania, krytyki?...

*Ks. Jan Badeni.*

## List z Wiednia.

Antysemityzm w Wiedniu. — Gospodarka masonii na Węgrzech.

Nad wszelkie spodziewanie świetne zwycięstwo antysemitów nad pseudoliberałami w wiedeńskich wyborach do rady miejskiej, zwraca na siebie w tej chwili uwagę całego świata cywilizowanego. Czy słusznie? Sami antysemici wiedeńscy przyrównywają zwycięstwo swe do odsieczy Wiednia z r. 1683: jak wówczas burmistrz wiedeński Liebenberg — bo dla żadnego prawego Austryaka Sobieski nie istnieje, tem mniej dla Wiedeńczyka — obronił świat chrześcijański od zalewu islamskiego, tak dziś adwokat Lueger, przyszły burmistrz miasta Wiednia, zadał cios śmiertelny panowaniu żydowsko-liberalnych zasad i żywiołów, jeśli nie w Europie, to przynajmniej w całej Austryi. Obrawszy to zdanie z łupiny frazesowej, znajdziemy jądro prawdziwe: wiedeńskie zwycięstwo antysemitów w wyborach gminnych, pozbawia cały pseudoliberalizm austryacki uroku we wszystkich dziedzinach i gałęziach życia publicznego i społecznego, a nawet i towarzyskiego; owego uroku, który, wypływając z bezwarunkowej wszechwładności pseudoliberalizmu właśnie w stolicy z jej centralnemi i najwyższemi sferami rządowemi, przez lat około 30 trzymał w ujarzmieniu niemal wszystko, co między Wiedniem a ostatniemi krańcami rzeszy rakuskiej zaliczało się lub zaliczanem być chciało do inteligencyi. Wiedeń był prawdziwie cytadelą „liberalizmu“ żydowskiego, tak warowną i niedostępną, że nawet z słynnego wielkiego przesilenia giełdowego w r. 1873, ten fałszywy, samozwańczy liberalizm wyszedł bez szwanku i już w r. 1874 zdobył się na owe wrogie Kościołowi ustawy majowe, które jedynie wskutek

stanowczego oświadczenia monarchy, uczynionego z okoliczności sankcyi ich, pozostają dotychczas w znacznej części ustawami tylko papierowemi. W owych czasach panowanie liberalizmu żydowskiego było tak mocno ugruntowane, że posuwało się po prostu do teroryzmu: księży bezkarnie nagabywano, obelgami i błotem obrzucano za białego dnia na ulicach wiedeńskich; osoby nawet świeckie, proskrybowane przez żydowskie dzienniki wiedeńskie, w własnym domu nie były bezpieczne. Tak opowiada nam pewien adwokat, stary „liberał“, dziś nawrócony. Ale właśnie od czasu owego przesilenia giełdowego, od ustaw majowych i teroryzmu żydowskiego datują pierwsze początki reakcyi wśród ludności wiedeńskiej; a niepośledni, może nawet najpotężniejszy wpływ pod względem rozbudzenia gnuśnych, zmartwiałych uczuć i umysłów ludności nietylko wiedeńskiej, lecz wogóle niemiecko-austryackiej, wywarło pospolite ruszenie ludności katolickiej w Niemczech przeciw Bismarkowej „walce w imię kultury“. W tych to czasach zrodził się w Austryi *Hetzcaplan*, ksiądz-podszczuwca (nazwa nadana i dziś jeszcze używana przez dzienniki żydowsko-liberalne), którego protoplastą w dziedzinie życia kościelnego był nieodżałowanej pamięci biskup lincki, ks. Rüdiger, w dziedzinie piśmienniczej i agitacyjnej zaś ks. Wiesinger, dziekan i pleban u św. Piotra w Wiedniu, który obecnie wszedł w skład antysemickiej większości nowej wiedeńskiej rady miejskiej. O antysemityzmie wiedziano wówczas tyle co nic, przynajmniej inicyatorowie ruchu anty-„liberalnego“ nie myśleli o nim bynajmniej; niestety jednak fakta mówią, że potrzeba było antysemityzmu, aby zadać pseudoliberalizmowi klęskę śmiertelną w samej głównej jego warowni. Właśnie dlatego, że na tak silnem stanowisku, na jednem z najsilniejszych w Europie — bo pewnie tylko stolica Węgier stanowi pozycyę jeszcze silniejszą, o ile chodzi o ten pseudoliberalizm, w którym żydowszczyzna dominuje — rozpanoszone stronnictwo to porażone jest na głowę, jakoteż dlatego, że wrześniowe zwycięstwo antysemitów niewątpliwie nie ograniczy się w skutkach swych ani na wiedeńskie sprawy gminne, ani na Wiedeń wogóle — słuszne jest zainteresowanie się tym faktem daleko poza granicami Austryi.

Jakież uczucie wywołuje zwycięstwo to w nas, którzy ani do pseudoliberałów, ani do antysemitów nie należymy? *Placet victoria, displicent victores.* Nie można zaiste sympatyzować ani z wszystkiemi ideami, ani z osobami przewodniemi w obozie dzisiejszych „oswobodzicieli“ Wiednia. Obóz ten składa się z frakcyj, frakcyjek i luźnych osób najrozmaitszych poglądów i przekonań, ale takich, że i z najwybitniejszych

przywódców może żaden nie potrafi zdać sobie z nich jasno sprawy i nie wie dobrze, czego właściwie chce, z wyjątkiem chyba d-ra Pattaia, adwokata wiedeńskiego, który zresztą trzyma się więcej na uboczu. W obozie tym, zowiącym się „antyliberalnym", którą to nazwę negatywną w braku jednoczących wspólnych zasad pozytywnych przyjęto, dla nadania obozowi jakiego takiego pozoru jedności, rozróżnić można trzy gromady główne: Niemców-narodowców (dwojakiej barwy, tj. jawnych Bismarczyków i pozornie prawych Austryaków), antysemitów w ściślejszem znaczeniu, czyli tak zwanych rasowych, i socyalistów-chrześcijan, stanowiących antytezę socyalistów-demokratów. Podział ten nie oznacza jednak ścisłego rozgraniczenia; nawet między przywódcami jest niejeden, którego zaliczyć można do dwu lub do wszystkich trzech gromad. I tak sam gromowładny Jowisz, któremu jednak wielu nie na Olimpie, lecz w Hadesie miejsce przeznacza, dr. Lueger, który z niejednego już pieca swój, co prawda skromny dotychczas, chleb jadał, z „liberalnego", z demokratycznego i t. d., chwieje się między antysemityzmem plemiennym a socyalizmem chrześcijańskim, a zarazem zapewnia, że jako *burmistrz wiedeński* będzie strzegł nieskazitelnie niemieckiego charakteru miasta Wiednia, chociaż bardzo przyjemne byłyby mu były czeskie głosy dziesiątego cyrkułu wiedeńskiego, gdzie mimo przeważnie czeskiej ludności, wybrany jest nie Czech i nie kandydat zalecony przez Luegera, lecz Niemiec-narodowiec. Inna, bardzo ciekawa osobistość, nieznaczna wedle zwykłych pojęć, ale wiele znacząca w obozie anty-„liberalnym", mechanik Schneider, antysemicki *commis-voyageur*, który był już i w Krakowie, a w tej chwili operuje w Tryeście, uznaje pod względem plemienno-antysemickim zwierzchnictwo Luegera, pod względem zaś chrześcijańsko-socyalistycznym idzie za księciem *Alojzym Liechtensteinem*. Człowiek ten zresztą jest najwięcej świadomym swojego celu i najlepiej potrafi pogodzić antysemityzm plemienny z socyalizmem chrześcijańskim. Głosi on bez zająknięcia, że wszystkie majątki żydowskie trzeba skonfiskować; aby zaś dostały się na wieczne czasy społeczeństwu chrześcijańskiemu, aby żaden Żyd nigdy już niczego dorobić się nie mógł i nie zakażał ludzkości, trzeba wszystkich Żydów wytępić; co więcej, jeszcze po wytępieniu powinno społeczeństwo chrześcijańskie mieć z Żydów pożytek: w tym celu ma on w pogotowiu — jak sam się wyraża — „sposób godny mechanika", mianowicie: spalić ciała żydowskie w piecu gazowym, aby przez kilka wieczorów oświetlić niemi ulice. Ponieważ atoli niejeden Żyd mógłby przekraść się do społeczeństwa chrześcijańskiego,

zakazić je i ujść konfiskaty majątku i śmierci męczeńskiej za pomocą chrztu, przeto mechanik Schneider ogłasza chrzest na Żydzie, jako „nadużycie sakramentu“ i broni tej tezy nawet przeciw swojemu bratu w socyalizmie chrześcijańskim, monsignorowi ks. Scheicherowi. To nie humorystyka!

Inni nie dochodzą do takich niedorzeczności, jednak, na nieszczęście sprawy, nie przebierają w środkach i nie znają granic w swych zapędach. Chciałoby się ich wymówić nadmiarem zapału, wywołanym może przez brak zapału i energii ich poprzedników, dawniejszych kierowników ruchu katolickiego. Ale oni nietylko nadmiarem, lecz i kierunkiem zapału grzeszą; tak bronią katolicyzmu, że podkopują jego podstawy. Naigrawają się z Pisma św. Starego Zakonu, uderzają na hierarchię Kościoła katolickiego; na piśmie w dziennikach swych, ustnie w zgromadzeniach parlamentarnych, albo w towarzyskich przy kuflu piwa, obsypują pogardliwemi epitetami niższych i wyższych duchownych świeckich i zakonnych, gdy oni w sprawach politycznych lub ekonomicznych są innego zdania niż oni; prawdziwie pieniackim sposobem odwołują się zawsze aż do najwyższej instancyi, i grożą nią instancyom niższym: biskupi są służalcami dworskimi *(Hofbischöfe)*, jedyną powagą w Kościele jest papież, a Ojciec święty Leon XIII. jest z Luegerem zawsze i wszędzie.

Ruchu więc antysemickiego w całości wziętego nie można za ruch katolicki uważać. Ale czemże się to dzieje, że prawi katolicy nie zajęli od dawna tej areny i dali jej wpaść w ręce niepowołanych? Odkąd nastała w Austryi era konstytucyjna — mimo, że konstytucyonalizmem austryackim zachwycać się nie potrzeba — pięknie rozwinęło się kościelne i publiczne życie katolickie. Widać to najwyraźniej w samym Wiedniu, gdzie dawniej kościoły stały pustkami, dzisiaj zaś kościołów jest za mało; widać to szczególnie też przy konfesyonałach; widać w wielkiej liczbie przeróżnych stowarzyszeń katolickich, w tłumnej frekwencyi szkół klasztornych, w prosperowaniu wiedeńskiego katolickiego seminaryum nauczycielskiego męskiego (naturalnie prywatnego) i żeńskiego (także prywatnego, utrzymywanego przez SS. Urszulanki); poza Wiedniem, szczególnie w krajach alpejskich, widać w po prostu niezliczonej liczbie katolickich towarzystw ludowych, kasynów katolicko-politycznych, katolickich stowarzyszeń robotniczych i t. d., które właśnie w roku bieżącym w znacznej części obchodziły jubileusz 25-letniego bytu swego. Ale wszystko to rozwinęło się w duchu o wiele więcej zasklepienia się na wewnątrz i biernego oporu, niż śmiałego występowania na zewnątrz i zaczepnego działania; krzewiło się życie katolickie,

a mimo to liberalizmowi ani włos z głowy nie spadał, i oprócz tego zrodził się i bujnie rozrósł socyalizm demokratyczny. Krótko mówiąc, austryacki ruch katolicki zbytnio oparł się na konserwatyzmie austryackim i zbytnio przejął się jego duchem: *dixi et salvavi animam meam;* brakło mu i braknie jeszcze tego, czego zbytkiem, jak wyżej już wspomnieliśmy, niepomiernie grzeszą socyaliści-chrześcijanie: energii, ruchliwości: nie potrafił odsłonić ludowi materyalnych krzywd, wyrządzonych społeczeństwu przez pseudoliberalizm. — W Niemczech, szczególnie w Prusiech, katolicy-konserwatyści postępują z czasem, aby zwalczać wybujałości tak zwanego ducha czasu; w Austryi, stojąc niewzruszenie na miejscu, na stanowisku bardzo podobnem jeszcze do józefińskiego, z całą pogardą logiki faktów oczekują chwili, w której albo świat do nich się nawróci, albo, co prawdopodobniejsza, przejdzie nad nimi do porządku dziennego. W swoim rodzaju bardzo dosadnie uczynili to już Wiedeńczycy: albowiem dawniej, gdy ster antyliberalizmu znajdował się wyłącznie w ręku hr. Hohenwarta i *Vaterlandu,* nigdy nie wybierał ani jednego katolika-konserwatysty do żadnego z ciał parlamentarnych; obecnie zaś, gdy powstali Luegery, a za nimi dzienniki antysemickie, Wiedeń obsyła Radę Państwa, sejm dolno-austryacki i radę miejską przeważną większością anty-„liberałami". Jest to fakt wielce charakterystyczny. I oto dowód, że, jak wyżej powiedzieliśmy, potrzeba było antysemityzmu!...

Pocieszają się tu konserwatyści myślą, że niema złego, któreby na dobre nie wyszło. Spodziewają się rychłego rozkładu obozu antysemickiego na jego części różnorodne, co nazywają *Scheidung der Geister,* i połączenia zdrowych żywiołów z obozem katolicko-konserwatywnym. Nadzieja ta trafia i nam do przekonania; wynurzyliśmy ją w podobnym sensie na tem miejscu już przed kilkoma laty, gdy po nowych powszechnych wyborach do Rady Państwa zasiadła w parlamencie po raz pierwszy znaczniejsza liczba antysemitów. Wówczas to powiedzieliśmy, że wprawdzie *quot capita, tot sensus,* atoli z czasem może wyłonić się z antysemityzmu stronnictwo inicyatywy w sprawach reformy społeczno-politycznej. Dotychczas nie ziściło się to; obóz antysemicki jest jeszcze *crudis indigestaque moles,* ale już on wstąpił w stadyum kipiącej fermentacyi: rozkład jest nieunikniony. Powtarzając: *placet victoria, displicent victores,* dodajemy przeto: *quod Deus bene vertat!*

Podczas gdy tak niemal do szczętu już zbankrutował pseudoliberalizm w Austryi, dochodzi on obecnie szczytu rozpanoszenia swego na Węgrzech, jako żydowsko-kalwińsko-masońsko-rządowa konspiracya

przeciw Kościołowi i tronowi, mianowicie w wykonaniu politycznego testamentu br. Kossutha [1]. Od początku bieżącego miesiąca weszła tam w życie część owych ustaw kościelno-politycznych, których początek wywodzi się z ostatnich czasów gabinetu kalwina Tiszy, mianowicie ze słynnego rozporządzenia ministra spraw duchownych Csakiego o metrykach dzieci z małżeństw nierównego wyznania, datowanego z d. 26 lutego r. 1890, wymierzonego przeciw katolicyzmowi. W sprawie tej, pozornie niewiele znaczącej, będącej jednak ciężką obrazą sumienia katolickiego, bo wychodzącej na rabunek katolickich dusz dziecięcych, patryotyczny episkopat z ks. prymasem Szimorem na czele zajmował stanowisko bardzo pojednawcze, byle tylko oszczędzić ojczyźnie „walki w imię kultury“ i połączonych z nią wstrząśnień. Jakoż zdawało się na chwilę, że załagodzona będzie choćby sposobem takim tylko, jaki wedle trafnego wyrażenia niemieckiego nazywa się *fauler Frieden* (zgniły pokój). O szczerych chęciach episkopatu świadczy dobitnie okoliczność, że po śmierci ks. Szimora, nowy książę-prymas Vaszary, właśnie ze względu na naprężony między rządem a Kościołem stosunek, obrał sobie za dewizę słowo *Pax*. Gabinet Tiszy ustąpił gabinetowi Szaparego, który miał i chciał ów pokój zawrzeć. Ale Tisza zeszedł z widowni i zrzekł się odpowiedzialności publicznej na to tylko, aby z poza kulis tem bezpieczniej i skuteczniej dyrygować żydowsko-kalwińsko-masońskiem stronnictwem „liberalnem“. Ani jednego biskupa, ani jednego księdza węgierskiego nie można posądzić o „ultramontanizm“ (w „liberalnem“ tego wyrazu znaczeniu); tem mniej na epitet ten zasługiwał hr. Szapary, członek stronnictwa „liberalnego“, acz mąż zasad honorowych, prawych i prawdziwie patryotycznych. Tacy kompacyscenci, z jednej strony patryotyczny episkopat, z drugiej patryotyczny hr. Szapary, mogli byli zawrzeć ów pokój, choćby ściśle rzecz biorąc, możnaby było nazwać go zgniłym. Że mimo to, wobec intryg Tiszy i jego kliki, nie powiodła się hr. Szaparemu misya pokojowa, dowodzi to powziętego z góry przez żydowsko-kalwińską masonię zamiaru, dowodzi złej woli i celu, wychodzącego poza sprawę metryk chrzestnych. Bardzo krótkie były rządy hr. Szaparego. Nie-„klerykalny“ dziennik *Magyazorszag* nazywa upadek Szaparego pierwszym kościelno-politycznego charakteru upadkiem gabinetu na Węgrzech. Zdławiono Szaparego, zarżnięto ofiarę z przy-

[1] Te wypadki węgierskie omawialiśmy już obszerniej w *Przeglądzie Pow.* w dziale: „Sprawy Kościoła“, zamieszczamy jednak ten list dlatego, że zawiera niektóre interesujące szczegóły o działaniu masonii w tym kraju. *(Przypisek Redakcyi).*

jaciela politycznego, aby nietylko nie uronić niczego z rozpoczętej akcyi antykościelnej, lecz upozorować potrzebę nawet energiczniejszego tejże akcyi ciągu dalszego. I oto tworzy zakulisowy reżyser Tisza wraz z bracią masonią ministerstwo *ad hoc* z br. Wekerlem na czele, najzaufańszym członkiem kliki, i kłamstwo rozporządzenia z roku 1890, pozbawione prawie całej już draperyi teatralnej, ukazuje się w swojego rodzaju prawdzie: Wekerle wnosi do sejmu węgierskiego kompleks projektów ustaw, wyznających jawnie zasady masońskie, zasady indyferentyzmu religijnego, bezwyznaniowości i nagiego naturalizmu, a więc wypowiadających wojnę wszelakiej wierze pozytywnej, szczególnie przeto katolicyzmowi. Rzecz idzie bardzo oporem, nietylko wskutek burzliwych protestów z łona ludności katolickiej i luterskiej, nietylko wskutek opozycyi zdrowych żywiołów parlamentarnych w obu izbach sejmowych, lecz także wskutek wstrętu najwyższego czynnika ustawodawczego. Masonia jednak uwzięła się na wszelki sposób przeprowadzić swe dzieło. Z jak bezczelną uporczywością dochodziła celu swego, jaskrawym dowodem tego jest fakt, że gdy ów gabinet *ad hoc*, gabinet Wekerlego, w czerwcu roku zeszłego zniewolony został podać się do dymisyi, absolutyzm masoński sprowadził rekonstrukcyę tegoż gabinetu na pewien czas oznaczony, tj. na czas aż do prawomocności projektowanych ustaw. Spieszno było masonii: *post multa discrimina* doprowadzono projekty, a przynajmniej główną ich część, do sankcyi na schyłku roku zeszłego; część — bo dla przyspieszenia sprawy, dla dotrzymania swojego terminu, rozerwano nawet jedność kompleksu tych ustaw; jedna z nich, odmawiająca chrztowi znamienia niezatartego, teraz dopiero ma być ostatecznie uchwalona przez Izbę magnacką, przy pomocy świeżo w tym celu mianowanych członków, figur rządowych.

Dla dotrzymania swojego terminu! Co to znaczy? Masonia, kościelisko szatana, małpująca i przedrzeźniająca zakonne instytucye Kościoła Chrystusowego, ma swoje anniwersarze, święta pomniejsze i wielkie. W roku 1894 (w listopadzie) przypadał bardzo wielki anniwersarz masoński, dwusetna rocznica wschodu jednego z najwyższych świateł, urodzin Voltaira. Autorowi hasła: *écrasez l'infame*, należał się wspaniały pomnik, a żaden grunt nie nadawał się lepiej pod ten pomnik, jak owo królestwo, które w tytule swym najwięcej skupia świętości, królestwo korony świętego Szczepana, węgierskie królestwo Maryańskie, hołdujące berłu króla Apostolskiego. Pomnikiem tym są węgierskie ustawy kościelno-polityczne, i dlatego musiały one, nawet kosztem jedności kompleksu swego, koniecznie przed upływem r. 1894

naokoło ścisłej daty owego anniwersarza, dojść prawomocności swojej. Tryumf zaiste nielada! — tryumf podwójny, bo koniec akcyi, przygotowywanej od r. 1890 na cześć Voltaira, stał się zarazem uczczeniem pamięci i zasług zmarłego w r. 1894 br. Kossutha starszego: tryumf tyle dodający otuchy, że br. Kossuth młodszy, z którym wspólnictwo swe w wykonaniu testamentu ojca sfery najwięcej wpływowe źle tylko ukrywają, jawnie już potrząsa czapką frygijską w oddanych sobie organach dziennikarskich.

Przytoczmy o tem głosy ludzi z blizka na rzecz patrzących, głosy z przeciwnych sobie obozów i różniące się między sobą także co do czasu. Pomiędzy przybłędami, którymi za panowania cesarza austryackiego Józefa II., wielkiego fautora masonii [1], obsadzono katedry założonego przezeń uniwersytetu lwowskiego, znajdował się profesor fizyki, Martinovich, któremu współcześni zarzucają nieuctwo, a który tem lepiej znał się na sprawkach masońskich. Na tym Martinovichu wraz z osobami współsprzysiężonemi, wykonano w r. 1795 w stolicy węgierskiej wyrok śmierci, za masoński spisek republikański, zagrażający śmiercią cesarzowi. Rozzuchwalona tryumfem swym masonia węgierska obchodziła w maju roku bieżącego i wodzonym na pasku „profanom“ kazała obchodzić uroczyście setną rocznicę „męczeństwa“ tego. Otóż z okoliczności tej *Fejermegyei Napló*, organ, który powstał dla zwalczania ustaw kościelno-politycznych, zarzucił ministerstwu węgierskiemu, że w Wiedniu, wobec cesarza i króla, stroi się w lojalność, a na Węgrzech, „zapalczywie zwalcza żywioły dynastyczne i zachowawcze, oraz bez przeszkody toleruje manifestacye, zwracające się jawnie przeciwko tronowi, państwu i jego porządkowi“. „Rząd pozwolił na uroczyste obchodzenie setnej rocznicy stracenia masona Martinovicha i jego wspólników, którzy nietylko krzewili antymonarchiczne zasady rewolucyi

[1] Br. Bronisław Trentowski w dziele pośmiertnem: *Die Freimaurerei in ihrem Wesen und Unwesen* (Lipsk 1873), podaje obrazek kobierca symbolicznego, „jednego z najlepszych“, „będącego podobno dziełem tego cesarza“ (Józefa II.), który znajdował się w wielkiej loży wiedeńskiej. — Br. L. Lewis w dziełku: *Geschichte der Freimaurerei in Oesterreich* (Wiedeń 1861), opowiada o założeniu w Wiedniu w r. 1771 „jednej z najprzedniejszych i najwięcej poważnych lóż w Austryi“, którą na cześć Józefa II. nazwano lożą św. Józefa. Założono ją wbrew ustawie z r. 1764, wydanej przeciw masonii przez matkę jego Maryę Teresę. W mowie, wygłoszonej przy „poświęceniu“ tej loży, powiedziano, że Józef II. w mądrości swej zaprowadził prawdziwą masonię w swych państwach. „Dziesięcioletnie rządy cesarza Józefa II. — mówi Lewis — były złotym okresem masonii austryackiej“.

francuskiej, lecz nawet nastawali na życie króla węgierskiego. Dzienniki rządowe zamieściły artykuły na uczczenie pamięci spiskowców, co więcej, jeden z mówców na uroczystości mógł bezkarnie wygłosić słowa: ‚Oby tylko powiodło się urzeczywistnić, co nie powiodło się tym męczennikom naszym'. Rząd nie śmie prześladować rewolucyonistów, bo kruk krukowi oka nie wykole, a bez pomocy rewolucyonistów rząd nie mógłby prześladować Kościoła i nie utrzymałby się ani przez dzień jeden". Tak pisał w maju konserwatywny dziennik narodowy; w drugiej połowie bieżącego miesiąca zaś w *Zombori Hirlap*, dzienniku stronnictwa Kossuthowego, Żyd, dr. Aleks. Fischl, który zmadziaryzował nazwisko swe na Pataj, radzi rządowi postarać się, aby w sejmie zawiązało się stronnictwo republikańskie, bo niedość już „stronnictwa niezawisłości" (od Austryi), ani „stronnictwa roku 1848". Ciekawa jest argumentacya Kossuthowego dziennikarza. Stronnictwo republikańskie w kraju już jest; ale chociażby go jeszcze nie było — mówi on — wypadałoby je stworzyć, aby poprzeć politykę stronnictw mniej radykalnych; albowiem im więcej stronnictwa skrajne od Wiednia (tj. od cesarza austryackiego i króla węgierskiego) żądają, tem więcej wytargowuje na nim rząd, który między postulatami stronnictw skrajnych a oporem Wiednia pośredniczy. Wszakże i cygan żąda za konia 50 złr., aby wytargować przynajmniej 30 złr. — Porównanie polityki węgierskiej z cygaństwem jest bardzo trafne, ale cenniejsze jest wyznanie: „Wszakże i Wekerle musiał grozić Wiedniowi (królowi) Kossuthem, żeby wytargować ustawę o cywilnych ślubach małżeńskich!" — Komu wiadomo, jak rządy węgierskie, bez różnicy nazwiska firmowego, potrafią wobec Korony wyzyskiwać prawdziwą czy pozorną trudność sytuacyi, stwarzaną przez postulaty stronnictw skrajnych; komu wiadomo, że rząd rzeczywiście posługiwał się wobec Korony rozszalałym kultem Kossuthowym; komu wiadomo, że rząd i Kossuth młodszy działają w porozumieniu z sobą — ten nie zadziwi się pewnie, gdy powiemy, iż propozycya dziennikarza Kossuthowego, co do zawiązania stronnictwa republikańskiego w sejmie, nie sprzeciwia się bynajmniej intencyi rządu węgierskiego. Temu rządowi — jak już powiedział zacytowany powyżej *Fejermegyei Naplo* — należy się czapka frygijska.

Teraźniejszy rząd węgierski nie jest to wprawdzie już gabinet Wekerlego, który po sankcyonowaniu części ustaw kościelno-politycznych rzeczywiście ustąpić musiał; jest to gabinet Banffego; ale zmiana osób nie oznacza zmiany systemu. Te same zakulisowe czynniki działające, które pod firmą Szwaba, Wekerlego, zasługującego sobie na

ostrogi węgierskie, doprowadziły ustawy kościelno-polityczne aż do sankcyi, te same czynniki — o zdumiewająca potęgo masońska! — potrafiły wystarać się o takiego dla Wekerlego następcę, który daje rękojmię „energicznego“ tychże ustaw wykonania. Epitet energii kładziemy w cudzysłowie, bo ciężka, niezgrabna ręka bar. Banffego, któremu nigdy pewnie nie śniło się, że kiedyś będzie ministrem lub nawet prezesem ministrów, zasługuje właściwie na inny przymiotnik. Potrzeba było takiego człowieka, żeby klika miała nietylko pewność bezwzględnego wykonania ustaw, lecz także kozła ofiarnego, na którego zwalić można odpowiedzialność za wszystkie wadliwości kodyfikacyjno- i administracyjno-techniczne, które wskutek zbytniego pośpiechu — bo anniwersarz urodzin Voltaira był niedaleki — albo samym ustawom są właściwe, albo wypływają z braku należytych przygotowań wykonawczych.

Po dziewięciomiesięcznej *vacatio legis* sankcyonowana w grudniu część ustaw kościelno-politycznych weszła w życie dnia 1 b. m., a z nią przymusowe cywilne śluby małżeńskie. Podczas agitacyi za uchwaleniem tych ustaw przez parlament powoływano się na lud, że uczuwa nagłą ich potrzebę. Lud obecnie czynami stwierdza prawdziwe usposobienie. W ostatnich dniach września w całych Węgrzech, szczególnie także w samej stolicy, kościoły były przepełnione parami, zabierającemi się do stanu małżeńskiego; następował ślub po ślubie, aby uniknąć profanacyi sakramentu, której lud dopatruje się w akcie urzędnika stanu cywilnego; mnóstwo było par takich, które pożądały i dostąpiły dyspensy z trzykrotnej zapowiedzi. Nawet w ludności żydowskiej i protestanckiej zapanowało uczucie czegoś w rodzaju spadającej na świat wielkiej klęski; albowiem liczne były w ostatnich dniach września chrzty neofitów z żydowszczyzny i wypadki nawrócenia z protestantyzmu. W jednym jedynym kościele parafialnym pewnej dzielnicy Pesztu przeszło na katolicyzm 21 osób żydowskich i 9 protestanckich. W urzędach stanu cywilnego sceny gwałtowne lub pocieszne od trzech tygodni nie schodzą z porządku dziennego. Ludność zrywa tablice urzędowe, niszczy je, lub błotem pomazuje; gminy odmawiają urzędom tym pomieszczenia (bo ustawa zwala ciężar pomieszczenia na gminy); właściciele domów nie przyjmują urzędników stanu cywilnego na komorne, lękając się zawleczenia jakiejś zarazy moralnej; gdzieniegdzie przywiązano urzędnikowi tablicę urzędową na plecy i wypędzono za granice gminy; co chwilę żandarmerya gwałtem instalować musi urzędników; niema dnia, żeby kilku urzędników nie prosiło o zwolnienie z urzędu; pary, stawające *przed stołem urzędowym*, naigrawają się z urzędnika

lub jego czynności; boso, z podkasanemi rękawami od koszuli, w ubraniu parobka i dziewki, idących wprost ze stajni, biorą ślub cywilny, aby tuż potem jak najstrojniej z wielkim orszakiem stanąć przed ołtarzem; skutkiem takich i podobnych zniewag urzędu wyszło już rozporządzenie ministeryalne, chcące karami ratować powagę ustawy „cywilizacyjnej“. Pewien cygan, stający przed stołem ślubnym, zamaszyście-uroczyście przemówił do urzędnika: *nagysagos királyi plebanos ur!* — wielmożny panie, królewski plebanie! — co wywołało homeryczny śmiech zgromadzonej publiczności. Wyrok, może mimowoli, ale bardzo dosadnie potępiający śluby cywilne, wydało wspólne (austryacko-węgierskie) ministerstwo wojny rozporządzeniem uzupełniającem przepisy o ślubach małżeńskich oficerów. Do dotychczasowych warunków przybywa nowy, że oficer, chcący wstąpić w związek małżeński na Węgrzech, powinien ze względu na przyzwoitość publiczną osobną deklaracyą od siebie i od narzeczonej zobowiązać się wziąć po ślubie cywilnym ślub kościelny. Ślub cywilny przeto uznany tu za niezgodny z przyzwoitością, lub przynajmniej za nie czyniący zadość wymaganiom przyzwoitości.

Oprócz wielkiego nieładu, jaki już powstał w księgach stanu cywilnego, oprócz często nierozwikłanych spornych kwestyj prawniczych, które już powstały, oprócz niepotrzebnych kosztów utrzymania urzędów nowych, ponoszonych przez skarb państwa, i kosztów pomieszczenia ich, zwalonych na gminy (dotychczas prowadziło duchowieństwo księgi metryczne bezpłatnie), przyczyniają nowe ustawy „cywilizacyjne“ niepospolicie wiele trudności, zachodów i kosztów szerokiej sferze ludności, tej właśnie, która najmniej oryentuje się w labiryncie „prawa“, a najwięcej uczuwa wydatki z ciężko zapracowanego grosza. Biedny robotnik, któremu przedtem ksiądz wszystko rozwikłał i za darmo przygotował, aby nakoniec wziąć *iura stolae* w ilości 1 złr., teraz często musi szukać sobie rady, nie wiedzieć gdzie i pewnie nie bez kosztu, aby nakoniec w samym urzędzie stanu cywilnego zapłacić nieraz 12 złr. i więcej. A nadto jeszcze duchowieństwo kalwińskie i luterskie słusznie obawia się uszczuplenia swoich dochodów, przewidując, że protestanci bardzo często poprzestawać będą na ślubie cywilnym, obywając się bez pastora. Z tej słusznej obawy pastorów atoli zradza się w sferach katolickich tem słuszniejsza obawa o bezpieczeństwo mienia katolicko-kościelnego. Jest to temat, którego kilkoma słowy zbyć nie możemy; może w drugim liście do niego powrócimy.

*Józef Glinkiewicz.*

## Z kresów Ameryki Północnej.

Prospektorzy, jak to kiedyś dawniej wspomniałem, stanowią przeważną część ludności tu osiadłej, a miasteczka Ruby, Conconully i Loop-Loop mają zupełnie charakter nowopowstających osad górniczych. Każdy z prospektorów ma jeden, a często i po kilka klemów (od angielskiego *mining-claim* = wyłączność górnicza) górniczych. Aby utrzymać się w posiadaniu takiej wyłączności górniczej, trzeba uczynić zadość przepisom ustawy górniczej, nakładającej na dzierżyciela klemu obowiązek wydania rocznie co najmniej 80 dolarów na roboty poszukiwalne. Nadanie kopalni czyli uzyskanie tak zwanego patentu wtedy dopiero nastąpić może, skoro właściciel klemu albo jego prawonabywca wydał na roboty szurfowe co najmniej pięćset dolarów. Prospektorzy, zwykle ubodzy, nigdy się o uzyskanie patentu, pociągające za sobą znaczne koszta, nie starają. Oni tylko wyszukiwaniem żył kruszcowych i pokładów innych pożytecznych kopalń się trudnią, stanowią straż przednią przemysłu górniczego. Typy to niezmiernie ciekawe. Poprzednio zrobiłem uwagę, że wielu z nich, dorobiwszy się nieco grosza, opuszcza życie prospektorskie, które bądź co bądź przedstawia zawsze życie awanturnicze i niepewne, a obiera inny jakiś zawód wyraźny i spokojny, albo lepiej się wyraziwszy, wraca do zajęcia, z którego wykolejeni zostali. Znaczna jednak ich część, przywykłszy już raz do swobodnego życia, tak w niem zasmakowała, że do innego ochoty już nie ma. Ludzie to zwykle nieżonaci, niczem nie skrępowani i niczem nie dający się skrępować; cywilizacya z białą koszulą i krępującemi formami jest dla nich wstrętną, pieniądz nie ma dla nich znaczenia, oszczędności nie znają, zarobiony grosz idzie na karty, pijatykę i rozpustę. Każda góra kruszcodajna zdaje im się być niewyczerpaną kopalnią złota lub srebra, a że jeszcze krainy wielkie, niezbadane, niedostępne a notorycznie w szlachetne metale bogate na nich czekają, gdy jedna okolica zaczyna nabierać znamion cywilizacyi, gdy zaczną obowiązywać tam pewne prawa i zwyczaje przyzwoitości i t. d., gdy potrafili znaleść kupców na swe wyłączności, płacą długi, jakie porobili po karczmach, zwanych tu salonami, i groserniach, siodłają konie, pakują na nie, co do życia nawpół koczowniczego nieodzownie potrzebne wraz z narzędziami górniczemi, i na nową wyprawę wyruszają. Serca zwykle są dobrego i miłosiernego te natury szorstkie i nawpół dzikie. Gdy komuś nieszczęście się przytrafi, ostatnim groszem podzielić się gotowi. Zdarzył się tu podczas mego pobytu wypadek, że chłopcu kilkunastoletniemu piła w tartaku rękę niebezpiecznie skale-

czyła. W jednej chwili składkę na niego pomiędzy sobą urządzili i z 250 dolarami do szpitala w Spoken-Falls wysłali. Nawiasem dodać tu muszę, że ludzie w Ameryce przeciętnie są miłosierniejsi i lepszego serca od ludzi w Europie.

Przybywszy do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, a będąc górnikiem z zawodu, nosiłem się początkowo z myślą, aby prospektowaniu się oddać. Wszystkie krainy Ameryki po tej stronie Gór Skalistych *(Rocky Mountains)*, stanowiących jakoby kość pacierzową tej części świata, a w południowem swem przedłużeniu znane pod nazwą *Gran Cordillera de los Andes*, obfitują w szlachetne metale, i myśl ta była wcale dobrą, ale w mem położeniu jako ojca rodziny niemożliwą do wykonania. Znaleść ryfę kwarcową złoto- lub srebrodajną, to rzeczą nietrudną, ale trudniejszą i już niejako rzeczą szczęścia, zrobić odkrycie żyły bardzo w kruszce szlachetne bogatej. Jednemu szczęście służy, drugiemu nie; dobre ślady na wychodzie żyły dobremi są wskazówkami, bo pozwalają się spodziewać, że ruda w głębokość wytrzymywać będzie, podczas gdy pusty kwarzec na wychodzie żyły przypuszczać każe, że żyła ta albo wcale nie będzie kruszcodajną, albo tylko bardzo w kruszec ubogą. Ale niedość żyłę kruszcodajną i choćby jak najbardziej obiecującą odkryć. Chcąc odkrycie takie zużytkować dla siebie, trzeba z miejscowością, w której ta żyła się znachodzi, wejść w stałą styczność, bo trzeba, aby w posiadaniu odkrycia się utrzymać, ustawie górniczej uczynić zadość, trzeba, jeśli nie zamieszkać stale w takiej okolicy, zwykle najdzikszej pod każdym względem, to przynajmniej od czasu do czasu tam zaglądać, trzeba pieniędzy albo pracy pewne *quantum* wyłożyć, a gdy dróg niema, lata całe czekać, zanim koleje do miejscowości takich wybudują, inaczej nie czekając, chyba odkrycie takie sprzedać za bezcen wypadnie spekulantom czyli tak zwanym operatorom kopalnianym *(mining-operators)*, którzy rozległe stosunki mają, kapitał reprezentują i płacąc niezmiernie licho pracę i szczęście prospektorów, sami potem na ich odkryciach wielkich fortun się dorabiają. Klem taki górniczy, choćby najlepszy, potrzebuje grubego nakładu, aby z niego kopalnię stworzyć, a kruszec z kopalni wydobyty, aby na sztaby złota i srebra zamienić, trzeba stępami pokruszyć i metalurgicznej operacyi poddać, a na to nie wystarcza goła pięść i pusty worek prospektora. To też nie mogąc z przyczyn powyżej przytoczonych oddać się prospektowaniu, musiałem się zadowolić w czasie pobytu mego na kresach kupnem udziału kopalni srebra *First Thought* = „pierwsza myśl“, bardzo obiecującej, zbadawszy ją poprzednio sumiennie pod względem geologicznym i mineralogicznym. Kupno to swoją drogą

dużo kłopotu mi ze sobą przyniosło, bo chciwi bogacze Amerykanie chcieli mi tę cząstkę wydrzeć, w środkach nie przebierając, ale jakoś Pan Bóg mi dopomógł w tej sprawie i od utraty udziału, w którym wielkie nadzieje pokładam, ocalił.

Kopalnie złota, jeżeli żyły ich zawierają złoto w stanie wolnym *(free gold* = wolne złoto), to jest uwolnione od towarzystwa pirytów albo iskrzyków, i jeżeli siła wodna w pobliżu się znajduje, dają się bardzo łatwo i tanio eksploatować i przerabiać, mało wymagając kapitału nakładowego, i stąd w języku tutejszych górników i prospektorów nazywają się *(poor man's mine)* „kopalniami biednego człowieka", to jest, że biedny człowiek jest w stanie kopalnie takie odbudowywać i z nich bezpośrednie korzyści ciągnąć, jak to np. miało miejsce dawniej w Borysławiu pod Drohobyczem w Galicyi z kopalniami wosku ziemnego. Jeżeli środki mają bardzo małe, a kruszec bardzo bogaty, w stanie rodzimym używają ku jego zmełciu i wydobyciu złota arastry meksykańskiej, w której z pomocą rtęci (żywego srebra) złoto się amalgamuje. Arastry meksykańskie, z kamienia na wapnie zbudowane i nie głębsze jak 3 stopy, są prototypami żelaznych panwi amerykańskich. Okrągłe i wyglądające jak rezerwoary o średnicy nie przekraczającej ośmiu stóp, mają w środku drąg pionowo osadzony, służący za oś do obracania i poruszania drugiego drąga poziomo doń przymocowanego. Dwie wielkie bryły kamienne, za pomocą kołów, wpuszczonych w dziury w nich wybite, i rzemieni przymocowane do drąga poziomego, służą do melcia kruszcu i amalgowania złota. Powoli obracają się koła wodne, powoli porusza się ta machina meksykańska, w której niema ani kawałka żelaza, a potok barwi się, jak krew czerwonym kolorem, pochodzącym od odpadków rudy złotodajnej, posoką kruszcu. Badając pokłady kruszcowe żył złotodajnych lub srebrnych, wnet znajdziemy, że w pewnej głębokości pod powierzchnią ziemi, dajmy na to na jakie 100—300 stóp, dochodzi się do punktu, od którego począwszy woda staje się źródłem utrapienia dla górnika. Przestrzeń ponad tym punktem się znajdująca jest sucha, wszystkie zaś roboty górnicze poniżej tego punktu prowadzone będą odtąd miały ciągle do walczenia z wodą, chyba, że za pomocą tunelu sztuczne odwodnienie pewnej części terenu górniczego nastąpi.

Badając kwarzec, znajdujący się ponad tem, co się w terminologii górników kruszcowych linią wodną nazywa, i poniżej tejże linii, doświadczony górnik od razu wskazać potrafi na różnicę w charakterze kwarcu i rudy. Linia wodna w ogólności bardzo jasno się przedstawia.

Ponad punktem, do którego wody podziemne sięgają, kwarzec będzie suchy i zadzierzysty, a łamiąc go, znajdziemy złoto wolne *(free gold)*, rodzime w wydrążeniach, które zachowały kształt minerałów dawniej je wypełniających. Wydrążenia o kształcie kostki, dokładnie zgadzające się z powierzchniami kubicznemi pirytów (iskrzyków żelaza), są najpospolitsze, ale czasami wydrążenia te są prawie zupełnie wypełnione kryształkami drobnemi kwarcu, który się z solucyj wodnych następnie tu osadził. Z budowy tych wydrążeń, które formę kryształów dawniej je wypełniających zachowały, od razu poznać można, że próżnie te były poprzednio siedliskiem pewnych kopalń, uległych rozpuszczeniu i częściowemu uprowadzeniu do większej głębokości. Pewna ilość złota pozostała w nich, ale przyjrzawszy się dokładnie złotu, jak ono występuje w towarzystwie z węglanami miedzi i innych metalów, godzi się przyjąć, że nie wszystko złoto, które było kiedyś w tych miejscach, się zostało. Poniżej linii wodnej wydrążenia wszelkie wypełnione znajdziemy siarkami (pirytami), więżącemi złoto, ale wziąwszy jakikolwiek kawałek rudy z któregokolwiekbądź punktu żyły kwarcowej poniżej linii wodnej i poddawszy go działaniu kwasów, zobaczymy, że przybierze wnet ten sam charakter i podobny będzie do kwarcu z żyły będącej ponad linią wodną. Pod działaniem kwasów w laboratoryum chemicznem, albo też skutkiem wolniejszego i dłuższego czasu wymagającego rozkładu, spowodowanego wpływem powietrza i wody — ten sam rezultat pozostaje — czysty kwarzec ze złotem uwolnionem (rodzimem) od pirytów w wydrążeniach. Jak ze złotem, tak podobnie, choć niezupełnie tak samo, sprawa się ma ze srebrem. Linia wodna stanowi granicę metalurgicznej operacyi prospektorów.

W Okanogan istnieje już kilka kopalń złota i srebra, a budowę kilku młynów złotych i srebrnych (tj. zakładów metalurgicznych), już też rozpoczęto. Górnicy zarabiają tu, przy dziesięciogodzinnej pracy, trzy i pół dolara dziennie. Z płacy tej potrącają im dolara za mieszkanie i stołowanie. Pożywienie mają górnicy świetne i bardzo obfite. Na śniadanie dostają kaszę, słoninę przysmażaną albo szynkę, mięso smażone, jaja gotowane, masło, cukier, mleko, kartofle smażone albo w mundurach, bułki, chleb, kawę i herbatę wedle wyboru i *à discretion*. Na obiad dostają zupę, dwojaki gatunek mięsa, dwojakie albo trojakie jarzyny, często rybę (łososia) lub zwierzynę, dwa gatunki ciast nadziewanych owocami, kawę, herbatę, chleb i masło, a wszystkiego poddostatkiem, ile kto zje. Kolacya taka sama jak obiad. W niedzielę na stole górników obowiązkowo figurować musi kura albo indyk. Oszczędny

górnik z łatwością odłożyć może 60 dolarów miesięcznie. Tak, jak ci górnicy, żyją tu wszyscy rzemieślnicy i nierzemieślnicy na pobrzeżu Oceanu Spokojnego w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki, ale bo też tu niema przesądów kastowych jak u nas, ale bo też tu praca ręczna, praca każda, byle uczciwa, w poszanowaniu jest i we czci. Wżywszy się w stosunki tutejsze i porównując je z naszemi, polskiemi, specyalnie zaś z galicyjskiemi, ręce załamać trzeba z rozpaczy nad tem, jak to u nas wygląda i jak się dzieje. Toć tu kucharka prosta albo służąca lepiej stoi, jest niezależniejsza i większego doznaje poszanowania od waszych c. k. urzędników kolejowych. Aspirantom kolei państwowych płacą w Galicyi miesięcznie 50 złr. i wymagają do tego egzaminu dojrzałości. Gdy po dwu latach pracy aspirant taki zda egzamina fachowe i awansuje na urzędnika, dostaje 500 złr. rocznie, to jest o sto złr. mniej niż aspirant, a tak go potem oskubią stemplem dekretowym, funduszem pensyjnym, mundurowem, że szczęśliwiec, wyawansowany na urzędnika kolei państwowych, widzi się zredukowanym nagle w miesięcznej pensyi co najmniej o 20 złr. A tu służąca ma pensyi od 20—30 dolarów miesięcznie, to jest od 50—75 złr. w. a., dostaje pożywienie jak dom, w którym gotuje lub służy, nie ma obowiązku prania, bo od tego są pralnie, ma osobny dla siebie pokój, niedziele wolne i poza służbą jest sobie taką samą panią, jak pani domu.

*Modest Maryański.*

Druk ukończony 29 października 1895 r.

# SZÓSTY WIECZÓR NAD LEMANEM.

Nazajutrz rano Bielski wyjechał nagle do Warszawy. Mówił mi, że jakieś interesa redakcyi, do której należy, niespodzianie go odwołują. Żegnając się ze mną, okazał pewną serdeczność, której w nim nie znałem, i powiedział mi, że jakkolwiek z przeciwnemi występował zdaniami, jednak nasze rozmowy dały mu do myślenia i otworzyły przed nim nowe widnokręgi, nad któremi jeszcze się będzie zastanawiał. Zdaje się, że szczególnie ostatnia nasza rozmowa o osobie Chrystusa, głębsze na nim zrobiła wrażenie. Przyznał mi się, że Ewangelii nigdy nie czytał; tyle z niej tylko znał, ile z ambony do jego uszu doleciało, gdy za studenckich jeszcze czasów w kościele bywał. To mi tłumaczy, że tak mały brał udział we wczorajszej dyskusyi.

Przy obiedzie natomiast zjawił się nowy gość, mężczyzna w sile wieku, z twarzą smagłą, trochę oliwkową, rysy ostre i wyraziste, oczy ruchliwe, włos już szpakowaty, krótko strzyżony. Przez cały prawie obiad milczał, ale wkońcu widząc, że my wszyscy się znamy, i że obecność nieznajomego trochę nas w rozmowie krępuje, zdecydował się sam się przedstawić, i uczynił to z wielką gracyą. Był to Hiszpan, Don Luiz de Pardoval, świeżo zwolniony z dość wysokiego urzędu w Andaluzyi, przez wracające do steru ministerstwo Sagasty, a skutkiem tego używający wakacyj. Od razu znaleźliśmy się na swobodnej stopie z naszym gościem. Miss Wilson opowiedziała mu piąte przez

dziesiąte treść naszych poobiednich rozpraw. Don Pardoval słuchał uważnie, trochę marszcząc brwi; wreszcie głośno i dobitnie powiedział:

— Bardzo mię to wszystko interesuje, bo i ja sądzę, że niema na świecie zagadnień, o którychby więcej myśleć warto. Jednak, jeśli mam być szczery — a innym być nie umiem — to powiem, że tym wywodom brak niezbędnego określenia. Nie chrystyanizm wogóle okazuje nadziemską moc i zbawia ludzkość — ale chrystyanizm katolicki. Kościół katolicki — to jest dopiero konkretny twór Chrystusa w świecie, w którym namacać można boskość.

MISS WILSON.

Pan rozbija od razu względną zgodę, do którejśmy już dochodzili!

DON PARDOVAL.

Ja wskazuję drogę do zgody bezwzględnej.

DEVILLE.

Rozumiem, że pan ze swego stanowiska nie może inaczej mówić; ale to jest właśnie okaz katolickiej bezwzględności. Na szczęście, Chrystus szersze ma serce, niż w Rzymie przypuszczają.

KSIĄDZ.

Chrystus ma tak szerokie serce, że chce, aby wszyscy ludzie do jego Kościoła wstępowali. Powiedział, że ma być „jeden pasterz i jedna owczarnia“.

SIEMIONOW.

Oj! już widzę jak ci dwaj panowie teologowie zaczną się tekstami bić! Ja należę do tych profanów, którzy małą do tej szermierki przywiązują wagę, a nie lubią jej szczęku.

DEVILLE.

Teksty są najpoważniejszym argumentem, bo są słowem bożem. Uznaję wszakże, iż nie tu miejsce niemi polemizować;

a kiedy panu Siemionowowi tak się podoba, obiecujemy od tego się wstrzymać. Będziemy się, ile możności, posługiwać faktami. I tak zaraz zwracam uwagę Don Pardovala, że ma przed sobą przedstawicieli kilku wielkich narodów niekatolickich, w których przecie chrystyanizm żyje i kwitnie.

HAINBERG.

I właśnie te narody kwitną. Czy pana nie uderza ten widok wielkiego pochodu w górę narodów protestanckich, a równocześnie cofania się i upadku na całej linii katolickich ludów? Nie chcę nic ujmować znakomitym przymiotom Francuzów, Hiszpanów, Włochów, które sam bardzo wysoko cenię, ale konstatuję, że wspomniany ruch w świecie się odbywa. Wzmaga się Anglia, wzmagają się Niemcy, wzmagają ogromnie Stany Zjednoczone. Pomijam dla krótkości mniejsze kraje i nie mówię chwilowo o Rosyi, żeby tylko protestanckie narody katolickim przeciwstawić. Wzrost ten i przewaga nietylko są materyalne, ale i duchowe i kulturalne, jak przyzna każdy, który się szerzej po świecie rozejrzał. Z drugiej strony, narody łacińskie, które nie korzystały z reformacyi i zakuły się w ciasny katolicyzm, coraz więcej upadają. Francya nietylko cofnęła się na polach bitew, ale i do bezprzykładnego doszła rozstroju, którego próbką jest Panama, a Nordau'a *Entartung* wizerunkiem. Odrzuciwszy swego czasu reformacyę, doszła dziś do tego, że zupełnie chrystyanizm zatraca. Hiszpania, Włochy, nie są jeszcze zapewnie w takim stopniu rozkładu, ale i one dalekiemi są od dawnej potęgi, po długich rewolucyach nie mogą zdrowia odzyskać, pod względem płodności umysłowej na drugi plan zeszły i nawet, jeżeli się nie mylę, pod względem religijnym głęboko są podkopane. Austrya straciła również swą hegemonię w Niemczech; osłabiona, waśniami narodowości rozdarta, dlatego tylko wśród Europy stoi, że się całkowicie o państwo niemieckie oparła. — Cóż to wszystko znaczy? Nie jestże to dowodem, że kraje katolickie wogóle jakiś ważny pierwiastek życia zatraciły, który protestanckie zachowały — innemi słowy, że reformacya jest daleko wyższą formą chrystyanizmu, niż katolicyzm?

DON PARDOVAL.

Nie, panie, to nie jest żadnym dowodem. Czasowa przewaga polityczna, nawet w pewnym względzie cywilizacyjna (choć co do tego miałbym wiele zastrzeżeń do zrobienia w pańskich uwagach), może z różnych innych przyczyn pochodzić i nie rozstrzyga o prawdziwości religii. Gdyby takiego rodzaju przewaga była w tym względzie miarodajną, toby w IX. i X. wieku niewątpliwie wnosić należało, że mahometanizm jest prawdziwą religią w przeciwieństwie do chrystyanizmu, kiedy to w Kordowie, Grenadzie, Toledzie, Sewilli, Walencyi, i w Afryce od Maroku do Egiptu, i przez środek Azyi aż do Turkestanu, i aż do Indyj rzeźbiły się pałace w rodzaju Alhambry i Alkazaru i meczety w rodzaju Kordowskiej katedry, kiedy w pobliżu tych pałaców i meczetów gromadziły się ogromne biblioteki, uczelnie rozbrzmiewały filozofią Arystotelesa, matematyką, astronomią — podczas kiedy u nas chrześcijan ledwo się myślało o zakładaniu biwiów i triwiów, a o bezpieczeństwie dróg jeszcze się nie śniło, jeno strach przed półksiężycem przygniatał jak zmora wątłe początki naszej cywilizacyi. — Podobnie w początkach XVII. wieku na podstawie tego samego dowodu trzeba było wnosić, że protestantyzm jest błędem a katolicyzm prawdą; wtedy wszystkie protestanckie kraje były pognębione: Anglia przechodziła najkrwawszą wewnętrzną rewolucyę, w której i krew królewska płynęła, Niemcy protestanckie stargane były trzydziestoletnią wojną religijną i pod względem cywilizacyi strasznie cofnięte wstecz, we Francyi protestantyzm był zupełnie pokonany. Francya katolicka tymczasem, Hiszpania, święte Imperyum panowały nad Zachodem, Włochy ogromne miały znaczenie handlem i sztuką, na wschodzie znów Europy przodowała Polska, Ameryka Południowa prawie cała należała do Hiszpanii, w Północnej szeroko zapuszczała zagony Francya, w Indyach przewagę miała Portugalia... Czyby człowiek żyjący w owym czasie nie miał prawa wnioskować, podług zasady pana Hainberga, że właśnie katolicyzm jest formą żywotną chrystyanizmu, a protestantyzm nosi w sobie jakiś pierwiastek śmierci? Miałby w każdym razie o tyle większe prawo tak wnioskować, że ów upadek krajów protestanc-

kich przyszedł niezwłocznie po przyjęciu reformacyi i był w widocznym z tą zmianą religijną związku.

Otóż ja z tego wszystkiego ten jeden wyciągam wniosek, że kwestya boskości religii ponad temi politycznemi i kulturalnemi fazami narodów stoi. Sądzę zaś, że dzisiejsze przyćmienie ludów łacińskich jest fazą przejściową, z historycznego ich rozwoju wynikającą. Myśmy prędzej ucywilizowali się i dojrzeli niż ludy anglo-germańskie. Można to przypisać bądź okoliczności, żeśmy wcześniej zetknęli się ze starym Rzymem i przejęli jego język, bądź wrodzonemu uzdolnieniu szczepu, piękniejszemu klimatowi, który nam przypadł w dziale, bądź wreszcie temu, że jak nasz Balmes dobitnie wykazał, reformacya opóźniła cywilizacyjny zapęd, który w XV. wieku ludy Europy owładnął. Cokolwiekbądź, zakwitłszy i dojrzawszy wcześniej, doszliśmy też prędzej do pewnej fazy wyczerpnięcia i niby przekwitu, w której wy późniejsi, siłą produkcyjną nas w rzeczy samej prześcigacie. W wytworzonych dzisiaj warunkach nie możemy wam, przyznaję, pod niejednym względem placu dotrzymać. Ale czy ta dzisiejsza kultura, której wy ton nadajecie, wyższa jest od tej, którąśmy wydali, to jest inna kwestya.

SIEMIONOW.

A czy pan przypuszcza, że po tej fazie przekwitu ludów łacińskich może znowu nastąpić kwitnięcie?

DON PARDOVAL.

Ja sądzę, że poczytanie obecnej fazy za fatalnie końcową, jest to koncept godny dekadentów, którzy sami rzucając się w nicość, mają hallucynacyę, że świat się z nimi zapada. Są roślinki, co raz tylko kwitną, ale drzewa po każdej zimie na nowo zakwitają przez długie lata. Dziś już widzę w Hiszpanii poważne objawy poczynającego się odrodzenia.

MISS WILSON.

Lubię ludzi dobrej myśli. Jest to znak zdrowia duchowego.

LEROY.

Zgadzam się zupełnie z tym poglądem. Dodam tylko, że ten upadek ras łacińskich wymaga niejednego zastrzeżenia, co zresztą i Don Pardoval nadmienił. Wypieracie nas, panowie Niemcy, Anglicy, Amerykanie, z wielu stanowisk dotychczas przez nas zajętych, w polityce, w handlu, przemyśle, nauce — to prawda — jednak kiedy chcecie wypocząć intellektualnie po tym trudzie, użyć zdobytych bogactw na duchową biesiadę, to do nas Włochów, Hiszpanów, Francuzów przyjeżdżacie po lotusowy kwiat cywilizacyi, albo nasze utwory sprowadzacie do siebie. Jest u nas obniżenie religijno-moralnego życia — prawda; jednak i tu jest pewnego rodzaju kompensata, bo w części narodu, która wierzy, życie religijne o tyle jest gorętsze, intenzywniejsze. A sądzę, że nikomu z panów nie ubliżę, gdy powiem, że właśnie ten z łacińskich narodów, który najdalej w kierunku niereligijności zaszedł, równocześnie najpiękniejsze wydaje kwiaty religijnego poświęcenia.

MISS WILSON.

Nic się tem nie obrażamy, panie Leroy, bo to jest szczera prawda. Mało rzeczy Francyi zazdroszczę, jako Angielka, zazdroszczę wam jednak waszych misyonarzy.

KSIĄDZ.

Ja znowu dodam, że obecny rozstrój krajów katolickich ma jeszcze inną przyczynę oprócz tej, którą słusznie Don Pardoval przytoczył. Proszę uważyć, że wyłącznie w krajach katolickich rządy własną religię uciskają, a przy środkach, jakiemi dziś rządy rozporządzają, ucisk ten do najgorszych doprowadzić może następstw, jak naocznie widzimy we Francyi, gdzie wygnanie zakonów, szkoły bezwyznaniowe i inne zamachy rządu ogromnie wpłynęły na odchrześcijanienie ludności. W krajach protestanckich przeciwnie, rządy wogóle protegują swoją religię. Co może mieć rozmaite przyczyny, ale w pierwszym rzędzie tę, że protestantyzm uznaje w zasadzie supremacyę państwa w rzeczach kościelnych i w praktyce jej się chętnie poddaje — bo czuje swoją

słabość. Nie mając wewnątrz siebie żadnej siły jednoczącej, doświadczywszy wielokrotnie, że najmniejsze wstrząśnienie rozbija go na kawałki sekt i rozsypuje resztki jego wierzeń, garnie się on instynktowo pod skrzydła opiekuńcze rządów, żeby przynajmniej siła zewnętrzna dawała mu jakikolwiek stan skupienia i przedłużyła jego istnienie.

DEVILLE.

Wytykacie nam wiecznie, panowie katolicy, rozpadanie się protestantyzmu. Wasi teologowie, począwszy od Bossueta w „Historyi odmian", przepowiadają nam rychły zgon. Ja sam to rozpadanie konstatuję i nad niem ubolewam. Jednakże już parę wieków od Bossueta minęło — a żyjemy — i może jest dzisiaj więcej życia religijnego w protestanckich krajach niż było przed stu laty. W każdym razie jest więcej jego objawów: powstaje mnóstwo dobroczynnych zakładów pod tchnieniem religijnem, mnóstwo szkół, nawet misyj w najdalszych krainach — czego dawniej nie było wcale. Przepowiednia teologów katolickich widocznie się nie spełniła.

DON PARDOVAL.

Prawda, że ta przepowiednia się nie spełniła, ale wiecie, panowie, dlaczego? Dlatego, że protestantyzm się skatoliczył! Tego zwrotu nikt po nim nie mógł się spodziewać.

MISS WILSON.

Jakto! protestantyzm się skatoliczył?

DON PARDOVAL.

Tak jest; proszę tylko posłuchać. Otóż starzy teologowie nasi wniosek swój opierali logicznie na istotnych protestantyzmu zasadach, jakiemi są: odrzucenie powagi obowiązującej w wierze i zaprzeczenie wartości uczynkom, dla wywyższenia samej wiary. Rzecz jasna, że takie zasady musiałyby każdą religijną społeczność w krótkim czasie umorzyć. Ale co się stało? Protestantyzm sam to instynktem zachowawczym odczuł, porzucił te

walne swoje pryncypia i przeszedł (aż do pewnego stopnia, rozumie się) do przeciwnych pryncypiów katolickich, na których podstawie teraz żyje, i temu jedynie zawdzięcza, że dotąd nie umarł.

Proszę sobie przypomnieć, jak to szło. Za życia jeszcze pierwszych reformatorów Lutra i Kalwina wszystko się rozlatywało wskutek zniesienia powagi w wierze. Luter pisał do Zwingli'ego, że jeżeli świat jeszcze potrwa, to trzeba będzie chyba wrócić do soborów, ażeby jakąkolwiek jedność w wierze zachować. Wreszcie udało się ściągnąć głośniejszych nowatorów do Augsburga i kazało się im ułożyć formułę wiary; czego gdy inaczej uskutecznić nie mogli, musieli z góry pod przysięgą się zobowiązać, że się poddadzą wszystkiemu, co to zebranie postanowi, „nie wątpiąc, że niem Duch Św. rządzi". Tak powstała konfesya augsburska, pierwsza spójnia protestantyzmu, zbudowana na katolickiej zasadzie powagi obowiązującej. Spójnia ta, wskutek sprzeczności z protestancką zasadą, wkrótce pęknąć musiała; potworzyły się osobne konfesye, ale znowu za wyrokami obowiązującemi osobnych krajowych soborków, i tak szło dalej. Wkońcu przestano nowe konfesye tworzyć, bo trzeba było żyć, bo zresztą było ich dosyć, do wyboru dla każdego. Państwa także, które miały w tem wszystkiem rękę, przeszkadzały nieraz dzieleniu się; a czasem udało im się rozłączone sekty po ukazie zjednoczyć, jak niedawno jeszcze udało się Fryderykowi Wilhelmowi III. rozporządzeniem gabinetowem, lutrów i kalwinów w jeden „Kościół ewangelicki" zespolić. Tu już zasada powagi dalej posunięta niż u katolików.

Teraz co się dzieje, na jakiej zasadzie się wierzy w łonie pojedyńczych sekt? Teologowie, predykanci mogą sobie szukać samodzielnie w Piśmie, co mają wierzyć, i oni wszakże, gdy przekroczą pewne granice, otrzymują od starszych swoich lub od gmin *consilium abeundi* — co jest oczywiście koniecznem, z punktu jednak protestantyzmu jest niesłusznem. Ale prości wierni wierzą w Biblię dlatego, że w całem ich otoczeniu się wierzy, iż to jest słowo boże; wierzą w Bóstwo Chrystusa i w inne dogmata, których pastor uczy, dlatego, że pastor, przez społeczność wier-

nych uznany, uczy. Tak bezsprzecznie przyjmuje naukę wiary dziecko protestanckie, tak przyjmuje ją dziki, który bierze chrzest z rąk misyonarza — i tak samo wierzy dorosły i nawet wykształcony człowiek, który swą wiarę od lat dziecinnych miał szczęście zachować: — chybabyście, panowie, radzili każdemu dorastającemu, żeby zakwestyonował wszystko, co mu dotąd o wierze podano, i żeby się najprzód samodzielnie przekonał, czy Biblia jest od Boga dana, czy zachowana jest autentycznie i z oryginału przełożona wiernie, i czy w niej dogmata chrystyanizmu wyraźnie się zawierają. Pomijam, co za fatalne następstwa musiałyby mieć takie badania, powszechnie nakazane, a konstatuję tylko fakt, że się te badania wcale nie robią — i że w praktyce protestant wierzący, prawie na tej samej zasadzie wierzy, co katolik: przyjmuje naukę wiary od społeczności wiernych, i dla powagi tej społeczności uznaje ją za bożą naukę. I temu protestantyzm zawdzięcza, że żyje.

A co zrobił protestantyzm z drugą walną zasadą swoją: wiara sama zbawia, uczynki niepotrzebne? Jak pierwsza zasada byłaby w niwecz obróciła wszelki dogmat i wszelką wiarę, tak druga, rzecz jasna, byłaby zrujnowała wszelką moralność. Ale protestantyzm tę zasadę coraz więcej w zanadrze chował. Aż wkońcu, mianowicie po epoce tak zwanego „przebudzenia“, na zupełnie odwrotnem znalazł się stanowisku: o wierze, pokaleczonej sporami sekt, mówi mało, jak najmniej może, a całą siłę kościelnego nauczania i wpływu zwraca ku dobrym uczynkom. Stąd urosły nagle, jak grzyby po deszczu, te niezliczone instytucye dobroczynne, o których p. Deville wspominał, a które ja z głębi duszy szanuję i nieraz podziwiam. Ale zwracam panu Deville uwagę na to, że ta piękna i płodna ewolucya protestantyzmu jest porzuceniem właściwej mu zasady religijno-etycznej, a przejściem do wręcz przeciwnej zasady katolickiej. To przyjęcie katolickiego pierwiastku jest tak zupełne i tak widoczne, że nawet od odtwarzania zewnętrznych form katolickich ustrzedz się nie umie. Nietylko zakładają się szpitale, ochrony, szkoły, ale dla ich obsługi urządzają się niby zakony, podpatruje się u katolików i naśladuje, ile się da, reguły, porządek dzienny,

niektóre ćwiczenia duchowne, nawet habity! Będąc niedawno temu w Berlinie, dziwiłem się, że co chwila spotykam siostrzyczki nasze w zakonnych czepkach — a to były dyakoniski. Wszedłszy do jednego z ich domów, zastałem je przy czytaniu Tomasza à Kempis. W Anglii pokazywano mi klasztory protestanckie (nie wiem czy jeszcze istnieją, bo to było temu lat kilkanaście), gdzie godzinami adorowano Najświętszy Sakrament (nie wierząc *notabene* w rzeczywistą obecność Chrystusa) i praktykowano otwieranie sumienia z dyrekcyą duchowną. Ostatecznie, jak powiedziałem, protestantyzm tem żyje, że choć może w teoryi stoi przy swojem, jednak w praktyce odstąpił swych pierwotnych podstaw, a oparł się na katolickich. W tem znaczeniu mówiłem, że się skatoliczył.

DEVILLE.

Słuchałem tego wszystkiego spokojnie, bo jest w tych uwagach pewna ilość prawdy. Ale z tego wszystkiego to jedno wynika, co dla nas protestantów dzisiejszych nie jest żadną nowiną: że pierwsi reformatorowie, uniesieni żarliwością o dom boży, zanadto daleko w pewnych kierunkach negatywnych się zapędzili. I my to dzisiaj, w miarę jak nas doświadczenie uczy, naprawiamy.

KSIĄDZ.

Jeżeli panowie najgłówniejszych zasad protestantyzmu odstępujecie i nawet potrzebę powagi nauczającej odczuwacie, to powinniście, zdaje mi się, uznać, że całe przedsięwzięcie reformacyi nie miało racyi bytu i że trzeba było zostać przy istniejącej powadze Kościoła katolickiego.

DEVILLE.

To znowu co innego. Kościół rzymski ze swoją pretensyą do nieomylności, ze swojemi orzeczeniami dogmatów i scholastycznemi formułami, doprowadził zasadę powagi do niemożliwych wymagań. I to było między innemi powodem, że reformacya w początkach rzuciła się w ekstrem przeciwny. My dziś odnaleźliśmy środek; zamiast lekceważyć starych Ojców, czytamy

ich ze czcią i w przekonaniu, że wiele się od nich nauczymy: w gminie wyznaniowej uznajemy pewną powagę, która nowym pokoleniom naukę wiary przekazuje, pastora obiera i ewentualnie go uchyla, gdyby od jej przekonań w nauczaniu zbyt się oddalił. Lecz ostatecznie każdy jest sam sędzią swej wiary i ma w rękach Pismo, aby się w niej oświecać i krzepić.

KSIĄDZ.

Jest to określenie powagi nauczającej, w którem nie widzę tej ścisłości myśli, do jakiej nas p. Deville w poprzednich rozmowach przyzwyczaił (może to nie jego wina, tylko systemu). Nie mogę mianowicie z niego wyrozumieć, czy ta powaga jest obowiązującą, czy nie. Kiedy idzie jedynie o postępowanie, to mogę się jeszcze kierować powagą, której tylko względną przypisuję wartość, bo mogę sobie ostatecznie powiedzieć, że usłucham, choćby mój kierownik zbłądził; ale kiedy idzie o wiarę, więc o bezwarunkowe przekonanie, że podana nauka jest prawdziwą, to albo powaga będzie miała dla mnie wartość bezwzględną, czyli będzie nieomylną, albo wcale o nią wiary oprzeć nie zdołam. Jeśli w takim razie uwierzę, to nie dla tej powagi, którąbym miał za omylną, ale dlatego, że rzecz sama mi się spodoba i trafi, jak mówią, do mego przekonania. Uwierzę więc zapewne nie wszystkiemu, co mi w tej nauce podają, ale tylko temu, co mi się spodoba; drugi zaś obok mnie dla takiejże racyi to właśnie odrzuci, a innym częściom tej nauki uwierzy, trzeci jeszcze innym... I tak, jeżeli wogóle wiara będzie możliwa, to przecież niemożliwa będzie jedność wiary, niemożliwa społeczność w wierze, i żaden wogóle kościół istnieć nie będzie.

Rozumowanie to zdaje mi się bardzo mocne, ale jeszcze mocniejsze jest doświadczenie, które je potwierdza. Patrzmy, co się faktycznie dzieje u was. Ta względna, nieokreślona powaga gminy, pastora, wystarcza do czasu tym, którzy dają się przez nią pouczać, nie reflektując nad jej względnością, którzy, jak mówił Don Pardoval, myślą o dobrych uczynkach, a nie o dogmatach. Ale ponad nimi istnieje i z natury rzeczy istnieć musi warstwa takich, którzy o dogmacie myślą, roztrząsają go, roz-

bierają — i niweczą go siłą nieubłaganej logiki zasady wolnego sądu o wierze. I tak, pomimo połowicznego powrotu do tradycyi, o którym teraz mówiono, pomimo odwrócenia się ogółu protestantów od zagadnień dogmatycznych ku dobroczynności, pomimo całej epoki przebudzenia i wszystkich jej szlachetnych wysiłków, wciąż, jednakiem, groźnem tempem w łonie rzeczonej górnej warstwy, wiara protestancka się rozkłada, zanika, Biblia się rozrywa w strzępy. I dochodzi się, nie do takich zaprzeczeń pojedyńczych dogmatów, jakie zatrważały Lutra, ale aż do radykalnej negacyi boskości chrystyanizmu. I niema żadnego środka, któryby mógł ten proces zniszczenia powstrzymać, bo on leży, jak mówiłem, w samem założeniu protestantyzmu, w odrzuceniu nieomylnej powagi w wierze. Czy przesadzam może? Proszę sobie przypomnieć smutne a typowe losy „Aliansu ewangelicznego“, który chciał zażegnać ten proces rozkładowy; zebrawszy się po raz pierwszy w Londynie, jeszcze 9 artykułów sformułować potrafił, na drugiem zebraniu w Genewie już tylko 4 się utrzymały, na trzeciem w Paryżu tylko 3, na czwartem w Berlinie r. 1866 nawet Bóstwo Chrystusa skreślone zostało — piątego zebrania oczywiście już nie było. Proszę znów rzucić okiem po dzisiejszych uczelniach i katedrach teologii protestanckiej. Niema może obecnie ani jednej w całych Niemczech, gdzieby nie było takich Harnacków, Ritschlów, Lipsiusów, Benderów, uczących, że Jezus był jednym z wielu synów Józefa i Maryi, że fantazya ludu otoczyła go później aureolą cudowności, że adoracya Chrystusa jest bałwochwalstwem i t. p. Jeżeli zaś tak traktują sam kamień węgielny chrystyanizmu, Bóstwo Chrystusa, to można sobie wystawić, co robią z innemi dogmatami Trójcy, Wcielenia, przyszłego życia! — Zapewnie pamiętają jeszcze panowie, co się działo niedawno temu, bo przed dwoma laty, kiedy jakaś gmina w Würtembergii oskarżyła swego pastora Schremfa o wyrzucenie Składu Apostolskiego z nabożeństwa, a Harnack wobec słuchaczów teologii, przychodzących z takąż propozycyą, oświadczył się w zasadzie za tem: — jak wielu profesorów i pisarzów teologicznych temu przyklasnęło, uznając w tem naukowy rezultat półwiekowej pracy teologii protestanckiej! — jak resztka wierzących wołała roz-

paczliwie, że już wszystkie formuły wiary ewangelickiej, od augsburskiej począwszy, zostały potargane, jeden symbol Apostolski został, gdy i ten się wyrzuci, to już zgoła nie będzie można powiedzieć, w co kościół ewangelicki wierzy! — nieszczęśliwa zaś najwyższa rada duchowna pruska, zmuszona szukać niemożliwego wyjścia między warunkami istnienia jakiejkolwiek religii, a zasadą protestantyzmu o wolności wiary, wydała wreszcie prawdziwie pityjskie orzeczenie: zganiła wystąpienie Harnacka, a dodała zastrzeżenie, „że nie chce jednak robić z tego symbolu ani z pojedyńczych jego artykułów nieugiętego prawidła wiary“! Mizerna ucieczka, z przyznaniem że już nic z wiary protestanckiej do bronienia nie zostaje!

Mówiłem o Niemczech; w Szwajcaryi, w Holandyi nie inaczej teologia protestancka stoi. W tym ostatnim kraju, gdy bluźnierstwa Renana zaniepokoiły ludność, z pomiędzy 1800 pastorów, 1500 ich oświadczyło się za Renanowskiem „Życiem Jezusa“. W skandynawskich krajach wolność mówienia i pisania o religii świeżo jest dana, a już wielu tamtejszych teologów współzawodniczy z racyonalizmem Niemców. W Anglii trochę więcej jest na oko ładu i karności, dzięki przechowanej z czasów katolickich biskupiej hierarchii, ale za to coraz więcej oddziela się sekt od urzędowego kościoła, niemal codzień jakiś pastor wymyśla nowy chrystyanizm i z garstką swych wielbicieli zakłada niezależny kościołek, a szczerzy pisarze anglikańscy nie tają obaw o przyszłość swego kościoła. W Ameryce to ciągłe rojenie się sekt szalone, jak wiadomo, przybiera rozmiary, a najdziwaczniejsze ich praktyki i wierzenia aż do granic poganizmu dochodzą.

MISS WILSON.

To wszystko jest pewnie bardzo smutne, ale czy między katolikami niema także wielu niedowiarków? Czy niema krzewicieli ateizmu gorszych, niż ci, których kraje protestanckie wydają?

KSIĄDZ.

Są tacy w katolickich krajach, ale przez to samo z łona katolickiej społeczności wychodzą; ani też sami się nie mają

za katolików, ani ich nikt za takich nie ma. W protestantyzmie zaś, najprzód zachodzi niepodobieństwo określenia, kiedy kto przestaje być prawowiernym; ani władzy, ani zasady na to niema. A potem, co najważniejsza, nie stoją ci burzyciele wiary gdzieś na uboczu Kościoła, ale stanowią jego górną warstwę, jego nauczycieli, teologów, pastorów. Pod nimi zostająca społeczność może dziś jeszcze żyć religijnem i dobroczynnem życiem, nie biorąc udziału w teologicznych sporach; ale z konieczności rzeczy musi przyjść chwila, w której ona odczuje skutki roboty swych teologów. Już dziś skarży się ona niekiedy na pastorów, że jej raz to, drugi raz owo wierzyć każą; ale przyjdzie chwila, w której z przerażeniem się dowie, że już nie ma zgoła w co wierzyć, ni katechizmu, ni symbolu, ni Pisma Bożego, ni Chrystusa... Pastor, wstrząsając ramionami (może ze łzą w oku), powie: Cóż robić? postęp naukowy teologii wszystko to uprzątnął. — A wtedy, czy i jak i na czem się ostoi religia tych milionów ludzi?

HAINBERG.

Więc i Ksiądz się puszcza na proroctwa o zagładzie protestantyzmu?

KSIĄDZ.

Ja zostawiam panom do osądzenia, o ile takie przyczyny, działające w teraźniejszości, doprowadzić muszą w przyszłości do takich skutków. Mnie się wydaje, że i przepowiednie dawnych teologów katolickich zmyliły się jedynie co do terminu. Ale pomijając nawet kwestyę przyszłości, czyż i obecny stan rozkładu ciała protestantyzmu, przy zupełnym braku środków i możności leczenia go, nie jest zjawiskiem dosyć znaczącem? czy nie widać naocznie, że w tem ciele zbiorowem (nie mówię o pojedyńczych osobach) życie boże nie mieszka?

LEROY.

Jestem wprawdzie profanem w rzeczach teologicznych, powiem jednak co mi się zdaje: że tu występują, jeśli się nie mylę,

dwie bardzo różne koncepcye chrystyanizmu. Jedna strona pojmuje go jako doktrynę, jak platonizm naprzykład; druga wyobraża go sobie jako religijne uspołecznienie. Pierwsza, choć przyznaje swemu Platonowi boską nieomylność, jednak nie wyklucza, i z natury rzeczy wykluczać nie może, mnogości szkół, bo niepodobna jest, żeby doktryna jakkolwiek czczona, ale od żywej osoby mistrza oderwana, nie została rozmaicie przez różne głowy ludzkie pojętą — a wszystkie głowy są w takiej suppozycyi równouprawnione. Musi powstawać Druga i Trzecia Akademia i tak dalej. Zarzucanie więc tak pojętemu chrystyanizmowi, że się rozczłonkowuje, zdaje mi się niewłaściwe, gdyż to leży w jego naturze. A również niewłaściwemi są nazwy, które on czasem od przeciwników zapożycza, jak społeczność wiernych, Kościół i t. p. — on jest doktryną Chrystusa, i niczem więcej.

Drugi znów sposób pojmowania chrystyanizmu wymaga z natury rzeczy władzy, bo uspołecznienie bez władzy jest niemożliwe. A że to uspołecznienie ma za podstawę wiarę, więc musi być władza obowiązująca do wiary i umożliwiająca wiarę społeczną, jak to Ksiądz przed chwilą dobrze wykazał. A kiedy raz jest społeczność ukonstytuowana pod władzą, to również z natury rzeczy muszą się wytworzyć pewne formy, normujące funkcye społecznego życia, które w tym przypadku jest też życiem religijnem.

Który z tych dwóch sposobów pojmowania chrystyanizmu bardziej odpowiada myśli Chrystusa, to wy, panowie, ze stanowiska teologicznego rozstrzygajcie, ale z punktu zdrowego rozsądku, mnie się zdaje, że ów pierwszy sposób, wyborny dla jakiejś filozofii, najnieodpowiedniejszy jest dla religii, a przynajmniej dla takiej religii, która, jak chrystyanizm, przynosi dogmat i kodeks moralny. Filozofia przemawia wprost do rozumów ludzkich dowodami, i niczego więcej nie potrzebuje, tylko żeby rozumy jej dowody oceniły — religia podaje się jako objawiona i wymaga wiary; więc, jeżeli sama się bierze na seryo, to musi wymagać wiary bezwarunkowej we wszystko co zawiera, a oprócz tego

musi ją ktoś podawać, świadczyć o tem, że jest objawioną. Bo jakżeż inaczej? Choćby Biblia w oczach ludzkich z nieba spadła, to jeszcze nie wszyscy ludzie byliby świadkami tego spadnięcia; ci coby byli na drugiej półkuli i ludzie następnych pokoleń musieliby być o tem pouczeni od tych co widzieli, a pouczeni w jakiś sposób obowiązujący, jeżeli religia nie ma być dowolną spekulacyą, lecz objawieniem wymagającem wiary. Słowem, nie pojmuję religii objawionej, bez pewnego organizmu kościelnego, z władzą nauczającą, która jakimś sposobem uwierzytelnia swą misyę od Bóstwa. Że katolicyzm stanął na tem stanowisku szczerze i niepołowicznie, to mi tłumaczy jego trwanie, w przeciwstawieniu do znikomości wyznań, które tego nie zrobiły.

DEVILLE.

My protestanci nie odmawiamy chrystyanizmowi pewnego charakteru społeczności, panie Leroy, ale na to nie chcemy przystać, żeby był rodzajem państwa. Otóż Kościół rzymski, w kontakcie z Rzymem Cezarów, przekształcił się w rodzaj państwa, przerobił swój ustrój na wzór cesarstwa, przyswoił sobie cały jego formalizm, hierarchię urzędów, ujął całe życie religijne w karby praktyk zewnętrznych i zabobonów, dekretami, ekskomunikami wszelką wolność sumienia zdusił; wreszcie przebiegła polityka rzymskich biskupów doprowadziła w ciągu wieków ich władzę aż do absolutyzmu, na który dziś patrzymy. Zachował wasz Kościół jedność wiary, to mu przyznaję, ale osiągnął to środkami, których pochwalić, a tem mniej za boskie uznać nie mogę. Z całą szczerością proszę mi powiedzieć, czy ten Kościół taki ludzki, taki zrzymianiony, zmechanizowany, ma jakiekolwiek podobieństwo do owej starochrześcijańskiej gminy, gdzie duch wolności w całej pełni panował, gdzie starsi tylko gromadnie rządzili, a każdy wierzył według wewnętrznego namaszczenia, jakie miał. Mnie się zdaje oczywistem, że nasza gmina protestancka, mimo wszystkich usterek, jakie w nią z ułomności ludzkiej wtargnęły, jest daleko podobniejsza do owego pierwowzoru, który Chrystus utworzył — i dlatego, mimo wszystko, w niej pozostaję.

MISS WILSON.

Wybornie, panie Deville! Kiedy Ksiądz mówił o ranach protestantyzmu, ja właśnie to zrzymianienie Kościoła katolickiego miałam na myśli, ale nie potrafiłabym tego tak doskonale określić, jakeś pan uczynił.

KSIĄDZ.

Może pana zadziwię, gdy zamiast oponować, przyznam mu, że gmina protestancka, zwłaszcza taka gmina metodystów np., podobniejsza jest na oko do starochrześcijańskiego Kościoła, niż dzisiejszy Kościół katolicki; ale cóż z tego, że jest podobniejsza, kiedy nie jest t e m s a m e m — a Kościół katolicki właśnie tem jest.

HAINBERG.

Proszę o wyjaśnienie tego paradoksu.

KSIĄDZ.

Zaraz wyjaśnię i uzasadnię. Ziarnko żyta o wiele podobniejsze jest do ziarnka pszenicy, niż to ostatnie do wyrosłej pszenicy, z ciężkim kłosem na długiej łodydze. Ta i rozmiarami i rozróżniczkowaniem części ogromnie się różni od ziarnka, z którego wyszła; a jednak jest to ta sama istota; w ziarnku zawartą była potencyonalnie i zeń organicznie się rozwinęła. Kościół za czasów apostolskich jest ziarnkiem, w którem wszystko jest jeszcze nierozróżnione, w stanie amorficznym, ale jest zarazem i objawia się siła nietylko do wzrostu ilościowego, lecz i do organicznego rozwoju, oraz prawo immanentne tego rozwoju — jak w każdej zresztą istocie żywej. Nauczanie pasterskie nie wyróżnia się może w początkach od gorących przemów, które pod tchnieniem Ducha Św. z każdych niemal ust się wyrywają; nabożeństwo każdego dnia się improwizuje, i między biblijnemi psalmami mieszają się modły i pieśni niespodzianie natchnione. Duch chce w początkach zaznaczyć swą siłę i płynie ponad brzegi. Ale równocześnie objawia się dążność do wyżłobienia normalnych koryt: już w Listach Apostolskich widzimy początki uregulowania nabożeństwa, szczególnie Eucharystyi, ujęcie w pewne

karby osobistych natchnień. Widzimy też, że i sami Apostołowie nauczają, wymagając aby się wszystkie rozumy poddawały, i stanowią tu i ówdzie pewnych ludzi z pełnomocnictwem nauczania, a niepowołanych nauczycieli gromią. Również władze kapłańskie udzielają się z początku w całej pełni starszyznie; gminy chrześcijańskie, które się dziwnie prędko pod powiewem Ducha wykluwają, jeszcze się nie policzyły, nie zdały sobie sprawy z wzajemnego stosunku. Ale także od razu widać początki podziału kapłaństwa i zhierarchizowania kościelnego rządu. Już w Jerozolimie Apostołowie część swego urzędu i swego ducha przez rąk wkładanie przenoszą na dyakonów. Podobnym sposobem później, wyłącza się biskupstwo od prostego kapłaństwa i normuje się praktyka powszechna, więc apostolska, że tylko jeden w każdej gminie biskupstwo piastuje, wśród grona prezbiterów. Z ostatnich zaś Listów św. Pawła widać, że pewnym biskupom: Tymoteuszowi, Tytusowi powierza się władza hierarchiczna i pieczа nad pewnemi prowincyami, obejmującemi wiele gmin i biskupów. — Nad wszystkimi wreszcie stoją i z całą świadomością swej władzy rządzą Apostołowie; a między nimi Piotr takie od początku zajmuje stanowisko, według samego opowiadania Aktów, że czuć, iż słowo Chrystusowe, o kościelnej opoce, wzięte zostało przez pierwszych chrześcijan na seryo, i że w przyszłości brzemienną treść swoją rozwinie. — Dodaćby należało, że jak ta niby zewnętrzna Kościoła postać, tak i depozyt wiary rozwija się organicznie, nie przez dodatki, ale przez stopniowe wyłuszczenie wewnętrznej zawartości; pomijam jednak ten punkt ze względu na układ z p. Siemionowem, i zostaję przy omówionem już kształtowaniu się Kościoła.

Otóż te same pierwiastki ewolucyjne, których początki opisują nam jeszcze księgi święte, musiały dalej, jeżeli Kościół miał zostać sobą, w tym samym kierunku ewolucyjnym działać, dalej organizować, różniczkować, wytwarzać organa, które wprzódy były tylko w zarodkowym stanie; słowem, z ziarnka musiało wyrastać drzewo. Kiedy Kościół za Konstantyna wychodzi z wawrzynem z cieśni katakumb, a ośmielonem okiem rozgląda się po świecie grecko-rzymskim, który go otacza, i bierze co mu odpowiada,

co mu dyktuje jego instynkt rośnięcia, bierze z prawodawstwa, z literatury, ze sztuki, z poezyi, z ozdób i ustrojów wszelakich, na utkanie litej szaty swego kultu i wogóle swych form zewnętrznych — to Gastonowi Boissier w jego cennem zresztą dziele „o końcu pogaństwa“, wydaje się, że Kościół wchodzi w kompromis z poganizmem, że część ze swego odstępuje a część z niego bierze. Nie zna ten człowiek natury Kościoła, nie rozumie, że Kościół, przywłaszczając sobie z doborem te pierwiastki, bierze co swego, że skoro jest w całem znaczeniu katolickim, dla całej ludzkości, to wszystko co w dobrem znaczeniu ludzkie, wszystko co prawe, piękne, mądre, nietylko nie jest mu obcem, ale do niego z prawa należy, i albo już jest przezeń wchłonięte albo wchłonięte zostanie. A każdy taki pierwiastek, który sobie Kościół przywłaszczył, przez to samo przestaje być pogańskim i nabiera w jego organizmie nowego, czystego blasku. Wy, panowie protestanci, patrzycie na Kościół tak samo jak Boissier; owszem, chcecie cofnąć całą jego dwudziestowiekową ewolucyę i sprowadzić ten wspaniały organizm do kształtu embryonu, jaki miał na początku. Nie postrzegacie, że już i w tym embryonie, według samegoż Pisma, istniały te siły ewolucyjne, i że zaprzeczając mu rozwoju, odbieracie mu życie, i zapoznajecie w nim charakter tworu bożego.

LEROY.

Istotnie, między rzeczami, które mię uderzyły przy czytaniu Ewangelii, jest ta jakoby niedbałość czy nieprzezorność Chrystusa przy założeniu Kościoła, to nieopatrzenie go w niezbędne środki i urządzenia, jakie prosta roztropność dyktuje. Kiedy zwykły człowiek tworzy jakąś instytucyę, to stara się ją opatrzyć przepisami i środkami, jak może najdokładniej, nietylko na teraźniejsze ale i na przyszłe potrzeby, stara się zapobiedz możliwym uszkodzeniom, słowem, cały jej ustrój jak najwięcej wykończa. Człowiek tak czyni, bo czuje, że ze śmiercią dzieło swe z rąk wypuści. Całkiem inaczej poczyna sobie Chrystus: z kilkunastu pierwszych lepszych ludzi tworzy embryon hierarchii, daje im wiązkę nauk i kilka rytów — i z tem ich posyła opanować świat! Tak czynić

może tylko, albo człowiek bardzo naiwny i ograniczony, albo ktoś, co stoi ponad ludzkim poziomem, świadomy, że małemu ziarnku, które rzuca, dał moc kiełkowania podług swej myśli.

Zdaje mi się więc rzeczą jasną, że jeśli się przyznaje Chrystusowi boskość, to powinno się konsekwentnie przypuścić, iż on nie inaczej pojął początki Kościoła, które zakładał, jeno jako ziarnko, mające się w ciągu wieków organicznie rozwijać.

HAINBERG.

Ja nie przeczyłbym chrystyanizmowi możliwości rozwoju; przypuszczam, że i p. Deville, z pewnemi określeniami tego szerokiego pojęcia, na toby przystał. Ale to wcale jeszcze nie rozstrzyga zagadnienia, o które właściwie idzie. Chrystyanizm historycznie rozrastał się od początku w rozmaite konary, z których każdy miał pretensyę być jedynie prawdziwym chrystyanizmem, ciągiem dalszym Kościoła, który Chrystus założył; Ksiądz obecnie tę pretensyę na korzyść jednego z tych konarów, rzymskiego Kościoła, ponawia. Otóż chciałbym wiedzieć, na jakiej to czyni podstawie, i dlaczego nie miałbym raczej pojmować całego owego krzewu, jako wielkiego dzieła Chrystusa — co mi się zdaje nierównie naturalniejszem.

MISS WILSON.

I nierównie piękniejszem i godniejszem Boga.

KSIĄDZ.

Kiedyśmy mówili o chrystyanizmie w porównaniu z innemi religiami, przedwczoraj, jeżeli się nie mylę, pojawiło się między nami zdanie, na pierwszy rzut oka piękne i Boga godne, że wszystkie religie są dobre i wszystkie boże; ale p. Deville przekonał nas, że jest rzeczą niemożebną, aby sprzeczne między sobą wierzenia i nakazy od Boga pochodziły; i głębiej w rzecz wchodząc, wykazał, że wrodzona ludzkości religijność, w jednym tylko, od Boga objawionym chrystyanizmie, znajduje prawdziwe wypełnienie; w braku zaś tej prawdziwej religii, wytwarza sobie zastępczo pseudo-religie, mające pozorne z nią podobieństwo. Otóż proszę uważyć, czy podobny proceder niema znowu miejsca

w łonie samego chrystyanizmu, kiedy on się niby rozdziela? czy i tu, obok jednego Kościoła Chrystusowego, nie tworzą się pseudo-kościoły, ze sprzecznemi między sobą doktrynami? Przy bliższem oglądaniu, rośnięcie chrystyanizmu historyczne nie przedstawia się właściwie jak krzew puszczający wiele różdżek z jednego korzenia, ale jak drzewo, z którego raz po raz odłamują się gałązki i po odpadnięciu schną. Są to z początku sekty, które bezecne robią mieszaniny odrobin chrystyanizmu bądź z judaizmem, bądź z pogaństwem; a wszyscy chrześcijanie mieli je zawsze za odpadki od chrześcijańskiego pnia, i dzisiejsi protestanci za takie je mają. Są to potem sekty, podkopujące dogmata Trójcy i Wcielenia, Aryanie, Nestoryanie i t. p. — i te, jeżeli się nie mylę, prawowierni ewangelicy za odpadki od chrystyanizmu uznają.

DEVILLE.

Tak jest.

KSIĄDZ.

Za tem idą jeszcze inne gałązki, co tak samo odpadają i schną; a za niemi idą protestanci...

DEVILLE.

Z tą wielką różnicą, że kiedy protestanci przychodzą, Kościół rzymski już zupełnie od słowa bożego odstąpił, a reformatorzy zbawienny podnoszą protest.

KSIĄDZ.

Proszę zauważyć — kiedy już na historycznym terenie pozostać mamy — że wszystkie herezye, czyli odpadające w ciągu wieków gałązki, tak samo motywują swe oderwanie się, od najstarszych począwszy, aż do protestantyzmu włącznie: zawsze słowa Pisma inaczej rozumiane, niż je rozumiano tradycyjnie, zawsze wytykania nadużyć w spółczesnym ustroju Kościoła (gorliwość czy pycha, Bóg raczy sądzić). I wszystkie te gałązki takim samym sposobem zostają odcięte: zawsze zwierzchność Kościoła, świadoma swej nieomylności w nauczaniu, mówi im *anathema* —

co znaczy właśnie odcięcie. Najpierwszym herezyom jeszcze pierwsi zwierzchnicy, Apostołowie Jan, Paweł, Piotr, to *anathema* w swych Listach wypowiadają. Wobec późniejszych, starszyzna Kościoła skupia się na soborach, i czując się tej samej władzy dziedziczką, tenże sam wyrok odcinający wydaje. I zupełnie tak samo przed trzema wiekami sobór Trydencki odcina protestantów.

Wreszcie wszystkie gałązki odcięte tak samo usychają, jedne w kilku pokoleniach, drugie w kilkunastu, jak długo starczą im soki z pnia zachowane; wszystkim jednak zaraz po odcięciu, więdnienie wróży nieuchronny koniec. Katolicki pień tymczasem zostaje zawsze czem był. W każdej chwili historyi możemy go namacać; w każdym czasie ludzie go znają i nazywają nawet zawsze „katolickim". Sekty zazdroszczą mu tego królewskiego imienia, próbują je sobie przywłaszczyć, ale nie mogą.— Oni między sobą — mówi ślicznie św. Augustyn — nazywają się nieraz katolikami, ale kiedy obcy człowiek zapyta ich na rynku: którędy się idzie do katolickiej świątyni? żaden mu swego zboru nie wskaże!— Tak było temu 15 wieków i tak samo jest dzisiaj: Cerkiew rosyjska sama nazywa się urzędowo katolicką, angielski kościół ma również do tej nazwy pretensyę, a jednak ani Anglikanin ani Rosyanin, zapytany jakiej jest religii, nie powie, że jest katolikiem, chyba z dodatkami, które są kontradykcyą *in adjecto*. Nazwa tak uporczywie się trzymająca jest tylko wyrazem powszechnej świadomości ludzi, że mają przed sobą ten sam Kościół, który był dawniej i przed wiekami, który ma tę samą bez przerwy hierarchię, tę samą głosi naukę, i tak samo wiecznie kwitnie i owoce przynosi.

MISS WILSON.

To już za wiele! szanowny Księże. Jakżeż można tak powtarzać, że Kościół katolicki wiecznie tak samo kwitnie, kiedy oczywistą jest w historyi rzeczą, że nietylko się odmienił, ale najciemniejsze, najopłakańsze przechodził fazy: pogan nawracał mieczem a heretyków torturami, odpusty sprzedawał a zyski obracał na zbytek, gorszył świat występkami swoich zwierzchników... Czy to się nazywa kwitnięciem?

HAINBERG.

Gdyby Kościół katolicki był wiecznie kwitł, to pewnie nie byłoby reformacyi.

LEROY.

Jest w tem racya, niema co mówić.

DON PARDOVAL.

Może mnie się uda z innej strony rzecz tak przedstawić, aby szczęśliwiej do przekonania panny Wilson trafiła.

Chrystyanizm wszedł w świat, jak p. Leroy doskonale powiedział, nie jako doktryna oderwana, ale jako Kościół, żywa społeczność religijna, mająca, jak znowu Ksiądz wyłożył, właściwą żywym tworom siłę i prężność do organicznego rozwoju. Otóż w tej ewolucyi, roztaczającej się w historyi, trzeba rozróżnić dwa pierwiastki: pierwiastek Boży, który według obietnicy Chrystusowej jednoczy, organizuje, uświęca — i pierwiastek ludzki, materyał, nad którego owładnięciem Boży pierwiastek pracuje, kierując nim, ale nie odbierając mu jego natury i względnej samodzielności. Z tego ludzkiego materyału składają się oczywiście nietylko niższe członki kościelnego organizmu, ale i wyższe i głowa. Bóg tak chciał, ażeby Kościół był bosko-ludzkim tworem. Stąd wynika, że w dwudziestowiekowem życiu Kościoła ciągle się przymieszywają ludzkie ułomności, ciemnoty, występki, wnoszone ustawicznie przez pierwiastek ludzki. Ale również ciągle boski pierwiastek zaradza złemu, nie dopuszcza mu naruszać istotnych warunków życia Kościoła, a choć organizm ten nieraz zdaje się śmiertelnie chorować lub starzeć się, zawsze go jednak uzdrawia i przedziwnie odmładza. Ułomności owe różne są w różnych wiekach, wedle tego, jaka jest w tychże wiekach glina ludzkości, z której się Kościół buduje. Po wyjściu Kościoła z katakumb, na schyłku rzymskiego państwa, ambicya i dworactwo szeroko zarażają episkopat; ale Duch, który czuwa nad Kościołem, wznieca cały poczet mężów nadzwyczajnej miary, takich Ambrożych, Chryzostomów, Atanazych, Cyrylów, którzy czystość wiary i niezawisłość hierarchii ocalają. Po zalewie barbarzyńców znowu

ciemnota, srogość, rozkiełznanie popędów, wszystkiemi porami wchodzą do Kościoła, wspinają się aż ku najwyższym członkom. Przychodzi chwila, kiedy grozi niebezpieczeństwo, że w jednej osobie książę świecki zdławi biskupa, może i papieża. Ale Duch Boży wzbudza takiego olbrzyma, jak Grzegorz VII., który rozrywa ów dławiący uścisk, zmuszając do wybierania między służbą Kościoła z celibatem i kościelną inwestyturą, a służbą świata z inwestyturą cesarza; zsyła taką anielską postać, jak Franciszek z Assyżu, który zmuszał ludzi do kochania rzeczy nadziemskich i cały duchowy poziom świata podnosi. A swoją drogą i w czasach najgrubszej ciemnoty, żaden papież nie wydawał dogmatycznych orzeczeń, któreby późniejsi Stolicy Piotrowej dziedzice musieli poprawiać; żaden synod nie czynił dekretów, któreby nie dążyły do obrony sprawiedliwości i cnoty, do łagodzenia w duchu ewangelicznym surowości obyczajów. A obok tego roiły się przez całe te wieki średnie z łona Kościoła i wykluwały jedne z drugich zakony, które zdumiewającym nakładem poświęcenia i pracy przeobrażały świat barbarzyński: jedne osiedlając się na pustkowiach, tworzyły gniazda kwitnącej kultury; drugie stawiały szpitale, poświęcały się heroicznie pielęgnowaniu trędowatych; inne szły za morza wykupywać niewolników, z przysięgą oddania w potrzebie siebie samych w niewolę za braci; inne znów ślubowały mieczem i krwią własną zasłaniać chrześcijan przed jataganem pohańców; inne tymczasem, jak zamknięte ogrody, pielęgnowały najwyższy ascetyzm, wydawały takie nieporównane kwiaty jak pisma Bernarda, Gertrudy, Tomasza à Kempis; inne jeszcze oddawały się nauce, inne kaznodziejstwu; wszystkie razem, łącznie z zwierzchnikami Kościoła, wytworzyły tę cywilizacyę, której wyrazem w sztuce są katedry gotyckie, Giotto, Dante, w nauce Summa Tomasza z Akwinu, w polityce rzeczpospolita chrześcijańska, za której idealne interesa wszyscy byli gotowi krew swoją przelać. Chcąc niechcąc, przyznać musicie, panowie, że co macie dzisiaj najszlachetniejszego w duszy, to zawdzięczacie wpływowi Kościoła na wieki średnie.

W epoce znów Odrodzenia, przysłonięte czarem klasycznej sztuki pogańskie pojęcie życia, nietylko świeckie, ale i kościelne

sfery w pewnej mierze owładnęło, niezdrowa polityka państewek półwyspu włoskiego nieraz i papieskie państwo zaraziła. A jednak ręka tych politykujących i bawiących się papieży niemniej prosto ster Piotrowego czółna trzymała; a niespożyta żywotność Kościoła wytwarzała sobie w nowego rodzaju zakonach świeże zapasy siły i ducha i odmładzała się wspaniale na soborze Trydenckim, jak to ze zdumieniem historya konstatuje. Zresztą i ówcześni papieże, przy świetle, jakie nowożytne badania historyków na nich rzucają, znacznie zyskują. A choćby też ich osoby nic na tem świetle nie zyskały, to w każdym razie pierwiastek życia Kościoła, wiecznie nieskazitelny w rękach swych ułomnych piastunów, zyskać tylko może na pełnem wyjawieniu prawdy historycznej. Czy myślicie, panowie, że gdyby nie był o tem głęboko przekonany dzisiejszy papież, byłby otworzył na oścież bibliotekę watykańską?

LEROY.

To prawda, ten czyn Leona XIII. zaimponował mi ogromnie. Nikt oczywiście nie może wiedzieć wszystkiego, co się w tych archiwach świata znajduje. Żeby się więc odważyć na ich otworzenie ciekawym badaczom wszelkiej barwy, trzeba być dziwnie pewnym swego, i z góry być przekonanym, że nic z tych szaf nie wyjdzie, coby się dzisiejszemu stanowisku Kościoła sprzeciwiało.

HAINBERG.

Pojmuję tę teoryę dwóch pierwiastków w Kościele i rozumiem jej zgodność ze stanowiskiem chrystyanizmu; ale proszę mi powiedzieć, gdzie jest granica w życiu kościelnem między działaniem pierwiastku bożego, a działaniem elementu ludzkiego?

DON PARDOVAL.

Gdzie jest ta granica? nie wiem. W sobie samym nie rozeznaje człowiek, gdzie jest granica między natchnieniem bożem, a jego własną inicyatywą. Cóż dziwnego, że nie zdoła tej granicy dokładnie rozeznać w zbiorowem życiu Kościoła? A w przy-

rodzonem życiu naszem, czy wiemy, gdzie jest granica między funkcyami materyalnych cząstek organizmu, a działaniem duszy naszej? Są ludzie, którzy patrząc wyłącznie na szczegóły anatomiczne i fizyologiczne, postrzegając jak zwykłe materyi prawa i wymiany sił w każdej panują komórce, doszli do niedorzecznego wniosku, że materya sama jedna istnieje. My, którzy materyalistami nie jesteśmy i nie zamykamy oczu na ten cały świat myśli i uczuć i twórczej inicyatywy, który się z ustroju człowieka wydobywa, widzimy w tem dowód oczywisty istnienia wyższego od materyi czynnika; a jednak ten duch tak się w życiowym procesie za drobinami materyi utaja, że nie potrafimy w szczegółach określić, gdzie się kończy funkcya organu, a gdzie moc ducha zaczyna. Przytomność Ducha Św. w Kościele katolickim, panowie, jest podobna do przytomności duszy w ciele: po czynach i zbiorowych skutkach widać, że ten Duch jest — a w szczegółach nie wiedzieć, gdzie go szukać. Zawsze mię, przyznam, to dziwne podobieństwo uderzało. Snać, że oba te ustroje od jednego Arcymistrza i podług jednego planu są zrobione: w jednym materya styka się z duchem, i staje się człowiek, — w drugim człowiek, ludzkość, styka się z Bogiem, i staje się to, co jest szczytem i celem wszystkich dzieł boskich: Kościół Chrystusowy.

Patrząc zblizka na skazitelny materyał tego Kościoła, na ludzi, na pobudki ich czynów, widzimy, z głębokim smutkiem, błędy, występki, ciasnoty rozumu i serca, zgnilizny nawet. Ale kiedy podnosimy oczy na zdrowy rozwój tego olbrzymiego organizmu, na przepyszne jego rozgałęzienie po całej kuli ziemskiej, na żywotną jego odporność przeciw rozkładowym czynnikom i siłę leczniczą, która odtwarza części zepsute, na cudne kwiaty świętości, jakie nieustannie wydaje, na owoce wielkich dzieł, głębokich przeobrażeń społecznych, ślicznych instytucyj wszelkiego rodzaju, o których mówiliśmy — to cieszy nas to nierównie więcej, niż tamto smuci, zachwyca nas pięknością swoją i utwierdza w wierze, że w tym nędznym materyale ziemskim tajemniczo mieszka i działa Duch Święty. — Choćbym nie znał słowa Chrystusowego, że na Piotrze zbuduje swój Kościół, sądzę, że sam widok dziejowego pochodu Kościoła przekonywałby mię o boskości

jego pierwiastku życia. Więcej powiem, Kościół z temi wszystkiemi ułomnościami składających go atomów, Kościół opanowujący nietylko zewnętrzne, ale i wnętrzne przeszkody i wzbijający się mimo nie tryumfalnie pod niebo — jest mi większym, wspanialszym okazem i dowodem immanencyi boskiego pierwiastku, niż byłby Kościół od tych usterek nie wiem jak ochroniony.

MISS WILSON.

Jest w tym poglądzie coś wyższego, przyznaję. Kościół rzymski przyznający się do win swych ziemskich członków, a oddający Bogu chwałę za wszystko, co dobre i piękne — jest to dla mnie niespodzianka i coś, co mię rozbraja. Ale to złączenie Boga i ludzkiego materyału w jeden jakoby organizm, według katolickich wyobrażeń, ma znowu inną stronę ujemną, która mię odstręcza. Katolik, czując się komórką w tym organizmie, nie ma bezpośredniego, czysto duchowego stosunku z Bogiem, jakim się my cieszymy, ale tylko za pośrednictwem przeróżnych narzędzi i organów; między nim a Bogiem stoi ksiądz, stoją święci, pośredniczą sakramenta; cały duch chrystyanizmu, nie mówię, zgaszony jest, ale obleczony w materyalne kształty i jakoby uzmysłowiony. Dlatego nie mogę się z tą myślą pogodzić, żeby katolicyzm był najdoskonalszą chrystyanizmu formą.

KSIĄDZ.

Katolicyzm jest duchem uzmysłowionym — dobrze Miss powiedziała; ale to właśnie czyni go zdolnym do jego zadania: aby był dla wszystkich. Kiedyśmy mówili, innego wieczora, o chrystyanizmie, p. Deville świetnie rozwijał jego uniwersalność, jego doskonałe przystawanie do wszystkich wrodzonych potrzeb duszy i zdolność trafiania do umysłów wszelkiego rodzaju ludzi i plemion. Otóż proszę uważać, że jedynie w katolickiej formie chrystyanizm tę uniwersalność posiada, i to właśnie dlatego, że jest uzmysłowiony, czyli, właściwie mówiąc, że jest, zgodnie z naturą człowieka, duchem i ciałem. To, że nie Biblia sama, ale kapłan naucza wiary — że modlitwa podtrzymywana jest ozdobą świątyń, uroczystością nabożeństw, zagrzana wiarą w obecność

realną Chrystusa na ołtarzu — że Bóg przedstawia się nam w otoczeniu świętych, którzy modlą się za nas, że ma Matkę, która jest i naszą matką, — to, że nawet umarłym naszym możemy być pomocni — że w razie upadku, nietylko Bóg w niebie, ale i kapłan podać może dłoń skruszonemu i w imieniu Boga powiedzieć, że grzechy mu są odpuszczone: — to właśnie sprawia, że chrystyanizm katolicki trafia nietylko do rozumu ale i do serca i do wyobraźni i do wszystkich zakątków duszy; to go czyni przystępnym najprostszym ludziom i plemionom, które ani czytać ani o abstrakcyach myśleć nie umieją. W tej to formie bezsprzecznie chrystyanizm nawracał pierwotnie ludy, z których pochodzimy. Gdy zaś przyszedł protestantyzm i zaczął wyrzucać wszystko, co mu się wydawało formą, obrazy, święta, obrzędy, sakramenta — spostrzegł na końcu, że to coś nienamacalnego, co mu zostawało, nie może być religią ludzi; dziś naprawia figury świętych w portalach gotyckich katedr, które druzgotał, coraz więcej form przywraca, a jeszcze mimo tej połowicznej naprawy, gdy próbuje teraz nawracać pogan, doświadcza, jak Miss uprzejmie przyznała, widocznej wobec katolicyzmu niższości.

Wszelako ta cała szata niby zmysłowa w katolicyzmie jest tylko podporą, pomocą, dla jednych dusz więcej, dla drugich mniej potrzebną, w żaden sposób nie jest przeszkodą do bezpośredniego stosunku z Bogiem i najwyższego z Nim połączenia. Żeby panią o tem przekonać, mógłbym ją odesłać do dzieł teologicznych, które tłumaczą i uzasadniają na słowie bożem cześć świętych, sakramenta i inne szczegóły katolicyzmu; ale wolę jej wskazać po prostu żywoty świętych naszych, tych zwłaszcza, którzy w ostatnich żyli wiekach i z pozostałych pomników bliżej poznać się dają: takiego np. Jana Bożego, Ignacego Lojoli z Franciszkiem Ksawerym i Borgią, Karola Boromeusza, Teresy, Jana od Krzyża i Piotra z Alkantary, Franciszka Salezego i Joanny de Chantal, Filipa Neri, Wincentego a Paulo...

MISS WILSON.

Alboż niema i w naszym kościele świątobliwych ludzi?

KSIĄDZ.

Są u was ludzie bardzo zacni, szlachetni, religijni, ofiarni — ale o świętości, niech mi pani wierzy, wyobrażenia nie macie — od kiedyście od jedności Kościoła odpadli. Niech się Miss wczyta w te przecudne żywoty, a odkryje nowy świat, mający się do naszego poziomu tak, jak te gwiazdy, co tam świecą, do tych tu latarek. Zna pani życie moralne, ale zobaczy pani heroiczne zaparcie się siebie, uwalniające tych ludzi z brzemienia ciała, na równi z duchami. Zna pani dobroczynność, ale zobaczy pani kochanie Chrystusa w bliźnich, idące aż do szału cudownie pięknego, naglące dniami i nocami, bez folgi i wytchnienia, do poświęcania się całkowicie dla potrzeb ich dusz, dla cierpień ich ciał, aż do święcie namiętnego całowania ich ran. Zna pani modlitwę, pobożność, ale kiedy pani zobaczy choć z daleka modlitwę świętych, niewysłowione ich zjednoczenie z Bogiem, wzloty niebotyczne tych dusz ku Niemu, i zdroje tajemnicze, które na nie spływają z Niego, to przyzna pani, że aż się w głowie kręci patrzyć tak wysoko, i że ani mowa, ani pojęcia zwykłych śmiertelników tego nie dosięgną. I nie będzie już pani potrzebowała dowodów teologicznych na to, że katolicyzm do najwyższej świętości i do najdoskonalszego z Bogiem stosunku nic nie przeszkadza.

DON PARDOVAL.

Ksiądz pozwoli, że z jego pięknych słów jeszcze dalszy wyciągnę wniosek. Każdy taki święty, z blizka poznany, jest cudem Bożej łaski, starczącym za dowód boskości religii, która go wydała. Jedna święta Teresa nasza jest istotnie wspanialszem dziełem Pana Boga, niż np. nawrócenie całego narodu. Otóż takich świętych Kościół katolicki wydawał, i wydaje ich nieprzerwany szereg; posiada on wnętrzną siłę wytwarzania świętości, jak krzak różany ma moc wydawania róż — a żadne inne wyznanie świętych nie wytwarzało.

MISS WILSON.

Dobrze, rozczytam się chętnie w tych żywotach, do których mię panowie rozciekawiacie.

LEROY.

Widzę, że Don Pardoval zagiął parol na miss Wilson, żeby ią nawrócić.

DON PARDOVAL.

Ja do nawracania porywać się nie śmiem. Ale katolicyzm ma w rzeczy samej skrytą siłę nawracania, i dusze szczere wobec Boga nie zbliżają się do niego bezkarnie.

SIEMIONOW.

Ja znowu nie bardzo wierzę w możliwość nawróceń z przekonania. A właściwie, rozumiem jeszcze, że można się nawrócić na chrystyanizm, uwierzywszy w Chrystusa; ale już w łonie chrystyanizmu, przynależenie do tego lub owego Kościoła zdaje mi być wyłącznie sprawą narodowości, otoczenia, wychowania.

KSIĄDZ.

Pan Bielski byłby, jak przypuszczam, powiedział, że w żadne wogóle nawrócenie nie wierzy; pan idziesz o krok dalej, i przypuszczasz nawrócenie na chrystyanizm; dlaczegóż nie może ktoś trzeci zrobić trzeciego kroku: uwierzywszy w Chrystusa, przekonać się, że jedynie katolicyzm jest takim chrystyanizmem, jakiego Chrystus chce? Powodów do takiego przekonania jest dosyć; choćby tylko te, które się w tej rozmowie przed nami przesunęły: ta historyczna ciągłość i organiczna identyczność katolickiego Kościoła z pierwotnym chrystyanizmem, ta dziwna siła jego życiowa, która wszystkie zewnętrzne pociski odpiera, wewnętrzne rany ludzkiej ułomności naprawia, ta moc uświęcająca, która narody nawraca i świętych rodzi — podczas gdy inne wszystkie wyznania tem tylko żyją, co mają z katolicyzmem wspólnego, a tem umierają, czem się od niego różnią. Powodów, powtarzam, do takiego przekonania się jest dosyć. Jeżeli zaś kto do przekonania tego dojdzie, ten oczywiście ma nietylko możliwość, ale i obowiązek nawrócenia się na katolicyzm.

DON PARDOVAL.

Co tu rozprawiać o możliwości nawróceń, kiedy faktem jest niemal codziennym, że się ludzie z przekonania nawracają. Ha! zresztą może i nie bez podstawy panowie akatolicy o tem wątpią, bo istotnie poza Kościołem katolickim tego nie widać. Nawracanie jest, rzec można, jego monopolem.

HAINBERG.

Jakto, monopolem? Wszystkie wyznania wykazują przecież w swych statystykach większą lub mniejszą liczbę osób, które z innych wyznań do nich przechodzą.

MISS WILSON.

Don Pardoval, już widzę, będzie nam dowodził, że wszystkie nawrócenia na katolicyzm są z przekonania, a nawrócenia na inne wyznania są tylko udane. Ciekawam, jakim sposobem pan wyświeci, co się w sumieniach ludzi dzieje?

DON PARDOVAL.

Nie, w tajniki sumień nie spróbuję wglądać, ale inaczej tę wyjątkową moc katolicyzmu wykażę. Najprzód, mógłbym dowieść, że w krajach, gdzie zupełna panuje wolność religijna, a w sferach ludzi wykształconych i niezależnych, wielu się nawraca na katolicyzm a nadzwyczaj mało przechodzi z katolicyzmu na inne wyznania; i z tej różnicy liczbowej mógłbym już coś wnioskować. Ale nie zapuszczając się w kwestyę liczb, zawsze mozolną, wolę krótszą drogą do tej samej dojść konkluzyi. Otóż przypuszczam, że spora część nawróceń na katolicyzm jest nieszczerych, interesownych, w każdym razie jednak wiele jest takich, w których możliwość udawania, interesowności jest zupełnie wykluczona, bądź z powodu wysokiej sytuacyi lub znanego charakteru tych ludzi, bądź z powodu doczesnych niekorzyści, które ta zmiana religii musiała na nich sprowadzić. Żeby tylko najgłośniejszych wymienić, którzy mi w tej chwili na myśl przychodzą, przypominam z pomiędzy Niemców: dwóch Schleglów, Stolberga historyka, Wernera poetę, Bekedorffa filozofa, Filipsa prawnika, hra-

binę Hahn-Hahn powieściopisarkę. Nawet sztuka prowadziła mistrzów sztuki do nawrócenia: Herman Cohen, później Karmelita, nawrócony został przez muzykę, Owerbek przez malarstwo, Langer przez architekturę. A książąt, którzy przeszli na katolicyzm, jest cały poczet: Adolf na Meklenburgu-Schwerinie, Fryderyk Hessen-Darmstadzki, Paweł Würtemberski, Fryderyk IV. Saxen-Gotta, Dorota i Katarzyna z domu kurlandzkiego księżniczki Sagan, Charlotta Duńska, Marya Badeńska i t. d. Z Anglików przypominają się tacy uczeni teologowie oksfordscy, jak: Newman, Manning, Faber, którzy zostali luminarzami katolickiego Kościoła; tacy lordowie, jak: Stuart, Campden, Fielding, Ripon; mężowie polityczni, jak: Jerzy Bruce, John Ward, Sir Allan Napier; głośni pisarze, jak: Ryszard Simpson, James Hope Scott, Adelaida Procter; artyści, malarze znakomici, jak: James Herbert, Clarkson Stanfield i wielu innych. W Rosyi znane są nawrócenia trzech książąt Golicynów i paru księżniczek z tego domu; książę Gagaryn został Jezuitą, hrabia Grzegorz Szuwałow Barnabitą słynnym z świątobliwości, generał Nikolai umarł przed dwoma laty Trapistą; pań znakomitych nawróciło się wiele: kto nie wie o Zofii Sweczin, Natalii Naryszkin, księżnie Zeneidzie Wołkońskiej? Z Żydów wymieniam Libermana, założyciela Zgromadzenia Serca Maryi; Veitha, który zostawszy Karmelitą, był jednym z głównych wskrzesicieli życia katolickiego w Wiedniu, dwóch sławnych Ratisbonów, dwóch braci Lehmanów, którzy z takim zapałem swych dawnych współwyznawców nawracali. Ci wszyscy ludzie, jest to rzeczą notoryczną, dużo poświęcali, aby przejść na katolicyzm, rzucali swe majątki, rodziny, wielu kraj swój opuścić musiało; najniezależniejsi z pomiędzy nich, jak książęta niemieccy i angielscy lordowie, musieli przecież wiekowe swych rodów tradycye przełamać, co nienajłatwiejszą jest rzeczą; i nic innego nie może tych nawróceń tłumaczyć, jak tylko głębokie przekonanie.

A jak wobec tego przedstawiają się nawrócenia na inne wyznania? Nie twierdzę, że się da wykazać interesowność — Bóg jeden widzi, co się w duszy dzieje — ale zawsze pokazać można, że obok tego czynu zmiany religii leży jakaś korzyść ziemska: czy majątek, czy protekcya, czy dostęp do urzędu,

czy zwolnienie od ślubowanego bezżeństwa, czy dyadem cesarzowy rosyjskiej. Ani jednego zaś, sądzę, nie znajdzie się wypadku, gdzieby można dowieść — co w tysiącu nawróceń katolickich się dowodzi, — że wszystkie względy doczesne przemawiały przeciwko zmianie religii, a jedynie przekonanie skłonić do niej mogło.

Ta moc nawracania przekonaniem, którą katolicyzm we wszystkich wiekach objawiał, ale którą na blizkich nam okazach łatwiej i prawie namacalnie skonstatować możemy, jest, zarówno jak moc wytwarzania świętych, przedziwnym dowodem jego boskości.

LEROY.

Trzeba przyznać, że jest to rodzaj dowodu, dający do myślenia. Napróżno szukam w pamięci choćby jednego okazu zmiany wyznania, któryby się dał przeciwstawić poglądowi Don Pardovala, w sferze swoich wiadomości go nie znajduję, a wiele innych, i z Francyi i z Ameryki, mógłbym przytoczyć za nim. I wogóle przyznać należy, żeśmy dziś piękne i ważne rzeczy o katolicyzmie słyszeli, a jak w pierwszych wieczorach honory zbierał pan Deville, tak dziś należą się one, sądzę, Don Pardovalowi. Ale już chyba na tem zakończymy; bo przestrzedz muszę państwo, że już późna godzina.

SIEMIONOW.

Ja przyznam także, że ostatni punkt przez Don Pardovala poruszony, ta siła attrakcyjna katolicyzmu, w warunkach, w jakich się objawia, bardzo mię zastanawia. Ale cała poprzedzająca dyskusya państwa tak się toczyła, jak gdyby nie było nic trzeciego w łonie chrystyanizmu, tylko albo katolicyzm albo protestantyzm. Nie chciałem się z tem odzywać, żeby nie przerywać wątku interesującej rozprawy. Teraz zaś przyłączam się do zdania pana Leroy, że już nam czas się rozejść.

*Ks. Maryan Morawski.*

# KOLEGIUM POLSKIE W RZYMIE.

## V.

Wypadki z 1863 r. jak z jednej strony wywołały, tak z drugiej utrudnią powstanie kolegium polskiego. Zmartwychwstańcy przez długie lata będą znienawidzeni, a narażą sobie tych, coby im mogli przyjść z pomocą materyalną. Widzieliśmy jak w 1850 r., kiedy Montalembert podniósł myśl kolegium polskiego, książę Czartoryski ofiarował zaraz fundusz. Wskutek wypadków z 1863 r. na tę pomoc rachować już nie będzie można.

W samych początkach swego istnienia Zmartwychwstańcy trzymali się z daleka od księcia Czartoryskiego, a to dlatego, ażeby zachować zupełną niezależność kościelną i do żadnej partyi politycznej nie wchodzić. „Dopóki hotel Lambert był potęgą polityczną — pisze ks. Kajsiewicz do ks. Jełowickiego (27 listopada 1866), — trzymałem się ostrożnie i odpornie wobec wszystkich do niego należących, aby czasem nie dać się wprządz do ich rydwanu politycznego“. W czasie ruchów warszawskich służyli Zmartwychwstańcy Polsce w Rzymie, służyli gorliwie — i nieraz w początkach szli ręka w rękę z Rządem narodowym, — ale zawsze broniąc się od wszelkiej zależności. I tak czytamy w Dzienniku ks. Semenenki z 1863 r., w miesiącu sierpniu: „Przyjechał spółcześnie N. z poleceniami do Ojca św. od Rządu narodowego. Spólne, długie i szczere narady z N. Nota spólnie zredagowana podana do papieża przez sekretaryat stanu. Prośba w niej o dwie rzeczy: 1) o modlitwy za Polską; 2) o wstawienie

się do cesarza austryackiego, żeby wystąpił za Polską. N. bardzo zacny człowiek i szczerze religijny. 18 sierpnia, we wtorek, miał audyencyę u Ojca św. Przygotował się przez Sakramenta święte. Powiedział, że staje w imieniu Rządu narodowego i oddał mu adres od niego. Ojciec św. skłonił głową i słuchał w milczeniu. Były przytem liczne papiery. Wszystko to przyjął i powiedział, że każe rozebrać i sam rozbierze. Przyjęcie było miłe. Tłumaczył się, że nic nie może materyalnie dla Polski uczynić. Wskutek tego posłuchania napisaną była i podana owa nota powyższa. 24 sierpnia mieliśmy z O. przełożonym posłuchanie u Ojca św. Przyjął bardzo łaskawie. Mówił o Polsce. Co mogę uczynić? Prosiliśmy o modlitwy publiczne. I Ojciec św. żądania usłuchał, bo wkrótce potem ogłosił modlitwy za Polską i procesye. 26 sierpnia N. wyjechał do Paryża".

Partya Czartoryskich miała za złe Zmartwychwstańcom, że dla niej pewną nieufność okazują. „Spotkałem księcia Władysława—pisze ks. Jełowicki do ks. Kajsiewicza (6 stycz. 1863),— z którym dość obojętnie poczęła się była rozmowa bułgarska. Powiedział: ‚Nie przyjął ks. Hieronim ofiary mojej wyrobienia znacznej pomocy na tę misyę z ministeryum spraw zagranicznych, coby też dało tej misyi i opiekę Francyi. Odłożył to na czas późniejszy, kiedy może dać nie zechcą. I wogólności widzę niechęć Ojca Hieronima. Nie dziwuję się Czackiemu, jako młodemu i niedoświadczonemu w sprawach publicznych, ale że O. Hieronim dał się podbić Lasserowi, to mię i dziwi i boli. Wyrzuca mi posłanie Orpiszewskiego. Wszak poselstwo do Stolicy apostolskiej jest hołdem z naszej strony, z którego raczej cieszyć się powinien, i nas do niego owszem pobudzać. Rzecz Kalinki i Lassera wziął za obrażenie zasad religijnych najniesłuszniej. Bo co do zasad z Kalinką wcale się nie różnię, lecz tylko co do sposobów i czasów, kiedy, co i jak zrobić. Niedawno i pod tym względem godził się z nami. Możebyśmy z czasem i z nim się zgodzili. Lecz wydalenie Kalinki, nad którem najmocniej ubolewam, nastąpiło nie dla zasad religijnych, lecz z powodu złamania przez niego ustawy naszego grona. która wymaga, aby poza gronem na swoją rękę nie działać, jak on uczynił przez

wysłanie Lassera, którego i my chcieliśmy użyć, bo się był raz nieźle sprawił. Dotąd książę Władysław pod sekretem dla Ojca; a i pan Władysław Zamoyski, najbardziej na oddalenie Kalinki bolejący, powiadał mi to samo przed 15 dniami, dodając, że Lassera uważa za dobrego na redaktora, lecz nie na agenta. Że Lasser przybiera sobie rolę ambasadora najniesłuszniej; że pisuje do generała jak najniewłaściwiej z lekcyami katechizmu i patryotyzmu. — Otóż to są sprężynki ludzkie! I jak to trudno wydawać sąd o ludziach, nie znając wszystkich kryjówek, które zresztą jedynie Bóg zna. Sens moralny z tego, że trzeba korzystać z dobrej woli każdego, a więc i księcia Władysława".

Generał Władysław Zamoyski w tymże czasie (11 stycznia 1863 r.) pisał do ks. Semenenki: „Kochany księże Piotrze. Odczytuję z rozczuleniem słowa uprzejme, któremi Ksiądz Dobrodziej raczysz pochwalać moje „usposobienia i działania". Szczerze powiedzieć mogę, że mi to uznanie jest najmilszą zachętą; że osobiste kochanego Księdza „podziękowanie" najwyżej cenię; a obiecane modlitwy za „czynami" mojemi policzam z radością do sił moich najżywotniejszych. Niechże mi łaskawie przyznana wiara zaraz posłuży do dania świadectwa o nieporozumieniu między dobrymi tu i w Rzymie, których wszystkich kocham i szanuję. Nie wchodzę w szczegóły o przypadkowych powodach nieporozumienia i rozbratu: wystarczy nadmienić o osobach. Zacznę od domu Czartoryskich. Prawda, że nieraz pragnąłem większej w tym domu ufności i miłości ku Stolicy św. Ale braku wierności dla Kościoła i nauki jego nietylko nie widziałem nigdy, ale z każdym dniem wzmaganie się tej wierności z radością postrzegam. Jest przeto grubą pomyłką rozbrat, zaszły tu między pracującymi około jednej sprawy, tłumaczyć brakiem zasady religijnej jednych, a upieraniem się jakoby drugich przy tej zasadzie. Byli i być musieli gorętsi i mniej gorący; ale czyny były spólne i zgodne. Drażliwość urosła z różnicy w uznaniu zalet i zdolności jednej osoby; że zaś ta zdolność miała być użytą w stosunku do Kościoła, zatem, w kole naszem, niektórzy, na stan Kościoła goręcej zapatrujący się, stanęli solidarnie; a z drugiej strony większość (jak na całym świecie, jak i w naszej biednej

ojczyźnie) okazała się bardziej zajętą względami doczesnemi, mniej duchowemi. To jeszcze nie sprowadziło rozbratu. Nastąpił on dopiero przy drobnej okoliczności, która była prostem niezrozumieniem się wzajemnem. Mam tę nadzieję, że ten rozbrat trwałym nie będzie. A mniemam, że się każdy dobry przyczynić może i powinien do wrócenia zgody, gdzie jest wprawdzie zajątrzenie, ale *sprzeczności* w zasadach niema. Stosuję to głównie do p. Kalinki; a nawet, ponieważ jest między Wami, odwołuję się do jego świadectwa na stwierdzenie tego, co poprzedza. On się za p. Lasserem ujął; on, mniemam, nad miarę przyznał mu wartość, kiedy szło o jej ocenienie pieniężne. Co do p. Lassera, on, dotknięty do żywego odmówieniem żądanej umowy, mającej go z nami związać na lat kilka za wynagrodzeniem bardzo wysokiem, — on, mówię, lękam się, uległ pokusie ukrycia przed samym sobą istotnej przyczyny odmówienia postawionych przez niego warunków pieniężnych, tłumacząc takowe jakoby obojętnością grona naszego dla zasad i dla Kościoła, których z nami bronić pragnął. To jest *humanum,* ale *justum* nie jest. Z kolei nadmienić jeszcze muszę o Czackim, którego i cenię i kocham. Mniemam, że i on miary nie zachowuje, kiedy się unosi przeciwko wszelkiemu z naszej tu strony zachodowi, czynionemu w Rzymie, w szczerej chęci służenia Kościołowi, a twierdzi, że nie powinniśmy ani się pokazywać w Rzymie, dopóki nas nie wyprzedzi świadectwo, żeśmy się dostatecznie do tego uświęcili. Szczęśliwi, którzy, dłuższym pobytem w Rzymie nauczeni, pojmują lepiej i czują goręcej, czem być powinien Polak-katolik. Ależ, pytam, czy nie grzeszy brakiem wiary i miłości, kto broni przystępu do Stolicy św. ludziom dobrej woli? Jesteśmy tu, a przynajmniej chcemy być służbą zagraniczną Polski. Nie byłożby rażącem w niej zaniedbaniem powinności. mieć agentów swoich po różnych stolicach, a nie dosyłać żadnego do stóp Ojca św.? Taki agent i samo grono, które go wysyła, czyż mogą, bez względu na stan umysłów w kraju, w jego imieniu odzywać się w Rzymie tak, iżby wywołali z Polski zaprzeczenie? Można nad koniecznością oględności ubolewać; potępiać tych, co jej przestrzegają, niepodobna. Niedostatkowi temu niech zapo-

biegają Polacy w Rzymie od kraju niezależni; to wybornie; ale bez potępiania i wykluczania tamtych; w miłości wzajemnej, jeżeli nie w zupełnej zgodzie. Pisałem o tem obszernie do Czackiego, więc nie powtarzam, chociaż nie widzę dotąd, bym go był przekonał. Ale wiem, ile on ma uwagi na Wasze rady. Śmiem więc prosić, abyście go skłonili do opowiedzenia, jaką mu przedkładałem możność i potrzebę niezależnego zachodu w jednej sprawie, środkami czasem nieco odmiennemi. Trochę jestem cierpiący, to mię zmusza przerwać, nie pozwala też odpisać na świeży list Czackiego, o czem proszę mu powiedzieć. Jedno dodaję dla pożądanego tu wrażenia, dla uśmierzenia drażliwości bardzo szkodliwej: proszę usilnie, nie dajcie Orpiszewskiemu odjechać bez okazania mu chęci życzliwej, bez dania należnej zachęty jego i naszej dobrej chęci. Ściskam ręce Księdza kochanego i Braci Jego zakonnych, jako mający dla Was najwyższe poważanie i życzliwość. Wł. Zamoyski".

Ks. Semenenko odpisał dopiero w lutym: „Łaskawy i najzacniejszy Generale. Czuję, żem zawinił, zwlekając moją odpowiedź, ale to mię pociesza, że nie było nic nagłego. P. Kalinka już zapewne wynurzył Generałowi mój żal z powodu tej zwłoki, ale pewno i wytłumaczył mniej więcej jej przyczyny... Rzecz, o której mówi list Generała, już się miała ku końcowi. P. Orpiszewski już był postanowił wyjechać i za kilka dni miało to nastąpić. Z drugiej strony zdawało się, że jeżeli było jakie nieporozumienie, już wtedy było uchylone. Sam p. Orpiszewski uznał był, że jego pobyt w Rzymie zdawał się zbytecznym, a stosunki jego z O. przełożonym i z p. Kalinką zdawały mi się bardzo zgodne i przyjazne i nie potrzebujące żadnego wdawania się, aby co naprawić. Nie miałem tedy nic do czynienia. Nieporozumienie, jeśli jest jakie prawdziwe, sięga daleko głębiej, nie jest na wierzchu, ale na dnie, nie tyczy się osób, ale zasad. Pozwoli mi łaskawy Generał, że mu je w kilku słowach wysłowię, z wszelką miłością chrześcijańską i przychylnością dla osób. Zasada, jaką grono ks. Czartoryskiego, zdaje się, przyjęło za regułę postępowania, jest ta, o której list szanownego Generała wspomina, to jest, aby mieć wzgląd na stan umysłów w kraju,

w jego imieniu tak się odzywać, aby nie wywołać z Polski zaprzeczenia. Jest to, innemi słowy: odbierać wpływy, a nie dawać; być sługą i echem, a nie przewodnikiem, przynoszącym słowo oświecenia i zbawienia; jest to, jeszcze innemi słowy: brać od kogo innego zasady postępowania, a nie mieć swoich własnych, stałych, prawdziwych, koniecznych, o których tryumf powinno nam chodzić, choćby z narażeniem naszej popularności albo pozycyi, albo nawet i życia samego. Wystawić w tych jasnych wyrażeniach stanowisko, jest to już je osądzić. A tu wyznaję łaskawemu Generałowi, że wielce nad tem ubolewam, iż grono ks. Czartoryskiego dotychczas całem swojem postępowaniem pokazało, iż właśnie na tem jest stanowisku, że jego polityka ma za cel udanie się, a nie tryumf zasad. O zasadach zaś mówiąc, nie mogę innych rozumieć, tylko te, które światem rządziły i rządzić zawsze będą, to jest: chrześcijańskie albo niechrześcijańskie, katolickie albo niekatolickie. Tylko o te chodzi, bo innych niema. Zasadami nie są ani żadne osoby, ani formy rządu, ani słuchanie opinii publicznej, czy tam głosu powszechnego. Bo i opinii publicznej, to jest głosowi powszechnemu, i formom rządu i osobom trzeba jeszcze zasad, podług których mają sądzić i postępować. Zasady owe są jedne tylko. Możnaby powiedzieć, że owo grono nie jest przeciwne zasadom chrześcijańskim, że jest względem nich dobrej woli. Ale tu nie o to idzie, lecz o to: czy publicznie je wyznaje, czy rozszerza, czy pracuje i żyje dla ich tryumfu? Wtenczas będzie polityka zasad; bez tego jest polityka udania się *(du succès)*, która i religię używa za materyał do swego celu. Tego zaś, to jest wyznawania i bronienia owych jedynych zasad, nie widzę, niestety, nawet najmniejszego śladu publicznie, nawet w razach, gdzieby było obowiązkiem (jak w kwestyi władzy papieskiej i jej niepodległości doczesnej) — obowiązkiem wobec narodu, którego opinię bałamucą Żydzi i półmędrkowie pogańscy, czyli socyalistyczni. Bieda, i wielka bieda! Naródby zaprzeczył może? Nie naród, lecz jego część obałamucona. A zresztą, niechby zaprzeczył: dowiódłby choroby swojej, obłąkania; a mybyśmy postąpili jako prawdziwi jego dobroczyńcy, lekarze i nauczyciele.

Dałby Bóg, że kiedyś przyszedłby do zdrowia i do upamiętania, może nawet za naszą sprawą; wtenczasby nam dziękował i uważał prawdziwie za swoich dobrodziejów; a teraz za kogo nas mieć będzie, kiedy przyjdzie szczęśliwa chwila upamiętania i zupełnego zdrowia? Ale za daleko idę. Chciałem tylko wykazać przyczynę nieporozumienia, jaka koniecznie zachodzić musi między tymi, którzy się przyznają do onych zasad, a gronem ks. Czartoryskiego, które publicznie trzyma się względem tychże obojętnie. Ci wszyscy nie mogą należeć do współdziałania z tem gronem, bo jakążby wtedy ich działanie miało przyczynę, jaki cel? jaką zresztą korzyść? Przyczyną byłby wzgląd na osoby, celem korzyść tych osób; a korzyścią? pewno n i c dla zasad. Może powiemy, że tem wszystkiem: przyczyną, celem, korzyścią, jest s p r a w a k r a j u? Dla sprawy kraju może i powinien każdy pracować w warunkach najkorzystniejszych, aby mu przyniósł prawdziwy pożytek i zbawienie. A tu jaki pożytek i jakie zbawienie — kiedy niema zasad? Tak więc ani przyczyną, ani celem być nie może w tym razie, to jest do spółdziałania z gronem, sprawa kraju; przyczyną i celem pozostają tylko osoby i sama korzyść grona. Więcej powiem, proszę tylko przyjąć to z wszelką cierpliwością: sprawa kraju wymaga, aby szukać innych sposobów jej służenia, któreby się obróciły na jego prawdziwą korzyść, to jest wprowadziły doń, albo w nim ustaliły owe jedyne zbawienne zasady i zapewniły w nim ich tryumf, jedyny warunek jego szczęścia. Najłaskawszy Generale, proszę się nie gniewać na mnie za moją wielką śmiałość; ale, raz dopadłszy sposobności, chcę już wszystko wypowiedzieć, bo wiem, że moja otwartość znajdzie u szlachetnego uczucia Generała należyte uznanie. Powiem tedy, co nas osobiście wstrzymuje i owszem przymusza do unikania wszelkiego spółdziałania z gronem ks. Czartoryskiego. Tem nic innego nie jest, tylko to właśnie stanowisko ujemne: osobiste, tego grona. Wszelkie z niem spółdziałanie przybiera natychmiast piętno ściśle i wyłącznie polityczne, to jest polityki osobistej, polityki jakiegoś grona, jakiejś koteryi, jakichś osób, nie zasad, a więc polityki w najgorszem jej pojęciu, jeśli się ją postawi obok charakteru duchowego i kapłańskiego. To nas

zmusza koniecznie do pilnego unikania wszystkiego, coby podobne piętno wycisnąć na nas mogło. Mam ufność, że szanowny Generał łaskawie to zrozumie i uzna, i nawet ze swego stanowiska przyzna nam słuszność. My tylko ubolewać nad tem możemy, że taka siła, jakaby być mogła i niezawodnieby była: polityka domu książąt Czartoryskich, gdyby działała w imię i siłą prawdziwych zasad społecznych, że taka, mówię, siła jest zobojętniona, przetrącona i skazana na bezpłodność brakiem przeciwnym. Jest to wielka szkoda dla narodu, a nawet i dla kościoła, — gdy tymczasem przeciwny stan rzeczy, dla samego domu Czartoryskich, przyniósłby, po chwilowych zapewne przeciwnościach, ostateczny i trwały tryumf. Polecam tę rzecz Bogu najlepszemu. Łaskawego Generała proszę raz jeszcze na ostatku o wyrozumiałość, a zawsze o dobre serce i łaskawe względy. Powtarzam wszystkie moje zapewnienia najwyższego szacunku i szczerego uznania dla chrześcijańskiego i szlachetnego charakteru Jego zamiarów i czynności. Pewność tego właśnie ośmieliła mię do tej zupełnej otwartości. Niechże łaskawy i zacny Generał będzie zawsze tego pewny, a zarazem wszystkich uczuć poważania i miłości chrześcijańskiej, z któremi zostaję najoddańszy w Panu sługa ks. Semenenko".

Ks. Jełowickiemu ks. Kajsiewicz ze swej strony odpowiedział: „Nic nie mamy przeciwko przysłaniu Orpiszewskiego, tylko, że chciał naszego spółdziałania, czego nigdy nie możemy, tembardziej w dzisiejszych okolicznościach... Generał pozwolił sobie w liście do Kalinki dać mnie lekcyę katechizmu, niech się nie dziwi, że Lasser jemu napisał prawdę, że nie mają ani zasad, ani taktu w postępowaniu... Kłaniali się dotychczas nieprzyjaciołom papieża, złe sobie imię tu zrobili, rzecz bulgarską skompromitowali krzykactwem swojem (znalazła kura ziarnko), i gdy cesarz zrobił krok ku katolikom, oni swoich odpędzili; i dziś chcieliby, byśmy im rzecz naprawiali. Każdy błędy swoje musi sam odpokutować" (17 stycznia). „Już przed rokiem pisał do mnie książę, ofiarując się dostać pomoc na misyę od rządu. Odpowiedziałem, że obecnie nie mogę prosić, bo jeszcze było zawcześnie. I tego roku jeszcze było zawcześnie, ale... gniotła *ne-*

*cessitas*. Do księcia nie mogłem się udać wprost, i to dziś najspokojniej mówię, by nie zaciągać obowiązków wdzięczności wobec osób, którym nie zawsze możnaby się w sumieniu wypłacić wzajemnością, a następnie być podejrzanym o niewdzięczność; bom obecnie j e d y n y ksiądz Polak za stronnika Rosyi ogłoszony przez rząd, którego książę jest jedynym reprezentantem widzialnym, a nie wiem, by książę jakiekolwiek w tej mierze zrobił przedstawienie, a owszem wiem, że członkowie hotelu Lambert ostrzegają jadących do Rzymu, aby się nas strzegli" (24 października).

O tym samym szczególe mówi ks. Kajsiewicz w pamiętniku swoim, opowiadając, że po roku 1849 ambasada rosyjska tak czuwała nad Zmartwychwstańcami w Rzymie, że przyjezdnym Polakom niebezpiecznem było zachodzić do kościoła św. Klaudyusza, bo nieraz urzędnik ambasady przechadzał się w niedzielę przed kościołem, patrząc, kto doń wchodzi i zeń wychodzi. Przyczem dodaje: „Nie mogąc się nas pozbyć w Rzymie, ambasada rosyjska przyjęła system odosobnienia nas grozą od krajowców, a następnie ogłodzenia. Tego samego środka próbował rząd narodowy rewolucyjny z r. 1863: nie po raz to pierwszy spotkała się w ten sposób rewolucya z despotyzmem!" Ten system ogłodzenia nie złamał oczywiście stałości ks. Kajsiewicza, ale trapił go nie pomału. U św. Klaudyusza formalnie nie mieli co jeść. „W wielkiej suchości i opuszczeniu wewnętrznem trzyma mnie dobry Bóg – pisze ks. Kajsiewicz do ks. Koźmiana w tym czasie (19 września). Stan ten w połączeniu z troską ogólną i niedostatkiem materyalnym sprawia, że z wielkiem wysileniem woli muszę załatwiać nieustające faciendy na zewnątrz... Módl się za mnie i polecaj mnie modlitwom... Zrobiłem ślub ukochania wszelkiej woli Bożej, i prosiłem, bym tu czyściec mój odbył. Pojmuję, że trzeba wiele wycierpieć, nie chcę uciec od cierpienia; proszę tylko o pomoc, bym dotrwał, bo czasem bardzo ciężko". — „Myślę napisać do Thajerów i gdzie tylko speranda dostania — pisze do ks. Jełowickiego (1 września). — Choć z trudem, ale wierzę, że przeżyjemy. Mnie to trudzi i mam chwile buntu; ale się poddaję,

kiedy Bóg taki krzyż mi wybrał. Widać, że ten najstosowniejszy dla mnie; więc maszerować i rezonem nadrabiać".

Zaszedł podówczas fakt bardzo dla ks. Kajsiewicza bolesny. Będąc w Paryżu, pragnął udać się na zjazd katolicki w Mechlinie. I ks. Jełowicki tego pragnął; widział bowiem w tem sposobność dla ks. Kajsiewicza rehabilitowania się w opinii publicznej. Ale ks. Kajsiewicza nie dopuszczono. „Gdyby nie świeże kopnięcie mnie, półurzędowe — pisze do ks. Jełowickiego (1 września), — gdyby nie zgłoszenie się sekretarza kongresu do ks. Władysława, jako reprezentanta polskiego, a ambarasu jego i, jak widziałeś, Kalinki zawezwania mnie, byłbym pojechał. Choć wierzaj, że Bóg tak zrządził. Czuję najżywiej, że On nie chce, bym się ja rehabilitował; w czasie swoim sam o tem pomyśli". Dziś — pisze znowu 24 października, — gdy ten biedny rząd przyznaje się publicznie (chętnie czy niechętnie), że dla niego sztylet jest *instrumentum regni*, boleję za naród, ale osobiście cóż mnie dolegać może? Jak tylko rząd musiał przyjąć Mierosławskiego *et compagnie*, to rzecz prosta, że mnie musiał kopnąć... Jeżelim krzyw przed Bogiem, niech mam ekspiacyę; ale ja i dziś powtarzam, że pokora chrześcijańska nie wymaga poświęcenia uczucia godności osobistej, dla człowieka ma się rozumieć, bo zresztą, co Bóg chce, to ja z góry chcę". Jeszcze o polityce Czartoryskich donosi ks. Jełowickiemu (2 kwietnia 1864): „Ojciec św. co do myśli seminaryum się nie zachwiał, ale kardynał (Antonelli) korzystał z choroby Ojca św., by go uprzedzić przeciw sprawie polskiej. Ma np. instrukcye ks. Władysława dla ajentury turyńskiej, by gardłowała za jednością Włoch, dla tutejszej, by występowała za władzą doczesną; zna wszystkie byki tutejszej ajentury i t. d. i t. d., i *to wszystko pakuje nieustannie w uszy Ojcu św.* Trzeba teraz znowu czasu i pracy, by to wrażenie osłabić.

W r. 1864 rozeszła się w Rzymie wieść, że książę Władysław Czartoryski przystał do masoneryi. Hr. Ksawery Branicki przyczynił się do rzucenia tej potwarzy. Zapisuje tę wiadomość ks. Semenenko w swoim dzienniku pod dniem 18 marca: „Najgłówniejszem i najpewniejszem źródłem tej wiadomości jest Ksa-

wery Branicki, brat księżnej Odescalchi, który tu przejeżdżał przez Rzym do Neapolu, zapewne także w celach sekty. Jest on jednym z najwyższych jej naczelników, i z pewnością zasiada w wielkim Wschodzie paryskim. Jest gaduła i z niektórych rzeczy wygadał się, choć w innych szczegółach, jak przychodził do niektórych punktów, ścisłe zachowywał milczenie. Między innemi rzeczami wygadał się o przyjęciu księcia Władysława Czartoryskiego do centrum sekty w Paryżu. Powiadał, że jak przyszedł ze swoją deklaracyą, że chce należeć, kiedy miał przysięgę składać, wielce się wahał, zapytał, czy może pozostać przy religii katolickiej? Powiedzieli, że może być nawet muzułmanem, że im nic do religii, byleby czynił, co mu rozkażą. I on zgodził się na to, uspokoiło go to. Co za sąd o rzeczach! Co za zaślepienie! Sekta pozwala na religijne przekonania osobiste, byleby nie miały społecznej formy. To znaczy, kiedy idzie o chrześcijaństwo, że sam w sobie możesz myśleć jak chrześcijanin, nawet jak katolik, tylko że na zewnątrz żadnego chrześcijaństwa, żadnego katolicyzmu być nie powinno. I ty się masz na to zgodzić! Czy można uroczyściej żart wyprawiać z rozumu i sumienia ludzkiego? Powiadał Ksawery Branicki, że książę Władysław był zakłopotany, jak przeczytał modłę przysięgi, że trzy dni chodził, jak nie swój, i pytał się i t. d. i t. d. Nareszcie zdecydował się i zaprzysiągł się. I znowu kilka dni był blady, jak trup; ale go uspokajali; mówiono mu, że nie są tak surowi w wymaganiach co do wykonania przysięgi we wszystkich szczegółach i t. d. Musi być straszliwa. Nareszcie zupełnie się uspokoił i, jak zobaczył, co mu to przyniosło, jakie stosunki, korzyści i t. d., nawet już teraz rad temu. Boże, Boże! co za licho wkradło się do nas!“

Tę samą wieść potwierdził Władysław Jasiński (pseudonim), o którym w dzienniku pod 2 lipca 1864 takie znajdujemy szczegóły: „U kardynała Antonellego. Przedstawiałem interes Władysława Jasińskiego, który opuścił sektę i Garybaldego, i zwierzył się i objawił wszystko Świętej Inkwizycyi; teraz w niebezpieczeństwie życia. Przyrzekł mówić Papieżowi. W tym interesie były długie przejścia z p. Mangin, prefektem policyi francuskiej. Ze trzy razy po parę godzin trwały konferencye. Nareszcie pre-

fekt powiedział: Jestem przekonany o prawdziwości tego, co mówi. A z początku nie wierzył. Chodziło o danie mu przejazdu na jakim statku francuskim. Trzeba było otworzyć się przed ambasadorem. Sprowadził tedy prefekt pana Sartige do siebie. Poznałem tego pana. Co za człowiek! Chciał, żeby Jasiński wszedł tu do sekty i wydał tych, co należą. Powiedziałem, że przysięga w Inkwizycyi złożona nie pozwala. Przysięga? co przysięga? odpowiedział. Kiedym to opowiadał dziś Antonellemu: Wyobraź sobie, rzekł mi, że on tak samo przedemną mówi! Przedemną! *Pojmuję, że nie ma sumienia, ale żeby o tem trąbić!* Takiego cynizmu nie pojmuję. Cóż miałem mu odpowiedzieć, kończył kardynał. Powiedziałem mu tylko: Mylisz się, panie ambasadorze, jeżeli przypuszczasz, że niema już ludzi, co mają sumienie".

Bądź co bądź źródła tej wiadomości o ks. Czartoryskim pewności nie dawały. Ks. Kaczanowski więc pytał o to Kalinkę, jako blizko przy księciu stojącego, i otrzymał uspokajającą odpowiedź. „Bardzo się cieszę, kochany Waleryanie — odpisuje mu 17 września 1864, — że tak szczerze i gorliwie bronisz księcia. Musisz mieć na to pewne dowody, więc i ja chętnie się na nie zgadzam; a chociaż aż dwóch i to prawdziwych sekciarzy, jeden zatwardziały, drugi, jak się zdaje, nawrócony, utrzymują, iż należał, pierwszy z przechwałką, iż chciał się ks. Władysław wywinąć, lecz wreszcie musiał się ugiąć, drugi zaś, że na posiedzeniu będąc widział go w loży, lecz jako nowo inicyowanego, daleko niżej siedzącego od siebie, który do wyższych matadorów sekty należał: te jednakże świadectwa nie przeważają we mnie twego o nim zapewnienia. Cieszę się, powiadam, iż możesz mu podobne świadectwo oddać, i raczej jemu wolę wierzyć, niż tamtym. Niechże będą Bogu dzięki, że choć tego rodzaju klęskę raczył odwrócić od tej familii, którą zawsze szczerze poważam".

Z tem wszystkiem jednak pogłoska o wejściu ks. Władysława do masoneryi u wielu znalazła wiarę. Wyparcie się publiczne ultramontanizmu, przyznanie w liście publicznym słuszności charakterowi Mierosławskiego, który przez Garybaldego przeznaczony był na mistrza do Polski, mowa księcia w Londynie, potwierdzać zdawały się tę wiadomość. Dnia 3 lipca 1864

miał ks. Jełowicki audyencyę u Ojca św., który ze łzami w oczach rzekł: „Biedna Polska! Ma ona do zwalczenia dwóch strasznych wrogów: Moskwę schyzmatycką i, straszniejszą od niej, rewolucyę, demokracyę rewolucyjną". „Ta demokracya bezbożna, odpowiedzieć śmiałem — pisze ks. Jełowicki, — w Polsce naszej pobożnej nigdy się nie przyjmie". „Ty tak mówisz, ale mowa Władysława Czartoryskiego, miana w Londynie, inaczej powiada", rzekł z boleścią papież. „Nie była dobrą ta mowa", odrzekłem. „Gorszą być nie mogła", odpowiedział papież. „Ojcze św. i ja to poczułem, i dlatego z kazalnicy nazwałem tę mowę wielką narodową klęską. Lecz książę Czartoryski tem się tłumaczy, że mówił do Anglików protestantów, których pragnął naszej wojnie zjednać. I wierzę temu, że co innego miał w swem dobrem sercu, niż to, co tak źle powiedział; bo go znam pobożnym i do Kościoła przywiązanym". „Jeżeli tak — odrzekł papież, — to książę Czartoryski mówił przeciw sumieniowi swemu; *ad captandam benevolentiam iniquorum*. Ale podobnym krokom Bóg nie błogosławi. Pamiętajcie o tem".

Ks. Jełowicki za powrotem do Paryża rozmówił się z księciem Władysławem i donosi ks. Semenence: „Książę w najlepszem usposobieniu. Chce zaniechać raz na zawsze polityki wahającej się, a stanąć szczerze i stanowczo po stronie papieża, do którego pojedzie z wyznaniem swej winy i z poddaniem się pod jego rozkazy, skoro tylko pokończy interesa familijne z powodu śmierci żony. Przeciwko najpodlejszej kalumnii, jakoby należał do sekty, protestuje. Ani należał, ani należy; bo chce być zbawionym". (7 października 1864). Uradowany ks. Jełowicki pisał i do ks. Kajsiewicza i do mgra Franchi. Ale nie tak to łatwa była rehabilitacya. Odpisuje mu ks. Kajsiewicz 15 października 1864 r.: „Mój drogi Ojcze Aleksandrze. List twój do mgra Franchi otrzymałem już po audyencyi jego przeszłośrodowej i naszej we wtorek. Ucieszył się bardzo. W przyszłą środę przedstawi Ojcu św., ale nie sądzę, by odpisywał, bo doprawdy niema powodu. Tu się nie zapalają, jak kochany O. Aleksander. Będą czekać dowodów nowej polityki księcia. Dobrze, że się postrzegł, niech naprawia; ale niema powodu na kredyt go kanonizować

i otrębywać jego konwersyi. Ja się też nie czuję winnym względem księcia i nie mam za co go przepraszać. Mówiłem tobie powody, dla których musimy unikać wszelkiej solidarności z księciem, alem tego nie trąbił publicznie. Opowiadania szczegółowe w pałacu Odescalchi jednego z łajdaków, jak zowiesz, z którym książę działał zgodnie przez cały czas powstania i razem z nim obywatelstwo do samobójstwa popchnął, kazały się lękać, obok mowy księcia w Londynie, listu do Dupina (bardzo nowożytnego), a szczególniej ogłoszenie głupiej i niepoczciwej depeszy Rządu narodowego, przyznającej się do rzucenia bomby na Berga i skrytobójstw dokonywanych przez żandarmów wieszających i t. d., upoważniało aż nadto podejrzenia. Dziś, gdy tylu księży wlazło do sekty dla ratowania ojczyzny, wielkie dziwo, gdyby człowiek świecki tam się wpakował? Książę potrzebuje ekspiacyi, potrzebuje dać gwarancye katolikom; nie można bez płochości stawiać publicznie księcia jako wyobraziciela katolicyzmu polskiego. Mało kogo ks. Aleksander nawróci z Polaków, a Rzymu pewno nie. W Rzymie za Grzegorza XVI. pamiętali doskonale ukaz nieprzychylny Kościołowi za ministerstwa księcia Adama; a chciałbyś, by po kilku miesiącach zapomnieli fałszywe kroki syna? Rzym nie jest namiętny ni mściwy, wszelkie upamiętanie i współdziałanie w dobrem przyjmuje, ale za doświadczony jest, podejrzliwy i długo przypatruje się, nim uwierzy. Więc dla nadziei pomocy w seminaryum nie zapalaj się".

Książę Czartoryski rzeczywiście do Rzymu przyjechał. „Książę Władysław już tu przybył — pisze ks. Kajsiewicz, zawsze do ks. Jełowickiego, 4 marca 1865 — i widzieliśmy się. Z., którego naprzód przysłał był na zwiady, powiedziałem: ‚w miarę, jak książę stanowczo się skompromituje jako katolik i papieżnik, ja z księciem swobodniejszym będę'. A księciu samemu dodałem: że jak skoro naprawi swoje stanowisko w Rzymie, łatwiej mi przyjdzie mieć z nim do czynienia. Przyjął to jako słuszne". A 21 marca: „Nie miło mi osobiście, że na pozór wychodzę na łgarza. Ojciec św. obiecał łaskawie przyjąć księcia Władysława, a obecnie całkiem go widzieć nie chce. Mgr. Franchi próbował dopomódz, ale Ojciec św. się zaciął. Starają się obecnie puścić

naprzód p. Działyńską; sądzę, że w końcu papież da się udobruchać".

Trudności jednak były większe, niż się ks. Kajsiewicz spodziewał. Dnia 28 marca donosi ks. Jełowicki: „Pisałem ci już bodaj, że Ojciec św. imię ks. Władysława sam wykreślił z listy przedstawionych do posłuchania. Mgr. Franchi zagadał o tem papieża, a ten, patrząc na niego ostro i kładąc rękę na ramieniu, rzekł: „nie miał i mieć nie będzie". A jakby dla zapewnienia, że nie czyni tego ze względów dyplomatycznych, dodał: „Widzisz *monsignore,* książę i jego agencya więcej złego robią Polsce od wszystkich Murawiewów razem". Zrozumiał tedy, że już dalej się mięszać nie może, i nas ostrzegł, byśmy się nie mięszali, bo inaczej „sami oberwiemy". Obecnie starają się innemi drogami, aby się naprzód dostała p. Działyńska. Być może, że *de guerre lasse* papież i przyjmie *pro forma* księcia (i mgr. Franchi i my sobie tego życzymy); ale wierzaj mi, papież okrom tego, co my tu wiemy, musi więcej wiedzieć... Książę był agentem konspiracyi piemonckiej, która wywołała ostatnie powstanie w Polsce, a teraz chciałby stanąć na czele ruchu religijnego w Polsce i, nie uczyniwszy wprzód najmniejszej publicznej retraktacyi publicznych aktów niekatolickich, chce dziś w cztery oczy przeprosić papieża, aby potem występował wobec katolików jako przyjęty reprezentant przez Ojca św. Coś takiego musi mieć na względzie Ojciec św., jeżeli zmienił zdanie i zamiast przyjęcia i wyłajania, jak sobie życzyliśmy, nie chce nawet przyjąć... Ty się zawsze łudzisz nadzieją ich nawrócenia. Mój drogi, organizacye polityczne źle złożone, źle zawiązane, nie nawracają się; ludzie pojedyńczy z nich mogą się nawrócić, ale wprzódy muszą wyjść z takowej organizacyi. A czas kompromisów przeszedł. Widzisz, do czego Kościół kompromisami doszedł, i obecnie męczeństwem chyba się oswobodzi. Więc dla żadnych względów ludzkich przyjaźni, tem bardziej spodziewanej korzyści doczesnej, nie kalajmy czystości stanowiska naszego wobec Boga i Kościoła. Zaufajmy Bogu, a *sancta sancte* traktujmy i z nieobrzezanymi politykami nie miejmy spółki. Pomyśl o tem przed Bogiem. Wierzaj mi, nie żadna namiętność mną powoduje; owszem, mam arcy-babskie

miękkie serce polskie i radbym być z ludźmi w zgodzie; ale zasad i sprawy Bożej poświęcać nie można". „Jużem ci pisał — powtarza w innym liście, — że i ja wolałbym, aby papież księcia przyjął i napomniał, ile że zapewne nam przypiszą to nieprzyjęcie, jak już *Czas* pisze „o wpływach niedyplomatycznych, ale duchownych". Aleć ja nia jestem guwernerem papieża. Owszem, ponieważ postąpił przeciwnie łagodnej swej naturze, wierzę, że musi mieć jakieś ważne powody lub dowody, o których ja nie wiem, a domyślać się niebezpiecznie, bo można posądzić i pobłądzić".

Wkońcu przecież Pius IX. przyjął księcia. Donosi o tem ks. Kajsiewicz 11 kwietnia: „Co do księcia zapomniałem ci donieść, że będąc po raz pierwszy u mgra Franchi, tak się przed nim tłumaczył: „Posądzają, że jestem masonem. Ja nie wiem, co to jest masonerya. Znałem kilku masonów w Anglii, ale to pijacy i t. d." Więc jeżeli nie jest masonem, to zawsze dowodzi, że jest strasznie ograniczony, jeżeli nie wie, że ci p i j a c y dyrygują tą straszną walką przeciwko Kościołowi; a to pretendentowi do reprezentowania Polski bardzo niezaszczytne. Po wykreśleniu księcia z listy audyencyi, starali się o nią dla p. Działyńskiej, ale jak się Ojciec św. dowiedział, że to siostra księcia, znowu wykreślił. Nareszcie mgr. Pacea podał ich śród 300 innych osób na audyencyę ogólną. Papież czytał wszystkie imiona, a znalazłszy Czartoryskiego i Działyńskich, powiedział: *Dunque vogliono per forza vedermi, sia, ma avvisateli, che non m'indirizzino parola*".

Nie długo potem stosunki Zmartwychwstańców z księciem się polepszyły. Dnia 25 marca 1867 pisze ks. Semenenko w dzienniku swoim: „Wczoraj drugie kazanie tego roku. Byli na niem: Ks. Władysław Czartoryski (z którym potem dobra rozmowa, wyjechał wieczorem) i t. d..." A 6 lutego 1868 donosi z Paryża: „Co do interesu domu na seminaryum jedyna droga: cesarzowa. Ona coraz więcej teraz rządzi, on sam zanadto niedomaga. Ze wszystkich dróg zostały mi dwie, które się zdają najlepsze: Ks. Bauer i ks. Władysław. Ten ostatni ma u cesarzowej wielkie wstępy i zachowanie z powodu nieboszczki swojej żony, i byłaby

droga naturalna dla nas, bo polska; a z drugiej strony już nie wstrętna, bo teraz wszystko dowodzi, że ks. Władysław stoi na prawdziwem i szczerem stanowisku religijnem i kościelnem". Chodziło wtedy o kupienie domu dla kolegium, co nie przyszło do skutku; ale kolegium już istniało. W najcięższych zaś czasach swojej fundacyi, przez szczególniejsze okoliczności, pozbawione było, jak widzieliśmy, możnego poparcia książąt Czartoryskich.

*Ks. Paweł Smolikowski.*

# ŁUŻYCE.

(Dokończenie).

Obok Serbskiej Macierzy i filii jej w Chociebużu *(Dolnołużyski Wotred Maćicy Serbskeje)*, grupują się inne dawniejsze, nowsze stowarzyszenia, niby młodsze siostry obok najstarszej. Łużycka młodzież, ucząca się w Lipsku i Wittenberdze, próbowała na kilka zawodów, już przeszłego wieku, łączyć się w naukowo-patryotyczne związki, mające na celu pielęgnowanie macierzystego języka, zaznajamianie się z rodzinnemi dziejami i literaturą. Podobne stowarzyszenie powstało w r. 1838 w Wrocławiu; w rok potem w gimnazyum budyszyńskiem; w r. 1846 w pragskiem katolickiem seminaryum; w r. 1849 w gimnazyum chociebużskiem... Istniejących dziś różnorodnych patryotyczno-naukowo-towarzyskich *bjesad, zjednoćenstw*, wyliczyć niesposób; każda większa serbska osada mieć musi to *Towarstwo Serbskich Burow*, to *Serbską Bjesadę*, to *Serbskokatholską Bjesadę*, to *Serbske spěwanske towarstwo*, to jedno, drugie i trzecie. A obok tych dwóch, tych trzech, z pewnością jakieś czwarte z pieluch wychodzi, i nie minie parę tygodni, z młodzieńczym zapałem propagować będzie serbską mowę, serbską książkę, serbską pieśń.

W Budyszynie, jak na złość, w czasie całego mego pobytu, żadne z miejscowych stowarzyszeń nie zebrało się, już nie mówię na walne zebranie, ale na najmniejszą, na najskromniejszą, bodaj na jakąś komitetową sesyjkę. Za to w Dreźnie, ledwiem się zgłosił do sekretarza serbsko-katolickiej *Jednoty*, ledwiem uścisnął

spracowaną dłoń wiceprezesa *serbskeho towarstwa Čornobóh;* już jeden i drugi na zebranie zaprasza. Oczywiście będę, z całą przyjemnością będę; stawię się punkt na oznaczoną godzinę. Stawię się, choć w tym samym dniu i w tej samej godzinie, na którą zwołane jest posiedzenie *Čornobóha,* polski klub odbywa swe zebranie i uprzejmy polski prezes i serce własne do rodaków ciągnie. Ale serce i tak za długo w Polsce panowało; w naszym wieku rozum górą; on ma być panem, a serce sługą. Nie przyjechałem do Drezna dla Polaków; więc choć nie bez pewnego żalu, łudząc się tłumaczeniem, że Drezno nie na drugim krańcu świata, i zawsze zdarzyć się może sposobność klub polski odwiedzić, kieruję wieczorem kroki, nie do „francuskiego“ czy „angielskiego“ hotelu, w którym Polacy się gromadzą, ale na prawo od królewskiego zamku, na Toepferstrasse, do dość skromnego zajazdu Bartha.

Sala na zebranie przeznaczona, śmiało rościć może sobie prawo do nazwy: sala łużycka. Wokoło ścian biegną to obrazy, to fotografie, przedstawiające dziarskich łużyckich junaków, strojne łużyckie dziewoje; fotografie ślubnych i pogrzebowych orszaków; łużyckich wiosek i zagród. Z dwóch stron drzwi, wiodących do bocznej salki, dwie wielkie tablice: na jednej wypisani prezesowie, sekretarze, kasyerzy, członkowie *Jednoty;* na drugiej prezesowie, sekretarze, kasyerzy, członkowie *Čornobóha. Jednota* jest ściśle i wyraźnie stowarzyszeniem katolickiem; *Čornobóh* tytułuje się urzędowo stowarzyszeniem łużyckiem *ut sic,* ale w rzeczywistości zabarwiony jest na protestancki kolor. Nie stoi to jednak bynajmniej na wstręcie kordyalnym stosunkom obu stowarzyszeń; w jednej sali się gromadzą, wspólnemi siłami i środkami ją zdobią, zapraszają się wzajemnie na urządzane przez siebie zabawy i uroczystości. Kto Łużyczanin, kto Słowianin, kto Niemiec nawet, ale dobrze Łużyczanom życzy i nie nosi się z myślą utopienia ich w łyżce wody, mile widziany w *Jednocie,* chętnie przyjmowany w *Čornobóhu.* Za mało Łużyczan, aby rozłączeni, na swe nieszczęście, we wierze, nie łączyli się, i to szczerze, gdzie łączyć się mogą i powinni, w obronie wspólnego macierzyńskiego języka, wspólnych narodowych ideałów. Skuło

ich ze sobą najsilniejsze ogniwo: wspólnie ponoszone przez lat tyle prześladowanie, poniżenie.

Ot i teraz z naradzającej się cicho za stołem gromadki członków *Čornobóha*, który tu dziś na zwykłe, dwutygodniowe posiedzenie się schodzi, wychyla się, znany mi już poprzednio, sekretarz *Jednoty*, p. Saring, serdecznie wita i tabaczką częstuje. Wita z drugiej strony wiceprezes *Čornobóha*, p. Symny. Z niemałą biedą udało mi się dziś rano odszukać go, w położonej już prawie za miastem fabryce obuwia; wyszedł do sieni w robotniczym fartuchu, z czarnemi rękami i popielatą twarzą, i w sieni, na poczekaniu, urządził wyczerpujący wykład o celach, zasadach, historyi ukochanego swego stowarzyszenia. Obecnie strojem nie różni się niczem od pierwszego lepszego „hofrata“, a wnet przemawiać będzie o wiele płynniej i dosadniej od niejednego „hofrata“. P. Saring, p. Symny, sam gospodarz, p. Barth — także Łużyczanin — zapoznają mię z nadciągającymi towarzyszami i gośćmi. — „Dobry wieczór!“ — „dobry wieczór!“ — słychać na prawo, na lewo; aż wierzyć się nie chce, że się jest w Dreźnie, że się nie jest wśród polskiej kolonii.

Towarzysze schodzą się zwolna. Nie można się im dziwić; koło szóstej, koło siódmej dopiero złożyli dratwy i nożyce, zatrzymali pędzące od wczesnego poranku fabryczne maszyny; trzeba było jeszcze do domu podążyć, umyć się, przebrać, coś przegryźć i dopiero z ostatnich nieraz krańców Nowego Drezna do środka Starego Drezna podążyć. Jeśli czemu się dziwić, to temu, że wogóle chce im się przychodzić. Prawda, ci co zapisali się do *Jednoty* lub *Čornobóha*, ci zwłaszcza, których w sali widzę, to kwiat drezdeńskich Łużyczan; to, powiedziećby można, sztab, który radzić ma o zebraniu i wyćwiczeniu wojska.

„Pragnęlibyśmy — wynurzał się poprzednio p. Symny — gromadzić w stowarzyszeniu naszem jak najwięcej współziomków, bo jedyna to niemal tama, postawiona przeciw zupełnemu niemczeniu się ich w Dreźnie. Sześć lat już *Čornobóh* istnieje. Robimy od tego czasu istotnie, co możemy, ale mało możemy, a usiłowania nasze napotykają z najróżniejszych stron na bardzo wielkie trudności. Kiedy urządzamy wendyjski bal lub przedstawie-

nie, możemy spokojnie rachować na przepełnioną salę; co innego z odczytami, ze zwykłemi naszemi posiedzeniami. Człowiek spracowany i nie zawsze mu się chce prosto od maszyny pędzić na mądre rozprawy; naprawdę nie można na to na nikogo zanadto się gniewać. Zapisanych w księgach członków liczymy około sześćdziesięciu; zwykle na posiedzenia przychodzi trzydziestu, czasem nawet więcej. Na nasze stosunki jest to bez wątpienia poważna cyfra!“

P. Saring zaznajamiał mię ze swej strony ze statutami, z właściwościami, z materyalnym i moralnym obrazem założonego w 1878 r. stowarzyszenia katolickich Łużyczan: *Jednota*. Wszystkich członków od pierwszego roku istnienia *Jednoty* po lipiec 1895 r. przesunęło się 94; z tych żyje i do stowarzyszenia należy 62. Finansowych trudności, z któremi *Čornobóh* nieraz musi się borykać, *Jednota* nie zna, dzięki poparciu zamożniejszych członków honorowych, w pierwszej linii księży.

To bieda, że niemiecki język pozyskał sobie w łużyckim tym związku zanadto poważne i niebezpieczne przywileje. Tak np. *Čornobóh* wydrukował swe statuty po łużycku, *Jednota* po niemiecku. Protokóły z posiedzeń *Čornobóh* spisuje po łużycku, *Jednota* znowu po niemiecku. Obrady, którym uczestniczyłem, toczyły się w *Čornobóhu* wyłącznie w języku łużyckim, w *Jednocie* przeważnie w języku niemieckim. Prawda, że na zebraniu *Jednoty* obecnym był zaproszony osobno prezes jednego z drezdeńskich towarzystw śpiewackich, który po łużycku nie rozumiał, i ze względu na niego, jak mi tłumaczono, ojczysty język cofnąć się musiał na dziesiąty plan. Niech sobie tak będzie, choć grzeczność ta żywo przypomina grzeczność polskich pań, które dlatego, aby kiedyś przybyłego w gościnę Francuza złym akcentem nie urazić, cały rok, całe lata między sobą po francusku szczebiocą; niech sobie tak będzie, niech będą od czasu do czasu niemieckie odczyty, jeśli trudno uprosić łużyckiego prelegenta — ale po co, dlaczego i dla kogo niemieckie statuta, niemieckie protokóły, niemieckie w sali zebrań napisy, obwieszczające, że zbiera się tutaj: *Verein Jednota?*... Ciekawa rzecz, czy i co też myśli sobie ta łużycka dziewczyna, przynosząca z niemiecką

punktualnością olbrzymią szklanicę piwa każdemu świeżo przybyłemu gościowi; czy i co myśli, kiedy na łużyckiem zebraniu obija się ciągle o jej uszy, bardzo może samo w sobie dźwięczne, ale tutaj i teraz bądź co bądź oryginalnie brzmiące: *der, die, das?*

Rozmyślania, wynurzenia przerywa głos dzwonka i gromkim głosem wydana komenda: Zaczynajmy! Robi się cisza; każdy z Čarnoboszan instynktownie chwyta za kufel i z należnem, niemieckiem raczej niż słowiańskiem skupieniem, bada jego to czarną, to czerwono-żółtą, to blado-żółtą zawartość; bada, a jednocześnie w myśli roztrząsa wychodzącą od prezesowskiego stołu propozycyę urządzenia wielkiej, wspólnej, łużyckiej wycieczki. Należy głębiej i wszechstronniej nad propozycyą tą się zastanowić, bo ostatnia, z niemałemi wysiłkami urządzona zabawa, zupełnie nadzieje zawiodła; kasy nie zasiliła, owszem przyniosła trzy marki deficytu. Ale zrażać się tem nie można; byle zbytków nie robić, byle wielu uczestników się zgłosiło, nie będzie straty i jeszcze coś kapnie na narodowe cele, jak kapnęło przeszłego roku, kiedy z *wulétu* okroiło się 100 marek czystego dochodu. Na obiad wystarczy aż nadto: zupa, dwa mięsne *gangi,* kompot; przytem piwo, bo na wino niewielu się skusi. Powstaje kwestya, jakie wziąć piwo, i po krótkiej a za to bardzo ożywionej dyskusyi, przyprowadzoną zostaje do pożądanego rozwiązania: zaopatrzyć się trzeba i w cięższe i w lżejsze. Czy i w jakich pismach wycieczkę anonsować? Uchwalone jednomyślnie, przez aklamacyę, że wystarczy posłać uwiadomienie do *Serbskich Nowin.* Co do *fahrgeldu,* nic stanowczego powiedzieć nie można, dopokąd nie będzie dokładnie znaną liczba pragnących wziąć udział w projektowanej majówce.

Mówców dużo, coraz inni do słowa się zgłaszają; obecne panie, kilkakrotnie zainterpelowane, dają fachowe kucharsko-gospodarcze wyjaśnienia. Niby nie bardzo ważne to debaty; nawet dla obcego nie bardzo interesujące. Istotnie nie zagrażają one europejskiemu pokojowi, nowej ery w prawodawstwie nie stworzą; lecz swoją drogą, bacznie im się przysłuchując, trudno obronić się od pewnego wzruszenia i nie oddać należnego hołdu i mówcom i słuchaczom. To jedyny parlament, w którym rozbrzmiewa łużyckie

słowo; jedyna niemal sposobność do publicznego wypowiedzenia swych myśli we własnym języku. Ciężko niektórym idzie. Tak się przyzwyczaili do niemczyzny, że raz po raz niemieckiemi wyrazami szpikują swe przemówienia; gdy trzeba pieniądze liczyć, i szybko cyfrę po cyfrze z ust wyrzucać, nie idzie, ani rusz, po łużycku. Pomagają więc sobie, jak mogą, ale nie ustępują z placu; po paru niemieckich wyrazach płynie znowu łużycka fala, dla Polaka tak miła, tak swojska, tak bez żadnego wysilenia wpadająca do ucha i umysłu.

A jak miło, gdy po skończonych dysputach odzywa się ze wszystkich ust narodowa pieśń, co i nutę i myśl od nas sobie zapożyczyła:

Hišće Serbstwo njezhubjene
Swój škit we nas ma;
Nowy duch wšo wosłabnjene
Syluje, pozběha:
Bóh je z nami, wjedže nas,
Njepřećel so hižom hori;
Serbjo, Serbjo wosłanu,
Serbjo dobudu!

Jeno złósć [1] so na nas měri
By nas póžrjeła,
Niech pak zawistna so šćěri,
Niech so přisłodźa:
Bóh je z nami i t. d. . . .

Serbska Klio nowe mjena
Wšědnje zapisa;
Łužica njej' přewinjena
A so njepodda:
Bóh je z nami i t. d. [2].

[1] Pierwotny tekst, skomponowany w r. 1848, brzmi właściwie:
Nemčina so na nas měri... i t. d.

[2] Jeszcze Serbia nie zginęła,
W nas swą tarczę ma,
Temu, co w nas przemoc zgięła,
Nowy duch sił da:
Bóg jest z nami, wiedzie nas,
Więc choć wróg się sroży wszędzie,
Lecz nadejdzie kiedyś czas,
Gdy Serb wolnym będzie!

Przebrzmiała pieśń, rozpoczynają się łużyckie, polskie toasty, piwem wznoszone, ale gorące, że i ognisty tokaj by się ich nie powstydził, pełne młodzieńczego entuzyazmu, którym i najpiękniej, wedle wszelkich reguł perlący się szampan, nie zawsze natchnąć potrafi. Cześć przedstawicielowi, przywódcy bratniej *Jednoty!* Cześć, sława polskiemu gościowi, sława Polsce, której tylu synów dobrze się Łużyczanom zasłużyło! Wspólna miłość niech łączy, niegdyś, niegdyś na krótką chwilę ze sobą złączone narody, złączone dziś ponoszonem prześladowaniem, ciężką, ale w Bogu nadzieja, nie beznadziejną walką, o te same prawa. I znowu patryotyczna pieśń przeplata toastowe przemowy. Łużycka pieśń, polska nuta:

Naše Serbstwo z procha stawa,
Stawa žiwa narodnosć;
Sylny duch nam mocy dawa,
Zbudzi swjatu horliwosć.
Wótcny kraj, krasny raj,
Sława! kóždy zawyskaj!
Wótcny kraj, krasny raj,
Sława! kóždy zawyskaj!

Serbjo krući, młodži dźeja
Z nadźiju do přichoda;
Wyšše hłosy hrimoceja,
Wšitke žiły zaržuja.
Wótcny kraj . . .

Nowe słónco ze skhadźane
Rjeńše pruhi wupřestrje;

---

Chociaż złość się na nas mierzy,
Bo nas pożreć chce,
Niech z zawiścią wciąż się szerzy,
Sidła stawia swe:
Bóg jest z nami, wiedzie nas i t. d.

Serbska Klio zapisała
Nowe miana znów,
Choć Łużyce wymazała,
Te nie ugną głów:
Bóg jest z nami, wiedzie nas i t. d.

Tłumaczenie polskie tych i dalszych pieśni zawdzięczam uprzejmości p. T. Sopodźki.

Swobodnosć to słónco rjane,
Krasni njebjo łužiske.
Wótcny kraj . . .

Bratrowstwo sej zawdawamy
W wotćinskich tych wutrobach,
Jednotu sej přisahamy,
K dobrom' skutkej w Łužicach.
Wótcny kraj . . . [1]

Hej! hej! gdzie to słońce wolności, którego jutrzenka pół wieku temu nad Łużycami weszła; co stało się z nadziejami, rozpierającemi pierś patryoty-poety? Źle! smutno; czarnemi chmurami niebo nad Łużycami pokryte, i ledwie kiedyniekiedy jaśniejszy jaki promyk przez nie się przedrze. Źle, smutno! ale nie zginął jeszcze, nie może zginąć serbski kraj, serbski lud!

Trać dyrbi Serbstwo zawostać,
A serbska khorhoj zmahować,
Kaž dołho z drjewom zelene
Te hory steja łužiske;

---

[1] Nasza Serbia z prochu wstaje,
Nasz się naród dźwiga już,
Silny duch nam sił dodaje,
Budząc zapał w głębi dusz.
Kraj ojczysty, piękny raj,
Sławę, cześć mu każdy daj!
Kraj ojczysty, piękny raj,
Sławę, cześć mu każdy daj!

Z nadziejami w lepsze losy
Z piersi Serbów płynie śpiew,
Coraz silniej dźwięczą głosy,
W żyłach szybciej krąży krew.
Kraj ojczysty, piękny raj i t. d.

W niedalekiej już przyszłości
Rzuci słońce blasków snop,
O! to słońce jest wolności,
Co ozłoci niebios strop!
Kraj ojczysty, piękny raj i t. d.

Niechaj miłość serca młode
Bratnim węzłem złączy już,
I dla dobra Łużyc zgodę
Przysięgnijmy z głębi dusz!
Kraj ojczysty, piękny raj i t. d.

Dońž kamjeń tam na kamjeniu
So zběha k njebju módremu
A Sprewje žórło sléborne
Od Serbow žołmy ponjese!...

Trać dyrbi wašnje wótcowske
A kóždе prawo khwalobne,
Dońž žadyn zwón we kraju rži
A witaju ke swate mši.

Trać dyrbi Serbstwo zawostać
Dońž budże ćesić žana mać
Sej łužičanske dźěćatko
A kolebać jo spěwajo;

Kaž dołho mocy myslenja
Duch łužičanski žadyn ma
A žadyn jazyk hiba so:
Trać dyrbi naše Serbowstwo!...[1]

Kilka dni później siedziałem w tej samej łużyckiej sali, przy tym samym stole, białemi spodkami, dużemi kuflami obramowanym, na posiedzeniu *Jednoty*. Rozprawy toczyły się o łużyckim śpiewie w kościele, łużyckich kazaniach, podniesieniu patryotycznego ducha między przebywającymi w Dreźnie ziom-

[1] Dopóty Serbia musi trwać,
Jej sztandar będzie wiał z pod chmur,
Dopóki jeszcze mogą stać
Lesiste stoki naszych gór.

Dopóki do niebieskich sfer
Ich szczyt skalisty będzie rósł,
A srebrnej Sprewy lekki szmer
Skarg serbskich echo będzie niósł.

Dopóty prac ojcowskich plon
I praw ich ślad nie zatrze się,
Dopóki w kraju naszym dzwon
Na świętą wzywać będzie Mszę.

Dopóty Serbia losom złym
Nie może uledz, póki tu
Łużyckie matki śpiewem swym
Kołyszą dzieci swe do snu.

Dopóki serbski duch w nas tkwi,
I myśli w słowa umie wlać,
Dopóki mowa serbska brzmi,
Dopóty Serbia musi trwać!

kami. Rodowity Niemiec, honorowy członek *Jednoty*, nauczyciel Roessler, w gorącej, kipiącej od szlachetnego wzruszenia przemowie, zachęcał zebranych do czujnego strzeżenia najdroższego skarbu, macierzyńskiej mowy.

„Niemcem jestem, ale znam Łużyczan i cenię ich. Niemcem jestem, kocham swój język, swoim językiem tu dziś przemawiam, lecz właśnie dlatego rozumiem i cenię, kiedy i Łużyczanie swój język kochają; rozumiem, że chcą Boga chwalić w tym języku, który Bóg im dał. Znałem Hórnika, tego wielkiego patryotę, za którego Łużyczanie nigdy Bogu dosyć wdzięcznymi być nie mogą. Głęboko utkwiły mi w pamięci jego żale: My nie dbamy dosyć o swój język; my i tam, gdzie moglibyśmy po łużycku się odzywać, mówimy po niemiecku z przyzwyczajenia, z karygodnej lekkomyślności, z głupiego jakiegoś wstydu. Patrzcie na Polaków, jak oni dbają o swą narodowość; patrzcie i naśladujcie!“

Zachęta: „Naśladujcie Polaków!“ wraca na kilka zawodów, w kilku przemowach. Młody ksiądz, który niedawno z Budyszyna przybył, konstatuje z głębokim bólem bardzo smutne drezdeńskie stosunki. Patrzcie na Polaków, patrzcie na protestanckich Łużyczan. Co też pomyśli sobie obecny tu polski ksiądz, który w protestanckim *Čornobóh* słyszał ciągle łużycką mowę, a u nas słyszy niemiecką? Do luterskiego zboru przychodzi na łużyckie nabożeństwa kilkuset; do kościoła naszego trzydziestu, dwudziestu. A jednak w Dreźnie doliczyćby się można do 2000 łużyckich katolików. Jakże Bóg ma nam błogosławić?...

Ożywione rozprawy o bardzo aktualnych, najżywiej wszystkich obecnych dotykających sprawach, wyparły tym razem z porządku dziennego naukowy odczyt, na tle którego zwykle dopiero rozwija się dyskusya. Na poprzedniem zebraniu, 11 czerwca b. r., mówił p. Saring: o Kościele katolickim od początku swego istnienia aż do naszych czasów. Nadzwyczaj zajmującemi, niesłychanie pięknemi — jak z nieco podejrzaną regularnością zaręczają starannie spisywane protokóły — być miały dawniejsze odczyty o kwestyi społecznej wśród Wendów, o paru encyklikach Leona XIII., o reformacyi, darwinizmie, katolickim kongresie w Gdańsku, misyach katolickich w Afryce. Równie pięknie

i wspaniale — jeśli wierzyć urzędowym, przez sekretarza podpisywanym protokółom — udają się urządzane przez *Jednotę* zabawy, przedstawienia, wycieczki.

A czemużby nie wierzyć? Wendowie dość ogólną mają opinię, że bawić się lubią i umieją. Niemcy robią im niejednokrotnie zarzuty z tej słowiańskiej ochoty; wzmiankują półgłosem, że ochota przechodzi czasem zakreślone prawem i dobrym obyczajem granice; że wyrzuciła niejednego Wenda z odziedziczonej po ojcach ziemi. Widać nietylko w Polsce znane i na szeroką skalę praktykowane przysłowie: „Kiedy bieda, to hoc!“ Bieda, twarda bieda, więc naciągajcie struny, opatrujcie smyczki i dalej w szalone tany! Coby to była za majówka, co za święto, co za patryotyczna uroczystość, żeby nie kończyła się hucznym balem?! Obchodzi budyszyński katolicki związek męski dziewiątą rocznicę swego założenia; więc jest w ogrodzie koncert wspaniały, aż z dziesięciu marszów, uwertur, fantazyj złożony; po koncercie domorosły Bosco z kuglarsko-komedyanckiemi sztuczkami się produkuje; po sztuczkach właściwe jądro uroczystości, właściwa, zbyt długo opóźniona treść zabawy: *walčik, pólka, rhein landska, tirolska, galopp...* Urządza *Čornobóh* majówkę: *mejski swjedźeń*; święci *zawoženski swjedźeń* — rocznicę swego założenia; święci koncertem, święci przełożoną z polskiego komedyą Bałuckiego: *Hońtwa za mužom*, święci przedstawieniem serbskiego wesela; ale niewielu bodaj słuchaczów i widzów ściągnęłyby melancholijne tenory, dźwięczne soprany, humorystyczne *wjeselohry*, gdyby nie ciągnął najsilniejszy magnes, zapowiedziane w trzecim punkcie programu *roje* (tańce): *křižna polska, walčik, polska, serbska meja, galopp...* Poeta znał swych rodaków i rodaczki:

Kaž so zahosluje,
Kóžda poskakuje,
A njej' nihdy, nihdy dosć![1]

W Dreźnie, w Budyszynie niemiecka atmosfera zdołała choć wązką szczeliną przecisnąć się i do łużyckich domów, gospód,

[1] Gdy się skrzypce odezwą
Każda podskakuje
A jej nigdy, nigdy dość.

stowarzyszeń, i oziębia słowiańską werwę; niemiecki konwenans cięży na nogach i zmusza usta do mówienia: *dość!* kiedy w gruncie wołaćby się chciało za poetą: *Nihdy, nihdy dość!* Międzynarodowe tańce, międzynarodowe stroje, a i swojska ochota pokryta międzynarodowym lakierem; czysto słowiański humor, zacięcie, ochota, wyniosły się na wieś. Opowiadali mi przyjaciele: Na wsiach, daleko od większych miast, nie zapomnieli Łużyczanie naprawdę się bawić; tam jedynie zobaczyć można jeszcze typy szczerze nasze, niemczyzną nie nadpsute. Opowiadali, i trzebaby było spuścić się na ogólnikowe zapewnienia opowiadających, i malować sobie wedle nich obraz, jak wygląda nie nadpsute niemczyzną łużyckie życie; trzebaby było, gdyby szczęśliwa ma gwiazda nie zawiodła mię pewnej pięknej niedzieli najprzód do Chociebuża, z Chociebuża do małej kolejowej stacyjki, z której dostać się pragnąłem do wsi Popojc, gdzie przebywa jeden z najruchliwszych dolno-łużyckich patryotów, nauczyciel i kantor Jordan.

Do stacyjki droga łatwa i szybka w wagonie; gorzej z Popojcami. Daleko do nich, daleko, informują na wyścigi wszyscy stacyjni urzędnicy. Koni tu nie dostanie — dodają na pociechę — i niema sposobu, jak powędrować piechotą do Křišowa, może tam uda się u oberżysty bryczkę wynająć. Niema sposobu, to niema; koniecznie iść trzeba, to idźmy za poczciwym, ale — znów bieda! — milczącym jak grób przewodnikiem, który krótszemi ścieżkami przez łąki i gaje, przez błota i kładki do Křišowa prowadzi. Otóż Křišów, otóż oberża. Z daleka słychać wesoły gwar, przez otwarte okna płyną fale serdecznego śmiechu, przed oknem wiejski muzykant wpatruje się poważnie w archaiczny instrument i raz po raz próbuje, jakby sam sobie nie dowierzał czy też dźwięki jakie z niego się wydobędą. A tymczasem, gdzie okiem sięgnąć, wszystkie drogi i dróżki czerwienią się, zielenią się, srebrzą się strojami nadciągających na niedzielną zabawę dziewczyn; wśród ruchomego srebra zieleni, nieruchomego srebra wód, zieleni lasów rozlały się czarne plamy tandetnych surdutów parobków. Dalekie śmiechy odpowiadają echem głośnym śmiechom wcześniej przybyłych; i ci i tamci zapomnieli o całotygodniowych

troskach, z góry cieszą się na parę godzin zabawy. Kiedyż wreszcie gospodarz da znak, kiedyż muzyka, co już na małym chórku się usadowiła, wezwie do pląsów?

Wezwała, ale przez chwilę nikt się nie rusza. Dziewczyny zasiadły rzędem na biegnących wokoło sali niezgrabnych ławach i udają, że szalenie są zajęte połykaniem wiśni i cichą, nerwową pogawędką z rówieśniczkami. Parobcy skupili się w jednym kącie, koło beczki z piwem, i przypominają sobie w wojskowym, niemieckim języku wojskowe czasy. Dziewczyny przerwałyby najchętniej co najrychlej pogawędkę, parobcy wybuchają co chwila głośnym śmiechem, lecz z oczu im widać, jak w głębi duszy cierpią nad wiejskim konwenansem, który nie pozwala od razu i za głośno zdradzić się z ukrytem w głębiach serca życzeniem: Tańczmy, tańczmy! Wreszcie jeden śmielszej natury podszedł do pierwszej z brzegu tanecznicy, kiwnął głową jak z łaski i w wir się z nią puścił. Nie upłynęło minuty, za pierwszą parą poszła druga, trzecia, czwarta; pierwsze wolne takty przechodzą w coraz szybsze, coraz szybsze, aż cała sala zmienia się w jakiś chaos wydętych, jak balony krótkich, jak u naszych Szlązaczek czerwonych spódnic, białych fartuchów, odsłoniętych, słońcem przepalonych ramion, różnobarwnych chust, czarnych gorsetów, czarnych surdutów, kołyszących się na głowach niby skrzydła olbrzymich jakichś ptaków, niby żagle rozpięte na łodziach, porwanych przez morskie wiry. Nie brak ozdób, ozdóbek. Tuziny różowych, purpurowych wstążek fruwają w powietrzu; dźwięczą spadające na piersi łańcuchy ze szklanych, kolorowych paciorek; wdzięczą się róże, porozrzucane po czarnym gorsecie, wyglądające z fałdów charakterystycznych chust-żagli. Czy naprawdę tak blizko jesteśmy Berlina, o mil parę od Sprembergu, Senftenbergu, Kottbusu; czy naprawdę jesteśmy w centrum niemieckiego cesarstwa? Tak, tak! odpowiada tych kilka dziewczyn, co ubrane wedle berlińskiej mody odbijają od swych koleżanek, jak grzyby od kwiatów, i właśnie dlatego najświęciej są przekonane, że pełnią wzniosłą funkcyę misyonarek cywilizacyi, i robią niemałą łaskę wiejskim gąskom, gdy raczą z niemi się wdawać.

— *Ja! ja!* — przywtarzają przez zęby świeżo urlopowani pa-

robcy, krztusząc się dymem fajek, odświeżając spiekłe usta przechodzącym po koleżeńsku z rąk do rąk kufelkiem, odświeżając z berlińskim dyalektem „grenadyerskie“ reminiscencye.

— *Juhuhu!* — *Juhuhu!*

To rozochoceni tancerze wynurzają, co sił w gardle, swe uczucia, dziękują tancerce i składają jej przynależny komplement w ten sposób nieco prymitywny, ale szczerszy od wielu, wielu z francuskich rozmówek wyjętych frazesów. Siedli i obcierają białemi chustkami pot lejący się z twarzy. Dobrze, że siedli, bo takie tumany kurzu, że trudno oddychać. Co! jakże, czy dalej tańców nie będzie? Niesposób! zabawa ledwie na dobre rozpoczęta. Dwie dziewczyny w balowych swych strojach za miotły chwyciły, i zgarniają na jedną kupę osiadłe tumany prochu, pestki z wiśni, listki z róż; dwie drugie poprawiają szczotkami; za miotłami, za szczotkami sunie poważny gospodarz, i gęsto kawałkami łoju czy stearyny, w każdym razie kawałkami czegoś białego, tłustawego, podłogę wysypuje. Niech sobie panowie tańczą na woskowanych posadzkach; raźniej, weselej hulają tu na wyłojowanej podłodze.

— *Juhuhu!* — *Juhuhu!*

Rozmyślałem z początku: gniewać się, czy nie gniewać, że wysłany po woźnicę, po konie chłopak tak niemiłosiernie się guzdra; podejrzywałem nawet, że owe z patosem zapowiedziane „wysłanie“ było zagłobowskim fortelem dla uspokojenia z jednej strony niecierpliwiącego się podróżnika, dla dania z drugiej strony sposobności, młodemu furmanowi, do swobodnego wyhasania się, dopóki goniec, wypocząwszy sobie z godzinkę na świeżem powietrzu, nie zechce wreszcie go odnaleść. Ale cóż gniewy, cóż podejrzenia pomogą? Gniewałem się parę dni temu w podobnej okoliczności, ulżyłem sobie, wygadując na „niemieckie gospodarstwo“ wszystko, co Niemcy gadać zwykli na polskie nieporządki, ale realnie rzecz biorąc, nie przyspieszyło to wyjazdu ani o pół minuty. Nie gniewałem się teraz — zdrowie i humor skorzystał, a wielkie pytanie, czy wyjazd o pół minuty się opóźnił.

Popojce, podobnie jak Křišów, wieś czysto słowiańska, łużycka. Pan Jordan był na wyjezdnem, właściwie nawet z domu

już wyjechał, ale szybkonoga Łużyczanka, dostrzegłszy nadjeżdżającego gościa, popędziła co tchu za niknącym w obłokach pyłu wózkiem, zatrzymała i szczęśliwie sprowadziła zbiega.

„W moim domu — przestrzega gospodarz bez ogródek po pierwszych, rozumie się, łużyckich słowach przywitania — nie znajdziesz, niema nic ciekawego. Ot! taki sobie domek, jak każdego wiejskiego nauczyciela na południu Niemiec i na północy, na wschodzie i na zachodzie; tyle, że trochę łużyckich gazet na stoliku, trochę na półkach łużyckich książek. Chodźmy od razu na wieś, wstąpmy do pierwszej z brzegu zagrody; nie zobaczysz, jak nasi chłopi pracują, bo dziś niedziela, ale przypatrzysz się, jak mieszkają, jak odpoczywają po całotygodniowej pracy“.

Czy naprawdę wchodzimy do chłopskiej chałupy, chłopskiej zagrody? Iluż naszych szlachciców, iluż „obywateli“, pieczętujących się najautentyczniejszym herbem, z całą przyjemnością zamieniałoby swój dwór na tę chałupę!? Sionka porządna, alkierz, pokoików parę, większy pokój, służący za salon i salę jadalną. Całą rodzinę zastaliśmy w sali jadalnej przy stole, nie wiem istotnie, przy kolacyi, czy podwieczorku; na kolacyę godzina piąta trochę zawczesna, na podwieczorek zastawa za obfita. Kobiety i mężczyźni w niedzielnych strojach, ale że to w domu i dość gorąco, więc mężczyźni bez surdutów, w pantoflach, kobiety boso. Gosposia w narodowym swym wiatrakowym czepku siedziała także boso na kanapie i badała szklanicę, napełnioną raczej czarnym niż szarym płynem, o ile domyślać się wolno — kawą. Gospodarz, młody chłop, o dwóch potężnych, błyszczących podbródkach, raczył się tymże samym napojem, a jednocześnie nakładał na potężną pajdę chleba, nieco cieńszą warstwę białego tłuszczu — któż dociecze, z jakich złożonego pierwiastków? — i o wiele potężniejszy kawał zimnej wieprzowiny. Przed gośćmi staje fenomenalnych rozmiarów szklany słój, podobny do tych, w których w gabinetach historyi naturalnej przechowują węże; słój, wypełniony po brzegi na szczęście nie spirytusem, lecz piwem. I to szczęście, że staje między nami jedna taka, nie dwie maszyny. Pije do mnie p. Jordan i słój ostrożnie mi podaje; piję ja do Jordana; reszta kompanii siedzącej kawę popija; kompania sto-

jąca, złożona z licznego szeregu przedstawicieli młodszego pokolenia, wokoło ścian, wokoło stołu uszykowana, zadowolnić się musi bacznem obserwowaniem czynów i słów pokolenia starszego.

Stodoły, spichrze, sąsieki, stajenki, chlewki, które z kolei, do szczegółów schodząc, uczynny gospodarz pokazuje, niewiele się różnią, niekompetentnem mem zdaniem, od stodół i stajen w pierwszym lepszym poznańskim, powiedzmy nawet galicyjskim porządnie utrzymywanym folwareczku. Zbór wiejski, przy którym p. Jordan pełni funkcye kantora, także nic ciekawego nie przedstawia. Za to wydrapawszy się częścią po czemś, co schodami się zowie, częścią po czemś, co powinnoby się nazywać drabiną, na wieżę do zboru przystawioną, ma się przed sobą jak na dłoni piękny kawał pięknej łużyckiej ziemi. Gęsto zasiane wioski, wsie, miasteczka wynurzają się z zieleni lasów i przeglądają w węższych, szerszych wodnych pasmach, któremi cała okolica na wszystkie strony poprzerzynana. Rzecz prosta, znajdujemy się już w sferze słynnych błot łużyckich. Niedaleko, ptasim szlakiem bardzo niedaleko, olbrzymia wieś Borek, silna forteca łużyckiego obyczaju i języka, wrzekoma „niemiecka Wenecya“, która, mówiąc nawiasem, tak do Wenecyi podobna, jak kanarek do szczupaka. W tej stronie pagórek, na którym kiedyś, przed wiekami, sterczeć miał dumnie obronny gród łużyckich królów; dziś z dawnej wspaniałości pozostała nazwa „gród“ i trochę odkopanych łańcuchów, urn, toporów [1]. Wokoło wieże, wieżyczki protestanckich zborów w Wieloszowie, Wierzbnie, Brjazynie, Golkojcach, Křišowie. Katolickiego kościoła napróżno okiem szukasz. Na całą tę okolicę znajduje się zaledwie jeden, niedawno temu zbudowany, w Chociebużu; bardzo miły i czysty, ale niewielki, kryjący się skromnie wśród domów i domków dość odległej ulicy.

Niemiłe to, ale na razie inaczej być nie może, zważywszy, że Dolne Łużyce prawie wyłącznie są protestanckie. I w Górnych, saskich Łużacach protestantyzm stanowczo przeważa; łużyckich katolików będzie podobno około 20.000; podobno, bo brak urzę-

[1] Por. artykuł: „Z pobytu na łużyckich błotach“ (Spreewald), przez T. Sopodźkę. *Przegląd Powszechny* t. XLIII., str. 68 np. i 178 np.

dowych dat statystycznych, odróżniających katolików łużyckich od niemieckich, a prywatni informatorzy nie godzą się na jedną cyfrę. Jak godzić się mają, kiedy naprawdę dowiedzieć się niepodobna, ilu jest już nie protestanckich lub katolickich, ale wogóle wszystkich Łużyczan. Niektórzy Niemcy, niektórzy z bardzo czarno patrzących Łużyczan, mówią o 50.000; cyfra to stanowczo za pesymistyczna. Łużyccy patryotyczni mówcy, popularni łużyccy pisarze, wspominają czasem o 200.000; czy to znowu nie za optymistyczny rachunek? Nie będąc ani Niemcem, ani Łużyczaninem, ani optymistą, ani pesymistą, zgodzić się można na przeszło 100.000 Łużyczan, kto wie, może i 150.000; oczywiście nie takich, których dziadowie, pradziadowie za Słowian się uważali, lecz takich, którzy po dziś dzień po łużycku mówią, do swej narodowości mniej więcej głośno się przyznają. Wracając teraz do pierwszego pytania, przyjmijmy krakowskim targiem i dla zaokrąglenia podanych liczb, że łużyckich protestantów będzie około lub przeszło 100.000; katolików około lub przeszło 20.000.

Biedni, biedni ci Łużyczanie; wszystko się na zgubę ich sprzysięgło! Niedość, że niemal nie pamiętają, czy byli kiedy samoistnem państwem; niedość, że krwawe wojny, pokojowe traktaty krajały niemiłosiernie ich ziemię i rozłączały braci od braci; w dodatku przyszła jeszcze reformacya i braci od braci nowemi murami odgrodziła. Katedralny kościół św. Piotra w Budyszynie najwymowniejszem może historycznem świadectwem, realistycznym obrazem stosunków, wprowadzonych przez reformacyę. Wybudowany w XII. czy XIII. stuleciu, oczywiście przez katolików i dla katolików, wydany został lutrom w drugiej połowie XVI. wieku przez biskupa odstępcę Jana Haugwitza, i katolicy wdzięczni jeszcze później rządowi być musieli, gdy po wielkim budyszyńskim pożarze, nakazał im oddać pół kościoła. Dziś, wchodząc do katedry, bacznie trzeba uważać, aby przejść przez drzwi katolickie, a nie przez drzwi protestanckie. Środkiem kościoła idzie wysoka krata i dzieli znacznie większą część oddaną protestantom, którzy w głównej nawie się zagospodarowali, od katolickiej, zajmującej dawniejsze prezbiteryum. W niedzielę odprawia się o bardzo rannej godzinie nabożeństwo katolickie;

następnie celebrant wynosi do zakrystyi Przen. Sakrament, a za chwilę gęste ławki w protestanckiej części katedry zaczynają się zapełniać, brzmią niemieckie psalmy, huczą monotonne, w przepisanych odstępach wybijane słowa pastorskie. Różne myśli, wrażenia się rodzą; trudno powiedzieć, aby wrażenia najmilsze!

„Tak! to niemiłe, bardzo niemiłe — przytakują budyszyńscy księża. — Niemiłe, bolesne, ale co robić mamy? Dobrze jeszcze, że teraz tutejsi pastorzy dość zgodni i bez awantur się obchodzi. W narodowej sprawie pracujemy razem i jeśli chcemy dojść, choćby do najdrobniejszych rezultatów, musimy razem pracować. Ale mój Boże! jakby to u nas inaczej wyglądało, jak czulibyśmy się szczerzej i serdeczniej braćmi, gdyby nie nieszczęsna reformacya!“

Kościół katedralny *na pierwszym planie* dla Niemców przeznaczony. W osobnym „wendyjskim“ kościołku, zostającym pod zarządem znanego nam już dobrze ks. Skali, łużycki śpiew, łużyckie kazanie. Całe gromady polskich dziewczyn, które przyszły za zarobkiem z Poznańskiego, ze Szląska i pracują przy burakach w okolicznych dworach, słuchają z uwagą pobratymczego języka i bez trudności go rozumieją. Również łużyckie odpustowe kazanie w poblizkim, starożytnym cysterskim klasztorze: *Marijnej Hwězdże;* prawda, że podobno wyłącznie na odpusty zaprasza *mariasternska* ksieni łużyckich, nie niemieckich kaznodziejów. W Dreźnie ledwie wejdziesz do wspaniałego „dworskiego kościoła“, wpada w oko na bramach, na ścianach przybite ogłoszenie:

*Serbske boże służby za katholskich Serbow budźa so w lěće 1895 dźeržeć: 3 Měrca, abo I. njedźelu posta; 26 Meja, abo tu njedźelu do swjatkow; 22 Septembra, abo tu njedźelu do Michała; 1 Decembra, abo I. njedźelu ádventa.*

Chyba to nie za często. Niema obawy, aby drezdeńscy katoliccy Łużyczanie przesycić się mogli słowem bożem w ojczystym języku; a jednak — jednak i na te kwartalne kazania schodzi się słuchaczów tak niewielu, że czasem na dziesięciu palcach można ich policzyć. „I smutno i wstyd! — żali się żarliwy kapłan, gorący łużycki patryota, który niedawno temu

przybył z Budyszyna do Drezna i wydaje mu się jakby z Włoch na Sybir się dostał. — Smutno, wstyd! Pierwsi protestanci postarali się w Dreźnie o łużyckie nabożeństwo dla swych ziomków, a my przy tej sposobności wyprosiliśmy sobie te cztery kazania. Dziś kilkuset łużyckich protestantów chodzi do zboru; u nas kilkudziesięciu trudno zebrać; odzywają się głosy, że niema po co i dla kogo mówić; niema kto i dla kogo śpiewać w czasie łużyckiego nabożeństwa...“

* * *

Prześlicznym lipcowym porankiem płynąłem parę dni później na wygodnym parowcu, unoszącym liczne grono podróżnych z Saksonii do Czech. Koło mnie stał znajomy od paru godzin, Łużyczanin, który przed dziesięciu latami poszedł za chlebem do Rosyi i teraz przybył po raz pierwszy odwiedzić rodzinne progi. Ślicznie, spokojnie toczyła się Elba, odbijając w swych nurtach nadbrzeżne bory, skały, zamki, wille. Łużyczanin patrzał na dobrze, dobrze z dziecinnych lat znajome sobie okolice, łza w oczach mu się kręciła; z piersi, z ust wypłynęła serdeczna skarga, jakby streszczenie, jakby echo żalów, skarg, któremi przesiąkła łużycka ziemia.

„Tu się urodziłem, ale Wendem jestem, więc racyi bytu tu nie miałem. Coraz tu gorzej i coraz gorzej będzie. O chleb powszedni mi chodziło. Wyemigrowałem do Rosyi. Dziś chleb mam, jestem nauczycielem w małem miasteczku w astrachańskiej gubernii. Chleb mam, ale swego języka zapomniałem; straciłem z oka swą ziemię, a jak się z oka traci, jak nie wie się, co dzieje się u swoich, niełatwo zachować w pamięci, nawet w sercu. Teraz na parę tygodni przyjechałem do Łużyc; z rodzicami z trudnością mogłem się rozmówić, bo mówią wyłącznie po łużycku; bracia, siostry w Dreźnie mieszkają i mówią wyłącznie po niemiecku. To trudno! trzeba powiedzieć sobie, choć serce boli: Toniemy i musimy utonąć!“

Tak! boli powiedzieć, lecz powiedzieć trzeba: Łużyczanie toną. Toną, ale czy utoną, czy muszą utonąć? Zamiast odpowiedzi malują mi się w pamięci żywemi farbami chaty i chatki,

rozrzucone po obu stronach Sprewy i niezliczonych jej ramion; stają przed oczami łączące chatę z chatą ulice starych olch, w których cieniu spoczywają Łużyczanki z dziećmi na ręku i do snu łużycką pieśnią je kołyszą. Łódka płynie, płynie za łódką odgłos smętnej piosenki i łączy się w jeden akord z poważną pieśnią zielonych lasów:

Trać dyrbi Serbstwo zawostać
A serbska khorhoj zmahować,
Kaž dołho z drjewom zelene
Te hory steja łužiske . . .

Trać dyrbi Serbstwo zawostać
Doñž budże ćesić žana mać
Sej łužičanske dźěćatko
A kolebać jo spěwajo . . .

*Ks. Jan Badeni.*

# PRZEZ SYBERYĘ.

Listy z podróży.

(Ciąg dalszy).

---

*Jeszcze Irkuck, 12 września 1889.*

Łowy mnie wstrzymały. Zaproponowano mi udział w polowaniu, urządzonem przez tutejsze towarzystwo myśliwskie. Choć polowanie miało być tylko na kozy, zdecydowałem się jechać, zebrany ciekawością zobaczenia nieco kraju, poznania nowych ludzi, braci w św. Hubercie, ich sposobu polowania, stanu zwierzyny i t. d.

Około 10-tej z rana ruszyłem tarantasem ogromnym, istnie familijnym, Imcipana Kazimierza Leopoldowina Trepki, w towarzystwie właściciela i adwokata tutejszego, *pur sang* Sybiraka, p. Anatowskiego. O 70 wiorst od Irkucka, na drugiej pocztowej stacyi, przy trakcie jakuckim, miejsce zebrania; w tarantasie więc, na pół leżąc, na pół siedząc, mamy czasu sporo na konwersacyę, która też płynie ochoczo. Imcipan Kazimierz Trepko, człek lat 5[illegible]-ciu, siwy zupełnie, karczysty, barczysty, kawaler, osiadły do roku 1863 nad granicą Królestwa, Księstwa i Szląska, szlachcic, skoligacony wcale pięknie, rzucił studya uniwersyteckie w Heidelbergu, by podążyć do powstania. Ranny, wzięty w niewolę, wywieziony na Sybir, pędził żywot jak wielu innych, a pierwszym był w Irkucku właścicielem hotelu, urządzonego po europejsku, noszącego nazwę „gościńca Deko“. Jego to wspominają wszyscy

przejezdni Francuzi, nazywając go, jak wogóle naszych w Syberyi, cywilizatorem tego kraju. Ogólnie szanowany p. Kazimierz, używa istotnie reputacyi nieskazitelnego, prawości wypróbowanej człowieka. Stosunkowo wykształcony, oczytany, zachował w pewnym stopniu szersze od innych poglądy; znać na nim i szlachcica. Niestety, rasowe ponoś niedołęstwo przeszkadzało mu w ważniejszych momentach odegrać rolę, do jakiej z nazwiska, z tradycyi, rozumu i wykształcenia był uprawniony. Myśliwy zapalony, ciekawe szczegóły o łowach i zwierzu sybirskim opowiada.

Zbyt długo rozpisywać się o tym temacie niełatwo; ogólne wrażenie pozostaje jednak, że Syberya, zwłaszcza środkowowschodnia, południowa i północna, to kraj błogosławiony dla zwierzyny. Wiele jej zniszczono przez bezrozumne palenie lasów, ale jeszcze miejscami jest jej poddostatkiem. Gleba po większej części bogata, przestrzenie niezmierzone, obfitość źródlisk, wód zaskórnych: wszystko warunki sprzyjające niepomału rozrodowi wszelkiego zwierza. Niedźwiedź, ryś, łoś, jeleń, renifer, sarna, wilk, podobno dzik, lis, cietrzew, głuszec, jarząbek, kuropatwa (znacznie od naszych mniejsza), zające dwa gatunki (bielak i czarny), soból i t. d. i t. d. — oto mniej więcej fauna sybirska! W okolicach Irkucka, w rejonie mniej więcej stowiorstowym wkrąg, ubito, lat temu 20, w miesiącu marcu, kiedy pierwsze odwilże, poczem przymrozki uformowały skorupę lodową na śniegach, ubito, mówię, pałkami, goniąc z psami i na łyżwach śniegowych, około 4000 sztuk sarn. *Relata refero*, wolno nie wierzyć, że ich jednak sporo być musiało, dowodem, że mimo najbardziej barbarzyńskiego sposobu obchodzenia się z niemi, jaki tylko sobie wystawić można (polują okrągły rok, grankulkami strzelają, pałkują, biją kozy, koźlęta i t. d. — wilki pomagają), mimo tego wszystkiego na wczorajszem i przedwczorajszem polowaniu widzieliśmy prawie w każdym miocie sarny. By wykazać, że to za dowód uważać można, parę szczegółów o tem polowaniu.

Dworek, gdzie się zjeżdżamy, nieco nasze szlacheckie dworki przypomina. Zjazd liczny, bo strzelb 15; wszyscy zbrojni w strzelby, nad spodziewanie moje, porządne; ogółem broń odtylcowa, prawie wyłącznie systemu Lankastra, po większej części wyroby

tulskie, wcale przyzwoite; pan Trepko w Scott'a Hammerlesa zbrojny! Naboje Eley'a albo rosyjskie z Petersburga, metalowe, albo z warszawskich fabryk. Śrótu innego nie używają, jak grankulki, 9 sztuk w nabój 12-go kalibru Lancaster lub gruby, twierdząc, że kozy tak twarde, iż i tym rzadko kiedy udaje się je na miejscu ubić. Konno ruszamy do miotu (zagon). Zagończyków (nagonki) 10-ciu czy 12-tu konno, Buriaci i krestianie tj. chłopi rosyjscy, koloniści a raczej kolonistów potomkowie. — Kniei tu niema, kraj silnie falisty, zamieszkały głównie przez Buriatów t. zw. *jazacznych,* to znaczy chrzczonych, na pół osiadłych, bo nie koczujących, ale tylko opodal zimowych mieszkań, nakształt izb rosyjskich, mają letnie jurty ośmioboczne, z desek zbudowane, górą ziemią kryte z otworem w środku, zamiast komina. Uprawa „chleba" tj. zboża i chów bydła, to ich zajęcia. Prawie wszyscy są Szamanitami, więc bałwochwalcami; czczą słońce, orły, przedewszystkiem bożka złego się obawiają; mimo tego nazywają ich tutaj, nie wiem czemu, *jazacznymi* — imię, którem zwykle nazywają chrzczonych pół-Buriatów, mieszańców, od słowa *jasak*, tj. haracz, który w naturze, głównie w skórach i futrach opłacali, jak ponoś jeszcze do dziś czynią Tunguzi.

Otóż zaczynają się łowy; dotąd bardzo *en règle*. Numera, rano przed wyjazdem wyciągnięte, oznaczają każdemu myśliwemu stanowisko w pierwszym miocie. Zastępujemy miot ogromny; stanowiska co kroków 60—80, a nawet 100. Kiedyś, za dobrych czasów, były tu lasy; dziś, w całem tego słowa znaczeniu, czahary nasze podgórskie. Nic prawie, prócz olszyny i brzeziny; miejscami, jakby na pamiątkę, biedny jakiś modrzew lub świerk! Buriaci to i koledzy ich ruscy są sprawcami tego dzieła. Czego siekiera nie zniszczyła, doniszczył pożar. Nie chcąc zadawać sobie pracy karczowaniem, po prostu, przy zajmowaniu gruntu pod uprawę *(zanimki),* lub pod pastwiska dla bydła, podpalają trawę przy posuszach wiosennych; płomień nie ogranicza się na rozległość *zanimki,* idą całe tysiące dziesięcin. W Irkucku na wiosnę bywają podobno całe tygodnie, gdzie powietrze, dymem przepełnione, przepuszcza ledwie trochę słońca. Łatwo sobie wystawić, jakie skutki na zwierzostan takie operacye wywierają.

Jedna brzoza na tem dobrze wychodzi, pochłania ona formalnie takie spaleniska; to też w całej okolicy, w której polowaliśmy, jak daleko okiem sięgniesz, nic prócz białych pni tego śmiecia lasowego nie ujrzysz.

Teraz pierwsza dezilluzya: ponieważ miot ogromny a zagończyków ledwie garstka, więc przestrzenie między jednym a drugim ogromne, przynajmniej sążni 30; liść na drzewie jeszcze, gorąco wyjątkowe, jakoby babskie lato sybirskie, wszystko zwierzowi ułatwia pozostanie w miocie. Mimo tego, powtarzam, w każdym niemal miocie widziano sarny, chybiono i postrzelono około sztuk 10 do 14; zabito sztuk 6 i wilka. Sarny przepyszne, ogromne; rogi u rogaczów dochodzą rozmiarów u nas nieznanych; w górnej części, najbardziej rękę rozciągając, nie dostać końcem palców od widły do widły. Zwykła waga rogacza wyrosłego i wypatroszonego około trzech i pół puda. Strzelają po większej części nieświetnie ci panowie. Myśliwi nie stoją, jak u nas, pod ścianą miotu gonionego, ale, o ile możności, pod ścianą z tyłu leżącego miotu krzaków; strzelać więc zawsze się musi do zwierza idącego na myśliwego, nigdy za siebie. Jest to obliczone na zatrzymanie zwierza jak najdłużej w miocie. Jak wspomniałem, walą do wszystkiego, ciesząc się np., gdy znajdują u kóz mleko w wymionach! Wilka ubił dr. med. Pucyło, Małorusin, w moich oczach; bardzo miły człowiek, mówiący wcale dobrze po francusku. Wilk, o godzinie wpół do czwartej popołudniu, wyszedł ze zboża jeszcze nie rzniętego przed samymi naganiaczami. Wytłumaczył nam tę zagadkę stan przepełnionego żołądka tego łotra, który, widocznie świeżo się obżarłszy, spał twardo — i zaspał sprawę.

Opowiadanie o tych łowach pod Irkuckiem skończę, da Bóg, kiedyś później! Od Trepki zażądałem zebrania i spisania mi wszelkich szczegółów, dotyczących łowów wogóle, specyalnie zaś rogacza i *iziubra*, jelenia sybirskiego. Przyrzekł nadesłać mi to wszystko do Galicyi.

*Jeszcze Irkuck, 14 września.*

Ostatnie dni pobytu w Irkucku, to istna heca. W ten sam dzień, kiedy raniutko o pół do szóstej zjechaliśmy nareszcie z owych nieszczęsnych łowów, wypadał właśnie koncert pożegnalny pp. Witwickiej i Kraweow (jak się na fotografiach podpisują: *Cantatrices*). Naturalnie iść trzeba było! Po koncercie kolacya w klubie, poczem chwilka tańców i szampan nieodzowny. Publika, jak można sobie wystawić, nieliczna i nieciekawa. Był tam jednak jeden ciekawy okaz, typ panny sybirskiej: uczennica panny Witwickiej, niejaka panna Zofia... *(oczestwa* nie pamiętam). Ojciec dorobił się znacznej fortuny na futrach. Panna emancypowana, przystojna, wzrostu gwardzisty; gra, śpiewa, nieco po francusku łamie; nie obawia się sama o 2-giej w nocy do domu powracać; a wkońcu oświadczyła, że pragnęłaby za męża mieć ni mniej ni więcej jak kniazia polskiego, ot, tak np. mnie. Pojmiecie państwo, że z entuzyazmem znowuż ja zapragnąłem poznać nieco bliżej istotę, która tak bądź co bądź zaszczycające mnie życzenia wypowiadała. Niestety, porozumiewanie się nasze było uciążliwem; ona, jako zabita Sybiraczka, nietylko ani słówka po polsku nie rozumiała, ale nawet moich wysiłków w rosyjskim języku nie pojmowała snadnie. Nie przeszkodziło to jednak, że sympatye nasze, w ciągu jednego wieczora, rosły z minutą każdą. Jako uwieńczenie tej znajomości, wywiozłem fotografię tej ciekawej persony, podaną mi z niedwuznacznem ściśnięciem ręki i niedwuznaczną apostrofą po rosyjsku. Można sobie wystawić moją minę i mój ambaras wobec tego wszystkiego! *Tableau* niezrównanego komizmu! Dla biedaczki swoją drogą to nie musiała być komiczna chwila.

Ale chodźmy dalej! Najciekawsza wizyta, jaką mogłem zrobić, to wizyta u Ohryzki. Któż nie wie, kto był Jozafat Ohryzko? Wydawca, urzędnik, wpływowa osobistość w Petersburgu, człowiek, co stał w blizkich stosunkach do dworu, protegowany, zwłaszcza przez cesarzową nieboszczkę, żonę Aleksandra II., i przez w. ks. Helenę, żonę Michała. Dziś starzec o jednem oku — drugie postradał w czasie uwięzienia w kaźni, zbudowanej umyślnie dla

niego, o kilkaset wiorst na północ od Jakucka, jak twierdzi, wskutek dymu, w którym nieustannie siedzieć musiał, chcąc się bronić od miliardów komarów, zalegających jego celę, — złamany nieszczęściem, chorobami, niewczasami, jednem słowem, życiem. Niewymownie smutne wrażenie! W r. 1859, jako redaktor pisma polskiego, które w Petersburgu wydawał, uwięziony został na rok; mimo wydania rozkazu aresztowania go przez samego cesarza, jednak przez 3 czy 4 dni, za wiadomością cesarza, zwlekano z faktycznem aresztowaniem; cesarzowa, cały Petersburg, wszystkie wpływowe osoby protestowały, wstawiały się za nim; dopiero gdy na radzie ministrów, pod prezydencyą cesarza, książę Gorczakow, namiestnik warszawski, widząc, że cała rada ministrów jest przeciwną aresztowaniu Ohryzki, oświadczył, że jeżeli pozostanie on na wolności, a jego dziennik dalej wychodzić będzie, on w Warszawie zmuszonym będzie wytaczać armaty na ulice, dopiero wtedy cesarz wydał polecenie ponowne aresztowania i zamknięcia w cytadeli petersburskiej Ohryzki, poczem go posłano w ręce osobistemu nieprzyjacielowi Murawiewowi do Wilna. Po miesiącu, zdaje mi się, skutkiem zabiegów cesarzowej i w. ks. Pawłowej, uwolniony przez cesarza, ulegającego w tej okoliczności naleganiu opinii całego społeczeństwa petersburskiego, chciał natychmiast Rosyę opuścić, słuchając jednak namów samego naczelnika żandarmów, pozostał w Petersburgu. Proponowano mu ze strony cesarzowej wynagrodzenie strat poniesionych wskutek konfiskaty, odmówił. Pronowano ze strony rządu pozwolenie na ponowne rozpoczęcie wydawnictwa dziennika, byle tytuł zmienić — odmówił, oświadczając, iż na nicby się ten manewr nie przydał, ponieważ treści swego pisma zmienićby nie mógł. W r. 1863 aresztowano go ponownie, rzekomo za udział w powstaniu. Łusznikow, typ przeciętnego, uczciwego, postępowego Rosyanina, bez nienawiści do Polaków, opowiadał mi o Ohryzce, że on utrzymując u siebie kasę oddziału rządu narodowego w Petersburgu, czy przejmując na powstanie składane ofiary, zachował część pieniędzy dla siebie. Takie to baśnie znajdują wiarę między ludźmi! Faktem jest, że ponowne aresztowanie Ohryzki wywołało niesłychane oburzenie w samem nawet

społeczeństwie rosyjskiem. Cesarz rzekomo miał się bardzo zmartwić skonstatowaniem faktu, iż urzędnik zasłużony, obdarzony niejednokrotnie łaską monarszą, jednak sprawę Rosyi i tronu zdradził. Inna wersya twierdzi, że cesarz miał być osobiście dość zadowolony z tego, iż Ohryzkę, któremu sprawy z r. 1859 nie zapomniał, usunięto raz na zawsze z widowni. Cokolwiekbądź, Ohryzkę trzymano w twierdzy petersburskiej aż do r. 1865, a dopiero w 1866 definitywnie na Sybir go wywieziono i potaszczono aż do owego więzienia w Wielujsku, 400 wiorst na północ za Jakuckiem; odjęto mu nietylko urzędy i prawa, ale pozbawiono nazwiska, nadając tylko numer.

Ohryzko był wówczas na wieczne czasy skazany; po pewnym czasie jednak zastosowywano stopniowo do niego rozmaite ukazy cesarza Aleksandra II. i III., przynoszące ulgi i przebaczenie skazanym. Wkońcu senat, zastosowując do niego ostatni ukaz (koronacyjny) Aleksandra III., wniósł o przywrócenie mu nietylko wszelkich praw, ale nawet o pozwolenie przebywania w Rosyi i za granicą. Uchwała stanęła, zapobiegł jednak jej sankcyonowaniu sam minister spraw wewnętrznych, ostrzegając monarchę, iż niebezpiecznem byłoby całą Rosyę stawiać otworem Ohryzce; proponował pozwolić tylko na mieszkanie w guberniach z Azyą graniczących. Ale Ohryzko, dumny do końca, odrzucił tę propozycyę z oburzeniem, żądając wszystkiego albo niczego. Tak uchwała senatu w wodę upadła. Nie jedyny to wypadek, gdzie ukazy ułaskawiające samowolnie ograniczano, wyjątki tworząc. Ta sprawa Ohryzki, którego, jak wielu twierdzi oskarżono o daleko więcej, aniżeli istotnie on był winnym, rzuca też pewne światło na uczucia i zapatrywania cara Aleksandra II. względem reform liberalnych, przebaczeń dla Polaków i t. p. Zdaje się, że w tych czasach powstawania potęgi partyi reakcyjnej: Katkow-Pobiedonoscew-Tołstoj, partya ta ze skrzętnością chwytała się wszelkich najmniejszych poszlak, cieniów podejrzeń, wyzyskując je na swoją korzyść. Ohryzko, Polak (Litwin czy Rusin) liberalny, w obozie liberalnym, wówczas u cesarza mającym ucho, posiadający przyjaciół, popierany przez w. ks. Helenę, był im solą w oku. Nie mogło dla nich być nic pożądańszego,

jak zdeptać go, przytem swój własny patryotyzm uwidocznić, a wpływy postępowych podkopać, wykazując, iż w ich obozie są elementa tronowi wrogie. Nie własnej winy, nie niechęci osobistej cesarza ofiarą padał Ohryzko, jak i wielu innych, ale zajadłości, przewrotności partyi reakcyonistów.

Istotnie, gdy przypatruję się historyi lat ostatnich 30-tu w Rosyi, staje coraz bardziej przed oczyma prawda tego poglądu. Do historyi należeć będzie osądzenie i wyjaśnienie tych wypadków, nie mnie, com ledwie zaczął przypatrywać się temu państwu, społeczeństwu ogromnemu, dzisiaj sąd wydawać. Zbieram tylko pojedyńcze fakta, notuję pojedyńcze opowiadania, może się kiedyś na coś przydadzą. Faktem jest, iż w Rosyi w szerszych kołach panuje przekonanie, że król Ludwik Bawarski, że arcyksiążę Rudolf ginęli z jednej ręki, potężnej, a daleko sięgającej ręki żelaznego kanclerza. Słyszałem mniemanie, że w r. 1863 taż sama ręka rozdmuchiwała u nas pożar. Ohryzko najstanowczej zaprzecza, jakoby nieboszczka cesarzowa, żona Aleksandra II., miała być wrogą Polakom, owszem, była to, według niego, osoba nader dobra, uczynna, z głową otwartą, i tych samych tendencyj, co w. księżna Helena. Ohryzko dzisiaj stoi nad grobem, trawi go równocześnie kilka chorób. Ma on jednak zawsze niepłonną nadzieję, że jeszcze kiedyś będzie mu wolno ujrzeć strony rodzinne, odetchnąć powietrzem europejskiem; zamierza wtedy wyjechać za granicę. Są to iluzye w rodzaju tych, które miewają piersiowi; nic smutniejszego nad widok takich ludzi; chyba poznawszy ich, żegnać się z nimi trzeba. Serce mimowolnie się kraje: tyle zdolności, tyle talentów, tyle stron dodatnich, tyle nadziei złamanych, zniweczonych! to istne groby za życia. Gdyby im przynajmniej świeciło to słońce, które nigdy nie zachodzi i zawsze równie jest ożywcze: słońce wiary prawdziwej! Ale, rzecz dziwna, prawie u nikogo z tych panów tej wiary nie spostrzegłem. Choć nie sądźmy, trzebaby ich lepiej znać. Duchowieństwo nasze na wygnaniu, z małemi wyjątkami, nie sprostało swemu zadaniu, tak mi się wydaje przynajmniej, i tak ogólnie twierdzą. Co prawda, próba była gorsza od ogniowej, gorsza od prześladowań wszystkich może cezarów rzymskich, bo zwolna, przez całe lata trwająca·

*Aleksandrowsk, 16 września.*

Po oddaniu wczoraj wizyt: panu Sipiaginowi i Latuskowiczowi, *smotritielowi tiurmy* centralnej i pomocnikowi, zostałem zaproszony na dziś o godzinie 10-tej, celem szczegółowego obejrzenia *tiurmy*. Mam otrzymać od pana Sipiagina *(smotritiela)*, dyrektora tutejszej *tiurmy*, cały szereg dat, dotyczących tejże *tiurmy*, dziś więc pochwytane w przelocie szczegóły i wrażenia notuję. Pan Latuskowicz, Polak, Wołyniak, zesłany w r. 1863, jako polityczny, dziś jest pomocnikiem *smotritiela*, zawdzięcza całe poparcie, jakiego doznawał w reformach mniejszych i większych, jakie w urządzeniu *tiurmy* zdołał przeprowadzić, hrabiemu Ignatiewowi, który zapragnął postawić to więzienie na stopie, jakiej humanitarne, ogólno-ludzkie, postępowe wyobrażenia wymagają. W aleksandrowskim zawodzie są dwa główne zakłady: *tiurma* centralna tj. więzienie stałe i *peresilnaja* tj. więzienie tymczasowe, gdzie przetrzymują skazanych na deportacye w dalsze strony, którzy więc tylko czasowo tu przebywają. Dziś zwiedzałem tylko ten pierwszy zakład więzienny. Jeden tylko znajduje się tu polityczny ruski więzień, t. zw. *gosudarstwenji*, więc nihilista. Widziałem go tylko przez okno, siedział w oknie swojej kaźni i zajmował się czytaniem, czy też pisaniem. Blady, siwawy, choć jeszcze zupełnie młody. Obchodzą się z nim ci panowie, o ile wiedzieć mogę, bardzo po ludzku. Do czytania ma poddostatkiem, pisze wiele; na spacer wyprowadzają go tylko wieczorem, kiedy inni już po salach zamknięci. Okropna jednakże dola i dziwnie, że do szaleństwa nie doprowadza; siedzi on bowiem samiuteńki w swojej celce.

Pierwsze wrażenie tej *tiurmy* mniej straszne, niżby się wydawać mogło; ni tu murów niebotycznych, ni wież, ni lochów ciemnych, ja ich przynajmniej nie widziałem; *tiurma* ma raczej charakter tymczasowy. Między strażą nie widziałem twarzy cerberowskich. Więźniowie ogółem nieźle wyglądają, a wyglądaliby zapewne o wiele lepiej, gdyby nie pewne okoliczności, których zarząd usunąć nie może. Czystość ogólnie bijąca w oczy. Trzeba jednak dodać, że dziś podłogi były świeżo myte, a dziś

poniedziałek: w poniedziałki nikt podłóg nie myje, ale to szczegół nieznaczny. Bielizna również na więźniach czysta. W izbach, tak w więzieniu, jak w szpitalu, powietrze czyste; co prawda dziś przepyszna pogoda, wszędzie więc okna pootwierane. Zaimponowały mi warsztaty: począwszy od butów, które w dwóch warsztatach wyrabiają (jeden na rachunek więzienia, drugi jest filią fabryki Orelskiego), a skończywszy na młynkach ręcznych do czyszczenia zboża, na arystonach, fajeczkach wszelkiego gatunku i rodzaju, wyrobach stolarskich, tokarskich, rzeźbiarskich, snycerskich, krawieckich i t. d., wszystkie rzemiosła są tu reprezentowane. Byłyby wyroby lepsze, gdyby rząd zamiast przeszkadzać działalności dzisiejszych zawiadowców *tiurmy*, przychodził im z pomocą. Zasadą przez rząd centralny przyjętą jest, że *tiurma* winna być, jak można tylko, najgorszą, a to w łatwo zrozumianym celu. Czy ta, czy przeciwna zasada jest względem przestępców zwykłych właściwą? nie mnie rozstrzygać! Jeżeli religia nie wstrzymuje ogółu od popełniania zbrodni, wówczas bez kwestyi system teroryzacyjny, system chiński jest może najlepszy.

Kosztowałem zupy przygotowanej dla więźniów, otwarcie mówię, że była doskonała; czy umyślnie dla mnie zrobiona? wątpię, za nadto wydają mi się ci panowie uczciwymi ludźmi, żebym ich o to posądzał. Chór, złożony z samych więźniów, a dyrygowany również przez więźnia, zadziwił mnie; śpiewają rzeczywiście doskonale, i to najrozmaitsze pieśni. Daty, odnośne do porcyi mięsa, krup, chleba przypadającego na pojedyńczego więźnia, otrzymam od Sipiagina. Część więźniów mieszka poza obrębem *tiurmy*. Na cały dzień wychodzi na robotę, i to bez żadnej opieki lub straży. Sipiagin mówił mi, że starają się tak się obchodzić z więźniami, tak wzbudzić w nich punkt honoru, dalej wzajemne pilnowanie się tak podnieść, żeby nie ciągle, nie zawsze i nie wszędzie im było potrzeba straż przydawać. Jak oni twierdzą, z tej *tiurmy* więźniowie nie uciekają! O możliwe redukowanie straży przy więźniach chodzi zarządowi nadzwyczajnie z prostej racyi, iż każdy sołdat, użyty jako straż, pobiera 15 kopiejek dziennie.

### *Krasnojarsk, 24 września.*

*Nemo propheta in patria sua*, sprawdza się i na mnie; ja, *k. k. provisorischer Bezirkskommisär*, którego np. w Bośni nie uznawano za godnego w uroczystościach oficyalnych zasiadać przy balowym obiedzie, ja tu w Syberyi przyjmowany jestem z honorami, należnemi, co najmniej, jenerał-gubernatorowi samemu. Rozkaz dzienny hr. Ignatiewa, przed wyjazdem wydany, rozporządza, że w czasie mej podróży mają wszędzie sprawnicy wyjeżdżać na granice swoich powiatów i tamże mnie oczekiwać, przedstawiać się i towarzyszyć aż do następnej granicy. Zajeżdżam do Udińska, ledwie się miałem czas w tarantasie z jednego boku na drugi przewrócić, już widzę u stopnia powozu w pełnej gali sprawnika grafa Bonahoerden, który po francusku pyta o moje rozkazy. Ta sama ceremonia w Kańsku i dalej. Tłum ludności miejscowej w pozycyi pokornej zalega z dwóch stron. Gdy przejeżdżamy przez derewnie, a do Krasnojarska zajeżdżam, 5 koni w poręce, a przede mną wali, co koń wyskoczy, *zasidatiel* w pełnej gali. Dodajmy, że ponieważ rozkaz przyjmowania i konwojowania mnie w ten sposób wydany był przez Ignatiewa, a ten wskutek intryżek petersburskich wnet przeniesiony został na gubernatorstwo kijowskie, co naturalnie uważane jest za porażkę i znak niełaski, więc już p. Świetlicki uznał za stosowne rozkaz ów zaniedbać, i dalej po drodze pp. sprawnicy nie ściśle go się trzymali. Za to swoją drogą Bogu dzięki niech będą, bo nic nudniejszego, jak w podróży, i to tak długiej, męczącej, musieć co chwila nastrajać się do urzędowej grzeczności. Stąd nie wyjadę, nie upewniwszy się, że mi darują te honory. Intrygę, która tak prędko zwaliła Ignatiewa, wytłumaczył mi szczegółowo jakiś urzędnik Inflantczyk, którego po drodze spotkałem. Ciekawy to objaw, że Korff ściąga powoli urzędników Inflantczyków do nadamurskiego kraju. Spotkałem teraz aż trzech takich jegomościów, do wyższej i niższej kategoryi należących; wszystko jechało nad Amur. Inflantczyków, jak mi ten urzędnik mówił, w zachodnich prowincyach rugują, obawiają się, — w nadbałtyckich prowincyach wprost prześladują; nad Amurem owszem nader chętnie ich centralny rząd

widzi. Korff ma ogromne plecy w Petersburgu, wydaje się, jakoby jemu powierzono do pewnego stopnia zadanie ukolonizowania, urządzenia, ubezpieczenia całej tej części *Imperium;* a jest ona znaczna, bo od Bajkału ciągnie się aż po Spokojny Ocean! Niemcy, jak zawsze, rozumni, nie bawiąc się wiele w politykę gębowania i protestów, milczkiem ściągają nad Amur, w kraje niesłychanie bogate (zwłaszcza południowy pas od Amuru ku Władywostokowi), gdzie ogromna może ich czekać przyszłość.

Ale wróćmy jeszcze do mojej podróży z Irkucka, a raczej z Aleksandrowska do Krasnojarska; wszakże to 1004 wiorst — więc nie żarty! Wyjechałem z Aleksandrowska dnia 17 t. m., we wtorek około godziny 6-tej popołudniu, a stanąłem przed Krasnojarskiem w poniedziałek 23-go, o godzinie wpół do piątej popołudniu; jechałem więc prawie równe sześć dób, co się nazywa, według tutejszych pojęć, że jechałem dość pomału, by szybko jechać, trzebaby dzień i noc jechać, po 200 wiorst na dobę.

Cóż powiedzieć o tym szmacie kraju, który przeleciałem? Coś bardziej monotonnego wyobrazić sobie istotnie trudno. Jedna derewnia jak druga i to literalnie wszystkie równie smutne, równie błotniste; wszędzie te same brunatno-kasztanowatego koloru izby; wszędzie po kilka domów porządniejszych, z oknami robotą snycerską w drzewie zdobnemi i na biało malowanemi; wszędzie, jadąc przez wieś, takich samych kilkanaście psów się spotyka, które, widocznie znudzone monotonnością żywota wiejskiego, wychodzą na drogę, by z sąsiadem pogawędzić, obwąchać kilka węgłów domów, zdobyć gdzieś jakieś odpadliny, a wreszcie, i to jedyna ich rozrywka, za przejezdnym pobiedz kroków ze 40 i poszczekać trochę! Świnie są mniej od psów wymagające; najpierw rodziny ich w tej porze roku pomnożone znacznie, więc matczyne zajęcia na nudę nie pozwalają; życie ich towarzyskie ogranicza się wprawdzie na odwiedzaniu sąsiadek i gawędzie o domowych kłopotach, niestety, ciągle przerywanej przez niedyskretne prosiaki, które nigdy nie nasycone, właśnie kiedy najmilej kumoszki poczęły paplać, nieznośnem swem szturkaniem i kwikiem, jadła się dopominają.

W niedzielę popołudniu stojąc na którejś stacyi, czekając na konie, miałem sposobność przyjrzeć się życiu derewni w święto. Ludzie, o ile jeszcze nie pijani, naturalnie mężczyźni, siedzą przed domami, lulki kurzą i błędny wzrok przed się trzeszczą, obrachowując, jak daleka jeszcze droga od szczęścia ich oddziela. A w czem to szczęście polega? jakie pojęcie ma taki *chrestianin* sybirski o tem, co jest szczęście? Któż to potrafi odgadnąć? W każdym razie, patrząc na zewnętrzne objawy tej żądzy szczęścia, możnaby przypuścić, że tem szczęściem jest chyba wódka, tu winem zwana, która, zwłaszcza w niedzielę popołudniu i poniedziałek, pali w całej pełni żołądki swych ofiar.

Cóż więcej o tym tysiącu wiorst jeszcze powiedzieć? Jako pejzaż, natura, smutny niewymownie, mniej więcej zawsze ten sam; dopiero przed samym Krasnojarskiem, więc w dopływach Jeniseju, zmienia on nieco charakter; zresztą zawsze i nieprzerwanie tajga, a raczej kraj tajgi: więc brzydkie krzaki brzozowe, podlaski brzozowe, gdzieniegdzie tylko sosna lub modrzew utrzymały się przed niszczącą ręką kolonizatora, wysłannika cywilizacyi rosyjskiej. Lasu takiego, jak u nas np. w Karpatach jeszcze gdzieniegdzie się widuje, z wspaniałemi, przepysznemi starcami leśnemi, zda się gdzieś w chmurach kąpiącemi swe wierzchołki — lasu takiego tu nie masz wcale. Przejechałem już więcej niż 2000 wiorst w Syberyi, i to nie ciągle traktem głównym, ale i w boki się zapuszczałem na odległości znaczne, np. do Tunki, do Muryńskij. Jest tam las dziewiczy, wywroty, całe generacye drzew, zwalone jedne na drugich, śpią snem wiecznym, ale ani jednego pięknego, wspaniałego drzewa nie widziałem. Nic dziwnego, w tym klimacie nic nie może wybujać, wszystko może tylko nędzną, lichą, zmrożoną wieść egzystencyę. Klimat ten nie pozwala i nigdy nie pozwoli na znaczne polepszenie warunków egzystencyi. Przez ośm miesięcy faktycznie jest zima, i to zima sroga; ale, co gorsza, nawet gdy zima w ścisłem słowa tego znaczeniu minie, wtedy jeszcze przymrozki aż po koniec czerwca, i to starego stylu, się powtarzające, niszczą, warzą, niweczą wszystko. Przymrozkom pomagają susze. Przyszłość tego kraju więc tylko w płodach nie na ziemi, ale w ziemi spoczywających, w rozumnej eksploa-

tacyi lasów, jeżeli do chwili, w której ludność przejrzy i zrozumie swój prawdziwy pod tym względem interes, pozostanie jeszcze cokolwiek z tych lasów; a to wielkie pytanie, bo corocznie, jak już kilkakrotnie notowałem, pożary niszczą niepowrotnie tysiące dziesięcin.

A lud? lud stoi tu o wiele wyżej intelektualnie, niż w Rosyi; kilkakrotnie z różnych stron to słyszałem. Przez zsyłanie dawniej Polaków, teraz socyalistów, którzy między ludem po derewniach żyją, rozszerzyła się oświata bardzo znacznie tak, że bezsprzecznie intelektualnie stoi tutejszy chłop od ruskiego i od naszego z wschodniej Galicyi o całe niebo wyżej. Ale cóż z tego? oświatę rozszerzono, ale religii nie; chłop się żegna przed cerkwią na 500 kroków, na msze daje *(bogusłużenie)*, kiedy się wybiera na okradzenie lub zamordowanie przejezdnego kupca lub bogatszego sąsiada. Przytem, dla natury sławiańskiej, względna łatwość egzystencyi, zgubna do najwyższego stopnia — prawda, że i trudność egzystencyi może być zgubna — i tu i tam chłop zawsze leniwy, pijak, niedołężny, od południowego Sławianina różni się niesłychanie. Miło słyszeć jak ogólnie, nawet jeszcze dzisiaj, przyznają Sybiracy, że cywilizacyę, jaką mają i ile jej mają, zawdzięczają polskim wygnańcom. Oni przynieśli pierwsze promyki słońca w ten dziki, ciemny kraj. Co za szkoda, żeśmy tak nie umieli wyzyskać tej roli, która z natury rzeczy sama się pchała nam w ręce, roli żywiołu przodującego w Rosyi całej; dziś trochę późno.

*Krasnojarsk, 25 września.*

Zwiedzam gimnazyum krasnojarskie, zaproszony przez dyrektora, pana Witoszyńskiego z Galicyi, ba, nawet z przemyskiej ziemi, bo ojciec jego żyje jeszcze koło Niżankowic; uczył się w Przemyślu, zna Krasiczyn, uniwersytet kończył we Lwowie; na wezwanie rządu rosyjskiego, by nauczyciele Sławianie zgłaszali się do Rosyi celem obejmowania posad profesorskich, przeniósł się do Rosyi. Przez długie lata przebywał w Rosyi europejskiej, potem był dyrektorem gimnazyum w Jenisejsku, wreszcie

od dwóch lat bawi tutaj. Religii zdaje się prawosławnej; żona Polka, rzekomo z gubernii mohylewskiej.

Gimnazyum, nie mogę inaczej powiedzieć, jak, że utrzymane pod względem czystości wzorowo — co prawda odnawiane, malutkie, bo też uczniów tylko 150. Najprzód przedpokój, gdzie uczniowie pozostawiają paletoty, kalosze, czapki; dalej sień druga, gdzie w czasie rekreacyi dziesięciominutowej między 10 a 11 piją herbatę; o 12 pauza dwudziestominutowa, w czasie której gimnastyka, ćwiczenia pod komendą oficera, tak zwane „wojenne“, po prostu rodzaj mustry, nowe zaprowadzenie ministerstwa oświaty. W całości nauka trwa od pół do dziewiątej do 3-ciej popołudniu. System gimnazyów przyjęto wogóle w Rosyi na modłę pruskiego. Od niedawna dopiero wprowadzono gimnastykę, rzecz arcyzbawienna; widać na twarzach, zwłaszcza niektórych uczniów, potrzebę gimnastyki, ruchu, powietrza! Profesorowie wszyscy i dyrektor są obowiązani w gimnazyum w czasie nauki być w mundurze, który, jako mundur ministerstwa spraw wewnętrznych, polega na fraku z ciemno-niebieskiego sukna, takaż kamizelka i spodnie, guziki srebrne. W krajach sławiańskich znajdowałbym zaprowadzenie munduru dla uczniów a może i dla profesorów za rzecz nieodzowną, dodawałoby to może trochę jędrności rozlazłym z natury Sławianom. Wogóle wydaje mi się, sądząc z ogólnych norm pod tym względem, dających się wszędzie w Rosyi zastosować, że gimnazyum tutejsze, podobnie jak drogę między N. Udińskiem a Krasnojarskiem, wyczyszczono, odnowiono, poprawiono, bo nowy jenerał-gubernator przejeżdża, wszystko dla oka! Wskutek inicyatywy pana Witoszyńskiego ma być podobno zaprowadzony wykład religii katolickiej przy tutejszem gimnazyum, gdzie 9 katolików uczęszcza. Proboszcz tutejszy, ks. Mateusz Wejtt, Żmudzin, od dwóch lat dopiero w Krasnojarsku, po polsku łamie jak może. Darował mi dwie książki wydania swojego w wydaniu łotyskiem, był bowiem dłuższy czas na Inflantach, nad granicą Żmudzi. Na Sybir dostał się wskutek własnego żądania; gdy bowiem kazano usunąć z Inflant wszystkich księży, podejrzanych o zbytnią gorliwość w rzeczach religii, on, nie chcąc jechać za granicę, prosił arcybiskupa petersburskiego Gintowta o przyjęcie

do archidyecezyi, która od Litwy ciągnie się aż po Spokojny Ocean. Parafian liczy tutaj około 5000, rozrzuconych jednakże po całej gubernii jenisejskiej, która od granic chińskich rozciąga się aż po Lodowaty Ocean. Skarży się na swoich parafian. Wielu pomiędzy nimi zwykłych zbójów; ale też wielu przybywa Żmudzinów, którzy dobrowolnie przesiedlają się gromadnie z kraju na Sybir i całe kolonie tu zakładają.

Zwiedziłem także tutejsze muzeum, w niem ciekawe maski gipsowe typów, żyjących pod berłem rosyjskiem plemion, w obecnej chwili wymierających. Obiecano mi przysłać tych masek. Moszka, czyli muszka, mała, przeklęta plaga w Syberyi; pojęcia się niema, nie doświadczywszy jak może dokuczyć. Stąd między mieszkańcami chłopami w Syberyi zwyczaj w lecie nawet używania do wszelkich robót rękawic, wuałów i masek formalnych z drutu lub włosienia, w których np. w polu pracują.

Rozpaczliwa znowu dla mnie era niedecyzyi: czy jechać na pryiski do t. zw. *jużnoi tajgi*, czy do Minusińska (Włoch sybirskich), czy też wprost do Tomska? Kossowskiemu obiecałem czekać na niego, — do pryisków, gdziebym miał protekcyę pana Stępkowskiego, rewizora górniczego, byłoby niesłychanie ciekawem pojechać. Ale najpierw pieniędzy mi nie wystarczy, a potem zima tam już kompletna, a ja nie jestem wybrany stosownie.

### *Tomsk, 7 października.*

W przejeździe do Tomska czas dość piękny, zwłaszcza przed samym Tomskiem; od Muryńska droga doskonała, kraj zmienia się. Położenie Tomska piękne, amfiteatralnie rozłożony po prawym brzegu Tomi; lewy brzeg równy jak stół, widać hen gdzieś. Pierwszy to prawdziwie sybirski widnokrąg w tem znaczeniu, jak dotąd go sobie wyobrażałem. Miasto robi o wiele lepsze wrażenie niż Irkuck, większy ruch widocznie, ba, nawet i więcej o porządek dbają. Pierwszy raz w Syberyi udało mi się zobaczyć, że ulice polewano. Niestety ni dziś, ni jutro, ni w tym roku wogóle nie trzeba już będzie polewać; śniegi od wczoraj i pluta nieustanna! Co począć, doprawdy nie wiadomo. Z każdą chwilą

droga się psuje; możliwość zimowania gdzieś między Omskiem a Tiumeniem z każdą minutą się zwiększa!

Krowa stara, koń stary, gospodyni stara, wikaryusz stary, a jegomość niemłody. Plebania czyściutka, porządniutka, choć dół żelaznemi ściągnięty sztangami, ale za to wyłożony wojłokiem, piaskiem, słomą, liśćmi, garbnikiem i deskami, ciepły, od wilgoci zabezpieczony; pierwsze piętro zajmuje proboszcz, trzy niewielkie pokoiki, czyściutkie, jak pudełko; rosyjskim sposobem zapuszczane podłogi, ściany bieluchne. Kilka dobrych reprodukcyj najznakomitszych arcydzieł Murilla i Rafaela, portret Piusa IX. i Leona XIII., a u ich stóp w porządku jeden nad drugim Mikołaj, Aleksander II. i obecnie najmiłościwiej rządzący, to salonik; dalej gabinet, pracownia, wreszcie sypialnia. Wszędzie po kilka pięknych fotografij Matki Boskiej Częstochowskiej i Ostrobramskiej, wszędzie czyściutko a skromnie. W środkowym wielkim, obszernym pokoju biblioteka kościelna, więc polska, dzieła rozmaitej treści. Tu w niedzielę po sumie przychodzą panowie i panie brać i oddawać książki. Wreszcie po drugiej stronie biblioteki, znowuż w podobnych jak proboszcz pokoiczkach, mieszka pan Czapiczyński z Warszawy, zesłany z r. 1863, zajmuje się biblioteką. Okradziono biedaka do koszuli, więc proboszcz na rezydencyę go do probostwa zaprosił. Organista, pan Sylwester, Żmudzin, księdzu za kamerdynera od wielkich okazyj służy; chłopak sierota z księdzem jeździ po parafii i samowar co rano wnosi. Mój Boże! co tu cierpień, co tu cierpliwości, zaparcia się, wytrwałości, nim ten biedny księżyna doprowadzić potrafił do tego, co jest. Z pensyi 100 rub. miesięcznie i datków może, choć rzadkich, parafian wszystko się zrobiło.

Przychodzę na kawę po mszy; ksiądz kawę, chłopak samowar chwytają i cwałem pędzimy do saloniku, bo zimno było w kościele. Ulegając namowom i prośbom proboszcza, przeniosłem się nareszcie na mieszkanie do biblioteki. Jakże tu miło, swobodnie, spokojnie po tem okropnem hotelisku, jak ciepło moralnie i fizycznie! Poczciwy proboszcz nietylko sam urządził pokój, nietylko dywaniki poznosił, stoły poustawiał, lecz rano, gdym z miasta powrócił, zastałem swój pokój wyczyszczony, wywietrzony, rzeczy w porządku i nawet nakadzone wódką kolońską,

żeby powietrze odświeżyć. Tym proboszczem, ksiądz Gromadzki. Od r. 1860, już przed powstaniem zesłany, w Omsku na swą prośbę zatrzymany przez ówczesnego jen.-gubernatora, Francuza rodem, Duhamel'a, obecnością swą samą przyczynił się do tego, że pan Koziełło Pokleński wybudował tamże kościół katolicki. Taktem swym, zgodnością, prawością, czystością obyczajów, miłością Chrystusa, zyskał sobie mir i ogólne poważanie nawet u prawosławnych; po ulicach Tomska z nim chodząc, sam z radością konstatowałem, że wszyscy z czcią i uszanowaniem księdza proboszcza witali, każdy jamszczyk czapki uchylał. Nawet z archirejem potrafił utrzymać konieczne dobre stosunki. W kolonii polskiej, tu do 2000 ludzi w samym Tomsku liczącej, poważany, kochany jak ojciec, umiał utrzymać najlepsze stosunki z dwoma jeszcze zesłanymi tu księżmi łacińskimi, którzy, widocznie uznając jego zasługi, traktują go jak ojca, jak przełożonego. O setnych mniejszych i większych zasługach ks. Gromadzkiego, doprawdy, tomy spisywaćby można. Niestety, co za różnica z Irkuckiem! Co prawda, przydawały się niemało ks. Gromadzkiemu stosunki z kilkoma szerokiego serca paniami, które hojnemi darami popierały jego przedsięwzięcia. Jużby mu się dziś należał wypoczynek po pracy blizko trzydziestoletniej. A co to za szalone trudy i niebezpieczeństwa przy tej pracy! Tonął trzy razy, dwa razy zamarzał w stepie, raz już go prawie nieżywego do wsi (od mrozu) przywieziono.

Ale wróćmy do Tomska. Przed rokiem otworzono tutaj uniwersytet o jednym dotąd fakultecie medycznym. Co roku miano otwierać po jednym fakultecie, w tym roku jednak żadnego nie otworzono. Profesor Stanisław Zaleski, były doktor medycyny, z młodziutką żoną, Warszawianką, panną Iwanowską, powołany tutaj na profesora, objął katedrę chemii; on mi gmach a zwłaszcza bibliotekę pokazywał. Uczniów na pierwszym kursie jest wyżej 100; w kolegium profesorskiem kilku Inflantczyków i Zaleski, Polak. Kuratorem okręgu szkolnego pan Floryński, bardzo grzeczny i ucywilizowany człowiek, choć żadnym, prócz rosyjskiego, nie włada językiem, rzekomo archeolog, sam mi swój dział, tj. muzem archeologiczno-antropo-topograficzne, pokazywał.

Wiele tam istotnie ciekawych okazów, wykopanych w Syberyi zachodniej, świadczących, iż w czasie (nieoznaczonym dotąd), kiedy mieszkańcy jej znajdowali się na stopniu cywilizacyi, odpowiadającym naszej epoce kamiennej i bronzowej, stali o wiele wyżej cywilizacyjnie, od dzisiaj znajdujących tu i ówdzie jeszcze Aborygenów, Ostiaków, Jakutów, Tunguzów. Pan Floryński wnosi stąd, że mieszkańcami tymi byli Sławianie, przodkowie Rosyan. Dowodu szuka on właśnie w stosunkowo wysokim stopniu cywilizacyi, o którym wykopaliska owe świadczyć mają. Dla mnie dowód to nijaki, boć równie łatwo przyjąć można, że ludy te cofnęły się w cywilizacyi, zamiast iść naprzód. Zbiór etnograficzny, prawie wyłącznie Ameryki, mianowicie Indyan dotyczy; jest przecież parę rzeczy ostiackich i tunguskich.

Dowiaduję się najautentyczniej o ciekawej misyi, jaką *otiec* Kierenty i *zasidatiel* (urzędnik policyjny) Łutszew, zachęceni nadzieją otrzymania orderu i przykładem innego misyonarza rosyjskiego, który order dostał, z wielką gorliwością podjęli w górach Ałtaju, w lipcu r. 1887. Po naradzie, udają się dwaj druhowie w góry, nad rzękę Urussułę, między Kałmuków i zaczynają namawiać do przyjęcia prawosławia. Kałmucy nie chcą. Po dwóch dniach namów, tracą panowie misyonarze cierpliwość, każą poprzywięzywać starszyznę do drzew i pan *zasidatiel* rozpoczyna przemowę do niewiernych, tym razem nie językiem, lecz nahajem. Nie pomaga jednak i ten rodzaj namowy. Kałmucy nie chcą się dać chrzcić; *zasidatiel* bije dalej; Kałmucy dalej się upierają. Nareszcie jednak, straciwszy cierpliwość, zabierają się do zarznięcia tych światłodajnych dobroczyńców swoich. Pop w strachu, na koń i w nogi, *zasidatiel* za nim; oparli się dopiero między *chrestianami*-Kozakami. Skarga idzie od Kałmuków do Petersburga. Popa i jego opiekuna poprzenoszono, ale z awansem.

(Dok. nast.).

*Paweł Sapieha.*

# ETYKA WE WARSZAWSKIEM ATENEUM.

Dzisiaj etyka jest w modzie. Odkąd nimbus, jakim otoczył pozytywizm naukę, począł się rozwiewać, a wielkie hasła rzucane z katedr i roznoszone przez prasę, a głoszące rozwiązanie wszystkich najwyższych zagadnień życia na drodze eksperymentu, obserwacyi i analizy, poczęły zawodzić, wiele wybitniejszych umysłów zaczęło szukać w religii i moralności tego, czego nauka nie dawała. Prawie równocześnie z dwu stron powiał silny prąd, zwracający umysły ku ideom moralnym: z dalekiego Wschodu wysunął się na widnokrąg wielki Tołstoj, reformator i moralista, i przesłonił olbrzymim swym cieniem całą Europę, a z amerykańskich wybrzeży przypłynęła „etyczna kultura“ Adlera, przeszła Anglię, okrążyła Niemcy i dzisiaj wkraczać już zaczyna do Austryi. Jedni i drudzy, tak zwolennicy Tołstoja, neochrześcijanie, jak i towarzysze Adlera, mają swoje czasopisma i swoich wybitnych publicystów. Stowarzyszenia „etycznej kultury“ mogłyby urządzić już dzisiaj własną bibliotekę: prócz wielu peryodycznych wydawnictw, posiadają cały panteon pisarzy, że wspomnimy wybitniejszych, jak: Adlera, Jodla, Saltera, Giżyckiego, Stantona Coit, Förstera.

Niestety, cały ten ruch etyczny, będący w odnośni do zbankrutowanego moralnie społeczeństwa dodatnim objawem, w sobie samym jest połowicznym. Tołstoj chciałby odświeżyć chrześcijaństwo i z chrystyanizmu komponuje tołstoizm, a adlerzyści dla zachowania niezawisłości od religii i metafizyki, wycinają z Kanta

i z dzisiejszych ewolucyonistycznych socyologów rozmaite aseryc i kleją bardzo pstrą etyczną mozajkę. Ostatecznie i taka reakcya jest także głośnym protestem przeciw dotychczasowemu ignorowaniu wymagań duszy ludzkiej.

Równorzędnie z tym zaczątkiem nowej ery, traktującej moralność głównie ze strony praktycznej, ciągnie się teoretyczne dyskutowanie etyki przez epigonów dogasającego pozytywizmu. Kilka dziesiątków lat już poświęcili pozytywiści ciężkiej i żmudnej pracy, byle tylko uszczęśliwić ludzkość etyką naukową — ileż w tym czasie nie stworzyli najoryginalniejszych pomysłów, przez ileż sofizmatów nie przebrnęli, aby wkońcu, po długiem błąkaniu się, powrócić z niczem do punktu wyjścia. I chociaż wszędzie, gdziekolwiek tylko wykraczał pozytywizm poza właściwą sobie sferę nauki ścisłej, wszędzie naokół siebie wytwarzał karykatury, to jednak nigdzie nie poniósł takiej gwałtownej porażki, jak na polu etyki i prawa. Nie udało się Tainowi zamienić krytykę literacką w naukę ścisłą, ale przynajmniej pogłębił traktowanie literatury; Flaubert i Zola przemienili wprawdzie powieść we fotografię zabłoconej ulicy, lecz nauczyli przynajmniej nowelistów dokładnej obserwacyi i rachowania się z rzeczywistością — to zaś, co na polu etyki zbudowali: we Francyi Littré ze swoją szkołą, a w Anglii Spencer i jego darwinistyczni epigonowie: Leslie Stephen i Huxley, Morison, Fiske i Williams, to mogą być jakieś próbki, tłumaczące psychologiczną genezę uczuć moralnych, ale nie systemy, objaśniające prawdziwe pojęcie i istotę moralności. A jednak, mimo tego gorzkiego zawodu, niejeden jeszcze dzisiaj we Francyi wspina się na kulawy trójnóg littre'owskiej etyki i odświeża tysiąc razy już słyszane teorye o potrójnym *rodzaju uczuć* egoizmie, altruizmie i uczuciach bezinteresownych, a w Anglii i w Niemczech jest jeszcze we wielkim szacunku spencerowskie przepoczwarzanie się egoizmu w altruizm. Jest to już naturalnie tylko wspominanie przeszłości, bo wybitnych przedstawicieli już dzisiaj pozytywizm nie ma. Jedni wymarli, drudzy popadłszy w sceptycyzm, powrócili do swoich fachowych studyów, innych wreszcie porwała fala mistycyzmu. Ludzi takich, jak: garstka antropologów włoskich, która pod hetmaństwem Lom-

bros'a i Ferri'ego spłodziła na polu kryminalistyki cuda sofisteryi, a dzisiaj urządza formalne obławy na przestępców wszelkiego rodzaju, byle tylko módz sporządzić przeciętny portret ogólnoludzkiego złodzieja, — jak Haeckel, który uporczywie w protylu i eterze szuka węzła między religią a wiedzą, lub jak Berthelot, dla którego, po dotarciu do istoty jakichś tłuszczów, nie było już tajemnic na świecie — ludzi takich dzisiaj coraz mniej.

Dorzućmy jeszcze do tego obrazu wzmiankę o szeroko rozgałęzionej w Niemczech szkole Wundta, i o licznych najnowszych wydawnictwach, publikowanych przez katolicki obóz, a będziemy mieli jakie takie pojęcie o dzisiejszem stanowisku etyki. Ciekawem, w całym tym ruchu, jest to zjawisko, dające się czasem obserwować w epokach przełomu, że ustępujące pokolenie na tem polu kończy swoją działalność, od którego nowa generacya zaczyna, a skrajniejsze prądy dwóch tych przeciwnych sobie kierunków, tak nieraz w jednę spływają się falę, że przyszły pedant-literat mocno będzie się musiał pocić nad klasyfikacyą tych skomplikowanych fenomenów. Cóż robić — w dziedzinach myśli nie jest łatwo bić słupy graniczne.

Tę syzyfową pracę klasyfikacyi nastręczyło mi *Ateneum* pewnym etycznym artykułem, umieszczonym w jednym z ostatnich swoich zeszytów. Muszę się w tem miejscu przyznać, że już od dawna miałem pewną satysfakcyę, ostatecznie dosyć niewinną, w obserwowaniu warszawskiego miesięcznika, tego dziś może jedynego filaru pozytywizmu w Polsce. Dzisiaj i u nas tyle się pisze o ustępującym z tronu pozytywizmie, dzienniki, miesięczniki a nawet i broszury osobne tyle ustawicznie donoszą o nowych kierunkach, reagujących przeciw dotychczasowym rządom comte'owskich teoryj, że niemały interes przedstawiała dla mnie ta kwestya, co pocznie w przyszłości *Ateneum*, — czy rozumiejąca potrzebę czasu redakcya popłynie naprzód z pędzącą falą, czy przeciwnie, stanie oporem przy dotychczasowych swoich zasadach, a nawet... żeby już, lubo ze łzami w oczach, wszystkie możliwości wyliczyć, czy przypadkiem w przystępie szlachetnej dumy nie zechce pokruszyć herbów swoich i godeł nad trumną ostatniego zeszytu.

Nie czekałem długo, bo kiedy zbliżyła się dżdżysta jesień, czas głębszych refleksyj i stanowczych kroków, zdecydowała się redakcya zdeklarować swoje stanowisko. Wrześniowy zeszyt zaspokoił moją ciekawość; aż dwa artykuły rzuciły jasne światło na dalszą taktykę miesięcznika. Na naczelnem miejscu rozmieściła się polemiczna rozprawa, p. t.: „Powrotna fala, czyli odradzanie się smorgońszczyzny“, i zwróciła swe ostrze przeciw jakiemuś nieszczęśliwemu literatowi, który „nawrócony z pozytywizmu, posiwiawszy, odmłodniał“. Autor dosyć dosadnie uspokaja zbiegłego pozytywistę, że ani dotychczasowy kierunek umysłowy jeszcze się nie przeżył, ani też wcale na nową epokę się nie zanosi — cechujące dzisiejsze pokolenie dwa objawy: mistycyzm i wyrzekanie na racyonalizm, nie tworzą jeszcze okresu.

Rozumowanie to byłoby zupełnie dostrojone do dotychczasowego wyglądu *Ateneum*, gdyby pod „dotychczasowym kierunkiem“ autor rozumiał pozytywizm taki, jakim go znamy od lat czterdziestu. Tymczasem pozytywizmu tego ani myśli on bronić, broni tylko metody naukowej, którą pozytywizm przypomniał światu. „Jeżeli jakieś pismo tygodniowe — pisze — lub jakiś młody adept obiecywał za pomocą pozytywizmu sprowadzić wiek złoty na ziemię, z tego nie wynika, że cały kierunek był zły, że się przeżył i potrzebuje zastąpienia po kilku latach przez sztuki Mesmeryzmu. Nie pozytywizm, jako całość poglądów A. Comte'a, ale metoda naukowego badania rzeczy, starsza od niego, a którą on przypomniał wśród jałowych systemów metafizycznych; to stanowi skalę kierunku umysłowego, na który skaczą literackie kozy. Metoda ta polega na pilnej, krytycznej obserwacyi faktów i zjawisk, na ich klasyfikacyi i uogólnianiu, na oglądaniu związku i stosunku między temi uogólnieniami, na odrzucaniu wszelkich hipotez i przypuszczeń, wymykających się sprawdzeniu przez doświadczenie i obserwacyę“.

Że przedstawienie takie pozytywizmu nie jest całkowicie zgodne z rzeczywistością, nikomu nie jest tajno. Jasnem jest przecież, że metody tej naukowej nie potrzebował Comte przypominać, bo już od trzech wieków toczy się walka o to, by wprowadzić ją w życie. To, co Comte zdziałał i co jest właści-

wym pozytywizmem, polega na całkowitem wykluczeniu i potępieniu w czambuł wszystkiego, co pod tę metodę nie podpada, a co za tem idzie, na wyrokowaniu w imię nauki o kwestyach, które wcale na drodze nauki ścisłej rozwiązać się nie dadzą, a które jednakowoż skądinąd uprawnioną mają racyę bytu. Gdyby pozytywiści byli tak niewinnymi, jak autor ich przedstawia, gdyby im był wystarczył mikroskop, chemiczny tygiel czy anatomiczny skalpel, i gdyby swym kunsztem zadowoleni, zachowali względem rzeczy obserwacyą niesprawdzalnych mądre milczenie, nikt rozsądny nie miałby im nic do zarzucenia. Lecz, choćbyśmy nie zwracali nawet uwagi na kilkodziesięcioletnie dzieje pozytywizmu i na dwudziestoletnią przeszłość *Ateneum*, która z tym poglądem wcale nie licuje, czyż nie zmusiłyby nas do innego zdania w tej mierze odezwy, proklamowane przez najwybitniejszych pozytywistów. Ileż to od 1850 roku aż po dni dzisiejsze nie wzniesiono okrzyków na cześć wszechwładnego i niepodzielnego panowania wiedzy, ileż banicyjnych wyroków w tym czasie nie spadło na moralność i wiarę, teologię i metafizykę, wszelką intuicyę a nawet i sztukę. Po cóż powtarzać znane powszechnie zdania Renana i Spencera w tej kwestyi, przecież w roku bieżącym wcale niemłody adept, ale znany i znakomity chemik Berthelot, zupełnie z odmiennym poglądem w swej apologii pozytywizmu wystąpił. A przeciw takiemu poglądowi zerwała się burza ze strony reakcyonistów i znać było w tej polemice tę pierś ludzkości starganą i wysuszoną negacyami, którąby za jakąkolwiek cenę chciała się wyrwać z dotychczasowej atmosfery i zaczerpnąć choć odrobinę świeższego powietrza.

Lecz mniejsza o tę niezgodność z rzeczywistością, nie idzie nam tu o teoretyczną dyskusyę nad historyą pozytywizmu, ale o praktyczne zdeterminowanie terenu pod przyszłą działalność miesięcznika. A w tym względzie autor i redakcya — bo przecież każdy artykuł jest pewnym rodzajem redakcyjnego manifestu — wypowiadają zdanie, na które zupełnie się zgadzamy. Jesteśmy radzi, że już ustaną raz nieuzasadnione wyrokowania o kwestyach, „wymykających się sprawdzeniu przez doświadczenie i obser-

wacyę". Zresztą to o co nam idzie, to są pewniki wiary i filozofii a redakcya tylko hipotezy odrzucać postanawia.

Już taka nawet fizyognomia *Ateneum* była dla mnie wesołą nowiną; ani nie przeczuwałem, że daleko większa niespodzianka czeka mnie w drugim artykule, w tym samym zeszycie umieszczonym. Autor, p. Lutosławski, rozprawę swoją: „O etyce chińskiej", kończy takiemi słowy:

„Czy mamy naśladować Chińczyków i aby uniknąć walk i prześladowań, zupełnie zaniedbać dogmatykę, poprzestając na etyce. Byłaby to najprostsza rada wobec niepewności wszelkiej dogmatyki (!). Ale nam śmiałym obywatelom XIX. wieku, nie wolno zaniechać kwestyj, najwięcej, z natury rzeczy, obchodzących rozwiniętego człowieka. Naiwna dogmatyka została zburzona przez Kanta krytykę czystego rozumu (!), ale przedmiot dawnej dogmatyki, zagadka istnienia, pozostał — i do dalszych badań zachęca. Byt jest najogólniejszem pojęciem, jakie dotychczas człowiek wytworzył, i dlatego nigdy człowiek nie powstrzyma się od rozmyślań nad bytem, nad istnieniem — czyli od metafizyki. Gardzić metafizyką mogą ci tylko, co znaczenia tego wyrazu nie rozumieją, albo, którzy cierpią na to kalectwo umysłowe, że nie są w stanie tworzyć i łączyć pojęć ogólnych, rozpoznawać przyczyny i skutki. Pozostawmy więc Chińczykom ich etykę bez podstaw, a starajmy się dla nas nietylko o to, aby żyć moralnie, ale też aby wiedzieć, dlaczego moralnie żyjemy, czyli o metafizykę moralności".

A więc ten najbardziej przez pozytywizm znienawidzony produkt umysłu ludzkiego, metafizyka, przywrócony jest w *Ateneum* po długoletniem wygnaniu do czci — a więc to nietylko latanie rozpadlin i dziur w dotychczasowem domostwie, ale nawet nowy fronton się zjawia! Ha, gdyby można raz danemu słowu zaufać, to czołem!

Dwa te pomienione artykuły tak mnie dodatnio dla *Ateneum* usposobiły, że jeszcze tego samego dnia zabrałem się do poważnego studyum nad trzecią rozprawą, którą ochrzczono tytułem: „Dążenia etyczne" — a zabrałem się z tem błogiem przekonaniem,

do którego mnie powyżej przytoczone ustępy uprawniły, że będzie to już rzecz oparta na nowym terenie. I tu na mnie czyhała owa syzyfowa praca, o której przedtem wspomniałem. Wychodząc z zasady, że koniec wieńczy dzieło, zacząłem od końca i czytałem: „Starajmy się pozostawić świat nasz lepszym, niż go znaleźliśmy, starajmy się uczynić otaczające nas życie przyjemniejszem i piękniejszem, a spełnimy zadanie, jakie istnienie nasze nam przeznacza. Pracując wspólnie w tym kierunku, wpływać będziemy dodatnio na dalsze losy ludzkości i ziemi".

Po zrobieniu pewnych należnych zastrzeżeń co do przyjemniejszego i piękniejszego życia, cały ustęp wygląda bardzo pobożnie; możnaby go nawet wziąć za epilog do jakiego kazania; to też opatrzony od razu takim obrokiem duchownym, zabrałem się już do porządnego czytania, począwszy od samego tytułu. I znalazłem tam bardzo poetyczny opis walki o byt, jak z oceanu cierpienia wyłania się pan ziemi po to, by panować siłą gwałtu i morderstw, jak ten zabójca staje się z kolei sam ofiarą zabójstwa. Opisaną jest dalej zależność jednostki od społeczeństwa nietylko teraźniejszego, ale i od przeszłego, bo „miliardy ust, które śpiewały hymny miłości i przeklinały swe istnienie, miliardy upojeń i bolów złożyły się na nasze życie indywidualne". I tak ani się spostrzegłem, jak na tej fali poetycznej wyobraźni autora niesiony (chyba miliardy prababek autora istotnie ciągle śpiewały hymny) zapłynąłem w sam środek teoryi o dziedziczności i ewolucyi; potrzeba aż było dopiero, żeby cała etyczna teorya Spencera, Milla i dzisiejszych ewolucyonistycznych socyologów w całej swojej nagości przede mną stanęła, bym mógł zreflektować, gdzie jestem. Co przyznać autorowi potrzeba, to jest to że pisze z przekonaniem; rzadko kiedy zdarzyło mi się widzieć to zjawisko, by jakiś pisarz cudze teorye, bez żadnej odnośni do źródła, skąd czerpał, wypowiadał z taką dobrą wiarą jako swoje własne. Tłumaczy się to chyba tem, że ewolucyjna etyka już w niektórych umysłach głębokie zapuściła korzenie.

Całe to dotychczasowe streszczenie obejmuje tylko dwie kartki rozprawy; o tem, co się na dalszych czterech dzieje, niech łaskawy czytelnik gdzieindziej się poinformuje, bo ja mimo naj-

lepszej chęci, z tego zadania nie potrafię się wywiązać. Ma to być prawdopodobnie obszerniejsze rozprowadzenie idei na początku już uwzględnionych, ale w jakim związku pozostają z sobą pojedyńcze ustępy, jak z etyką ewolucyi da się pogodzić moralność suponująca religię i t. d. i t. d., to jest mi zupełnie niejasne. Zwykle krytycy, ilekroć razy stanie przed nimi podobnego rodzaju szarada, ofiarowują przenikliwszym od siebie konia z rzędem, ja byłbym gotów ofiarować cały tabun urzędzonych koni temu, ktoby mi logiczną łączność pojedyńczych zdań w tej rozprawie wykazał. Są tam najrozmaitsze rzeczy: jest naturalnie mowa o tem, że wolność naszej woli jest tylko względną — stygmata u świętych powstają wskutek tak zwanego uzależniania się jednostki; a nawet w tym czterokartkowym lesie dowiedziałem się rzeczy dla mnie zupełnie nowej, że wszystkie odkrycia i wynalazki dokonane zostały na gruncie pozareligijnym.

Ażeby zdradzić pewną samodzielność, zabiera się autor po kilka razy do polemiki z wybitniejszymi nawet pisarzami. I tak Schoppenhauera za pesymistyczne zdanie, że „niejeden człowiek byłby w stanie zabić drugiego, aby sobie jego tłuszczem buty swe wysmarować“, mityguje autor i twierdzi, że czyny takie należą już dziś do niezwykłych i powszechne wywołują oburzenie. W innem miejscu, niewdzięczny, zapomina, że Spencerowi wiele swoich idei zawdzięcza i zaczyna cały jego system atakować, ale tak nieszczęśliwie, że zarazem atakuje i siebie samego. Ciekawą tę próbkę polemiki warto tutaj w całości przytoczyć.

„Każdy instynkt, stając się świadomym, dąży do unicestwienia się — powiada Spencer. Jeżeli więc moralność wypływa z instynktu pobudzającego jednostkę do poświęcenia się dla gatunku, to instynkt ten uświadamiając się, dążyć będzie do unicestwienia się i do rozstroju moralności. Z teoryi Spencera wynika zatem, że postęp moralny nietylko nie jest konieczny, ale jest niemożliwy“.

Choć nieradzi, musimy jednak tym razem wziąć Spencera w obronę. W teoryi Spencera zaniknięcie to instynktu nie będzie przecież od razu całkowite, ale w miarę wzmagania się świadomości, zwolna i instynkt zanikać będzie. Kiedy wybije ta upra-

gniona godzina, że świadomość człowieka wzmoże się do ostatniego stopnia, tego instynktu już nie będzie, ale wtedy już ten końcowy człowiek będzie doskonałym moralnie, wtedy nastanie Eldorado na ziemi. Trzeba więc chyba do Spencera z innej strony szturm przypuścić, ale wtedy musiałby autor z wielu swoich assercyj skwitować.

Tak mniej więcej przedstawia się rozprawa o dążnościach etycznych; całość robi wrażenie, że jakiś zacny literat, przeczytawszy kilka etycznych artykułów najrozmaitszych odcieni, zasiadł do kałamarza, a spuściwszy się na los szczęścia wśród wielkich mąk i utrapienia, łączył ze sobą rozmaite kawałki tak, jak mu natchnienie dyktowało. I możnaby było nad tem całem pisaniem przejść spokojnie do porządku dziennego, gdyby nie jeden ustęp, w którym autor wyjątkowo dość poprawnie powtarza za innymi warszawskimi kolegami teoryę eudemonizmu socyalnego; ostatecznie też jest to ta kwintesencya, która da się z całej tej pracy wycisnąć. Teoryę eudemonizmu szczególnym afektem otaczało dotychczas *Ateneum*. Niejednokrotnie już spotykałem się z nią na kartkach warszawskiego miesięcznika; raz nawet opatentowaną została, nie pamiętam w czyjej rozprawie, jako jedynie prawdziwa. Czy jest tak w rzeczywistości?

Autor nie wdaje się bliżej w szczegółowsze uzasadnianie głoszonej przez siebie tezy, ale wyłożywszy pokrótce, jak instynkt samozachowawczy jednostki, występujący pierwotnie w postaci ciasnego egoizmu indywidualnego, wskutek stosunku tejże jednostki do społeczeństwa coraz bardziej łagodniał, tracił swoją brutalną siłę, rozszerzał się i obejmował coraz szersze sfery, rodzinę, plemię, kastę, klasę, naród wreszcie — stawia normę moralności czynów ludzkich.

Norma ta powstaje z odnośni czynu do wartości społecznej; stąd dobrem będzie wszystko to, co rozszerza życie społeczne co sprzyja jego rozwojowi, co dopomaga mu do osiągnięcia pełni jego najwyższej, co zwiększa sumę szczęścia i zmniejsza sumę cierpień w świecie; złem zaś wszystko, co tamuje rozwój życia społecznego, co zwiększa sumę cierpień i zmniejsza sumę przyjemności.

Teoryę szczęśliwości społecznej wypielęgnowała Anglia. Już w XVII. stuleciu utrzymywali ją Cumberland i Chaftesbury, a w naszym wieku pod wrażeniem comte'owskiego: *Vivre pour autrui* zabrał się do niej Stuart Mill. Rozprawa rozgłośna Milla: *On utilitarianism* zyskała jej wielu zwolenników i wkrótce na tem samem co on stanowisku stanęli: Bain, Sidgwick, Fechner, Lotze, Ihering, Paulsen.

Teorya Milla przedstawia się z daleka bardzo idealnie, a nawet ma jakieś pozory słuszności za sobą. Jednostka ma pewne obowiązki względem społeczeństwa, a obowiązki te określają się z natury rzeczy przez społeczne warunki istnienia i pomyślności; stąd każdy powinien przyczyniać się do powszechnego dobra, a chronić się tego wszystkiego, co może mu szkodzić. Ale z tego obowiązku jednostki względem ogółu nie wynika jeszcze, żeby szczęśliwość ogółu była już normą określającą wszystkie obowiązki człowieka, bo człowiek ma do uiszczenia inne jeszcze powinności: względem Boga i względem siebie samego. A jeżeli dobro to społeczne stawia się nawet jako ostatnie kryteryum, jako ostateczną podstawę obowiązku i moralności, to popełnia się już błąd gruby przeciw całemu porządkowi wszechrzeczy, bo obowiązek i moralność są czemś absolutnem, a więc absolutnem być musi i principium moralności, a wszelka moralność względna stoi z tym postulatem w sprzeczności całkowitej [1]. Ale o bezwzględnej moralności eudemonizm ani słyszeć nie chce; polemika też wszelka w tym względzie byłaby zupełnie bezowocną, bo ostatecznie trzebaby dotrzeć do samego źródła moralności, a tego eudemoniści, stojący po największej części na stanowisku całkowitego ateizmu lub agnostycyzmu, nie uznają. Etykom dnia wczorajszego, z czem się wcale Spencer we wstępie do swej etyki nie tai, szło tylko o to, by moralność oprzeć na czemś, coby licowało z duchem czasu, a nie zważali, że wchodzą często w ko-

[1] Bezzasadność wniosków wyciąganych z istnienia sprzecznych pojęć moralnych u rozmaitych ludów, na czem się ewolucyjna moralność względna opiera, omawiano już w tem miejscu. Ks. M. Morawski, „Prawdziwe pojęcie moralności". *Przegląd Powszechny*, 1884, t. IV.

lizye z całą rzeczywistością otaczającego świata i w rozterkę z najprostszemi nawet pojęciami etycznemi.

Mimowoli zawsze, ilekroć razy teorya ta obijała się o moje uszy, stawały mi przed oczyma wszystkie lokomotywy i lokomobile i maszyny świata całego, które tak silnie rozszerzają życie społeczne i tak jego rozwojowi dopomagają, a które na tak olbrzymią skalę zwiększają dzisiaj sumę szczęścia, a zmniejszają niewygody w świecie. Nie chcę z tej uwagi wysnuwać złośliwego wniosku, który ostatecznie dosyć logicznie wypływa, że i czynnościom maszyn należałoby przyznać dobroć moralną, chcę tylko powiedzieć tyle, że indywiduum, w takiej ścisłej, a wewnętrznej zależności do społeczeństwa postawione, niczem innem nie jest, jak tylko automatyczną maszyną, która jeżeli z czasem dla jakichś zewnętrznych przyczyn przestanie dla targu publicznego produkować, traci wszelką, nawet moralną wartość. I jeżeli eudemoniści chcieliby być konsekwentnymi, to z punktu swojej etyki wychodząc, powinniby powrócić do rozumowania Platona, który w imię dobrobytu społecznego żądał zabijania słabych dzieci, a lekarzom radził, aby chorych nieużytecznych już dla społeczeństwa, pozostawili ich losowi.

I cóż ostatecznie ma to indywiduum robić, żeby czynności jego były moralnie dobremi. Kiedy jednostka zapełnia szkatułę, pretenduje o zaszczyty, urządza sobie życie wygodnie, kiedy jednem słowem ma na oku dobro ziemskie, przyznają sami eudemoniści, że czynności takich nie można jeszcze uważać za moralnie dobre. Lecz czemżeż, pytam, jest dobrobyt społeczny, jak nie sumą indywidualnych dobrobytów; jeżeli zaś pomyślność jednostki jest zerem na terenie moralności, jakżeż dodawanie tych zer ma jakąś ilość utworzyć?

Lecz przypuściwszy na razie, że samo to uogólnienie dobra przemienia już istotę czynu, czyż więc czynność jakaś, mająca na celu dobrobyt państwa, będzie już tem samem dobrą? Czy, dajmy na to, Bismark, kiedy w interesie niemieckiego państwa annektował Alzacyą i Lotaryngią, lub germanizował Polaków, spełniał uczynek dobry, bo miał dobro swego państwa na celu? Odpowiedzą, że nie, bo wszedł w kolizyę z dobrobytem dru-

giego narodu. Odpowiedź słuszna, ale cóż pozostanie wtedy z tej wspólnej normy moralności, gdy dziś dobrobyty państw tak powszechnie i w tylu punktach z sobą kolidują? Cóż powiedzieć o stronnictwach i frakcyach, szarpiących i rozrywających dzisiaj każdą narodowość na kawały — każde z nich ma jak najlepszą chęć służenia sprawie ojczystej, ale do tego celu dążą zupełnie sprzecznemi drogami. Gdzie konserwatyzm stawia, tam radykalizm burzy; cóż będzie, czy burzenie, czy stawianie, czynem moralnie dobrym? A pominąwszy nawet tę sprzeczność interesów, dzielącą poszczególne szczepy i plemiona, jakżeż wyciągnąć można wspólną zasadę postępowania z dziejów narodów, stojących na odmiennem zupełnie stanowisku? Przecież dobro powszechne i sumę szczęścia inaczej pojmowali Sodomici, aniżeli Żydzi, inaczej Rzymianie, niż my je pojmujemy — a i w dzisiejszych czasach zaczyna się nieraz wraz ze słupem granicznym zupełnie inny świat cywilizacyi i religii, przekonań i dążeń, a co za tem idzie i odmienne pojmowanie pomyślności społecznej. I kiedy patronowie tego systemu odpowiadają, że nietyle dobro pojedyńczych narodów, ile raczej ludzkości całej należy uważać za miarę, to wcale kwestyi nie posuwają naprzód, bo w rzeczywistości ta ludzkość kryje w swojem łonie odmienne i sprzeczne dążenia pojedyńczych ludów.

Przyznajemy, że da się wykazać wiele momentów wspólnych, łączących pojedyńcze plemiona w pojmowaniu społecznego szczęścia, ale zachodzą też w tem pojmowaniu i istotne różnice. Jakżeż z niemi się uporać? Czekajmy chyba, aż spełnią się utopie socyalizmu o powszechno-narodowej harmonii i marzenia z tysiąca i jednej nocy Spencera o całkowitem dostosowaniu się jednostki do społeczeństwa i o końcowej równowadze, a wtedy przynajmniej jakieś uzasadnienie będzie miała tego rodzaju etyka — chociaż i wtedy nie dlatego czynność byłaby dobrą, iż powiększałaby sumę szczęścia powszechnego, ale odwrotnie dlatego, że do tego szczęścia się przyczyniała, iż byłaby dobrą. Gdy jednego z etyków tego kroju, Giżyckiego, przyparto do muru pytaniem — jakaż jest ostatecznie ta norma moralności? — odpowiedział: „prawdziwe szczęście wszystkich“. Wyrażenie było

nieostrożne, bo tem samem uznał, że możliwą jest szczęśliwość powszechna fałszywa, a konsekwentnie, że dobrobyt ten społeczny nie jest ostateczną normą etyczną, bo potrzeba jeszcze nadeń wyższego kryteryum, któreby rozstrzygało, czy jest on prawdziwym, czy złudnym.

I cóż powiedziećby potrzeba o naszych smutnych czasach, jaką zdeterminuje dzisiaj eudemonizm definicyę powszechnej szczęśliwości, gdy pojęcia o szczęściu tak są pogmatwane? Zacny nasz autor „Dążności etycznych“ — jeszcze raz do niego wracamy, by go w tem miejscu uroczyście pożegnać — wpadł tu najnieopatrzniej w pułapkę. Sam przyznaje, że czasy dzisiaj są złe, że ludzie chcą żyć jak najwygodniej i jak najmniej się troszczyć o zaspokojenie swych potrzeb. „Klasy posiadające, czcząc dobrobyt materyalny, pociągają za sobą tłumy i zalecają im uważać złoto za dobro najwyższe, pogoń zaś za niem za jedyną racyę życia. Samo zresztą parcie warunków ekonomicznych każe widzieć w posiadaniu złota niezbędny warunek szczęścia. To też żaden kult na świecie nie miał tylu hołdowników, co dzisiejszy kult złota. Giełda stała się świątynią nowego Syonu, złoto miarą wszystkiego“.

I cóż pocznie z tym fantem autor? Konsekwentnie rozumując, przypuszczaćby należało, że jeżeli całe społeczeństwa upatrują dzisiaj swoje szczęście w złocie, to kult tego złota będzie dla każdej jednostki czynnością moralnie dobrą. Na szczęście jest on idealistą i to go oddala od tej logicznie płynącej konkluzyi; ponad tym materyalizmem widzi on unoszące się wielkie idee, które niewątpliwie uratują postać świata. Wszystko to ładnie, tylko że idee wiszą w powietrzu, lub co najwyżej w kilku wybitniejszych umysłach, z których bardzo powoli się wykradają, a tu idzie o rzecz praktyczną, o normę moralności, konieczną dla każdego człowieka na każdym kroku życia.

Te kilka uwag w całej tej kwestyi aż nadto są wystarczające, bo eudemonizm nie jest ani tak światłą, ani tak urodzajną teoryą, jakby to z entuzyazmu, jakim jest dla niej przejęte *Ateneum*, wnioskować należało. Etyka ta, jak wszystkie skrajne etyczne systemy, jest tylko odbiciem chwili współczesnej. Prze-

leci burza nad pewnem pokoleniem, lub jakieś nienormalne stosunki wytrącą je z równowagi tak, że na tych manowcach zatraci ono ślad prostej drogi, zaczyna się wtedy szukanie po omacku za drogowskazem w życiu — a dzieje się to z konieczności psychologicznej, bo dusza ludzka musi mieć wytyczoną pewną normę postępowania, musi jej świecić jakiś ideał przewodni, lub błędny ognik przynajmniej, do którego ma dążyć. Powstaje zazwyczaj w takich chwilach myśliciel, który sam tę kryzys szamotania przechodził, odczuwający całą duszę swego pokolenia i jego myśleniem myślący, i tworzy teoryę etyczną, zakreśla jakiś typ człowieka, rysami do otaczającego społeczeństwa zbliżony, mający jednakowoż pewną nad nim wyższość. Kilka takich typów wydały czasy ostatnie. Kiedy w całej Europie burzyć się począł ferment nierówności społecznej i wywołał wstręt do trwającego stanu rzeczy, powstaje człowiek Rousseau'a, duch zniechęcony ciemiężeniem klas wyższych, a marzący namiętnie o jakimś stanie pierwotnej natury i rzucający się z tęsknotą w objęcia przyrody. Kiedy później przycichać zaczęły grzmoty rewolucyi i rozczarowane umysły owładnął pesymizm, występuje na widownię człowiek Schoppenhauera, człowiek, który zrezygnował ze szczęścia w życiu i chce już, choćby kosztem największych wysiłków, walczyć o coś, czem mógłby się przysłużyć społeczeństwu. Równocześnie począł z poza mgły zapomnienia wychylać się miedziany pomnik wieku XVIII.; przyćmione na chwilę łuną wojen napoleońskich i blaskami romantycznej poezyi rozkładowe teorye racyonalistów wracają w odmiennej formie do życia, i wtedyto przychodzi na świat znany nam typ Comte'a, — stworzony przez pozytywizm i kolegujące z nim systemy, ewolucyonizm i eudemonizm, suchy racyonalista, który na ołtarzu jakiejś abstrakcyjnej ludzkości składa swoje wierzenia i przekonania, wszystkie swoje cele i czyny. A kiedy ta ułudna etyka zaczyna dzisiaj zawodzić, gdy przecywilizacya dochodzi już do szczytu rozstroju, powstaje w naszych oczach nowy typ, wcielony przedstawiciel *fin-de-siècle*'u, dekadent, „nadczłowiek" Nietzschego. Dzisiaj ruszają u nas wszyscy ramionami nad tą najmłodszą etyką, bo nie grasuje jeszcze wśród nas epidemia de-

kadentyzmu, ale w Niemczech i we Francyi ma ona już swoich adoratorów, a kto wie, czy niezadługo ich i u nas nie znajdzie. Byłoby to najlepszym dowodem, że podobne systemy tak, jak są odbiciem jakiejś generacyi, tak dla tej generacyi istnieją. Po tej chwili, po ustąpieniu takiego pokolenia, tworzą się nowe stosunki, zjawiają się odmienne potrzeby, społeczeństwo wraca znowu do normalnego stanu i wtedy etyki takie traktuje tak, jak traktuje się ciekawe zabytki archeologiczne, lub co najwyżej, jak oryginalne utwory literackie.

I tak nieszczęśliwym zbiegiem wypadków pierwsze zachwyty, wywołane artykułami o smorgońszczyznie i o etyce chińskiej, z trzecim artykułem całkowicie się rozwiały. Do dziś dnia jest to dla nas wielką zagadką, jak mogą w jednem czasopiśmie, a nawet w tym samym zeszycie, mieścić się obok siebie tak sprzeczne i różnorodne pojęcia. Będzie to może jakiś odcień niezdecydowania i chwiejności, jak w ogólności niewyraźną bywa każda jesienna pora przemiany. Wobec tego nie pozostaje nic innego, jak czekać cierpliwie i patrzyć, co nastąpi w przyszłości.

*Ks. J. Pawelski.*

# PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

## Z piśmiennictwa krajowego.

**Uchansciana.** T. V. Jakub Uchański, arcybiskup gnieźnieński (1502—1581). Monografia historyczna przez *T. Wierzbowskiego*. Wydanie z zapomogi Kasy pomocy naukowej imienia d-ra J. Mianowskiego. Warszawa 1895. (Str. 854).

Na podstawie czterech tomów mozolnie zebranych materyałów historycznych, nazwanych *Uchansciana*, p. T. Wierzbowski, znany dobrze z licznych prac treści historycznej i historyczno-literackiej, skreślił obszerny życiorys Jakuba Uchańskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego i prymasa Polski.

Jakub Uchański urodził się w r. 1502, we wsi Uchaniu, w ziemi Chełmskiej. Początkowe nauki pobierał w szkole katedralnej w Krasnymstawie, a skromny zasób wiedzy, stamtąd wyniesionej, uzupełnił następnie czytaniem i praktyczną znajomością spraw publicznych. Na uniwersytet krakowski podobno wcale nie uczęszczał i podróży za granicę nie odbywał, jak to można sądzić z jego własnych słów, wyrzeczonych z pewną ironią, iż „nie bywał dalej Wisły a Wilii".

Początkowo proteguje J. Uchańskiego Andrzej Tęczyński, kasztelan krakowski, a potem już sam pracuje nad zdobyciem karyery świeckiej i duchownej. Za wpływem, jak się zdaje, Piotra Tomickiego, podkanclerzego koronnego, dostaje się na dwór królewski. Pełen wykształcenia ogólnego, niezmiernie ruchliwy, czynny i energiczny, zajmował J. Uchański różne stanowiska w ciągu swego długiego żywota (od r. 1502—1581), zaczynając od skromnej godności sekretarza królew-

skiego i plenipotenta królowej Bony, aż do najwyższej w Kościele polskim i w państwie. W roku 1550 został biskupem chełmskim. Na zatwierdzenie w tej godności ze strony Rzymu czekać musiał aż dwa lata. W r. 1557 nadaje mu Zygmunt August biskupstwo kujawskie. Z tego powodu wybuchł zatarg pomiędzy królem polskim a Stolicą Apostolską, trwający cztery lata, który mógłby pociągnąć za sobą poważne następstwa, gdyby nie śmierć Pawła IV. W roku 1562 został arcybiskupem gnieźnieńskim, dzięki łasce i poparciu stale mu życzliwego Zygmunta Augusta. J. Uchański rządził państwem podczas dwóch bezkrólewi: po śmierci ostatniego z Jagiellonów i po ucieczce Henryka Walezyusza. Za pierwszego bezkrólewia stał po stronie Henryka, a podczas drugiego — popierał wybór Maksymiliana.

Otrzymawszy najwyższą godność w Kościele polskim, J. Uchański popierał gorliwie projekt zwołania synodu narodowego, w czem usiłowali mu przeszkodzić: najpierw nuncyusz papieski Commendone, a następnie kardynał Hozyusz. W pierwszej połowie swego żywota służył on przedewszystkiem władzy świeckiej, w osobie dwóch ostatnich Jagiellonów, a zbyt mało Kościołowi; w drugiej natomiast połowie zajmował się już znacznie więcej sprawami kościelnemi. Na synodzie piotrkowskim w r. 1577 przeprowadził wiele zmian nader użytecznych dla Kościoła. Jakkolwiek sądzić będziemy stanowisko i opinie J. Uchańskiego w wielu kwestyach, będących wówczas przedmiotem nieskończonych dysput i polemik, przyznać jednak należy, iż zdobycie ważnej prerogatywy dla prymasów na czas bezkrólewia było jego niewątpliwą zasługą. — Sam wykształcony (autor dzieła „O miłościwem lecie“ i „Pamiętnika o tem, co się działo w Warszawie na zjeździe r. 1572“), popierał oświatę i wiele łożył na edukacyę ubogiej młodzieży.

Różnemi były opinie różnych autorów o J. Uchańskim, które p. Wierzbowski przytacza w „Zakończeniu“ swej monografii. Najbliższymi prawdy byli następujący pisarze: z dawniejszych ks. Jezuita Cichocki, który powiada o sobie, iż „sześć lat w usługach jego strawiłem“, a z nowszych — ks. Augustyn Theiner. Ten ostatni, nie tając jego dawniejszych błędów i dwuznacznego stanowiska wobec Kuryi rzymskiej, przyznaje z całą stanowczością, iż „gdy został arcybiskupem gnieźnieńskim, z niezwyciężoną siłą ducha walczył w obronie przywilejów duchowieństwa katolickiego“. O. Cichocki T. J. powiada, iż „pełne teki pism i listów, odbieranych od herezyarchów, na spalenie przeznaczył; że w obrzydzeniu miał i przeklinał te czasy, w których srożyła się herezya“. Autor polemizuje z opiniami o Uchańskim niektórych now-

szych historyków. Przeczy np. twierdzeniu ś. p. Pilińskiego, jakoby prymas namawiał Zygmunta Augusta do zerwania z Rzymem, a sobie przeznaczał rolę patryarchy Kościoła polskiego. Nie godzi się również z umiarkowańszem w formie, podobnemże zdaniem W. Zakrzewskiego, iż „Uchańskiego nie bez słuszności posądzano o to w Rzymie". Ks. Janowi Korytkowskiemu, kanonikowi gnieźnieńskiemu, który przed omawianą tutaj pracą napisał najobszerniejszy życiorys J. Uchańskiego: „Arcybiskupi gnieźnieńscy, prymasowie i metropolici polscy" (Poznań 1889), zarzuca brak konsekwencyi i z góry powzięte uprzedzenia o J. Uchańskim, przed należytem zbadaniem materyału historycznego.

Na tle tych wszystkich poglądów i własnych uwag polemicznych, daje p. T. Wierzbowski charakterystykę J. Uchańskiego. Broni go przed zarzutem, czynionym przez wielu współczesnych, iż był niezmiernie ambitnym i dumnym; natomiast widzi w nim słabość charakteru, brak inicyatywy i „tej siły woli, które innym wskazują drogę lub innych z entuzyazmem porywają za sobą". Wady te dawały się czuć najdotkliwiej wówczas, kiedy osiągnął pierwszą w Rzeczypospolitej godność i dwukrotnie był jej głową. Dalej, zgodnie z temperamentem narodowym, J. Uchański gwałtownym i skorym był do czynu w pierwszej chwili, ale następnie stygł w zapale i częstokroć ulegał zupełnie odmiennym wpływom. Przyczynę tego braku samodzielności upatruje — niezupełnie, zdaniem mojem, słusznie — w tem, iż w młodych latach, od 20 do 35 roku życia, kiedy mógł w sobie wyrobić ducha samodzielności i inicyatywy, „znajdował się pod bezpośrednim kierunkiem innych osób i w zależności od nich". Z żywota wielu zasłużonych ludzi wiadomem jest dobrze, iż kto się przyzwyczaił słuchać w młodości, umiał później i rozkazywać. Z tych lat młodzieńczych J. Uchański wyniósł natomiast „wielkie poczucie obowiązków i gorliwość w ich wypełnianiu, patryotyzm połączony z odwagą przekonania i chęć służenia zawsze dobru publicznemu". Chociaż w opiniach jego długiego żywota dostrzegamy wielkie różnice i nawet sprzeczności, mniema jednak p. W., iż „w chwili gdy je wygłaszał, ze szczerego wynikały przekonania i dobrej woli". O stanowisku J. Uchańskiego wobec Kościoła i prądów reformacyjnych wyraża się autor w sposób następujący: „reforma kościelna, jakiej był przedstawicielem i jaką wprowadzić pragnął, zostawszy arcybiskupem, jedynym była dodatnim i racyonalnym programem, który mógłby uciszyć reformacyjne wrzenie i zadowolnić obie strony: katolicką i dysydencką". A nieco dalej powiada: „w gruncie rzeczy nie żądał rzeczy niemożebnych i nigdy nie marzył o utworzeniu

zupełnie samodzielnego, narodowego Kościoła i oderwaniu się od jedności i wspólności z Rzymem. Taką polityką i tym właśnie programem, a jednocześnie obroną przywilejów duchowieństwa i podjętą następnie z dysydentami walką w czasie najniebezpieczniejszym, przeważył na swych barkach zwycięstwo na korzyść katolicyzmu, a rzuciwszy podstawy reakcyi katolickiej, przyczynił się znacznie do późniejszego jej tryumfu".

Oto ostatnie słowo p. Wierzbowskiego o bohaterze swego obszernego studyum. Ten „dodatni i racyonalny program", o którym wyżej wspomina, był właściwie programem Frycza Modrzewskiego, z którym J. Uchański poznał się jeszcze za pobytu swego na dworze królewskim, w charakterze referendarza koronnego. Wówczas to istniało w Krakowie kółko ludzi młodych, wykształconych za granicą, obznajomionych z nowemi prądami myśli europejskiej, a sympatyzujących z reformacyą. Młodzi ludzie z tego kółka zbierali się najczęściej w domu Andrzeja Trzecieskiego, gdzie między innymi bywali: Franciszek Lismanin, Jakub Przyłuski, Bernard Wojewódka, Mikołaj Rey, a zwłaszcza Andrzej Frycz Modrzewski. Ponieważ J. Uchański nie posiadał wykształcenia uniwersyteckiego, ani też za granicą nie bywał, przeto ludzie z tego kółka, posiadający wyższe wykształcenie i obyci w świecie, imponować mu musieli. Z Modrzewskim zawiązała się ścisła przyjaźń, która przetrwała do śmierci reformatora. „Obu łączyły — powiada p. W. — poważny nastrój, wysokie poczucie sprawiedliwości, umiarkowanie, pewna siebie stateczność i spokój umysłu". W tem to kółku zasięgał on bliższych wiadomości o reformatorach, otrzymywał od jego uczestników i członków pisma Lutra, Melanchtona, Kalwina i Bucera i zaopatrywał w nie swoją bibliotekę (str. 86). Od tego czasu J. Uchański polubił dysputy naukowe, zwłaszcza w kwestyach kościelno-politycznych, chętnie zaczął przestawać z ludźmi uczonymi, a protegować uczącą się młodzież.

W rezultacie tych wpływów okazał się ów późniejszy program J. Uchańskiego, jako arcybiskupa i prymasa, w ciągu pierwszych lat sprawowania tej najwyższej w Kościele polskim godności. Głównemi postulatami tego programu były: język polski w liturgii, Komunia św. pod obiema postaciami dla świeckich i małżeństwo dla księży, co wszystko miało być przeprowadzone, a zgoda religijna dokonaną, na soborze lub przynajmniej synodzie narodowym. P. Wierzbowski mniema, iż przed rokiem 1560 cel powyższy przez te ustępstwa dałby się osiągnąć. Nietylko umiarkowańszych zwolenników reformacyi zadowolniłby

on najzupełniej, lecz zyskałby niechybnie poparcie u najwpływowszych rodzin senatorskich, a nie natrafiłby na opór biskupów, pomiędzy którymi było wielu chętnych do zgody z dysydentami. Pomiędzy nimi pierwsze oczywiście miejsce zajmował J. Uchański. Autor przypuszcza, że nawet na pozwolenie Rzymu można jeszcze było wówczas liczyć.

Jeden z najobszerniejszych i najgruntowniejszych ustępów swej pracy (rozdział VIII.) poświęca p. W. idei synodu i Kościoła narodowego w Polsce, przyczem w szerokiej mierze uwzględnia trudności, jakie stawały w drodze ich urzeczywistnieniu, do czego najwięcej się przyczyniła zręczność dyplomatyczna legata papieskiego, Commendone'go, i niechęć kardynała Hozyusza, a potem i wielu innych biskupów dla pomysłów synodalnych J. Uchańskiego. Liczyć po ostatecznem zamknięciu soboru trydenckiego na możliwość ustępstw, sformułowanych przez Frycza Modrzewskiego, było dobrowolnem łudzeniem się, a wszelka próba wprowadzenia takowych w Kościele polskim bez zezwolenia Rzymu doprowadziłaby niechybnie do większego jeszcze rozbicia w stosunkach kościelnych i wytworzenia jakiejś nowej sekty. Pomimo tego J. Uchański poruszał jeszcze w r. 1571 i 1572 projekt synodu narodowego, aby na nim doprowadzić do skutku ugodę z dysydentami, lecz również bezskutecznie. Zdaje się, że ta ostatnia próba (już po śmierci Zygmunta Augusta) była — jak się autor wyraża — „ostatnim hołdem, złożonym pamięci przyjaciela", Frycza Modrzewskiego, który zmarł w jesieni r. 1572. Lecz w tymże czasie nastąpił zwrot stanowczy w postępowaniu prymasa, który „stał się odtąd gorliwym ortodoksą i zupełnie wyparł się poprzednich swych tendencyj" (str. 377).

Chcąc widocznie podnieść zasługi J. Uchańskiego około Kościoła w ostatnich dziewięciu latach życia i rządów w Kościele polskim, autor — wbrew zdaniu przeważnej części dotychczasowych badaczy — stara się obniżyć zasługi Hozyusza i Karnkowskiego. O pierwszym z nich powiada, iż „sługą Kościoła był o tyle, o ile przez to mógł się stać najwyższym panem"; drugiego zaś nazywa „mistrzem w mydleniu oczu", który „pchany ambicyą, myślał tylko o osiągnięciu najwyższej w Kościele i w Rzeczypospolitej godności" (str. 713 i 714).

Na końcu książki umieszczono: dodatki, spis chronologiczny dokumentów, ogłoszonych w 5-ciu tomach *Uchanscianów*, wykaz archiwów i bibliotek, z których pochodzą te dokumenta, spis osób i miejscowości, wspomnianych w tomie V., nareszcie tablicę genealogiczną rodziny Uchańskich.

Można się nie godzić z poglądem autora na doniosłość zasług kościelnych J. Uchańskiego lub nie podzielać jego optymizmu w przekonaniu o możliwości pogodzenia dysydentów z Kościołem przez ustępstwa, przyznać jednak należy, iż p. Wierzbowski korzystał z obfitego materyału źródłowego, a rzecz całą traktował w sposób poważny.

*A. Szarłowski.*

**Zarys dziejów powszechnych.** *Dr. G. Egelhaaf.* Z niem. przełożył i uzupełnił *Stanisław Krzemiński.* T. I.: Starożytności. Z mapką i tablicą synchronistyczną. (W 8-ce, str. 299). Warszawa 1896. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Treściwe a naukowe podręczniki do historyi powszechnej nie są u nas zbyt liczne. Mówimy oczywiście nie o książkach ozdobnych ani o dziełach obszerniejszych w rodzaju Holzwarta, ale o czemś pośredniem między temi dwiema ostatecznościami. Dlatego dobrą mogła być myśl wydawców: przyswoić literaturze naszej takie właśnie dzieło, któreby wyczerpująco najpotrzebniejsze rzeczy z dziedziny historyi podało niedość jeszcze obznajomionemu z dziejami czytelnikowi.

Na wstępie przecież zaraz zaznaczyć musimy z naciskiem, iż wybór autora nie był szczęśliwym. To, że książka jego ma już kilka wydań niemieckich, jeszcze o rzetelnej wartości takowej nie rozstrzyga. Dr. G. Egelhaaf, jak z rozmaitych jego wyrażeń wnosić można, jest w zasadzie racyonalistą i już to samo musiało go błędnie, jeżeli nie wrogo usposobić dla źródeł dziejowych, do jakich wszyscy zaliczamy i Pismo św. Dla niego więc istnieje tylko wiedza „przedhistoryczna“, oparta na materyale wykopalisk z czasów pierwotnych, co zaś o owych czasach wiemy z Objawienia, przechowanego w Biblii, z pism natchnionych dziejopisarzów żydowskich, to zdaje się dla autora nie istnieć wcale, jakkolwiek sam w opowiadaniu o narodzie wybranym na Biblii oprzeć się musiał.

O życiu pierwotnem człowieka (str. 2) powtarzają się płytkie frazesy, przypominające mocno Darwina, a zarzucone już dawno przez prawdziwie naukowe powagi. O pierwotnej religii (str. 4) autor dokładnego pojęcia albo nie ma, albo mieć nie chce, i wydaje najfałszywsze sądy o tak zw. *henoteizmie* (str. 5), w przeciwstawieniu do monoteizmu. Inne znowu fakta historyczne, do dziś zakwestyonowane przez najznakomitsze powagi naukowe, przywodzi jako pewne nawet w drobnych szczegółach i datach. Przeciwnie zaś to, co nowsze ba-

dania sprostowały, wyjaśniły o niejednej z historycznych postaci, o tem autor, zdaje się, nie wiedział i nie słyszał, bo pisze, czy o Drakonie czy o Fenicyanach, w ten sposób, jakby żył dopiero w początkach XIX. wieku.

Wogóle książka ta grzeszy rażącemi błędami, podając na własną rękę za fakta pewne to, czego dotąd najsumienniejsi badacze jeszcze nie uznają, opiera się dalej na hypotezach dziś już przestarzałych i niepopularnych — jak owe fluida magnetyczne. Pismo św. i jego opowiadanie raz jako powagę przyjmuje, to znowu bez podstawy żadnej takowe odrzuca, a nawet (str. 35) odważa się postawić takie gołosłowne bluźnierstwo: „podanie o biblijnym *Balsazarze (sic)* jest kłamliwe“! Wszak dziś sami protestantcy badacze i racyonaliści, uderzeni odkryciami na gruzach dawnej Asyryi i Babilonu i pouczeni zapiskami owych słynnych tabliczek glinianych, oddają hołd Biblii. Niechby autor był zaglądnął do angielskich i francuskich asyryologów i ich dzieł archeologicznych, choćby do niemieckiego Kaulena, a byłby tanim kosztem ominął takie potworne brednie.

Wytykamy ogólne tylko usterki i kierunek fałszywy dzieła, którego prawdziwa nauka uznać nie może ani pochwalić. Na szczegółowy rozbiór w sprawozdaniu pobieżnem miejsca nie ma — ale i z tych kilku uwag wyrozumie każdy łatwo, dlaczego publikacyi tej zalecić nie można, i ten przynajmniej pierwszy tom wydawnictwa uważamy za chybiony. Podnosimy to tem więcej, ile że w przedmowie tłumacz wyraźnie mówi, iż nie wszędzie trzymał się oryginału dosłownie, ale go w niektórych miejscach rozszerzył i uzupełnił. Wobec tego wyznania można było śmiało tak rażące pouzupełniać błędy, by dzieło nie było rozsadnikiem zgubnych zasad racyonalizmu i fałszów historycznych.

*B.*

**Frank i Frankiści polscy. 1726—1816.** Monografia historyczna, osnuta na źródłach archiwalnych i rękopiśmiennych. Przez *Aleksandra Kraushara.* Dwa tomy. Kraków 1895. Nakład Gebethnera i Spółki.

Z tej dopiero monografii można sobie wyrobić sąd, czem był Frank i jaką rolę odegrał względem swych jednowierców i jednoplemieńców. Mianowicie, że był to ostatni, jak dotychczas, fałszywy mesyasz a prawdziwy szalbierz na olbrzymią skalę.

Wdzięczność się należy szan. autorowi niemała za tak sumienne i obfite przytaczanie źródeł. W ten sposób bowiem czytelnik nie jest

zmuszony iść koniecznie za zdaniem autora, ale własne przekonanie z danych dokumentów może sobie utworzyć.

Zwłaszcza ważny jest dokument: „Księga słów“, którą szan. autor w całości (a długa to całość) podaje. Cały charakter Franka, jak w zwierciedle się w tej „Księdze“ odbija; są to bowiem prawie wszystko jego własne słowa, przez zwolenników wiernie spisywane. Cechuje tę „Księgę“ wielka zabobonność, apodyktyczność i kochanie się w olbrzymości. Jednak z poza tej tkaniny baśni, przypowieści, bluźnierstw i niemoralności wychyla się bardzo mądry system. A system to tak przebiegły i tak doskonale obrachowany na charakter narodowy i ciemnotę ówczesnych Żydów, że i najdowcipniejszy rozum ludzki nie byłby dość chytry, aby go wymyśleć, ani najsilniejsza wola czysto ludzka dość zepsuta, aby go wykonać. Jest w tem coś nadludzkiego, coś demonicznego. Wszystko zaś wprost przeciwne nauce Chrystusa Pana, chociaż co do zewnętrznej formy nieraz bardzo dobrze naśladuje, a raczej podrzeźnia Ewangelie.

Przyjęcie chrztu, jak i poprzednio islamu, służy Frankowi tylko za sposób wyjścia z poniżanego stanu Żydów, a wejścia w bogate i wykształcone warstwy społeczeństwa, najprzód mahometańskiego, a potem chrześcijańskiego, a w szczególności polskiego.

Niesłusznie jednak szan. autor czyni solidarnymi w tych świętokradztwach wszystkich Żydów, współcześnie z Frankiem ochrzczonych; zupełnie przeciwne zdanie trzeba sobie uformować czy to z relacyi ks. Pikulskiego, czy z oskarżenia Franka przed sądem duchownym w Warszawie, czy wreszcie z samej „Księgi słów“, w której Frank często utyskuje, że jego *Michna* (kompania) oskarżyła go przed księżmi.

Niesprawiedliwie także, zdaje nam się, zarzuca szan. autor biskupowi Dębińskiemu, że przekroczył swoją kompetencyę, pozwalając dysputować przed sobą antytalmudystom z talmudystami, i paląc potem publicznie talmudy. Bo przecież szan. autor, mówiąc o przywilejach, danych Żydom przez królów polskich, nie chce chyba przez to powiedzieć, że te przywileje zapewniały im tolerancyę dogmatyczną. To byłoby niedorzecznością nawet w naszych tak tolerancyjnych czasach, a cóż w owych, tj. w XIII. wieku. Jakżeż więc biskup nie miał skorzystać z tak legalnie danej sobie przez samych Żydów sposobności wykazania publicznie korrupcyjnych zasad talmudu? Był do tego obowiązany nawet ze stanowiska ogólno-ludzkiego. A mając w ręku władzę, powinien był, za przykładem Stolicy apostolskiej, zniszczyć, jakoteż i zniszczył źródło tej korrupcyi, czyli będące w obiegu kodeksy talmudów. Jeżeli zaś

sanitarna niszczy przedmioty zakażone bacylami cholery, nikt jej tego za złe nie bierze, chyba zapleśniali zacofańcy, ale gdy Kościół zabrania i niszczy książki siejące zarazę moralną, krzyczą nań ludzie postępowi.

Szkoda wielka się stała dla dzieła, skądinąd bardzo sumiennego, że szan. autor wdał się w apologię Żydów co do kwestyi morderstwa rytualnego. Tej rzeczy należało albo wcale nie tykać, jako drażliwej zarówno dla chrześcijan jak i dla Żydów, albo traktować ją zupełnie inaczej: bez powziętego z góry zdania i na podstawie obszernego materyału historycznego i sądowego. Jeżeli szan. autor jest z góry przekonany, że fanatyzm średniowiecznych chrześcijan zdolny był tę baśnię wymyśleć i za nią niewinnych Żydów katować i palić, to powinienby też konsekwentnie przypuścić, że fanatyzm, pewnie nie mniejszy, spółczesnych Żydów zdolny był takie okrucieństwa na chrześcijańskich dzieciach wykonywać. A jeżeli szan. autor sądzi, że talmud nic takiego nie uczy, to jednak przyznaćby powinien, że zawiera miejsca, które przez „fanatyzm średniowiecznych“ Żydów mogły być w taki sposób rozumiane. Ostatecznie nic tu nie można *apriori*, z możliwości lub niemożliwości, rozstrzygnąć; jedynie na faktycznym materyale oprzeć się można. A najniewłaściwszemby było przypisać *apriori* więcej fanatyzmu i ciemnoty chrześcijanom, aniżeli Żydom.

Szan. autor powołuje się także na Stolicę apostolską, jakoby ona broniła Żydów od tak krzywdzących podejrzeń. Jednak z dokumentów, jakie sam przytacza, wynika jedynie to, że papieże bronili Żydów od prześladowania gromadnego, tudzież że nie uznawali dowodów apriorystycznych, branych z talmudu, za wystarczające w tego rodzaju sprawach kryminalnych.

Pomijając tę nieszczęsną obronę, monografia jest doskonale przeprowadzona, źródła wyzyskane, rzecz się czyta z zajęciem. A zwłaszcza zamknięcie całego dzieła zdaniem, że razem z bankructwem finansowem rodzina Franka straciła i urok mesyański — jest bardzo trafne.

*Ks. H. Pydynkowski.*

**Roksolania Klonowicza** w stosunku do poezyi łacińskiej i greckiej. Część I. *Basiński Stanisław.* Sprawozdanie c. k. gimnazyum w Sanoku. Sanok 1895.

Zależności *Roksolanii* od wzorów klasycznych nikt jeszcze u nas przed p. Basińskim nie wykazał należycie. Przeczuwali ją tylko: Mierzyński w rozprawie: *De vita, moribus scriptisque latinis Sel. Fal.*

*Acerni*, i Ehrenberg w IV. tomie *Biblioteki Warszawskiej* za r. 1889. P. Basiński postawił sobie zadanie wykazać, „w czem istnieje to naśladownictwo“ wzorów klasycznych w *Roksolanii*, a dalej postanowił „wydzielić to, co jest własnością samego Klonowicza, względnie wykazać, gdzie nie ma tego klasycznego wpływu, a występują natomiast swojskie, rodzime pierwiastki“. Zebrał przeto szanowny autor i systematycznie ułożył przymiotniki, rzeczowniki i czasowniki, napotykane w tych samych znaczeniach i połączeniach tak u pewnych starożytnych autorów (Martialisa, Seneki, Lukana, Wirgilego, Owidiusza, Properciusza, Horacego, Catulla i innych), jak i u Klonowicza. W czwartym rozdziale swej pracy zestawił p. B. końcówki hexametrów i pentametrów tudzież początki wierszów, które Klonowicz z łacińskich poetów przyjął do *Roksolanii*. Część druga tej pracy będzie zawierać zestawienie treści i mitologicznego aparatu *Roksolanii* z klasycznymi autorami.

Rzecz naturalna, że szerszą publiczność mogą co najwięcej obchodzić wyniki tylko tej żmudnej, iście benedyktyńskiej pracy p. Basińskiego, dla badaczów polskiego piśmiennictwa ma praca ta jednak cenną wartość: dzięki jej, przedstawia się Klonowicz jako gruntowny znawca piśmiennictwa łacińskiego i zawisłość dzieł jego od wzorów klasycznych da się po okazaniu tej pracy niemal z geometryczną ścisłością oznaczyć. Gdybyśmy mogli jeszcze dojść, z jakich to pism zachodnich czerpał Klonowicz swe polityczno-religijne zapatrywania, wówczas możnaby już z łatwością nakreślić sylwetkę tego niespokojnego ducha XVI. wieku.

*L. M. Dziama.*

**Pentesilea.** Dramat Szymona Szymonowicza. *Dr. Wiktor Hahn.* Lwów. 1895.

Ostatniem większem dziełem poetycznem Szymonowicza jest drugi jego utwór dramatyczny *Pentesilea*. Utwór ten okazał się w druku r. 1618; jest on znacznie słabszym od zręcznego naśladowania Euripidesowych dramatów w *Castus Joseph*.

W tem leży oryginalność tego utworu Szymonowicza, że od czasów starożytnych do Kleista jeden tylko Szymonowicz wybrał losy królowej Amazonek Pentesilei za temat dramatu.

Pan Lavoleè w rozprawie swej p. t.: *De poetis polono-latinis*, Paryż 1875, wskazał wpływ dzieł Quintusa Smyrneńczyka na *Pentesileę* Szymonowicza.

Pracę swą przypomniał p. Lavoleè czytającej publiczności, ogła-

szając ją w tłumaczeniu francuskiem p. t.: *La poésie latine en Pologne. (Essais de littérature et histoire.* Paris 1891).

Co p. Lavoleé przeczuł, to dokładnie wykazał p. dr. W. Hahn. *Pentesileę* Szymonowicza zestawił p. H. z łacińskiem tłumaczeniem poematu Quintusa Smyrneńczyka, z t. zw. *Posthomericon libri XIV.* Z zestawienia tego poznaje się dokładnie, iż całą treść do swego dramatu zaczerpnął nasz poeta z *Posthomericon*, a jednę tylko osobę posła trojańskiego Taltyliosa sam stworzył. Zupełną własnością Szymonowicza jest w tym utworze także jedna pieśń, mianowicie ta, którą śpiewa mamka małemu Astyanaxowi, synowi Andromachy i Hektora. Brak artystycznego wykończenia, jaki napotykamy w tym utworze Szymonowicza, należy, zdaniem p. H., tem tłumaczyć, iż nasz poeta „rozszerzył krótkie opisy greckiego poety w przedługi sposób".

Trzecia to już rozprawa p. Hahna, zajmująca się Szymonowiczem. O ile mi wiadomo, „Kilka przyczynków do pism Szymona Szymonowicza": *Castus Joseph;* nieznany wiersz łaciński Szymona Szymonowicza: *Ode Georgio Zamoscio Episcopo Chelmensi, Pentisilea,* a wreszcie umieszczona w ostatnim zeszycie (IV. 1895) *Kwartalnika historycznego* ocena wydanych przez J. Przyborowskiego: „Kilku nieznanych listów Szymona Szymonowicza", to prace przygotowawcze do dzieła większego, do wyczerpującej monografii Szymonowicza, nad którą p. H. od lat kilku pracuje. Monografię tę zapewne chętnie powitają badacze naszego piśmiennictwa.

*L. M. Dziama.*

**Generał Sonis.** Życiorys. Przez *M-gra Baunard.* Przekład z dziesiątego francuskiego wydania. 1895.

Szlachetna postać jenerała Sonis znaną już jest czytelnikom *Przeglądu* z artykułu [1], zdającego sprawę z 13 francuskiego wydania wzwyż przytoczonej książki. Od tego czasu, a więc w przeciągu kilku lat przybyło dziełu 29 wydań. Praca Baunarda zrobiła w swojej ojczyźnie wielkie wrażenie; Bourget powiedział, że jest to najtęższa książka naszego wieku.

Wobec miernot literackich zagranicy, broszur o dosyć płowej barwie a niezbyt wybrednym smaku, jakiemi Warszawa i kilka księgarń galicyjskich zasypują czytającą publiczność, życiorys Sonisa na naszej

[1] Rok 1892, tom IV.

ziemi jest sympatycznem zjawiskiem. Niejednemu otworzą się oczy, jak szerokim i zbawiennym jest wpływ katolicyzmu.

Wybitne przymioty stylistyczne tłumacza, już na tem polu zaszczytnie znanego, dodają książce wiele wdzięku i wartości.

*P.*

**O konfederacyi barskiej i jej bohaterach.** Napisał *K. Nitman*. Wydawnictwo ludowe.

Pracę Nitmana czyta się jednym tchem, a z takiem zadowoleniem, iż żal się robi, gdy się dobiega do ostatniej kartki. Naturalnie, wpływa na tę poczytność i sam dobór tematu. Ten blask bohaterstwa i cudowności, który całą naszą historyę otacza, jak ostatni podrzut dogasającego kaganka, wystrzela wysoko w bohaterach konfederacyi barskiej. Na ciemnem tle rozsuwającej się budowy państwowej, zdemoralizowanego społeczeństwa, gwałtów samowoli rosyjskiej, jaśnieje ta garstka dzielnych druhów, jak jaśnieje z oddali łańcuch szczytów tatrzańskich, odciętych promieniem wschodzącego słońca, od czeluści i rozpadlin, wypełnionych mgłą i pomroką. Pięciu dzielnych Puławskich i natchniony ksiądz Marek z krzyżem w dłoni na czele, za nimi rozentuzyazmowane pułki pod czerwonemi sztandarami, złocącemi się obrazem Matki Boskiej, i cała ta ruchawka, prześladowana przez swoich i obcych, tłucząca się dla szlachetnej idei wśród największych znojów i niewygód po wszystkich kątach Rzeczypospolitej — Bar, Berdyczów, okopy Św. Trójcy, Wilno, Kraków, wkońcu Częstochowa — to chyba rzadki w historyi a bezpowrotny fenomen.

Wspaniałość i wartość tego tematu odczuł p. Nitman; widocznie kochał to, o czem pisał i tych, dla których pisał. W każdem słowie czuć gorące serce patryoty, któryby rad lud cały rozpalić miłością ojczyzny. I stąd ten styl prosty i przystosowany do sposobu pojmowania ludowego, stąd ten koloryt ludowy, wprowadzony przez częste wplatanie epizodów i unaocznianie faktów za pomocą właściwych ludowi porównań.

Ledwo kilka drobnostek byłoby do zarzucenia. Porównanie przeora z kasztelanem jest niepraktyczne, bo bliższym jest pojęciu ludowemu przeor, niż kasztelan, i nieprawdziwe. Tu i ówdzie zniża się p. Nitman do gwary wiejskiej. Pisarz ludowy, naszem zdaniem, powinien zachować całą szlachetność stylu; forsa główna powinna polegać na manewrowaniu pojęciami i przystosowywaniu ich do pojmowania ludu.

*J. P.*

**Złote myśli.** Adam Mickiewicz. Zebrała *Szczęsna.*

Aforyzmy Mickiewicza w jednę całość ujęte, to wielka przysługa dla czytającej publiczności. Każde takie zdanie, z pod pióra wieszcza wyrosłe, a mieszczące w sobie jakąś myśl głęboką, czy filozoficzną tezę, czy zasadę estetyczną, czy praktyczną jakąś dla życia wskazówkę, wielką ma wartość tak pod względem etycznym, jak lingwistycznym. Przez używanie zlewa się aforyzm taki z potoczną mową, ozdabia ją i ukształca; jako myśl etyczna sprawia to zdrowe w umysłach wstrząśnienie, jakiego całe nieraz tomy nie osiągają. Wiązanka więc tego rodzaju jest rzeczą praktyczną i mądrą.

Kwestya może tylko zachodzić co do samego układu podobnych wydawnictw. Autorka zachowała w szeregowaniu złotych myśli porządek chronologiczny, w jakim powstawały dzieła poety. Formę tę uważa za najwłaściwszą dlatego, że daje ona obraz rozwoju uczuć, natchnienia, rozumu, różnostronnych poglądów poety. Czy słusznie, nie wiemy. Trudno przypuścić, by ktoś mógł sobie wytworzyć taki obraz ze zdań luźnych, wyrwanych z tekstu, a bez żadnego związku bliższego po sobie następujących; naszem zdaniem, najjaśniejszy nawet obraz, uprzednio utworzony, w tym chaosie najróżnorodniejszych assercyj przyćmić się musi. Klasyfikacya przeto na pewne działy nawet i z tego względu, że już wiele innych pominiemy, w pracach tego rodzaju jest konieczna.

Co się tyczy samej wartości aforyzmów, to pewne przebrakowanie w zbiorku Szczęsnej byłoby bardzo korzystnem. Spotyka się tu myśli, które ani formą, ani treścią nie są złotemi; kruszec tego rodzaju można było ze spokojnem sercem zostawić na boku. Niepotrzebnie dalej błąkają się tu i ówdzie zdania apoteozujące Słowiańszczyznę: słowianofilskie teorye Mickiewicza już dawno uznane są za utopie. Idee mesyanistyczne poety, jak np. o dopełnieniu chrystyanizmu, należało stanowczo wypuścić; po cóż ludzi uczciwych w błąd wprowadzać nawet takiemi popularnemi publikacyami.

Obecne wydanie jest już drugie z rzędu. Życzymy mu jak najprędszego rozchwytania, a wtedy wydanie trzecie dogodzi już z pewnością wszystkim pretensyom.

*Ks. J. Pawelski.*

## Z piśmiennictwa zagranicznego.

**Cursus scripturae sacrae etc. Commentarius in Genesim.** Auctore *Fr. de Hummelauer S. J.* Parisiis. Lethielleux. 1895.

W szeregu nadzwyczaj cennych studyów o Pismie św., które Jezuici niemieccy od 10 lat wydają, a których wyszło już 20 tomów, brakowało dotąd komentarza do Genezy. Oczekiwaliśmy go niecierpliwie, jako najciekawszej a szczególnie trudnej i ważnej części tego wielkiego dzieła; ale podobno dla tych samych przyczyn wydawcy nie spieszyli się z ogłoszeniem tego tomu.

Badania naukowe nad Pismem Starego Zakonu, podejmowane przez ludzi wierze obcych lub wrogich, ciągną się od początku tego wieku, ale w ostatnich dziesiątkach lat do ogromnych doszły rozmiarów, poruszyły krocie zarzutów przeciwko tradycyjnej Kościoła nauce, potworzyły najrozmaitsze hipotezy, oparły swe poglądy na rezultatach szybko dziś rozwijającego się językoznawstwa, archeologii, wychylającej się z rozkopów historyi prastarego wschodu. Szczególnie zaś pastwiły się te racyonalistyczne studya nad księgą Genezy, ćwiartowały ją na fragmenty, przypisywane różnym autorom: elohiście i jahowiście, potem dwom elohistom i dwom jawehistom i tak dalej; datowały ją najrozmaiciej, od X. do II. wieku przed Chr.: wytykały w niej przeróżne błędy przeciwko nauce przyrody, przeciwko historyi, etnografii i t. d. i t. d.

Katolicy słabej wiary mogli się lękać rezultatów tej roboty, a przynajmniej uważać je za czysto negatywne, nic dobrego przynieść nie mogące. Ale patrząc na to wszystko z wysoka, przewidzieć można było, że badania, byle sumienne i przedmiotowe, wkońcu na korzyść prawdy wyjdą. Same nawet zamachy wrogów na świętość Biblii, katolikom do głębszego jej poznania posłużą, bo katoliccy badacze, wobec majestatu słowa bożego i świętości tradycyi, nie tak łatwo zwrócą uwagę na pewne ludzkie strony tych ksiąg, które jednak do całości przedmiotu niezbędnie należą. Niedowiarkowie, śmielej dyssekując księgi święte, łatwiej postrzegają zagadnienia, ale katoliccy uczeni nierównie szczęśliwiej je rozstrzygają, bo oprócz całego materyału krytycznego, wspólnego z przeciwnikami, mają jeszcze wysokie drogoskazy, których niechybność nawet doświadczalnie codzień się stwierdza. Słowem, oczekiwać należało, że katolicka nauka nietylko zwalczać będzie, raz po

razie, zaczepki przeciwników, ale zreasumuje tę całą ich krytyczną robotę i wielki krok zrobi w umiejętności Pisma św.

Ta prognoza dziś się już spełnia, a autor komentarza do Genezy dzielnie do tego przykłada rękę. Wyniki badań szkoły krytycznej wyłożył już szczegółowo i gdzie należało dosadnie zwalczył inny współpracownik tegoż wydawnictwa, ks. Cornely, w Introdukcyi do Starego Zakonu, przed kilkoma laty ogłoszonej. Ks. Hummelauer zatem nie podejmuje na nowo tej pracy, ale daje dowody, że całe to pole w zupełności opanował. W szczególności nad Genezą musiał on od dawna pracować, kiedy już w r. 1877 cenne okazy tej pracy w pismach teologicznych drukował — a musiał pracować z zamiłowaniem, bo jest nietylko uczonym badaczem i krytykiem, ale trochę twórcą, jak wnet zobaczymy, inicyatorem nowych idei na tem polu.

We wstępie wytacza autor swój pogląd na skład i sposób powstania księgi Genezy. Odrzuca on stanowczo hipotezę fragmentów elohisty i jehowisty, opartą na użyciu różnych imion Boga w różnych ustępach. Jeżeli co wogóle, mówi on, w tekscie świętym uległo późniejszym zmianom, to mianowicie imiona Boga, — i na to daje dowody namacalne. Uznaje on jednak, że Geneza składa się z części różnego pochodzenia i stylu, i owszem więcej takich części upatruje niż wogóle szkoła krytyczna. Ale jakim sposobem? Po wsze czasy u chrześcijan i Żydów istniało przekonanie, że Mojżesz na podstawie podań ludu bożego pisał Genezę. Otóż Hummelauer opiera się na fakcie tego podania, i dlatego cały swój system nazywa „systemem tradycyi"; ale podanie to pojmuje on w taki sposób, że pojedynczy patryarchowie układali w treściwych słowach opowiadanie zdarzeń, których byli świadkami i przekazywali je potomkom, a ci dosłownie przechowywali je w pamięci. Tym sposobem nie kto inny, tylko Adam byłby twórcą wspaniałej opowieści stworzenia, od której zaczyna się Geneza, tudzież następującego opowiadania o raju i początkowej historyi ludzkości. Inni patryarchowie, jak: Noe, Abraham, dokładaliby genealogie swych ojców i opowiadania spółczesnych sobie wypadków, uzupełniając ten skarb tradycyi, który w ich rodzie przechowywał się nieskazitelnie, podczas gdy w pobocznych liniach ulegał wpływom bałwochwalstwa, jak to widzimy w klinowej kosmogonii Assyryjczyków. Aż wkońcu Mojżesz z natchnienia bożego spisał ten cały skarb, wtrącając nieliczne uzupełnienia, które nasz autor szczegółowo wytyka. Przekładam tylko w zarysie główną myśl tego systemu, ale trzeba czytać w samym autorze, jak to wszystko szczegółowo uzasadnia różnicami stylu, powtarzaniami, mnóstwem szcze-

gółów, które bądź dawniejsza krytyka skonstatowała, bądź on sam bystrem okiem spostrzegł; a wtedy trudno nie przyznać, że ten system jest rozumny i piękny i w wysokim stopniu prawdopodobny. Stoi on na tradycyi katolickiej, a zarazem rezultaty nowożytnej krytyki szeroko uwzględnia.

Po tym wstępie przychodzi wykład samego tekstu Księgi świętej, wśród którego wtrącone są obszerne rozprawy o ważniejszych wypadkach i zagadnieniach. I tu znowu oryginalność i twórczość autora występuje. Co się tyczy heksahemeronu, czyli sześciu dni stworzenia, odrzuca autor nietylko dawniejsze tłumaczenia, ale i to, które się dziś prawie powszechnie przyjęło, że dni te oznaczają długie epoki rozwoju świata. Według niego pierwszy rozdział Genezy ma się rozumieć literalnie o sześciu dniach 24 godzin, wszelako nie jest on wprost opisem historyi stworzenia, lecz opowiedzeniem wizyi, jaką mieć musiał Adam zaraz po swojem stworzeniu. Wizya ta — jak wogóle wizye prorockie — przedstawiała prawdę o stworzeniu świata, lecz w kształtach obrazowych i symbolicznych, i trwała (a przynajmniej zdawała się Adamowi trwać) sześć dni, przerwane przyćmieniami, niby wieczorem i porankiem. Pomysł to piękny, choć w gruncie rzeczy nie bardzo różny od tak zwanych systemów idealistycznego i poetycznego, które autor niepotrzebnie zwalcza. Podzielamy jego upodobanie w tem tłumaczeniu, ale zdaje nam się, że przesadza, gdy je uważa za jedynie możliwe i prawdziwe, wszystkie zaś inne systemy nieodzownie potępia. W systemie epok istotnie nie możemy, jak nam zarzuca, ścisłej wykazać kongruencyi między każdem zdaniem heksahemeronu a wynikami nauk przyrodniczych; ale cóż w tem dziwnego? Ani egzegeza biblijna, ani tem bardziej nauka przyrody nie jest skończona; widzimy niezaprzeczoną kongruencyę między głównemi rysami opisu biblijnego a najpewniejszemi wynikami nauki o świecie; to nam zupełnie na razie wystarcza do uzasadnienia systemu epok; pretensya tłumaczenia zgodności wszystkich szczegółów, z którą, co prawda, niektórzy egzegeci wystąpili, zdaje nam się zupełnie przesadzoną i w założeniu, jak powiedzieliśmy, niemożliwą. Wkońcu, ponieważ nawet wizya prorocka musi mieć pewną, choć symboliczną zgodność z przedmiotem, więc nawet w hipotezie Hummelauera trzeba przypuścić pewną kongruencyę między dniami widzenia Adamowego a epokami stworzenia, o których istnieniu przekonuje nas nauka i którym autor bynajmniej przeczyć nie myśli.

Podobną teoryę, widzenia Adamowego we śnie czy w zachwycie, stosuje również autor do stworzenia Ewy. Następnie znajdujemy bar-

dzo gruntowną krytykę liczb lat i genealogii patryarchów. Dalej ciekawy szkic życia ludzkości przedpotopowej, w którym przebija się konstrukcyjna wyobraźnia autora, umiejąca szczupłe dane tej Księgi Rodzaju trafnie wyzyskać. Co się tyczy ważnej i spornej dziś kwestyi o powszechności etnicznej potopu, autor roztrząsa ściśle różne zdania i na żadną stronę stanowczo się nie przechyla; hipotezę jednak, ograniczającą potop do pewnej części rodzaju ludzkiego, uważa za dopuszczalną. Za dalekoby nas to zawiodło, gdybyśmy chcieli wyliczać wszystkie uwagi godne szczegóły dzieła ks. Hummelauera; to, cośmy powiedzieli, wystarcza, sądzimy, aby dać wyobrażenie o wysokiej jego wartości. Zarzut, któryśmy podnieśli, że autor zbyt wyłącznie może za swojemi pomysłami obstaje, jest do darowania; jest to właściwość i znamię wszelkiego rodzaju inicyatorów. Styl jest także indywidualny, co w tego rodzaju książkach jest rzadkością; przy całej ścisłości niemieckiej pełen jest werwy, pytań, zwrotów niespodzianych, więcej na Włocha niż na Niemca patrzy.

Takim jak jest, ten komentarz do Genezy nie zawiódł naszych, dość wygórowanych oczekiwań, i nie wątpimy, że naukę biblijną znacznie naprzód popchnie.

*Ks. M. Morawski.*

**Un prétendu trésor sacré des prémiers siècles:** (le „tesoro sacro“ du chev. Giancarlo Rossi à Rome). Étude archéologique *H. Grisar S. J.* Z 2 tabl. fototypicznemi i kilkoma illustracyami w tekście. Rome, Librairie Spithöver. 1895. (Str. 41, w 4-ce).

W r. 1880 rozeszła się po Rzymie wiadomość, że jakiś wieśniak odkrył pod szczątkami starych murów grób biskupi, a w nim najrozmaitsze srebne i złote przedmioty. Pod wpływem powietrza miały zaraz się rozsypać w proch tak zwłoki, jak i szaty, a zostały tylko kosztowności i pergaminowe księgi. Te ostatnie podarował szczęśliwy znalazca jakiemuś nieznanemu Franciszkaninowi, zdarłszy wprzód cenne kompaturki. Z obawy przed fiskusem ukrywał wieśniak swój skarb przez kilka miesięcy i dopiero później przez jakiegoś pośrednika sprzedał cztery sztuki, tj.: srebrną kompaturkę, patenę, srebrny krzyż i spinkę, złotnikowi, Piotrowi Guarantini'emu, od którego odkupił je znowu znany amator i zbieracz starych nabytków, hr. Strogonoff. W dłuższych pauzach zjawiły się następnie przedmioty coraz ciekawsze i cenniejsze, znajdując tym razem nabywcę w kawalerze Janie Karolu Rossim, który zapłacił za nie sumy bajeczne.

Inwentarz całego skarbu tak się przedstawia:

1) Kompaturka z srebrnej blachy. 2) Dwie kompaturki z blachy srebrnej i złotej. 3) Fragment srebrnej kompaturki. 4—8) Kompaturki częścią z srebra, częścią złote. 9) Ośm krzyżyków z blachy złotej. 10) Trzy inne krzyżyki, tabliczka czworoboczna, wszystko z srebra albo złota. 11) Ozdoba do pasu z 4 krzyżami złotemi. 12) Wielka spinka z blaszkami i gwoździmi złotemi i srebrnemi. 13) Dwie złote przepaski czołowe i złota gałązka oliwna. 14) Kosztowna mitra. 15) Strona przednia złotej korony biskupiej. 16) Tylna strona tejże korony. 17) Kosztowny pastorał biskupi. 18) Krzywizna takiegoż pastorału, zakończona krzyżem i owcą. 19) Okrągła i czworoboczna tablica *(Rationale)* ze złota. 20) Duży krzyż z blachy srebrnej i złotej z symbolami ewangelików na rogach. 21) Łyżka na polewanie wodą przy chrzcie. 22) Łyżka i rodzaj pateny z srebra. 23) Srebrny kielich. 24) Duże próżne jagnię z 12 puharkami na talerzu na wino eucharystyczne; wszystko ze srebra. 25) Cztery wymienione przedmioty w posiadaniu hr. Strogonoffa.

Pierwszym, który za autentycznością skarbu przemawiał, był szanowany powszechnie i zmarły w r. 1888 Barnabita, Ludwik Bruzza. Po nim złożył przychylny wyrok nieodżałowany twórca archeologii chrześcijańskiej ś. p. Jan Chrzciciel de Rossi, uważając go za własność jakiegoś biskupa z czasów longobardzkich, cenny niezmiernie do studyum chrześcijańskiego symbolizmu i historyi kościelnej liturgii: *richissima supellettili sacra... appartenuta ad un vescovo dell' età longobarda; suppellettile insigne e di pregio singolarissimo per lo studio del simbolismo cristiano e delle antichità liturgiche.* Także autor sprawozdania przedłożonego w r. 1886 Akademii francuskiej, jeden z najznakomitszych archeologów, wyraził się o nim z prawdziwym entuzyazmem, zwiąc go: *Restes précieux, qu'il importait d'étudier à loisir, et qui élargiraient la somme des nos connaissances dans la matière si délicate de la symbolique chrétienne*[1]. Wnet pojawiły się też większe i mniejsze rozprawy, które sławę tego jedynego w swoim rodzaju archeologicznego inwentarza rozniosły po wszystkich zakątkach Europy i Ameryki. Nie brakło też głosów, że papież nie powinien tych cennych starochrześcijańskich zabytków wypuścić z Rzymu, ale nabyć je i wzbogacić niemi chrześcijańskie muzeum watykańskie. I jeśli Leon XIII. skarbu nie

[1] *Comptes-rendus de l'académie des inscriptions et belles lettres.* 1886, 14 Mai, str. 163, 255.

zakupił, to jest w tem zasługa komandora Rossi'ego. W kołach archeologicznych rozszerzył wreszcie dokładniejszą znajomość zabytków sam właściciel, ogłosiwszy je w r. 1890 na 25 tablicach: *Tavole XXV. riproducenti il sacro tesoro Rossi.* Do tablic dodano na 491 stronicach *folio* tekst objaśniający, nad którym pracowało aż trzech autorów. *(Commenti sopra suppellettili sacre di argento ed oro appartenenti ai primissimi secoli della chiesa. Con dilucidazioni di Giancarlo Rossi, di Carlo e De Vecchi Pieralice. Roma, Pallotta 1890).* Z tych jeden odnosi wspomniane przedmioty aż w czasy apostolskie, drugi do wieku IV., a sam właściciel mniej więcej do epoki Konstantyna. Inni zaś archeologowie uważali je za wyrób wieku VII., VIII. lub IX.

Tak stały rzeczy aż do r. 1894. I chociaż różni znawcy sztuki oddawna widzieli i podnosili niezgodność ornamentyki i form artystycznych z treścią ich symboliki, to jednak nikt nie zakwestyonował głośno autentyczności skarbu, ale owszem wszyscy ciągnęli zeń najrozmaitsze i daleko idące konsekwencye apologetyczne, liturgiczne i historyczne. Tymczasem spadła, jak grom z jasnego nieba, wyżej przytoczona broszura[1] znakomitego historyka i znawcy średniowiecza, O. Hermana Grisara T. J., profesora insbruckiego uniwersytetu, w której stara on się dowieść, że cały skarb jest falsyfikatem naszych czasów. Ponieważ i do nas doszły wieści o tem mniemanem odkryciu, które niejednego w błąd wprowadziły, więc przedkładam tutaj dowody uczonego Jezuity, na podstawie których czytelnik sam osądzi, czy jego konkluzya jest słuszna i naukowo uzasadniona.

Zdaniem autora, przemawiają przeciw autentyczności skarbu argumenta zewnętrzne i wewnętrzne. Najpierw nie mógł się nikt do dziś dnia dowiedzieć ani o miejscu znalezienia, ani o nazwisku domniemanego znalazcy. Jedni powiadali półgębkiem, że grób biskupa odkryto w Jesi obok Ankony, co jednak ostatecznie okazało się zmyślonem i fałszywem; drudzy wskazywali na Sinigaglię, jeszcze inni wymieniają Orbitello nad Adryatykiem. Na co tyle tajemniczości, pyta O. Grisar, i czego właściwie lęka się ten szczęśliwy znalazca? Wszak 714 para-

[1] Praca ta pojawiła się najpierw w kwartalniku: *Zeitschrift für kathol. Theologie.* 1895, str. 306—331, ale bez tablic. Równocześnie z francuskiem wydaniem ukazał się też przekład włoski pod tytułem: *Di un preteso tesoro cristiano de' primi secoli.* Zaś w r. przeszłym przedłożył jej treść imieniem autora na kongresie archeologicznym w Spalato dr. Pius Franchi de' Cavalieri.

graf kodeksu włoskiego, zgodnie z prawem natury, orzeka: *Il tesoro appartiene al proprietario del fondo, in cui si trova* — tj.: że skarb należy do właściciela gruntu, w którym go odkryto. A choćby go ktoś znalazł nawet w obcej posiadłości, to jeszcze ten sam paragraf przyznaje mu połowę jego wartości.

Niewiele więcej zaufania budzą także okoliczności towarzyszące odkryciu. Prócz srebra, złota i kilku książek miało się nagle wszystko — nawet sarkofag — rozsypać w proch, i przepaść jak kamień w wodzie, nawet nitki tkanin z szat biskupich. Co więcej, przepadł gdzieś także bez śladu ów Franciszkanin z książkami: chyba, że uczy się cichcem paleografii i gotuje do druku nową ich edycyę! Prawdziwe *fata morgana*. Jeśli dalej zważymy, że na ocalałych przedmiotach nigdzie niemasz podpisu lub imienia figur, to mimowoli budzi się podejrzenie, że fabrykant skarbu z rozmysłu i z całą świadomością gra rolę analfabeta, aby tylko ominąć różne trudności historyczne i archeologiczne.

O. Grisar znajduje nowy dowód obciążający w tem, że pojedyńcze części skarbu wychodziły na jaw w większych odstępach czasu i na różnych miejscach; i podczas gdy pierwsze przedmioty zawierały jeszcze stosunkowo mało symboliki, to późniejsze, jak biskupia korona i eucharystyczny baranek, są nią po prostu przeładowane. Widocznie potrzebował twórca dużo czasu na wykonanie swoich zabytków, i w miarę popytu rosła jego inwencya przy warsztacie a razem bezczelność przy sprzedaży.

Trudno też uwierzyć, aby tyle przedmiotów kosztownych mogło się znaleść w jednym grobie i aby któraś katedra była się wyzuła ze sprzętów liturgicznych, potrzebnych jej w ciągu całego roku. Chyba jakiś milioner był ten biskup longobardzki, który takie bogactwa mógł z sobą zabrać do trumny! Tyle o dowodach zewnętrznych. Jeszcze niekorzystniejsze świadectwo składają racye wewnętrzne, wydobyte z treści ornamentacyi.

Jak już wspomniałem, odnosiła większa część znawców nasze monumenta do epoki longobardzkiej, tj.: do wieku VIII. albo IX.

Tego samego zdania jest też O. Grisar. Są to roboty w blasze srebrnej i złotej wykonane całkiem tak samo, jak licznie zachowane z wieku IX. cienkie krzyżyki złote, które noszono przyszyte do sukień. Przedmioty ozdobione są również podobnie niezgrabnemi figurkami ludzi i zwierząt, o oczach wypukłych; linie sukień całkiem proste, rysunek wszędzie lichy i błędny.

Z techniką i stylem zabytków jest w najoczywistszej sprzeczności ich symbolika, wskazująca na wiek II. i sztukę katakumbową. Czy to znowu nie silny dowód przeciw ich autentyczności? W wieku VIII. symboliczny język starych chrześcijan już całkiem był wyszedł z użycia. Tu i owdzie znajdzie się wprawdzie jeszcze jakaś izolowana kompozycya sztuki cmentarnej, jak: ryba, baranek, gołąb, naczynie eucharystyczne, paw, *Orant* i t. d., ale nie masz już nigdzie systematycznej symboliki, osłaniającej prawdy wiary i czynności liturgiczne pod szatą niezrozumiałych już wówczas hieroglifów. Tymczasem przedewszystkiem ryba odgrywa na naszych monumentach ważną rolę, choć w rzeczywistości już dawno zeszła na prostą dekoracyę. Co więcej? Zjawia się tu ona nawet w całkiem nowych symbolicznych kombinacyach! I tak dźwiga ona okręt z Orantką, leży na kielichu, to znowu podaje 12 Apostołom jedną pletwą chleb a drugą wino eucharystyczne (str. 28, fig. 2). Na tej samej kompaturce niesie ona dalej na grzbiecie łódkę, ozdobioną krzyżem, podczas gdy z brzucha wyrasta jej olbrzymia kotwica, której się uczepiły dwie tonące osoby, i dwie, także krzyżem oznaczone, owce. Nieco niżej stoi wilk, czatujący na osoby, trzymające się kotwicy (zob. str. 29, fig. 3). Gdzieindziej ryba dźwiga znowu okręt z Orantką, podczas gdy do łódki wspinają się dwie owieczki. To znowu ryba stoi prostopadle w środku krzyża, niosąc na każdej pletwie owcę, na które z góry spływa źródło (chrzcielne?) z dwóch do krzyża przymocowanych jagód winnych. Na tabl. VI. publikacyi Karola Rossi'ego *Ichthys* ma na grzbiecie osobę, która prawicą błogosławi, podczas gdy w lewej trzyma książkę, opartą na szyi ryby. Ale ta sama ryba spełnia tu jeszcze inne zadanie, bo ciągnie ona na łańcuchu tonącego człowieka, zapewne grzesznika, nawróconego przez Kościół nauczający. Dalej ma ona jeszcze w ustach krzyżem opatrzony chleb, tj. eucharystyę, jako wiatyk chrześcijanina, a na głowie krzyż, na którym spoczął gołąbek pokoju. Wreszcie dźwiga ona jeszcze na ogonie naczynie eucharystyczne z winogronami. Wobec tego nie można się chyba skarżyć na brak i ubóstwo mistyki.

Pomijam już inne kombinacye ryby, pawia, owieczki i t. d. Całkiem oryginalne są symbole 7 gwiazd, i osoba ze skrzydłami przy uczcie eucharystycznej.

Czy możliwe jest, aby taka symbolika mogła była powstać we Włoszech w wieku VIII. albo IX.? Jest ona anachronizmem w owej epoce, nienaturalnem i gwałtownem wskrzeszeniem już dawno pogrzebanych form i myśli, a nawet niemożliwością dla każdej epoki sztuki chrześci-

jańskiej z powodu swego przeładowania w treści i niesmacznej maniery w materyalnej fakturze! Trudno też przypuścić, aby jakiś biskup smutnych owych czasów był znalazł czas na komponowanie symbolów, godnych chyba niektórych dzisiejszych francuskich fabryk obrazków religijnych, trafiających do smaku i rozczulających serca jedynie pensyonarek!

Słusznie zauważa też Grisar, że w okazach sztuki longobardzkiej nie powinno brakować nimbu i monogramu Chrystusa, figur Matki Bożej i Świętych, pereł i drogich kamieni, a tego właśnie nie masz na naszych zabytkach. Raz jeden zdobył się też autor skarbu na scenę ukrzyżowania; ale jakże musiał się biedak napocić, aby jakoś cało wyjść z trudności, któremi właśnie ta kompozycya jest najeżona. Widzimy tu Zbawiciela żywego, ubranego w ubogą tunikę, z rękami rozłożonemi, ale nie przybitemi do krzyża. Kwestyę podnóżka i przybicia nóg wymija on zręcznie, zasłaniając dolną część drzewa krzyżowego owieczką. Nadto umieszcza jeszcze 2 owieczki na ramionach Chrystusa i krzyż na jego głowie.

I to ma być scena ukrzyżowania z epoki longobardzkiej! Wszak znaną jest rzeczą, że wówczas przedstawiono śmierć Zbawiciela już realnie i z historyczną rzeczywistością. I tak ma Chrystus na tak zwanej *Pax* księcia Ursusa w Cividale z VIII. wieku nogi i ręce już przybite, a koło lędźwi tylko krótką chustę. Również w najstarszej scenie Ukrzyżowania, tj. na drzwiach kościoła św. Sabiny w Rzymie, Chrystus już jest przygwożdżony do krzyża i całkiem nagi, z wyjątkiem zasłony u bioder.

Anachronizmem jest też mitra, bo nie zjawiła się ona przed wiekiem XI. Niemałą trudność sprawiała też egzegetom wspaniała korona biskupia, boć przecież na Zachodzie nigdy prałaci takiej ozdoby nie używali. Postawiono nawet hipotezę, że musi to być korona, którą sobie uzurpował arcybiskup Sergiusz z Rawenny. Zbuntował on się bowiem przeciw papieżowi i rządził swą dyecezyą „jakby egzarcha“. Ale tu trzebaby znowu udowodnić, że egzarchowie nosili korony.

Gdzie wreszcie znaleść analogiczny egzemplarz srebrnego naczynia na wino eucharystyczne, jakie nasz sztukmistrz skomponował w postaci próżnego jagnięcia, przymocowanego do srebrnego talerza, na którym stoi prócz tego jeszcze 12 puharków (str. 39 i fig. 4). Znamy dotychczas srebrne gołębie eucharystyczne z pierwszych czasów, przeznaczone na przechowanie konsekrowanego chleba; ale nigdy nikt nie widział i nie słyszał, aby Najśw. Krew Pańską przechowywano i roz-

dawano z jagnięcia! Jakież mogło być dalej przeznaczenie tych puharków, które także są przylutowane do talerza?

Pomijam już błędy w rysunku infuł i szat biskupich, a konstatuję jeszcze, że także analiza i próba metalu, dokonana przez ludzi fachowych na kilku sztukach, będących własnością hr. Strogonoffa, wypadła stanowczo na niekorzyść skarbu. Wszyscy ci znawcy orzekli jednomyślnie, że przedmioty te nie mogą w żaden sposób mieć lat tysiąc, choćby dla giętkości blachy srebrnej. Jest bowiem rzeczą dowiedzioną, że stare srebro, jeśli jest zwłaszcza tak cienkie, jak nasze zabytki, niezmiernie łatwo się kruszy i pęka. Dalej skonstatowali znawcy, że także oksydacya srebra, która nadaje mu wygląd pomnika średniowiecznego, nie jest naturalną, ale wywołana sztucznie kwasem siarczanym.

Wobec tego nie waham się podpisać konkluzyi O. Grisara, a sądzę, że zgodzi się na nią także czytelnik, że mianowicie: cały skarb jest produktem wieku XIX., i pomnikiem wyrafinowanego kunsztu fałszerstwa naszych czasów, nie zaś, jak chce jego właściciel i kilku archeologów — ważnym zabytkiem starej sztuki i liturgii. Także zmarły komandor de Rossi zmienił w ostatnich latach swój sąd o tym fabrykacie, poznawszy bliżej z publikacyi swego imiennika poszczególne jego przedmioty, i czekając daremnie wyjaśnienia historycznych szczegółów ich znalezienia.

Po zdemaskowaniu fałszerstwa spełni się też zapewne życzenie uczonego Jezuity, że cały skarb zniknie raz na zawsze z widowni nauki, i żaden archeolog nie powoła się nań więcej przy pisaniu historyi sztuki.

*Ks. J. Bilczewski.*

**Apologie des Christenthums.** Von *Dr. Paul Schanz.* Erster Theil: Gott und die Natur. Zweite vermehrte und verbesserte Auflage. Freiburg. Herder'sche Verlagsbuchhandlung. 1895.

Drugie — i jak sam autor czy wydawca zaznacza — poprawne i pomnożone wydanie cennego dzieła na polu apologii chrześcijańskiej zawdzięczamy znowu Herderowskiej firmie, która dotychczas nietylko wogóle katolickiej sprawie, ale w szczególności i przedewszystkiem umiejętności teologicznej wielce się już zasłużyła. Jej to staraniem wyszła i dalej wciąż bezustannie wychodzi pokaźna *Biblioteka teologiczna*, w której skład wchodzą dzieła najznakomitszych uczonych. Pomiędzy nich zaliczyć trzeba i d-ra Pawła Schanza z jego „Apologią chrześcijaństwa". Szczegółowo omawiał już *Przegląd Powszechny* w roku 1889

przymioty tego dzieła w pierwszem jego wydaniu; nam atoli to jeszcze zaznaczyć wypada, że obok takich apologij jak Hettingera, Bougaud'a, Weissa, Duilhe'a i innych, autor nasz wcale nie napróżno podjął się tej pracy i raz jeszcze dowiódł, jak tej samej rzeczy można z wielkim talentem, a razem z wielkiem zajęciem i z wielkim pożytkiem w rozmaity dowieść sposób. Po sławnem dziele ś. p. Hettingera przedewszystkiem tyle nowych wyłoniło się odkryć paleologicznych i geognetycznych, tyle teoryj a zarazem ich przeciwników i obrońców z całym arsenałem nowych dzieł, że wypadało koniecznie zaznajomić z niemi społeczeństwo katolickie i wydać o nich swe zdanie, albo też rozprawić się z nimi. Jedno i drugie spełnia książka ks. d-ra Schanza i stąd też zasłużone zbiera pochwały od licznych katolickich uczonych.

*Ks. Władysław Czencz.*

# SPRAWOZDANIE Z RUCHU

## religijnego, naukowego i społecznego.

### Sprawy Kościoła.

Wizyta króla portugalskiego w Rzymie. — Projekty uregulowania rzymskich stosunków. — Ruch ku unii z Kościołem na Wschodzie. — Kongres anglikański w Norwich.

WIZYTA KRÓLA PORTUGALSKIEGO. Fatalnie toczył się, fatalniej jeszcze się kończy dla „Zjednoczonych Włoch“ jubileuszowy rok zajęcia Miasta Wiecznego. Wewnątrz socyalne rozruchy, krwawe bunty, wciąż zbliżająca się zmora ogólnego bankructwa, wreszcie nieudana, a tem samem mocno kompromitująca komedya z dnia 20 września; na zewnątrz szereg dyplomatycznych porażek, których godnym finałem odwołanie zapowiedzianej *urbi et orbi* podróży króla portugalskiego do Rzymu. Podróż ta miała w myśli i rządu i dworu otworzyć naoścież bramy rzymskie dla wszystkich, nawet dla katolickich monarchów, którzy dotąd starannie, z daleka je omijali; miała w niedalekiej przyszłości ściągnąć na humbertowski dwór austryackiego cesarza, co od tylu lat winien rewizytę swemu sojusznikowi; miała otoczyć nowym blaskiem dyplomatę Crispiego, zapieczętować z takim mozołem tworzoną, z takiemi wysiłkami utrzymywaną legendę o „Rzymie nietykalnym“. Piękne projekty, miłe marzenia; jakże się dziwić irytacyi, która ogarnąć musiała równie dworskie, jak rządowe, jak zosta-

jące z niemi w ścisłym sojuszu wspólnych idei i aspiracyj, rewolucyjne koła, gdy marzenia te w puch się rozleciały. Jak, dlaczego? Tłumaczy to z możliwą grzecznością dla dworu włoskiego, złączonego z dworem portugalskim tak blizkiemi węzłami pokrewieństwa, ale niemniej tłumaczy dość jasno urzędowy organ lizboński *Il Tarde* („Wieczór"):

„Kiedy król po pierwszy raz od objęcia rządów postanowił z kraju wyjechać, aby osobiście zetknąć się z naczelnikami rządów innych państw, zawiadomiono o tem naturalnie i Włochy. Byłoby to rzeczą nieprzyzwoitą, aby król odwiedzić miał Niemcy, Francyę i Anglię, a jednocześnie nie wynurzył, co najmniej, pragnienia uściskania wuja swego Humberta, który mu zawsze okazywał tyle szczerej przychylności. Król włoski bawił w Monzy, tam zatem Don Carlos postanowił go odwiedzić; ale rząd włoski zgodzić się na to nie chciał i uważał za konieczne doradzić królowi Humbertowi, aby nie przyjął króla portugalskiego gdzieindziej, jak tylko w Rzymie. Gdyby Don Carlos nie zgodził się na podróż rzymską, nie wykazawszy jednocześnie, że inaczej nie mógł sobie postąpić, to mógłby ten krok być łatwo wziętym za pewien znak złej woli. Tymczasem wiadomość o zamierzonej podróży spowodowała papieża do oświadczenia, złożonego za pośrednictwem kardynała sekretarza stanu; w dokumencie tym oświadczał Ojciec św., z głęboką boleścią, ale bez cienia jakichkolwiek gróźb lub prowokacyj, że złożenie wizyty królowi Humbertowi w Rzymie, uważaćby musiał za wyrządzoną sobie osobiście zniewagę, a na zniewagę nie zasłużył sobie z pewnością ze strony kraju, któremu tak niedawno jeszcze temu, wśród bardzo trudnych okoliczności, złożył dowody najżywszej sympatyi. Król katolicki katolickiego państwa, nie mógł się oczywiście zawahać, gdy przyszło mu wybierać pomiędzy prostą, urzędową wizytą a obrazą papieża, do której wyrządzenia nie było najmniejszej racyi. Co prawda, stosunki pokrewieństwa, zachodzące między obu monarchami, mogłyby były znacznie ułatwić lojalne rozwiązanie tej sprawy"...

Czemu nie ułatwiły, za to wyłącznie odpowiedzialność spaść musi na sekciarskie zacietrzewienie włoskiego rządu. Poniesioną

klęskę stara się Crispi wynagrodzić sobie miotaniem obelg na Portugalię w przybocznych swych organach. *L'Italie* przepowiada Don Carlosowi rewolucyę, wygnanie, i naprzód już się cieszy na myśl, jak kiedyś pokornie prosić będzie swego nieroztropnie obrażanego wuja o gościnność w kwirynalskim pałacu. *Riforma* zawodzi lament nad upadkiem bratniego narodu, który oddał się w niewolę Watykanowi... „Teraz już wątpić nikt nie może, że Watykan gotów na wszystko, gotów choćby na rozpalenie domowej wojny w katolickich państwach, byle przez to zaszkodzić Włochom". Ale dziennikarskie obelgi nie mogły nasycić gniewu ciężko upokorzonego prezesa włoskiego ministeryum. Zagroził on w dodatku Portugalii zerwaniem dyplomatycznych stosunków i istotnie telegramy przyniosły już wiadomości, że włoski poseł na dworze lizbońskim cofnął się z zajmowanego stanowiska. Być może, że to tylko kara, wymierzona ambasadorowi za niedostateczne poinformowanie swego rządu o prądach panujących w Lizbonie; być może i daleko prawdopodobniej krok ten ma być karą dla portugalskiego króla i rządu. Jeżeli tak, to wielkie jeszcze pytanie, kto właściwie, kto dotkliwiej na karze tej ucierpi; karzący czy karany, Włochy czy Portugalia?

PROJEKTY UREGULOWANIA STOSUNKÓW RZYMSKICH.

Bijąca w oczy bardziej dziś niż kiedykolwiek, najbardziej po 20 września b. r., konieczność fundamentalnego uregulowania rzymskich stosunków, podsunęła londyńskiemu *Times*'owi oryginalny projekt. Zaprzeczyć niemożliwa, — pisze londyńskie pismo — że zajęcie Rzymu stało się dla Włoch źródłem strasznych nieszczęść i doprowadziło państwo do brzegu przepaści. Ale z drugiej strony, trudno żądać, aby Włochy bez żadnej kompensaty Rzymu się dziś dobrowolnie pozbyły. Niech więc katolicy całego świata zbiorą pewną znaczną sumę, dajmy na to pięć miliardów franków, i za nią odkupią Rzym wespół z pewnem otaczającem go terytoryum i portem morskim. Zadłużone po uszy, bankrutujące Włochy powinny z wdzięcznością na taki projekt się zgodzić, a z drugiej strony zapewniłby on papieżowi tak bardzo pożądaną niezależność. We Francyi znów szerzy się coraz bardziej rzucona dawniej

już myśl przeniesienia na pewien czas stolicy papieskiej do Awinionu. Naturalnie, na razie nie można tych projektów brać na seryo, ale samo ich powstanie i zainteresowanie, które obudziły, pokazują najdobitniej żywotność rzymskiej kwestyi i konieczność ostatecznego jej rozwiązania.

RUCH KU UNII NA WSCHODZIE.

W chwili, w której ruska pielgrzymka, złożona z najznakomitszych duchownych i świeckich przedstawicieli, stanęła w Rzymie, aby po trzystu latach bojów, wielkich zwycięstw, ale i wielkich cierpień, wzmocnić się do przyszłych walk, nabrać otuchy do czekających może prób; w tej samej chwili wielkie dzieło unii wszystkich odłączonych kościołów z Kościołem rzymskim, zbudzone po długim śnie papieskiemi odezwami, wypuszcza w różnych krajach, drobne dziś jeszcze, ale liczne pączki, zapowiedź, daj Boże, wspaniałych owoców. Grecko-melchicki patryarcha antyocheński, Grzegorz Jussuf, rezydujący zazwyczaj w Damaszku, ogłasza w tym kierunku w osobnem piśmie szereg nadzwyczaj ważnych zapatrywań, ciekawych szczegółów:

„Ruch ku unii z Kościołem wzmaga się i przybiera na sile z dnia na dzień; nasi odłączeni od nas bracia, zarówno duchowni jak świeccy, pragną gorąco połączyć się w świętej, rzymsko-katolickiej apostolskiej wierze. Tchnienie jednoczącego wszystkich ducha, które wyszło od Leona XIII., rozchodzi się wszędzie, nakształt ognia niszczącego błędy, od góry Akkar, od Wadi-Nassaara (doliny chrześcijan), od gór Nussajrichskich, aż do starego Appamea, do Tripolis w Syryi; w Palestynie od Betleemu do Mutassarrifijet al Ma'ann na granicy Arabii kamienistej; w Libanie od Suuq-al-Garb do Bteteru i dalej; w Małej Azyi od aleppskiego arcybiskupstwa aż do miast anatolskich; następnie w całem arcybiskupstwie haurańskiem, a jednocześnie w całem biskupstwie Saint-Jean d'Acre. Przeznaczone dla krajowców seminaryum w Ain-Traz, gdzie obecnie chwilowo się znajdujemy, jest przepełnione. Największa część uczniów pochodzi z rodzin, które jeszcze w ostatnich latach zaliczały się do schyzmatyckich, a niedawno temu wróciły na łono Kościoła katolickiego. Z niemałym smutkiem naszym, nie mogliśmy uwzględnić próśb bardzo wielu

zgłaszających się z powodu zupełnego braku miejsca. Pewną liczbę odesłaliśmy do jerozolimskiego zakładu św. Anny, który pozostaje pod zarządem zacnych, gorliwych Białych Ojców...

„Mówiąc krótko — kończy patryarcha swe sprawozdanie — ruch ku unii robi w oczach, robi każdej godziny, zadziwiające postępy, a jeśli tak dalej pójdzie, zdobędziemy szybko cały Wschód. Zliczyć niepodobna, ilu ludzi dobrej woli zwraca się do nas z zapytaniami o warunki powrócenia do katolickiej wiary; niema dnia, w którymby ze wszech stron nie zgłaszały się deputacye z żądaniem, byśmy ich i ich braci oświecili i do kościoła przyjęli, tak dalece, że zupełnie jest niemożliwem odpowiedzieć w całej pełni wszystkim tym pobożnym pragnieniom... Należałoby właściwie wysłać księdza do każdej wsi, każdej miejscowości, wysłać nauczycieli, zbudować szkołę i kaplicę“...

KONGRES W NORWICH.

Podobny ruch jak na Wschodzie objawia się w Anglii; podobnie jak na Wschodzie, wypłynął w Anglii, z inicyatywy papieskiej, z wspaniałego, prawdziwie ojcowskiego okólnika do ludu angielskiego. Okólnik ten stanowił najgłówniejsze tło przemów i rozpraw na obradującym w Norwich w połowie października kongresie urzędowego kościoła anglikańskiego. Kto widział uroczysty orszak, ciągnący do norwickiej katedry, powiewające chorągwie, niesione w tryumfie krzyże, księże ornaty, ten na pierwszy rzut oka sądziłby mógł, że ma przed sobą katolicką procesyę, katolickie duchowieństwo. Mowy, wygłoszone na uroczystych i poufnych zebraniach, rozwiałyby zapewne to złudzenie, ale i te mowy jakże różne od niechętnych, ziejących nieraz nienawiścią dla katolicyzmu przemów, jakie przed kilkunastu, przed kilku latami tak często w Anglii się odzywały!

„List papieski — mówił anglikański arcybiskup z Yorku — zasługuje na poważną uwagę i ocenę. Zasługuje na to, bo wyszedł z pod pióra duchownego naczelnika największego z chrześcijańskich kościołów, a sam czas i długowieczne tradycye nakazują zachować się względem niego z należną czcią; zasługuje tem bardziej ze względu na samąż osobistość Leona XIII., na jego, rzec można, święte życie, znaną dobroć serca, jasny umysł,

wytrawne doświadczenie. Wszyscy dzielimy wyrażone przezeń życzenie, wszyscy pragniemy połączenia się poważnionych kościołów; wszyscy czynimy zadość wezwaniu, w którem papież żąda zjednoczenia się we wspólnej modlitwie. Szkoda jedynie, że papież nie wskazał, na jakiej podstawie zjednoczenie to ma przyjść do skutku; nie porozumiawszy się co do fundamentu, nie można myśleć o dalszej budowie. Na podstawie bezwzględnego poddania się Rzymowi nigdy i za nic się nie zjednoczymy".

W tym samym duchu odezwał się biskup z Norwich w mowie zagajającej obrady, a wywody jego energicznie poparł uczony dr. Kane. „Nie wystarcza — godzili się wszyscy z kolei — powtarzać głowami kiwając oklepaną zwrotkę: W obecnych warunkach unia jest niemożliwą! Nie, to nie wystarcza! Trzeba zrobić krok dalej; wdać się we wzajemne rozprawy. Unia jest w powietrzu"...

Ojciec św., odzywając się do ludu angielskiego, nie spodziewał się i nie mógł na razie się spodziewać, jak sam jasno oświadczył, pomyślniejszych rezultatów. Ale to, do czego dążył, do czego tak gorąco zachęcał: szukajcie prawdy i módlcie się! — to już w znacznej mierze osiągnięte. A jak wątpić, — powtórzmy za pismem Ojca św. — że kto prawdy szuka i o nią się modli, ten ją z pewnością znajdzie?

*Ks. Jan Badeni.*

## List z Wiednia.

Niebezpieczeństwo, zagrażające wyznaniowym szkołom elementarnym i mieniu Kościoła na Węgrzech.

W liście z października r. b. (w listopadowym zeszycie *Przeglądu*) wspomnieliśmy o zagrażającem mieniu Kościoła katolickiego na Węgrzech niebezpieczeństwie sekularyzacyi lub nawet konfiskaty, poprzestając na bardzo krótkiej wzmiance, a zapowiadając osobny o tem artykulik na grudniowy zeszyt *Przeglądu*. Ową wzmiankę uczyniliśmy w związku z rzeczą o kalwińsko-żydowsko-masońsko-rządowej „walce w imię kultury", srożącej się teraz w krajach korony św. Szczepana, to też za-

powiedziany artykulik, który niniе spisać przedsiębierzemy, do tejże sprawy nawiązać nam wypada.

Jakiekolwiek są „moralne“ tryumfy masonii w najazdach na Kościół, wie ona doskonale, że instytucyę Chrystusową, przywiązaną, o ile o Kościół wojujący chodzi, do ziemi i spraw ziemskich, bardzo skutecznie, nieraz nawet najskuteczniej zaczepić można na punkcie interesu ziemskiego, i że tryumfy materyalne, najpospolitszy rabunek, jaskrawie ilustrujący masońską „sztukę królewską“, bywają najpraktyczniejszą rękojmią trwałości tryumfów „moralnych“. Przykładów pouczających i zachęcających masonia węgierska nie potrzebuje szukać daleko ani co do miejsca, ani co do czasu. Miejscem najbliższem jest przykład józefiński; są nim owe fundusze, które, jakby przez ironię, noszą nazwę funduszów „religijnych“, a które, mimo że józefinizm prawie zupełnie już wymarł (przynajmniej w sferach duchownych), po dziś dzień jeszcze utrzymują Kościół w zawisłości materyalnej i w poddaństwie moralnem. Co do czasu, najbliższym przykładem jest Bismarkowa ustawa „obroczna“ (tak zw. *Brodkorbgesetz)* z r. 1873, zawieszająca prebendy nieposłusznym biskupom, plebanom i wikarym, która rzeczywiście stworzyła kilku „wielmożnych plebanów królewskich“ między duchowieństwem katolickiem w Prusiech (niestety także w ziemiach polskich zaboru pruskiego), podobnych do *nagysagos kiralyi plebanos*, jak węgierskiego urzędnika stanu cywilnego nazwał ów cygan, zacytowany przez nas w liście październikowym.

Masonia na Węgrzech odniosła dnia 22 października rzeczywiście — jak to w tymże liście przewidywaliśmy — przy pomocy nowomianowanych członków Izby magnackiej, kreatur rządowych, ów tryumf, którego jej do całości swej antykościelnej akcyi ustawodawczej dotychczas brakło: Izba magnacka większością 7 głosów (120 przeciw 113) uchwaliła nakoniec odrzucaną dawniej kilkakrotnie ustawę, która pod niewinnym tytułem: „o swobodniejszem wykonywaniu religii“, jednym zamachem pozbawia królestwo św. Szczepana charakteru państwa chrześcijańskiego, wyrażonego krzyżem w herbie królestwa. Krzyż w herbie pozostanie wprawdzie, nie przeszkadza on masonii; ale znaczenie jego będzie inne. Ks. Stanisław Załęski w dziele: „O masonii w Polsce“ (wydanie drugie, Kraków 1889), na str. 27 mówi: „W symbolice masońskiej znajdują się wprawdzie godła chrześcijańskie... ale to wszystko ma tam zupełnie inne znaczenie... znak krzyża oznacza bowiem krzyżowanie się ras“. Ustawa zaś uchwalona dnia 22 października ma na celu właśnie usunięcie wszelkich obowiązujących dotychczas przepisów,

przeszkadzających swobodnemu krzyżowaniu się rasy węgierskiej z żydowską. Bez tej ustawy ustawa o cywilnych ślubach małżeńskich pozostawałaby połowiczną.

Chcąc utrwalić te tryumfy swoje, masonia od niejakiego czasu już w podwójnym kierunku obrabia p. Wlassicsa, ministra oświecenia i spraw duchownych w gabinecie Banffego, a p. Wlassics, wielki iluminat i apostoł „kultury", chce, żeby nań w duchu masońskim nalegano. Jednym ze sposobów utrwalenia owych tryumfów jest przejęcie szkół elementarnych, które na Węgrzech są jeszcze wyznaniowe, bo utrzymują je społeczności wyznaniowe, na etat państwa. Naturalnie stałyby się wtedy bezwyznaniowemi, co masonia wyraża przez postulat „urządzenia szkół zgodnie z potrzebami narodowemi". Inkameracya ich ma dziać się „stopniowo", to znaczy: przedewszystkiem katolickie szkoły mają uledz przeobrażeniu; inne, jako mniej niebezpieczne, mogą pozostać długo jeszcze nietknięte.

Ale więcej jeszcze zależy masonii na drugim sposobie, a przynajmniej uważa wykonanie go za sprawę pilniejszą. Jest nim sekularyzacya, a nawet konfiskata dóbr Kościoła katolickiego. Początek p. Wlassics już zrobił, początek fatalny. Na zażegnanie ziemiańsko-socyalistycznych rozruchów w nizinach węgierskich *(Alföld)* chwycił się taniego sposobu, bo wychodzącego na cudzy koszt. Rozruchy socyalistyczne nie mają wprawdzie z wydziałem rządowym p. Wlassicsa nic wspólnego, bo należą do wydziału ministerstwa spraw wewnętrznych, ale że właśnie on, którego psim obowiązkiem jest bronić powierzonego swej administracyi mienia kościelnego przeciw pożądliwości osób trzecich, choćby kolegów w gabinecie, sprzeniewierzył się i wydał owo mienie na łup, aby przysłużyć się ministrowi spraw wewnętrznych—to dowodzi jego własnej pochopności do sprzeniewierzania się Kościołowi i zarazem solidarności gabinetu Banffego w zamachach na Kościół. W rzeczonych nizinach urodzajnych znajduje się bardzo wiele dóbr, należących do katolickiego funduszu „religijnego" i naukowego, który to fundusz zawiadowany jest niewłaściwym sposobem przez ministerstwo oświaty i spraw duchownych. Otóż dla zażegnania niebezpieczeństwa, zagrażającego od socyalistów ziemiańskich, rząd węgierski postanowił podzielić dobra funduszowe na małe parcele i powydzierżawiać je za drobną cenę. Szczęśliwym przypadkiem większa część dóbr jest już wydzierżawiona w większych kompleksach na przydłuższe terminy; ale czem właśnie rozporządzić było można, tem rozporządzono w myśl owego postanowienia. A z jakim skutkiem? Z tym tylko, że rozbudzono

tem bardziej pożądliwość socyalistów niemieckich, którzy, połakomieni tylko, a nie zaspokojeni cząstką dóbr Kościoła katolickiego, żądają rozparcelowania wszystkich, naturalnie z wyrugowaniem dzierżawców wielkich, z podeptaniem ich praw kontraktowych. Grzech na grzech robi — mówi Skarga; — któż wie, na czem rząd węgierski ostatecznie stanie po tak rozpoczętem uśmierzeniu rozruchów socyalistycznych cudzym kosztem.

Na dobitkę z weszłych teraz w życie ustaw antykościelnych także zagraża Kościołowi konfiskata mienia. Wspomnieliśmy w liście październikowym, że pastorowie protestanccy, po ustawie o cywilnych ślubach małżeńskich, słusznie obawiają się uszczuplenia dochodów, bo protestanckie pary nowożeńców często poprzestaną na ślubie cywilnym, zupełnie obywając się bez pastora. Czemże zastąpić ten niedobór w dochodach? Protestantyzm nigdy nie rządził się skrupulatnością względem posiadłości Kościoła, gdzie albo tłumy jego miały przewagę, albo sprzyjała im potęga świeckiego ramienia rządowego. Dziś na Węgrzech posuwa się on w tym braku skrupulatności do takiego stopnia, że w słownikach dotychczas używanych nie znajdujemy dość dosadnego wyrazu, aby postępowanie to napiętnować. Jest jakaś rewolucyjna ustawa z r. 1848, która bywa interpretowana w tym duchu, jakoby dekretowała konfiskatę dóbr Kościoła katolickiego i podział ich między wszystkie chrześcijańskie społeczności wyznaniowe. Ustawa ta nigdy nie weszła w życie, co dostatecznie ją ilustruje; ale i prawomocności nie utraciła, bo nie jest wyraźnie zniesiona. Zapomnianą, odgrzebują teraz z pyłu masonia i protestantyzm, a pobudką są protestantyzmowi skargi pastorów na ubytek dochodów. Oprócz tej pobudki ma protestantyzm także prawny tytuł pretensyj do państwa, naturalnie uroszczony, urojony. Pobiera on na Węgrzech, tak samo jak i w Austryi, nie wiedzieć z jakiej racyi, dobrowolne subwencye ze skarbu, a z tej łaski chce uczynić prawo obowiązujące. Dobrze atoli wiedząc, że sam skarb węgierski rozrzutnym być nie może, apelują reprezentacye protestantyzmu do szczodrobliwości rządu z cudzych funduszów. Zażądał tedy „nadcisański obwód luterski“, na wrześniowem zgromadzeniu swem w Debreczynie, wykonania wspomnianej powyżej ustawy rewolucyjnej, zwanej, wedle kodyfikacyjnej nomenklatury węgierskiej, artykułem XX. z r. 1848, a odbyty dnia 11 października r. b. „jeneralny konwent“ luterski poszedł, jako reprezentacya najwyższa, powszechna, za przykładem reprezentacyi cząstkowej i uchwalił wysłać do rządu deputacyę z żądaniem, które tak samo wypowiada potrzebę wykonania ustawy, a to dla podwyższenia owych subwencyj skarbowych, jakoteż zamienienia ich

na „regularne i stałe“, tj. obowiązkowe. Przyzwoitsza część „konwentu“ zwalczała wprawdzie wniosek taki, zbijała go nawet argumentem o niebezpieczeństwie, zagrażającem przezeń autonomii i niezawisłości zboru luterskiego; sam „jeneralny inspektor“, Dezydery Pronay, wręcz odmówił przewodniczenia tej deputacyi; większość atoli uchwaliła wniosek.

Za przykładem lutrów, którzy w węgierskiej „walce w imię kultury“ zachowywali się do niedawna jeszcze dość przyzwoicie, idą teraz kalwini, zawsze o wiele od tamtych zacieklejsi. Należąc wraz z Żydami i masonami do inicyatorów walki, dotychczas sromali się wiązać tryumfy „moralne“ z pożądliwością materyalną, bo ta mogłaby była stać się niejaką przeszkodą dla tamtych. Dziś sromać się już nie potrzeba, dziś grabież materyalna nie potrzebuje już uchodzić za jeden z celów walki, dziś postulat kalwinów jest tylko logicznem następstwem postulatu lutrów; jest to logika równego „prawa“. Poprzestając na równem prawie, mogliby kalwini pochełpić się nawet pewną skromnością; bo, jako współinicyatorowie walki przeciw Kościołowi, mają właściwie większe prawo do grabieży niż lutrzy, którzy po części należeli do opozycyi w tej walce. Zobaczymy zresztą, czy nie przyjdzie do sporów o łup, gdy postulat wspólny wejdzie w stadyum urzeczywistnienia.

Jeden z ogarów prasowych, *Magyar Hirlap*, zapowiedział: „Niema już sposobu, żeby unikać wykonania artykułu XX. z r. 1848; nie można, nie wolno go już unikać!“ A rząd, czy chce go uniknąć? Niedługo po wygłoszeniu owych luterskich i kalwińskich zachcianek komunistycznych i po zacytowanej tu zapowiedzi, hr. Szapary w parlamencie zażądał, aby rząd stanowcze dał oświadczenie równie w sprawie sekularyzacyi lub konfiskaty dóbr kościelnych, jak w sprawie inkameracyi szkół elementarnych; rząd milczał, a raczej — co gorsza — przez usta niepowołane dał odpowiedź dyplomatycznie wymijającą: „Rząd o nowych ustawach kościelno-politycznych nie myśli“. Nie potrzeba nowych ustaw, potrzeba tylko wykonania ustawy z 1848: odpowiedź ta nie daje najmniejszej rękojmi przeciw dalszemu ciągowi akcyi antykościelnej; w roku 1890, gdy wyszło rozporządzenie o metrykach dzieci z małżeństw nierównego wyznania, a nawet jeszcze później, w mowie od tronu na inauguracyę teraźniejszego okresu legislacyjnego, rząd także „nie myślał“ o ustawach kościelno-politycznych, które dziś oto już weszły w życie i strasznie mącą spokój na Węgrzech.

*Józef Glinkiewicz.*

# Z dziejów sekciarstwa rosyjskiego.

Sprawozdanie ober-prokuratora św. Synodu o sekciarstwie rosyjskiem. — Hektograf w usłudze tajnej literatury sekciarskiej. — Sekta zżydziałych i podpolników czyli ukrywających. — Nowa sekta na Białorusi. — Sekta chichulitów czyli weselących się w Finlandyi i Petersburgu. — Postępy Paszkowców w Petersburgu. — Interwiew współpracownika *The Cornhill Magazine* u hr. L. Tołstoja. — Śmiałe pomysły skopców w początkach panowania Aleksandra I. — Studya nad sekciarstwem i dysputy w prawosławnych seminaryach duchownych. — Chłysty nad górną Oką i zjazd misyonarski w mieście Tarusie. — A. Fadiejew o misyonarzach prawosławnych w kraju Zakaukazkim. — Literatura historyczna rosyjska w r. 1894.

Od ostatniej naszej pracy w *Przeglądzie Powszechnym,* poświęconej sekciarstwu rosyjskiemu, stosunki znacznie się zmieniły na niekorzyść sekciarzy. Po krótkim wypoczynku za liberalnych w tym względzie rządów Aleksandra II. i po wydaniu ustawy z d. 3 maja 1883 r., regulującej stosunki i stanowisko prawne odszczepieńców Cerkwi prawosławnej, zaczęto w latach ostatnich panowania zmarłego cara, pod wpływem ober-prokuratora św. Synodu Pobiedonoscewa, występować z większą stanowczością i surowością przeciwko sektom. Granice swobód, przyznanych im ustawą z r. 1883, zaczęto ścieśniać coraz bardziej, coraz surowiej karać tych, co szerzą propagandę sekciarską wśród wyznawców Kościoła urzędowego, a kler prawosławny pobudzać wszelkiemi sposobami do działalności misyonarskiej. Dziś wychowanie alumnów w seminaryach duchownych zmierza przedewszystkiem do wytworzenia zapaśników dla obrony Cerkwi prawosławnej.

Jakiemi są obecnie stosunki sekciarskie, niepodobna osądzić należycie. Prasa rosyjska pisze teraz o nich znacznie mniej. Fachowi pisarze w zakresie sekciarstwa ostatniemi czasy całkiem zamilkli. Sztunda, którą niegdyś zajmowały się wszystkie dzienniki, a której wyznawców liczono w Rosyi południowej na setki tysięcy, dziś jakby nie istniała— tak o niej milczą uporczywie. Walka odbywa się oczywiście cicho i głucho, a rząd i Cerkiew pokryjomu dławią sekciarzy.

Z nielicznych zatem wzmianek w literaturze bieżącej, będziemy się starali utworzyć jakiś obraz, jakąś całość z tego procesu wewnętrznego, jaki przebywa już od dwóch wieków z górą prawosławie rosyjskie. Zacznijmy od jednego z najważniejszych dokumentów w tym przedmiocie, bo od poufnie urzędowego sprawozdania, składanego przez

ober-prokuratora św. Synodu co dwa lata monarsze rosyjskiemu, jako głowie Cerkwi prawosławnej, a z którego tylko niektóre wyjątki ogłasza *Cerkownyj Wiestnik*, organ urzędowy św. Synodu.

W sprawozdaniu ober-prokuratora św. Synodu za r. 1890—1891, przeznaczonem dla monarchy, znajdujemy bardzo cenne wskazówki o stanie obecnym sekciarstwa rosyjskiego. Do miejscowości, najsilniej zarażonych duchem sekciarskim, zaliczyć należy rozległy kraj nadwołżański, a zwłaszcza eparchie (dyecezye): niżno-nowogrodzką, saratowską i samarską. W pierwszej z nich mieszka około 70.000 razkolników (odszczepieńców), w drugiej przeszło 52.500, a w ostatniej z górą 81.000 dusz płci obojej. Bardzo liczni są także sekciarze różnych kategoryj w eparchiach następujących: w wiatskiej (72.000), w czernihowskiej (blizko 50.000) i połockiej (około 82.000). Z eparchij syberyjskich najwięcej sekciarzy: w irkuckiej (30.000), tobolskiej (55.000) i tomskiej (82.000). Ze wszystkich jednak eparchij prawosławnych najwięcej sekciarzy w państwie rosyjskiem przypada na dońską, w której naliczono aż 106.000 osób.

Jedną z najwydatniejszych właściwości razkołu rosyjskiego, na którą raport ober-prokuratora kładzie szczególniejszy nacisk, jest jego drobnienie się na różne odłamy i odcienia, najczęściej wzajemnie sobie wrogie, a zbliżające się ku sobie li tylko wskutek większej lub mniejszej nienawiści do Cerkwi prawosławnej. Największe grupy we współczesnym razkole stanowią: popowcy, bezpopowcy i wędrowni popowcy *(biegłopopowcy)*. Najliczniejszą zaś z tych trzech grup jest sekta popowców, przyjmująca swych kapłanów z Białej Kiernicy na Bukowinie. Wyznawcy jej stanowią obecnie dwie trzecie całego razkołu. Należą oni do parafian cmentarza Rohożskiego w Moskwie. Ogniskiem bezpopowców jest cmentarz Preobrażeńskij również w Moskwie.

Popowcy dzielą się na dwa odłamy: t. zw. okrężników i przeciw-okrężników *(okružników i protiwookružników)*. Kierownictwo ich spraw spoczywa w „Radzie duchownej", składającej się z osób świeckich. Nominalnym naczelnikiem odłamu okrężników jest pseudo-archijerej moskiewski Sawwatij, a istotnymi kierownikami tego odłamu są świeccy członkowie Rady duchownej — bogaci kupcy moskiewscy, od których cały ich kler i sam archijerej Sawwatij są bezwarunkowo zależni. Na czele drugiego odłamu popowców, to jest sekty przeciw-okrężników, stoi bractwo *Czestnaho Kresta*. Chociaż bractwo to utworzono na wzór bractw prawosławnych, skład jego jest jednak całkowicie świecki, zaczynając od członków, a kończąc na zarządzie. Przeciw-okrężnikami

rządzi także Rada kościelna, która atoli w przeciwieństwie do takiejże Rady okrężników składa się wyłącznie z osób duchownych. Sekta tych ostatnich jest słabszą i mniej liczną od okrężników. Do jej osłabienia przyczyniły się także niemało rozterki hierarchiczne, które trwają w jej łonie już od lat dziesięciu. Dwaj archijereje: Job zamoskworiecki (Zamoskworieczie stanowi dzielnicę Moskwy) i Józef niżno-nowogrodzki walczą ze sobą, godzą się i znowu wyklinają się wzajemnie, z powodu dyecezyi moskiewskiej, którą każdy z nich radby posiąść. I jeden i drugi ma swych stronników (Jowlanów i Josiflanów), niemniej nienawidzących się wzajemnie, jak i ich duchowni dostojnicy.

Lecz wszyscy razkolnicy, bez różnicy odłamów i odcieni, godzą się najzupełniej — jak konstatuje ober-prokurator św. Synodu — w nienawiści do prawosławia. Bardzo często z tego powodu muszą prawosławni uciekać się do władzy świeckiej z prośbą o pomoc i opiekę i wytaczać procesa sekciarzom. Charakterystyka obecnego stanu sekciarstwa, w sprawozdaniu ober-prokuratora św. Synodu, wypadła dlań bardzo ujemnie, jak to się zresztą samo przez się rozumie. W niem i wśród niego widzi on tylko — ciemnotę, nieuctwo, głęboki zastój umysłów i skrajną nietolerancyę; dalej — fałsz, oszukaństwo, drobiazgowość i czczość. Taką jest masa razkolników, takimi i ich przewodnicy, „ślepi“ w dosłownem znaczeniu tego wyrazu, lecz z instynktami i namiętnościami drapieżnych wilków. „Zaprawdę — pisze p. Pobiedonoscew — ciężko i smutno widzieć, jak masa ludzi, częstokroć najzacniejszych w swem życiu rodzinnem, błądzi w ciemnościach głębokiego nieuctwa i czczej zarozumiałości, walczy i dysputuje, skrępowana więzami martwego, nieruchomego zastoju myśli“.

W dalszym ciągu tego ważnego dokumentu pisze ober-prokurator św. Synodu, iż razkolnicy, tłumacząc na swą korzyść ustawę z dnia 3 maja 1883 roku, na mocy której otrzymali pewne prawa w odprawianiu swych nabożeństw i wykonywaniu obrządków, nie kryją się teraz bynajmniej ze swą propagandą. W niektórych dyecezyach, jak smoleńskiej, samarskiej, a szczególniej ufimskiej (nad Uralem), propaganda odbywa się z całą otwartością, jakby się nie obawiano żadnej odpowiedzialności. Dla większej skuteczności takowej, kierownicy razkolników chwytają się różnych środków, jak przekupstwa, oszczerstwa ustnego i piśmiennego; w licznych książkach, ilustrowanych różnemi obrazkami niemoralnemi i bluźnierczemi, szerzą najróżnorodniejsze fałsze o Cerkwi prawosławnej, jej pasterzach i nawet śś. Sakramentach. W jednej np. takiej książce narysowano żmiję o siedmiu głowach,

na niej kobietę, a nad tą ostatnią osoby w koronach na głowie. Nad tym rysunkiem umieszczono nadpis: „kobieta ta siedzi na siedmiogłowej żmii, a zwie się Cerkwią heretycką"; w tekscie zaś znajdujemy dokładniejsze wyjaśnienie rysunku w słowach następujących: „a ta kobieta, siedząca na siedmiogłowej żmii, to jest Cerkiew heretycka, siedzi na siedmiu tajemnicach nieczystych i trzyma w ręku czarę nieczystości i sprosności wszelakich pełną, a obok niej nierządni carowie ziemscy, którzy upojeni są jej nierządem, to jest nauką heretycką".

W niektórych miejscowościach, menerzy odszczepieństwa, nie zadowalniając się ustną lub piśmienną propagandą w tej lub owej formie, uciekają się jeszcze do pogróżek, gwałtów, przemocy, a nawet zadawania męczarni. Najpotężniejszym środkiem utrzymania dzieci w wierności dla tej lub owej sekty, są pogróżki ze strony rodziców, że przeklną je i pozbawią sukcesyi. Z doniesienia władyki ziemi Dońskiej widać, iż obawy przed wydziedziczeniem częstokroć powstrzymywały od przejścia na prawosławie tych nawet, którzy już przyszli do przekonania o błędach razkołu. Małżeństwa pomiędzy prawosławnymi a razkolnikami są w wielu dyecezyach największem złem; przez nie bowiem razkoł utrzymuje się i szerzy tam nawet, gdzie go pierwej nie było. Wobec tych małżeństw mieszanych, wpływ duchowieństwa prawosławnego jest całkiem bezsilnym. W dyecezyi nowgorodzkiej trafiały się takie np. sposoby nawracania prawosławnych do razkołu. Zachorował prawosławny, zamożny gospodarz wiejski, na nawróceniu którego wiele zależy razkolnikom. I oto przybiega do niego jedna staruszka, a za nią wnet druga i jak zaczną ubolewać nad tem, co się stanie z jego duszą: „a gdzie to pójdzie — powtarzają mu — biedna twoja duszyczka; całeś życie przeżył jako heretyk, a nawet przed śmiercią nie chcesz pokutować; przejdź do nas, przeżegnaj się, a wszystkie grzechy znikną, jako dym". Potem zjawi się, niby przypadkiem, djak lub ktoś od popa odszczepieńczego i opowie choremu, iż „we śnie widział chorego żegnającego się na dawny sposób (dwoma palcami), a duszę jego unoszoną przez jasnych aniołów w raj przeczysty, do królestwa niebieskiego". Jednem słowem, poruszają wszystkie struny duszy chorego, gdy tymczasem jego pasterz prawosławny nic o tem nie wie, bo nikt go nie uwiadomi, pomimo niekiedy usilnych próśb umierającego. Toż samo bywa przy każdych urodzinach we wsiach z mieszaną ludnością. Jeden z ojców wyznania prawosławnego musiał

pogrozić razkolnikom toporem, jeżeli się odważą ochrzcić jego dziecko według swego obrządku.

Taką charakterystykę propagandy razkołu i wzajemnego stosunku Cerkwi urzędowej do jej zbłąkanych owieczek znajdujemy w sprawozdaniu ober-prokuratora św. Synodu dla monarchy, a więc właściwej głowy tej Cerkwi. A teraz udajmy się do innych świadectw, wprawdzie nieurzędowych, lecz zaczerpniętych ze źródeł poważnych. Organ prawosławno-klerykalny *Brackoje Słowo* zajmuje się zwykle bardzo gorliwie tajną literaturą sekciarską. W jednym z numerów (13) zwraca uwagę na szerokie zastosowanie hektografów w literaturze duchownej razkolników, chociaż nie wolno bez pozwolenia władzy używać hektografów i nie każdy utwór może być hektografowany. Tymczasem razkolnicy — żali się *Brackoje Słowo* — korzystają w całej pełni z hektografów dla swej propagandy na niekorzyść Cerkwi prawosławnej i państwa. W ciągu dwóch, trzech ostatnich dziesięcioleci pojawiła się cała hektografowana literatura sekciarska. Gdy idzie o powodzenie propagandy religijnej, sekciarze ofiar nie żałują, a rosyjscy stróże praw i przepisów nie są nigdy obojętnymi na pewne argumenta brzęczące, byle tylko takowych umiano zręcznie użyć. *Brackoje Słowo* wskazuje nawet pewne osoby, zajmujące się propagandą sekciarską przez książki hektografowane. Środków na ten cel dostarcza bogaty kupiec moskiewski, Sołdatienkow; misyonarską zaś działalnością na rzecz razkołu zajmuje się Antoni Jegorów, a autorstwem książek religijnych, układanych prozą i wierszem, niejaki Briliantow, nawrócony z prawosławia do razkołu. Ceniąc zdolności tego ostatniego, razkolnicy dopomogli mu do zrobienia znacznego majątku.

Najwięcej gorliwości w szerzeniu swej nauki okazuje w czasach ostatnich sekta „zżydziałych“ *(żidowstwujuszczich)*. Na razie najwięcej ich na wschodzie Rosyi europejskiej. W gubernii wiatskiej wyznawcy tej sekty wierzą tylko w „Jedynego Boga, niepojętego i niewidzialnego“, a odrzucają Trójcę Świętą, cześć obrazów i krzyżów, Sakramenta śś., a przedewszystkiem kapłaństwo; dalej odrzucają wszystkie obrzędy kościelne, święcenie niedzieli i Nowy Testament, a czczą Stary Testament i święcą sobotę. Sekciarze twierdzą, że połączenie Starego Testamentu z Nowym nastąpiło już wówczas, gdy Mojżesz rozbił tablice z przykazaniami, które otrzymał był na górze Synai od sześcioskrzydlnych serafinów. Twierdzą oni, iż nauka ich pochodzi z objawienia Bożego. Na dowód, iż obecnie nie potrzeba ani kapłaństwa, ani Kościoła, ani tajemnic wiary, ani obrzędów, ani postów i t. d., po-

wołują się oni na „Księgę o wierze", w której powiedziano, iż „po siedmiu tysiącach lat nastąpi jego (Mesyasza) przyjście". Dla dokładniejszego zaś zrozumienia tego ustępu, powiadają, iż „obecnie mamy już ósme tysiąclecie, czyli wiek ósmy", a więc każdej chwili należy oczekiwać Mesyasza.

Z miasta Kamyszina, w gubernii saratowskiej, pisze do *Saratow. Listka* jeden z lekarzy, wysłanych tamże dla walki z cholerą, o istnieniu w powiecie kamyszińskim osobliwszej sekty, zwanej *podpolniki* czyli ukrywający się. Jednym z jej rysów najbardziej charakterystycznych jest przechowywanie w miejscach najskrytszych, najniedostępniejszych wszystkich tych, co się ukrywają przed poszukiwaniami władz, jak np. wszelkich włóczęgów, uciekających z Syberyi, ukrywających się przed poborem do wojska, a wreszcie własnych współwyznawców niebezpiecznie chorych. Jeśli któryś z nich popadnie w niebezpieczną chorobę, wówczas zwołują starszych swej gminy sekciarskiej, którzy zamykają chorego do miejsc najbardziej ukrytych, pozostawiają go bez pokarmu i napoju, a wszyscy mieszkańcy dom ten opuszczają. Po dwóch lub trzech dniach przychodzą odwiedzić chorego i jeżeli nie znajdą go przy życiu, grzebią gdziekolwiekbądź: w ogrodzie, w gumnie, na polu, lecz nie na cmentarzu. Przeznaczonego w ten sposób na śmierć chrzczą zwykle po raz wtóry i nadają mu inne imię, z dodatkiem niezbędnym epitetu: „sługa Boży". Czynią to dlatego, aby — jak twierdzą — stanął na sąd Boży nie dawny grzesznik Piotr, lecz np. sługa Boży Paweł. Grzesznego Piotra napróżno tam będą poszukiwać: przed sądem Bożym stanie bowiem Paweł niewinny, grzechem niezmazany. Tym, co się ukrywają przed poszukiwaniem władzy, dają wyznawcy tej sekty także różne pseudonimy. Ich tajnych kryjówek nikt dotychczas nie zbadał należycie, jak zapewnia dziennik *Wołgar*. Poszukiwanie takowych jest zajęciem nader niebezpiecznem: można się dostać do takiej samotnej kryjówki i nigdy już więcej nie ujrzeć świata Bożego. Pomimo tego udało się jednemu z lekarzy podczas ostatniej epidemii cholerycznej dostać się do jednej z takich kryjówek, gdzie znalazł chorego na cholerę; jednak kilku innych chorych zdołali tymczasem sekciarze gdzieś ukryć.

Z gubernii witebskiej otrzymał *Wilenskij Wiestnik* wiadomość, iż tam powstała nowa sekta, będąca mieszaniną zasad *mołokanów, chłystów* i *fiedosiejewców*. Założycielem jej był dymisyonowany żołnierz Iwan Simczenko, mieszkaniec wsi Sioliszcza, w gubernii witebskiej. Szerzenia

nowych zasad wiary próbował on już w r. 1881, za co wysłano go do kraju Zakaukazkiego, skąd pisywał dosyć często listy do wyznawców swej nauki. Ponieważ pobyt w kraju Zakaukazkim przedstawił im jako niezbyt straszny, to zachęciło ich do jawnej apostazyi od Cerkwi prawosławnej. Wyznawcy tej nowej sekty odrzucają Sakrament kapłaństwa i pokuty, nie oddają czci obrazom świętym i krzyżom, nie chodzą wcale do cerkwi prawosławnej. Wespół z *chłystami* odrzucają śluby, żądają od swych wyznawców udręczeń ascetycznych, zabraniają palenia tytoniu i jedzenia wieprzowiny, w czasie postów wstrzymują się od wszelkiego jedzenia, a wierzą w bezpośredni stosunek człowieka z Duchem Świętym. Od *fiedosiejewców* przyjęli naukę o Antychryście. Antychryst — według nich — już przyszedł na świat i nad nim panuje. Rysem oryginalnym nowej sekty jest zakaz mieć więcej dzieci jak troje.

Z Petersburga donoszą do *Moskowskich Wiedomosti* o pojawieniu się tam nowej sekty mistycznej pod nazwą *chichulitów*, to jest weselących się. Można ją uważać za chorobliwy objaw swobody głoszenia słowa Bożego, jaka istnieje w niektórych krajach protestanckich. Sekta *chichulitów* powstała przed 3 lub 4 laty w Finlandyi, gdzie liczy już wielu wyznawców, zarówno wśród ludności protestanckiej, jak i prawosławnej. Należą do niej ludzie o rozstrojonych nerwach, jak i do sekty *malewanców* w Kijowie, badanych z taką ścisłością naukową przez lekarza Sikorskiego, lub do sekty *riabowców* w Petersburgu. Taż sama gra na rozstrojonych nerwach, toż samo pragnienie chorobliwej egzaltacyi. Cechą oryginalną *chichulitów* jest ich skrajny religijny optymizm. Głoszą przyjście Antychrysta, blizki koniec świata, a siebie uważają za zbawionych przez samą wiarę, wskutek czego naiwnie się zachwycają własną świątobliwością. Modlitwy ich polegają na pewnym rodzaju improwizacyj, przepełnionych pochwałami dla własnej świątobliwości i nadziejami przyszłych radości; skoro jeden z kaznodzieiimprowizatorów omdlewa, wnet drugi zastępuje jego miejsce. Wkrótce ekstaza przybiera takie rozmiary, iż nerwy zgromadzonych nie są w stanie wytrzymać. Kobiety i mężczyźni zaczynają drgać konwulsyjnie, podskakiwać i coraz szybciej krążyć po sali. Te powszechne pląsy są, zdaniem *chichulitów*, zbliżeniem się do ideału bezcielesności, albowiem w swej ekstazie religijnej wyobrażają sobie, iż są jak puch lekkimi. „Z dachu upadnę — powtarzają w takich razach — a nie rozbiję się“. Jeden z *chichulitów* chciał w chwilach egzaltacyi rzucić się do

Newy, aby dowieść, iż utrzyma się na powierzchni wody, ponieważ stracił na wadze. Wesołe usposobienie starają się oni zachować również i w życiu codziennem; stąd to pochodzi ich pogarda dla wszelkiej ciężkiej pracy i obojętność na wszelkie potrzeby życia. Starają się wszelkiemi sposobami trosk i kłopotów unikać. Skutki należenia do tej sekty występują na jaw już po kilku miesiącach: w rozstroju całkowitym nerwów i chorobach umysłowych.

Do Petersburga nauka ta dostała się, jak wyżej wspomniałem, z Finlandyi. W tej zaś ostatniej pojawiła się wnet po ukazaniu się tamże ze Szwecyi pionierów „armii zbawienia". Dotychczas jeszcze ludność finlandzka pozbyć się nie może gorączki kaznodziejskiej. Jakiś doktor w Joen-Su, uczuwszy w sobie natchnienie kaznodziejskie, w ciągu dnia jednego pociągnął za sobą i nawrócił miasto całe. W miasteczku Tajpało szewc miejscowy uczuł porywy natchnienia w zborze luterskim, w czasie nabożeństwa. Aby nie robić zamieszania, wyszedł ze zboru i zaczął przemawiać przed nim do tłumu, dopóki nie upadł z omdlenia na najbliższą ławkę.

Sekta *Paszkowców* czyni wciąż ogromne postępy w stolicy państwa. Istnieje już cały zastęp misyonarzy, poświęcających się walce z wyznawcami tej sekty. W fabryce barona Torntona wszyscy robotnicy należą do sekty Paszkowców, głoszącej zasady protestancko-racyonalistyczne, z pewnemi oczywiście odmianami, powstałemi na gruncie petersburskim.

W czasopiśmie *The Cornhill Magazine* znajdujemy nader zajmujące sprawozdanie jednego z jego współpracowników o rozmowie, jaką miał z hr. Lwem Tołstojem o kwestyi religijnej. Rozmowa ta nabiera tem większego znaczenia, iż hr. L. Tołstoj uchodzi za twórcę nowej sekty religijnej, liczącej wielu zwolenników.

— Po co — rzekł hrabia — ludzie gromadzą się na nabożeństwa? Alboż nie mogą oni modlić się u siebie w domu, skrycie? Te zebrania w cerkwiach, te wszystkie ceremonie są li tylko zewnętrznemi formami wiary, lecz nie samą wiarą. Włościanie rosyjscy dają z siebie przykład nowej religii, religii bierności wobec złego; oni dają światu naukę cierpienia. Naród, jeżeli tego zapragnie, może się obejść i bez księży.

Zrobiłem uwagę hrabiemu, iż chodzę niekiedy do kościoła, aby posłuchać dobrego kazania.

— Albo pan nie może wykonywać swych obowiązków religijnych w domu? Co za cel słuchać po wielekroć tego samego, co panu

aż nadto dobrze jest znane? Należałoby poświęcać trochę mniej czasu na ceremonie, a więcej na pracę *(à l'action)* — oto rzecz główna.

W dalszym ciągu tego artykułu wyjaśnia współpracownik czasopisma angielskiego, w jaki to sposób powstało owo głośne „Wyznanie" *(Ispowied')* hr. L. Tołstoja. Powiadają, iż hrabia, po ukończeniu tej pracy, zebrał całą swą rodzinę i oświadczył, iż całe swe mienie rozda pomiędzy ubogich. Po tem niespodzianem oświadczeniu, hrabina, małżonka Tołstoja, zemdlała. Obecni uszom swoim wierzyć nie chcieli. Wiedzieli o tej sentencyi ewangielicznej, ale praktyczne jej zastosowanie uważali za pewien rodzaj *szaleństwa. Po tej scenie* hr. Lew Tołstoj opuścił na czas pewien wieś dziedziczną, pozostawiwszy cały majątek swej rodzinie. Osobiście niczego dla siebie nie potrzebuje, zadowalnia się skromną bluzą i prostemi potrawami. Od owej chwili pozostał po dzień dzisiejszy wierny swemu postanowieniu: nie ma grosza własnego. Jego majątek ziemski, kapitał, powozy, konie i t. d. przeszły na własność żony i dzieci.

Po tej ilustracyi poglądów religijnych hr. L. Tołstoja, wraca współpracownik *The Cornhill Magazine* do dalszego ciągu swej rozmowy na temat religijny.

— Wielkim błędem jest mniemać, — rzekł hrabia — iż serce ludzkie jest tak złem, jak wy sobie wyobrażacie. Okruszyna dobrego jest w człowieku najbardziej zepsutym, a naszym obowiązkiem odwoływać się do niej i umieć ją zużytkować. Harrison i Bellew z powodzeniem głoszą tę zasadę w Ameryce. W Rosyi urzeczywistniają ją w życiu praktycznem — sztundyści. Na dowód tego hrabia przytoczył przykład włościan w pewnej miejscowości, którzy, chcąc się przekonać o szczerości zasad sztundystów, zaczęli ich okradać. Najpierw kradli im konie, potem bydło rogate, potem różne ruchomości, aż wkońcu sztundystom nic nie pozostało. Włościanie czekali dzień jeden i drugi, azali wyznawcy sztundy nie zaczną poszukiwać swej własności. Widząc, iż zachowują się całkiem spokojnie, poczuli zgryzotę sumienia i rzeczy skradzione zwrócili.

— U tych włościan — rzekłem — było sumienie, lecz coby się stało w razie przeciwnym? Czy tak postąpiliby sobie Baszkirowie, Kałmucy, Tatarzy i inna dzicz azyatycka? Opowiedziałem wówczas hrabiemu zdarzenie prawdziwe z życia kolonistów-mennonitów w gubernii saratowskiej (nad Wołgą). I oni przez czas pewien trzymali się wiernie tej zasady, aby złemu się nie opierać. Korzystając z ich

bierności, sąsiedzi rabowali, łupili i nawet kaleczyli kolonistów. Wkońcu ci byli zmuszeni zbrojnie odpierać napady rabusiów.

Niejakiś p. Emelianow kreśli w *Sybirskim Wiestniku* (nr. 105) obraz moralno-religijnego rozstroju wyższych warstw społeczeństwa rosyjskiego w początkach naszego wieku, wśród których nawet wstrętna, barbarzyńska sekta skopców znajdowała gorliwych wyznawców. Wśród tego zamętu religijno-moralnego dosyć wyraziście występuje, niestety, jedno nazwisko polskie. Do najgorliwszych stronników Seliwanowa, twórcy tej sekty, należał pan Jelański. Nazywa go autor „byłym szambelanem króla Stanisława Augusta". Po trzecim rozbiorze Polski przybył on do Petersburga, wstąpił do służby rosyjskiej, najpierw przyjął prawosławie, a potem przystąpił do sekty skopców. Nie można stwierdzić na pewne, kiedy on faktycznie do niej przystąpił; w każdym razie już na początku naszego wieku był jednym z najczynniejszych członków *korabia* petersburskiego, jak skopcy zwali swe gminy wyznaniowe. Zamieszkawszy w Ławrze Aleksandro-Newskiej, Jelański w samotności swej celi marzył o tem, jakby Kondrata Seliwanowa i innych pseudo-proroków uczynić faktycznymi panami Rosyi, a tem samem urzeczywistnić główne zadanie sekty: najpierw oskopić całą Rosyę, a przy jej pomocy i inne państwa europejskie. W tym celu opracował nawet ustawę dla przyszłego teokratyczno-skopczego państwa. Według jego projektu, należało do każdego miasta i do każdego pułku posłać po jednym proroku i jednym hiero-monachu tej sekty tak ostrożnie, aby ani władza świecka, ani duchowna nie mogły się tego domyślić. Zadaniem ich byłoby opanować zwolna rządy wsi, miasta lub pułku, aby bez ich wiedzy i woli nic się zgoła nie działo. Sam Jelański chciał z dwunastu prorokami sekty skopczej udać się do głównej armii. Kondrat Seliwanow miał zostać przy boku cara Aleksandra I., aby kierować całą polityką wewnętrzną Rosyi. Do powyższego projektu dodał Jelański krótki memoryał pod tytułem: „Wiadomość o tem, co jest istotą sekty skopczej". Lecz wśród tych planów i przygotowań, Jelańskiego aresztowano i w sierpniu r. 1804 zamknięto na czas nieokreślony w monasterze suzdalskim.

Św. Synod w czasach ostatnich prowadzi z całą energią walkę z sekciarstwem. W seminaryach duchownych zaprowadzono osobne wykłady o sekciarstwie rosyjskiem, obowiązkowe dla wszystkich wychowańców. O metodzie traktowania tego przedmiotu informuje nas *Missionierskij Sbornik*, wychodzący od niedawna jako dodatek do *Riazańskich*

*Eparchialnych Wiedomosti*. Wykłady w seminaryach o razkole — czytamy tamże — mają na celu przygotować przyszłych duszpasterzy do skutecznej walki z błądzącymi. Jest to niezaprzeczenie dosyć trudna gałąź wiedzy. Celem ułatwienia tego zadania, nabyto dla biblioteki seminaryjnej różne starodawne druki razkolników, lub z niektórych rzadszych porobiono *facsimilia* w fototypiach. Sekciarze w dysputach nigdy na słowo nie wierzą, a domagają się cytatów, które mają dla nich takie znaczenie, jak fakt dowiedziony na sądzie. W niektórych seminaryach zaprowadzono już dysputy publiczne dla wychowańców. Odbywają się takowe zwykle w niedzielę, w sali aktowej, w obecności rektora, profesorów i wszystkich uczniów. Nawet wolno na nie przychodzić i obcym osobom. Jeden z alumnów wykłada zapatrywania Cerkwi prawosławnej na tę lub ową kwestyę sporną, a drugi przytacza zarzuty razkolników. Dysputy te mają wywierać wpływ zbawienny na przyszłych misyonarzy. Poruszone na nich kwestye obudzają powszechne zainteresowanie się wśród wychowańców, a niektórzy przerzucają całą bibliotekę dla wyjaśnienia takowych.

W mieście powiatowem Tarusie (nad Oką), w gubernii kaługskiej, utworzył św. Synod pewien rodzaj ogniska dla walki z sektą chłystów. Liczy ona w tej gubernii najwięcej wyznawców, zorganizowanych w korabie czyli gminy wyznaniowe chłystowskie. Samo miasto Tarusa, dalej wsie: *Istomino, Balsunowo i t. d. są całkiem chłystowskiemi*. We wsi Balsunowo posiadali oni nawet monaster własnej, odrębnej reguły. Bogatsi sekciarze brali sieroty lub dzieci ubogich włościan i wychowywali je w zasadach swej wiary. W ten sposób liczebnie sekta szybko wzrastała. Za nawracanie prawosławnych rząd wytaczał im raz po raz procesy. Z materyału, jakiego one dostarczały, mógł dopiero św. Synod powziąć dokładniejsze wyobrażenie o zasadach samej sekty i sposobach propagowania takowych. Na dzień 1 marca st. st. 1893 roku zwołano wszystkich parochów prawosławnych z miejscowości zarażonych zasadami chłystowskiemi, celem obmyślenia najskuteczniejszych środków do ich zwalczania. W imieniu św. Synodu przybył na zjazd p. Skworcow, specyalista w rzeczach dotyczących chłystów, wysyłany z ramienia św. Synodu na wszystkie śledztwa i procesy tej kategoryi. P. Skworcow udzielał zgromadzonym swych spostrzeżeń i dawał wskazówki, w celu ujednostajnienia akcyi antychłystowskiej w tamtych stronach. Uchwalono założyć w Tarusie monaster żeński, a przy nim ochronkę dla sierót, aby je wychowywać w duchu Kościoła panującego.

Być może, że kiedyś Kościół panujący będzie miał więcej pożytku ze swych misyonarzy, bo do niedawna nie mieli oni zbyt dobrej opinii. Niedawno ogłoszono w *Russkim Archiwie* wspomnienia A. Fadiejewa (ojca znanego pisarza panslawistycznego, jenerała R. Fadiejewa), o osadach mołokanów i duchoborców w kraju Zakaukazkim. Z nich się przebija niedwuznacznie niezadowolenie autora z działalności misyonarskiej kleru prawosławnego, której mógł się wybornie przypatrzeć, nawiedzając niejednokrotnie osady sekciarskie tamże, z upoważnienia namiestnika kniazia Woroncowa. Chociaż misyonarze nasi — powiada A. Fadiejew — czynili pewne usiłowania około nawracania sekciarzy, lecz korzyści z tego nie było żadnej, albowiem nawróceni przez nich byli to tacy ludzie, którzy do kraju przybyli jako prawosławni, tutaj dla interesu stali się mołokanami, a później, również dla interesu, celem uzyskania jakichś prerogatyw, dali się misyonarzom nawrócić na prawosławie. Nie można powiedzieć, aby ci misyonarze nie byli dosyć przygotowani do wypełniania swych obowiązków, zwłaszcza w kierunku naukowym: lecz siłę wiary panującej upatrują oni w literze przykazań, a nie w ich duchu; łącząc przytem fanatyzm pojęć ze smutnemi czynami chciwości, nakładają na nowonawróconych ciężkie brzemię obrzędowości, a najczęściej szkodzą samejże sprawie zbyteczną surowością i nawet mściwością, skoro tylko parafianie nie wypełniają niewolniczo ich rozkazów i zachcianek. Taką opinię wypowiada o misyonarzach prawosławnych człowiek wybornie obznajomiony z ich działalnością, a bynajmniej nie wróg wyznania panującego.

Ponieważ w literaturze historycznej i w wydawnictwach materyału źródłowego znaleść można dużo wiadomości do dziejów Kościoła prawosławnego i sekt z niego powstałych, dlatego podaję tutaj krótkie sprawozdanie o ruchu naukowym historycznym za rok 1894. Do najważniejszych wydawnictw w tej gałęzi wiedzy należą: „Opis systematyczny rękopisów słowiano-rosyjskich ze zbiorów hr. A. S. Uwarowa“, dokonany przez zmarłego archimandrytę Leonida; wydanie to nazwać można monumentalnem, a obejść się bez niego nie będą w stanie ci, co zechcą korzystać z cennych i obfitych zbiorów hr. Uwarowa. Tom trzeci „Listów i papierów cesarza Piotra W-go“ zawiera około 400 listów, pisanych do różnych osób w latach 1704 i 1705. Aby o ich ważności mieć wyobrażenie, dosyć przypomnieć, iż w tych latach Rosya zdobyła pobrzeże Newy, zbudowała Kronstadt, zdobyła Narwę i Dorpat, spustoszyła Inflanty szwedzkie i Estonię, zawarła z Augustem II. zaczepne

przymierze przeciwko Szwedom, i nastąpiło zbliżenie się Piotra W go do jego przyszłej małżonki, carowej Katarzyny I. Księga czwarta „Archiwum kniazia Woroncowa“, w której znajduje się korespondencya dyplomatyczna kniazia B. J. Kurakina z czasów jego pobytu w Anglii w latach 1710 i 1711, a także nader zajmujący dziennik tego dyplomaty z r. 1711. Tom drugi „Aktów państwa moskiewskiego“ zawiera akta z tak zwanych urzędów *(prikazów)*. z lat 1635—1659, rzucające światło na stosunki ekonomiczne państwa moskiewskiego w tych czasach i na byt materyalny stanu urzędniczego. „Opis kraju Amurskiego“, ułożony przez G. E. Grum-Grzymajło, pod redakcyą P. P. Siemienowa, przedstawia wynik studyów nad stosunkami geograficznemi, geologicznemi, klimatologicznemi, ekonomicznemi i statystyką tej kresowej prowincyi państwa rosyjskiego, a uwzględnia przytem środki użyte przez rząd do rozwoju tamże kolonizacyi, przemysłu i handlu. Tom pierwszy „Próby historyi uniwersytetu charkowskiego“, pióra prof. D. J. Bagaleja, obejmujący czas od roku 1802—1815, zajmuje się nietylko historyą uniwersytetu, ale przedstawia stan kultury społeczeństwa rosyjskiego na obszernej przestrzeni dwóch prowincyj: Noworosyi i Małorusi. Tom ósmy „Życia i prac M. P. Pogodina“, przez N. P. Barsukowa, obejmujący okres czasu od początków roku 1845 do połowy r. 1847, przedstawia niemały interes dla tych wszystkich, co się zajmują historyą literatury i wogóle życiem umysłowem Rosyi. „Księga mego żywota“ władyki Porfirego Uspeńskiego zawiera, pod formą dziennika życia codziennego i notatek autobiograficznych, ciekawy materyał do dziejów Palestyny, Słowian wschodnich i wogóle Cerkwi wschodniej. W ciągu roku minionego wyszły także z druku tomy 88—93 „Sbornika cesarskiego Towarzystwa historycznego“. W tomach 88 i 89 wydrukowano dokumenta, odnoszące się do stosunków dyplomatycznych rosyjsko-francuskich w latach 1807 i 1808; w tomie 91 — raporty posła angielskiego w Petersburgu Fincha, od dnia 7 marca 1741 r. do 16 lipca 1742 r.; w tomie 92 — sprawozdania i raporty posła francuskiego Chetardy'ego od listopada 1740 r. do czerwca 1741 r.; tomy zaś: 90-ty i 93-ci obejmują materyał do poznania wewnętrznych stosunków Rosyi; pierwszy z nich odnosi się do początków panowania cara Mikołaja I., a drugi do czasów Katarzyny II.

Z poważniejszych artykułów treści historycznej, drukowanych w miesięcznikach rosyjskich w r. 1894, zasługują na uwagę: „Historya Żydów w Rosyi“ *(Russkij Archiw)*, praca wyczerpująca pióra niedawno zmarłego M. T. Szugurowa, w której przedstawiono wszystkie środki

ustawodawcze i administracyjne, jakich tylko używał rząd rosyjski względem Żydów, od czasów najdawniejszych aż do cara Mikołaja I. Ciąg dalszy „Zapisków N. N. Murawiewa-Karskiego“ *(Russkij Archiw)* zawiera mnóstwo nader zajmujących wiadomości o misyi Murawiewa-Karskiego do Turcyi w r. 1833, której celem było okazywać poparcie sułtanowi w walce z jego hardym lennikiem, Mehmetem-Ali egipskim; część ta pamiętników rzuca także niemało światła na stosunki wojskowe rosyjskie w tych czasach. Ciąg dalszy „Wspomnień N. A. Tuczkowej-Ogarewoj“ *(Russkaja Starina)*, bardzo ciekawy ze względu na charakterystykę Herzena i Ogarewa, jakoteż i ich działalności publicystycznej w Londynie, w czasie największego rozkwitu liberalizmu rosyjskiego w pierwszych latach panowania Aleksandra II.

*A. Szarłowski.*

Druk ukończony 29 listopada 1895 r.

# SPIS RZECZY

## Artykuły naukowe i literackie.


| | Stronica. |
|---|---|
| Dzisiejszy spór o hierarchię anglikańską. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* | 1 |
| Szkice Gilberta Parkera. Przez *T. W.* | 17 218 |
| Kolegium polskie w Rzymie. III. IV. V. Przez *ks. Pawła Smolikowskiego* | 40 174 362 |
| Henryk VIII. i klasztory w Anglii. (Dok.). Przez *M.* | 62 |
| W Czarnogórskiej stolicy. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* | 86 |
| W ośmsetletnią rocznicę wielkiego synodu w Clermont. Przez *ks. Włodzimierza Piątkiewicza T. J.* | 161 |
| Przez Syberyę. Listy z podróży. Przez *księcia Pawła Sapiehę* | 198 399 |
| Żegluga powietrzna w służbie nauki. Przez *d-ra Wierzbickiego* | 233 |
| Łużyce. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* | 251 379 |
| Szósty wieczór nad Lemanem. Przez *ks. Maryana Morawskiego T. J.* | 329 |
| Etyka we warszawskiem Ateneum. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* | 418 |

# Przegląd piśmiennictwa.

Stronica.

*Z* piśmiennictwa krajowego:

Dzieje Kościoła chrześcijańskiego. I. Wieki dawne i średnie. Opracował ksiądz Jerzy Badura, pastor w Międzyborzu. *(Ks. Chotkowski)* . . . . . 103

Historya gimnazyum przemyskiego. Przez prof. Stanisława Golińskiego. — Kilka słów o założeniu gimnazyum w Jaśle, wraz z kroniką zakładu. Spisał w 25-letnią rocznicę zakładu prof. Aleksander Truszkowski. — Kronika gimnazyum nowosądeckiego. Przez Wojciecha Błotnickiego. *(Leszek Dziama)* . . . . . 124

O Słowackim, Krasińskim i Mickiewiczu. Studya historyczno-literackie. Ferdynand Hösick. *(Dr. A. M. Kurpiel)*. . . . 127

Pamiętnik historyczny i wojskowy o wojnie polsko-rosyjskiej w roku 1831, napisany przez Ignacego Prądzyńskiego. *(F. M.)* . . . . . 130

O przekładach Mickiewicza z Göthego. Napisał dr. Albert Zipper. *(Wł. R.)* . . . . . 131

Wykład chemii ogólnej. Część I. Chemia nieorganiczna. Dr. Ernest Bandrowski. *(T. Skomorowski)* . . . . . 272

Ostatnie lata w życiu Stanisława Orzechowskiego. (1562—1566). Skreślił Apolinary Maczuga. *(Romuald Koppens T. J.)*. 276

Zarys psychologii dla użytku szkół średnich. Napisał ks. Aleksander Pechnik, dr. fil. i prof. gimn. *(J. Nuckowski T. J.)*. 279

Elżbieta z Kowalskich Drużbacka. Życie i pisma. W. Bojarski. *(Leszek Marya Dziama)* . . . . . 283

Poezye. Serya II. Sfinks. Fantazya dramatyczna. Kazimierz Tetmajer. *(Dr. Antoni M. Kurpiel)* . . . . . 285

Uchansciana. T. V. Jakub Uchański, arcybiskup gnieźnieński (1502—1581). Monografia historyczna przez T. Wierzbowskiego. Wydanie z zapomogi Kasy pomocy naukowej imienia d-ra J. Mianowskiego. *(A. Szarłowski)*. . . . . 433

Zarys dziejów powszechnych. Dr. G. Egelhaaf. Z niem. przełożył i uzupełnił Stanisław Krzemiński. T. V.: Starożytności. Z mapką i tablicą synchronistyczną. *(B.)* . . 438

Frank i Frankiści polscy. 1726—1816. Monografia historyczna, osnuta na źródłach archiwalnych i rękopiśmiennych. Przez Aleksandra Kraushara. Dwa tomy. *(Ks. H. Pydynkowski T. J.)*. . . . . 439

Roksolania Klonowicza w stosunku do poezyi łacińskiej i greckiej. Część I. Basiński Stanisław. Sprawozdanie c. k. gimnazyum w Sanoku. *(L. M. Dziama)*. . . . . 441

Pentesilea. Dramat Szymona Szymonowicza. Dr. Wiktor Hahn. *(L. M. Dziama)* . . . . . 442

Generał Sonis. Życiorys. Przez M-gra Baunard. Przekład z dziesiątego francuskiego wydania. *(P.)* . . . . . 443

O konfederacyi barskiej i jej bohaterach. Napisał K. Nitman. Wydawnictwo ludowe. *(J. P.)* . . . . . 444

Złote myśli. Adam Mickiewicz. Zebrała Szczęsna. *(Ks. J. Pawelski T. J.)* . . . . . 445

Stronica.

Z piśmiennictwa zagranicznego:

APOLOGETICA DE AEQUIPROBABILISMO ALPHONSIANO. Historico-philosophica dissertatio juxta principia Angelici Doctoris, auctore P. J. De Caigny, Congr. SS. R. — DE SYSTEMATE MORALI ANTIQUORUM PROBABILISTARUM. Dissertatio historico-critica, auctore Francisco Ter Haar, Congr. SS. R. *(Ks. dr. C. Wądolny).* . . . . . 132

DIE INTERNATIONALE KATHOLISCHE UNIVERSITÄT FREIBURG IN DER SCHWEIZ. Von Camille Morelle, Kanzler der Univ. Freiburg i. d. Schweiz. Übersetzung der 2. französischen Auflage, mit 20 Illustrationen. *(Ks. Władysław Czencz T. J.).* 136

SICILE. Croquis Italiens. René Bazin. *(M.)* . . . . . 138

LEHRBUCH DER KIRCHENGESCHICHTE. Von Dr. Alois Knöpfler. Auf Grund der akademischen Vorlesungen von Dr. Karl Joseph von Hefele, Bischof von Rottenburg. *(Ks. Władysław Czencz T. J.)* . . . . . 142

DIE MODERNE LITTERATUR in ihren Beziehungen zu Glaube und Sitte. Dr. H. Rody, Pfarrer in Östrich am Rhein. *(K. O. B.)* . . . . . 292

JOHANNES MABILLON. Ein Lebens- und Litteraturbild aus dem XVII. und XVIII. Jahrhundert. Von P. S. Bäumer, Benediktiner der Beuroner Congregation. *(K. O. B.).* . . . . . 294

GESCHICHTE DES COLLEGIUM GERMANICO-HUNGARICUM IN ROM. Von Cardinal Steinhuber S. J. *(M.).* . . . . . 296

LE LIVRE DE JOB traduit de l'hébreu. Par A. Loisy, avec une introduction. *(M.).* . . . . . 299

CURSUS SCRIPTURAE SACRAE ETC. COMMENTARIUS IN GENESIM. Auctore Fr. de Hummelauer S. J. *(Ks. M. Morawski T. J.).* 446

UN PRÉTENDU TRÉSOR SACRÉ DES PRÉMIERS SIÈCLES: (le „tesoro sacro" du chev. Giancarlo Rossi à Rome). Étude archéologique H. Grisar S. J. Z 2 tabl. fototypicznemi i kilkoma illustracyami w tekscie. *(Ks. J. Bilczewski)* . . . . . 449

APOLOGIE DES CHRISTENTHUMS. Von Dr. Paul Schanz. Erster Theil: Gott und die Natur. Zweite vermehrte und verbesserte Auflage. *(Ks. Władysław Czencz T. J.)* . . . . . 455

## Sprawozdanie z ruchu

### religijnego, naukowego i społecznego.

### PAŹDZIERNIK.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Katolickie wiece. — Kongres monachijski. — Okólnik „Ewangelicznego Związku". — Encyklika o różańcu. — List pasterski biskupów belgijskich i biskupów galicyjskich. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* . . . . . 143

Z KRAKOWSKIEGO WIECU KATECHETÓW. Przez *Ks. J. B.* . . . . 153

Stronica.

## LISTOPAD.

Sprawy Kościoła: Dwudziestopięcioletnia rocznica zajęcia Rzymu. — Obrady francuskich wolnomularzów. — Śluby cywilne w Węgrzech. — List pasterski węgierskich biskupów. — O. Albert M. Weiss o austryackich chrześcijańskich socyalistach a konserwatystach. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* . . . . . 302

List z Wiednia: Antysemityzm w Wiedniu. — Gospodarka masonii na Węgrzech. Przez *Józefa Glinkiewicza* . . . . . 313

Z kresów Ameryki Północnej. Przez *Modesta Maryańskiego* . . 324

## GRUDZIEŃ.

Sprawy Kościoła: Wizyta króla portugalskiego w Rzymie. — Projekty uregulowania rzymskich stosunków. — Ruch ku unii z Kościołem na Wschodzie. — Kongres anglikański w Norwich. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* . . . . . 457

List z Wiednia: Niebezpieczeństwo zagrażające wyznaniowym szkołom elementarnym i mieniu Kościoła na Węgrzech. Przez *Józefa Glinkiewicza* . . . . . 462

Z dziejów sekciarstwa rosyjskiego. Przez *A. Szarłowskiego* . 467

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T. J.